

Wolność i Solidarność

STUDIA Z DZIEJÓW OPOZYCJI WOBEC KOMUNIZMU I DYKTATORY

Wolność i Solidarność
Studia z dziejów opozycji wobec komunizmu i dyktatury

ISSN: 2082-6826

Rada Naukowo-Programowa:

Jerzy Eisler, Andrzej Friszke, Paweł Golak, Aleksander Hall, Jerzy Holzer, Violetta Kmiecik,
Ireneusz Krzemiński, Andrzej Paczkowski, Wojciech Polak (przewodniczący),
Aleksander Smolar, Edmund Wnuk-Lipiński

Redakcja:

Andrzej Kaczyński, Jakub Kufel (sekretarz), Jan Skórzyński (redaktor naczelny), Małgorzata Strasz

Wydawca:



Adres Wydawcy:

Europejskie Centrum Solidarności
ul. Doki 1, 80-958 Gdańsk
tel. (058) 767 79 71 fax (058) 767 79 78
e-mail: ecs@ecs.gda.pl

Projekt graficzny i skład: Piotr Białas / www.piotrbialas.com

Korekta: Małgorzata Ogonowska

Zdjęcia: Archiwum Europejskiego Centrum Solidarności

Druk: Zakład Poligraficzny NORMEX, Gdańsk

Nakład: 1000 egzemplarzy

Spis treści

- 5 MACIEJ ZIĘBA OP** Słowo wstępne
- 6 JAN SKÓRZYŃSKI** *Czym jest „Wolność i Solidarność”?*
- STUDIA**
- 8 ALEKSANDER SMOLAR**
Obywatelski ruch oporu w Polsce 1970–1989
- 16 ANDRZEJ FRISZKE** *Telefon Jacka Kuronia. KSS „KOR” wobec strajków latem 1980*
- 29 PAWEŁ SOWIŃSKI** *Komunikaty z pola walki*
- 35 MARCIN FRYBES** *Reakcje Zachodu na polski Sierpień*
- 42 PADRAIC KENNEY** *Siły elektromagnetyczne, fale radiowe i rewolucje demokratyczne. Czy istnieje historia transgraniczna?*
- 48 IRENEUSZ KRZEMIŃSKI** *Pamięć Solidarności w świadomości społecznej*
- STOCZNIA GDAŃSKA '80 – ROBOTNICZY I DORADCY**
- 61 JERZY BOROWCZAK, BOGDAN FELSKI** *Jak rozpoczął się strajk*
- 64 ANNA WALENTYNOWICZ** *Solidarność była tak wielka...*
- 68 21 POSTULATÓW MKS**
- 70 APEL 64**
- 72 PIERWSZE RADY EKSPERTÓW**
- 74 TADEUSZ MAZOWIECKI** *Co można było wywalczyć więcej?*
- 84 BRONISŁAW GEREMEK** *Między groźbą a nadzieją*
- 96 TADEUSZ KOWALIK** *Wspomnienia ze Stoczni Gdańskiej*
- 116 LECH KACZYŃSKI** *Polityki znieść się nie da*
- 124 EWA MILEWICZ** *Ja, happening, stocznia*
- 138 JERZY ZIELEŃSKI** *Strefy wyzwolone*
- SOLIDARNOŚĆ W PODZIEMIU**
- 143 BOGDAN LIS** *Długi marsz i szybki skok*
- GRUDZIEŃ '70**
- 165 JERZY EISLER** *Czego jeszcze nie wiemy?*
- 172 JANUSZ MARSZALEC** *„Po długie lata będzie pamiętał lud...”*
- 177 ANDRZEJ KACZYŃSKI** *Odbudowywanie pamięci*
- 180 ŚWIADECTWA GRUDNIOWE**
- SYLWETKI**
- 198 MICHAŁ PAZIEWSKI** *Kazimierz Fischbein*
- ARCHIWUM WOLNEJ MYŚLI**
- 203 ALEKSANDR SOŁŻENICYN** *Życie bez kłamstwa!*
- EX LIBRIS**
- 206 JAN SKÓRZYŃSKI** *Karykatura drugiego obiegu*
(J. Błażejowska, *Papierowa rewolucja. Z dziejów drugiego obiegu wydawniczego w Polsce 1976–1989/1990*)
- 211 JAKUB KUFEL** *Nad Wisłą i Drwęcą*
(W. Polak, *Sierpień nad Wisłą i Drwęcą. Strajki i protesty w Toruniu i województwie toruńskim latem 1980 r.*)
- 214 KRONIKA ECS**



Słowo wstępne

MACIEJ ZIĘBA OP

W XXI wieku nie terytorium, a nawet nie wspólny język konstytuują więzi społeczne. Ich istotą jest wspólna pamięć, odwoływanie – rzecz jasna, niebezskrytyczne – do wspólnego dziedzictwa. Z tego względu wszystkie współczesne państwa tak wiele uwagi, a więc i wiele środków, poświęcają polityce historycznej. Napięcie zawarte w tym ostatnio często używanym terminie „polityka historyczna” jest łatwo definiowalne. Polityka historyczna może bowiem służyć doraźnym celom politycznym albo tworzeniu kultury wspólnej pamięci obejmującej całą wspólnotę polityczną.

Podstawowym zamierzeniem działającego od niecałych trzech lat Europejskiego Centrum Solidarności jest tworzenie kultury wspólnej pamięci na podstawie tych wydarzeń z najnowszej historii Polski, których celem było budowanie niepodległości, demokracji i solidarności w naszej części Europy. Wydarzenia te miały szeroki rezonans, sięgający daleko poza granice Polski. Dlatego wystawy tworzone przez ECS (których otwarcie połączone było zawsze z wydarzeniami kulturalnymi i politycznymi) dotarły do różnych zakątków świata. W wielu krajach wręczane są też medale wdzięczności dla osób wspierających Solidarność w czasach PRL. ECS organizuje międzynarodowe konferencje, wydaje książki w różnych językach i tworzy projekty dla młodzieży z całego świata.

Ukierunkowanie na ludzi młodych jest ważną cechą działania Centrum. Gry uliczne, konkursy dla młodzieży szkolnej, studentów i doktorantów, cykliczne Forum Młodych, Akademia Solidarności, Ekspres Solidarności, festiwal „All About Freedom” – to tylko niewielka część działalności naszego Centrum. Jej bardziej precyzyjny wykaz znajdzie Czytelnik na końcu niniejszej publikacji. Ale oprócz wydarzeń na skalę międzynarodową oraz takich, które potrafiły przyciągnąć dziesiątki tysięcy uczestników, nie mniej ważna jest działalność mało widoczna dla szerszej publiczności. Gromadzenie i opracowywanie zbiorów, notacje filmowe, prace badawcze z dziedziny historii, socjologii czy filozofii polityki oraz – znajdujące się już w stadium finalnym – przygotowanie stałej wystawy w przyszłej siedzibie ECS są niezwykle istotne. To one w wielkiej mierze budują ciągłość instytucji, umożliwią też przyszłym pokoleniom refleksję i badania nad dziedzictwem Solidarności, jej uniwersalnym i ponadczasowym wymiarem.

Z takiego właśnie przekonania zrodziła się idea stworzenia periodyku o charakterze naukowym i interdyscyplinarnym – „Wolności i Solidarności”. Jego pierwszy numer, niezmiernie ciekawy, staje się ważnym głosem w podstawowej polskiej dyskusji, która choć dotyczy przeszłości, jest też ważna dla naszej przyszłości. Dlatego z głębi serca życzę Redaktorom, Autorom i Czytelnikom, by każdy kolejny tom „Wolności i Solidarności” dostarczał równie pasjonującej lektury.

Czym jest „Wolność i Solidarność”?

JAN SKÓRZYŃSKI

❖ dr, historyk i dziennikarz, redaktor naczelny pisma „Wolność i Solidarność”. W latach 1989–1990 kierownik działu historycznego „Tygodnika Solidarność”, 2000–2006 zastępca redaktora naczelnego dziennika „Rzeczpospolita” i szef dodatku „Plus-Minus”. Autor wielu prac na temat Solidarności, m.in. *Kalendarium Solidarności 1980–89* (wraz z Markiem Pernałem, 1990), *Uгода i rewolucja. Władza i opozycja 1985–1989* (1995), *Od Solidarności do wolności* (2005), *Rewolucja Okrągłego Stołu* (2009). Ostatnio wydał biografię Lecha Wałęsy pt. *Zadra*. Jest redaktorem naczelnym wydawnictwa *Opozycja w PRL. Słownik biograficzny 1956–89*.

„Historia bieg od tego zmienia, po jakich toczy się kamieniach” – pisał Czesław Miłosz. Najlepszą ilustracją słów poety jest epopeja Solidarności – ruchu, którego uczestnicy zmienili bieg historii ostatnich dekad XX wieku. Niezależny związek zawodowy będący jednocześnie ruchem społecznym i wolnościowym, łączący przywiązanie do katolicyzmu z etosem liberalno-demokratycznym, był ewenementem na skalę światową – fascynował badaczy i obserwatorów. Fenomen Solidarności stał się tematem wielu książek i opracowań w Polsce i za granicą, wydaje się jednak, że jesteśmy wciąż na początku drogi, że zadanie jego opisu i interpretacji jest jeszcze przed nami. Podobnie jak upowszechnienie wiedzy o pokojowej solidarnościowej rewolucji, która powinna znaleźć swoje miejsce w kanonie tradycji europejskiej. Pismo „Wolność i Solidarność” chce uczestniczyć w tych pracach.

Nasze czasopismo będzie poświęcone przede wszystkim historii ruchu Solidarność w latach 1980–1989 oraz dziejom opozycji demokratycznej w Polsce i w innych krajach bloku sowieckiego. Zamierzamy również opisywać ruchy dysydenckie w pozaeuropejskich reżimach komunistycznych, takich jak: Chiny, Wietnam, Kuba,

Nikaragua. Opór wobec totalitaryzmu opartego na doktrynie marksizmu-leninizmu nie wyczerpuje jednak obrazu walki o prawa człowieka i obywatela. Chcemy także przybliżyć polskiemu czytelnikowi historię ruchów wolnościowych w systemach autorytarnych. W kręgu naszych zainteresowań znajdzie się więc opór wobec dyktatury i modele przejścia do demokracji w Hiszpanii, Filipinach czy Portugalii, zgodnie z formułą Samuela Huntingtona w książce *Trzecia fala demokratyzacji*. „Wolność i Solidarność” chce prezentować polski głos w międzynarodowej debacie na temat jednego z najważniejszych problemów historii XX wieku, jakim był opór wobec dyktatury i odbudowa demokracji po totalitaryzmie.

W dziejach ruchów demokratycznych – obok opisu wydarzeń – ważną będzie analiza myśli politycznej i nastrojów społeczeństwa obywatelskiego, perspektywa socjologiczna, a także perspektywa porównawcza różnych dróg prowadzących od komunizmu i dyktatur autorytarnych do demokracji oraz różnych typów demokratyzacji. Nie wyznaczamy sztywnej granicy chronologicznej zainteresowań badawczych. Nie stanowi jej rok 1989 – punkt przełomowy w historii upadku europejskiego komunizmu – bowiem ani komunizm, ani inne systemy dyktatorskie nie przestały istnieć w innych częściach świata po europejskiej jesieni ludów. Do dziejów odzyskiwania wolności należą także współczesne formy opozycji wobec dyktatury w Chinach czy na Kubie.

„Wolność i Solidarność” chce być pismem interdyscyplinarnym, łączącym spojrzenie historyków z podejściem politologicznym, punktem widzenia historyków idei i socjologów. Nasze pismo, wydawane przez Europejskie Centrum Solidarności, będzie redagowane zgodnie z naukowymi standardami, nie chcemy jednak ograniczać gatunków pisarskich do tradycyjnej formy studium. Formuła redakcyjna jest otwarta – prawo obec-



Mieszkańcy Gdańska przy bramie nr 2 Stoczni Gdańskiej, sierpień 1980 r. Fot. Leonard Szmaglik, zbiory ECS

ności na łamach „Wolności i Solidarności” będą miały esej, wywiad, wspomnienie, polemika i dyskusja. Będziemy też publikować dokumenty archiwalne i relacje uczestników ruchów demokratycznych. W cyklu „Archiwum wolnej myśli” chcemy zamieszczać teksty kluczowe dla myśli politycznej antytotalitarnej opozycji. Ważną częścią pisma będzie dział recenzji, omawiający zarówno polskie, jak i obcojęzyczne książki dotyczące interesującego nas obszaru tematycznego.

W skład Rady Naukowo-Programowej pisma „Wolność i Solidarność” zgodzili się wejść wybitni polscy badacze Solidarności i innych ruchów opozycyjnych – Jerzy Eisler, Andrzej Friszke, Aleksander Hall, Jerzy Holzer, Ireneusz Krzemiński, Andrzej Paczkowski, Wojciech Polak, Aleksander Smolar, Edmund Wnuk-Lipiński. Przyjęcie naszego zaproszenia przez grono tak znakomitych autorytetów naukowych traktujemy jako zobowiązanie. Postaramy się go nie zawieść.

Obywatelski ruch oporu w Polsce 1970–1989

ALEKSANDER SMOLAR

❖ politolog, prezes Zarządu Fundacji im. Stefana Batorego. W marcu 1968 r. uwięziony za działalność opozycyjną. W latach 1971–1989 na emigracji we Włoszech, Wielkiej Brytanii i Francji, był redaktorem naczelnym kwartalnika politycznego „Aneks”, współpracownikiem KOR i KSS „KOR”. W latach 1973–2007 pracownik naukowy francuskiego Krajowego Centrum Badań Naukowych (CNRS). Doradca do spraw politycznych premiera Tadeusza Mazowieckiego i do spraw polityki zagranicznej premier Hanny Suchockiej. Współzałożyciel i członek Zarządu Europejskiej Rady Stosunków Międzynarodowych (European Council on Foreign Relations) oraz zastępca przewodniczącego Rady Naukowej Instytutu Nauk o Człowieku (Institut für die Wissenschaften vom Menschen) w Wiedniu.

Stalin ponoć powiedział, że narzucić Polsce komunizm, to jak osiedlać krowę¹. Był to, faktycznie, kraj, gdzie „realny socjalizm” najtrudniej się przyjmował. Potężny Kościół katolicki, jedyne w bloku wschodnim prywatne, nigdy nieskolektywizowane rolnictwo, kolejne strajki i bunt robotników (lata 1956, 1970, 1976 i 1980), powszechny protest katolików w 1966 r. oraz rewolta studentów i intelektualistów w 1968 r. to znaczące elementy polskiej odrębności w radzieckiej strefie wpływów. Dodajmy do tego długą historię oporu wobec obcych rządów i głęboko zakorzoną antyrosyjskość, która razem z żarliwym katolicyzmem stanowiła mocny fundament antykomunizmu znacznej części społeczeństwa. Wszystkie te czynniki tworzyły szczególnie podatny grunt dla oporu społecznego i walki z reżimem narzuconym po drugiej wojnie światowej przez ZSRR.

Po wojnie ruchy te były w większości pokojowe. Jednak w wystąpieniach robotników niemal zawsze obecny był element przemocy, co przejawiało się w demolowaniu komitetów PZPR w latach 1956, 1970 i 1976. Były to akty desperacji, lecz także skutek braku organizacji i przywództwa. Z pewnością grała też rolę tradycyjna kultura polityczna zbrojnych powstań.

Za kluczowy moment tworzenia się w Polsce nowej formy obywatelskiego oporu, który przyczynił się w znacznej mierze do głębokich przemian politycznych 1989 r., uznać trzeba rok 1976. Po raz pierwszy w komunistycznym kraju masowe protesty robotnicze, spowodowane tak jak w przeszłości pogarszającymi się warunkami życia, spotkały się z solidarnością zorganizowanej opozycji inteligentkiej. W ten sposób formowała się nowa opozycja demokratyczna. Opozycja ta zresztą nie wykorzystwała porozumienia helsińskiego, podpisane w 1975 r. podczas Konferencji Bezpieczeństwa i Współpracy w Europie. Legitymizowało ono zewnętrzną kontrolę (*droit de regard*) przestrzegania praw człowieka przez państwa-sygnatariuszy. Rosnąca presja Zachodu żądającego ich poszanowania dodawała kielkującej opozycji siły.

Pokojowy ruch opozycyjny lat siedemdziesiątych przyczynił się znacząco do narodzin dziesięciomilionowej Solidarności podczas „samoograniczającej się rewolucji” lat 1980–1981². Przez szesnaście miesięcy legalnego istnienia Solidarności władze próbowały zniszczyć ją od wewnątrz, demoralizować członków, izolować przywódców i wbudować związek w instytucjonalne

¹ Wystąpienie na konferencji „Civil Resistance and Power Politics: Domestic and International Dimensions” w St Antony’s College, Oksford, 15–18 III 2007 r.

² Termin ukuły przez Jadwigę Staniszkis, *Poland’s Self-Limiting Revolution*, Princeton University Press 1984.

ramy państwa komunistycznego. Próbowano tym towarzyszył rosnący nacisk Związku Radzieckiego. Struktura polityczna państwa nie uległa zasadniczej zmianie, ale słabła dominacja państwa-partii.

Pod silną presją ZSRR legalna Solidarność została zdławiona przez polską armię, która 13 grudnia 1981 r. proklamowała stan wojenny. Jak przypominał Timothy Garton Ash, „jest bezsporne, że w trakcie szesnastu miesięcy rewolucja ta nikogo nie zamordowała. Pierwszymi zabitymi w polskiej rewolucji byli robotnicy zastrzeleni przez milicję na początku »wojny«. Ten niezwykły popis *non-violence*, wspaniałe samoopanowanie wobec tak wielu prowokacji, wyróżnia polską rewolucję spośród wszystkich poprzednich”³.

Nigdy nie odrodził się już w Polsce komunizm z prawdziwego zdarzenia. Wobec kryzysu polityczno-gospodarczego – i nowej polityki Gorbaczowa wobec Europy Środkowo-Wschodniej – władze zasiadły w lutym 1989 r. do rozmów przy Okrągłym Stole z opozycją. Przyniosło to częściowo wolne wybory 4 czerwca, powstanie pierwszego niekomunistycznego rządu i rychły pokojowy rozpad systemu komunistycznego. Był to też początek końca komunizmu w całym regionie.

Polska tradycja oporu obywatelskiego

Długa polska tradycja buntu przeciw obcej i wrogiej władzy nie była wcale pokojowa. Podczas 120 lat rozbiorów, gdy Rzeczpospolita była podzielona między Rosję, Prusy i Austro-Węgry, co 30–40 lat dochodziło do narodowych insurekcji – w 1794, 1830–1831, 1863–1864 i 1905 r. Polska odzyskała niepodległość w 1918 r. na zaledwie dwadzieścia lat. Powstanie warszawskie w 1944 r. przeciwko hitlerowskiemu okupantowi – a pośrednio przeciwko nadciągającej Armii Czerwonej niosącej perspektywę zaprowadzenia radzieckiego komunizmu – kontynuowało tradycję zbrojnych insurekcji niepodległościowych. Dominującym wzorcem oporu był heroiczny, zbrojny zryw, niemal zawsze tragiczny, ściśle związany z romantyczno-mesjanistycznym wyobrażeniem Polski jako „Chrystusa narodów”.

Tuż po drugiej wojnie światowej masowe represje zdusiły wszelkie widome formy oporu. Większość ludzi próbowała odbudowywać normalne, codzienne życie w na-

rzucanych ramach instytucjonalnych. Resztki społecznej autonomii schroniły się w kręgu rodziny i Kościoła.

Rewizja polskiej kultury politycznej i odrzucenie przemocy w politycznym działaniu były przede wszystkim efektem wojny – zdziesiątkowana ludność, zrujnowany kraj, wyczerpane społeczeństwo, świadomość daremności zbrojnego zrywu przeciwko radzieckiej dominacji. Dla rodzącej się kultury oporu decydujące znaczenie miało tragiczne doświadczenie powstania warszawskiego. Śmierć 200 tys. głównie młodych ludzi i niemal całkowite zrównanie stolicy z ziemią były głęboką traumą dla kolejnych pokoleń. Brytyjski historyk Norman Davies nie był jedynym, który uznał ruch Solidarności za naturalne dziedzictwo powstania warszawskiego, „zarówno w swym przywiązaniu do idei niepodległości, jak i jako ruch zaskakująco umiarkowany w tak przełomowym momencie historycznym – bez wątpienia skutek pamięci powstańczych doświadczeń”⁴.

Ważną łagodzącą rolę w kolejnych polskich konfliktach odegrała też nowa geopolityka zimnej wojny. Głęboki wpływ na polskie społeczeństwo wywarła stłumiona przez ZSRR w 1956 r. rewolucja na Węgrzech i interwencja wojsk Układu Warszawskiego przeciwko praskiej wiosnie w 1968 r. W takim kontekście trudno było hołubić jakikolwiek romantyczny mit o buncie polskiego Dawida przeciwko radzieckiemu Goliatowi.

Do poszukiwania pokojowych sposobów łagodzenia systemu przyczyniła się też wewnętrzna sytuacja kraju. Mimo że w porównaniu z innymi państwami bloku wschodniego polski komunizm był po 1956 r. względnie liberalny, istniała dramatyczna asymetria między potęgą państwa komunistycznego a atomizowanym społeczeństwem, poddanym przemocy i nieustannej presji władzy kontrolującej wszystkie formy publicznej komunikacji i organizacji, zatrudnienie, edukację, możliwość podróżowania itp. Trudno, a właściwie nie sposób było marzyć w takich warunkach o wyzwoleniu w wyniku powstania bądź dzięki pomocy Zachodu. Przekonanie, że „nic nie da się zrobić” dla odrodzenia niepodległej, demokratycznej Polski, było powszechnie akceptowaną lekcją, jaką odebrało społeczeństwo. Nie była ona źródłem legitymizacji nowego porządku, ale z pewnością najskuteczniejszym czynnikiem jego stabilizacji.

³ T. Garton Ash, *Polska rewolucja. „Solidarność” 1980–1981*, Warszawa 1990.

⁴ Norman Davies w „Gazecie Wyborczej”, 26 VII 2004.

Jednak odrzucenie przemocy na drodze do przemian społeczno-politycznych zarówno przez elity, jak ogół społeczeństwa nie wynikało jedynie z politycznego realizmu i utraty wiary w wyzwolenie. Ewolucję kultury oporu przypisać też można wpływowi Kościoła katolickiego i odrzuceniu rewolucyjnego modelu zmiany przez główne kręgi polskiej opozycji i dysydentów w innych krajach regionu.

W ustroju, w którym rządziła wszechwładna monopartia, tradycyjnie silny w Polsce Kościół katolicki pełnił w naturalny sposób pewne funkcje opozycji. Przede wszystkim był niezależnym *universum* moralnym, obszarem wolnego świata i wolnej myśli. Jego wysoki autorytet wzrósł jeszcze po wyborze Karola Wojtyły na papieża. Filozofię Jana Pawła II i jego wizję przekształceń w Polsce streszcza często cytowany przez niego – a także przez solidarnościowego bohatera i męczennika ks. Jerzego Popiełuszkę – list św. Pawła do Rzymian: „Nie daj się zwyciężać złu, ale złu dobrem zwyciężaj” (12,21). Pod koniec życia papież pisał: „W obliczu dramatycznych obrazów gwałtownych bratobójczych starć, toczących się w różnych częściach świata, wobec niewypowiedzianych cierpień i wynikających z nich niesprawiedliwości jedynym wyborem naprawdę konstruktywnym jest odrzucenie zła i podążanie za dobrem (por. Rz 12,9), jak zaleca również św. Paweł”⁵. Jak podkreślił Timothy Garton Ash, w przypadku Jana Pawła II mamy do czynienia z całkowitym odrzuceniem na gruncie moralnym wszelkiej przemocy politycznej⁶.

Strategia nowych ruchów społecznych

Opozycja, która narodziła się w Polsce w latach siedemdziesiątych, odrzuciła wszelkie tradycje rewolucyjne. Nie wierzyła w rewolucyjny akt wyzwolenia, jakim byłoby ogólnonarodowe powstanie. Uważała, że rewolucja, jak każda inna polityczna przemiana odwołująca się do przemocy, powoła do życia nowy reżim opresyjny. Przemoc może zagrozić młodej demokracji, a nawet zaprzepaścić możliwości ochrony praw człowieka. Opozycja nie wierzyła też w zdolności autonaprawcze

systemu komunistycznego. Do historii odeszły zrodzone w okresie destalinizacji złudzenia inteligencji rewolucyjnej, która nadal zafascynowana komunistyczną ideą wierzyła w możliwość humanizacji, demokratyzacji i urynkowania radzieckiego komunizmu.

Zburzenie Bastylji nie stało się symbolem wolności, tylko zagrożenia, że powstaną nowe bastylie⁷. W jednej z najpopularniejszych pieśni Solidarności bard ruchu Jacek Kaczmarski opisywał z gorzką ironią, jak nieopatrzenie znowu rosną zburzone mury więzień. Aż do stanu wojennego opozycja sprzeciwiała się wszelkiej konspiracji. Najgłośniej ostrzegał przed jej zagrożeniami Adam Michnik, który pisał: „Ruch oporu musi być zarazem szkołą wolności i demokracji; jaki będzie ten ruch, taka będzie Polska, która wyłoni się ze stanu wojennego. Nad każdym podziemiem unosi się jednak cień »biesów« z powieści Dostojewskiego. Każda konspiracja demoralizuje, w jej mrokach kwitnie duch sekty posługującej się własnym językiem, opartej na kręgach wtajemniczenia, na taktyce, której wszystko jest podporządkowane, na instrumentalnym stosunku do prawdy i lekceważeniu wartości politycznie obojętnych”⁸.

W *Nowym ewolucjonizmie*, jednym z najważniejszych tekstów opozycji demokratycznej, Michnik odrzucił alternatywę reforma czy rewolucja. Pisał: „Droga nieustępliwej walki o reformy, droga ewolucji poszerzającej zakres swobód obywatelskich i praw człowieka jest – moim zdaniem – jedyną drogą dla dysydentów w Europie Wschodniej. [...] koncepcja polskiej opozycji demokratycznej nawiązuje do wzorów hiszpańskich raczej niż portugalskich; zakłada powolne, stopniowe, cząstkowe przeobrażenia, a nie gwałtowny przewrót i zniszczenie przemocą istniejącego systemu”⁹.

Nowy opór społeczny zrodził się w Polsce ze strajków czerwcowych 1976 r., spowodowanych podwyżkami cen, i z procesów setek aresztowanych robotników. Krytykujący reżim intelektualści zainicjowali jawną kampanię poparcia i solidarności z uwięzionymi robotnikami i ich rodzinami; 23 września 1976 r. powstał Komitet Obrońców Robotników. Ważnym aktem politycznym było samo

⁵ Ogrzędzie na Światowy Dzień Pokoju, 1 I 2005 r.

⁶ Chcę podkreślić, że polskie elity polityczne nie słuchały papieskich potępień przemocy nieuchronnie związanej z udziałem Polski w wojnie w Iraku.

⁷ Metaforą tą często posługiwał się Adam Michnik. Timothy Garton Ash cytował jego wypowiedź z 1984 r.: „każdy terroryzm prowadzi nieuchronnie do moralnego poniżenia, do duchowych wypaczeń” (T. Garton Ash, *Does Central Europe Exist?*, [w:] *idem, The Uses of Adversity*, Cambridge 1989, s. 175; polskie wydanie: *Pomimo i wbrew. Eseje o Europie Środkowej*, London 1990).

⁸ A. Michnik, *O oporze. List z Białotęki*, [w:] *idem, Szanse polskiej demokracji. Artykuły i eseje*, Londyn 1984, s. 107.

⁹ Cyt. za: 1956: w dwadzieścia lat później – z myślą o przyszłości, Londyn 1978.

powołanie organizacji działającej jawnie i niezależnej od władz. W następnych miesiącach pojawiły się inne opozycyjne ugrupowania, w tym Ruch Obrony Praw Człowieka i Obywatela, publikowano niezależne periodyki i książki. Sprzeciw przeradzał się w coraz bardziej zinstytucjonalizowaną opozycję. Ocenia się, że w latach 1976–1980 liczyła ona wiele tysięcy członków. Byli to w ogromnej większości inteligenci i studenci, ale też nieco księży i zakonników; instytucjonalny Kościół nie zajmował oficjalnie stanowiska wobec tych inicjatyw. Po pewnym czasie ugrupowania opozycyjne znalazły – choć na niewielką skalę – dojsię do środowisk robotniczych i chłopskich¹⁰.

Strategię sformułowaną przez czołowych działaczy opozycji demokratycznej, głównie Jacka Kuronia i Adama Michnika, ująć można w paru zdaniach. Po pierwsze była to zasada Sołżenicyna i Hawła: „żyj w prawdzie”. Niezgoda na życie w Wielkim Kłamstwie była, jak to ujął w słynnym eseju Vacláv Havel, fundamentem „siły bezsilnych”¹¹. Prócz wartości moralnej postulat ten był formą delegitymizacji życia publicznego zbudowanego na kłamstwie narzuconej, oficjalnej definicji rzeczywistości. Idea „życia w prawdzie” stała się fundamentem opozycji w całym komunistycznym świecie. Wraz z zalamaniem się monopolu państwa na informację opozycja zaczęła odgrywać coraz ważniejszą rolę poznawczą, moralną i pośrednio polityczną.

Drugą kluczową zasadą nowej opozycji było samoorganizowanie się społeczeństwa. Strategia społeczeństwa obywatelskiego przeciwstawiała odbudowę więzi społecznych strategii państwa, polegającej na atomizacji i kontroli politycznej nad społeczeństwem. Nowy pokojowy program oporu społecznego i politycznego podsumował Jacek Kuroń, który zaapelował do demon-

strantów: „zamiast palić komitety, zakładajcie je!”. Rzucił w ten sposób myśl samoorganizacji społecznej niezależnej od państwa, a jeśli trzeba i przeciw niemu¹². Każda autentyczna organizacja społeczna, każdy przejaw wzajemnego zaufania i solidarności ma wartość samoistną jako krok do odbudowy ludzkiego świata. Główny nurt opozycji był celowo do głębi apolityczny. Stając przed opisanym przez Adama Michnika w liście z więzienia¹³ dramatycznym wyborem, dawała ona jasną odpowiedź. Celem nie jest zdobycie władzy, tylko stopniowe uwalnianie od niej społeczeństwa.

Trzecią główną zasadą było domaganie się ścisłego przestrzegania prawa – jak to ujął przywódca węgierskiej opozycji János Kis, „ostentacyjne korzystanie z uprawnień”. Konstytucja, prawo międzynarodowe (w tym porozumienia helsińskie) i prawo krajowe stały się skutecznym narzędziem oporu. Władzę krytykowano nie na gruncie jej własnej ideologii – jak zwykła postępować rewizjonistyczna opozycja lat pięćdziesiątych i sześćdziesiątych – tylko przez odniesienie do uniwersalnych norm moralnych i prawnych, oficjalnie uznanych przez same władze komunistyczne.

Strategia nowej opozycji opierała się na założeniu, że budowanie enklaw niezależności winno być stopniowe i na tyle ostrożne, by nie popchnąć rządzących do politycznej konfrontacji. Władza mogła być zainteresowana tolerowaniem „mniejszego zła” w postaci poszerzonych obszarów niezależności dla uniknięcia generalnej konfrontacji z rodzącą się opozycją oraz jej wewnętrznych i międzynarodowych skutków. Władze miały do wyboru albo uderzyć z całą siłą potrzebną do zdławienia opozycji, do czego dysponowały całym niezbędnym instrumentarium, albo pogodzić się z postępującą utratą kontroli nad odtwarzającym się społeczeństwem obywatelskim¹⁴.

¹⁰ Szczegóły w najpełniejszym opracowaniu na temat opozycji po drugiej wojnie światowej, zwłaszcza w latach siedemdziesiątych: A. Friszke, *Opozycja polityczna w PRL 1945–1980*, Londyn 1994.

¹¹ Por. V. Havel, *Siła bezsilnych*, [w:] *idem, Eseje polityczne*, Warszawa 1984. Havel opisuje, jak kierownik sklepu warzywnego w dawnej, komunistycznej Czechosłowacji ma ustawić w witrynie hasło: „Proletariusze wszystkich krajów łączcie się!”. W chwili, gdy odmawia umieszczenia go wśród cebuli i marchewki, łamie reguły gry, „odnajdzie swą zdeptaną tożsamość i godność; zrealizuje swą wolność. Jego bunt będzie próbą życia w prawdzie”.

¹² Jacek Kuroń w: *La Pologne: une société en dissidence*, red. Z. Erard, G.M. Zygiel, Paris 1978, s. 17.

¹³ „[...] być alternatywą dla władzy czy świadomie wyrzec się tej aspiracji i skoncentrować się na walce o ograniczenie jej zasięgu” (A. Michnik, *List z Kurkowej*, „Aneks” 1985, nr 38).

¹⁴ W *Nowym ewolucjonizmie* Adam Michnik opisuje ludzi władzy jako racjonalnych „pragmatyków” zdolnych wyważyć wady i zalety alternatywnych wyborów, przed jakimi stają, i dojść do wniosku, że odwołanie się do „brutalnych represji” byłoby dla nich bardziej szkodliwe niż kompromis z siłami „walczącymi o pluralizm”.

Sytuacja międzynarodowa i ewolucja państwa komunistycznego

Opozycja mogła podejmować coraz bardziej jawne działania nie tylko z racji swej odwagi i rosnącego znaczenia, ale i dzięki pewnej tolerancji (nader wszak represyjnej!) ze strony państwa, które zwała totalitarnym. Jak na ironię, w miarę słabnięcia władzy komunistycznej i wzrostu jej wrażliwości na presję społeczną, opozycja coraz chętniej odwoływała się w opisie do języka „totalitaryzmu”. Był to skutek rosnącej alienacji społecznej, politycznej polaryzacji i spektakularnych sukcesów opozycji w walce o definicję społecznej rzeczywistości.

„Represyjna tolerancja” nie była oczywiście rezultatem zaakceptowania pluralizmu przez władzę komunistyczną. Złożył się na nią szereg czynników wewnętrznych i zewnętrznych. Elastyczność ekip Edwarda Gierka i Wojciecha Jaruzelskiego wynikała po części z presji Zachodu. Postępująca integracja Polski z rynkiem światowym, rosnący dług i gospodarcze uzależnienie od Zachodu uwrażliwiały władze na naciski rozwiniętego i demokratycznego świata. Zachowanie pozytywnego wizerunku było niezbędnym ustępstwem ułatwiającym skomplikowane negocjacje na temat restrukturyzacji szybko rosnącego długu zagranicznego. W latach siedemdziesiątych polska gospodarka uzależniła się od Zachodu nie tylko finansowo, ale i w dziedzinie technologii i zaopatrzenia. Helsińska Konferencja Bezpieczeństwa i Współpracy w Europie z udziałem przywódców państw NATO, Układu Warszawskiego i krajów niez zaangażowanych, zwołana w celu przyspieszenia procesu odprężenia za pomocą porozumień o współpracy gospodarczej i technologicznej, bezpieczeństwie i rozbrojeniu, objęła też listę uzgodnień dotyczących swobód politycznych i praw człowieka. Połączona presja opozycji wewnętrznej i Zachodu oznaczała dla władz PRL nowe ograniczenia polityki, jaką mogły prowadzić¹⁵.

Postanowienia helsińskie, a zwłaszcza tzw. trzeci koszyk obejmujący prawa człowieka, okazały się sprzyjać opozycji w krajach komunistycznych, formalnie zobowiązując ich władze do przestrzegania praw człowieka. Ta rola porozumień nie była wówczas oczywista.

Doradca prezydenta Cartera do spraw bezpieczeństwa narodowego Zbigniew Brzeziński określił po 25 latach nastroje w Białym Domu podczas negocjowania układów helsińskich jako „spenglerowski pesymizm”. Jednak już parę lat później koncepcja praw człowieka zmieniła się zasadniczo wskutek zarówno polityki Cartera i Reagana, jak i nade wszystko działań środkowoeuropejskiej opozycji. Prawa człowieka przestały być traktowane jako „sposób na stabilizację *status quo*, stając się historyczną koniecznością naszych czasów, czymś, co doprowadzi do zmiany *status quo*”¹⁶.

W tym kontekście stosunek opozycji w Polsce i w całym regionie do porozumień helsińskich zmienił się radykalnie. Początkowo w kręgach polskiej opozycji i emigracji politycznej „oczekiwano, że głównym, a właściwie jedynym ich rezultatem będzie uroczyste potwierdzenie podziału Europy na strefy wpływów”¹⁷. Z czasem jednak, zwłaszcza od stycznia 1977 r., kiedy prezydentem Stanów Zjednoczonych został Jimmy Carter, w opozycji zaczął przeważać pogląd, że helsiński dokument końcowy może być skutecznym instrumentem obrony praw człowieka.

Droga do Okrągłego Stołu

Jednak co najmniej równie ważną, jeśli nie znacznie ważniejszą, rolę w ewolucji systemu komunistycznego w Polsce odegrały czynniki wewnętrzne. Po 1956 r., a zwłaszcza po dojściu do władzy Edwarda Gierka w następstwie buntu robotników w grudniu 1970 r., narastała świadomość, że nie da się siłą kontrolować ani złamać społeczeństwa, że trzeba zabiegać o społeczną legitymizację i szukać jakiegoś *modus vivendi*. Zrozumieniu tego sprzyjał postępujący od połowy lat pięćdziesiątych zanik ideologicznej legitymizacji rządów komunistycznych. Jak na ironię, jedynym wiarygodnym usprawiedliwieniem przymusu stawała się groźba interwencji radzieckiej. Ruch Solidarności spowodował dalsze osłabienie legitymizacji rządzących komunistów. Zarazem jednak operacja wojskowa 13 grudnia 1981 r. cieszyła się sporym przyzwoleniem społecznym. Większość wierzyła i nadal wierzy w patriotyczne intencje

¹⁵ Na temat znaczenia postawy Zachodu por. M.F. Rakowski, *Dzienniki polityczne 1976–1978*, Warszawa 2002.

¹⁶ „Prawa człowieka za *status quo* – to był szatański układ negocjowany w pierwszej połowie lat 70.”; cyt. za: 25 years. *From Solidarność to Freedom. International Conference, Warsaw-Gdańsk, August 2005*, Warszawa 2005, s. 24.

¹⁷ J.J. Lipski, *Komitet Obrony Robotników*, Londyn 1983, s. 25; por. artykuł wstępny w paryskiej „Kulturze” 1975, nr 9.

gen. Jaruzelskiego, wierzy też, że zdławienie Solidarności ocaliło Polskę przed większym złem, jakim byłaby radziecka interwencja zbrojna¹⁸.

Choć uderzenie w Solidarność było bardzo brutalne, padły ofiary śmiertelne, uwięziono i internowano co najmniej 10 tys. osób, to działania Jaruzelskiego określić można mianem „samoograniczającej się kontrrewolucji”¹⁹. Stosunkowo szeroką amnestię ogłaszano w latach 1983, 1984 i wreszcie 1986, otwierając drogę do rozmów Okrągłego Stołu.

Szeroka akceptacja społeczna stanu wojennego, który był aktem fundacyjnym rządów Jaruzelskiego, ułatwiła po paru latach rozpoczęcie rozmów z opozycją. Obu stronom przypominała, że komunistyczny reżim, choć słabnący, nie da się usunąć ani przemocą, ani metodami pokojowymi. Jednak dwa inne istotne czynniki sprawiły, że rozmowy stały się tyleż możliwe, co niezbędne.

To, w jakiej mierze Moskwa narzuciła władzom militarne rozwiązanie problemu Solidarności, jest do dziś przedmiotem burzliwych sporów. Nie ma jednak wątpliwości, że jej nacisk wpłynął znacząco na decyzję o wprowadzeniu stanu wojennego. Od lat Kreml domagał się od władz w Warszawie ostrzejszej polityki wobec „elementów antysocjalistycznych”, patrząc podejrzliwie na wszelkie próby szukania *modus vivendi* w stosunkach z opozycją i Kościołem.

Wprowadzenie stanu wojennego wyгнаło z przestrzeni publicznej miliony tych, których Solidarność zmobilizowała do działania. Jednak nie zniknęły problemy społeczno-ekonomiczne, które wywołały masowe protesty i przyczyniły się do narodzin Solidarności. W drugiej połowie lat osiemdziesiątych kryzys „realnego socjalizmu” był oczywisty także dla rządzących. Rozumieli oni, że zaciskanie pasa i reformy gospodarcze, niezbędne dla uniknięcia kolejnego wybuchu masowego niezadowolenia, wymagają strategii dopuszczenia do

współodpowiedzialności i porozumienia z przynajmniej częścią opozycji²⁰. Od połowy lat osiemdziesiątych sondaże wskazywały na pogarszanie się społecznych ocen sytuacji politycznej i gospodarczej²¹.

Kiedy w marcu 1985 r. sekretarzem generalnym Komitetu Centralnego Komunistycznej Partii Związku Radzieckiego został Michaił Gorbaczow, Moskwa stała się bardziej otwarta i tolerancyjna wobec przemian w Europie Środkowej. Gorbaczow porzucił „doktrynę Breżniewa”, co radykalnie zmieniło wyobrażenia o możliwościach i wraz z nimi strategię politycznych aktorów w Polsce, a potem w innych krajach regionu. Wojciech Jaruzelski wykorzystał szansę, jaką stworzyła Moskwa. Falę strajków w 1988 r. potraktował jako ostatnie ostrzeżenie przed katastrofą²².

Od połowy lat osiemdziesiątych władze komunistyczne zaczęły zastępować dotychczasową strategię wykluczania strategią włączania. Oznaczała ona raczej cichą zgodę na „współzycie z opozycją” niż kontynuację zaogniających nastroje prześladowań. Paradoksalnie, ta umiarkowana polityka spowodowała tym silniejszą presję ze strony tyleż rodzimej opozycji, co zachodnich instytucji rządowych i pozarządowych. Kolejny to przykład potwierdzający tezę Alexisa de Tocqueville’a, jak groźne są reformy dla złych rządów.

Kolejna fala strajków w 1988 r. wzmogła gotowość do rozmów. Udział w przygotowaniach do nich trzeciej strony, jaką był Kościół katolicki, przyczynił się do wzrostu zaufania po obu stronach. Polityczne przemiany ułatwiły nie tylko strajki i złe nastroje społeczne, ale też względna słabość zorganizowanej opozycji. Z końcem lat osiemdziesiątych dawno przeminął heroiczny czas Solidarności lat 1980–1981. Aktywna opozycja ograniczała się do paru tysięcy działaczy. Dlatego władze mniej się jej bały i często nie doceniały jej społecznego oddziaływania. Gdyby nie te złudzenia, Jaruzelski i jego ekipa nigdy nie zdecydowałiby się zapewne na

¹⁸ Dwadzieścia pięć lat później 60 proc. Polaków uznało, że wprowadzenie stanu wojennego uchroniło Polskę przed radziecką interwencją, a zdaniem 50 proc. pozwoliło uniknąć wojny domowej. Jednocześnie jednak 53 proc. uznało, że celem Jaruzelskiego było zniszczenie rodzącej się demokracji (*TNS OBOP: Stan wojenny dzieli Polaków*, „Gazeta Wyborcza”, 1 XII 2006).

¹⁹ Jeśli za trafną uznamy formułę Jadwigi Staniszkis – Solidarności jako „samoograniczającej się rewolucji”.

²⁰ A. Dudek, *Reglamentowana rewolucja. Rozkład dyktatury komunistycznej w Polsce 1988–1990*, Warszawa 2004, s. 110–120.

²¹ *Spółczesność i władza lat osiemdziesiątych w badaniach CBOS*, Warszawa 1994, s. 268.

²² Pośpiech, z jakim otoczenie Jaruzelskiego pragnęło rozpocząć rozmowy z opozycją, wyczuwalny jest w memorandum z sierpnia 1988 r. jego trzech głównych doradców: rzecznika rządu Jerzego Urbana, sekretarza KC PZPR Stanisława Gioska i wiceministra spraw wewnętrznych gen. Władysława Pożogi: „Radzieckie poparcie jest głównym naszym atutem. Ale będzie słabło lub całkiem zaniknie, kiedy nasze działania okażą się nieskuteczne. Jesienne strajki mogą spowodować rozczarowanie Moskwy, które przypieczętuje nasz koniec” (*Okrągły Stół. Dokumenty i materiały*, t. 1, red. W. Borodziej, A. Galticki, Warszawa 2004, s. 172).

uzgodnione przy Okrągłym Stole częściowo wolne wybory 4 czerwca 1989 r.

Pomysł rozmów przy Okrągłym Stole rzucił jako pierwszy w czerwcu 1988 r. gen. Jaruzelski²³. Zawarte porozumienie oznaczało, że nie będzie ani kolejnej radzieckiej interwencji, ani operacji wewnętrznej typu stan wojenny. Jednak gotowość rządzących do przestrzegania wynegocjowanych rozwiązań nie była oczywista. Istniał potężny aparat przemocy i inne siły skłonne bronić socjalistycznego państwa za każdą cenę. Jednak sam Jaruzelski i jego najbliżsi współpracownicy gotowi byli wyrzec się użycia przemocy, co więcej, podjąc działania polityczne, aby temu zapobiec. Paraliżujący strach przed reakcją wewnętrzną i zewnętrzną pomógł tym w elicie władzy, którzy chcieli rozmów, aby zneutralizować twardogłowych. Zapowiedziana przez Gorbaczowa polityka nieingerencji oznaczała w praktyce poparcie dla Jaruzelskiego i jego strategii.

Do zainicjowania pokojowych negocjacji przy Okrągłym Stole przyczyniła się w znacznej mierze realistyczna postawa przywódców Solidarności. Jej liderzy – Lech Wałęsa, Zbigniew Bujak, Władysław Frasyniuk – i doradcy – Bronisław Geremek, Tadeusz Mazowiecki, Adam Michnik i Jacek Kuroń – mimo stałych represji i ciężkich doświadczeń w podziemiu i więzieniu od lat rozwijali koncepcję kompromisu, który powinny zawrzeć obie strony polskiej zimnej wojny. Odrzucali przemoc, a nawet deklarowali publicznie gotowość politycznego dialogu z reżimem, który by jej zapobiegł. Wyrażali wielokrotnie przekonanie, że we wspólnym interesie leży uniknięcie przemocy – represji ze strony władz i wybuchu społecznego, którego prawdopodobieństwo zwiększała fala strajków 1988 r. Koncepcję „porozumienia kryzysowego” między rządzącymi i ruchem Solidarności przedstawił wówczas w wywiadzie dla oficjalnego tygodnika Bronisław Geremek, jedna z czołowych postaci opozycji²⁴. Idea politycznego dialogu z władzami dla zapobieżenia politycznej przemocy nie była nowa. Nowe było przedstawienie w oficjalnej prasie żądań pluralizmu związkowego (czytaj: legalizacji Solidarności) i dopuszczenia opozycji do drugiej izby parlamentu.

Geremek zadeklarował jednocześnie gotowość uszanowania obowiązującego porządku prawnego, w tym „kierowniczej roli PZPR”, tzn. politycznej dominacji partii komunistycznej.

Okrągły Stół i upadek komunizmu

Rozmowom Okrągłego Stołu towarzyszyło podstawowe założenie, że PZPR zachowa kontrolę nad procesem politycznym dzięki ordynacji wyborczej – zapewniającej jej i dwóm stronnictwom satelickim 65-procentową większość w sejmie – i nadzorowi nad wyborami prezydenckimi. Opozycja wynegocjowała uznanie pluralizmu związkowego, czyli relegalizację Solidarności, częściowo wolne wybory (na 35 proc. miejsc) do sejmu i w pełni wolne wybory do senatu, ograniczony pluralizm informacji (jednak z utrzymaniem cenzury) i obietnicę w pełni wolnych wyborów po czterech latach.

Komunistyczne władze zdecydowały się na istotne, choć nadal ograniczone ustępstwa. Uruchoimiły jednak nieświadomie proces szybkiego rozpadu reżimu komunistycznego. Strategia „mniejszego zła”, z całym ryzykiem, z jakim się zawsze łączy, ujawniła swój rewolucyjny potencjał w sytuacji, gdy społeczeństwo okazało się gotowe pójść znacznie dalej, niż przewidywało formalne porozumienie między władzą komunistyczną i opozycją. Wybory 4 czerwca 1989 r. przyniosły rządzącym katastrofę. Wielu czołowych przedstawicieli *ancien régime* nie dostało się do parlamentu. Solidarność zdobyła wszystko, co mogła w ramach zawartego porozumienia. Co istotne, oba stronnictwa satelickie z dnia na dzień zmieniły orientację, szukając porozumienia z Solidarnością; mało tego, okazało się, że wielu nowo wybranych posłów PZPR nie tylko radzi sobie w warunkach demokracji, ale i dokonało demokratycznego zwrotu. Na mocy cichego porozumienia stron na prezydenta wybrano – przewagą jednego głosu – Wojciecha Jaruzelskiego²⁵. Nie zdołał on jednak doprowadzić do sformowania rządu komunistów. Pierwszym niekomunistycznym premierem w całym bloku wschodnim został Tadeusz Mazowiecki. W jego rządzie, złożonym z ludzi Solidarności i przedstawicieli dawnych stronnictw so-

²³ „Trybuna Ludu”, 14 VI 1988.

²⁴ „Konfrontacje” 1988, nr 2.

²⁵ Co ciekawe, Jaruzelski cieszył się poparciem nie tylko Gorbaczowa, ale także George’a Busha. Bush opisuje we wspomnieniach, jak starał się przekonać Jaruzelskiego, by kandydował na prezydenta. Dla obu stron był gwarancją stabilizacji i przewidywalności procesu politycznego (G. Bush, B. Scowcroft, *Świat przekształcony*, Warszawa 2000, s. 127).

jusznicych PZPR, znaleźli się dwaj generałowie, kontrolujący obronę narodową i sprawy wewnętrzne. Władza komunistów została symbolicznie zredukowana do swej istoty. Z dnia na dzień ich realne wpływy uległy redukcji. Po roku w rządzie nie było już komunistów.

Uwagi końcowe

Wybrany model transformacji od dyktatury do demokracji utrudnia sprecyzowanie decydującego momentu przemiany. Czy był to Okrągły Stół? Na poły wolne wybory 4 czerwca 1989 r.? Sformowanie we wrześniu rządu Tadeusza Mazowieckiego? Grudniowa nowelizacja konstytucji ustanawiająca rządy prawa, polityczny pluralizm, gospodarkę rynkową i przywracająca tradycyjną nazwę kraju – Rzeczpospolita Polska? Czy był to wybór w powszechnym głosowaniu Lecha Wałęsy na prezydenta? A może pierwsze w pełni wolne wybory parlamentarne w 1991 r.?

W wyniku Okrągłego Stołu w ciągu paru miesięcy system komunistyczny runął w gruzy. Jednak polska transformacja, która zapoczątkowała przemiany w całym bloku wschodnim, nie zakończyła się szybko. Mimo oczywistych związków między praktyką oporu społecznego, przyjętą strategią przemian i ich demokratycznymi, liberalnymi efektami do dziś ówczesni przywódcy Solidarności spotykają się z gwałtowną krytyką radykalnych kręgów opozycji sprzed 1989 r.²⁶ Demokratyczne elity lat 1989–2005 oskarżane są często o zbyt długie tolerowanie komunistycznej obecności na szczytach hierarchii społecznej, o legitymizowanie ich dominacji w gospodarce, mediach i tajnych służbach. Nie ma żadnych dowodów prawdziwości tych zarzutów. W minionych osiemnastu latach na marginesach ogromnego polskiego sukcesu pojawiały się różne negatywne zjawiska,

które trudno jednak przypisać nadmiernej tolerancji wobec postkomunistów. Ale emocjonalny klimat toczonych sporów i padające oskarżenia dowodzą, że model pokojowej transformacji przewidującej jakieś miejsce dla elit dawnego reżimu nie był i nie jest oczywistością dla wszystkich, w szczególności dla części elity politycznej.

Polski Okrągły Stół oddziałł potężnie na rozwój wydarzeń w całym postkomunistycznym świecie i poza nim. Był znakiem dla społeczeństw i elit tych krajów, że istnieje pokojowe wyjście z komunizmu. Przemiany w Polsce sprawiły, że również w pozostałych krajach Europy Środkowo-Wschodniej radykalnie zmieniły się wyobrażenia o obecnej tam równowadze sił. Uzmysłowały one wszystkim, że wojska radzieckie nie wspierają już miejscowych reżimów. Potwierdziła się zapowiedź Gorbaczowa nieingerencji w wewnętrzne sprawy innych krajów. Polskie negocjacje utorowały też w innych krajach drogę do porozumień umożliwiających legalizację opozycji, wolność prasy i stowarzyszeń, przeprowadzanie i wygrywanie wyborów oraz akceptację upokarzającej porażki przez ludzi dawnego ustroju. Wyobrażalne stało się formowanie rządów przez opozycję, a także utrzymanie bezpiecznej, a nawet uprzywilejowanej pozycji społecznej i ekonomicznej przez tych, którzy władzę utracili. Rok po utworzeniu w Polsce pierwszego niekomunistycznego rządu w niemal wszystkich krajach regionu odbyły się w tej czy innej formie wolne lub na poły wolne wybory. Komunistyczna przeszłość została daleko w tyle. Polskie przekształcenia przyczyniły się – na zasadzie efektu domina – do wielkich geopolitycznych przemian w Europie i na świecie, których symbolem stał się upadający mur berliński.

Thum. Sergiusz Kowalski

²⁶ Należał do nich prezydent Lech Kaczyński i były premier Jarosław Kaczyński, por. wystąpienie J. Kaczyńskiego w Heritage Foundation w Waszyngtonie 14 IX 2006 r.: *The Fall of Post-Communism: Transformation in Central and Eastern Europe*, <http://www.heritage.org/Press/TheFallofPostCommunism.cfm>.

Telefon Jacka Kuronia. KSS „KOR” wobec strajków latem 1980

ANDRZEJ FRISZKE

❖ prof. dr hab., historyk, profesor w Instytucie Studiów Politycznych PAN, wykładowca Collegium Civitas, członek redakcji „Więzi”, przewodniczący Stowarzyszenia „Archiwum Solidarności”, członek Rady Programowej publikacji *Opozycja w PRL. Słownik Biograficzny 1956–89*. W 1981 r. redaktor działu historycznego „Tygodnika Solidarność”, w latach 1999–2006 członek Kolegium Instytutu Pamięci Narodowej. Autor wielu prac z najnowszej historii Polski, m.in. *Opozycja polityczna w PRL 1945–1980* (1994), *Oaza na Kopernika. Klub Inteligencji Katolickiej 1956–1989* (1997), *Polska. Losy państwa i narodu 1939–1989* (2003), *Niepokorni. Rozmowy o Komitecie Obrony Robotników* (wspólnie z Andrzejem Paczkowskim, 2008), *Anatomia buntu. Kuroń, Modzelewski i komandosi* (2010); redaktor pracy zbiorowej (i autor artykułu w niej) *Solidarność podziemna 1981–1989* (2006).

4 lipca 1980 r. w mieszkaniu prof. Edwarda Lipińskiego spotkali się członkowie Komitetu Samoobrony Społecznej „KOR”. Jacek Kuroń przedstawił zebrane wiadomości o strajkach. Akcentował, że strajkuje 60 proc. załogi Zakładów Mechanicznych Ursus, 14 tys. robotników w Mielcu oraz trzy brygady na wydziale K-1 Stoczni Gdańskiej im. Lenina. Jak zapisano w streszczeniu esbeckiego podsłuchu, powiedział, iż podwyższając ceny, władze uruchomiły lawinę żądań płacowych i „teraz cała Polska dowie się za pośrednictwem prasy i radia oraz KOR-u, że władze zmuszone były wycofać się z podwyżek. Aktualna sytuacja zdaniem Kuronia stworzyła KOR-owi wielką szansę. Powinni wydać tekst oceniający całą sytuację, w którym wskażą drogi nacisku i metody organizowania się społeczeństwa”. Podczas dyskusji

prof. Lipiński powiedział, że przyznanie rekompensaty za podwyżkę cen mięsa jest nierealne, władze na to nie pójdą, gdyż uniemożliwiłoby to wyjście z kryzysu. Wzrost płac doprowadziłby do inflacji. Za obecną sytuację odpowiada rząd – mówił Lipiński – i KSS „KOR” nie powinien wskazywać dróg wyjścia z kryzysu. Komitet winien tylko stwierdzić, że obecna katastrofa gospodarcza wynika z wadliwego systemu.

W polemice z profesorem Kuroń mówił, że rząd PRL nie zamierza starać się o polepszenie bytu społeczeństwa ani naprawiać swych błędów, a jego obecne posunięcia prowadzą do jeszcze większej anarchii. Tylko całościowy program naprawy może uratować sytuację. „Kuroń popiera kierunek nacisku na władze o podwyżkę płac i rekompensatę, gdyż widzi w tym proces organizowania się robotników. Jeżeli ten proces będzie postępował, to na tym gruncie będzie można wysuwać jakiś program działania społecznego, program społecznej restytucji i wychodzący od dołu program naprawy. Tekst, który będzie opracowywał KOR, winien ujmować sprawę podwyżek cen, struktury cen łącznie z całym programem reformy” – informowali funkcjonariusze Służby Bezpieczeństwa.

Antoni Macierewicz wystąpił jeszcze ostrzej: „KSS »KOR« winien eksponować te elementy, które uzasadniają żądane podwyżki. Dyskusja na ten temat winna toczyć się w pewnych zagwarantowanych ramach. Jest to sprawa zgromadzeń, stowarzyszeń, działalności politycznej”. Piotr Naimski dodał, że oświadczenie KSS „KOR” powinno zawierać ostrą krytykę obecnego systemu i żądanie rozpisania elementów programu naprawy przeprowadzanej w konkretnym czasie, co umożli-

liwiałyby kontrolę jej realizacji. Ustalono, że projekt oświadczenia opracują Macierewicz i Naimski¹.

W esbeckim meldunku z 4 lipca pisano, że mieszkanie Kuronia „podobnie jak zawsze w tego typu sytuacjach stanowiło punkt, do którego przekazywano informacje, przetwarzano, a następnie przekazywano korespondentom oraz Eugeniuszowi Smolarowi. Jacek Kuroń cały czas »dyżurował« w swoim mieszkaniu, próbując uzyskać dodatkowe dane i szczegóły na temat przerw w pracy”. Z Gdańska informował głównie Andrzej Gwiazda, z Łodzi Józef Śreniowski, z Ursusa Zbigniew Bujak. Rozwojem wydarzeń „niezwykle aktywnie” interesowali się dziennikarze zagraniczni, którzy telefonowali po kilka razy dziennie w nadziei na uzyskanie nowych wiadomości. Kuroń był podenerwowany niedostatkiem wieści z Ursusa. Powiedział Janowi Józefowi Lipskiemu: „jeżeli KSS »KOR« nie ma informacji o sytuacji w ZM Ursus, to się kompromituje w oczach korespondentów”².

Władze nie panują nad tym, co się dzieje i nie mają siły, by wprowadzić swoje decyzje, a drogą rozwiązania kryzysu może być tylko szeroka reforma społeczno-gospodarcza – mówił 7 lipca zachodnim dziennikarcom. Opozycja winna wykorzystać falę strajkową do zorganizowania społeczeństwa, które zmusi władze do przeprowadzenia reform. „Zadaniem bliższym jest uczynienie komisji robotniczych w ZM Ursus ogólnozakładowymi i obronienie ich. [...] Jeśli uda się utworzyć ogólnozakładową komisję, która będzie walczyć o dodatek drożyzniani i wygra tę walkę bądź też tylko nie pozwoli się rozbić, będzie to jednym z większych wydarzeń w PRL. W ten sposób powstaną wolne związki zawodowe. Gdy okaże się, że organizacja robotników zostanie rozbita, to będą czekać na następną okazję”³.

W oświadczeniu KSS „KOR” z 11 lipca zebrano wszystkie wiadomości o strajkach. Za trwający kryzys ekonomiczny obwiniono politykę PZPR i stwierdzono, że konieczne jest podjęcie energicznych działań, by ratować kraj przed katastrofą. Program reformy ekonomicznej powinien wyłonić się w wyniku ogólnospołecznej dyskusji. „Władze muszą zrozumieć, że nie unikną pertraktacji ze społeczeństwem, od władz jed-

nak w dużym stopniu zależy, czy pertraktacje te będą odbywać się w spokoju, czy też w atmosferze zaostrzającej się walki”. Komitet domagał się przywrócenia podstawowych praw obywatelskich. „Należy umożliwić zebraniom pracowniczym powoływanie komisji robotniczych, komisji pracowniczych, niezależnych związków zawodowych i innych przedstawicielstw, które zdolne będą bronić interesów pracowników. Należy umożliwić organizowanie się obywateli do walki o swoje prawa oraz wysuwanie i przeprowadzanie inicjatyw mających na celu dobro społeczeństwa”. Trzeba zmienić ustawę o zgromadzeniach i stowarzyszeniach, ustawowo uznać prawo do strajku. „W interesie ogólnospołecznym należy znieść cenzurę prewencyjną i wprowadzić ustawę prasową, precyzującą sposób obrony tajemnicy wojskowej i dobro osób prywatnych”. Należy zaprzestać represji wobec osób zajmujących się niezależną działalnością społeczną i polityczną, ograniczyć kompetencje milicji i SB, przywrócić niezawisłość sądów, zwolnić więźniów politycznych⁴.

11 lipca przed południem Kuroń dostał wiadomość, że zastrajkowała cała warszawska Fabryka Samochodów Osobowych, robotnicy domagają się wzrostu płac oraz cofnięcia podwyżki cen, trwają rozmowy z dyrekcją⁵. Napływające z zakładów od nieznanym mu osób informacje starał się potwierdzić przy pomocy współpracowników KSS „KOR”, zaleźnie od tego, gdzie kto miał znajomych lub kontakty. W zbieranie i sprawdzanie informacji włączyli się m.in. Lipski, Witold Łuczywo, Henryk Wujec i Wojciech Onyszkiewicz. Ten ostatni 11 lipca przebywał w Lublinie i przekazał wiadomość o przerwie w pracy w zakładach Agromet, a ponadto niesprawdzone informacje o strajkach w Wytwórni Sprzętu Komunikacyjnego w Świdniku i zakładach browarskich w Leżajsku. Wieczorem Witold Łuczywo podał wiadomości o strajkach w Zakładach im. Róży Luksemburg i Zakładach im. Karola Świerczewskiego w Warszawie, a także w Żyrardowie. Nazajutrz jeden z pracowników FSO informował o przebiegu protestu w tym zakładzie. „Z przebiegu przekazywanych informacji do J[acka] Kuronia wynika – notował oficer SB – że udało mu się zakty-

¹ Archiwum Instytutu Pamięci Narodowej (AIPN), 0204/1405, t. 18, k. 160, Meldunek operacyjny, 5 VII 1980 r.

² AIPN, 0204/1417, t. 39, k. 12–13, Meldunek operacyjny, 4 VII 1980 r.

³ AIPN, 0204/1417, t. 39, k. 18–20, Meldunek operacyjny, 9 VII 1980 r.

⁴ Dokumenty Komitetu Obrony Robotników i Komitetu Samoobrony Społecznej „KOR”, wstęp i oprac. A. Jastrzębski, Warszawa – Londyn 1994, s. 548–551.

⁵ AIPN, 0204/1417, t. 39, k. 30, Meldunek operacyjny, 11 VII 1980 r.

wizować szereg osób do zbierania danych o przerwach w pracy”⁶. Owymi osobami – jak wynika z dalszych meldunków SB opartych zapewne na podsłuchu telefonicznym – byli także Jacek Kubiak z Poznania, Jan Lityński, Seweryn Blumsztajn i Dariusz Kupiecki z Warszawy.

Informacje o przebiegu strajków Kuroń przekazywał w codziennych rozmowach z Eugeniuszem Smolarem, pracującym w BBC w Londynie. Usłyszał od niego: „w kręgach dziennikarskich na Zachodzie rozpowszechniana jest opinia, że KSS »KOR«, a personalnie J[acek] Kuroń jest wiarygodnym źródłem informacji o sytuacji w zakładach pracy”. Kuroń zastrzegł jednak, że „można w tych informacjach popełnić błąd, gdyż napływa do niego bardzo dużo faktów i praktycznie tylko on sam nad nimi pracuje”⁷.

W rozmowie z Florą Levis z „New York Times” ocenił, że władze nie mają żadnego planu wyjścia z kryzysu. „Kierunek oszczędnościowy ogłoszony na sesji sejmowej upadł w wyniku strajków. Natomiast dla robotników była to lekcja, że można strajkować bezkarnie i wygrać podwyżkę płac”. Już drugiego dnia strajku w Ursusie KSS „KOR” zaproponował, aby robotnicy żądali dodatku drożyznianego. Zdawano sobie sprawę, że inflacja i tak pochłonie podwyżkę płac. „Mimo to jest to hasło organizujące robotników do pertraktacji z władzami”. Pytany o postawę Zachodu Kuroń powiedział, że powinien on dążyć do odprężenia, gdyż ułatwia to działanie opozycji. Za pomoc ekonomiczną należy jednak żądać więcej w sprawach politycznych. „Ocenił, że Zachód w swej polityce w stosunku do Związku Radzieckiego jest za skromny i zbyt nieśmiały”⁸.

O strajku w Lublinie Kuroń dowiedział się 17 lipca od korespondenta Reutera. Wiadomość potwierdził u mieszkającej w Lublinie Anny Samolińskiej i dopiero wówczas przekazał ją do Smolara, do Londynu⁹. Kulminację strajk lubelski osiągnął następnego dnia, objął m.in. komunikację miejską. Strajkowało około 18 tys. osób¹⁰. Przywódcy strajku w lokomotywni lubelskiej

– Czesław Niezgoda i Zdzisław Szpakowski – utrzymywali kontakt z Wojciechem Onyszkiewiczem i czytali „Robotnika”¹¹. Niemniej dotarcie do członków komitetów strajkowych było niełatwe. „Strajkujący niewątpliwie obawiali się ewentualnych prowokacji ze strony SB, dlatego z dużą nieufnością traktowali osoby wypytujące o sytuację w zakładzie” – pisze Małgorzata Choma-Jusińska. Najwięcej zaufania budziły kobiety, toteż pod bramami lubelskich zakładów pojawiały się m.in. Agnieszka Lipska-Onyszkiewicz, Anna Samolińska, Małgorzata Tomczak, Małgorzata Żurawska¹². O tych realiach trzeba pamiętać, by rozumieć, jak trudne było zbieranie informacji o strajkach i wzięcie odpowiedzialności za to, co następnie ukazywało się w światowej prasie, a na falach Radia Wolna Europa docierało do Polski i budowało wiedzę o ruchu strajkowym. Kuroń przekazał informacje o lubelskim strajku korespondentom UPI, ANSA, AFP, AP, DPA i „Financial Times”¹³. Istotną pomyłką mogła grozić kompromitacją w środowisku, które strajkowało, prowadzić do utraty wiarygodności KSS „KOR”, a także skłonić Radio Wolna Europa i BBC do większej powściągliwości w podawaniu tych informacji.

18 lipca w lubelskim radiu podano, przerywając program, komunikat z posiedzenia Biura Politycznego KC PZPR, wyrażający „głębokie zaniepokojenie przestojami w zakładach produkcyjnych i komunalnych oraz w lubelskim węźle kolejowym”. Kluczowe słowa komunikatu brzmiały: „Sytuacja ta [...] narusza zaufanie do Polski u jej partnerów i może budzić niepokój jej przyjaciół”. Była to czytelna sugestia o zaniepokojeniu „towarzyszy radzieckich” i przypomnienie, że sprawy w Polsce nie są wyłącznie sprawami jej obywateli. Poinformowano też o powołaniu specjalnej komisji z wicepremierem Mieczysławem Jagielskim, która „po podjęciu przez zakłady normalnej pracy rozpatrzy wnikliwie zgłoszone postulaty, a następnie przedstawi je rządowi PRL”¹⁴. W wielu zakładach strajki zaczęły się kończyć w ciągu soboty 19 lipca.

⁶ AIPN, 0204/1417, t. 39, k. 35–36, Meldunek operacyjny, 12 VII 1980 r.

⁷ AIPN, 0204/1417, t. 39, k. 42, Meldunek operacyjny, 14 VII 1980 r.

⁸ AIPN, 0204/1417, t. 39, k. 53–54, Meldunek operacyjny, 17 VII 1980 r.

⁹ AIPN, 0204/1417, t. 39, k. 56, Meldunek informacyjny, 17 VII 1980 r.

¹⁰ M. Dąbrowski, *Lubelski lipiec 1980*, Lublin 2000, s. 123–129.

¹¹ M. Choma-Jusińska, *Środowiska opozycyjne na Lubelszczyźnie 1975–1980*, Warszawa – Lublin 2009, s. 386.

¹² *Ibidem*, s. 389.

¹³ AIPN, 0204/1417, t. 39, k. 62, Meldunek operacyjny, 19 VII 1980 r.

¹⁴ M. Dąbrowski, *Lubelski lipiec...*, s. 137–138.

Następnego dnia wieczorem Kuroń polecił Onyszkiewiczowi, by odwiedził leżącego w szpitalu Zdzisława Szpakowskiego i wyjaśnił, czy nie został pobity¹⁵. Onyszkiewicz był jednak tak obstawiony przez milicję, że nic nie mógł zrobić i zdecydował się ukryć na kilka dni. Do Lublina pojechał więc Wujec¹⁶. Okazało się, że Szpakowski doznał ataku serca, niemniej nagrał na magnetofon wypowiedź o przebiegu strajku, którą do Warszawy przywiózł Włodzimierz Filipek. 22 lipca na zorganizowanej w swym mieszkaniu konferencji prasowej Kuroń odtworzył z magnetofonu wypowiedź Szpakowskiego¹⁷. Następnego dnia otrzymał taśmę z drugą częścią relacji – o organizowaniu się komisji robotniczych w czasie strajku i powołaniu wspólnej komisji dla wszystkich zakładów Lublina¹⁸.

Do Chełma udał się na prośbę Kuronia Paweł Nowacki. 21 lipca zawiadomił o strajku w tamtejszym Transbudzie¹⁹. Wspomina, że powtórnie pojechał do Chełma nazajutrz, w święto 22 lipca, i dowiedział się, że ktoś zalał farbą pomnik braterstwa broni z Armią Radziecką. „Jeśli widziałem w lipcu '80 jakąkolwiek radość i satysfakcję ludzi, to było właśnie wtedy” – opowiada. I dodaje, że Kuroń nie chciał przekazać tej wiadomości do RWE. Doszło do ostrej wymiany zdań – Kuroń uznał obalenie pomnika za antyradziecką prowokację²⁰.

W komunikatach z podsłuchu nie ma wzmianki o takiej rozmowie, ale mogła się ona odbyć poza mieszkaniem. Istotnie, Kuroń oceniał, że antysowieckie wystąpienia czy incydenty są niebezpieczne. Mogą grozić wzmiesaniem się ZSRR – choćby za pośrednictwem ściśle związanych z nim ogniw władzy – do konfliktu w Polsce. Należało według niego jak najdłużej utrzymać formułę ruchu rewindykacyjnego, podnoszącego wyłącznie wewnętrzne sprawy. W rozmowie z dziennikarzem szwedzkim mówił 17 lipca: „ZSRR nie pragnie, aby w naszym kraju doszło do groźniejszych wystąpień, a więc musi zgodzić się na reformy”²¹.

Zebranie i weryfikowanie informacji byłoby niemożliwe, gdyby nie to, że od kilku lat było wiadomo, że telefon Jacka Kuronia jest centrum informacyjnym opozycji. Wcześniej odbierano głównie wiadomości o zatrzymaniach i rewizjach, teraz o strajkach. Przez lata Kuroń zyskał autorytet. Zbudował wokół siebie środowisko ludzi, którym w tym kryzysowym momencie mógł polecić, żeby natychmiast przerwali swoje normalne zajęcia, gdzieś pojechali lub zasiedli do telefonu i sprawdzali jakąś wiadomość za pośrednictwem dalekich znajomych. Mógł na tych osobach polegać, wiedząc, że zleconą pracę wykonają możliwie najdokładniej. Rutyna korowskiej działalności i sposób redagowania informacji świeciły swoje triumfy: liczyły się konkrety, ścisłość, umiejętność oddzielenia rzeczy pewnych od przypuszczeń czy plotek.

W ostatniej dekadzie lipca Kuroń oceniał, że władzom uda się na pewien czas powstrzymać strajki, tyle że polityką „palenia lasu, aby powstrzymać pożar lasu”, czyli – jak należało rozumieć – dalszego upadku gospodarki. Korespondentom zagranicznym mówił, że przyjdzie druga fala strajków. Wówczas będą dwa wyjścia: „władze wyjdą z dużym programem reform” albo „na fali strajków KSS »KOR« utworzy organizację robotniczą i narzuci ją krajowi”²². W rozmowie z dziennikarką „Der Spiegel” 25 lipca oceniał, że spokojny przebieg strajków jest efektem działalności opozycji (zwłaszcza wpływu „Robotnika”), doświadczeń z poprzednich wystąpień społecznych, kiedy ginęli ludzie, a także postawy władz, które nie zdecydowały się na konfrontację. Podnoszenie płac jest drogą donikąd – jedynie przyspiesza inflację. Wyjściem jest szybkie zorganizowanie się robotników, przejście z fazy rewindykacji ekonomicznych do rewindykacji politycznych, ogłoszenie przez władze programu głębokiej reformy gospodarczej i demokratyzacji. Tylko pod tym warunkiem społeczeństwo może się zdobyć na wyrzeczenia²³. „KSS »KOR« zorganizował dopływ

¹⁵ AIPN, 0204/1417, t. 39, k. 69, Meldunek operacyjny, 23 VII 1980 r.

¹⁶ Relacja W. Onyszkiewicza udzielona autorowi 5 XI 2010 r.

¹⁷ AIPN, 0204/1417, t. 39, k. 69, Meldunek operacyjny, 23 VII 1980 r.

¹⁸ AIPN, 0204/1417, t. 39, k. 72, Meldunek operacyjny, 24 VII 1980 r.

¹⁹ AIPN, 0204/1417, t. 39, k. 68, Meldunek operacyjny, 23 VII 1980 r.

²⁰ M. Choma-Jusińska, *Środowiska opozycyjne na Lubelszczyźnie...*, s. 390.

²¹ AIPN, 0204/1417, t. 39, k. 60, Meldunek operacyjny, 19 VII 1980 r.

²² AIPN, 0204/1417, t. 39, k. 74–75, Meldunek operacyjny, 25 VII 1980 r.

²³ AIPN, 0204/1417, t. 39, k. 84–85, Meldunek operacyjny, 28 VII 1980 r.

informacji o strajkach do radia (RWE) i korespondentów zagranicznych, co miało duże znaczenie psychologiczne dla strajkujących – streszczano podsłuchy z następnego dnia. – Posiadanie przez nich wiadomości o przerwach w pracy nie pozwalało władzy na skuteczne przeciwdziałanie. W aktualnej sytuacji robotnicy nie muszą wychodzić na ulicę, aby o strajku dowiedział się świat”²⁴.

„Zakładaj komitety, zamiast podpałać”

Podsumowaniem doświadczeń lipcowych strajków był artykuł *Ostry zakręt* w „Biuletynie Informacyjnym”. „Po raz czwarty w najnowszej historii Polski robotnicy wystąpili jako siła zdolna złamać partyjno-państwowy monopol decyzji – pisał Kuroń. – Natomiast po raz pierwszy nie doszło do ulicznych demonstracji, starć z milicją czy wojskiem, palenia partyjnych komitetów. Robotnicy strajkują, wysuwają żądania, często powołują komitety strajkowe lub komisje robotnicze. Władza ustępuje i jeden strajk się kończy, a zaczyna następny. Jest to forma protestu zgodna z hasłem często powtarzanym w środowisku KSS »KOR«: zakładaj komitety, zamiast podpałać”. Strajki stanowią „pierwszy krok do organizowania się w niezależne od państwa związki zawodowe”. Istnienie opozycji demokratycznej wspomaga ruch robotniczy. „Dzięki nam o przebiegu strajków dowiaduje się całe społeczeństwo. Doświadczenia jednych załóg stają się wskazówką i nauką dla innych”.

Kuroń oceniał, że władze nie zdobędą się na ryzyko demokratyzacji. „Jestem natomiast przekonany – pisał – że społeczeństwo polskie może wkroczyć z powodzeniem na drogę demokracji i przezwyciężenia kryzysu – wbrew władzy. Inicjatorem tego ruchu musi być opozycja”. Ma ona pewne wpływy wśród robotników, a może je obecnie po wielokroć zwiększyć, gdyż istnieje „olbrzymie zapotrzebowanie na naszą pomoc, informacje, sugestie programowe, ekspertyzy. Mamy obowiązek działać w taki sposób, aby załogi organizowały się w niezależne od władz instytucje: komisje robotnicze, wolne związki zawodowe, czy też – jak zapewne zrobią to w najbliższym czasie kolejarze lubelscy – aby oparowały one państwowe związki zawodowe poprzez wybory do rad zakładowych”. Niezależnie od tego lub pod naciskiem zorganizowanego ruchu władze zdobędą się

na program reform gospodarczych, z taką propozycją – reformy ekonomicznej jako części szerokiego programu demokratyzacji – musi wyjść opozycja demokratyczna. „Zasadniczym jednak zadaniem opozycji demokratycznej jest przekształcenie rewindykacji ekonomicznych w polityczne”.

„Związek Radziecki i jego armia wciąż jeszcze istnieją. Musimy się z tym faktem liczyć. Możemy jednak założyć, że władcy ZSRR nie odważą się na zbrojną interwencję w Polsce, dopóki Polacy nie zaczną obalać narzuconej im przez »przyjaciół« władzy. Nie powinniśmy więc na razie tego robić. Program na dziś to społeczeństwo demokratycznie zorganizowane w organizacjach zawodowych, konsumenckich, twórczych, w samorządzie gospodarczym, lokalnym, spółdzielczości i tym podobnych. Będziemy musieli przez jakiś czas – być może niemały – współistnieć z totalitarnym aparatem partyjno-państwowym. Aparat ten będzie usiłował zniszczyć demokratyczne instytucje: utrudnić im działanie, sabotować decyzje, kompromitować i korumpować działaczy, straszyć i szantażować społeczeństwo. Będziemy musieli się bronić i jednocześnie krok po kroku ograniczać dziedziny życia społecznego podporządkowane aparatowi partyjno-państwowemu. Innymi słowy: z każdym tygodniem coraz więcej zadań będą musiały podejmować samorządy. Może nam się to udać, jeśli okażemy się dość silni aktywnością całego społeczeństwa. Oto i nasz zakręt. Łatwo może się okazać, że jest dla nas zbyt ostry. Czasu mamy bardzo mało. Jeżeli społeczeństwo polskie nie zorganizuje się i ograniczy się tylko do rewindykacji ekonomicznych – katastrofa może być nieunikniona”²⁵.

Artykuł Kurońa można uznać za profetyczny. Choć nie przewidywał jednego wielkiego związku zawodowego, ale wiele różnych form organizowania się, to zawierał wszystkie kluczowe elementy rodzącego się ruchu: współdziałanie robotników z inteligencją, połączenie reformy ekonomicznej z demokratyzacją, samoograniczenie rewolucji (choć termin ten nie padał) z uwagi na zagrożenie sowiecką interwencją, walka aparatu partyjno-państwowego z rodzącym się ruchem społeczeństwa, które jednak – wobec samoograniczenia postulatów – może nie przybrać formy gwałtownej

²⁴ AIPN, 0204/1417, t. 39, k. 88–89, Meldunek operacyjny, 30 VII 1980 r.

²⁵ J. Kuroń, *Ostry zakręt*, [w:] *idem, Polityka i odpowiedzialność*, Londyn 1984, s. 151–156.

konfrontacji. W zakończeniu artykułu Kuroń dawał do zrozumienia, że tylko „na razie” będziemy akceptować dyktaturę partii i zależność od ZSRR. Zapowiadał, że powstający ruch w przyszłości zmierza do obalenia systemu. Jeśli dziś tego nie czyni, to tylko dlatego, że opozycja świadoma jest potęgi ZSRR i groźby interwencji. Rysując wizję odbudowania samorządności społeczeństwa i zmuszenia władz do pertraktacji z jego zorganizowanymi reprezentacjami, co już samo przez się było zmianą systemu, jako alternatywę widział niekontrolowane wystąpienie, czyli katastrofę. Taką katastrofę, która pograży również rządzących. Tego ostatniego nie musiał dopowiadać.

W tym samym, lipcowym numerze „Biuletynu Informacyjnego” opublikowano szczegółowe kalendarium strajków, rozmowę ze Zdzisławem Szpakowskim o strajku lubelskich kolejarzy, artykuł Józefa Kuśmierka o manipulacjach oficjalnej propagandy, relację o strajku w Ursusie oraz artykuł Waldemara Kuczyńskiego *Czas na prawdę i program*, zawierający analizę kryzysu ekonomicznego. Przedrukowano również ulotkę wydaną przez „Robotnika” pod tytułem *Jak strajkować*. Był to niezwykle ważny tekst, miał charakter instrukcji. Przed podjęciem decyzji o strajku należy zastanowić się, jakie postawić żądania. Dotychczas najczęściej są to żądania podwyżki. Należy domagać się konkretnej sumy, a nie procent od pensji, gdyż wówczas korzystają najbardziej ci, którzy dużo zarabiają. „Do postulatów koniecznie dołączyć trzeba żądanie, by dyrekcja zobowiązała się na piśmie, że nikt nie będzie represjonowany za uczestnictwo w rozmowach i udział w strajku”. Grupa ludzi, którzy zdecydowali się na działanie, powinna spisać postulaty i przejść z nimi po wszystkich stanowiskach pracy. Gdy załoga będzie zgodna, że trzeba wystąpić wobec dyrekcji, każda brygada czy dział wybiera swego delegata. Tak wyłoniona delegacja idzie do dyrektora ze spisanyimi postulatami i grozi strajkiem, jeśli kierownictwo odmawia ustępstw i rozmów. Jeśli dyrekcja nie zgodzi się na ustępstwa, delegacja przemianowuje się na komitet strajkowy, a załoga przerywa pracę. „Strajk trwa aż do spełnienia żądań. Pracownicy regularnie przychodzą do zakładu, lecz nie podejmują pracy. Całą załogę w tym

czasie reprezentuje Komitet Strajkowy. Musi on dbać o porządek w zakładzie, nie dopuszczać do wybryków chuligańskich i picia alkoholu”. W końcu władze będą zmuszone do rozmów. Zwykle strajkujący idą na pewne ustępstwa i ograniczają niektóre żądania. „W wyniku pertraktacji z Komitetem Strajkowym ustala się listę przyjętych przez władzę postulatów i terminy ich realizacji. Wszystko to musi być spisane i przedstawione załodze”. Po strajku komitet strajkowy przekształca się w Komisję Robotniczą, która dba, by przyrzeczenia zostały dotrzymane. W wypadku ich niedotrzymania lub represji komisja występuje z protestem, a nawet grozi kolejnym strajkiem²⁶.

W „Robotniku” opublikowanym z datą 22 lipca także zamieszczono kalendarium strajków, ale największą część numeru wypełniał artykuł redakcyjny *Lipiec '80*, podsumowujący dotychczasowe strajki. „Naturalnym dążeniem robotników, jak wykazuje analiza dojrzałych strajków, jest stworzenie własnej, niezależnej od władzy organizacji związkowej. Wszędzie tam, gdzie ludziom udaje się przełamać obawę przed niezależnym działaniem, winny podczas lub po strajku powstać Komisje Robotnicze lub grupy wolnych związków zawodowych, w zależności od sytuacji mniej lub bardziej jawne. Inspirując konkretne działania i żądania, a jeśli to możliwe i potrzebne, stopniowo przejmując Rady Oddziałowe i Zakładowe, Komisje Robotnicze mogłyby w przyszłości stać się bazą dla tworzenia wolnych związków zawodowych”²⁷.

Informacje o kolejnych protestach Kuroń przekazywał codziennie Eugeniuszowi Smolarowi, ale były to wiadomości o pojedynczych strajkach w różnych miastach. Fala strajkowa wyraźnie opadała. Powiadomił też Smolara o represjach, które dotknęły współpracowników KSS „KOR” w Gdańsku – Annę Walentynowicz i Lecha Wałęsę²⁸. Spotykał się z dziennikarzami zagranicznymi. Na pytanie korespondenta „Daily Telegraph”, czy członkowie KOR organizowali strajki, Kuroń zaprzeczył. „Natomiast ich rola ograniczała się do informowania o przestojach i do ewentualnej pomocy wyrażającej się w podsuwaniu pomysłów, postulatów itp. Jako przykład podał postulat o dodatku drożyznianym”. Pytany, czy

²⁶ „Biuletyn Informacyjny” nr 5 (39), lipiec 1980 r. Zamieszczono też oświadczenia KSS „KOR” z 2 i 11 lipca oraz z 4 lipca o wyroku na Marka Kozłowskiego.

²⁷ Redakcja, *Lipiec 80*, „Robotnik” nr 58, 22 VII 1980 r.

²⁸ AIPN, 0204/1417, t. 39, k. 106–110, Meldunek operacyjny, 5 VIII 1980 r.

nie obawia się represji, odpowiedział, że władze zastanawiają się nad ich formą, ale są bezsilne. W istniejącej sytuacji będzie coraz trudniej represjonować KSS „KOR”. Dodał, że w przypadku aresztowań liczy na poparcie robotników²⁹.

Wypowiedzi te, jak często u Kuronia, podawane ze swadą, ale nieraz chaotycznie, bywały powodem nieporozumień, zwłaszcza gdy zapisywali je dziennikarze nieznający ani jego stylu, ani polskich realiów. Smolar ocenił wywiad dla „Daily Telegraph” jako skandal, gdyż zawierał wypowiedzi „przepojone pychą”, a wiele zastrug Kuroń przypisał sobie, m.in. wydawanie „Robotnika”. Smolar zaniepokojony był także streszczeniem w „Guardianie” wywiadu Kuronia, który ukazał się w „Spieglu”. Ze streszczenia wynikało bowiem, że Kuroń przeciwny jest podwyżkom płac dla robotników³⁰. Wyprostowaniem tych niezgrabności zajmowali się na Zachodzie Eugeniusz i Aleksander Smolarowie, w kraju zaś zwłaszcza Adam Michnik, u którego „Spiegel” zamówił artykuł na temat Gierka i obecnego kryzysu.

5 sierpnia Kuroń wyjechał na parę dni na urlop do Kruczego Borku w województwie ostrołęckim. Do Warszawy przyjechał już 8 sierpnia, by wziąć udział w spotkaniu KSS „KOR”. Udzielił też wywiadu dla niemieckiego tygodnika „Stern” (powstające po strajkach komisje robotnicze uznał za załączek niezależnych związków zawodowych), po czym znów wyjechał. Zbieraniem napływających informacji i przekazywaniem ich zachodnim korespondentom oraz Smolarowi zajmował się Józef Śreniowski, dyżurujący przy telefonie, a także Anna Bazel³¹.

Do Warszawy wrócił 12 sierpnia i ponownie zajął się zbieraniem informacji. W rozmowach z Anną Bazel, Andrzejem Celińskim i Ewą Milewicz twierdził, że dotychczasowy przebieg strajków ośmiela ludzi do śrubowania

żądań i wysuwania nowych. Strajki się nie zakończą, ale przybiorą na sile jesienią³².

Gorący sierpień

12 sierpnia zadzwonił do Kuronia Andrzej Gwiazda z wiadomością o kolportażu w Trójmieście ulotek zapowiadających strajk powszechny na 18 sierpnia. Nie potrafił powiedzieć, kto je rozpowszechnia. „Kuroń przewiduje, że strajki muszą objąć również stocznie i w związku z tym należy uzgodnić w tej sytuacji postępowanie środowiska gdańskiego” – streszczał podsluchujący rozmowę esbek³³.

Gwiazda nie znał szczegółów przygotowań do strajku, który organizował Bogdan Borusewicz. Działal on w ścisłej konspiracji, informował tylko przewidywanych wykonawców poszczególnych zamierzeń, co mają robić. Strajk w Stoczni Gdańskiej miało zacząć 14 sierpnia rano trzech młodych robotników. Borusewicz ich wybrał i omawiał z nimi szczegóły. Rozmawiał też z Lechem Wałęsą, który miał się pojawić w stoczni krótko po rozpoczęciu akcji i stanąć na czele komitetu strajkowego³⁴. Borusewicz nie wtajemniczył nikogo postronnego. Nie dzwonił też oczywiście do Kuronia.

Kiedy 14 sierpnia zaczął się strajk w Stoczni Gdańskiej, o jego wybuchu próbowała zawiadomić Kuronia Anna Walentynowicz, ale jej się nie udało³⁵. Kuroń dowiedział się tego dnia przed południem od Aliny Pieńkowskiej, związanej z Wolnymi Związkami Zawodowymi Wybrzeża stoczniowej pielęgniarki. „Alinka mówiła, co widzi przez okno, strajk się zaczynał” – wspomina Helena Łuczywo, która była wtedy u Kuronia³⁶. W korowskim „dzienniku pokładowym” jest kilka notatek dotyczących pierwszego dnia strajku. Były to wiadomości krótkie, ogólne, dość chaotyczne, ale wskazujące na to, że prawdziwy strajk istotnie się rozpoczął. „Zastrajko-

²⁹ AIPN, 0204/1417, t. 39, k. 113–114, Meldunek operacyjny, 6 VIII 1980 r.

³⁰ AIPN, 0204/1417, t. 39, k. 116, Meldunek operacyjny, 7 VIII 1980 r.

³¹ AIPN, 0204/1417, t. 39, k. 127, Meldunek operacyjny, 12 VIII 1980 r.

³² AIPN, 0204/1417, t. 39, k. 137, 140–141, Meldunki operacyjne, 14 VIII 1980 r.

³³ AIPN, 0204/1417, t. 39, k. 141, Meldunek operacyjny, 14 VIII 1980 r.

³⁴ E. Szcześniak, *Borusewicz. Jak runął mur*, Warszawa 2005, s. 118–122; J. Jankowska, *Portrety niedokończzone. Rozmowy z twórcami „Solidarności” 1980–1981*, Warszawa 2003, s. 62–64; *Człowiek rodzi się i żyje wolnym*, zapisał K. Wyszowski, „Tygodnik Solidarność” nr 20, 14 VIII 1981 r.; T. Potkaj, *Trzej ze Stoczni*, „Tygodnik Powszechny”, 4 IX 2005 r.; *Narodziny Solidarności. Opowieść o polskim Sierpniu*, dodatek do „Gazety Wyborczej”, Warszawa 2005; M. Wąs, M. Sterlingow, *Stocznia w naszych rękach*, [w:] *Zaczęło się w Gdańsku*, dodatek do „Gazety Wyborczej”, 21 VI 2005 r.; S. Cenckiewicz, *Anna Solidarność. Życie i działalność Anny Walentynowicz na tle epoki (1929–2010)*, Poznań 2010, s. 100–111. Ulotka i pierwsza lista postulatów w: *Zapis wydarzeń. Gdańsk – Sierpień 1980. Dokumenty*, oprac. A. Drzycimski, T. Skutnik, Warszawa 1999, s. 3–4, 9.

³⁵ S. Cenckiewicz, *Anna Solidarność...*, s. 112.

³⁶ List H. Łuczywo do autora, 4 XI 2010 r.; J. Jankowska, *Portrety...*, s. 64 (wywiad z B. Borusewiczem).

wał wydz[iał] K-1 i K-3 w Stoczni Gdańskiej w obronie zwolnionej Anny Walentynowicz. Poszli z transparentami przed dyrekcję”. Poniżej: „Wyd[ział] S dołączył. Podwyżki lub dodatku drożyznianego”. W kolejnym zapisie odnotowano wiadomość sprzed godz. 16 i główne postulaty: „rozwiązać zw[iązki] zawodowe i utworzyć wolne zw[iązki] zawodowe. Komisja Robotn[icza] z p. Walentynowicz pertraktuje z dyrekcją, godz. 16.00, rozmowy transmitowane przez głoś[nik]. Strajk okupacyjny I i II zmiany”. I następna notatka: „II tura rozmów od 18.00”³⁷.

Zapis podsłuchu telefonicznego obejmuje 14 i 15 sierpnia, kiedy „Jacek Kuroń otrzymywał sukcesywnie kolejne informacje od Aliny Pieńkowskiej i Andrzeja Gwiazdy o rozwoju sytuacji strajkowej w Gdańsku.

1.1. Według tych danych aktualnie trwa strajk okupacyjny w Stoczni Gdańskiej, Stoczni Północnej, Stoczni Remontowej, Elmorze i MPK oraz w zakładach Technet w Pruszczu Gdańskim.

1.2. Lista żądań poszczególnych załóg sprowadza się do następujących postulatów:

- a) lepszego zaopatrzenia sklepów w art[ykuły] żywnościowe;
- b) zlikwidowania sklepów komercyjnych;
- c) podwyższenie płac do 2000 złotych;
- d) zbudowanie pomnika przy bramie nr 2 Stoczni Gdańskiej;
- e) podwyższenie zasiłków rodzinnych do wysokości, jaką otrzymuje MO i SB;
- f) przywrócenie do pracy L[echa] Wałęsy, A[ndrzeja] Kołodziejy i A[nny] Walentynowicz;
- g) podwyższenie emerytur;
- h) rozwiązanie rady zakładowej i wybór nowej;
- i) rozwiązanie związków zawodowych i wprowadzenie »wolnych związków zawodowych«;
- j) zwolnienie z zakładów karnych więźniów politycznych;
- k) podanie do publicznej wiadomości ich żądań.

Dyrekcja zgodziła się załatwić większość postulatów, chociaż pertraktacje załogi z władzami nadal trwają. M.in. uzyskano zgodę na przywrócenie praw do pracy

osobom wymienionym w pkt. f, zbudowanie pomnika oraz nieprowadzenie represji w stosunku do komitetu strajkowego.

1.3. Do załogi Stoczni Gdańskiej przemawiał m.in. L[ech] Wałęsa i A[nna] Walentynowicz, żądając utworzenia wolnych związków zawodowych.

2. Kuroń informacje uzyskane z Gdańska przekazywał korespondentom zagranicznym, akcentując stawianie postulatów i żądań o charakterze politycznym”³⁸.

Esbeckie podsumowanie jest mało precyzyjne nie tylko ze względu na połączenie w jednym meldunku rozmów prowadzonych w ciągu dwóch dni, ale także przemieszanie postulatów strajkujących w Stoczni Gdańskiej z postulatami innych zakładów. Prócz żądań Stoczni Gdańskiej duże znaczenie miała lista 14 postulatów ułożonych 15 sierpnia w Elmorze, gdzie pracowali m.in. Gwiazda i Bogdan Lis.

Interesujące uzupełnienia zawiera meldunek z 16 sierpnia. Czytamy w nim: „W dniu 14 bm. A[nka] Kowalska uzgodniła z J[ackiem] Kuroniem, iż w rozmowach z korespondentami będą trzymać się wersji żądań robotników gdańskich dot[yczących] rozwiązania związków zawodowych, jak również będą eksponować żądanie uwolnienia więźniów politycznych”. Podano również, że 15 sierpnia Kuroń poinformował Bolesława Sulika w Londynie o postulatach Stoczni Gdańskiej. „Na pytanie swojego rozmówcy, jakie widzi rozwiązanie sytuacji, figurant odparł, że robotnicy muszą zorganizować wolne związki zawodowe niezależne od partii. Jest to podstawowy warunek, który musi zostać spełniony i ma szanse takie na terenie Gdańska”³⁹.

Te esbeckie zapiski mają wielkie znaczenie wobec opinii rozpowszechniania przez niektórych działaczy gdańskich i niektórych historyków, jakoby Kuroń był przeciwny powstaniu wolnych związków zawodowych i z powodów ideologicznych opowiadał się za tworzeniem komisji robotniczych⁴⁰. Tymczasem nie chodziło tu o alternatywę, ale o stopień zaawansowania ośrodków niezależnego ruchu robotniczego. Komisje robotnicze były formą łatwiejszą i mniej zaawansowaną, wolne związki zawodowe natomiast bardziej zaawansowaną

³⁷ Ośrodek Karta, Archiwum Opozycji, III/12K.6, „Dziennik pokładowy”.

³⁸ AIPN, 0204/1417, t. 39, k. 143-144, Meldunek operacyjny, 15 VIII 1980 r.

³⁹ AIPN, 0204/1417, t. 39, k. 149, Meldunek operacyjny, 16 VIII 1980 r.

⁴⁰ Taką tezę od kilku lat głosi Krzysztof Wyszowski w licznych wypowiedziach.

– powinny powstawać tam, gdzie robotnicy osiągnęły większą dojrzałość. Celem niezależnego ruchu robotniczego było powstanie wolnych związków zawodowych, niezależnych od PZPR i administracji. W wielu dokumentach ruchu korowskiego, na które wcześniej zwracano tu uwagę, tak sprawę stawiano.

Podobnie było z cytowanym artykułem z „Robotnika”, w którym podsumowano strajki lipcowe. „Robotnik” nr 59 nosi datę 15 sierpnia, ale został wydrukowany po 22 sierpnia, gdyż zawiera informację, ile zakładów tego dnia należało do gdańskiego Międzyzakładowego Komitetu Strajkowego⁴¹. Artykuł *Czego żądać*, napisany przed ogłoszeniem 21 postulatów, był w znacznej mierze powtórzeniem tekstu *Lipiec '80*. W kluczowej sprawie – form organizacji nowego ruchu związkowego – pisano, że jeśli działacze dotychczasowych związków zawodowych nie opowiedzą się po stronie robotników, należy Radę Zakładową rozwiązać i natychmiast przeprowadzić wybory do nowej. „Jeżeli jednak pracownicy uważają, że przez oficjalne związki zawodowe niewiele da się osiągnąć, to powinni powołać stałą, niezależną od dyrekcji zakładu i CRZZ Komisję Robotniczą. Reprezentująca załogi – Komisja Robotnicza lub nowa i niezależna od CRZZ Rada Zakładowa – kontrolowałaby dyrekcję, pilnując sposobu i terminu realizacji postulatów strajkowych”. I dalej: „Przede wszystkim trzeba zmusić władze do nadania statusu prawnego niezależnym przedstawicielstwom robotniczemu, które powstały i powstają w zakładach pracy podczas obecnych strajków. Takie komisje robotnicze oraz własne, wybierane obecnie rady zakładowe mogłyby być pierwszym etapem do stworzenia w przyszłości wolnych związków zawodowych”⁴².

Forma samoorganizacji miała być więc zależna od sytuacji w danym zakładzie i determinacji załogi, a powstające ogniwa niezależnego ruchu związkowego uważano za etap na drodze do wolnych związków. Sytuacja zmieniła się oczywiście 14 sierpnia, gdy wybuchł i następnie rozszerzył się strajk gdański. Od tej pory – jak wynika z cytowanych meldunków esbeckich – Kuroń

zdecydowanie akcentował perspektywę tworzenia wolnych związków zawodowych, czyli wspierał żądania komitetu strajkowego stoczni, a następnie MKS. Inwigilujący Kuronia funkcjonariusze tak streszczali jego stanowisko w meldunku z 18 sierpnia: „Zasadniczym celem działalności na odcinku robotniczym jest zorganizowanie wolnych związków zawodowych, niezależnych od partii, autentycznie reprezentujących robotników. Wg J[acka] Kuronia jest to warunek podstawowy i od tego powinien zacząć się program reformy, program zmiany modelu – na model oddolnie spluralizowany przez zorganizowane samorządnie społeczeństwo. Drogi prowadzące do tego celu mogą być różne: wybory do Rady Zakładowej, tworzenie komisji robotniczych oraz wolnych związków zawodowych w poszczególnych zakładach pracy. Jego zdaniem drogi te muszą być różne, bo »trudno sobie wyobrazić, że będziemy mogli budować w kraju nagle z dnia na dzień masową strukturę związków zawodowych«”⁴³. Jak widać, skala zmian, jakie przyniósł Sierpień, przekraczała wyobrażenie nawet Jacka Kuronia.

W meldunku esbeckim z podsłuchu 14 sierpnia zapisano, że Kuroń „wprost polecił Borusewiczowi włączenie się środowiska KSS »KOR« do żądań robotników, aby mieć wpływ na przebieg strajków. W przypadku odcięcia telefonicznego Gdańska od Warszawy zalecił przesyłać informacje poprzez łączników”⁴⁴. Telefonu Kuronia jednak nie odłączono, ale kiedy rozmówca zaczynał mówić o strajku, połączenie zostawało przerwane (rozmowy w sprawach prywatnych odbywały się bez przeszkód). „Wydaje się, że podsłuchiwali na żywo. Kiedy dzwoniący się przedstawił i zaczynał mówić, ucinali. Wtedy Jacek wysyłał kogoś lub sam szedł do sąsiadów bliższych i dalszych, czasem do budki, żeby oddzwonić i pobrać wiadomość”⁴⁵. Wyłączenie telefonu nie mogło już być skuteczne, gdyż istniały kontakty bezpośrednie, a ponadto informacje zbierały też inne osoby, m.in. Anka Kowalska. Obawiając się jednak przerwania łączności, Kuroń 15 sierpnia dzwonił do Piotra Starzyńskiego do Wrocławia, by próbował on połączyć się z Trójmiastem. Proponował, by informacje z Gdańska przekazywać za

⁴¹ „Robotnik” nr 59, 15 VIII 1980 r.

⁴² *Czego żądać*, „Robotnik” nr 59, 15 VIII 1980 r.

⁴³ AIPN, 0204/1417, t. 39, k. 156, Meldunek operacyjny, 18 VIII 1980 r.

⁴⁴ AIPN, 0204/1417, t. 39, k. 144, Meldunek operacyjny, 15 VIII 1980 r.

⁴⁵ List H. Łuczyno do autora, 4 XI 2010 r.; Relacja Ewy Kulik udzielona autorowi, 6 XI 2010 r.

pośrednictwem korespondentów zagranicznych lub osobiście przez łączników. Sugerował też, by wiadomości uzyskane od Wałęsy, Walentynowicz i Pieńkowskiej przekazywać bezpośrednio do Londynu⁴⁶.

Informacji z Gdańska dostarczały osoby przyjeżdżające w Wybrzeża, m.in. Mirosław Chojecki, Konrad Bieliński i inni działacze KSS „KOR”, ale też osoby mało dotąd zaangażowane, które przywoziły wiadomości i ulotki. Kuroń 17 i 18 sierpnia „aktywnie zajmował się koordynacją działań KSS »KOR« w związku z przerwami pracy na Wybrzeżu” – zawiadamiał swych przełożonych oficer SB. Odbierał informacje przekazywane przez kurierów. W nocy z 16 na 17 sierpnia przybył do niego nieznaną SB mężczyzna z Gdańska, który zrelacjonował przebieg mszy odprawionej w stoczni i powiedział o wyeliminowaniu z komitetu strajkowego członków PZPR⁴⁷. 17 sierpnia ktoś inny przywiózł wiadomość o innych strajkach w Trójmieście, m.in. w rafinerii i zakładach nawozów fosforowych⁴⁸.

17 sierpnia w południe Bieliński przywiózł wydaną poprzedniego dnia ulotkę informującą o powstaniu Międzyzakładowego Komitetu Strajkowego oraz spisaną tego dnia listę 21 postulatów⁴⁹. Podyktował przez telefon postulaty Adamowi Michnikowi, którego rozmowy nie były przerywane, Michnik zaś przywiózł je do Kuronia⁵⁰. W „dzienniku pokładowym” zapisano tego dnia (godz. 13.00) także inne informacje: „w stoczni ok. 3 tys. ludzi; wkopano krzyż przy II bramie; przenośny radiowęzeł; tłumy ludzi przychodzą pod stocznice”⁵¹.

Wieczorem Kuroń przekazał korespondentom oświadczenie MKS i postulaty. Tego samego wieczora wraz z kilkoma członkami KSS „KOR” pracował nad oświadczeniem Komitetu i redakcji „Robotnika”, które zamierzano opublikować nazajutrz⁵². Informowano w nim o powstaniu MKS, zrzeszającego 21 zakładów Trójmiasta. „Komitet jest jedyną reprezentacją strajkujących upoważnioną do podjęcia decyzji o zakończeniu strajku. Ma się on

przekształcić w Radę Wojewódzką Wolnego Związku Zawodowego. Sukces ten jest wynikiem solidarnej postawy wszystkich załóg”. Członkowie KSS „KOR” i redakcji „Robotnika” wyrazili „w pełni solidarność z MKS i ze wszystkimi strajkującymi robotnikami oraz podziw dla ich postawy”. Stwierdzali, że wyjście z dramatycznego położenia kraju musi zacząć się od stworzenia przez strajkujących własnej, autentycznej reprezentacji – wolnych związków zawodowych. „Robotnicy winni rozwiązywać dotychczasowe rady zakładowe i w wolnych wyborach wyłonić wolne przedstawicielstwa”. Przedstawicielstwa załóg muszą się porozumieć „celem uzgadniania wspólnych żądań i solidarnego występowania o ich realizację tak, jak stało się to w Trójmieście”. Pierwszym punktem pertraktacji robotników z przedstawicielami władz powinien być dodatek drożyzniany. Władze muszą przedstawić pełną informację o stanie gospodarki i stworzyć warunki do nieskrępowanej dyskusji nad programem reform. Niezbędnym warunkiem wydobycia kraju z kryzysu jest udział w życiu publicznym „niezależnych od władz instytucji reprezentujących interesy poszczególnych grup społecznych i zawodowych – wolnych związków zawodowych, przedstawicieli chłopów, inteligencji, samorządów lokalnych, stowarzyszeń kulturalnych i naukowych. Dlatego tak wielkie nadzieje wiążemy z powstawaniem autentycznych reprezentacji robotniczych, zdolnych do wywierania trwałego wpływu na politykę władz”.

Niektórzy członkowie komitetów strajkowych oraz ludzie zbierający informacje o strajkach są szykanowani, stosuje się wobec nich groźby i prowokacje. „Wszędzie tam, gdzie władza w dalszym ciągu próbuje oszukiwać, gdzie wkracza w sposób jawny lub ukryty policja polityczna, należy przerwać pertraktacje. Obowiązkiem każdego Polaka jest solidarność ze strajkującymi robotnikami i przeciwstawienie się policyjnej przemocy. Najbardziej elementarnym warunkiem przywrócenia

⁴⁶ AIPN, 0204/1417, t. 39, k. 149, Meldunek operacyjny, 16 VIII 1980 r.

⁴⁷ Nie była to informacja ścisła. Niektórzy członkowie prezydium MKS należeli do PZPR. Chodziło jednak w tym wypadku o osoby lojalne wobec władz, a nie – strajkujących.

⁴⁸ AIPN, 0204/1417, t. 39, k. 157–158, Meldunek operacyjny, 19 VIII 1980 r.

⁴⁹ *Zapis wydarzeń...*, s. 30–31.

⁵⁰ *Niepokorni. Rozmowy o Komitecie Obrony Robotników*, oprac. A. Friszke, A. Paczkowski, Kraków 2008, s. 652 (relacja K. Bielińskiego); Relacja K. Bielińskiego, 6 XI 2010 r.; List H. Łuczyczo do autora, 4 XI 2010 r.

⁵¹ Ośrodek Karta, Archiwum Opozycji, III/12K.6, „Dziennik pokładowy”.

⁵² AIPN, 0204/1417, t. 39, k. 151, Meldunek operacyjny, 18 VIII 1980 r.

spokoju społecznego jest spełnienie żądań strajkujących robotników Wybrzeża, zwolnienie wszystkich więźniów politycznych i zaprzestanie interwencji SB w działaniu obejmującego całą Polskę niezależnego ruchu robotniczego⁵³.

18 sierpnia do Kurońa zadzwonił Stefan Kozłowski ze Szczecina, członek WZZ Pomorza Zachodniego. Powiedział, że w niektórych zakładach Szczecina zaczął się strajk. Kuroń zobowiązał go, by on lub jego koledzy przekazywali wszelkie informacje, a w przypadku przerwania łączności przysyłali kurierów⁵⁴. W „dzienniku pokładowym” zapisano, że Port Szczeciński stanął o 15.30, następnie dodano, iż 19 sierpnia o 6 rano stanęła komunikacja miejska, a obok, że strajkuje 20 zakładów. 19 sierpnia przyszła wiadomość z Nowej Huty, że po południu przerwano pracę w koksowni i cementowni Huty im. Lenina⁵⁵.

Służba Bezpieczeństwa odnotowała, najpewniej na podstawie podsłuchu mieszkaniowego, że w południe 19 sierpnia Kuroń mówi o 156 zakładach należących do MKS oraz o rozpoczęciu zbierania podpisów wśród pracowników służby zdrowia solidaryzujących się ze strajkującymi. Wiedział też, że w Gdańsku nie kursują taksówki, a trzysta z nich znajduje się w dyspozycji MKS. We mszy w stoczni 17 sierpnia uczestniczyły 3–4 tys. osób, na zewnątrz około 2 tys. Był poinformowany o strajkach w Elblągu, Pucku, Tczewie i Pruszczu Gdańskim. Informacją wielkiej wagi było powołanie 18 sierpnia Międzyzakładowego Komitetu Strajkowego w Szczecinie, który wysunął żądania podobne do gdańskich⁵⁶. Mimo wystąpienia telewizyjnego 18 sierpnia wieczorem Edwarda Gierka, który obiecał m.in. zamrożenie cen mięsa, podwyżkę dodatków na dzieci, a także wspominał o racji stanu i poczuciu odpowiedzialności za losy ojczyzny, strajki nadal się rozszerzały.

Kuroń w rozmowie z dziennikarzami zagranicznymi, którzy go odwiedzali, ocenił, że Gierek nie rozumie sytuacji. Groźne jest opowiedzenie się szefa partii za ak-

tualną formułą związków zawodowych, odrzucaną przez wszystkich strajkujących. Liczba zakładów, które przystąpiły do MKS, świadczy, że „praktycznie władze przeagrały, pomimo zapowiedzi, iż nie dopuszczą do żadnych zmian ustroju i nie pójdą na żadne kompromisy”⁵⁷.

Aresztowanie

20 sierpnia płk Henryk Walczyński, zastępca dyrektora Departamentu III MSW, podpisał dokument pod nazwą „Ocena zagrożenia stanu bezpieczeństwa wewnętrznego państwa działalnością zorganizowanych grup antysocjalistycznych”. Oceniano w nim, że nastąpiła eskalacja działania grup „antysocjalistycznych i antypaństwowych”, takich jak KSS „KOR”, WZZ, Ruch Młodej Polski, Studenckie Komitety Solidarności, Ruch Obrony Praw Człowieka i Obywatela, Konfederacja Polski Niepodległej. „Wykorzystując nasilające się nastroje niezadowolenia i przerwy w pracy w miesiącu lipcu i sierpniu br., zorganizowane grupy antysocjalistyczne i inne wrogie elementy podjęły aktywne działania w celu przekształcenia tych zjawisk w masowe wystąpienia naruszające stan bezpieczeństwa i porządku publicznego”. Do działań takich zaliczano utworzenie 16 sierpnia w Gdańsku Międzyzakładowego Komitetu Strajkowego, który wydał komunikat zawierający żądania polityczne i ekonomiczne „sformułowane przy udziale aktywistów grup antysocjalistycznych”. Podczas zebrania KSS „KOR” 18 sierpnia „aktywiści tej grupy przyjęli jako główny kierunek swego działania tworzenie niezależnych przedstawicielstw robotniczych w myśl hasła: »Związki zawodowe niezależne od partii«. W konkluzji dokumentu pisano: „aktualnie posiadamy materiały w stosunku do 43 osób, głównych działaczy zorganizowanych grup antysocjalistycznych, które można objąć śledztwem i zastosować wobec nich areszt tymczasowy”⁵⁸.

Tego samego dnia po południu SB wkroczyła do mieszkania Jacka Kurońa. Zatrzymano w nim gospodarza, prof. Jana Kielanowskiego, Ankę Kowalską, Ewę

⁵³ *Zapis wydarzeń...*, s. 74–77. Streszczony przez SB na podstawie podsłuchu projekt oświadczenia opracowany 17 sierpnia nie różnił się w żadnym istotnym szczególe (AIPN, 0204/1417, t. 39, k. 151–152).

⁵⁴ AIPN, 0204/1417, t. 39, k. 159, Meldunek operacyjny, 19 VIII 1980 r.

⁵⁵ Ośrodek Karta, Archiwum Opozycji, III/12K.6, „Dziennik pokładowy”.

⁵⁶ AIPN, 0204/1417, t. 39, k. 162–163, Meldunek operacyjny, 20 VIII 1980 r.

⁵⁷ AIPN, 0204/1417, t. 39, k. 170, Meldunek operacyjny, 22 VIII 1980 r.

⁵⁸ AIPN, 0398/29, t. 2, brak paginacji, Załącznik nr 49 do „Raportu z działalności Sztabu MSW w ramach operacji Lato '80 w okresie od 16 VIII 1980 do 30 IV 1982”.



Po podpisaniu porozumienia gdańskiego, 31 sierpnia 1980 r. Fot. Stanisław Składanowski, zbiory ECS

Kulik, Małgorzatę Pawlicką, Marka Beylina, Zenobię Łukasiewicz, Józefa Śreniowskiego, Jana Sęka. Gdy esbecy przeprowadzali rewizję, przyszedł kurier z Gdańska Maciej Strój oraz Wojciech Celiński, Elżbieta Jasińska, Krzysztof Wolicki, Jan Cywiński, Wacław Pikulski z Łodzi i Wojciech Ostrowski. W „kocioł” wpadli również dziennikarze: szwedzki, fiński i niemiecki. Większość zatrzymanych osadzono na 48 godzin w areszcie⁵⁹. Ewę Kulik pozostawiono w mieszkaniu jako opiekunkę ojca Kuronia. Tegoż dnia bezpieka zatrzymała Mirosława Chojckiego, Jana Lityńskiego, Adama Michnika, Zbigniewa Romaszewskiego, Henryka Wujca, Dariusza Kupieckiego, Krystynę Iwaskiewicz, Witolda Łuczywę. Nazajutrz wkroczyła do mieszkania zwolnionego poprzedniego dnia prof. Kielanowskiego i zatrzymała obecnego tam Wojciecha Frąckiewicza⁶⁰.

Było to mocne uderzenie w KSS „KOR”, które najpewniej miało na celu zdeorganizowanie ośrodka zbierają-

cego informacje i przekazującego je na Zachód. Władze na razie nie zdecydowały się na sankcje prokuratorskie, ale część zatrzymanych, w tym Kuronia, zwalniano po upływie 48 godzin tylko po to, aby ich po kilku minutach zatrzymać ponownie. 28 sierpnia, gdy trwające na Wybrzeżu rozmowy między MKS a komisją rządową rokowały nadzieje na porozumienie, prokurator podpisał sankcję na trzy miesiące dla kilkunastu zatrzymanych działaczy opozycji, w tym Kuronia.

Osadzony w areszcie Jacek Kuroń siłą rzeczy nie mógł uczestniczyć w kształtowaniu dalszego biegu zdarzeń. Ruch strajkowy tymczasem się rozszerzał, powstawały kolejne Międzyzakładowe Komitety Strajkowe, 21 postulatów stało się podstawą żądań zgłaszanych w kolejnych ośrodkach strajkowych. W Stoczni Gdańskiej przebywała grupa członków i współpracowników KSS „KOR”, zwłaszcza Konrad Bieliński, który redagował „Strajkowy Biuletyn Informacyjny Solidarność”, oraz Ewa Milewicz,

⁵⁹ AIPN, 0204/1417, t. 39, k. 165, Meldunek operacyjny, 20 VIII 1980 r.

⁶⁰ Oświadczenie KSS „KOR”, 21 VIII 1980 r., [w:] *Dokumenty Komitetu Obrony Robotników...*, s. 562.

pomagająca w pracy sekretariatu. Doradcą MKS i koordynatorem wielu działań był przez cały czas Bogdan Borusewicz.

Nadal zbierano wiadomości o strajkach z całej Polski; zajmowała się tym m.in. obecna w mieszkaniu Kurońów Ewa Kulik. W stoczni pojawili się zachodni dziennikarze, a także grupa polskich, związanych z oficjalną prasą. Radio Wolna Europa oraz brytyjska BBC relacjonowały wydarzenia dzień po dniu, a niekiedy godzina po godzinie. Audycje te, słuchane przez wielu Polaków, przyczyniły się do konsolidowania ruchu strajkowego, ujednoczenia postulatów i metod strajkowania, na wzór gdański. Ostatecznie na mocy podpisanego 31 sierpnia w Gdańsku porozumienia z aresztów zwolniono wszystkie osoby wspomagające strajk.

* * *

Można bez obawy przesady stwierdzić, że gdyby zabrakło Kurońa i jego współpracowników, przebieg ruchu strajkowego latem 1980 r. byłby inny, a jego formy organizacyjne i programowe o wiele mniej dojrzałe. Przyniosły wówczas efekty wysiłki podejmowane od 1976 r. – począwszy od utworzenia KOR i poprowadzenia skutecznej akcji obrony robotników, potem inicjowania wielu form niezależnej aktywności i budowanie wokół tego środowisk opozycyjnych. Ogromne znaczenie miał wychodzący od trzech lat „Robotnik”, który przedstawiał realne alternatywy programowe i uczył, jak walczyć w zakładach pracy, jak strajkować. Część tych,

którzy organizowali strajki, miała dostęp do sieci kolportażu „Robotnika”, znała też rozpowszechnianą w tej sieci broszurę Bolesława Sulika *Robotnicy*, ukazującą metody walki i przyczyny porażki robotników Szczecina w 1971 r.

Kuroń szybko dostrzegł znaczenie lipcowych strajków i przetłamał obawy przed wsparciem żądań ekonomicznych, widząc w powstającym ruchu szansę samoorganizacji robotników. Podsuwał w rozmowach i tekstach kierunki tej samoorganizacji, wystrzegał się stawiania celów zbyt daleko idących, nierealistycznych, mogących budzić nieufność. Każdą formę niezależnych od władz struktur uważał za pożądaną, ale w miarę rozwoju ruchu rewindykacyjnego zachęcał do organizowania się w niezależne komisje robotnicze lub wolne związki zawodowe. Gdy w Gdańsku ten postulat chwycił, poparł go natychmiast i przyczynił się do jego spularyzowania.

Trudno przecenić znaczenie centrum informacyjnego w mieszkaniu Kurońa. Dzięki niemu wiadomości o strajkach, o wysuwanych żądaniach i ustępstwach władzy, trafiały do Radia Wolna Europa i za jego pośrednictwem stawały się powszechnie znane. Wieści o strajkach trwających i wygranych ośmielały do wystąpień pracowników kolejnych zakładów. Informowanie przez radio o powstających strukturach skłaniało do tworzenia następnych. Kiedy 20 sierpnia Kuroń został zatrzymany, centrum informacyjne w jego mieszkaniu funkcjonowało dalej, a ruch strajkowy osiągnął już pełną dojrzałość organizacyjną i programową.

Komunikaty z pola walki

PAWEŁ SOWIŃSKI

♦ dr, absolwent historii na Uniwersytecie Warszawskim, pracownik Instytutu Studiów Politycznych PAN. Publikował na temat obchodów 1 Maja, historii turystyki w PRL oraz opozycji demokratycznej. Członek redakcji wydawnictwa *Opozycja w PRL. Słownik biograficzny 1956–89*.

31 sierpnia 1980 r. Za stołem prezydialnym delegacja rządowa i Międzyzakładowy Komitet Strajkowy. Lech Wałęsa uzbrojony w wielki długopis podpisuje porozumienie, a parę centymetrów obok niego ktoś trzyma w dłoni ledwo widoczny egzemplarz prasy niezależnej. Tak narysował tę bardzo znaną scenę Jacek Fedorowicz w komiksie *Solidarność – 500 pierwszych dni*, by uwytklić znaczenie prasy opozycyjnej w zwycięstwie społeczeństwa nad władzą¹. Nieduży format, mało okazała szata graficzna, tytuł prawie niezauważalny dla oka. Winieta tej gazetki, naszkicowana ręką Fedorowicza, wygląda dziś nieatrakcyjnie w zestawieniu z wielkoformatową prasą oficjalną na poprzednich rysunkach. Te niepozorne druki opozycji, wzruszające przykłady chałupniczej roboty wydawniczej, były jednak charakterystycznym elementem strajkowego pejzażu, miały – jak twierdzą niektórzy świadkowie tamtych dni – siłę dynamitu². Władze PRL nie zdecydowały się wówczas posunąć do przemocy, a walka toczyła się właściwie na słowa.

Zaczęło się od mówienia

Słowa są trudne do upilnowania. Od samego początku PRL zdarzało się więc, że nieaprobowane treści przeni-

kały do pilnie strzeżonych mediów publicznych. Mówiło się wtedy o niedopatrzeniach cenzury, ale w gruncie rzeczy to nie była jej wina. Taka wymykająca się kontroli komunikacja była jednak ułomna. Przybierała głównie formę aluzji, stawała się grą słów z czytelnikiem i z władzą. Gdy Adam Zagajewski zdołał przemycić w wierszu *Prawda* słowa: „odmów podania ręki temu człowiekowi”, a Ryszard Krynicki w innym wierszu napisał: „faszyści zmieniają koszulę” – można się było jedynie domyślać, że chodzi o władzę komunistyczną, o nieodległe wtedy wydarzenia Marca '68 i Grudnia '70. Tego człowieka ani tych faszystów nie można było nazwać po imieniu w wydawnictwach oficjalnych³. Kontrowersyjne teksty, nawet jeżeli przedostały się przez ucho igielne cenzury, zazwyczaj spotykały się kontrakcją odpowiednich służb. Nie zdarzały się zbyt często; poza wyjątkowymi okresami słowo pisane było orężem władz⁴.

Istniał jednak także prywatny obieg opinii. Przyjmował on czasami formy tekstów – listów do znajomych, wierszyków, napisów w toaletach publicznych czy na murach. Czasami skargi obywateli w ułożonej i odpowiednio zredagowanej formie przedostawały się do prasy oficjalnej. Przede wszystkim jednak objawiały się w plotkach, dowcipach, rozmowach towarzyskich, w narzekaniu w kolejkach, na imieninach, w drobnych zakłóceniach porządku. Żywa mowa ludzi to prawdziwe bogactwo treści poza kontrolą, choć oczywiście odważne stwierdzenia mieszały się tu z opiniami konformistycznymi, a wypowiedzi niezależne z kliszami propagandowymi. Taki obieg myśli miał prawdopodobnie decydujące znaczenie dla narastania niezadowolenia społecznego

¹ Scenę tę utrwaliła również kamera filmowa. Widzimy, jak uśmiechnięty Lech Wałęsa rozdaje egzemplarze „Strajkowego Biuletynu Informacyjnego Solidarność” osobom zasiadającym za stołem prezydialnym. „Przypominam, to będzie nasze związkowe pismo” – dodaje do mikrofonu (*Robotnicy '80*, reż. M. Bukojemski i in., Wytwórnia Filmów Dokumentalnych 1980).

² Określenie to jest parafrazą słów piosenki barda opozycji Jana Krzysztofa Kelusa. Zob. też *Kto tu wpuścił dziennikarzy. 25 lat później*, red. M. Miller, J. Jankowska, Warszawa 2005, s. 256; W. Grochola, *Słowo jak dynamit*, „Karta” 2006, nr 49, s. 82.

³ A. Michnik, *Takie czasy... Rzecz o kompromisie*, Londyn 1985, s. 14; T. Nyczek, *Określona epoka. Nowa Fala 1968–1993*, Kraków 1995, s. 75–76, 229.

⁴ P. Sowiński, *Kierowanie „propagandą sukcesu” w mass mediach*, „Studia Polityczne” 2009, nr 24, s. 47–69.

w latach siedemdziesiątych⁵. Rozmowy brały się wprost z obserwacji rzeczywistości i były potwierdzeniem, że inni ludzie czują podobnie. Były żywiołowe i pozbawione reguł poprawności, ale także ulotne – choć na szczęście dla historyków odnotowywano je w MSW.

Prasa opozycji

Zakazane wydawnictwa, które pojawiły się w drugiej połowie lat siedemdziesiątych, tworzyły nową jakość. Wyrosły z tradycji ustnej, miały jednak swoje korzenie w lekturze wydawnictw emigracyjnych, a także w nielegalnych praktykach wydawniczych, pamiętanych głównie z czasów okupacji, ale znacznie przecież starszych⁶. Zbierały rozproszone wiadomości w spójny i rozległy wywód. Gazetki i ulotki – wiedza spisana i skodyfikowana – pomagały utrwalić, uwiarygodnić i wzbogacić krytykę rzeczywistości⁷. Stawały się więc jakby intelektualną wersją odczuć społecznych, wcześniej przekazywanych jedynie w sposób potoczny. Początkowo wydawnictwa opozycji miały niewielki zasięg, nie możemy przypisywać im decydującej roli w doprowadzeniu do wybuchów strajkowych latem 1980 r. Gniew ludzi powstawał bardziej pod wpływem ciężkich warunków życia⁸. Nie trzeba było niczego czytać, by poczuć się wówczas sfrustrowanym. Niemniej jednak niezależne wydawnictwa – jak je wówczas określano w kręgach opozycji – pomogły w organizacji tego protestu i przyczyniły się do jego sukcesu.

Nie będziemy ich tutaj szczegółowo omawiać, całym sporo już na ich temat napisano⁹. Skupmy się na ich oddziaływaniu na ludzi, tym najtrudniej uchwytym aspekcie. „Na zasadzie »kropla draży kamień« ośrodki opozycji promieniowały wzorami zachowań, językiem opisywania polskiej rzeczywistości, formułowania celów politycznych i społecznych. Przebudowywały świadomość znacznej części elity humanistycznej i robotniczej, zwłaszcza niektórych wielkich zakładów. Tworzyły wzo-

ry zachowań protestacyjnych i rewindykacyjnych, które na wielką skalę zostały zastosowane latem 1980 roku” – twierdzi znawca tych zagadnień Andrzej Friszke¹⁰. Pod wpływem tych wzorów znajdowali się najbardziej główni organizatorzy oraz obecni w stoczni inteligenci. Powtórzmy jeszcze za Jerzym Holzerem, że pomogli oni żywiołowemu ruchowi w znalezieniu odpowiednich form organizacyjnych i artykułowaniu postulatów wybiegających poza potrzeby materialne¹¹.

Sam strajk w Stoczni Gdańskiej im. Lenina zaczął się od słowa spisanego, od rozrzuconych ulotek, co wprowadzało od samego początku pewien element porządku. Protest nie był wyłącznie odruchem emocji, jak w Grudniu '70 i w Czerwcu '76, ale miał częściowo zaplanowany początek. Ważne wydaje się również, że robotnicy znali już wcześniej gazetki i ulotki, podsyłały one w nich nastroje buntu, przełamywały strach i atomizację załóg. „Rano [...] poszedłem do stołówki [w Stoczni Gdańskiej – P.S.]. Kładłem przed każdym na stole. Z początku ludzie siedzieli jak sparaliżowani, patrzyli jeden na drugiego i nie wiedzieli, jak zareagować. Minęła jedna minuta milczenia, druga... Przy pierwszym stole zaczęli już oglądać. Jeden z robotników wstał, podszedł do mnie i spytał, czy może zatrzymać. Oczywiście – powiedziałem – po to daję. Wtedy zaczęli wstawać od innych stołów i podchodzić do mnie. Plik znacznie się zmniejszył i gdy ludzie to zobaczyli, zrobił się wielki tłum. Myślałem, że mnie zgniotą i resztę rzuciłem wysoko do góry” – wspominał Andrzej Kołodziej, robotnik, w latach 1978–1980 kolporter korowskiego „Robotnika Wybrzeża”¹². Wtedy jeszcze do strajku nie doszło, ale takie akcje odgrywały rolę minisondażu opinii publicznej. Ich powodzenie popychało do dalszych kroków – zarówno późniejszych organizatorów strajku, jak i masy. Jak widzimy, skojarzenie z dynamitem mogło być adekwatne.

Podobnie reagowano na widok prasy nieocenzurowanej w Sierpniu '80. Kolportowanie ulotek działało nie-

⁵ M. Zaremba, *Od wojny domowej do solidarnościowej rewolucji*, „Res Publica Nowa” 2000, z. 8, s. 46–54.

⁶ W. Pilecki [W. Chojnacki], *O polskich wydawnictwach konspiracyjnych i niezależnych*, „Kontakt” 1985, nr 1, s. 31–35; *Encyklopedia wiedzy o książce*, Wrocław 1981, s. 2306–2318.

⁷ R. Darnton, *The Forbidden Best-Sellers of Pre-Revolutionary France*, New York – London 1996, s. 191.

⁸ Na ten aspekt wcześniej zwrócił uwagę Andrzej Friszke w cytowanym poniżej tekście na temat narodzin kultury niezależnej.

⁹ Ostatnio: M. Sandecki, *Matryca wolnej prasy*, [w:] *Narodziny „Solidarności”. Kroniki sierpniowe*, Gdańsk 2010, s. 191–197; J. Błażejowska, *Drukarnia – duża szpilka, która kłuje*, „Biuletyn Instytutu Pamięci Narodowej” 2010, nr 9/10, s. 35–44.

¹⁰ A. Friszke, *Przystosowanie i opór. Studia z dziejów PRL*, Warszawa 2007, s. 270.

¹¹ J. Holzer, *„Solidarność” 1980–1981. Geneza i historia*, Warszawa 1990, s. 96.

¹² A. Znamierowski, *Zaciskanie pięści. Rzecz o „Solidarności Walczącej”*, Paryż 1988, s. 31–32.

wątpliwie jak dolewanie oliwy do ognia, ale szybko stało się również sposobem na utrzymanie płomienia strajku w granicach choćby wątego planu. Najważniejsze cele bardzo szybko ułożono w punkty i wywieszono tablicę z 21 postulatami, można by z przesadą powiedzieć – pierwszą gazetkę strajkową. Programowanie oczywiście było tu czymś względnym, nie brakowało momentów zamieszania, wypadki w każdej chwili mogły się wymknąć spod kontroli, rozwinąć w coś niebezpiecznego albo w kapitulację. Działalność wydawnicza była próbą stabilizowania falujących nastrojów tłumu, nadawała temu trwaniu pewien sens i rytm. Przeciwdziałała dezinformacji, łagodziła niepokój. Długie oczekiwanie można było choć trochę skrócić czytaniem. Ludzie potrzebowali gazetek nie tylko jako źródła informacji, która poprawia koordynację między centrum negocjacyjnym a resztą strajkujących. Prasa odgrywała również rolę namacalnego symbolu, który pomagał skupić się wokół wspólnych idei, razem wkraczać w kolejne etapy walki. Takie czytanie miało swoją dramaturgię, było czymś innym niż przeglądanie porannej gazety w fotelu na początku XXI wieku. Siłę tego czynnika łatwo jest jednak przecenić w ferworze dzisiejszego przeżywania Sierpnia '80. Wokół nas tyle sugestywnych książek, pięknych wystaw, patriotycznych uniesień. Człowiek zaczyna wierzyć w magiczną moc wolnego słowa. Pamiętajmy więc, że tego, o czym tu piszemy, nie da się ani wymierzyć w procentach, ani ułożyć w tabelki. To są przypuszczenia formułowane na podstawie świadectw indywidualnych i literatury naukowej poświęconej wpływowi tekstów na społeczeństwo¹³. Doświadczenia historyczne pokazują, że wpływy te nie zawsze istniały. Teksty często oddziaływały powolnie, niebezpośrednio, wnikały w umysły w sposób tajemniczy nie tylko dla badaczy, ale również dla uczestników wydarzeń historycznych¹⁴. Prasa podziemna stanu wojennego pełniła podobne funkcje i stanowiła niewątpliwie piękną kartę w naszej historii, ale nie przynio-

sła tak szybko rezultatów. Same słowa więc nie niosą. Przede wszystkim trzeba z nimi trafić w dobry moment, kiedy władza jest słaba, a społeczeństwo pobudzone.

Gazetki i ulotki krążyły po Trójmieście, zwiększały determinację załóg i pełniły funkcję więziotwórczą. Mogły być szczególnie istotne dla tych, którzy znajdowali się poza zasięgiem stocznioowego radiowęzła. Po raz pierwszy taka forma komunikacji – zapoczątkowana w 1976 r. – miała wpływ na bieg ważnych wydarzeń. Czy jednak mogła również wpływać na rozwinięcie się fali strajkowej, która przelała się przez cały kraj? Powielaczowe odezwy, komunikaty, postulaty MKS zabierali ze sobą reporterzy, kolejarze, kierowcy samochodów dostawczych, przypadkowi świadkowie i opozycjoniści krążący między Gdańskiem a Warszawą czy innym miastami. Jak na trudne warunki kolportażu i ograniczenia produkcji rozchodziły się one względnie szybko, nie bardzo wiadomo jednak z jakim skutkiem.

Prawdopodobnie wywoływały spontaniczne odruchy solidarności ze strajkującymi – zbiórki pieniędzy, listy poparcia, dostawy kwiatów, koców, żywności, papierosów. Wydawnictwa strajkowe dotarły do Szczecina, gdzie pobudziły do założenia gazetki, naśladowania wzorców gdańskich¹⁵. Prawdopodobnie sprzyjały unifikowaniu żądań robotniczych w ramach 21 gdańskich postulatów. Również w strajkującej kopalni Manifest Lipcowy w Jastrzębiu-Zdroju przeczytano przez radiowęzeł 21 postulatów i gdańskie ulotki strajkowe, choć na Górnym Śląsku poziom dezinformacji był większy, a koordynacja działań słabsza, co musiało się wiązać właśnie z brakiem niezależnej prasy, nieobecnością ekspertów i dziennikarzy¹⁶.

Ważniejsza była nadal informacja pozaprasowa, roznosząca się lotem błyskawicy wieść o strajkach zasłyszana na ulicy, w pracy, w kościele, od znajomych¹⁷. Ludzie wracali z niezbyt chyba udanych wakacji na Wybrzeżu. Przez kraj – jak to w sierpniu – przechodziły pielgrzymki. Robotnicy z różnych stron wysyłali nad morze swoich

¹³ A. Hughes, *Gangraena and the Struggle for the English Revolution*, Oxford University Press 2004; R. Darnton, *The Literary Underground of the Old Regime*, Cambridge – London 1982; R. Chartier, *The Cultural Origins of the French Revolution*, Duke University Press 1991; K.F. Parthe, *Russia's Dangerous Texts. Politics Between the Lines*, Yale University Press 2004.

¹⁴ A. Johns, *The Nature of the Book*, Chicago – London 1998, s. 385; R. Chartier, *Labourers and Voyagers. From the Text to the Reader*, [w:] *The Book History Reader*, red. D. Finkelstein, A. McCleery, London – New York 2002, s. 47.

¹⁵ Z. Matuszewicz, *Szczecin 1980–1981. Rewolucja „Solidarności”*, Szczecin 1997, s. 66.

¹⁶ J.J. Szczepański, *Górnik polski. Ludzie z pierwszych stron gazet*, Warszawa 2005, s. 41–58; J. Neja, *Dwa strajki – dwa porozumienia*, „Biuletyn Instytutu Pamięci Narodowej” 2010, nr 9/10, s. 65–74.

¹⁷ K. Madoń-Mitzner, *Dni Solidarności*, „Karta” 2000, nr 30, s. 10, 11.

kurierów, by zorientować się w sytuacji. Zakłady pracy PRL połączone były ze sobą rozbudowaną siecią zależności. Miały centrale i oddziały, produkcja przemysłowa wymagała kooperacji, co w takich chwilach wywoływało reakcje łańcuchowe, sprzyjało rozchodzeniu się informacji¹⁸. Z pewnością brakowało kadry opozycyjnej, wzorów zachowań, czyli właśnie lektury prasy niezależnej, która pomogłaby podjąć ryzyko strajku. Strajki solidarnościowe w Warszawie, na Śląsku, w innych rejonach kraju wybuchły dopiero po dwóch tygodniach – zwraca się niekiedy uwagę. Płomień się jednak rozszerzał. Największą rolę odegrały zapewne wiadomości usłyszane w rozgłośniach zachodnich, które połączyły na falach eteru strajkujących na Wybrzeżu z popierającymi ich żądania w innych częściach Polski¹⁹.

Prasa oficjalna

Władze nie mogły wyłączyć zachodnich radiostacji. Próbowaly jednak przecinać niezależną komunikację i zastępować ją własną. Bardzo szybko odcięto połączenia telefoniczne enklaw strajkowych z resztą kraju. Helikopter krążący nad Trójmiastem rozrzucił ulotki nawołujące do wznowienia pracy. Rządzący wystali też na Wybrzeże swoich dziennikarzy, którzy znaleźli się tam szybko w dwuznacznej roli. „Reprezentant poważnej polskiej gazety, wołę nie mówić – jakiej, otoczony został w sali konferencyjnej przez robotników. Tupali przed nim, wymachiwali rękami. Człowiek ten stał zupełnie bezradny. Zagrozili mu, że jeżeli napisze źle, to znajdą go w Warszawie i dojdzie do rękoczynów” – wspominał dziennikarz Bogusław Turek²⁰. Prasa oficjalna nie miała w tych czasach dobrej opinii. Utożsamiano ją z kłamstwem, tak jak prasę opozycyjną kojarzono z prawdą absolutną.

Z literatury bardziej ogólnej wiemy, że teksty mogą być czytane zupełnie inaczej niż wyobrażają sobie ich autorzy. Słowa i ich znaczenia są naszą własnością tylko do czasu, gdy zdecydujemy się je upublicznić – podpo-

wiadają znawcy przedmiotu²¹. Wtedy – niestety – tracimy kontrolę nad ich odbiorem. Czy oficjalna propaganda mogła stać się ofiarą takiego zjawiska? Jej słowa od lat różniły się z faktami, zawsze brakowało jej społecznej wiarygodności. W porównaniu do gazetek opozycji była jednak potężną machiną. Za pośrednictwem radia, telewizji i milionowych nakładów prasy docierała właściwie do wszystkich mieszkańców PRL. W Sierpniu '80 deformowała obraz strajków, dezinformowała o jego celach, przyczyniała się zapewne do powstawania mylnych domysłów, co chyba spowalniało rozlewanie się strajków na cały kraj. Nie należy jej lekceważyć²².

Jednocześnie jednak była wyrazem pragnień partii rządzącej, a nie odbiciem myśli społeczeństwa. W warunkach wyjątkowych prasa rządowa musiała być czytana na opak. Budowała atmosferę społecznej mobilizacji, bynajmniej nie tylko wokół władzy, ale także wokół strajkujących. Uświadamiała co bardziej myślącym, że w kraju toczy się ważna batalia między władzą a społeczeństwem. Była już odbierana nie jak wezwanie do spokoju, ale komunikat z pola walki. Wspólnymi „gospodarzami” tekstów są nadawcy i odbiorcy, w przypadku ówczesnej prasy wielkonakładowej – władza i społeczeństwo; potencjalnie każdy czytelnik może tworzyć samodzielne interpretacje²³. To właśnie ta wieloznaczność sprawiała, że cenzura bywała bezradna w walce ze słowami.

To samo niby działo się również w czasach spokoju, ale stało się istotne dopiero w momencie kryzysu. Władze w odruchu samoobrony starały się uspokajać „klasę robotniczą” – cóż innego było robić – ich apele wywoływały jednak złość i irytację. Po telewizyjnym wystąpieniu dziennikarza Ryszarda Wojny, który zagroził strajkującym interwencją radziecką i przywołał trzeci rozbiór Polski, w stoczni wywieszono hasło „Nigdy więcej WOJNY” – zanotował pod datą 27 sierpnia Mieczysław Rakowski²⁴. W ostatnich dniach strajku wzburzeni stoczniowcy wyprosili z sali obrad m.in. dziennikarza

¹⁸ A. Paczkowski, *Centrum władzy latem 1980 roku: mechanizmy podejmowania decyzji*, „Studia Polityczne” 2009, nr 24, s. 91.

¹⁹ P. Machcewicz, „Monachijska menażeria”. *Walka z Radiem Wolna Europa 1950–1989*, Warszawa 2007, s. 330–331.

²⁰ *Kto tu wpuścił dziennikarzy. 25 lat później...*, s. 172.

²¹ R. Chartier, *The Order of Books. Readers, Authors and Libraries in Europe between the Fourteenth and Eighteenth Centuries*, Stanford 1994, s. VIII.

²² H. Banaszak, *Technologia manipulacji. Polska prasa codzienna: lipiec – sierpień 1980*, [w:] *Polacy – jesień '80*, red. I. Krzemiński i in., Warszawa 2005, s. 285–361.

²³ D.F. McKenzie, *Making Meaning. „Printers of the Mind” and Other Essays*, University of Massachusetts Press 2002.

²⁴ M.F. Rakowski, *Dzienniki polityczne 1979–1981*, Warszawa 2004, s. 237–238. Artykuł Wojny opublikowała również „Trybuna Ludu”, ale bez wzmianki o rozbiorach. Zob. *Zapis wydarzeń. Gdańsk – Sierpień 1980. Dokumenty*, oprac. A. Drzycimski, T. Skutnik, Warszawa 1999, s. 330–335.

„Trybuny Ludu”²⁵ – ukarali go za tendencyjne relacjonowanie wydarzeń. Zdaniem Tadeusza Jedynaka propagandowa ulotka rozrzucona w Jastrzębiu pogłębiła tylko niezadowolenie strajkujących²⁶.

Jednak oficjalne dzienniki nie przestały być czytelne. W filmie *Robotnicy '80* widzimy strajkowy poranek w Stoczni Gdańskiej, ludzie jeszcze śpią, a dwóch leżących na trawce stoczniowców już z uwagą wpatruje się w nowy numer „Dziennika Bałtyckiego”²⁷. Prawdopodobnie również cenzurowana prasa wywoływała, jak w każdej chwili grozy, ponadnaturalne ekscytacje. Ludzie byli zaniepokojeni, głodni wiedzy i w jej poszukiwaniu skłonni dokładnie analizować każdy kawałek zadrukowanego papieru. Tak zdobywane informacje przetwarzali następnie na język mówiony, nieoficjalny, mieszając z tym, co myśleli naprawdę, i rozprzestrzaniiali dalej w formie plotek²⁸.

W prasie zresztą zrobiło się ciekawie. Pod presją wydarzeń system kontroli informacji zaczął szwankować. Dziennikarze obecni na Wybrzeżu we wspólnym oświadczeniu odważyli się skrytykować media, dla których pracowali²⁹. Nastroje – nie tylko wśród bezpośrednio zarażonych atmosferą strajku – stawały się coraz bardziej bojowe, wróciły tęsknoty za wolnością słowa (postulat nr 3 MKS), na głos zaczęto mówić o ograniczeniach cenzury. 27 sierpnia „Sztandar Młodych” opublikował nawet 21 postulatów (część wydrukowanego nakładu udało się władzom skonfiskować). Bardziej odważni żurnaliści stawali się częścią zbuntowanej opinii publicznej, która po latach letargu nagle przemówiła, choć oczywiście uwidoczniło się to głównie w późniejszych miesiącach i na łamach prasy niezależnej. Ale przewrót ten miał bardzo poważne konsekwencje również dla prasy oficjalnej. W latach 1980–1981 stała się ona liberalniejsza niż wcześniej, co było nie tyle zasługą

łagodniejszej cenzury, ile panującego wówczas klimatu społecznego i przewartościowań w myśleniu środowiska dziennikarskiego.

Prasa zachodnia

Na zdjęciu Erazma Ciołka ze Stoczni Gdańskiej ludzie w roboczych kombinezonach w skupieniu patrzą na tablicę, na której umieszczono pierwsze strony zachodnich gazet. Prasa skandynawska, niemiecka, francuska. Wszędzie informacje o ich strajku³⁰. Nagle przestali być anonimowi, zyskali wielu niespodziewanych przyjaciół. Biuletyn strajkowy w Stoczni Gdańskiej wyliczył nazwiska 95 zagranicznych dziennikarzy, którzy do 27 sierpnia przewinęli się przez stocznię. Znaleźli się tam przedstawiciele wielkich agencji prasowych z Europy i Stanów Zjednoczonych, a także mediów praktycznie w Polsce nieznanymi – z Argentyny i Japonii.

Wyrazy wsparcia napływały z całego świata – od norweskich techników dźwigowych, brytyjskich i francuskich związkowców, elektryków z Nowej Zelandii³¹. Dzięki prasie zachodniej „proletariusze wszystkich krajów” mogli się symbolicznie połączyć na odległość. W mediach dokonano się więc umiędzynarodowienie tego protestu. Z komunikacyjnego punktu widzenia zyskał on niezwykłą rangę – dzisiaj przecież elektrycy z Gdańska nie kontaktują się z elektrykami z Nowej Zelandii. Zostawił po sobie opowieści o polskich robotnikach w tłumaczeniu na wiele języków świata, a więc nowe interpretacje i konteksty, które w przyszłości będziemy historycznie opisywać, gdyż zostały utrwalone na papierze.

„Puście ich, to wolna prasa” – zawołali stoczniowcy na widok ekipy amerykańskiej telewizji, która chciała podejść bliżej³². Zagraniczni dziennikarze, reprezentanci wolnego świata, cieszyli się największym szacun-

²⁵ *Kto tu wpuścił dziennikarzy. 25 lat później...*, s. 173. Zob. też E. Milewicz, *Ja, happening, stocznia* w niniejszym numerze „Wolności i Solidarności”, s. 129.

²⁶ J.J. Szczepański, *Górnik polski...*, s. 48. Tam relacja Tadeusza Jedynaka, jednego z liderów górniczego strajku w „Manifeście Lipcowym”.

²⁷ *Robotnicy '80*, reż. M. Bukojemski i in., Wytwórnia Filmów Dokumentalnych 1980.

²⁸ Warto zwrócić uwagę, że nawet w okresie od sierpnia 1980 do 13 grudnia 1981 r. prasa władzy miała wciąż najwięcej czytelników. 85 proc. społeczeństwa mniej czy bardziej systematycznie korzystało z prasy rządowej, a 70 proc. z prasy Solidarności (*Raport o stanie komunikacji społecznej w Polsce, sierpień 1980 – grudzień 1981*, red. Walery Pisarek, Kraków 2007, s. 21–22, 31).

²⁹ Oświadczenie w: A. Drzycimski, T. Skutnik, *Gdańsk Sierpień '80. Rozmowy*, Gdańsk 1990, s. 309–310.

³⁰ E. Ciołek, *Polska sierpień 1980 – sierpień 1989*, Warszawa 1990, s. 29. Inne zdjęcie tej sceny, autorstwa Stanisława Składanowskiego, w: *Gdańsk 1980. Pictures from a Strike*, London 1981, s. 46.

³¹ *Zapis wydarzeń...*, s. 131, 350–351, 361–364, 381–382.

³² K. Madoń-Mitzner, *Dni Solidarności...*, s. 55.

kiem. Odróżniali się od razu od reszty tłumu choćby ubiorem, wyglądem, pewnością siebie. Budowali aurę doniosłości. Wzbudzali podziw i zaufanie, jakim często darzono w Polsce świat zachodni. Mogli być nawet ostrzegani jak tarcza, która chroniła strajkujących przed ewentualnym atakiem sił porządkowych, przed napaściami rządowej propagandy. „Brazylia! Austria! Anglia! – krzyczeli. Hurra! Hurra! Hurra! Nie zapomnę nigdy ich twarzy pełnych zachwytu i wdzięczności, jakbyśmy osobiście przywozili dyplomatyczne poparcie naszych krajów” – zapamiętał Timothy Garton Ash, który przyjechał do stoczni wraz z kolegami dziennikarzami³³.

Niektóre teksty opublikowane w stoczniowej „bibule”, jak rozmowa Krzysztofa Wyszkowskiego z Andrzejem Wajdą, zostały przedrukowane przez prasę zachodnią. Z kolei doniesienia zachodnich gazet tłumaczyło i nadawało Radio Wolna Europa³⁴. Niczym bumerang wracały do Polski. Te unikalne sytuacje komunikacyjne czasami przeradzały się w trwalsze związki. Część zachodnich dziennikarzy – jak choćby Timothy Garton Ash – została z nami na dłużej. Komentowała dalsze wydarzenia, uczyła się języka polskiego, pisała o Polsce książki. Do dziś o nas pamięta. Dzięki temu Polską interesowały się kolejne osoby: naukowcy, politycy, związkowcy. Publikacji, jakie pojawiły się w światowej prasie na temat Polski, nikt nie poddał głębszej analizie. Można jednak zaryzykować stwierdzenie, że w latach osiemdziesiątych było ich więcej niż kiedykolwiek wcześniej i chyba także później, tj. w czasach dzisiejszych. Zainteresowanie to miało też swoje granice i w sumie nie okazało się tak trwałe, jak byśmy sobie tego dzisiaj życzyli.

Narodziny opinii publicznej

Prasa niezależna oddziaływała sama na siebie, na strajkujących, na świat. Pomogła ludziom się zjednoczyć, co było warunkiem powodzenia w tych trudnych manewrach z władzą. Współtworzyła infrastrukturę komunikacyjną sierpniowych strajków, choć nadal kluczową rolę odgrywały w niej te najbardziej zwyczajne i instynktowne dla ludzi formy porozumiewania się – tysiące drobnych rozmów w małych i większych gronach, które najpierw doprowadziły do wyłonienia się dwóch stron konfliktu, a później do negocjacji nowej umowy społecznej. Doprowadziła do narodzin opinii publicznej. Ze strajkowych ulotek, z pism opozycji przedsierpniowej powstał nowy ład informacyjny. Setki pism zakładowych, tysiące druków Solidarności, prężny ruch wydawnictw poza cenzurą, które korzystały z wolnościowej koniunktury³⁵.

Poprawiła się więc jakość niezależnego myślenia, wcześniej ograniczonego tylko do tego, co zobaczone i zasłyszane. Opozycja stała się o wiele groźniejsza niż przedtem. Na polu propagandy władze poniosły straty nie do odrobienia. Na jaw wyszły medialne manipulacje, wynaturzenia życia politycznego, najbardziej drażliwie tematy, których można było nie podejmować przed Sierpniem bez większej szkody dla autorytetu władz³⁶. Otwarta konfrontacja na słowa drukowane i kolportowane w dużych nakładach zniszczyła dotychczasowe reguły przystosowania się do systemu, osłabiła konformizm społeczny, który jest podporą każdej władzy. Potrzebowała ona dopiero stanu wojennego, by odzyskać jako taki komfort rządzenia.

³³ T. Garton Ash, *Polska rewolucja. „Solidarność” 1980–1982*, Warszawa 1990, s. 2.

³⁴ M. Sandecki, *Matryca wolnej prasy*, [w:] *Narodziny „Solidarności”*. Kroniki sierpniowe, Gdańsk 2010, s. 191–197; M. Chrzan, *Posłańcy prawdy*, [w:] *ibidem*, s. 203–206.

³⁵ W 1979 r. ukazywało się 28 czasopism niezależnych od władz, w 1980 r. – 321, a w 1981 r. – 978 (R. Wróblewski, *Dynamika rozwoju prasy podziemnej na tle wydarzeń życia społecznego lat 80.*, mps w posiadaniu autora (za udostępnienie tego artykułu dziękuję Romanowi Wróblewskiemu); *Raport o stanie komunikacji społecznej w Polsce, sierpień 1980 – grudzień 1981*, red. W. Pisarek, Kraków 2007).

³⁶ S. Barańczak, *Moje niecenzuralne dziesięciolecie*, „Aneks” 1981, nr 26, s. 128.

Reakcje Zachodu na polski Sierpień

MARCIN FRYBES

◆ socjolog, pracownik naukowy CADIS-EHESS w Paryżu i Collegium Civitas w Warszawie. Wydał m.in.: *Po komunizmie. O miatach w Polsce współczesnej* (wraz z Patrickiem Michelem, 1999); *Merci pour votre solidarité! Dziękujemy za solidarność* (2005).

Strajki w Polsce latem 1980 r. wywołały życzliwe zainteresowanie, a nawet fascynację dziennikarzy, działaczy związkowych oraz opinii publicznej w wielu krajach wolnego świata, ale zarazem z trudem skrywane zakłopotanie czy wręcz obawy sporej części polityków. Po sowieckiej inwazji na Afganistan w 1979 r. masowe, pokojowe i rozważne, ale zarazem zdeterminowane wystąpienia polskich robotników, wspierane przez szanowanych na Zachodzie doradców, mogły przecież spowodować (i ostatecznie spowodowały) nowe napięcia pomiędzy dwoma wielkimi mocarstwami. Przez wielu witane z zachwytem i nadzieją, polskie strajki zapowiadające Solidarność stanowiły równocześnie śmiertelne zagrożenie dla i tak już mocno kulejącego procesu odprężenia, dla światowej *détente*.

Media w Stoczni Gdańskiej

Zachodni dziennikarze jako pierwsi zareagowali – w sposób bardzo spontaniczny – na polskie strajki. Ich artykuły, reportaże, programy radiowe i telewizyjne miały decydujący wpływ na postawę opinii światowej. Wielu z nich czy to w sposób oficjalny, czy też pod różnymi „przykrywkami” (prywatnie, niekiedy pod zmienioną tożsamością) zdecydowało się przyjechać do Polski, aby na własne oczy zobaczyć, co się dzieje. To dzięki nim

oraz sprawnemu systemowi przekazywania wiadomości zachodnim agencjom, w którym kluczową rolę odgrywało korowskie centrum informacyjne w mieszkaniu Jacka Kuronia, opinia publiczna na Zachodzie była praktycznie na bieżąco informowana o rozwoju sytuacji na Wybrzeżu.

Wypada się zgodzić z angielskim dziennikarzem przebywającym wówczas w Polsce, Nealem Ascherso-nem, który stwierdził 25 lat później: „swój rozgłos na świecie »Solidarność« zawdzięcza obecności w Polsce dziennikarzy zagranicznych”¹. Kiedy w połowie sierpnia wybuchły strajki na Wybrzeżu, a główne dzienniki zachodnie zamieściły popierające je oświadczenia opozycyjnych kręgów inteligencji, większość liczących się redakcji oraz światowych agencji prasowych zdecydowała się wysłać do kraju, którego historia obfitowała w robotnicze rewolty, specjalnych korespondentów. Unikalny polski kontekst fascynował wielu obserwatorów na świecie. „Sojusz robotników z inteligencją stanowi o wyjątkowości i sile polskich protestów. W żadnym innym kraju robotnicy nie mieli takich powiązań z opozycją, a ich wystąpienia nie miały tak politycznego charakteru jak w Polsce” – pisał wówczas John Darnton, wysłannik „The New York Times”².

Sporej części zagranicznych dziennikarzy udało się bez większych problemów dotrzeć na Wybrzeże, gdzie sami lub w towarzystwie swych polskich tłumaczy mieli okazję śledzić dramatyczny rozwój wydarzeń. „Kiedy zaczęła się decydująca fala strajków, docierając do Gdańska w sierpniu 1980 r., reżim nie zrobił nic, aby ją utajnić lub powstrzymać reporterów – przypomina Ascherson. – Wybrzeże nie stało się strefą zamkniętą.

¹ *Od Solidarności do wolności. Konferencja międzynarodowa, Warszawa – Gdańsk 29–31 sierpnia 2005, Gdańsk – Warszawa 2005*, s. 129.

² A. Brzeziecki, *Polski Sierpień w amerykańskiej prasie*, „Tygodnik Powszechny”, 18 VIII 2002 r.

Akredytowani w Polsce dziennikarze nie mieli problemów ze swobodnym poruszaniem się po kraju. A co najbardziej niezwykle, polskie ambasady za granicą przyznawały wizy wzrastającej liczbie dziennikarzy prasowych, radiowych i telewizyjnych, którzy zgłaszali się do biur prasowych i konsulatów w momencie, kiedy strajk rozwinął się na dobre w Stoczni im. Lenina i w innych zakładach pracy w Gdańsku. Choć podejrzewam, że było kilka wyjątków³. Według świadków strajk w Stoczni Gdańskiej oraz negocjacje pomiędzy przedstawicielami władz a Międzyzakładowym Komitetem Strajkowym obserwowano na żywo (a więc i relacjonowało) około dwustu dziennikarzy z całego świata, „od Włoch, RFN, Szwecji, Austrii, Holandii, Finlandii, Danii, Norwegii, W. Brytanii, Szwajcarii, Argentyny do Stanów Zjednoczonych. Reprezentowane były największe światowe agencje: Reuter, UPI, AFP, ANSA, DPA, AP (oficjalnie nie zgłosił się w czasie strajku przedstawiciel TASS), największe dzienniki, stacje radiowe i telewizyjne”⁴.

Dziennikarzom oraz innym zagranicznym obserwatorom obecnym w stoczni szybko udzieliła się niezwykła atmosfera, jaka tam panowała. Niektórym przypominało to klimat rewolt studenckich 1968 r., w których brali udział. Dla wielu było wyjątkowym doświadczeniem osobistego uczestniczenia w procesie stawania się historii, które potem starali się wiernie przekazać zachodniej opinii publicznej. Ich reportaże, wywiady i szczegółowe relacje z pobytu w Stoczni Gdańskiej, pisane bez ukrywania emocji, kilka miesięcy później zaczęły ukazywać się w formie publikacji książkowych, oferując zachodniej opinii publicznej potężną dawkę wiedzy na temat Polski oraz realiów życia w świecie komunistycznym⁵. Ślady sierpniowych negocjacji można odnaleźć w wielu innych książkach i dziennikach z tamtego okresu. Wybitna francuska pisarka Marguerite Duras

w książce zatytułowanej *L'Été 80* (Lato '80) zapisała pod datą 31 sierpnia 1980 r.: „wiadomość dotarła do nas w połowie soboty. Tak, Gdańsk. Zaakceptowano. Doszło do podpisania. [...] Nie wiem, jak mam wam mówić o tej nowinie. Wszyscy o tym rozmawiają, myśląc, że wszystko jest jasne, podczas gdy wcale tak nie jest”⁶.

Fascynacje zachodnich związkowców

Polskie strajki były nader uważnie obserwowane przez działaczy zachodnich związków zawodowych. Już 16 sierpnia przewodniczący otwarcie antykomunistycznej francuskiej centrali związkowej Force Ouvrière André Bergeron wydał specjalne oświadczenie. Podkreślał w nim: „najważniejszym aspektem aktualnych wydarzeń w Polsce jest to, że strajkujący robotnicy nie odnajdują się już w istniejących oficjalnych związkach zawodowych (których przywódcy są wyznaczani przez partię komunistyczną) i żądają prawa do tworzenia wolnych związków zawodowych. [...] W tle postulatów natury ekonomicznej i socjalnej rysują się wyraźnie aspiracje polskich robotników do demokracji, której ich kraj jest pozbawiony przez system komunistyczny. A każdy wie, że nie może istnieć demokracja bez wolnych związków zawodowych, niezależnych od partii i od państwa”⁷.

Dwa dni później trzy największe włoskie centrale związkowe: komunistyczna Confederazione Generale Italiana del Lavoro, chrześcijańska Confederazione Italiana Sindacati Lavoratori i socjaldemokratyczna Unione Italiana del Lavoro we wspólnym komunikacie wyraziły pełną solidarność ze strajkującymi polskimi robotnikami. Postanowiono wysłać specjalną delegację, aby przekazać im oświadczenie⁸. 28 sierpnia oficjalna delegacja trzech włoskich central związkowych wyładowała w Warszawie, jednak polskie władze nie wydały jej zgody na kontynuowanie podróży do Gdańska.

³ *Od Solidarności do wolności...*, s. 129

⁴ A. Drzycimski, M. Lehnert, *Osiem dni w Polsce*, Paris 1984, s. 10.

⁵ Spośród najbardziej znanych publikacji, które ukazały się w tym okresie, należy wymienić: D. Singer, *The Road to Gdansk. Poland and the USSR*, New York – London 1981; M. Dobbs, K.S. Karol, D. Trevisan, *Poland, Solidarity, Walesa*, Oxford 1981; J. Taylor, *Five Months with Solidarity (a First-Hand Report from Inside Hotel Morski, Gdansk)*, London 1981; J.Y. Potel, *Scènes de grèves en Pologne*, Paris 1981; D. MacShane, *Solidarity. Poland's Independent Trade Union*, Nottingham 1981; M. Larsson, *Det började i Gdansk*, Stockholm 1981; T. Garton Ash, *The Polish Revolution. Solidarity*, London 1983 (wydanie polskie: *Polska rewolucja. „Solidarność” 1980–1981*, Warszawa 1990), a także książki o charakterze bardziej naukowym: A. Touraine, J. Strzelecki, F. Dubet, M. Wieviorka, *Solidarité. Analyse d'un mouvement social, Pologne 1980–1981*, Paris 1982 (wydanie polskie: *Solidarność. Analiza ruchu społecznego 1980–1981*, [Warszawa] 1989); Th. Lowit, N. Fratellini, F. Bafoil, *Le pouvoir nu. La parole donnée aux ouvriers polonais*, Paris 1984.

⁶ M. Duras, *L'Été 80*, Paris 1980, s. 15.

⁷ M. Frybes, *Merci pour votre solidarité! Dziękujemy za solidarność*, Warszawa 2005, s. 8.

⁸ F. Carcagni, *I sedici mesi di Solidarnosc. Il ruolo dei sindacati italiani e della Santa Sede*, Firenze 2003.

31 sierpnia członkowie delegacji wrócili więc do Włoch, nie przewidując szybkiego zakończenia strajków na Wybrzeżu. Dopiero 9 września zjawiała się w Polsce Giacomina Cassina, reprezentantka CGIL. Udało się jej nie tylko spotkać z działaczami i doradcami nowych związków w Warszawie i Gdańsku, ale również przekazać zaproszenie dla Lecha Wałęsy do złożenia wizyty we Włoszech (co zostało formalnie potwierdzone we wspólnym zaproszeniu od trzech central z 29 września). Jej raport z pobytu w Polsce jasno określał priorytety pomocy dla niezależnych związkowców: „Nie pieniądze, lecz sprzęt poligraficzny – to jest to, czego oni oczekują”⁹.

16 sierpnia komunikat o wydarzeniach w Polsce ogłosiła największa międzynarodowa centrala wolnych związków zawodowych – International Confederation of Free Trade Unions (Międzynarodowa Konfederacja Wolnych Związków Zawodowych) z siedzibą w Brukseli¹⁰. 21 sierpnia francuska Confédération Française Démocratique du Travail, która podczas następnego miesiąca odegrała kluczową rolę w pomocy dla Solidarności, wystąpiła protest do ambasady PRL w Paryżu w związku z aresztowaniem działaczy KSS „KOR”, m.in. znanych i cenionych we Francji Jacka Kuronia i Adama Michnika. Poza tym ogłosiła apel o wsparcie moralne i finansowe dla strajkujących w Polsce. Natychmiast zaczęły napływać listy i pieniądze z całej Francji (w ciągu roku wpłynęły datki pieniężne na sumę 356 tys. franków – równowartość około 50 tys. dolarów). Kilka dni później specjalny wysłannik związkowy Claude Sardais pojawił się w Stoczni Gdańskiej, przywożąc ze sobą nie tylko list z poparciem od przewodniczącego CFDT Edmonda Maire’a, ale także 10 tys. franków (równowartość 1,5 tys. dolarów) dla strajkujących. Jego wystąpienie 25 sierpnia stoczniowcy przyjęli z entuzjazmem¹¹. Tydzień później do Gdańska dotarli kolejni związkowcy z Francji – tym razem z kwotą 2 tys. franków, zebranych wśród pracowników Narodowego Instytutu Badań Statystycz-

nych (INSEE) z inicjatywy międzyzwiązkowego komitetu poparcia, w którego skład wchodziła także komórka kontrolowanego przez francuskich komunistów związku zawodowego Confédération Générale du Travail¹².

Listy poparcia dla strajkujących robotników nadchodziły wówczas z całego świata, nie tylko od wielkich central związkowych, ale również od organizacji mniej znanych, a czasem wręcz egzotycznych lub związanych z ruchami lewackimi – m.in. od działaczy Związku Zawodowego Elektryków Nowej Zelandii, którzy zapewniali o „płynącym z głębi serca poparciu dla wszystkich robotników w walce o utworzenie w Polsce wolnego i niezależnego ruchu związkowego”, czy też od szwedzkich anarchosyndykalistów.

Najpoważniejsze, a zarazem najbardziej jednoznaczne wsparcie strajkujący otrzymali od potężnej amerykańskiej centrali związkowej American Federation of Labor and Congress of Industrial Organizations (AFL-CIO). 21 sierpnia jej przewodniczący Lane Kirkland ogłosił, że jego organizacja popiera i zamierza wspomagać polskich robotników¹³. Kilka dni później Kirkland zapowiedział w wywiadzie dla programu „Meet the Press” w telewizji NBC, że jeśli szybko nie dojdzie do porozumienia pomiędzy władzami komunistycznymi a strajkującymi, to międzynarodowy ruch związkowy może zorganizować wielką blokadę transportową produktów z Polski. Teddy Gleason, przewodniczący International Longshoremen’s Association, zapowiedział, że jego związek, liczący 110 tys. członków, jest gotowy zablokować wszystkie polskie statki na całym wschodnim wybrzeżu Stanów Zjednoczonych oraz w Zatoce Meksykańskiej. Kirkland zwrócił się też do światowej International Transport Workers’ Federation o poparcie tej akcji w innych krajach na całym świecie¹⁴.

Poparcie zachodnich przywódców związkowych nie było jednak powszechne. Niektóre związki wybrały dyplomatyczne milczenie. Inne, jak największa zachodniemiecka centrala Deutscher Gewerkschaftsbund –

⁹ G. Meardi, *Solidarność, vista e vissuta a distanza*, [w:] *Solidarnosc 20 anni dopo. Analisi, testimonianze e eredità*, red. E. Jogalla, G. Meardi, Roma 2002, s. 10.

¹⁰ Warto przypomnieć, że już w 1978 r. ICFU skierował skargę na polski rząd do Międzynarodowej Organizacji Pracy w Genewie z powodu nierespektowania konwencji nr 87 i 98 (dotyczących wolności związkowych i prawa do zbiorowych negocjacji), które rząd PRL wcześniej ratyfikował.

¹¹ M. Frybes, *Une experience de dialogue Est-Ouest. L’engagement de la CFDT en faveur du mouvement Solidarność*, Paris 1990, s. 8. List od przywódców CFDT do strajkujących został zamieszczony w numerze 6 wychodzącego w stoczni „Strajkowego Biuletynu Informacyjnego Solidarność” z 27 VIII 1980 r.

¹² Wspomnienia Jeana-Roberta Suessera, [w:] M. Frybes, *Merci pour votre solidarité!...*, s. 12.

¹³ A. Puddington, *Lane Kirkland. Champion of American Labor*, Portland 2005.

¹⁴ F. Barbash, *Unions in West Helped Poles*, *UAW President says*, „Washington Post”, 1 IX 1980 r.

bardzo ogólnikowe deklaracje¹⁵. W Anglii pomimo presji i apeli części działaczy, m.in. Franka Chapple'a – przewodniczącego brytyjskiej federacji elektryków, krajowe kierownictwo brytyjskiej centrali związkowej Trades Union Congress milczało w sprawie Polski, a obradujący w Brighton na początku września 1980 r. jej kongres krajowy nie tylko nie udzielił jednoznacznego poparcia powstającej Solidarności, ale postanowił utrzymać zaplanowaną wcześniej jesienną wizytę w Polsce delegacji TUC na zaproszenie komunistycznej Centralnej Rady Związków Zawodowych.

W innych krajach uważnie obserwowano wydarzenia, ale dopiero podpisanie porozumienia gdańskiego zaowocowało konkretnymi działaniami i deklaracjami. I tak w Norwegii z inicjatywy kilku związkowców entuzjastów, którzy w pierwszych dniach września 1980 r. postanowili pojechać do Gdańska, aby na własne oczy zobaczyć, jak powstaje pierwszy niezależny związek zawodowy w kraju komunistycznym, zorganizowano spektakularną akcję wśród związkowców pod hasłem „Daj godzinę pracy dla Polski”. Dzięki niej uzbierano ponad 200 tys. koron, a jej wyjątkowe powodzenie znacznie przyspieszyło powstanie stowarzyszenia Solidarność Norwesko-Polska¹⁶.

Polska dla Polski

Środowiska polonijne, w szczególności w Stanach Zjednoczonych, bardzo uważnie śledziły rozwój sytuacji w kraju. Z inicjatywy redakcji wychodzącego w Chicago od 1979 r. pisma „Pomost” (przede wszystkim Krzysztofa Rac-Mansweta)¹⁷ w sobotę 23 sierpnia wydział Kongresu Polonii Amerykańskiej w stanie Illinois zorganizował pierwszą demonstrację popierającą strajkujących robotników. Uczestniczyło w niej kilkanaście tysięcy osób. Dzięki kontaktom byłego kongresmana, a zara-

zem członka KPA Romana Pucińskiego przemówienia podczas demonstracji wygłosili gubernator stanu Illinois James Thompson, senator Charles Percy, burmistrz Chicago Jane Byrne oraz prezes KPA Alojzy Mazewski. W tym samym dniu, również z inicjatywy „Pomostu”, pod konsulatem PRL w Nowym Jorku odbyła się inna demonstracja popierająca strajkujących¹⁸. Akcje poparcia zorganizowały również środowiska polonijne w Kanadzie oraz Polacy mieszkający na Zachodnim Wybrzeżu USA, skupieni wokół Domu Polskiego w Seattle¹⁹.

Prezes Mazewski oświadczył, że strajki nie są w żadnym wypadku „wewnętrzną sprawą Polski”, jak utrzymywali niektórzy urzędnicy administracji amerykańskiej, oraz że „gwałcenie praw człowieka, jako sprzeczne z Aktem Helsińskim, powinno stać się przedmiotem zainteresowania opinii światowej”²⁰. W podobnym tonie sformułowany był telegram i memorandum wysłane przez władze KPA do prezydenta Jimmy'ego Cartera. W odpowiedzi 25 sierpnia odbyła się dwugodzinna rozmowa przedstawicieli KPA z urzędnikami Departamentu Stanu. W oświadczeniu prasowym Kongres ogłosił, że Polonia amerykańska obserwuje sytuację w Polsce „z uwagą, dumą i niepokojem”. Przyznał też słuszność postulatów strajkujących, a odpowiedzialnością za rozwój sytuacji obarczył władze PRL. Prezes Mazewski zaapelował do kandydatów na prezydenta USA o wysłanie do Moskwy czytelnych sygnałów, że interwencja wojsk radzieckich mogłaby spowodować natychmiastową reakcję Stanów Zjednoczonych²¹. Lider KPA oraz Helena Zielińska (przewodnicząca Związku Polek w Ameryce) zostali włączeni – jako zaproszeni przez prezydenta „członkowie społeczności” – w skład delegacji amerykańskiej na listopadową konferencję przeglądową KBWE w Madrycie. Spowodowało to wzrost autorytetu Kongresu wśród amerykańskich działaczy organizacji

¹⁵ 27 VIII 1980 r. kierownictwo DGB opublikowało pierwszy komunikat, w którym pisano, że niemieccy związkowcy śledzą strajki w Polsce „z niepokojem i uwagą”. W następnym oświadczeniu z początku września DGB wyraziło poparcie dla nowych związków, a szef działu zagranicznego Erwin Kristoffersen już 15 IX 1980 r. przyjechał do Gdańska. Miał potem wielkie problemy z otrzymaniem wizy do Polski. Ówczesny polski konsul Mirosław Wojtkowski poskarżył się kilka dni później szefowi działu zagranicznego SPD Hansowi-Eberhardowi Dingelowski, że polski „rząd z niepokojem śledzi pewne, jawne i ukryte działania niemieckich związków zawodowych”. Podobne zaniepokojenie wyraził wobec działacza SPD ówczesny ambasador ZSRR w Niemczech Zachodnich.

¹⁶ J. Strękowski, *Bohaterowie Europy. Norwegia Polsce 1976–1989*, Lublin 2005, s. 39–54.

¹⁷ J. Wojdon, „W jedności siła”. *Kongres Polonii Amerykańskiej w latach 1968–1988*, Toruń 2008, s. 90–95.

¹⁸ *Ibidem*, s. 388.

¹⁹ Z.A. Pietrzyk, *Pomoc Polonii z Seattle dla podziemia w Polsce 1981–1989*, Seattle 2005. Szczegóły patrz: <http://www.polishhome.org/Solidarity.htm>.

²⁰ J. Wojdon, „W jedności siła”..., s. 389.

²¹ *Ibidem*, s. 389.

obrony praw człowieka wywodzących się z innych krajów wschodnioeuropejskich²² i nadało organizacjom polonijnym rolę swego lidera.

Także w Wielkiej Brytanii Polonia szybko podjęła poważne działania. Jeszcze w sierpniu powstała w Anglii organizacja Polish Solidarity Campaign z inicjatywy przedstawicieli lewego skrzydła Labour Party (Robin Blick, Karen Blick, Adam Westoby) oraz drugiego pokolenia polskiej emigracji na Wyspach, w tym działaczy Polskiej Partii Socjalistycznej²³. Do działań PSC włączyli się ekonomiści Stanisław Gomułka i Jacek Rostowski, a także znany działacz polonijny Wiktor Moszczyński, który 22 sierpnia zorganizował konferencję prasową, starając się wymusić na brytyjskich związkach zawodowych, by zdecydowanie poparły robotników strajkujących w Polsce. 26 sierpnia w Conway Hall w Londynie odbył się wiec poparcia dla polskich robotników z udziałem ponad stu osób, w tym działaczy i polityków zbliżonych do rządu RP na emigracji. Jedną z bardziej aktywnych osób w PSC był angielski inżynier Giles Hart. Zginął on w zamachu terrorystycznym w Londynie w 2005 r., kilka tygodni przed uroczystościami 25-lecia Solidarności (na które go zaproszono). Pozostawił po sobie wydaną w 1995 r. książkę opisującą skomplikowany kontekst angielskich działań na rzecz Solidarności, w tym historię PSC²⁴.

W innych krajach „stare” organizacje polonijne nie wykazały się w tym okresie specjalną aktywnością. Wydarzenia w Polsce z wielką uwagą obserwowali natomiast ludzie z emigracji pomarcowej. Powołany w 1977 r. w Danii z inicjatywy marcowych emigrantów Komitet Rozpowszechniania Polskiej Literatury Emigracyjnej przekształcił się w sierpniu 1980 r. w Komitet Poparcia Opozycji Demokratycznej w Polsce. We Francji naukowcy z francuskiej akademii nauk CNRS, silnie zaangażowani w drugiej połowie lat siedemdziesiątych w działania na rzecz opozycji w Polsce – Krzysztof Pomian, Aleksander Smolar i Georges Mink – stanowili naturalne zaplecze doradcze dla związku zawodowego CFDT. To właśnie oni animowali specjalną konferencję prasową zwołaną przez

ten związek 2 września 1980 r. W Szwecji osoby zaangażowane w działania Östeuropeiska Solidaritetskommittén (Komitetu Solidarności z Europą Wschodnią) – Maria Borowska, Aleksander Orłowski i Jakub Świącicki – spotkali się w sierpniu z Olofem Palmem (wówczas przywódcą opozycji socjaldemokratycznej, a wcześniej wieloletnim premierem). „Prosiliśmy go o wysłanie profesjonalnych mediatorów. [...] W Szwecji jest taka instytucja technicznych negocjatorów (używanych w corocznych rokowaniach związki zawodowe – pracodawcy). Sytuacja była bardzo dramatyczna. Rozmowy w Gdańsku były relacjonowane na bieżąco. Wydawało nam się, że to, co możemy zrobić ze Szwecji, to ułatwić – technicznie – rozmowy, np. sprawa tajności lub otwartości rokowań, dość zapalna w Gdańsku, mogłaby się stać kwestią dla szwedzkich zawodowych mediatorów” – wspomina Świącicki²⁵. W efekcie do Gdańska pojechała trzyosobowa szwedzka delegacja, ale nie odegrała znaczącej roli.

Ostrożność polityków

W odróżnieniu od żywiołowego poparcia związkowców reakcje polityków zachodnich na wydarzenia w Polsce były – generalnie rzecz biorąc – szalenie ostrożne i wyważone. Amerykańska agencja wywiadowcza CIA opracowała jeszcze w lipcu specjalny raport na temat wydarzeń w Polsce, w którym ostrzegła przed groźbą wojskowej interwencji ze strony ZSRR²⁶. Zaniepokojenie Waszyngtonu było tak wielkie, że w ostatnim tygodniu sierpnia prezydent Carter wystosował list do przywódców Wielkiej Brytanii, Niemiec i Francji, proponując im współpracę wobec coraz bardziej skomplikowanej sytuacji w Polsce. Pisał w nim m.in.: „to, co się dzieje w Polsce, może doprowadzić do daleko idących konsekwencji dla relacji Wschód – Zachód i dla przyszłości całego bloku wschodniego”²⁷. Warto podkreślić, że prezydent Stanów Zjednoczonych do czasu podpisania porozumień w Polsce dyplomatycznie milczał, a jego administracja nie uznała nawet za stosowne powołania jakiegoś sztabu kryzysowego (jak to zrobiła w przypadku rewolucji w Iranie czy wojny w Nikaragui). Postawa władz

²² *Ibidem*, s. 392.

²³ G. Hart, *For Our Freedom and Yours. Za naszą i waszą wolność. A History of the Polish Solidarity Campaign of Great Britain 1980–1994*, London 1995, s. 20.

²⁴ *Ibidem*. Książka (nieprzetłumaczona dotychczas na język polski) jest dostępna na stronie: <http://www.polishsolidarity.org.uk>.

²⁵ Rozmowa autora z Jakubem Świącickim, 22 X 2010 r.

²⁶ V. Mastny, *The Soviet Non-Invasion of Poland in 1980/81 and the End of the Cold War*, „Europe – Asia Studies” 1999, t. 51, nr 2, s. 189–211.

²⁷ D.J. MacEachin, *US Intelligence and the Polish Crisis 1980–1981*, Washington 2000, s. 26.

amerykańskich była zresztą od początku krytykowana przez związek AFL-CIO. Trzeba jednak odnotować, że 21 sierpnia Departament Stanu wydał apel o jak najszybsze uwolnienie zatrzymanych w Polsce członków opozycji demokratycznej.

Atmosferę tamtych dni przypomniał niedawno Zbigniew Brzeziński: „W administracji było na ogół zrozumienie, że to, co się dzieje w Polsce, jest bez precedensu i może mieć zasadnicze znaczenie dla całokształtu układu światowego. Oczywiście jednak łączyło się to z niepokojem, że cała sprawa może się skończyć źle, w podobny sposób, jak w Czechosłowacji w 1968 r. [...] Należy pamiętać, że ZSRR był wówczas przekonany, że szala historii przechyla się na jego korzyść – wojska sowieckie były w Afganistanie. W tej sytuacji zasadniczym celem polityki USA było nie dopuścić do interwencji sowieckiej w Polsce, tzn. przekonać Sowiety, że miałyby ona kolosalne konsekwencje – bliżej nieokreślone, ale analogiczne do tego, co miało miejsce w Afganistanie”²⁸. Nieco inaczej wspomina te czasy Richard Pipes, doradca następnego prezydenta, Ronalda Reagana: „Powstanie Solidarności przyjęto w Waszyngtonie z wielkim entuzjazmem. Prezydent Reagan był bardzo podniecony. Martwił się zawsze, jak można zwyciężyć komunizm, chciał jego obalenia, ale obawiał się wojny nuklearnej. Strach przed nią był jego obsesją. Solidarność tymczasem stwarzała nadzieję na pokojowy sposób likwidacji komunizmu”²⁹.

W innych krajach politycy również milczeli. Trudno się im zresztą specjalnie dziwić. „Czy Rosjanie wkroczą?» Jak nuży już wszystkich to pytanie zadawane przez korespondentów zachodnich! Pod groźbą interwencji rosyjskiej – jak pod groźbą lawiny – żyje się tu od wielu lat i wtem jacyś krzykliwi turyści z kamerami i mikrofonami zaczynają podniecać się ewentualnością tragedii” – notował pod datą 29 sierpnia Timothy Garton Ash, który jako jeden z pierwszych zachodnich dziennikarzy przyjechał do strajkującej Stoczni Gdańskiej³⁰. Tymczasem było to zasadnicze pytanie, którym żyli wówczas zachodni politycy oraz – na szczęście

tylko niektórzy – dziennikarze. Nawet po podpisaniu porozumienia w Gdańsku mało kto wierzył w przyszłość niezależnego ruchu związkowego powstającego żywiłowo w Polsce. Dosadnie ujął to prezydent Francji Valéry Giscard d’Estaing, pytany w telewizji Antenne 2 w styczniu 1981 r. o Solidarność: „Polska jest częścią bloku sowieckiego i wszelkie drogi komunikacyjne z tym blokiem przechodzą przez Polskę. Ktokolwiek próbowałby ignorować te fakty geograficzne i strategiczne, nie ma żadnych szans na akceptację przez Związek Radziecki”³¹.

Nie wszystko jeszcze wiemy o wielu sprawach dotyczących reakcji państw i polityków zachodnich na wydarzenia w Polsce. Słabo znane są dokumenty dotyczące Watykanu, którego wysiłki dyplomatyczne w następnych miesiącach i latach będą – jak wiemy z innych źródeł – absolutnie pierwszorzędne. Czy w sierpniu 1980 r. papież Jan Paweł II ograniczył się do wysłania listu do prymasa Stefana Wyszyńskiego ze słowami wsparcia dla zmagającego się „o sprawiedliwość społeczną i zabezpieczenie jego nienaruszalnych praw do własnego życia i rozwoju”³², modlitwy oraz – jak pisze znawca tematu Andrzej Grajewski – do wypowiedzenia nieco zagadkowych słów: „Może nadeszła chwila?”³³.

Cud czy rewolucja?

Pokojowe zakończenie strajków wywołało zdumienie na całym świecie. W zasadzie jednak tylko ci, którzy na własne oczy przeżyli i zobaczyli determinację, spokój i dojrzałość polskich robotników zrozumieli, że świat stanął wobec zupełnie nowego zjawiska i poprzednio obowiązujące kategorie opisu sytuacji w krajach bloku komunistycznego przestały nagle obowiązywać. Francuski korespondent dziennika „Le Monde” tak opisywał atmosferę panującą w stoczni 31 sierpnia: „Ludzie płaczą, śmieją się, skaczą, całują się, młodzi, starzy, dzieci, pary, całe rodziny. Przypomina to zbiorowy trans. Najdłuższy strajk w historii Polski (i prawdopodobnie najdłuższy w historii świata komunistycznego) kończy się zwycięstwem bez przelania najmniejszej kropli krwi, bez stłuczenia jakiegokolwiek szyby. Istny cud – być może, skoro

²⁸ Zbigniew Brzeziński w wywiadzie dla PAP, 30 VIII 2010 r., <http://www.historia.pap.pl/?q=node/5330>.

²⁹ Richard Pipes w rozmowie z PAP, 27 VIII 2010 r., <http://www.historia.pap.pl/?q=node/5354>.

³⁰ T. Garton Ash, *The Polish Revolution...*, s. 36–37.

³¹ K. Pietras, *France toward „Solidarność” and Martial Law in Poland in the 1980–1982*, mps w posiadaniu autora, s. 6.

³² Cyt. za: „Strajkowy Biuletyn Informacyjny”, [w:] J. Skórzyński, M. Pernal, *Kalendarium Solidarności 1980–89*, Warszawa 2005, s. 225.

³³ A. Grajewski, *Papież w stoczni*, „Gość Niedzielny”, 29 VIII 2010 r.

tak się mówi. Z całą pewnością – zasadniczy zwrot historyczny. Ale nade wszystko – niesłychany dowód inteligencji i dojrzałości politycznej tego narodu i jego przywódców – co najmniej tych, którzy potrafili postawić wyżej rację rozumu nad racją karabinu maszynowego”³⁴.

Sierpniowe strajki postrzegane były też ze zgoła innej perspektywy: „[...] wydarzenia, które obserwujemy, są z punktu widzenia rewolucyjnego »chemicznie czyste«. Masowy bunt robotników w całym kraju nie może być wynikiem manipulacji »kapitalistycznych«, reakcji burżuazji czy snów intelektualistów. Nie jest to też skutek działań uprzywilejowanych studentów marzących o Zachodzie i cierpiących frustracje z powodu życia w skolektywizowanym społeczeństwie. Mamy tu do czynienia z masą ludzi zgromadzonych w ich miejscach pracy, w naturalnym terenie ich walk. Ich żądania są żądaniami pracujących wszystkich krajów i wszystkich czasów: chleba i wolności. Hasła wszystkich wielkich

protestów. Wyrażają idee, które składają się na historię ruchu robotniczego, historię »tworzoną« przez ruch robotniczy. To z tymi hasłami na ustach ludy robiły wojny i rewolucje, starając się zbudować »socjalizm«”³⁵ – pisał w sierpniu 1980 r. Jean Daniel, redaktor naczelny paryskiego lewicowego tygodnika „Le Nouvel Observateur”.

W 2005 r., podczas obchodów 25-lecia Solidarności, Garton Ash mówił: „ta samoograniczająca się, pokojowa, negocjacyjna polska rewolucja była naprawdą przyczyną przededefiniowania pojęcia »rewolucja« nie tylko w Europie Środkowej, ale na całym świecie. To był rzeczywisty początek końca jakobińsko-bolszewickiego modelu rewolucji, rewolucji roku 1789 czy 1917, i początek tego, co jest już faktem [...]: zmianą modelu rewolucji na świecie. »Solidarność« lat 1980–1981 była pierwszą »rewolucją aksamitną«”³⁶. Może właśnie dlatego sierpniowe strajki w Polsce były tak ważne nie tylko dla Polaków, ale i dla ich zachodnich obserwatorów.

³⁴ M. Frybes, *Merci pour votre solidarité!...*, s. 9.

³⁵ J. Daniel, *Vive la Pologne!*, „Le Nouvel Observateur”, 23 VIII 1980 r., s. 18.

³⁶ T. Garton Ash, *Od Solidarności do wolności...*, s. 27.

Siły elektromagnetyczne, fale radiowe i rewolucje demokratyczne. Czy istnieje historia transgraniczna?

PADRAIC KENNEY

❖ dr, historyk amerykański, wykłada historię Europy Wschodniej oraz historię Polski pod rządami komunistycznymi na Indiana University. Mieszkał i prowadził badania m.in. w Polsce, na Ukrainie i w Republice Południowej Afryki. Autor wielu książek, w tym: *Rebuilding Poland: Workers and Communists 1945–1950* (1997), *The Burdens of Freedom: Eastern Europe since 1989* (2000), *1989: Democratic Revolutions at the Cold War's End* (2009). W Polsce wydano: *Rewolucyjny karnawał. Europa Środkowa 1989* (2005) i *Wrocławskie zadymy* (2007).

Latem 1998 r. prowadziłem w Budapeszcie badania, próbując usytuować rewolucyjne przemiany zachodzące na Węgrzech w 1989 r. w szerszym kontekście przemian regionalnych. Przez rok rozmawiałem w Polsce z setkami działaczy opozycji, zwłaszcza młodszymi, którzy w chwili upadku komunizmu mieli kilkanaście czy dwadzieścia parę lat. Wielu interesowało się ruchem opozycyjnym w sąsiednich krajach – żeby się o tym przekonać, wystarczyło poczytać ówczesną prasę drugoobiegową.

Kiedy zaczynałem badania nad przypadkiem węgierskim, uderzyło mnie podobieństwo czołowej formacji młodej opozycji końca lat osiemdziesiątych, Fidesz (Związku Młodych Demokratów), do najważniejszej młodzieżowej organizacji opozycyjnej w Polsce, jaką był Ruch Wolność i Pokój. Tym, którzy nie wiedzą, wyjaśniam, że była to główna po Solidarności siła nowej opozycji. WiP powstał w 1985 r. na fali protestu przeciwko przymusowej służbie wojskowej i rozrósł się w wielozadaniowy, ogólnopolski ruch, który zajmował się konkretnymi sprawami, działając jawnie i ponad podziałami (należeli do niego zarówno anarchiści, jak

konserwatyści). Kiedy czytałem o założonym w 1988 r. przez studentów prawa Fidesz, rzuciły mi się w oczy podobieństwa. Dziś jest to partia prawicowa, kierowana przez jednego ze współzałożycieli, Viktora Orbana, jednak w pierwszym roku istnienia była dokładnie tym, czym WiP. Demonstrowała w obronie środowiska i wspierała odmawiających służby wojskowej, radykalnie odrzucając ideologię, czym odróżniała się od polityki „starych”.

Jednak historyk badający ponadnarodową współczesność nie powinien ograniczać się do poszlak. Społeczeństwa to nie związki chemiczne, reagujące tak samo w tych samych warunkach, ani upadające jedna po drugiej kostki domina. Historyk musi – co niestety rzadko robi – zadać sobie pytanie, skąd bierze się i na czym polega podobieństwo zjawisk. Społeczeństwa mogą mieć podobny ustrój społeczno-gospodarczy, ale skąd tu i tam analogiczne zjawiska, zważywszy na ograniczenia swobody podróżowania i dostępu do mediów, a także barierę językową?

Po wskazówce udałem się do Budapesztu. Pierwsze wywiady z obecnymi i dawnymi członkami Fidesz potwierdziły zasadnicze podobieństwo do WiP; duże wrażenie zrobiła na mnie ich pomysłowość i wpływ, jaki wywarli na transformację ustrojową, jednak nie zauważyłem bezpośrednich związków. Ostatniego dnia w Budapeszcie, czekając na pociąg do Zagrzebia, gdzie miałem robić kolejne wywiady, rozmawiałem w kawiarni z byłym członkiem Fidesz Péterem Molnárem. Kiedy dowiedział się, że badania zacząłem w Polsce i że rodzina mojej żony nadal żyje we Wrocławiu, ożywił się: „Wrocław! Tak, pamiętam. Byłem tam – kiedy to było, w 1985?”.

Nagle pojawił się związek. Molnár, jak się okazało, pamiętał źle, bo nie był we Wrocławiu. Ale historia okazała się jeszcze ciekawsza. Jego nauczyciele, dwaj młodzi politolodzy, István Stumpf i Tamás Fellegi (z oboma przeprowadziłem wywiady) tak zainteresowali się Polską i Solidarnością, że wybrali się tam w 1983 r. (na drugą pielgrzymkę papieską). Po powrocie uzyskali zgodę na założenie uczelni dla studentów prawa spoza Budapesztu, w większości mieszkańców prowincjonalnych miasteczek, którzy nie znali się na polityce, ale Fellegi i Stumpf widzieli w nich przyszłość Węgier. Obu politologów fascynowała polska opozycja i chcieli zapoznać z jej działalnością swoich studentów. W następnych latach zabierali ich na badania terenowe do Warszawy, Poznania, Krakowa i Gdańska (o ile wiem, nie do Wrocławia). Uczestniczyli w zebraniach i demonstracjach, poznawali kolegów z... Ruchu Wolność i Pokój.

Mamy wreszcie kogoś z dymiącym pistoletem. Okazało się, że i studenci, i nauczyciele poznawali polską opozycję, pragnąc wykorzystać jej doświadczenia. Fidesz, innymi słowy, powstał wedle polskiej recepty. Istniały też inne polsko-węgierskie styczności, ale te były najważniejsze. Wymiana idei i spotkania działaczy opozycji polskiej i węgierskiej odegrały małą, ale ważną rolę w obaleniu komunizmu. Sądzę, że bez polskiej lekcji 26-letni Victor Orbán nie wygłosiłby swej słynnej mowy na symbolicznym pogrzebie Imre Nagya w czerwcu 1989 r. Ani Fidesz nie zerwałby tamtej jesieni z opozycją starszej generacji.

Oto historia transgraniczna w najczystszej postaci. Nie są to ani upadające kostki domina, ani dojrzewający „duch czasów”, ani też nieuchronne siły historii. Oto młodzi ludzie z jednego kraju przychodzą do mieszkań w innym kraju, gdzie spotykają ludzi w podobnym wieku i z podobnych środowisk, jednak zachowujących się całkiem inaczej. Poznają nowe formy działania i zabierają tę wiedzę do domu. Zapożyczają nie tyle konkretne techniki czy tradycje (większość Węgrów nie należy np. do praktykujących katolików), ale sposób myślenia i działania. Samo przekroczenie granic było równie istotne jak nawiązywane relacje.

Jest wiele innych przykładów takiej działalności w Europie Środkowej lat 1986–1989. Związki ukraiń-

skich hipisów z polskim ruchem pokojowym czy litewskimi niepodległościowcami. Polscy kurierzy przewożący w plecakach literaturę do Czechosłowacji, spotkania opozycjonistów w nadgranicznych Karkonoszach. Niemcy z NRD przemierzający w poszukiwaniu *Zivilcourage* Polskę, gdzie spotykali czasem zachodnioeuropejskich działaczy pokojowych. Zatrzymałem się dłużej przy tej kwestii z trzech powodów. Po pierwsze łączy się ona z myślą zawartą w tytule tej konferencji¹. Rok 1989 miał aspekt transgraniczny, czym zajmuję się od dłuższego czasu – ostatnio w książce o ówczesnych wydarzeniach na czterech kontynentach. Po drugie, co warto podkreślić, jest to typ związków transgranicznych trudnych do uchwycenia dla historyków. Indywidualne relacje tego rodzaju są ulotne i zwykle nieudokumentowane; mają też – jak sądzę – znaczne skutki, bo osoby powracające dzielą się doświadczeniem z szerszym kręgiem znajomych. Ale po trzecie chciałbym też zastanowić się nad samą istotą historii transgranicznej. Żeby jednak ustalić, czym ona nie jest i czym być nie może, muszę najpierw stwierdzić, czym jest. Uprzedzając wnioski, powiem tak: wschodnioeuropejskie rewolucje 1989 r. dowodzą, że relacje transgraniczne nasilają się w okresach podwyższonej aktywności politycznej, są krótkodystansowe i obejmują ludzi, których łączą określone interesy i umiejętności. Są oni jak atomy w cząsteczce, związane krótkozasięgową wymianą informacji. Jeśli więc opozycja w bloku wschodnim była molekułą (czego? – niech zdecydują czytelnicy), związki transgraniczne były jak wiążące je siły elektromagnetyczne.

Pytanie brzmi: czy siły te działają też na większe odległości, łącząc mniej podobne obszary. Kiedy zastanawiałem się nad fenomenem transgranicznych zapożyczeń, inspiracji i ruchów, założyłem, że mogłyby to być klucz do zrozumienia wyzwania się procesów historycznych od tradycyjnych ograniczeń i podstawowe narzędzie interpretacji współczesnego świata. Co do pierwszej kwestii, łatwo przypomnieć sobie okresy historyczne, kiedy wydarzenia w kolejnych krajach zdawały się następować jedno po drugim. Przed rokiem 1989 był 1968, 1956, 1945, 1933, 1917–1920, 1848, 1830–1831... Któryś na pewno pominął, ograniczam się też do Europy. Z każdą z tych dat łączy się tradycyjna narracja

¹ Publikowany tekst jest polską wersją referatu inauguracyjnego wygłoszonego na konferencji: „Transnational Perspectives on Dissent and Opposition in Central and Eastern Europe” (Opozycja z perspektywy międzynarodowej. Historia ruchów dysydenckich i opozycyjnych Europy Środkowej i Wschodniej), zorganizowanej przez Niemiecki Instytut Historyczny w Warszawie 17 IX 2010 r.

dwojakiego typu: albo mamy pojedynczą siłę (jak partia bolszewicka, Nikita Chruszczow, Michaił Gorbaczow czy Adolf Hitler), która wymusza zmiany lub wywołuje niemal jednoczesne reakcje w wielu miejscach, albo też bliżej nieokreśloną „sytuację rewolucyjną” (*Zeitgeist*, jak kto woli), która bierze się cudownym sposobem znikąd. Mozolne i uwieńczone powodzeniem badania nad wielojęzycznymi wysłannikami czy pielgrzymami buda-peszteńskiej rewolucji doprowadziły mnie do wniosku, że w każdej rewolucji znajdziemy podobne osoby szerzące poza zasięgiem radarów nowe idee. Z niedawno wydanej książki o 1968 r. dowiadujemy się, że jeszcze przed majową rewoltą, w marcu, do studentów Sorbony przyjechał z belgijskiego Louvain cały autobus kolegów i koleżanek, którzy opowiadali o walce, jaką toczą z władzami uniwersytetu. Tegoż roku czescy studenci odwiedzili w berlińskim szpitalu rannego Rudiego Dutschke. Chcielibyśmy wiedzieć, jakie idee, perspektywy i koncepcje działania krążyły w dawnych czasach wśród różnych narodów, na ulicach i w kawiarniach Petersburga, Paryża czy Padwy.

Mówimy o momentach rewolucyjnych, ale czy wymiana idei nie trwa stale? Badacze współczesnego feminizmu albo ruchu antynuklearnego mogliby próbować wyjść poza tradycyjną perspektywę koncentrującą się na kampaniach w poszczególnych krajach przeciwko temu czy innemu prawu lub budowie jakiegoś reaktora i spytać o mechanizmy poznawania i zapożyczenia repertuarów protestu. Wyjście w myśleniu poza narodowe granice przysłużyłoby się też badaczom socjalizmu, religii millenarystycznych, nauki.

Nienowoty to pomysł, ale z nową nazwą. „Transgraniczność” znaczy, że ważne jest samo przekraczanie granic, a o jej nowości decydują świadome relacje, które omijają lub podkopują biurokratyczne mury. W najbardziej romantycznym wydaniu to, rzecz można, radość z tego, że nie dzielą ludzi ani armie, ani straż graniczne, ani odrębna edukacja.

Wiemy, że żyjemy dziś w innym świecie. Istnieje, owszem, globalna historia, sięgająca wręcz prehistorii. Jednak ilość współczesnych form komunikacji i ich szybkość stworzyła, jak się wydaje, nową jakość. W 1848 r. na paryski wykład Adama Mickiewicza wędrowałbym stąd tygodniami; teraz mogę błyskawicznie ściągnąć podcasty z Internetu (i jeszcze sprawdzić na YouTube odpowiedź Juliusza Słowackiego). Idee i style szerzą się znacznie

szybciej, sięgając w naszą prywatność głębiej, niż byśmy uznali za możliwe, ogarniają szersze rzesze ludzi. Globalizacyjny trop opanował dyskurs publiczny ostatnich dwóch dekad. Mamy poczucie, że zwykli ludzie, zwłaszcza szukający rozwiązania problemów politycznych czy gospodarczych, coraz łatwiej akceptują wpływy innych kultur i uczestnictwo w międzynarodowych przedsięwzięciach. Nawet ksenofobia wydaje się stać bardziej niż dotychczas w jawnej sprzeczności z siłami globalizacji.

W mojej dziedzinie, jaką są rewolucyjne przemiany w Europie Wschodniej, nic bardziej nie świadczy o potędze transgraniczności niż obecność młodych Serbów i Serbek w Gruzji i na Ukrainie w latach 2003 i 2004. Reprezentowali oni Otpor – ruch, który odegrał decydującą rolę w obaleniu w 2000 r. Slobodana Miloszevicia. Ich styl i taktyka wydały się zresztą znajome, ale o tym później. Atak na Miloszevicia – i wahających się polityków opozycyjnych starszego pokolenia – studenci z Otporu przygotowali starannie, zwracając się nawet o pomoc do kolegów z firm reklamowych. W 2000 r. świat był już zupełnie inny, zarówno w obszarze technologii, jak i międzynarodowego poparcia dla ruchów antyautorytarnych. Członkowie Otporu nie mieli łatwego wstępu do polityki (bardzo podobnie jak WiP tu w Polsce; Fidesz był, jak sądzę, wyjątkiem potwierdzającym regułę) i m.in. dlatego niektórzy z nich chętnie dzielili się swoim doświadczeniem, podróżując. Szybko znaleźli wsparcie organizacji pozarządowych, jak również rządów, dzięki czemu byli w stanie uczyć działaczy w innych krajach postkomunistycznych (zwłaszcza w dawnych republikach radzieckich), w miarę jak nabierały kształtów „kolorowe rewolucje”.

Niektórzy widzą w tym długą rękę amerykańskiego imperializmu. Pozwolę sobie pominąć ten wątek, bo nie wierzę, żeby parę tysięcy dolarów na koszulki, laptopy i „rewolucyjnych doradców” mogło stworzyć rewolucję z niczego, bez udziału zaangażowanych działaczy. Bardziej ciekawi mnie to, jak zmieniały się w minionych pięciu latach poglądy (w tym mój) na transgraniczność politycznych przemian. Jeśli cofniemy się do 2005 r., zobaczymy niemal nieprzerwany ciąg demokratycznych rewolucji, od Filipin w 1986 r. (a nawet Portugalii w 1974 czy rok później Hiszpanii i Grecji) przez 1988 r. w Chile, Europę Wschodnią i Związek Radziecki, aż po kolorowe rewolucje. Koniec zimy 2005 r. to wrzenie w Kirgistanie po wyborach do tamtejszego par-

lamentu i cedrowa rewolucja w Libanie przeciw wpływom Syrii. Mniej więcej wtedy obserwatorzy odnotowali zmiany polityczne w Iraku, dla których kamieniem milowym stały się udane wybory parlamentarne.

Chętnym spisać historię badań transgranicznych sugerowałbym, że ich złoty wiek objął 15 lat, a teraz mamy stan kryzysowy. Słowa „kryzys” nie używam jako obserwator współczesnej sceny politycznej, tylko jako historyk. Demokracja może przeżywać światowy kryzys, ale to inny problem niż ten, jaki mamy wówczas, gdy chcemy świat interpretować. Przyjrzyjmy się jednak najpierw, jak wygląda dziś rzeczywistość rewolucji. Kolorowe rewolucje przeżywają schyłek, a ich przywódcy albo – jak Wiktor Juszczenko na Ukrainie – utracili władzę, albo – jak Micheil Saakaszwili w Gruzji – sterują w stronę autorytaryzmu. W analizach wielu reżimów, które przeszły pewną formę niezadowolającej transformacji, pojawiły się nowe terminy, jak „nieoliberalna demokracja” lub „konkurencyjny autorytaryzm”. Badacze zwątpili więc w użyteczność takich instytucji jak wybory, a nawet partie demokratyczne jako wskaźnika przemian demokratycznych.

Poza tym mamy już całą historię najnowszych nieudanych ruchów demokratyzacyjnych. Najbardziej znane to birmańska rewolucja szafranowa z lata 2007 r. i protesty z lata 2009 r. po wyborach prezydenckich w Iranie. Jedne i drugie spotkały się z szerokim zainteresowaniem międzynarodowym i znaczącym poparciem, jednak zostały skutecznie stłumione. Ciekawsza z naszego punktu widzenia jest tzw. rewolucja twitterowa w Mołdawii w kwietniu 2009 r. Niezadowolone z wyniku wyborów (i niemożności odsunięcia od władzy komunistów) przybrało 6 kwietnia formę demonstracji typu *flash mob* (nagle gromadzącego się tłumu). Protestujący używali komórek, czasem Twittera (lub esemesów itp.), informując się wzajemnie o zgromadzeniach i represjach, co podziało na wyobraźnię zachodnich elit technologicznych i komentatorów. Jeśli w rewolucji mogą w ten sposób uczestniczyć wszyscy, czyż w końcu nie pokonają dyktatorów? Mołdawianie brali więc udział w transgranicznej przemianie, którą symbolizuje importowana technologia i środowisko *online* bez granic. Zamiast czekać na wsparcie lub błagać o interwencję zachodnich dziennikarzy (znajomy element rewolucji sprzed dwóch dekad), mogli sami szerzyć przemiany. Mimo że kraj to niewielki i geograficznie bliski Unii

Europejskiej, mimo wykorzystania nowych technologii i mimo skali protestu rewolucja upadła – rozpisano nowe wybory, w których znów wygrali komuniści, choć przy lepszym wyniku opozycji. Co ważniejsze, rewolucja twitterowa okazała się mitem, bo sama technologia transgraniczna nie powoduje zmian – potrzebna jest polityka. W Mołdawii zabrakło po prostu niezbędnego elementu politycznej przemiany. Pewien obserwator (tak się składa, że Białorusin) przytoczył słowa mołdawskich działaczy, według których potrzebny był nie Twitter, tylko głośny megafon. Innymi słowy, kluczem byłaby najprostsza, miejscowa technologia – połączona z odpowiednią treścią.

W epoce transgraniczności trzeba więc pamiętać, że w ostatecznym rozrachunku rewolucje generowane są raczej lokalnie. Liczy się postawa władz danego kraju, ich możliwości i zasoby, liczy się współpraca elit opozycyjnych, liczy się wyrosłe w jednym miejscu doświadczenie pokoleniowe, liczy się gospodarka kraju, liczy się pogoda. Oczywiście ograniczenia procesów transgranicznych każą przyjrzeć się jeszcze raz wątpliwej tezie o trwającej od trzech dekad fali demokratyzacji. Wielostronne spojrzenie na centralną fazę tej fali – osiem lat od 1986 r. (Filipiny i Haiti) do 1994 (RPA) – nie ujawnia wielu przykładów transferu idei, jaki w 1989 r. odbywał się między Polską i Węgrami.

Filipińczycy wyobrażają sobie np. często, że ich rewolucja różańcowa wpłynęła na rewolucje w Europie Wschodniej, a swoją walkę porównują czasem do Solidarności. Na krótszy geograficzny dystans łatwiej dopuścić związki między Filipinami a demokratyzacją w innych rejonach Azji Południowo-Wschodniej, a zwłaszcza przemianami w Indonezji w 1998 r. Badania wykazały jednak, że nie doszło tam do przekazu idei i stylów. Można co najwyżej stwierdzić przejmowanie symboli, jak w przypadku niektórych Koreańczyków południowych, którzy podczas protestów w 1988 r. używali emblematu filipińskiej partii Laban.

Drugim przykładem są Chiny. Chińscy opozycjoniści interesowali się żywo wydarzeniami w Europie Wschodniej, czytali Václava Havla, śledzili polski Okrągły Stół i witali w Pekinie Michaiła Gorbaczowa. Pamiętamy ich pomnik „Bogini wolności” – wzorowany na amerykańskim, ale przywołujący także demokratyczne protesty tego roku pod pomnikami europejskimi. Jednak ważniejsza lektura rezolucji studenckich z czasu okupacji

placu Tian'anmen ujawnia ubóstwo idei. Studenci nie mieli pojęcia, co robić z „demokracją”, a w momentach kryzysowych, jak podczas spotkań z przywódcami i podczas głodówki, chętniej wybierali retorykę wojującego nacjonalizmu, mówili o poświęceniu i przelewie krwi. Okupacja Tian'anmen nie była zakończonym tragicznie przedsięwzięciem we wschodnioeuropejskim stylu, tylko czymś z gruntu odmiennym, z własną, odmienną logiką.

Ostatni przykład pochodzi z RPA. Przywódcy Afrykańskiego Kongresu Narodowego wiedzieli dobrze, co dzieje się w Europie Wschodniej. W archiwach więzienia w Robbeneiland znalazłem niedawno notatki z dyskusji o Solidarności, którą więźniowie toczyli tam w 1981 r. Po zwycięstwie zwrócili się m.in. do uczestników polskiego Okrągłego Stołu po radę, jak pojednać się z dawnymi ciemiężycielami. Ale w decydującej fazie transformacji liczył się afrykański kontekst, żaden inny. RPA to przypadek specyficzny, bez (na szczęście) wielu analogii.

Bardzo chciałbym móc opowiedzieć inną historię, ale nie widzę wielu dowodów na ów *dance of democracy*. Uciemnione narody powstają, ale na własny sposób, we własnym, specyficznym kontekście. Skąd więc, skoro nie dzięki transgraniczności, jednoczesność wydarzeń? Wskazałbym cztery globalne czynniki: zmianę pokoleniową, postęp technologiczny, dyskurs praw człowieka i zelżenie zimnej wojny.

Mówiąc o zmianie pokoleniowej, mam na myśli znaczące różnice między „pokoleniem '68”, po części zbuntowanym przeciwko zimnowojennym zapędom rodziców (którzy z kolei byli w skali światowej produktem wspólnych doświadczeń drugiej wojny światowej) a pokoleniem 1989 r. Ci, którzy dorastali w latach osiemdziesiątych – sądzę, że nie tylko w Europie Wschodniej, ale i na Zachodzie, w RPA i Ameryce Łacińskiej – mniej interesowali się ideologią niż pokolenie lat sześćdziesiątych, bardziej zaś konkretnym działaniem. W mniejszym stopniu dotyczy to Chin, można więc się domyślać, że właśnie ta różnica była jedną z przyczyn klęski Tian'anmen.

Wspomniałem już o roli technologii w latach osiemdziesiątych. W latach siedemdziesiątych wynaleziono i udostępniono zaskakująco dużo technologii komunikacyjnych, w większości niedostępnych protestującym w latach sześćdziesiątych: telewizję kablową i satelitarną, kamery wideo, wideokasety, magnetofony kaseto-

we i mikrokasetowe, faks, ksero, powielacze offsetowe, komputery osobiste (nie było jeszcze, jak wiadomo, komórek ani Internetu), a także często pomijany transport kontenerowy. Zważywszy współczesną wiarę w wyzwalającą moc technologii, warto uprzytomnić sobie, jak ważne dla działalności opozycyjnej okazać się mogą stosunkowo proste wynalazki, np. małe, przenośne drukarki i faksy. Nikt nie uważał jednak, jak wynikałoby z naszej obecnej fascynacji Twitterem, że przestaniem może być sama drukarka. Domyślam się, że megafon – nie najłatwiejszy do zdobycia i ukrycia przed policją – miał równie wielkie znaczenie jak pierwsze komputery osobiste.

Mówiąc o technologii, nie zapominajmy o treści. Lata siedemdziesiąte miały kluczowe znaczenie dla globalnego dyskursu praw człowieka. Założona w 1962 r. Amnesty International masę krytyczną uzyskała dopiero pod koniec lat siedemdziesiątych, kiedy powstały Helsinki Watch i organizacje siostrzane (Asia Watch itp.). Język praw człowieka, który wszedł na dobre do globalnego dyskursu – posługiwali się nim stale, acz w powierzchowny sposób, prezydenci Stanów Zjednoczonych, przywódcy Organizacji Narodów Zjednoczonych i oczywiście papież – stał się zarazem dostępny ugrupowaniom opozycyjnym na całym świecie. Czesi, Chińczycy i Chilijczycy mogą nieco inaczej rozumieć prawa człowieka, ale są one dla nich wspólnym instrumentarium i wspólną formą komunikacji z międzynarodowymi mediami.

I jeszcze jedno. Wolałbym myśleć, że koniec zimnej wojny zawdzięczamy opozycji demokratycznej, ale trzeba też według mnie pamiętać, że przemiany te ułatwiło w połowie lat osiemdziesiątych złagodzenie konfliktu między Wschodem a Zachodem. Kurczenie się jeszcze przed Gorbaczowem obszaru międzynarodowego oddziaływania ZSRR i spadek za drugiej kadencji Ronalda Reagana zainteresowania Stanów Zjednoczonych antykomunistycznymi sojusznikami napędzały się wzajemnie. Reagan potrafił, acz niechętnie, wycofać poparcie dla Ferdinanda Marcosa, który błagał o pomoc w walce z partyzantką komunistyczną, Gorbaczow nie miał już ochoty wystawiać czeków *in blanco* przywódcom NRD, a Frederikowi Willemowi de Klerkowi łatwiej było zalegalizować Południowoafrykańską Partię Komunistyczną.

Uprościłem tę opowieść, ale co wspólnego mają wymienione czynniki? Po pierwsze są globalne. Jednak – po drugie – są trudniej dostrzegalne na poziomie

poszczególnych krajów, gdzie przekładają się na język odmiennej miejscowej specyfiki. Są to, innymi słowy, czynniki słabe – w tym sensie, w jakim fale radiowe słabsze są od wspomnianych wiązań elektromagnetycznych. Istnieją w tle, stale obecne, lecz nie wystarczą do spowodowania zmian.

Kiedy myślimy, że zajmujemy się historią transgraniczną, najczęściej mówimy, jak sądzę, o falach radiowych – w sensie przenośnym, ale też dosłownie. Ludzie poznają na wielką odległość (często, tak się składa, za pośrednictwem właśnie fal radiowych) idee i działalność innych ludzi, którzy stoją w obliczu z grubsza tych samych przeciwności. Jednak podobieństwa – nawet podobieństwa skutków, jak w latach 1986–1994 – nie są dowodem na transgraniczność. Pojawienie się od czasu do czasu transgranicznych aktorów (jak Michał Gorbaczow w Pekinie w maju 1989 r.) to wyjątek potwierdzający regułę. Obecność Gorbaczowa nie pomogła przecież Chinom wejść na drogę, którą poszła Polska i jej sąsiedzi. Widzimy raczej historię globalną kształtowaną przez szersze, ogólnoświatowe czynniki strukturalne.

Czynniki takie jak nowe idee, nowe technologie czy przemiany społeczno-polityczne, które w realiach konkretnych krajów nabierają bardzo różnych kształtów.

Transgraniczna historia istnieje. W pewnych sytuacjach, gdy mamy do czynienia z bliskim podobieństwem, wspólnymi doświadczeniami i względnie małymi odległościami (choć nie na skalę cząsteczkową!), intensywna wymiana może upowszechniać konkretne rozwiązania konkretnych problemów. Siły elektromagnetyczne transgranicznej historii mogą – co więcej – dawać początek nowym zjawiskom, rozpowszechniającym się potem w świecie. Wynaleziona w Polsce formuła Okrągłego Stołu, która szybko przyjęła się w całym regionie, jest przykładem odkrytej ponownie i globalizującej się formy działania. Historykom szukającym we wszystkim transgraniczności grozi zbanalizowanie badanych relacji – skupiając się na formie, mogą przeoczyć treść. Ale ostrożnie stosowane podejście transgraniczne pozwala docenić piękno politycznej przemiany w skali regionu.

Thum. Sergiusz Kowalski

Pamięć Solidarności w świadomości społecznej

IRENEUSZ KRZEMIŃSKI

◆ prof. dr hab., socjolog, wykładowca w Instytucie Socjologii Uniwersytetu Warszawskiego, prof. Uniwersytetu Warmińsko-Mazurskiego i Wyższej Szkoły Ekonomiczno-Informatycznej w Warszawie. Członek zarządu polskiego Pen Clubu oraz Rady Gospodarczej przy Premierze RP. Autor wielu prac i badań na temat ruchu Solidarności. Opublikował m.in. *Polacy – jesień 1980* (1983), *Solidarność 1980. Proces powstawania organizacji związkowych Solidarności* (1989), *Solidarność. Projekt polskiej demokracji* (1997), *Druga rewolucja w małym mieście. Zmiana ustrojowa w oczach mieszkańców Mławy i Szczecinka* (wspólnie z Pawłem Śpiewakiem, 2001), *Wolność, równość, odmiennność. Nowe ruchy społeczne w Polsce początku XXI wieku* (2006), *Czego nas uczy Radio Maryja? Socjologia treści i recepcji rozgłośni* (2009), *Solidarność: doświadczenie i pamięć* (z zespołem, 2010).

Trzydziesta rocznica podpisania porozumień między strajkującymi – pod wodzą gdańskich stoczniovców – zakładami pracy Trójmiasta a „stroną rządową” PRL była bodźcem do przygotowania projektu badania socjologicznego. Jak wiadomo, zawarte w 1980 r. porozumienia pozwoliły na rozwinięcie się wielkiego, masowego ruchu społecznego, którego pierwszym celem było stworzenie niezależnego od partii-państwa¹ związku zawodowego. Tak powstał Niezależny Samorządny Związek Zawodowy Solidarność.

Pomysł badania narodził się w sierpniu 2009 r. w czasie mego pobytu na Wybrzeżu i znalazłszy przychylność ówczesnego dyrektora Europejskiego Centrum Solidarności o. Macieja Zięby, szybko przerodził się w gotowy projekt badawczy, który przygotowałem wraz z moim doktorantem Wojciechem Ogrodnikiem. Jednak

od pomysłu do realizacji droga nie była łatwa, a nabrała realnych kształtów dzięki włączeniu się Centrum Badań Opinii Społecznej. Bez udziału prof. Mirosławy Grabowskiej, dyrektora CBOS, wątpię, abyśmy mogli wprowadzić w życie zaplanowane badanie.

A było to zamierzenie ambitne, również metodologicznie – na projekt składało się ogólnopolskie badanie sondażowe oraz badanie zwane przez socjologów jako ściowym. Polegać miało na przeprowadzeniu serii zoogniskowanych wywiadów grupowych oraz pogłębionych wywiadów indywidualnych z dawnymi działaczami i aktywnymi członkami pierwszej Solidarności. Chcieliśmy wybrać kilka ważnych ośrodków ruchu społecznego Solidarności i tam przeprowadzić badania terenowe. Stwarzało to dodatkowe możliwości badawcze; dzięki temu mogliśmy sporządzić minimonografie lokalnej działalności pierwszej Solidarności. Próba w badaniu sondażowym była dość liczna, bo obejmowała 1800 osób, w dodatku została podzielona na dwie części: tych, którzy w 1980 r. mieli minimum 17 lat i mogli uczestniczyć w ruchu Solidarności, oraz młodszych. Miało to znaczenie dla naszych analiz. Od początku chodziło o to, aby z jednej strony dotrzeć do żywej pamięci o działaniu w Solidarności, a z drugiej – odtworzyć, jaki obraz przeszłości rysuje się w świadomości młodszych, dla których ruch Solidarność stanowi historię.

Badanie terenowe zrealizowaliśmy w dziesięciu ośrodkach: w Warszawie; Trójmieście; Bydgoszczy i Toruniu; Szczecinie; Poznaniu; Wrocławiu; Krakowie; Katowicach, Czeladzi i Jastrzębiu; Świętokrzyskiem (Ostrowiec Świętokrzyski, Skarżysko-Kamienna, Starachowice); Lublinie².

¹ Używam określenia, które ukuł swego czasu Jan Strzelecki na określenie PRL. Uważam, że to bardzo trafne określenie ówczesnego ładu politycznego.

² Z inicjatywy prezydenta Gdańska Pawła Adamowicza planujemy obecnie kontynuację badań terenowych w innych ośrodkach kraju.

Założenia i hipotezy badania

Punktem wyjścia projektu było ogólna konstatacja, że w zbiorowej pamięci Polaków nie istnieje jasny i prosty obraz tego, co można nazywać pierwszą Solidarnością³. W oficjalnym języku demokratycznego państwa polskiego, zwanego III Rzeczpospolitą, dzieło Solidarności szybko poszło w niepamięć. Dopiero późne rocznice, jak świętowana bardzo okazale 25. rocznica powstania Solidarności, zaczęły tworzyć w zbiorowej świadomości Polaków wyobrażenie o solidarnościowej przeszłości. Powstanie w Gdańsku Europejskiego Centrum Solidarności bardzo temu sprzyjało. Ale nie ulega wątpliwości, że polska pamięć o Solidarności jest w publicznej debacie – a więc w tym, co można nazwać oficjalnym językiem politycznym – nie tylko słabo obecna, ale nieustannie poddawana interpretacjom, które rodzą i napędzają konflikt polityczny. Przykładem stała się choćby tegoroczna rocznica.

Wbrew brakowi jasnego, wspólnie podzielanego i reprezentowanego przez oficjalny język państwa obrazu Solidarności zakładałem, że niemożliwe jest zapomnienie o tym, czym była społeczna działalność w latach osiemdziesiątych, więc w pamięci społecznej jest obecne żywe wspomnienie tamtego doświadczenia. Wielokrotnie zadawałem sobie pytanie w ciągu minionych lat przebudowy i modernizacji Polski, co się stało z doświadczeniem Solidarności. Co się stało z tym wielkim zrywem społecznym i narodowym, dokonany pokojowymi metodami wobec uzbrojonego po zęby systemu, sprawnie posługującego się przemocą? Co się stało z debatującą wspólnotą Polaków, którzy potrafili do dyskusji i negocjacji skłonić nawet partyjnych władców PRL? Czyżby wyparowało z naszej pamięci wspomnienie szacunku, z jakim traktowali się wtedy wszyscy nawzajem, niezależnie od tego, czy mieli takie same, czy całkiem różne poglądy? Czy zapomniano o tym, jak szanowano różnice i jak dążono do tego, by się wzajemnie przekonywać, a nie wzajemnie atakować?

Projekt badania nad pierwszą Solidarnością wynikał z przekonania, że doświadczenie wspólnego działania, a potem „podziemnej Polski”, nie mogło zniknąć

z pamięci i życia milionów uczestników ruchu reform. Wszak także po wprowadzeniu stanu wojennego toczyła się wciąż pokojowa walka o zachowanie przez Polaków godności obywatelskiej i zapewnienie ludziom pełni ich praw. Dotarcie do tej żywej pamięci było naszym pierwszym celem badawczym.

Po drugie chodziło o to, aby sami zainteresowani mogli odpowiedzieć na pytanie, co stało się z ideałami Solidarności i dlaczego Polska, której wyzwolenie i demokratyzacja bez społecznego ruchu związkowego trudna byłaby do wyobrażenia, tak niedostatecznie albo słabo korzysta z tego wspólnego dzieła, znanego na całym świecie.

Następne pytanie badawcze dotyczyło stwierdzenia, czy, w jakim stopniu i jak przekazuje się pamięć o tym wspaniałym działaniu społecznym młodszemu pokoleniu. Własnym dzieciom przede wszystkim, ale także innym młodym, w tym uczniom w szkole i studentom na uczelni. Pytanie to miało dla mnie duże znaczenie także jako nauczyciela akademickiego. Do dziś pamiętam, jak bardzo mnie poruszyło odkrycie w drugiej połowie lat dziewięćdziesiątych, że w jednej z wyższych szkół warszawskich, w której wykładałem, znacząca część wykładowców profesorów przekazuje młodzieży studenckiej obraz pierwszej Solidarności jakby żywcem wyjęty z partyjnej antysolidarnościowej propagandy lat osiemdziesiątych! Chcieliśmy zobaczyć, jak to jest obecnie.

Planując odtworzenie doświadczenia pierwszej Solidarności z pamięci Polaków, założyliśmy sprawdzenie kilku hipotez. Za jedną z ważnych prawd socjologicznych o ruchu społecznym Solidarności uważałem od dawna to, że społeczne działanie rozwijało się wokół bardzo szybko stworzonej organizacji związkowej. Jej zbudowanie w ciągu kilku miesięcy, i to dostownie z niczego, było niezwykle socjologicznym rekordem. Poza tym struktura samego związku zawodowego była osobliwa: składały się nań nie tylko biurokratyczne, oparte na demokratycznych regułach organizacje zakładowe i regionalne, ale nade wszystko organizacje będące forum permanentnej debaty społecznej. Ludzie, którzy

³ Miano pierwsza Solidarność jest najbliższe codziennemu określeniu używanym przez ludzi, z którymi rozmawialiśmy. Najlepiej oddawało ono okres powstania, legalnego działania, a potem działalności podziemnej po wprowadzeniu stanu wojennego ruchu i organizacji związkowej Solidarność. Właśnie Solidarność z okresu 1980–1981 i lat osiemdziesiątych, kiedy działała w nowej, nielegalnej formie, stała się obiektem naszego badania.

Związek stworzyli, jakby trochę nie dowierzali regułom, które oddawały władzę w ręce wybranych przedstawicieli. Członkowie Solidarności i jako związkowcy, i jeszcze bardziej jako obywatele chcieli mieć wpływ na to, co i jak należy wspólnie robić. Stąd też Solidarność była organizacją „demokracji uczestniczącej”, zbyt wielką, aby można było mówić o demokracji bezpośredniej, ale starającą się o to, aby cechy uczestnictwa były bardzo wyraźne. Można też nazwać Solidarność organizacją, która realizowała zasady „demokracji deliberującej” „demokracji debatującej” – to właśnie chciałem sprawdzić w badaniu. Od razu mogę powiedzieć, że nasze dane w pełni tę cechę organizacji związkowej pierwszej Solidarności potwierdziły.

W ankiecie uwzględniliśmy wiele pytań na temat interpretacji i oceny ruchu społecznego Solidarność, jakie zadawano wcześniej. Porównanie odpowiedzi na niektóre pytania z lat dziewięćdziesiątych i z początku naszego XXI wieku z tym, jak widzą Solidarność Polacy obecnie, dało bardzo interesujące rezultaty. Pokazało też, że żywe wspomnienie przeszłości – tak jak w powieści Marcela Prousta o przemijającym czasie naszego życia – wciąż podlega zmianom i zmiennym ocenom, a uczestnictwo w Solidarności nabiera cech mniej lub bardziej powabnych.

Zamierzam zaprezentować tu najważniejsze wyniki naszego badania. Raport ukazał się w postaci książkowej w końcu sierpnia 2010 r., chociaż trudno go do dziś

znaleźć w księgarniach⁴. Tym bardziej warto przedstawić podstawowe rezultaty badania.

Obraz pierwszej Solidarności, jej ocena i znaczenie

Czym była pierwsza Solidarność, związek, który powstał na mocy porozumienia podpisanego ostatniego dnia sierpnia 1980 r. w Stoczni Gdańskiej? Jak oceniają Polacy teraz swoje dzieło, czyli ruch społeczny i związkowy Solidarność z początków jego działania?

W naszej ankiecie, zrealizowanej przez CBOS, znajdowało się kilka pytań na ten temat, z których część była już wcześniej zadawana przez badaczy tej firmy. Najogólniejsze pytanie brzmiało: „Niezależnie od Pana(i) poglądów na obecną działalność Solidarności, czy Pana(i) zdaniem w historii Polski NSZZ Solidarność odegrał pozytywną, czy negatywną rolę?” (zob. tabela nr 1). Ogromna większość ankietowanych – 84 proc. – odpowiedziała pozytywnie, w tym 36 proc. uznało, że była to rola zdecydowanie pozytywna. Gdy porównać te dane z wcześniejszymi, to widać, że choć pozytywne odpowiedzi są takie same jak rok przed naszymi badaniami (sierpień 2009), to od 2000 r. (gdy pytanie zadano po raz pierwszy) spadła liczba zarówno odpowiedzi negatywnych, jak i osób, które nie umiały ocenić roli Solidarności. W 2000 r., a więc w dwudziestą rocznicę powstania Solidarności, znacznie mniej ankietowanych Polaków oceniało ją pozytywnie, choć i wówczas stanowili większość.

Tabela nr 1. Jaką rolę odegrał NSZZ Solidarność w dziejach Polski?⁵

Niezależnie od Pana(i) poglądów na obecną działalność Solidarności, czy Pana(i) zdaniem w historii Polski NSZZ Solidarność odegrał pozytywną, czy negatywną rolę?	Wskazania respondentów według terminów badań (w procentach)		
	VIII 2000	VIII 2009	III/IV 2010
zdecydowanie pozytywną	32	36	36
raczej pozytywną	37	48	48
raczej negatywną	12	6	5
zdecydowanie negatywną	5	2	2
trudno powiedzieć	14	9	9

⁴ I. Krzemiński (z zespołem), *Solidarność: doświadczenie i pamięć*, Gdańsk 2010.

⁵ Tabela według: CBOS, BS/72/2010, *Komunikat z badań*, oprac. B. Roguska, s. 7.

Gdy podzieliliśmy wszystkich badanych na dwie grupy: tych, którzy mogli być uczestnikami i świadkami ówczesnych wydarzeń, oraz urodzonych później, to okazało się, że wśród starszych znajduje się więcej osób zdecydowanie pozytywnie oceniających rolę Związku, a także nieco więcej zdecydowanie negatywnie ją oceniających. Ci, którzy byli uczestnikami i świadkami działań Solidarności, mają żywsze uczucia, ale i bardziej radykalne oceny. Oceny umiarkowane (raczej pozytywna bądź raczej negatywna rola) zdecydowanie przeważają wśród młodszych. Jednak ważne jest to, że i starsi, i młodszy w swej zdecydowanej większości jednakowo pozytywnie oceniają Solidarność.

W ankiecie staraliśmy się dokładnie zapytać o różne aspekty Solidarności jako związku zawodowego i ruchu społecznego. Jedno z pytań, również będące powtórzeniem wcześniej zadawanego, dotyczyło jej znaczenia dla Polski, Europy i świata (zob. tabele nr 2 i 3), a także dla samego respondenta (zob. tabele nr 4 i 5).

Członkowie dawni i obecni Solidarności częściej uważają, że powstanie Związku było wydarzeniem przełomowym we wszystkich wskazanych przypadkach, niż ogół obywateli, a także dawni członkowie PZPR. Ci ostatni specjalnie nie wyróżniają się w ocenach Solidarności, szczególnie tej pierwszej, od ogółu obywateli Polski. Tabela nr 2 przejrzysto pokazuje, jak w ciągu pięciu minionych lat – między dwudziestą piątą a obecną, trzy-

dziestą rocznicą powstania NSZZ Solidarność – wzrosły odsetki odpowiedzi pozytywnych. Dziś o 10 proc. osób więcej niż w 2005 r. twierdzi, że działalność Solidarności miała przełomowe znaczenie dla Polski. Nieco inaczej wypada ocena jej znaczenia dla ogółu ludzkości: zmalała liczba przekonanych o tego typu przełomowej roli, ale – gdy zliczyć wszystkie oceny pozytywne – także i tutaj bardziej optymistycznie oceniana jest obecnie światowa rola Solidarności. Ważny jest trend, który wskazuje na umocnienie się przekonań o bardzo istotnym znaczeniu Solidarności zarówno dla Polski, jak i dla krajów bloku wschodniego czy wreszcie – dla świata.

Tabela nr 3 pokazuje, że świadkowie i uczestnicy pierwszej Solidarności wyraźnie częściej wybierają najbardziej radykalne opinie. Solidarność jako zjawisko przełomowe częściej wskazywana jest we wszystkich przypadkach. Gdy jednak podliczyć razem odpowiedzi „o przełomowym znaczeniu” oraz „ważnym, ale nie pierwszoplanowym”, okaże się, że różnice w zasadzie znikają. Przekonania – pozytywne w ogromnym odsetku – są wspólne i uczestnikom tamtych zdarzeń, i młodszemu pokoleniu. Podobnie sprawa wygląda, gdy porównamy odpowiedzi na pytanie, jakie znaczenie osobiście miała Solidarność dla badanych („dla ludzi takich jak Pan(i)”). Ale nie jest łatwo zinterpretować wyniki, które zawiera tabela. Mamy wyraźny wzrost przekonań, że działalność Solidarności w sposób przełomowy zaważyła

Tabela nr 2. Znaczenie Solidarności dla Polski, innych krajów bloku wschodniego i świata (2005–2010)⁶

Czy powstanie i działalność Solidarności w latach 1980–1981 były wydarzeniem:	Dla Polski			Dla innych krajów bloku wschodniego			Dla świata		
	VIII 2005	VIII 2009	III/IV 2010	VIII 2005	VIII 2009	III/IV 2010	VIII 2005	VIII 2009	III/IV 2010
	w procentach								
przełomowym	60	65	70	42	39	43	32	25	27
ważnym, ale nie pierwszoplanowym	28	26	23	33	38	35	33	39	46
suma odpowiedzi pozytywnych	88	91	93	75	77	78	65	64	73
niezbyt ważnym	2	3	2	7	10	7	12	18	13
bez znaczenia	2	1	1	2	3	2	6	8	4
trudno powiedzieć	8	5	4	16	10	13	17	10	10

⁶ *Ibidem*, s. 9 i nast. Z tego raportu pochodzą też kolejne tabele.

Tabela nr 3. Znaczenie Solidarności a wiek

Czy powstanie i działalność Solidarności w latach 1980–1981 były wydarzeniem:	Dla Polski		Dla innych krajów bloku wschodniego		Dla świata	
	starsi	młodszy	starsi	młodszy	starsi	młodszy
	w procentach					
przełomowym	72,5	67	47	40	33,5	21
ważnym, ale nie pierwszoplanowym	20	26	32	37	43,5	48
niezbyt ważnym	3	1	7	8	10	15,5
bez znaczenia	1	1,5	2	2	3	5,5
trudno powiedzieć	3,5	4,5	12	13	10	10

Tabela nr 4. Znaczenie Solidarności dla ankietowanych (2005–2010)

Czy powstanie i działalność Solidarności w latach 1980–1981 były dla ludzi takich jak Pan(i) wydarzeniem:	Wskazania respondentów według terminów badań		
	VIII 2005	VIII 2009	III/IV 2010
	w procentach		
przełomowym	35	34	39
ważnym, ale nie pierwszoplanowym	34	37	31
niezbyt ważnym	10	10	10
bez znaczenia	12	11	15
trudno powiedzieć	9	7	5

Tabela nr 5. Znaczenie Solidarności dla ankietowanych a przynależność do NSZZ Solidarności lub PZPR (badanie z 2005 r.)

Czy powstanie i działalność Solidarności w latach 1980–1981 były dla ludzi takich jak Pan(i) wydarzeniem:	Wskazania osób należących przed 1989 r.	
	do NSZZ Solidarności (N = 255)	do PZPR (N = 59)
	w procentach	
przełomowym	65	52
ważnym, ale nie pierwszoplanowym	27	25
niezbyt ważnym	4	12
bez znaczenia	3	8
suma odpowiedzi negatywnych	7	20
trudno powiedzieć	1	3

na życiu ankietowanych, ale zarazem uzyskaliśmy najwyższy od pięciu lat odsetek odpowiedzi, iż nie miała żadnego znaczenia.

Gdy próbowaliśmy to bliżej wyjaśnić i wprowadziliśmy wiek badanych, sytuacja wcale nie stała się jaśniejsza. Osoby z najstarszej grupy wiekowej w 2010 r., a więc mające 65 lat i więcej, najrzadziej uznawały Solidarność za sprawę przełomową w ich życiu, chociaż 30 lat temu liczyły od trzydziestu kilku do pięćdziesięciu lat i z całą pewnością stanowiły trzon ówczesnego wielomilionowego Związku. Trudno uznać za możliwe to, że Solidarność nie miała dla nich istotnego znaczenia. Tymczasem 15 proc. osób z tej kategorii ankietowanych właśnie tak twierdziło – tyle samo, co osób w wieku 35–44 lat (w badaniu z 2010 r.). A przecież badani z tej kategorii byli wówczas dziećmi, nic więc dziwnego, że odpowiadają w ten sposób.

Badacze z CBOS sprawdzili także, czy na oceny ankietowanych wpływała przynależność do Związku lub PZPR (tabela nr 5). Tak jak w wypadku pierwszego pytania, także i tutaj widać różnicę, zwłaszcza w kwestii uznania uczestnictwa w ruchu związkowym za przełomowe, a także wskazania, że Solidarność nie miała większego znaczenia: uznała tak aż 1/5 partyjnych, podczas gdy tylko 7 proc. członków Związku.

Widać, że ideowe i instytucjonalne zaangażowanie ma do dziś olbrzymi wpływ na to, jak się postrzega i ocenia wydarzenia historyczne. Niemniej jednak dla pewnego odsetka naszych starszych badanych inne wydarzenia, które nastąpiły po powstaniu Solidarności, miały niewątpliwie większe życiowe znaczenie – tak duże, że zatarły wpływ wydarzeń z lat osiemdziesiątych.

Zadaliśmy także pytanie, w którym znalazło się kilka twierdzeń o Solidarności lat osiemdziesiątych precyzujących oceny i znaczenie tego ruchu w Polsce (tabela nr 6). Zdanie, że ruch Solidarność miał istotny wpływ na to, kim jesteśmy jako naród, a także teza, że wolna Polska po 1989 r. była dzięki niemu możliwa, zyskały uznanie olbrzymiej większości ankietowanych – ponad 80 proc. Nieco rzadziej zgadzano się ze stwierdzeniem, że ruch ten zrodził prawdziwą solidarność między ludźmi i obudził w nich najlepsze cechy: odpowiedziało tak 66 proc. badanych. Znacznie rzadziej uznawano, że to historia, do której nie warto wracać lub doświadczenie niepasujące do dzisiejszych czasów i bezużyteczne. Z tymi twierdzeniami zgadzało się po 36 proc. respon-

dentów. Co ciekawe, wcale nie tylko najmłodszy wiekiem wybierali te dwie ostatnie odpowiedzi. W przypadku młodych byłoby to bardziej zrozumiałe. Ale – tak jak widzieliśmy w poprzednich tabelach – również część najstarszych ankietowanych chciała odesłać doświadczenie Solidarności do przeszłości. Gdy odwołać się do podziału na tych, którzy mogli świadomie uczestniczyć w działaniach Solidarności i na młodszych, to okazuje się, że na pytanie o znaczenie Solidarności dla narodu, niepodległości czy solidarności między ludźmi jedni i drudzy odpowiadają podobnie, znaczące różnice pojawiają się natomiast w stosunku do dwóch ostatnich stwierdzeń.

Starsi, a więc uczestnicy i dorośli świadkowie Solidarności, są znacznie bardziej sceptyczni wobec aktualności i możliwości wykorzystania tamtego doświadczenia. W porównaniu z nimi znacznie mniej młodszych, którzy nie mogli być uczestnikami wydarzeń lat 1980–1981, uznaje twierdzenie, że tamte doświadczenia nie pasują do naszych czasów i do niczego nie mogą się przydać (31 proc. do 41 proc.). Większy odsetek młodszych nie zgadza się ze stwierdzeniem pytania, młodszy uważają zatem, że doświadczenie z lat osiemdziesiątych może być dziś przydatne.

Sądę, że pojawiają się tu dwie sprawy dotyczące różnych aspektów naszej pamięci. Po pierwsze – nasi starsi są bardziej równomiernie podzieleni w swych opiniach, co może świadczyć o tym, że ich odpowiedzi odsyłające pierwszą Solidarność do historii płyną ze znacznie silniej przeżywanego rozczarowania, jakiego dostarczyła realizacja – lub jej brak – wymarzonych celów ruchu. Do tego dołożyć się mogło także rozczarowanie samym związkiem zawodowym Solidarność po 1989 r., a zwłaszcza jego działalnością i znaczeniem politycznym. Niepełnione oczekiwania pozostawione przez pierwszą Solidarność, utrwalone w ciągu ponurych lat stanu wojennego, mogą skłaniać do takich pesymistycznych odpowiedzi. Jeśli zarazem ludzie w większości uznają, że Solidarność na pewno przyczyniła się do upadku „realnego socjalizmu” i zawalenia się systemu sowieckiego, to wówczas osądzają ją całościowo za skutki, jakie mogła mieć dla części Polaków wielka przemiana świata. Transformacja ustrojowa wciąż budzi w pewnych kręgach naszego społeczeństwa mieszane, ambiwalentne uczucia i oceny. Ci więc ze starszych, którzy oceniają negatywnie skutki przemian ustrojowych dla siebie,

Tabela nr 6. Opinie na temat Solidarności z lat osiemdziesiątych⁷

Słyszysz się różne opinie o Solidarności z lat 80. i jej znaczeniu dla Polski wówczas i obecnie. Przedstawię teraz Panu(i) kilka stwierdzeń. O każdym z tych stwierdzeń proszę powiedzieć, czy zgadza się Pan(i) z nim, czy też nie:	Odpowiedzi w procentach
Ruch Solidarność miał duży wpływ na to, kim jesteśmy jako naród i społeczeństwo	
zdecydowanie zgadzam się	35
raczej zgadzam się	47
raczej nie zgadzam się	7
zdecydowanie nie zgadzam się	2
trudno powiedzieć	9
Dzięki działaniu Solidarności w latach 1980–1981 była możliwa wolna Polska w 1989 r.	
zdecydowanie zgadzam się	38
raczej zgadzam się	43
raczej nie zgadzam się	7
zdecydowanie nie zgadzam się	1
trudno powiedzieć	11
Ruch Solidarność zrodził prawdziwą solidarność między ludźmi i obudził w ludziach najlepsze cechy	
zdecydowanie zgadzam się	27
raczej zgadzam się	39
raczej nie zgadzam się	16
zdecydowanie nie zgadzam się	6
trudno powiedzieć	12
Działalność Solidarności w latach 1980–1981 jest już tylko częścią historii i nie ma co do niej wracać	
zdecydowanie zgadzam się	11
raczej zgadzam się	25
raczej nie zgadzam się	40
zdecydowanie nie zgadzam się	18
trudno powiedzieć	6
Doświadczenia Solidarności z lat 80. w ogóle nie pasują do dzisiejszych czasów ani do niczego się obecnie nie przydają	
zdecydowanie zgadzam się	12
raczej zgadzam się	24
raczej nie zgadzam się	36
zdecydowanie nie zgadzam się	16
trudno powiedzieć	12

⁷ Tabela według CBOS, BS/72/2010, *Komunikat z badań*, oprac. B. Roguska, s. 12.

zapewne częściej będą oceniać negatywnie ruch Solidarność – przyczynę zła, które ich spotkało.

Po drugie – doświadczenie pierwszej Solidarności jako wydarzenia historycznego jest zapewne inaczej traktowane przez starszych i młodszych. Ci pierwsi traktują historię jako zastygły ślad własnej przeszłości, który wobec wyzwań nowego czasu, zwłaszcza tak obfitującego w nowość czasu polskiej transformacji po 1989 r., może być rozpatrywany tylko jako coś minionego, do pewnego stopnia zdezaktualizowanego (bez względu na to, jak tę przeszłość się ocenia). Dla młodszych historia wydarzeń, których nie doświadczyli albo które pamiętają przez pryzmat wspomnień z dzieciństwa, nabiera całkiem nowego wymiaru: może służyć jako źródło sensu w życiu, wzór postępowania, poddająca się intelektualnej obróbce wiedza o dziejach narodowych. Paradoksalnie, przeświadczenie, że istnienie Solidarności wyznaczyła sytuację, w której rozgrywa się od początku dorosłe życie człowieka, sprzyja przekonaniu o tym, że historyczne wydarzenia to coś żywego, wartego porównania z teraźniejszością.

Przedstawię jeszcze odpowiedzi na kilka konkretnych pytań, które powtórzyliśmy za badaniami przeprowadzonymi przy okazji kolejnych rocznic przez najstarszą firmę socjologicznych badań ankietowych, czyli TNS OBOP. Pytania zadane z okazji 25. rocznicy powstania Związku i powtórzone w roku ubiegłym włączyliśmy do naszej ankiety. Rezultaty przedstawione zostały w tabelach nr 7–10.

Blisko 1/3 ankietowanych twierdzi, że Polska byłaby niepodległa i bez Solidarności (tabela nr 7). Zdecydowanie więcej, 56 proc., uważa odwrotnie, z czego 18 proc. twierdzi, że na pewno niepodległa Polska nie powstałaby bez Solidarności. Przekonania i sympatie polityczne odgrywają tu znaczącą rolę. Połowa wyborców dawnego ugrupowania Lewica i Demokraci (czyli koalicji wyborczej SLD i dawnej Unii Wolności) twierdziła, że dla niepodległości Polski Solidarność nie była konieczna, podczas gdy spośród wyborców PiS uważało tak jedynie 23 proc. Aż 71 proc. osób głosujących na PiS twierdziło, że niepodległość Polski bez Solidarności byłaby niemożliwa. Podobnie 61 proc. wyborców PO, 66 proc. PSL i 46 proc. wyborców LiD wią-

zało niepodległość Polski z Solidarnością⁸. Na podstawie tych wyników można także sądzić, że różne kategorie naszych respondentów inaczej rozumiały określenie Polska niepodległa – mniej lub bardziej stanowczo czy restrykcyjnie. Koniec końców można argumentować, iż Polska Rzeczpospolita Ludowa pomimo swej zależności od ZSRR była państwem niepodległym; miała swoją autonomię i własną politykę, acz ograniczoną więzami ideologiczno-ustrojowymi. Zapewne takie pojmowanie niepodległości odgrywa rolę wśród wyborców Lewicy i Demokratów.

Dla znacznej części Polaków takie pojmowanie niepodległości jest niewłaściwe, zależność państwa od ZSRR jest definiowana jako całkowita podległość, w dodatku pieczętowana możliwą do użycia przemocą. Doświadczenie Węgier, a później Czechosłowacji było pogładową lekcją, jak daleko można w całym „obozie demokracji ludowej” zamierzać niezależną politykę narodową. Stąd też zapewne samo słowo niepodległość nie pasuje tym badanym do określenia rzeczywistości PRL. Dla nich dopiero powstanie Solidarności wyraziło wolę prawdziwej niepodległości. A to znaczy, że bez strajków i ruchu społecznego niepodległość nie byłaby możliwa. Podobne wyniki dała analiza materiałów terenowych. Pokazały one, jak ważna była idea niepodległości dla osób uczestniczących w ruchu społecznym Solidarności. Była też obecna w wynikach badania, które w 1981 r. zrealizowała francuska ekipa prof. Alaina Touraine’a.

Co do pytania o wpływ Solidarności na demokratyzację Polski (tabele nr 8 i 9) – okazuje się, że znacząco więcej osób uznaje za niemożliwe wprowadzenie demokracji bez strajków i powstania niezależnego związku zawodowego: 65 proc. ankietowanych sądzi, że demokratyczne państwo nie mogłoby powstać bez Solidarności z lat osiemdziesiątych. Silne przekonanie, że nie miała ona na to wpływu, wyraża jedynie 4 proc. badanych. Pogląd na temat związku między powstaniem demokratycznego państwa a pierwszą Solidarnością jest bez porównania mocniejszy w naszym badaniu niż w badaniach TNS OBOP. Jednak trudno porównywać wyniki, choćby przez obecność odpowiedzi, że dziś byłoby tyle samo demokracji co w czasach PRL nawet bez powstania Solidarności. Samo to sformułowanie może budzić krytykę.

⁸ Według: CBOS, BS/92/2010, *Komunikat z badań: NSZZ „Solidarność” a przemiany ustrojowe w Polsce i innych krajach bloku wschodniego*, oprac. R. Boguszewski, s. 4.

Tabela nr 7. Solidarność a niepodległość Polski⁹

Czy Pana(i) zdaniem bez strajków 1980 r. i Solidarności Polska byłaby niepodległa, czy nie?	2005 r.	2009 r.	2010 r.
	dane zaokrąglone w procentach		
na pewno byłaby niepodległa	6	6	8
raczej byłaby niepodległa	21	22	22
raczej by nie była niepodległa	28	32	36
na pewno by nie była niepodległa	26	18	20
trudno powiedzieć	19	22	14

Tabela nr 8. Badanie OBOP – Solidarność a demokracja

Czy Pana(i) zdaniem bez strajków 1980 r. i Solidarności demokracji byłoby dziś w Polsce więcej, czy mniej?	2005 r.	2009 r.
	w procentach	
zdecydowanie więcej	1	1
raczej więcej	5	6
tyle samo	16	18
raczej mniej	37	36
zdecydowanie mniej	26	20
trudno powiedzieć	15	19

Tabela nr 9. Nasze badanie – Solidarność a demokracja

Czy bez Solidarności z lat 80. mogłoby powstać demokratyczne państwo polskie?	Dane zaokrąglone w procentach
na pewno mogłoby powstać bez Solidarności	4
raczej mogłoby powstać bez Solidarności	19
raczej nie mogłoby powstać bez Solidarności	46
zdecydowanie nie mogłoby powstać bez Solidarności	19
trudno powiedzieć	12

⁹ Dane w tej tabeli i następnych według: „Dzieło Solidarności po latach”, sondaż TNS OBOP z 6–9 VIII 2009, s. 8, 6, 5 (w kolejności tabel zamieszczonych powyżej).

Tabela nr 10. Badania z lat 2005–2010 – czy bez Solidarności żyłoby się lepiej i lepsza byłaby sytuacja pracowników w Polsce?

Czy Pana(i) zdaniem bez strajków lata 1980 r. i Solidarności						
	większości Polaków pod względem materialnym żyłoby się dziś lepiej, czy gorzej? (dane zaokrąglone w procentach)			sytuacja robotników i pracowników innych zakładów pracy byłaby dziś lepsza, czy gorsza? (dane zaokrąglone w procentach)		
	2005 r.	2009 r.	2010 r.	2005 r.	2009 r.	2010 r.
zdecydowanie lepiej/lepsza	3	3	3	5	5	4,5
raczej lepiej/lepsza	19	15	19	17	16	18
tak samo/taka sama	15	16		14	13	16
raczej gorzej/gorsza	33	35	40	34	34	36
zdecydowanie gorzej/gorsza	10	11	9	11	11	8
trudno powiedzieć	20	20	29	19	21	17,5

Opisując przemiany polskiego życia i ich skutki, nie powinno się tracić z oczu zagadnień gospodarczych i położenia bytowego ludzi. Dlatego też interesująco przedstawiają się wyniki odpowiedzi na te pytania, które zagadnień materialnych dotyczą (tabela nr 10). Jedno z pytań: czy bez Solidarności większości Polaków żyłoby się dziś lepiej niż w PRL, czy nie? – zostało zadane z błędem, bo bez odpowiedzi, że żyłoby się tak samo. Zmieniło to proporcje odpowiedzi, warto więc tylko zwrócić uwagę, że znacząco wzrosła i tak wysoka liczba osób niepotrafiących lub niechających odpowiedzieć na pytanie. W 2010 r. to blisko 30 proc., a więc niemal 1/3 badanych. Może wiąże się to z niepewnością własnej sytuacji bytowej, wynikającą z kryzysu w gospodarce światowej, który – choć dotyka Polskę tylko minimalnie – jest lokalnie wyraźnie odczuwany przez ludzi. Może ta niepewność w ocenie tego, czy pod względem materialnym żyłoby się lepiej, wiąże się z doświadczaną podczas naszego badania powodzią, która miała katastrofalne miejscami skutki. Badani mogli zastanawiać się, czy za czasów PRL poszkodowani nie dostaliby większej pomocy od państwa niż obecnie. Ale i tak przeważa zdecydowanie pogląd, że bez Solidarności większości Polaków żyłoby się obecnie gorzej.

Natomiast zdecydowana większość ankietowanych uznała, że bez Solidarności z lat osiemdziesiątych obec-

na sytuacja robotników i innych pracowników byłaby gorsza (44 proc. wobec 22,5 proc. twierdzących, iż byłaby lepsza). Ciekawie prezentuje się zestawienie wyników z lat 2005, 2009 i 2010. Wydaje się, że poglądy na to, co jest treścią pytania, są dość stabilne, podlegają niewielkim zmianom. Przekonanie o tym, że bez Solidarności – a zatem bez zmiany ustroju politycznego i gospodarczego – Polakom żyłoby się lepiej, jest popularne wśród mniejszości ankietowanych. Mniejszość tę stanowią osoby starsze, słabo wykształcone i o niskich dochodach, a zwłaszcza renciści, emeryci i bezrobotni, ale też robotnicy, zapewne niewykwalifikowani. Opinie w obu kwestiach zróżnicowane są głównie ze względu na sytuację materialno-bytową respondentów. Wprawdzie we wszystkich grupach społeczno-demograficznych dominuje przekonanie o pozytywnym wpływie Solidarności na obecną sytuację materialną i zawodową Polaków, jednak stosunkowo najbardziej sceptycznie wypowiadają się osoby starsze, z podstawowym wykształceniem i o dość niskich dochodach *per capita* – zwłaszcza renciści, emeryci, robotnicy i bezrobotni. Częściej niż pozostałych badanych dotyczy to również osób niepraktykujących religijnie i deklarujących lewicowe poglądy polityczne¹⁰.

Na koniec jeszcze możemy porównać odpowiedzi osób należących i nienależących do NSZZ Solidarność na

¹⁰ Dokładniejsze dane w: *ibidem*, s. 8 i 9 oraz aneks.

Tabela nr 11. Solidarność i niepodległość Polski a przynależność do Związku¹¹

Przynależność w latach 1980–1981 do:	Jak Pan(i) sądzi, czy bez strajków lata 1980 r. i powstania Solidarności Polska byłaby niepodległa, czy nie? (dane w procentach)		
	byłaby niepodległa	nie byłaby niepodległa	trudno powiedzieć
NSZZ Solidarność	24	72	4
innego związku zawodowego	26	66	8
niezrzeszeni	27	57	16

Przynależność w latach 1980–1981 do:	Czy Pana(i) zdaniem wydarzenia z sierpnia 1980 r. miały wpływ na zmiany, które nastąpiły w Polsce po 1989 r.? (dane w procentach)			
	Zdecydowanie tak – gdyby nie sierpień 1980 r., w Polsce mógłby wciąż trwać komunizm	Tak, sierpień 1980 r. te zmiany przyspieszył, inaczej doszłoby do nich, ale później i trwałyby dłużej	Nie, sierpień 1980 r. nie miał większego wpływu na te zmiany, zdecydowały o nich inne wydarzenia na świecie i w Polsce	Trudno powiedzieć
NSZZ Solidarność	63	32	3	2
innego związku zawodowego	48	39	4	9
niezrzeszeni	42	38	5	15

Przynależność w latach 1980–1981 do:	Czy sądzi Pan(i), że bez Solidarności w latach 80. mogłoby powstać demokratyczne państwo polskie, czy raczej nie? (dane w procentach)		
	tak	nie	trudno powiedzieć
NSZZ Solidarność	16	81	3
innego związku zawodowego	18	72	10
niezrzeszeni	19	66	15

¹¹ *Ibidem*, s. 5.

pytania o jej wpływ na niepodległość Polski, demokratyczność państwa i wydarzenia w 1989 r. (tabela nr 11).

O ile przekonania o tym, że Polska byłaby niepodległa i demokratyczna bez Solidarności, wyrażane są przez mniej więcej ten sam odsetek członków Związku i osób do niego nienależących, o tyle pogląd przeciwny, przypisujący ruchowi z lat osiemdziesiątych rolę i w zdobyciu niepodległości, i w demokratyzacji państwa, jest bez porównania częściej wyrażany przez członków Związku. Podobnie znacznie bardziej zdecydowanie uważają oni, że bez Solidarności nie mogłoby dojść do zmian w 1989 r.

* * *

Zreferowałem tu tylko mały fragment naszego badania ankietowego, tymczasem zgromadziliśmy ogromny materiał z wywiadów w terenie. Dane jakościowe niezwykle interesująco uzupełniają wyniki sondażu. Dotyczy to wielu kwestii, także tych, które pobrzmiewają w interpretacjach zaprezentowanych tabel i wykresów. Jednym z ciekawszych uzupełnień danych ankietowych była ocena i przede wszystkim obraz Solidarności z lat osiemdziesiątych. Proste i zwięzłe stwierdzenia ankietowe uzupełniały wypowiedzi o doświadczeniu Solidarności jako jednym z najważniejszych i najpiękniejszych momentów w dorosłym życiu ludzi. Mówiono bardzo dużo o nastroju tamtego czasu i o wzajemnych stosun-

kach, jakie panowały na co dzień między ludźmi. Panowała atmosfera wzajemnego szacunku, chęć zrozumienia i porozumienia, uznanie, że każdy z nas ma prawo do wyrażania tego, co czuje i co myśli, bo każdy z nas jest osobą, której prawa zagwarantowane są nie przez ludzkie dekrety, ale zgoła przez Boga samego. „Naturalizacja” praw człowieka i obywatela oraz personalizm katolicki, wyrażany przez Jana Pawła II, odegrał znaczącą rolę w ukształtowaniu się (może paradoksalnie?) liberalnego i pokojowego charakteru tego ruchu. Dzięki uznaniu debaty i dyskusji za podstawowy sposób społecznego porozumienia i rządzenia miał on wielki wpływ także na przedstawicieli władz, funkcjonariuszy PZPR i znaczną liczbę jej członków. Nic dziwnego, że liczba partyjnych po 13 grudnia 1981 r. stopniała niezwykle znacząco.

Wywiady ukazały też nam, jak realistycznie myślą obecni związkowcy, którzy wywodzą się z pierwszej Solidarności. Nie ulegało dla nich wątpliwości, że co prawda NSZZ Solidarność po 1989 r. nawiązuje do swego pierwowzoru, ale jest już czym innym; nie można mówić o prostej kontynuacji działalności związkowej z początku lat osiemdziesiątych. W świetle naszego badania nie dziwi przegrana dotychczasowego przewodniczącego Związku. Większość działaczy przez nas badanych uznała, że niedobrze jest dla związku zawodowego, gdy staje się on sojusznikiem i orędownikiem jednej partii politycznej.

14-VIII

1980

1980

1980

1980

Namalowany na murze znak Polski Walczącej z datą rozpoczęcia strajku, Gdańsk, sierpień 1980 r. Fot. Wojciech Milewski, zb. PCC

Stocznia Gdańska '80 robotnicy i doradcy

Jak rozpoczął się strajk

JERZY BOROWCZAK, BOGDAN FELSKI

Jerzy Borowczak: Uzgodniliśmy z Bogdanem [Felskim], że 14 VIII 1980 r. przyjdziemy do pracy godzinę wcześniej¹. Chcieliśmy zawiesić w szatniach plakaty informujące o zwolnieniu Anny Walentynowicz i domagające się podwyżki o 1000 zł oraz dodatku drożyznianego. Plakaty tej treści zostały zrobione przez Ruch Młodej Polski. W sumie mieliśmy ich 7. Ja przyszedłem pierwszy. Po chwili zjawił się Kazik, z którym umówiłem się dzień wcześniej. Kazik pracuje na Wydziale W-3. Poszliśmy więc tam najpierw, powiesiliśmy plakat pod zegarem, po czym Kazik wraz z kilkoma kolegami został, aby pilnować, żeby plakat nikt nie zerwał. Ja tymczasem udałem się na wydział, gdzie czekałem na Bogdana. Ponieważ spóźnił się, postanowiłem zacząć sam. Posmarowałem plakat butaprenem i powiesiłem go na drzwiach szatni, a potem poszedłem do innych szatni. Gdy przyklejałem plakaty, ludzie składali mi gratulacje.

Pyt.: Czy ludzie wyczuwali już, że będzie strajk?

J.B.: Nie, ale przedtem poinformowaliśmy wąskie grono – samych zaufanych. Rano mówiło się jednak już w stoczni o strajku.

Pyt.: Jak ludzie to przyjmowali?

J.B.: Dobrze. Bardzo dobrze. Wypytywali nas, chcąc zasięgnąć szczegółowych informacji. Zaczynały się już tworzyć grupki ludzi na zbiórki z mistrzami. Zacząłem więc informować ich, że rozpoczął się strajk w całej stoczni, że zbieramy się na placu.

Pyt.: Czy mistrzowie widzieli te plakaty?

J.B.: Oczywiście, wszyscy mogli je zobaczyć, również kierownictwo.

Pyt.: Czy kierownictwo próbowało jakoś przeciwdziałać?

J.B.: Nie, ponieważ koło plakatów zgromadziły się już grupki ludzi. Obawiali się interweniować. Mimo to pierwsze 15 minut było dosyć nerwowe. Mistrzowie jednak ingerowali. Poszedłem więc

¹ Rozmowę opublikował „Strajkowy Biuletyn Informacyjny Solidarność” nr 11 z 30 VIII 1980 r. Wypowiedzi obu działaczy WZZ były anonimowe. (red.)

do jednej z brygad, którą znam, i zacząłem wyjaśniać, o co walczymy. Większość zgadzała się ze mną. Na prośbę mistrzów, którzy zaczęli wyczuwać, co się święci, odeszliśmy dalej i zaczęliśmy gromadzić się pod składem elektrod. Po chwili utworzyła się mniej więcej 30-osobowa grupa, a obok niej zaraz druga, tuż przy szatniach narzędziowni. Bojąc się, że może się ona rozproszyć, podszedłem do nich i zacząłem głośno opowiadać o strajku. Wyjaśniłem, że w całej stoczni rozpoczyna się strajk, że chodzi o podwyżkę płac i sprawę p. Walentynowicz, która została niesłusznie zwolniona. W miarę jak mówiłem, ludzie zaczęli się coraz bardziej ośmielać. „Idziemy” – powiedziałem. Wówczas utworzyła się około 50-osobowa grupka. Zrobiliśmy dla niej transparent. W tym momencie zjawił się kierownik Barc i zapytał, o co chodzi. „Kierowniku – mówię – jest strajk”. „Dlaczego strajk? O co chodzi?” – a ja na to: „Co to, nie umie pan czytać?” – i pokazuję mu transparent. Dałem mu też kilka „Robotników” oraz oświadczenie w sprawie p. Anny [Walentynowicz], po czym poszedłem zwoływać ludzi. Kiedy wróciłem, zjawił się sekretarz wydziałowy POP [Podstawowej Organizacji Partyjnej PZPR] – Mazurkiewicz, który usiłował zabrać transparent. Chłopcy byli jednak szybsi i przeszkodzili mu. Sekretarz krzychał: „Co to ma znaczyć?”. Odpowiedzieli mu: „To pana nic nie obchodzi”. Ktoś wcisnął mu w rękę garść ulotek. Wszyscy otoczyli go i zaczęli się śmiać, bo wyglądało to tak, jakby sekretarz sam rozdawał ulotki. Ja jednak krzyknąłem: „Odebrać mu je”, bo nie chciałem, aby ulotki znajdowały się w tak niegodnych rękach.

Gdy sekretarz odszedł, chwyciłem transparent i poprowadziłem chłopaków na plac. Wszystko to działo się na terenie wydziału pochylni. Dookoła placu rozsiedli się ludzie. Nagle zjawił się zastępca kierownika wydziału – Bryczkowski. To zmobilizowało ludzi. Zerwali się i zaczęli gromadzić się na środku placu. Zaczęli się też do nich dołączać inni. Gdy powstało już duże skupisko, rozległ się sygnał z dźwigu. Była to mała syrenka, którą włączył Józek. Kierownik zaczął się denerwować. „O co to chodzi? – krzychał. – Idźcie do pracy!”, ale nikt nie chciał go słuchać. Ktoś krzyknął: „Spójrz pan na transparent, to dowiesz się, o co chodzi”. Nadjechała lokomotywa. Zatrzymała się obok nas i prowadzący ją zaczął nas oklaskiwać. Ze zgromadzonym na placu tłumem udałem się pod halę oddziału prefabrykacji. Postaliliśmy tam około 5 minut, gdy ukazał się Jurek ze swoją grupą. Coraz więcej ludzi zaczęło wychodzić z hali. Po chwili zjawili się mistrzowie, którzy zaczęli ich wypychać z powrotem do środka. Hala jednak przestała już pracować. Ludzie opuścili młotki, zaczęli chować narzędzia i dołączyli się do nas.

Bogdan Felski: Przyszedłem do stoczni o 4.15, do dnia strajku nikomu nie mówiłem, że strajk się rozpocznie. U mnie jest większość partyjnych, bałem się, że ktoś doniesie i strajk się może nie udać. Czekałem więc do ostatniej chwili. W dniu strajku umówiliśmy się z Ludwikiem, że będzie na mnie czekał. Byłem sam ze swego wydziału. Rozlepiłem 7 plakatów, a 5 dałem Ludwikowi. Po rozwieszeniu plakatów przygotowałem sobie ulotki, miałem ich 500 sztuk i każdemu, kto wchodził do szatni, dawałem ulotkę, mówiąc: „Masz! Czytaj! Dziś strajkuje cała stocznia”.

Pyt.: Czy w ulotkach było napisane, że jest strajk?

B.F.: Nie. Ale tych, do których miałem zaufanie, pytałem w przeddzień, co by zrobili, gdyby rozpoczął się strajk. Wielu z nich oznajmiło, że będą strajkować. Tym właśnie teraz dawałem ulotki, mówiąc: „Rozdawaj to ludziom”. Za 15 minut szósta zebrała się koło szatni już spora grupka, mniej więcej około 30 osób. Niektórzy z nich się zlekli i mówili: „To się nie może udać, dlaczego nie zacznie jakiś większy wydział?”. My im na to, że strajkuje już K-3 i K-4. W pewnym momencie ktoś powiedział: „Nie będziemy tu stać, wracamy na halę”. Starłem się temu zapo-

biec, ale nie mogłem sam zatrzymać ludzi i wszyscy wracali już na halę. Zdawałem sobie sprawę, że kiedy wrócimy na halę, gdzie znajdują się mistrzowie, Jan Łabędzki – pierwszy sekretarz POP, członek KC, wszystko się może zawalić. Ludzie stawali przy maszynach i włączali. Podeszedłem do nich, mówiąc: „Idziemy na K-3” i „W-4 stoi”. Mówiłem tak na wyrost, bo jeszcze o niczym nie wiedziałem. Chciałem ich tylko pociągnąć za sobą. Wreszcie zdecydowali się. „No, idziemy”. Gdy jednak zatrzymali maszyny, robili to bardzo opieszale, w końcu jednak chęć wyjścia na plac przeważała. Zebrało się około 30 osób i poszliśmy. Wziąłem ze sobą plakaty. Dwaj koledzy powiesili jeden na przedzie.

Doszliśmy tak do stołówki i idziemy dalej przez całą stocznię. Zawsze wychodzą ludzie, żeby zobaczyć, co się dzieje. Krzyczymy do nich: „Wyłączcie maszyny i chodźcie z nami”. Wielu dołącza się do nas. Teraz idziemy już większą grupą przez most. Ze statków wychodzą ludzie. Przerwali już pracę, ale jeszcze nie decydują przyłączać się do nas. Mówią: „Nie będziemy pracować, ale nie możemy jeszcze z wami pójść”. Najwyraźniej bali się. Doszliśmy do K-3, widzimy, że zgromadziła się tam już grupka ludzi. To nas bardzo podbudowało. Byliśmy już pewni, że coś z tego wyniknie i zaczęliśmy krzyczeć: „Hura!”. Z biur konstrukcyjnych ludzie zaczęli wyglądać przez okna. Na zewnątrz tworzył się tłum, z którym doszliśmy do K-3.

Pyt.: Tłum – tzn. przeszło setka?

B.F.: Tak. Chciałem, żeby ktoś przemówił do ludzi, bo to by ich jakoś związało, ale nie było na to czasu. Trzeba było iść dalej. Doszliśmy więc z transparentem do końca stoczni, gdzie oczekiwał nas już dyrektor Wójcik. Pierwszymi jego słowami było: „Co to ma znaczyć?”. Ja na to, że jest strajk. „A o co wam chodzi?” Mówię, że chodzi o zwolnienie Anny Walentynowicz. „Anna Walentynowicz? – powiada dyrektor. – A wiecie, kto to jest? Ona została zwolniona dyscyplinarnie”. Ja na to: „Jak takiego człowieka można zwolnić dyscyplinarnie? Przecież ona ma brązowy, srebrny i złoty Krzyż Zasługi, 30 lat pracy zawodowej i brakuje jej 5 miesięcy do emerytury”. Dyrektor zaczął coś kręcić. Na to Bogdan powiedział: „Na razie nie będziemy z panem rozmawiać. Teraz idziemy dalej”. I zostawiliśmy dyrektora w tłumie. Na moście postawiliśmy ludzi, którzy pilnowali, aby nam nie odcięto drogi.

W tym czasie do pochodu przyłączyło się bardzo dużo ludzi. Podeszliśmy pod bramę, gdzie uczciliśmy minutą ciszy poległych w 1970 r., a potem odśpiewaliśmy hymn narodowy. Następnie skierowaliśmy się w stronę koparki. Weszliśmy na koparkę, którą zaraz otoczył tłum ludzi. Wygłosiliśmy przemówienie: „Musimy wybrać komitet strajkowy. Potrzebni są nam zaufani ludzie, którzy mają autorytet w brygadach. Niech się zgłaszają”. Wtedy zjawił się dyrektor ze swoją świtą. Ponieważ stał nisko, poprosiliśmy go na koparkę i pomogliśmy mu się wdrapać. Gdy dyrektor zaczął przemawiać, zjawił się nagle Leszek Wałęsa. Dyrektor nie widział go, ponieważ wszedł na koparkę od tyłu. Leszek podeszedł do dyrektora i groźnym głosem zapytał: „Poznaję mnie pan? 10 lat pracowałem w stoczni i czuję się nadal stoczniovcem, ponieważ mam mandat zaufania załogi. Już 4 lata jestem bez pracy”, a potem powiedział: „Zakładamy strajk okupacyjny!”. I na te słowo ze wszystkich stron rozległo się: „Hurra!”. Potem zażyczyliśmy sobie, aby samochodem przywieźć do stoczni p. Walentynowicz. Dyrektor protestował, ale my postawiliśmy na swoim i po chwili samochód dyrektorski pojechał po p. Annę. My zaś przeszliśmy do radiowęzła. Tak rozpoczął się strajk.

Solidarność była tak wielka...

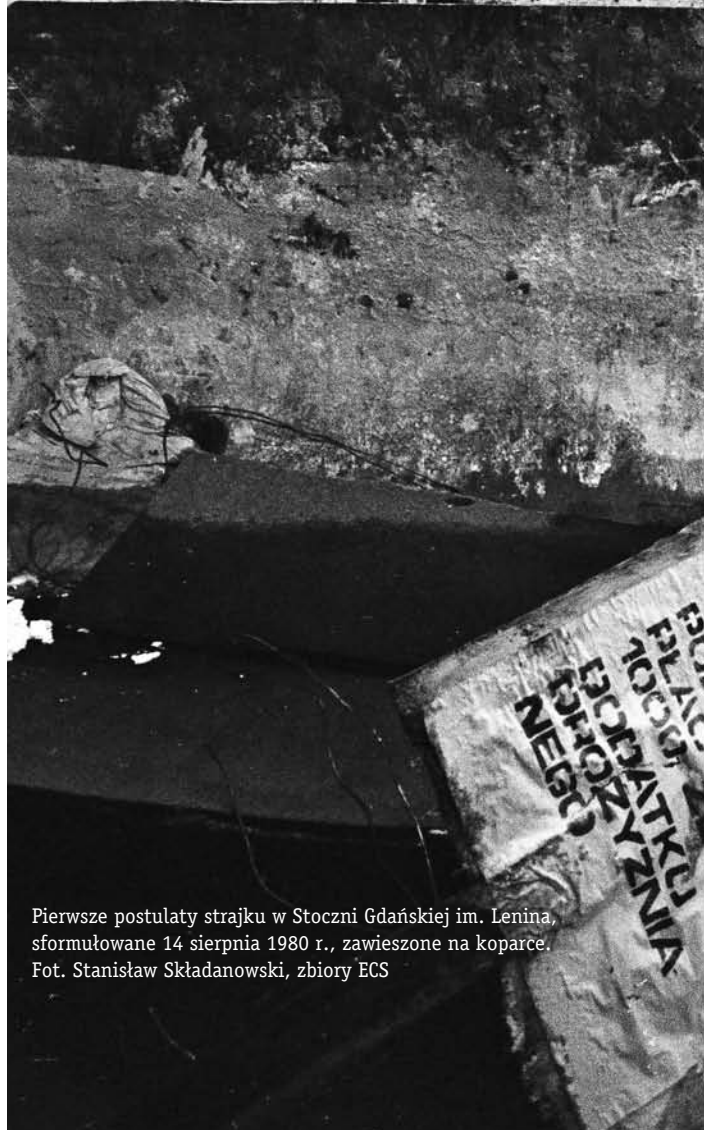
ANNA WALENTYNOWICZ

Andrzej Woźnicki: Pani została zwolniona z pracy w stoczni, odwołała się do sądu, sąd przywrócił Panią do pracy [...]. Co było dalej?¹

Anna Walentynowicz: Tak. Tylko wyglądało to trochę inaczej. Mnie nie zwolniono, ale przeniesiono. W 1978 r. zaczęły się wobec mnie rozmaite szykany, ponieważ zaangażowałam się w działalność związków zawodowych, które już wtedy powstały na Wybrzeżu. [...] Nasilenie szykan biegło w kierunku pozbycia się mnie ze stoczni. [...] Wymyślono delegację. Od delegacji w myśl kodeksu pracy nie przysługuje odwołanie. Musiałam pójść do Techmoru w Nowym Porcie. Stocznia płaciła mi, ale nie mogłam odebrać pensji, bo nie wpuszczano mnie na teren stoczni. [...] 1 lutego 1980 musiałam odejść do Stoczni Północnej już bez prawa wstępu na teren Stoczni Gdańskiej. Miejsce pracy było tak pomyślane, że byłam odizolowana od grupy. Zaniósłam odwołanie do sądu. Odbyło się 6 rozpraw i 27 czerwca zapadł wyrok: przywrócić na dawne miejsce pracy. A ja w listopadzie kończę 30 lat pracy tylko w Stoczni Gdańskiej. Nienagannej pracy. Uprawomocnienie wyroku nastąpiło 29 lipca. [...] Mając wyrok prawomocny, zażądałam jego realizacji. Poszłam na swój dawny oddział W-2. Zamelodowałam gotowość do pracy. Przebrałam się. Kierownicy wyłączyli suwnicę i zamknęli ją na klucz, mimo że brak było operatorów². Do końca dnia byłam beczynna, a inni pracownicy musieli czekać, bo urządzenie było bez obsługi. Jeszcze kiedy poprzednio pracowałam, było

¹ Pierwodruk: *Spółeczeństwo zrozumiało, że jest tylko taka możliwość obrony. Z Anną Walentynowicz rozmawia Andrzej Woźnicki, „Opinia” 1980, nr 41/42.* (red.)

² Anna Walentynowicz była operatorem dźwigu. (red.)



Pierwsze postulaty strajku w Stoczni Gdańskiej im. Lenina, sformułowane 14 sierpnia 1980 r., zawieszona na koparce.
Fot. Stanisław Składanowski, zbiory ECS



brak 4 ludzi. Czyli nikt tu się nie liczył z dobrem zakładu i pracowników. To było 29 lipca. 30 lipca chwycono mnie przy wejściu i osadzono na placówce straży przemysłowej na 2 godziny. Następnie komendant zażądał natychmiastowego powrotu na dawny wydział GS. [...] To się nie kalkulowało pod żadnym względem na parę miesięcy przed moim przejściem na emeryturę. Ale nikt się nie liczył z kosztami. Chodziło tylko o ujarzmienie tych ludzi, którzy odważyli się głośno wyrażać swoje myśli. [...] Nie wróciłam na wydział W-2. Dwóch strażników wyprowadziło mnie ze stoczni. Zaczęły się rozmowy z kierownictwem, pisanie podań. Skończyły się 5 sierpnia rozmową z dyrektorem naczelnym. Powiedział, że on nie musi honorować wyroku sądu. [...] Jego obowiązują przepisy wewnętrzne. Ta rozmowa kosztowała mnie zbyt wiele. Czułam się bardzo słaba. Udałam się do lekarza i otrzymałam zwolnienie od 6 sierpnia. A 7 sierpnia została rozwiązana umowa o pracę z artykułu 52 kp za porzucenie pracy. [...] Ale do mnie dotarło [to] dopiero 9, ponieważ kiedy poszłam po wypłatę, znów potraktowano mnie jak kryminalistkę, wykręcono ręce, przyprowadzono do działu kadr, zabrano dowód, wstawiono pieczętkę³, wypłacono pensję i wyrzucono za bramę. Kiedy koledzy, działacze niezależnych związków zawodowych, dowiedzieli się o tym, postanowili zawiadomić społeczeństwo, pracowników stoczni. Nie nawoływaliśmy do strajku. Wydana była ulotka⁴. Czas wydania od 9 do 14 sierpnia, bo Pan dokładnie wie⁵, w jakich warunkach, jakiej konspiracji trzeba było to zrobić, bo przecież milicja konfiskuje nam wszystko. Nie tylko podczas nielegalnej [rewizji] zabiera maszyny do pisania, ryzy papieru czy już zadrukowany papier, ale nawet długopisy. Wszystko jako materiały pochodzące z przestępstwa. Więc w wielkiej konspiracji trzeba było wydać te ulotki, inni to rozpowszechnili. We czwartek 14 sierpnia 1980 r. przed bramami stoczni rozdana została ulotka. I stało się. Były dwa postulaty. Napisano na kawałku tektury: „Przywrócić Annę Walentynowicz do pracy” i „1000 zł dodatku drożyznianego”. [...] Samorzutnie powstały na wydziale K-3 chyba. To jest jeden z największych wydziałów Stoczni Gdańskiej. Dyrektor znalazł się bardzo szybko. Powstrzymać grupę! Pokazano mu transparent, ktoś chciał wyrwać, nie pozwolono, utrzymano. „Czy pan nie umie czytać? Proszę!” – ktoś zawołał. Takich pracowników jak pani Walentynowicz ja sobie nie życzę na terenie zakładu – powiedział dyrektor. Otrzymał odpowiedź – to my z takim dyrektorem rozmawiać nie będziemy.

³ W PRL w dowodach osobistych widniała informacja o zatrudnieniu i zwolnieniu z pracy. (red.)

⁴ W ulotce podpisanej przez Komitet Założycielski Wolnych Związków Zawodowych i redakcję „Robotnika Wybrzeża” nie wzywano do strajku, ale do przeciwstawienia się usuwaniu ze stoczni ludzi, którzy mogą odgrywać rolę przywódców. „[...] Apelujemy, wystąpcie w obronie suwnicowej Anny Walentynowicz. Jeżeli tego nie uczynicie, wielu z Was może się znaleźć w podobnej sytuacji” (*Do pracowników Stoczni Gdańskiej*, [w:] *Zapiski wydarzeń. Gdańsk – Sierpień 1980. Dokumenty*, oprac. A. Drzycimski, T. Skutnik, Warszawa 1999, s. 3–4. (red.)

⁵ Andrzej Woźnicki był działaczem opozycji, uczestnikiem Ruchu Obrony Praw Człowieka i Obywatela. Wydawał niezależne pismo „Ruch Związkowy”. (red.)

Udali się pod bramę nr 2, gdzie w 1970 roku zginęli ludzie... Po drodze dołączały się inne wydziały. Minutą ciszy uczcili pamięć poległych.

A. Woźnicki: Kiedy dyrektor zdecydował się w końcu przywrócić Panią do pracy? [...]

A. Walentynowicz: Po trzech dniach walki. Pracownicy zażądali, że nie będą prowadzić rozmów, dopóki ja nie będę w stoczni. Koło godz. 11 wysłał wóz, koledzy przyjechali po mnie. Oczywiście w domu mnie nie było, bo musiałam się ukrywać, bo za mną chodzili. Nie mogłam zadzwonić do Warszawy⁶, chociaż wiedziałam od ósmej, że jest strajk, bo sześciu ubeków chodziło za mną. Ukryłam się u przyjaciół. Inni przyjaciele wiedzieli, gdzie jestem. Około godziny 11 w dniu 14 sierpnia przyjechałam do stoczni i musiałam wejść na prowizorycznie urządzonej trybunę, na koparkę typu Fadroma, bardzo dużą, musiałam się tam drapać do góry. I kiedy zobaczyłam ten 16-tysięczny tłum. Oczywiście przywitano mnie z kwiatami... To było wielkie przeżycie... Solidarność była tak wielka..., na którą myśmy nawet nie liczyli. Nie spodziewaliśmy się tego. Po prostu społeczeństwo dojrzało. Zrozumieli, że tylko taka możliwość, tylko taka forma obrony jest, bo sądy, wszystkie prawa są przeciwko klasie robotniczej.

A. Woźnicki: Przepraszam, kiedy został wysunięty postulat przywrócenia Leszka [Wałęsy] do pracy?

A. Walentynowicz: Leszek w chwili rozpoczęcia strajku dostał się [do stoczni] przez płot.

A. Woźnicki: No tak, ale zażądano przywrócenia i jego...

A. Walentynowicz: Żądano od pierwszej chwili rozmowy, tj. gdzieś około godz. 12 14 sierpnia. Kiedy ja przyszedłam do sali obrad, to był skromny komitet, kilka osób, m.in. Leszek, który już przewodniczył. Był tam dyrektor naczelny, kierownik działu kadr, pierwszy sekretarz [organizacji PZPR w stoczni] i przewodniczący organizacji młodzieżowej. I wtenczas już powstała sprawa przywrócenia nas do pracy. W żadnym wypadku nie chcieli. Więc odwołaliśmy rozmowy. Konsultowaliśmy się z załogą. Tak trwało 3 dni. Dyrektor obiecywał, że cofnie zwolnienie dyscyplinarne, da mi podwyżkę, tylko nie W-2. To była dla niego groźba, bo – jak powiedział – ja mogę zorganizować załogę.

Załoga powiedziała: Dlaczego wy się cackacie. Zażądać, a jak nie, to go wyprosimy ze stoczni. To była sobota, 16 sierpnia. Leszek powiedział – Walentynowicz na W-2! Tak albo nie! I wtenczas [dyrektor] zgodził się. A dla Leszka też się zgadza, tylko musi być zobowiązanie, że będzie pracował i tak dalej... Nie pisaliśmy żadnych zobowiązań, po prostu bezwarunkowo postawiliśmy sprawę, że muszą nas przyjąć.

Dyrektor podpisał również umowę o podwyżkę 1500 zł. Tak więc postulaty zostały załatwione. Ale zaczęły się zgłaszać inne, mniejsze zakłady. I mimo że stoczniojcy wywalczyli to, czego żądali, to ogłosiliśmy strajk solidarnościowy. Napotkaliśmy na opory. Nie dopuszczono nas do radiowęzła. Nadawano komunikaty, że strajk zakończony.

A. Woźnicki: [...] Który moment uważa Pani za najbardziej dramatyczny w okresie strajku?

⁶ Chodziło o telefon do Jacka Kuronia i powiadomienie KSS „KOR”, a za jego pośrednictwem mediów zachodnich, o rozpoczęciu strajku w Stoczni Gdańskiej. Z tą wiadomością do Kuronia zadzwoniła tego dnia ze stoczni Alina Pieńkowska. (red.)

A. Walentynowicz: Było ich dwa, albo może i trzy. Pierwszy, kiedy byłam bliska załamania, to sobota 16 sierpnia, godz. 17. Ogłaszamy strajk solidarnościowy, nie mamy możliwości zatrzymania ludzi. Dużo ludzi wychodziło już do domu. Część była oburzona! Pani Aniu, a co małe zakłady, jak my będziemy wyglądać, jak wyjdziemy za bramę, kim my jesteśmy? Myśmy ich zdradzili. I ta mała grupka została. Bardzo dużą aktywność wykazała tu Alina Pieńkowska, z pozoru bardzo wątpa dziewczyna. Ona swoją postawą potrafiła zatrzymać tych ludzi i *gros* ludzi wróciło, a już w telewizji jest komunikat, że strajk zakończony. Ale w godzinach wieczornych ludzie zaczęli wracać do stoczni. To było pierwsze dramatyczne przełamanie.

Druga sprawa, kiedy już było 130 zakładów i powstał MKS, i komisja rządowa nie chciała z nami rozmawiać, a otrzymaliśmy wiadomość, że milicja planuje wyłapanie nas jak ryby ze stawu. Poprzez uspienie... [...] To było w tym czasie, kiedy Pyka⁷ przyjechał do Gdańska i chcieli prowadzić rozmowy gabinetowe, z pojedynczymi zakładami, a myśmy nie chcieli. Postanowiliśmy, że tylko MKS ma prawo prowadzenia rozmów. I wtedy przysłała ta wiadomość, że będzie desant na stocznię. Była próba ewakuacji szpitala stoczni, myśmy nie pozwolili. Dotarła wiadomość, że szpital przy ul. Łąkowej jest ewakuowany. Ustawiliśmy dźwigi w kierunku kanału, wszystkie były oświetlone, dodatkowe reflektory, nikt tej nocy praktycznie nie spał. [...] Trzeci moment to wówczas, kiedy komisja rządowa nie chciała uwzględnić więźniów politycznych. Wszystkie postulaty Jagielski załatwia. W tym czasie strajkowały kopalnie, Huta Katowice. Bardzo ostro stawiały sprawę. Myśmy o tym jeszcze nie wiedzieli. Byliśmy zaniepokojeni tym tak szybkim zwrotem na lepsze. Zastanawialiśmy się, czy nie popełniliśmy jakiegoś błędu.

A. Woźnicki: To było w ostatnim dniu, 31 sierpnia, jeśli się nie mylę.

A. Walentynowicz: Tak. I teraz on nie chce uwzględnić postulatu 4, dotyczącego więźniów politycznych. To właściwie wszystko jest na nie, bo jeżeli nie załatwią nam tego punktu, to jest taka sama gwarancja, że jutro, pojutrze nas wszystkich pozamykają... To było też trochę niepokoju. I w moim życiu w czasie strajku te trzy fakty bardzo utkwily.

A. Woźnicki: Strajk został wygrany. Wygrał go Gdańsk dla nas wszystkich, silny poparciem całego kraju, jak sformułował to Karol Modzelewski we środę 17 września⁸. W imieniu pracowników Łodzi na Pani ręce składam życzenia dalszej pomyślnej pracy dla dobra nas wszystkich. Dziękuję bardzo.

A. Walentynowicz: Dziękuję, ale ja chciałam dodać, że Gdańsk był tylko dzięki temu, że była wielka solidarność. Postawa wszystkich ludzi. Że społeczeństwo nasze już dojrzało. Nikt nie miał pretensji, że już 18 dni trwa strajk, że jak zajdzie potrzeba, to drugie 18 dni będziemy strajkować. Żebyśmy tylko nie poddawali się. A to koczownicze życie było straszne. Ci ludzie mieli jednak tyle dobrej woli, tyle hartu. I to pomogło. Dzięki temu wygraliśmy i to jest nasz wspólny sukces, sukces całego narodu. A przemiany, jakie się dokonały, to jeszcze dwa tygodnie przed strajkiem nikt nie myślał, że będą możliwe. Dziękuję.

Gdańsk, 29 września 1980 r.

⁷ Wicepremier Tadeusz Pyka przewodził początkowo komisji rządowej. Został odwołany, 21 sierpnia na czele komisji stanął wicepremier Mieczysław Jagielski. (red.)

⁸ W tym dniu zebrani w Gdańsku delegaci ruchu strajkowego z całego kraju postanowili – według propozycji Karola Modzelewskiego – utworzyć jeden związek: NSZZ Solidarność. (red.)

21 postulatów MKS

Stocznia Gdańska im. Lenina, 17 sierpnia 1980

Żądania strajkujących załóg, zakładów pracy i przedsiębiorstw reprezentowanych przez Międzyzakładowy Komitet Strajkowy¹

Międzyzakładowy Komitet Strajkowy reprezentuje również załogi zakładów pracy i instytucji, których funkcjonowanie jest niezbędne społecznie. Komitet ów ma na celu doprowadzić do rozmów, które spełnią oczekiwania strajkujących załóg.

Jednym z pierwszych warunków rozpoczęcia rozmów jest odblokowanie wszystkich telefonów.

Żądania strajkujących załóg reprezentowanych przez Międzyzakładowy Komitet Strajkowy są następujące:

1. Akceptacja niezależnych od partii i pracodawców Wolnych Związków Zawodowych, wynikająca z ratyfikowanej przez PRL Konwencji nr 87 Międzynarodowej Organizacji Pracy dotyczącej wolności związkowych.
2. Zagwarantowanie prawa do strajku oraz bezpieczeństwa strajkujących i osób wspomagających.
3. Przestrzegać zagwarantowanej w Konstytucji PRL wolności słowa, druku i publikacji, a tym samym nie represjonować niezależnych wydawnictw oraz udostępnić środki masowego przekazu dla przedstawicieli wszystkich wyznań.
4. a) Przywrócić do poprzednich praw:
 - ludzi zwolnionych z pracy po strajkach w 1970 r. i 1976 r.,
 - studentów wydalonych z uczelni za przekonania.b) Uwolnić wszystkich więźniów politycznych (w tym Edmunda Zadrożyńskiego, Jana Kozłowskiego i Marka Kozłowskiego).
c) Znieść represje za przekonania.
5. Podać w środkach masowego przekazu informację o utworzeniu Międzyzakładowego Komitetu Strajkowego oraz opublikować jego żądania.
6. Podjąć realne działania mające na celu wyprowadzenie kraju z sytuacji kryzysowej poprzez:
 - a) podawanie do publicznej wiadomości pełnej informacji o sytuacji społeczno-gospodarczej,
 - b) umożliwienie wszystkim środowiskom i warstwom społecznym uczestniczenia w dyskusji nad programem reform.
7. Wypłacić wszystkim pracownikom biorącym udział w strajku wynagrodzenie za okres strajku – jak za urlop wypoczynkowy z funduszu CRZZ.
8. Podnieść wynagrodzenie zasadnicze każdego pracownika o 2000 zł na miesiąc jako rekompensatę dotychczasowego wzrostu cen.
9. Zagwarantować automatyczny wzrost płac równoległe do wzrostu cen i spadku wartości pieniądza.

¹ Opublikowane w „Strajkowym Biuletynie Informacyjnym”, 22 VIII 1980 (zob. J. Skórzyński, M. Pernal, *Gdy niemożliwe stało się możliwe. Kalendarium Solidarności 1980–89*, Warszawa 2005, s. 204). (red.)



Tablice z 21 postulatami Międzyzakładowego Komitetu Strajkowego, 22 sierpnia 1980 r. Fot. Stanisław Składanowski, zbiory ECS

10. Realizować pełne zaopatrzenie rynku wewnętrznego w artykuły żywnościowe, a eksportować tylko i wyłącznie nadwyżki.

11. Znieść ceny komercyjne oraz sprzedaż za dewizy w tzw. eksporcie wewnętrznym.

12. Wprowadzić zasady doboru kadry kierowniczej na zasadach kwalifikacji, a nie przynależności partyjnej oraz znieść przywileje MO, SB i aparatu partyjnego poprzez:

- zrównanie zasiłków rodzinnych
- zlikwidowanie specjalnych sprzedaży itp.

13. Wprowadzić na mięso i jego przetwory kartki - bony żywnościowe (do czasu opanowania sytuacji na rynku).

14. Obniżyć wiek emerytalny dla kobiet do 50 lat, a dla mężczyzn do lat 55 lub przepracowanie w PRL 30 lat dla kobiet i 35 lat dla mężczyzn bez względu na wiek.

15. Zrównać renty i emerytury starego portfela do poziomu aktualnie wypłacanych.

16. Poprawić warunki pracy Służby Zdrowia, co zapewni pełną opiekę medyczną osobom pracującym.

17. Zapewnić odpowiednią ilość miejsc w żłobkach i przedszkolach dla dzieci kobiet pracujących.

18. Wprowadzić urlop macierzyński płatny przez okres trzech lat na wychowanie dziecka.

19. Skrócić czas oczekiwania na mieszkanie.

20. Podnieść diety z 40 zł do 100 zł i dodatek za rozłąkę.

21. Wprowadzić wszystkie soboty wolne od pracy. Pracownikom w ruchu ciągłym i systemie 4-brygadowym brak wolnych sobót zrekompensować zwiększonym wymiarem urlopu wypoczynkowego lub innymi płatnymi dniami wolnymi od pracy.

Apel 64

Chwila obecna może okazać się krytyczna dla naszego kraju¹. Nikt jednak nie może powiedzieć, że zaskoczył go rozwój wypadków. Nie brakowało sygnałów nadchodzącego kryzysu gospodarczego i politycznego. Ignorowano je i kryzys nastąpił. Złożyły się na nie lata nieprzemyślanych decyzji gospodarczych, zadufania władz we własną nieomyślność, niedotrzymanych obietnic, tłumienia krytyki, lekceważenia praw obywatelskich. Raz jeszcze okazało się, że polskim narodem nie można rządzić, nie słuchając jego głosu. Robotnicy polscy z dojrzałością i determinacją walczą dziś o prawo swoje i nas wszystkich do lepszego i godniejszego życia. W tej walce miejsce całej postępowej inteligencji jest po ich stronie. Taka jest polska tradycja i taki jest nakaz chwili.

Wszystko teraz zależy od tego, jaka zostanie obrana droga wyjścia z obecnej sytuacji. Apelujemy do władz politycznych i do strajkujących robotników, aby była to droga rozmów, aby była to droga kompromisu. Nikomu nie wolno stawiać na jedną kartę losu kraju ani lekkomyślnie zaprzepaścić nadziei na lepszą przyszłość. Nikomu nie wolno uciekać się do jakichkolwiek aktów bezprawia i przemocy ani do próby sił. Nie wolno doprowadzić do tragedii sprzed 10 lat, nie wolno dopuścić do tego, aby znowu połała się krew.

Wymogiem nadrzędnym narodowej racji stanu jest dziś natychmiastowe rozpoczęcie przez powołaną komisję rządową rozmów z Międzyzakładowymi Komitetami Strajkowymi wybranymi przez załogi zakładów pracy w miastach Wybrzeża. Nie wolno sobie pozwolić ani na godzinę zwłoki, która może stworzyć nieodwracalne groźne fakty. Oprócz rozpatrzenia postulatów materialnych i gwarantowania bezpieczeństwa wszystkich, którzy biorą udział w strajkach, niezbędne jest uznanie

prawa załóg do wyłaniania autentycznych reprezentacji związkowych w drodze wyborów. Swoboda zrzeszania się związkowego, bez ingerencji zewnętrznej, jest kardynalnym prawem ludzi pracy, które musi być uszanowane w każdym systemie społecznym.

Zaangażując najgroźniejsze skutki wytworzonej sytuacji, nie można też odroczyć przedstawienia całemu społeczeństwu pełnej informacji o stanie kraju, otwarcia prawdziwej narodowej dyskusji i stworzenia warunków do wspólnego szukania sposobów naprawy.

Wszyscy – rządzi i rządzący – kierować się musimy dobrem Polski. W obecnym położeniu powstrzymać się należy od jąttrzenia i dzielenia społeczeństwa przy pomocy nieprzemyślanych słów i obelżywych kwalifikacji. Dość już było za naszej pamięci znieślawiających kampanii nienawiści. Nauczmy się wszyscy wzajemnie szanować swoją godność.

W tej trudnej chwili potrzeba umiaru i wyobraźni. Wyjście z dzisiejszego kryzysu wymaga porzucenia schematów każących uznać każdy postulat niezbędnej politycznej reformy za sprzeczny z racją stanu i godzący w podstawy ustroju. Wyjście z kryzysu wymaga umiaru w słusznej walce społeczeństwa o swoje prawa i lepsze warunki życia. Wymaga zdawania sobie sprawy z trudnej sytuacji kraju.

Jedynie rozważa i wyobraźnia mogą dziś doprowadzić do porozumienia w interesie wspólnej ojczyzny. Historia nie wybaczy nikomu, kto sięgnąłby po inne rozwiązanie niż droga porozumienia.

Apelujemy o wejście na tę drogę, apelujemy o rozważę i wyobraźnię w przekonaniu, że nie ma w tej chwili ważniejszej sprawy dla Polski.

Warszawa, dnia 20 sierpnia 1980 r.

¹ Pierwodruk: „Punkt” (Almanach gdańskich środowisk twórczych) 1980, nr 12, s. 200–202. (red.)



Sala BHP w Stoczni Gdańskiej, przemawia Lech Wałęsa, stoją za nim od lewej Henryk Krzywonos, Andrzej Kołodziej, Waldemar Stawicki, Anna Walentynowicz, sierpień 1980 r. Fot. Stanisław Składanowski, zbiory ECS

Pierwsze rady ekspertów Stocznia Gdańska, 22 sierpnia 1980

Uwagi konsultacyjne dotyczące rozmów Międzyzakładowego Komitetu Strajkowego w Stoczni Gdańskiej im. Lenina z komisją rządową¹

Rozmowy odbywają się bez warunków wstępnych w siedzibie Międzyzakładowego Komitetu Strajkowego w Stoczni Gdańskiej. Za bezpieczeństwo przedstawiceli komisji rządowej odpowiada MKS, dopuszczając osłonę bezpieczeństwa ochrony rządu.

Ze względu na to, że Międzyzakładowy Komitet Strajkowy reprezentuje różne zakłady i przedsiębiorstwa oraz istnieje potrzeba konsultacji z Międzyzakładowymi Komitetami Strajkowymi w Elblągu i Szczecinie, MKS w Gdańsku żąda przywrócenia i zapewnienia stałej łączności telefonicznej (automatycznej i sprawnej), umożliwiającej przeprowadzenie takich konsultacji. W wypadku braku łączności telefonicznej zajdzie potrzeba wysyłania łączników, co utrudni i przedłuży rokowania.

Uwagi dotyczące ewentualnych ustępstw w rokowaniach (zgodnie z numerami żądań):

1. W nazwie związków można pominąć drażliwą nazwę „wolne” i zastąpić ją synonimem „niezależne” w rozumieniu niezależne od pracodawców; pozostałe kryteria zgodne z obowiązującymi ustawami i przepisami gwarantującymi wolność i niezależność organizacji związkowych.

2. Gwarancje prawa do strajku mają wynikać ze struktury niezależnych związków zawodowych, strajki odbywają się w porozumieniu z właściwym niezależ-

nym związkiem zawodowym. Gwarancja bezpieczeństwa strajkujących i wspomagających – jest gwarancją ze strony rządu.

3. Oczywiście, z tym że gwarancje wolności słowa i publikacji odnoszą się do liberalizacji cenzury, legalizacji niezależnych wydawnictw w zakresie uzgodnionym z władzami i zagwarantowaniem, że środki masowego przekazu zostaną udostępnione przedstawicielom różnych wyznań (b. ważne – tu bez kompromisu).

4. Pierwszy wiersz bez zastrzeżeń (strajki '70 i '76), sprawa studentów – bez kompromisu, o ile dotyczy działalności politycznej zmierzającej do poprawy stosunków w PRL. W odniesieniu do więźniów politycznych – powołanie komisji w składzie społeczno-rządowym do zbadania określonych przypadków, w których wchodzi w grę represja o charakterze politycznym. W odniesieniu do E[dmunda] Zdrożyńskiego, Jana Kozłowskiego i Marka Kozłowskiego wniesienie nadzwyczajnej rewizji przez ministra sprawiedliwości i ponowne przeprowadzenie rozpraw.

5. Ze względu na sytuację – można anulować, chociaż należy się domagać opublikowania żądań w środkach masowego przekazu w trakcie prowadzonych rokowań.

6. Bezkompromisowy i ważny – bez ustępstw.

7. Oczywiście i bezkompromisowy.

8. Podwyżka uposażenia jest rzeczywiście dodatkiem inflacyjnym, biorąc pod uwagę stan faktyczny zastosowanych podwyżek cen (w tym i mięsa), dodatek 2000 zł nie pokrywa faktycznego wzrostu kosztów. Należy wstępnie i orientacyjnie przyjąć określoną sumę podwyżki dla wszystkich pracowników jako sumę wyjściową i zgodnie z żądaniem (jak niżej).

¹ Pufne uwagi komisji ekspertów Międzyzakładowego Komitetu Strajkowego w Stoczni Gdańskiej im. Lenina na temat rozmów MKS z Komisją Rządową. Datowane na 22 VIII 1980 r., a więc na dzień, w którym do stoczni przyjechali Bronisław Geremek i Tadeusz Mazowiecki i zostali poproszeni o utworzenie komisji ekspertów MKS, są pierwszym dokumentem komisji, powstałym z marszu, najprawdopodobniej w nocy z 22 na 23 sierpnia. Pierwodruk: *Zapis wydarzeń. Gdańsk – Sierpień 1980. Dokumenty*, oprac. A. Drzycimski, T. Skutnik, Warszawa 1999. (red.)

9. Urealnić go w stosunku do wzrostu kosztów (oczywiście w skali krajowej, dla wszystkich pracowników).

10. Bez kompromisu – ograniczenie eksportu żywności do koniecznego minimum i tylko w odniesieniu do nadwyżek produkcyjnych (ważne – bez ustępstw).

11. Wprowadzenie kartek konieczne dla uporządkowania rynku – postulat ważny jest nawet przy cenach komercyjnych – obowiązujących.

12. Znieść pojęcie ceny komercyjnej, ceny mają być odbiciem kosztów rzeczywistych produkcji. Sklepy dewizowe – tylko dla cudzoziemców na lotniskach, dworcach morskich itd. oraz w obrocie dewizowym z wpływów zagranicznych.

13. Bezdyskusyjny.

14. Postulat do przedstawienia Sejmowi PRL – nie może być zrealizowany w trakcie rokowań. Wytyczne do realizacji polityki socjalnej rządu.

15. Postulat do polityki socjalnej rządu w ramach minimum kosztów utrzymania – bez możliwości załamania w rokowaniach.

16. Oczywisty, ale do szczegółowego rozpatrzenia w rozmowach branżowych.

17. Zgłosić jako postulat. Praktycznie zupełnie nierealny w obecnej sytuacji – wytyczne dla polityki socjalnej rządu.

18. Jak wyżej – jako wytyczna polityki socjalnej i zatrudnienia.

19. Mimo atrakcyjnej formy – postulat zupełnie nierealny. Nie kłaść nacisku, gdyż produkcja mieszkań stale maleje i nic nie wskazuje na poprawę sytuacji. Wytyczna dla polityki mieszkaniowej rządu.

20. Żądanie oczywiste i uzasadnione faktycznymi kosztami delegacji.

21. Wprowadzenie wszystkich wolnych sobót konieczne ze względu na przemęczenie pracowników, szczególnie w zawodach sfeminizowanych.

W drodze kompromisu można przyjąć wydłużenie czasu pracy w pozostałe dni, aby nie zmniejszać produkcji globalnej. Nie ustępować z tego żądania.

W wypadku uzgodnienia stanowisk i zaakceptowania ich przez delegacje strajkujących zakładów reprezentowanych przez Międzyzakładowy Komitet Strajkowy w Stoczni Gdańskiej i [po] solidarnościowym porozumieniu się z innymi MKS następuje ogłoszenie komunikatu MKS i Komisji Rządowej z określeniem zakończenia strajku i terminem podjęcia pracy w strajkujących zakładach.

Ponieważ ogłoszenie zakończenia strajków nie oznacza rozwiązania problemów branżowych w poszczególnych zakładach, Komisje Strajkowe i MKS nie zostają rozwiązane, lecz działają nadal w pracujących zakładach. Realizowany jest w nich projekt spotkań z ministrami lub przedstawicielami branżowymi. Muszą się one odbyć w terminie jednego miesiąca od podjęcia pracy. Postanowienia branżowe dotyczą całej branży, a nie tylko zakładów strajkujących i nadzorowane są przez Komitety Strajkowe. W wypadku niezgodnienia stanowisk instancją odwoławczą jest Międzyzakładowy Komitet Strajkowy i komisja rządowa. O ile i na tym szczeblu nie dochodzi do uzgodnienia stanowisk, sprawa kierowana jest do niezależnych związków zawodowych celem dalszego prowadzenia.

Zasadniczym stwierdzeniem jest: przywileje uzyskane z tytułu strajków przysługują nie tylko zakładom strajkującym, ale całej branży lub poszczególnym pionom branż.

Gwarancję realizacji uzgodnionych postulatów daje rząd PRL. Aby akcje strajkowe nie dezorganizowały produkcji i życia kraju, należy ściśle ustalić formę prawną akcji strajkowej, kompetencje niezależnego związku zawodowego w wypadku wniosku o ogłoszenie strajku i obowiązki pracodawcy w wypadku konfliktu z pracownikami.

Wnioski końcowe

Wszystkie uzgodnienia muszą mieć formę pisemną, dyskusja nad żądaniami powinna być zaprotokołowana. Odpisy protokołu otrzymają strony zainteresowane. Do złożenia podpisu na protokole i komunikacie upoważnieni są: przewodniczący MKS i przewodniczący komisji rządowej, względnie osoba kompetentna z ramienia rządu PRL.

Złożenie podpisu przez komisję rządową jest równoznaczne ze zobowiązaniem [do] realizacji uzgodnionych postulatów. To samo dotyczy zobowiązań podjętych przez MKS.

Komitety strajkowe kończą swoją działalność po przeprowadzeniu rozmów, prezydium MKS nie podlega rozwiązaniu, nadzorując wykonanie zobowiązań do czasu, gdy niezależne związki zawodowe będą mogły przejąć funkcję MKS. Z tą chwilą ustaje działalność MKS. Siedzibą MKS jest Stocznia Gdańska im. Lenina w Gdańsku.

Co można było wywalczyć więcej?

Z **TADEUSZEM MAZOWIECKIM**, W SIERPNIU 1980 R.
PRZEWODNICZĄCYM KOMISJI EKSPERTÓW MKS
W GDAŃSKU, ROZMAWIA ANDRZEJ KACZYŃSKI

Andrzej Kaczyński: Jak doszło do waszego wyjazdu, pana wraz z Bronisławem Geremkiem, na strajk w Stoczni Gdańskiej? W jaki sposób zapadła decyzja i jaki plan jej towarzyszył?

Tadeusz Mazowiecki: Pomysł powstał 19 lub 20 sierpnia, podczas zbierania podpisów intelektualistów pod apelem do władz i strajkujących na Wybrzeżu robotników o podjęcie rozmów i pokojowe rozwiązywanie kryzysu – tzw. Apelem 64. Spotykaliśmy się w mieszkaniu Bronisława Geremka na ulicy Piwnej w Warszawie, inicjatorzy apelu i grono osób, które zajmowały się zbieraniem pod nim podpisów. Nie pamiętam już, w którym momencie ani kto pierwszy wystąpił z taką inicjatywą, żeby nie wysyłać tego apelu gdzieś w przestrzeń, tylko zawieźć go i doręczyć bezpośrednio adresatom. Przy czym nie planowaliśmy, że odegramy tam jakąś trwałą rolę, a nawet, że zostaniemy tam na dłużej. Te decyzje zapadły już na miejscu, w Gdańsku.

A.K.: W relacji Tadeusza Kowalika o pracy w komisji ekspertów Międzyzakładowego Komitetu Strajkowego jest jednak domniemanie, że to pan jako pierwszy założył, iż może się nawiązać dłuższa współpraca ze stoczniowcami.

T.M.: Owszem, byłem nastawiony na to, że może to być wyjazd nie tam i z powrotem... Jeżeli okaże się, że będziemy do czegoś w Gdańsku potrzebni, to nie będziemy się przecież uchylać.

A.K.: W pana przypadku zaważyło pewnie wspomnienie podróży na Wybrzeże w styczniu 1971 r., tuż po krwawym stłumieniu grudniowego protestu robotników Trójmiasta, a potem bezowocnych prób nakłonienia postów do zbadania tej tragedii przez specjalną komisję sejmową?

T.M.: Tak, ale nie tylko. Wydarzenia lata 1980 r. były ewenementem. W lipcu w Lublinie władza po raz pierwszy podjęła rozmowy ze strajkującymi robotnikami, wprawdzie wyłącznie o sprawach płacowych i pracowniczych, nie pojawiły się tam żadne szersze tematy, o ogólnopolskim wymiarze. Ale w Gdańsku takie postulaty już się ujawniły i zanosilo się na bardzo duże wydarzenie. Było naszą ogromną troską, ale też i nadzieją, że tym razem nie zakończy się to w sposób krwawy. Chcieliśmy się do tego przyczynić. Czuło się w powietrzu, że ten kierowany przez Edwarda Gierka układ partyjny zmierza do kryzysu, wydarzenia w Lublinie były tego zapowiedzią. Powstała szansa, że może tym razem postulaty społeczne jakoś się przebiją.



Grupa ekspertów w Stoczni Gdańskiej – Bronisław Geremek, Tadeusz Kowalik (częściowo zastonięty), Jerzy Stembrowicz, Jan Strzelecki, Bohdan Cywiński, Andrzej Wielowieyski, Tadeusz Mazowiecki, przed nimi Anna Walentynowicz, sierpień 1980 r. Fot. Józef Borusewicz, zbiory ECS

A.K.: Na czym polegał panów mandat? Czy zostaliście zobowiązani przez sygnatariuszy apelu do zajmowania jakiegoś określonego stanowiska?

T.M.: No nie, przecież było 64 sygnatariuszy, trudno byłoby pobrać od nich wszystkich jakieś uzgodnione instrukcje. Ale mieliśmy pełnomocnictwa od inicjatorów apelu, wywodzących się ze środowisk skupionych w Towarzystwie Kursów Naukowych oraz w Konwersatorium Doświadczenie i Przyszłość. Nasz wyjazd był przedyskutowany. Zostaliśmy, można powiedzieć, wyekspediowani przez jednego z najaktywniejszych członków TKN, prof. Adama Kerstena, który zaopatrzył nas w paliwo do samochodu, towar zupełnie wówczas niedostępny. Jeździłem z nim zresztą zbierając podpisy i wspomnienie o tym zachowuję do dzisiaj, ponieważ Kersten prowadził auto jak szalony, w straszliwym tempie, i towarzyszyłem mu z duszą na ramieniu. Był nie tylko świetnym profesorem historii, ale też umiał załatwić różne przyziemne rzeczy, np. właśnie benzynę.

A.K.: Tak, był znany z praktycznego zmysłu. Uchodził za jednego z najlepszych instruktorów drukowania przy użyciu takich prymitywnych urządzeń, jak ramka, sito i pasta Komfort.

T.M.: On więc nas wyekspediował wczesnym popołudniem 22 sierpnia. Jak już parę razy opowiadałem, pojechaliśmy okrężną trasą. W Płońsku skręciliśmy nie w prawo, najprostszą drogą, tylko w lewo, żeby przez Toruń i Łębork wjechać do Gdańska od północy, tak jakbyśmy wracali z wczasów nad morzem. Założyliśmy, że na drodze wprost do Gdańska możemy zostać zatrzymanymi. To nie było pozbawione sensu, bo dowiedzieliśmy się później, że rzeczywiście zatrzymywano podróżnych na tej trasie. Zorientowaliśmy się także w czasie jazdy, że mijają nas i zatrzymywały się na odpoczynek samochody pełne niby-robotników, ubranych w podejrzanie świeżutkie kombinizony. To była Służba Bezpieczeństwa, ściągana z całej Polski do Gdańska.

A.K.: Czy przed panów wyjazdem apel był już znany władzom?

T.M.: Ja sam nie brałem w tym udziału, ale przeczytałem, co kiedyś Bronisław Geremek napisał, że przed wyjazdem zdążył złożyć go w biurze podawczym w KC PZPR. Uważaliśmy też, że powinniśmy go doręczyć nie tylko komitetowi strajkowemu w Stoczni Gdańskiej, ale również miejscowym władzom. To był apel o to, żeby podjąć rozmowy, zrobić wszystko, byleby nie doszło do rozlewu krwi. Miał dwóch adresatów, musiał więc zostać doręczony również stronie rządowej.

I nazajutrz po wręczeniu apelu Lechowi Wałęsie i zapoznaniu z nim plenum MKS-u zanieśliśmy go do urzędu wojewódzkiego. Nie zastaliśmy wojewody, więc zostawiliśmy egzemplarz wraz z paroma słowami, że jeśli chciałby się z nami widzieć, to jesteśmy do dyspozycji.

A.K.: Jak panowie dotarli na strajk? Jakie były wasze pierwsze wrażenia z miasta, ze stoczni?

T.M.: W Gdańsku zajechaliśmy do pallotynów. Zastanawialiśmy się, jak dojść do stoczni, żeby nas nie zatrzymano. Jeden z księży zaofiarował się, że nas zaprowadzi. Zarekomendował nas przy bramie, kim jesteśmy i z czym przyjechaliśmy. Straż strajkowa kontrolowała wchodzących, nie każdy mógł wejść. Nie wpuszczano np. dziennikarzy krajowych mediów oficjalnych, ponieważ prasa pisała nieprawdę. Wpuszczano natomiast korespondentów zagranicznych. Weszliśmy. Porządek, spokój, powaga. Organizacja i dyscyplina. Zaprowadzono nas na salę BHP, pełną stoczniovców i delegatów innych strajkujących zakładów. Zapytaliśmy o Lecha Wałęsę, mówiąc, że chcemy mu wręczyć apel 64 intelektualistów.

Nawiasem mówiąc, z nazwiskiem Wałęsy zetknąłem się tuż przed wyjazdem. Zaszedłem do redakcji „Więzi”. Moja zapowiedź, że wybieram się do Gdańska, wywołała pewne poruszenie, a także chwilę refleksji, czy redakcji nie spotkają za to represje. No, ale po głodówce w kościele św. Marcina [członków i współpracowników KOR w maju 1977 r. w intencji wypuszczenia z więzień uczestników Czerwca '76; Tadeusz Mazowiecki był ich mężem zaufania] koledzy z „Więzi” byli już przyzwyczajeni, że przekraczam normy. Zastałem Wojciecha Wieczorka, mojego zastępcę, przy lekturze prasy zachodniej. I bodaj w jakiejś niemieckiej gazecie wyczytał, że przywódca strajkujących nazywa się Lech Wałęsa i „jeszcze będzie o nim słyhać”. No więc dotarliśmy do sali BHP i musieliśmy zaczekać, ponieważ odbywało się posiedzenie prezydium MKS-u. Tego dnia zakończyła się misja wicepremiera Tadeusza Pyki...

A.K.: ...który chciał porozumiewać się z załogami strajkujących zakładów, nie przyjmując do wiadomości istnienia MKS-u.

T.M.: Chciał w ten sposób rozbić jedność strajkujących. To dążenie do dezintegracji było zresztą łatwe do przewidzenia. I kiedy tak czekaliśmy w sali BHP, zdarzyło się coś, co uprzytomniło mi bardzo ważną rzecz. Rozmawialiśmy z korespondentami zagranicznymi, w dość licznym gronie, gdyż oprócz dziennikarzy obecni byli też ich tłumacze i inni ludzie im pomocni. Pewien człowiek, którego podejrzewałem o ukryte związki z władzami, zaczął mnie przekonywać, że Wałęsa to może nie jest dobry partner do negocjacji, że może byłoby lepiej, gdyby zastąpił go ktoś inny. Uświadomiłem sobie wówczas, czekając na Lecha Wałęsę, jak niezwykle ważne jest umocnienie przywództwa. Że strajkujący muszą mieć naprawdę jednego niekwestionowanego przywódcę, wobec którego będą lojalni, ponieważ pierwszym zabiegiem władzy będzie dążenie do ich rozbitcia.

Mieliśmy jakieś polecenia z Warszawy, nie pamiętam czyje, do Andrzeja Gwiazdy, no i oczywiście do Bogdana Borusewicza. Poznaliśmy też wtedy pana Lecha Bądkowskiego, wybitnego gdańskiego pisarza, niezwykle twardego człowieka, bardzo zresztą krytycznego wobec Wałęsy. On znalazł się w stoczni przed nami, nie byliśmy tam więc bynajmniej pierwszymi intelektualistami, ale nasz apel miał ogromne, ogólnopolskie znaczenie. Bardzo mi przypadł do gustu pan Bądkowski. Był rzecznikiem MKS-u, czyli jego przedstawicielem wysuniętym na pierwszą linię. Widziałem, jak bardzo rzeczowe są jego komunikaty i jak bardzo rzeczowy ma stosunek do całej sprawy. Bez żadnej fanfaronady, a przecież o to nie było trudno. Właśnie to poczucie odpowiedzialności ludzi z komitetu strajkowego uderzyło nas mocno od pierwszej chwili. Wszystko, co się tam wtedy działo, było przecież wielką niewiadomą. I to szalenie mocne poczucie odpowiedzialności coraz bardziej nam imponowało.

A.K.: A spotkanie z Wałęsą?

T.M.: Przyszedł do nas bardzo już późnym wieczorem. Wręczyliśmy mu apel, o którego istnieniu oni już wiedzieli, bo radia zagraniczne o nim poinformowały jako o ważnym wydarzeniu. Wałęsa uważnie go przeczytał. Po czym zapytał: – A konkretnie, to w czym byście nam mogli pomóc? No i tak we trzech, Wałęsa, Geremek i ja, nad tym się zastanawialiśmy. Powstał pomysł, żeby powołać komisję ekspertów. My będziemy starać się pomóc, ale nie będziemy współdecydować. To było niezwykle ważne w naszym wzajemnym stosunku.

Pierwszym założeniem było, że nie mogą dać się władzy podzielić. Drugim, żeby nie dostarczyć argumentu, że ktoś z zewnątrz kręci robotnikami. Czyli przywództwo żeby było rzeczywiste i mocne, a nasza rola pomocnicza. Wałęsa zrobił na mnie wrażenie twardego człowieka, który wie, czego chce.

No, a potem Bogdan Borusewicz pokazał nam, gdzie możemy się przespać, czyli potraktował nas normalnie, tak jak wszystkich innych, bez żadnej ulgi. I to mi się też bardzo podobało. Następnego dnia przemawiałem do plenum MKS-u. Powiedziałem o apelu i jak zamierzamy postępować, wypełniając powierzoną nam misję ekspercką. Padło po tym pytanie: – A jak długo tu zostaniecie? Bez namysłu odpowiedziałem: – Do końca. I to była po prostu deklaracja wierności w stosunku do nich, dlatego że nikt nie wiedział, jaki ten koniec będzie. Myślę, że ta spontaniczna odpowiedź zadecydowała o zaufaniu, jakim zostaliśmy obdarzeni.

A.K.: Nocowali panowie w stoczni czy chodzili spać do pallotynów?

T.M.: Za pierwszym razem w stoczni. A potem różnie bywało. Czasem zostawaliśmy na noc w stoczni, ale raczej wracaliśmy do pallotynów, choćby dlatego, że tam można było porządnie się umyć.

Nazajutrz, 23 sierpnia, poszliśmy do wojewody. Dowiedzieliśmy się, że zamiast Pyki przyjechał już wicepremier Mieczysław Jagielski – obiecująca wiadomość, ponieważ to właśnie Jagielski sprawnie rozwiązał strajki w Lublinie – i wojewoda Jerzy Kołodziejski jest z nim zajęty. Zostawiliśmy apel i zajęliśmy się kompletowaniem zespołu ekspertów, czyli telefonowaniem do Warszawy i ściąganiem wybranych osób.

A.K.: Czym kierowali się panowie, zapraszając ekspertów? Bronisław Geremek zatelefonował do Tadeusza Kowalika; zamiast imion i nazwisk pozostałych ekspertów wymieniał tytuły ich książek. Byli to autorzy: *Rodowódów niepokornych* – czyli Bohdan Cywiński,

Po wielkim skoku – Waldemar Kuczyński i Przed trzecim przyspieszeniem – Andrzej Wielowieyski. Zamówił także „jakiegoś dobrego prawnika”; Kowalik zaproponował Leszka Kubickiego z Instytutu Państwa i Prawa PAN.

T.M.: Szło nam o zebranie ludzi kompetentnych, którzy zarazem będą – jak się spodziewaliśmy – umieli ze sobą dobrze współpracować. Nie można było w tych warunkach tworzyć komisji z Bóg wie jakich ekspertów, którzy zamiast współdziałać, toczyliby zawzięte spory. Zakładaliśmy ponadto, że ci, których zaprosiliśmy, będą się kierować taką samą rozważą i odpowiedzialnością.

To założenie, które można było jeszcze przyjmować, pisząc w Warszawie apel do dwóch stron wielkiego konfliktu – że jesteśmy elementem usytuowanym pomiędzy władzą a strajkującymi, będziemy mediować – odrzuciliśmy natychmiast po przyjeździe do Gdańska. Od pierwszej chwili stało się jasne, że musimy stanąć po jednej stronie, nie ma mowy o mediacji, bo władza jej nie przyjmie, natomiast naszym celem jest po prostu pomóc komitetowi strajkowemu.

Gdy w niedzielę 24 sierpnia przybyli zaproszeni przez nas eksperci, natychmiast powiedzieliśmy im o tym. To spowodowało, że jeden z nich, prawnik prof. Leszek Kubicki wycofał się, ponieważ nie widział się w roli eksperta strony stoczniowej, tylko mediatora. Wszyscy inni, tak jak przewidywaliśmy, zgodzili się. Cywińskiego i Wielowieyskiego znałem dobrze i długo. Kowalik był *spiritus movens* apelu intelektualistów; to on do mnie z tym projektem przyszedł. Waldemara Kuczyńskiego znałem z książki *Po wielkim skoku*, która zrobiła na mnie wrażenie dobrej, rzeczowej krytyki gospodarki okresu gierkowskiego.

A.K.: A Jadwiga Staniszkis?

T.M.: Ona już była w stoczni, ale nie na nasze zaproszenie.

A.K.: Zaprosił ją Piotr Kapczyński, współpracownik Bogdana Borusewicza (razem drukowali ulotki na 14 sierpnia, wzywające do strajku w obronie Anny Walentynowicz). Kapczyński kończył handel zagraniczny w Warszawie i znał ją ze studiów.

T.M.: Możliwe. Ja niewiele wiedziałem o Jadwidze Staniszkis, ale koledzy powiedzieli mi, że jest wybitną socjolożką i było oczywiste, że należy ją włączyć do tego grona.

A.K.: Jak została umocowana komisja ekspertów? Przy Wałęsie, przy prezydium?

T.M.: Przy prezydium MKS-u. Braliśmy udział w posiedzeniach prezydium. Zadawano nam pytania, wypowiadaliśmy się z własnej inicjatywy. Ocenialiśmy sytuację w danym momencie, podsuwaliśmy rozwiązania.

A.K.: Czy był podział zadań pomiędzy ekspertami?

T.M.: Był, ale tworzył się w miarę potrzeb, gdy ruszyły rozmowy. Tadeusz Kowalik, Waldemar Kuczyński i Andrzej Wielowieyski zajęli się np. problematyką ekonomiczną.

A.K.: Zespół został później poszerzony.

T.M.: Po rezygnacji Kubickiego przyjechał prawnik prof. Jerzy Stembrowicz. Skład ekspertów został podany w komunikacie prezydium MKS-u o powołaniu komisji, gdy Stembrowicza jeszcze w Gdańsku nie było, formalnie więc nie był członkiem komisji, ale był bardzo czynny, wiele spraw z nim konsultowaliśmy i okazał się bardzo pomocny.

A.K.: **Oczekiwaliście na pytania ze strony MKS-u czy podejmowaliście problemy według własnego uznania?**

T.M.: Jedno i drugie. Na początku chodziło o to, żeby kierownictwo strajku jak najlepiej przygotowało się do negocjacji z delegacją rządową, miało własną strategię i koncepcję, jak one mają się potoczyć. Przedstawiliśmy opinię, że najważniejszy jest pierwszy postulat, dotyczący wolności tworzenia związków zawodowych, do czego prezydium MKS-u nie trzeba było zresztą przekonywać. Kładliśmy nacisk na to, że rozmowy będą się toczyć na temat wszystkich 21 postulatów, ale kluczowy jest pierwszy, a zatem nie wolno niczego podpisywać ani potwierdzać, że coś udało się już uzgodnić, dopóki nie rozstrzygnie się sprawa pierwszego postulatu, dopóki ta najważniejsza rzecz nie zostanie zadowalająco załatwiona.

Oczywiście w miarę przebiegu rozmów strategia była dopracowywana i uszczegółowiana, kreśliło się koncepcje kolejnych kroków. Z szukaniem argumentacji, która mogłaby zostać użyta. Już po pierwszej turze rozmów wyłoniona została do przygotowania propozycji rozwiązań mała grupa...

A.K.: **Grupa robocza, którą wicepremier Jagielski zaproponował na zakończenie negocjacji 26 sierpnia?**

T.M.: Tak. Z tamtej strony przewodniczył jej wojewoda Jerzy Kołodziejski, a należeli: Tadeusz Fiszbach, kierownik wydziału w KC PZPR Zbigniew Zieliński – zgodnie z regułą, że musi w takim gronie znajdować się jeden człowiek twardszy od innych – który w imieniu „twardogłowych” odgrywał rolę strażnika ortodoksji, a także eksperci, m.in. profesorowie Józef Pajestka i Antoni Rajkiewicz. Przewodniczącym naszej części grupy roboczej był Andrzej Gwiazda, ponadto Bogdan Lis i Zdzisław Kobylański, a spośród ekspertów Kowalik, Staniszkis i ja. Naszym zadaniem było toczyć dyskusję, która by przybliżała stanowiska obu stron na rozmowy plenarne. No i oczywiście zajmowaliśmy się różnymi tematami, ale ciągle powracał ten najważniejszy. Postulat numer jeden: wolne związki.

A.K.: **Co się dalej działo z dorobkiem grupy roboczej? Stanowisko, które udało się wam wypracować, wracało pod obrady prezydium czy od razu było traktowane jak instrukcja dla negocjatorów na obrady plenarne?**

T.M.: Relacje z obrad grupy roboczej przekazywane były Wałęsie i całemu prezydium przed rozmowami plenarnymi. Zresztą trzech jej członków należało do prezydium MKS-u – Gwiazda, Lis i Kobylański. W naturalny sposób przechodziło więc to do prezydium. Jeżeli coś zostało przez obie strony grupy roboczej uzgodnione lub było bliskie uzgodnienia, zapisywano i w trakcie rozmów formalnych obie strony to na ogół akceptowały.

Rozmowy zresztą ciągle wracały do głównego punktu spornego. Delegacja rządowa przedkładała nam w zasadzie ciągle tę samą koncepcję, z mało istotnymi zmianami – przystąpienie do Centralnej Rady Związków Zawodowych. Tłumaczyła, że istnieje ustawa związkowa, która dopuszcza tylko jedną centralę, a rejestrację związków prowadzi wyłącznie CRZZ.

Skutkiem tych wielokrotnych podejść i zwrotów było to, że w porozumieniu znalazły się w końcu punkty, które formalnie były ze sobą sprzeczne. W jednym punkcie znalazła się teza, że zgoda na niezależny samorządny związek dotyczy tylko Wybrzeża, ale sformułowanie w innym miejscu można było interpretować jako wolność tworzenia nowych związków zawodowych w całej Polsce. Ale nie dążyliśmy do usunięcia za wszelką cenę tej sprzeczności, ażeby nie spowodować kolejnego usztywnienia lub wycofania się strony rządowej.

A.K.: W piśmiennictwie na temat Sierpnia '80 przewija się sprawa wariantu B, czyli wymuszonej przez władze siłą rezygnacji z zamiaru utworzenia całkiem nowych związków zawodowych (wariantu A) na rzecz przystąpienia do mniej czy bardziej zreformowanej CRZZ. Czy zespół ekspertów sformułował taki wariant B, z własnej inicjatywy albo na prośbę prezydium MKS-u, a jeśli tak, to jak został on przyjęty przez przywództwo strajku?

T.M.: Rzecz przedstawiała się następująco. W sprawie pierwszego postulatu obie strony zachowywały się nieustępliwie. Czy tego chcieliśmy, czy nie, powstawało pytanie, czy dopuszczamy jakikolwiek inny wariant niż zgoda na budowanie od podstaw zupełnie nowego związku zawodowego. Uważaliśmy, że nie można stanąć na stanowisku, że dopuszczamy inny wariant, ponieważ gdyby pojawiła się gotowość do uwzględnienia nawet w najdalszej kolejności jakiegoś innego rozstrzygnięcia, osłabiłoby to siłę naszej determinacji w odniesieniu do postulatu numer jeden. Nie można było jednak nie brać pod uwagę ewentualności, że po stronie władz przewagę zyskają ludzie wzywający do zastosowania wariantu siłowego. Trzeba więc było w dążeniu do poszukiwania kompromisu rozważyć takie rozwiązanie, które by gwarantowało zachowanie niezależności nowych związków w ramach starej centrali związkowej. Na wszelki wypadek... Podkreślam: na wszelki wypadek.

Odbyło się bodajże 27 sierpnia spotkanie z członkami prezydium MKS-u w kadłubie budowanego statku, na którym rozważano wariant B. Najpierw sprawdziliśmy, czy nie ma tam podsłuchu, zachowaliśmy też maksymalną możliwą w tych warunkach dyskrecję. Wariant B został przedstawiony bez rekomendacji ze strony ekspertów, w celu wyłącznie poznawczym, i przez działaczy odrzucony. A to, że nigdy podczas strajku nie zaistniał publicznie, jest najlepszym dowodem, że został sformułowany absolutnie i wyłącznie na wszelki wypadek.

A.K.: Czy były jeszcze jakieś kwestie sporne, kiedy komisja ekspertów musiała przekonywać do swoich propozycji nie tylko delegację rządową, ale najpierw komitet strajkowy albo jakiś odłam stoczniowej opinii publicznej?

T.M.: Były, ale nie widzieliśmy w tym nic nadzwyczajnego. Nie uważaliśmy, że mamy patent na słuszność. W wielu sprawach eksperci nie silili się na oryginalne rozwiązania, tylko doszlifowywali propozycje strajkujących, bo za nimi stało doświadczenie praktyczne.

Była też sprawa o charakterze sentymentalnym. Zauważyliśmy, że w postulatcie wolnych związków zawodowych słowo „wolne” po prostu aż kłuje w oczy przedstawicieli władz. Nie tylko z powodu skojarzenia z międzynarodową federacją wolnych związków zawodowych, radykalnie antykomunistyczną, lecz także z uwagi na istniejące dotychczas w PRL związki zawodowe, któ-

rym w ten sposób odmawiało się przymiotu wolności. Stronie rządowej bardzo zależało na tym, żeby złagodzić tę krytyczną ocenę dotychczasowych związków. A z drugiej strony znajdowali się przywódcy strajku, którzy w niemałej liczbie wywodzili się z Wolnych Związków Zawodowych Wybrzeża. Trzeba więc było znaleźć jakieś inne słowo, które by oddawało tę samą treść. Niezależne? Samorządne? Oba weszły w użycie. Potem je połączono i przyjęła się ta przydługa nazwa.

W ostatniej fazie negocjacji wynikły kontrowersje wokół żądania emisji niedzielnej mszy w radio. Strona rządowa wezwała na eksperta Adama Łopatkę, dyrektora Urzędu do spraw Wyznań. Zaczął mnie przekonywać, że na ten temat rząd powinien rozmawiać nie z komitetem strajkowym, lecz z Kościołem. Pokazałem mu przez okno tłum robotników. – To jest Kościół – odpowiedziałem, używając formuły soborowej. Episkopat wówczas chciał transmisji mszy przez radio, nie chciał jej natomiast w telewizji, ponieważ uważał – jak myślę – że to mogłoby odciągnąć ludzi od chodzenia do kościoła. No i taka propozycja nie padła, ograniczyliśmy się do żądania transmisji radiowej.

A.K.: A jak pan zareagował i jak zareagowali robotnicy na kazanie kard. Stefana Wyszyńskiego 26 sierpnia na Jasnej Górze? Na pewno jako działacze i publicyści katolicy pan i Bohdan Cywiński byliście nagabywani o wyjaśnienia.

T.M.: Ludzie byli bardzo zawiedzeni, nawet zszokowani. Zrozumieli je jako wezwanie do powrotu do pracy. Ogromnie nam zależało na tym, aby w jakiś sposób złagodzić wymowę kazania prymasa. Na szczęście rozniosła się niebawem nieoficjalna informacja, że zostało ono zmanipulowane w transmisji telewizyjnej, a następnie komunikat sekretariatu Episkopatu, że wyemitowany został tekst niepełny, a więc zniekształcony.

Dlaczego to wywołało taki szok? Wątki religijne były bardzo widoczne i ważne podczas strajku. Obrazy religijne i portret papieża na bramie stoczniowej. Zbiorowe modlitwy, masowe spowiedzi, msze. No i oczywiście skoro telewizja nadała kazanie prymasa, wszyscy przybiegli go wysłuchać. I było wielkie rozczarowanie.

Moja reakcja? Że prymas nie ma dobrego rozeznania sytuacji. Ale również, że może on dostrzega zagrożenia, których my nie widzimy. Ciągle wisiło pytanie, czy Wielki Brat będzie interweniować. Nie tylko my je sobie zadawaliśmy. Doskonale pamiętam, jak podczas obrad grupy roboczej na salę wszedł sekretarz wojewody i podał mu jakąś kartkę. Wojewoda Kołodziejski przeczytał ją i zbladł. Podczas przerwy zapytałem, co to za wiadomość. Odpowiedział, że informacja, nie całkiem pewna, że okręty radzieckie stoją na redzie.

Musieliśmy ciągle zważać, żeby nie przeciągnąć struny, żeby nie stało się coś najstraszliwszego. Ale równocześnie mieliśmy świadomość tego, że tylko pełna nasza determinacja może doprowadzić do sukcesu, który jest na wyciągnięcie ręki. Ta władza nie chce powtórzenia się roku 1970 – to nam mówili doradcy strony rządowej. Profesor Rajkiewicz, pamiętam, powiedział, że Gierek już wie i pogodził się z tym, że odejdzie, ale nie chce odejść z krwią robotniczą na rękach. To było już w przeddzień podpisania porozumienia. No ale z kolei po tym, jak Jagielski latał do stolicy w tę i z powrotem, widać było, jak bardzo decyzje uzależnione są od Warszawy.

Dla nas zaś bardzo istotna była łączność ze Szczecinem. Był z nami przedstawiciel szczecińskiego MKS-u Stanisław Wądołowski. Bardzo nalegaliśmy, żeby Szczecin nie podpisywał porozumienia przed nami, ponieważ negocjujemy korzystniejsze możliwości startu NSZZ. Krytykom formuły o uznawaniu przez nowe związki kierowniczej roli PZPR w państwie sugeruję porównanie z zapisem o socjalistycznym charakterze nowych związków w porozumieniu szczecińskim.

A.K.: Spór o „kierownicę” nie wygaś do dziś...

T.M.: Przecież ten strajk nie był strajkiem o przejęcie władzy w Polsce, tylko o wolność organizowania się związki zawodowe. Co już i tak – wiedzieliśmy – wniesie wielką zmianę. Powstanie niezależnych od PZPR związków zawodowych zmieni ustrój. Ale nie będzie sięgnięciem po władzę, to przecież było wówczas niemożliwe. Należało więc zaproponować kompromis, określając granice tej władzy w stosunku do nowo powstających związków zawodowych. Zastanawialiśmy się nad tym i w nocy, pamiętam, przyszło mi do głowy to sformułowanie, nad którym od jakiegoś czasu już przemyślałem. Bo można było powołać się na konstytucję. Ale stosunkowo niedawno odbyła się głośna akcja protestów [w 1976 r.] przeciwko niekorzystnym zmianom w ustawie zasadniczej, więc akurat powoływanie się na tę zmienioną konstytucję mogłoby zostać uznane za akceptację tego, czego nie chcieliśmy zaakceptować. Dlatego uważałem, że trzeba poszukać innej formuły niż konstytucyjna. Ta, na którą w końcu wpadłem, mówiła o uznawaniu kierowniczej roli PZPR w państwie – a nie w społeczeństwie, jak głosił zapis w konstytucji. Zaraz w następnych słowach mówiło się zaś o niezależnych związkach zawodowych, co oznaczało, że ta sfera jest już wolna od dominacji partii. Pamiętam, jak Andrzej Gwiazda pokazał mi uniesionym kciukiem, że uważa to za dobrą formułę.

A.K.: Różnica pomiędzy obydwooma sformułowaniami jest subtelna. Może nie została dostatecznie jasno objaśniona.

T.M.: Wymagało to, oczywiście, tłumaczenia.

Dlaczego dążyłem do przyjęcia tej formuły? Byłem przekonany, że musi nastąpić jakiś kompromis z naszej strony. Jeżeli nie zrobimy takiego kroku, to władza poczuje się przyparta do muru, a wtedy twardogłowi wezmą tam górę.

Trzeba było sobie uświadomić, co potencjalnie ta formuła w sobie zawiera: my nie sięgamy po władzę, ale też nie uznajemy władzy PZPR w związku zawodowym. Czyli władza partii obejmuje administrację państwową, ale nie rozciąga się na społeczeństwo. A to wyznacza strefę wolności i niezależności, samorządności.

Wiedziałem, że część ludzi nie wyraża zgody na tę formułę. Ale przywódcy, którzy wykazywali tak ogromną odpowiedzialność za kierowanie strajkiem, za negocjacje, stali za nią. I Wałęsa, i Gwiazda, i Lis, i w gruncie rzeczy całe prezydium MKS-u. Rozumiałem, że to trzeba wytłumaczyć i może powstawać pewna demagogia na tym tle. Doszło do istotnej rozbieżności poglądów pomiędzy komisją ekspertów i Jadwigą Staniszkis. Uważaliśmy, że ona się jakoś w tę demagogię włącza.

A.K.: A czy miał pan wtedy poczucie, że wasze rady idą pod prąd oczekiwań społeczności strajkowej, że w MKS-ie istniał nurt wyraźnej opozycji przeciwko kierunkowi, który przybrały negocjacje? Komisja ekspertów do dziś bywa przedstawiana jako bardziej ugodowa od strajkujących robotników, gdyż zaproponowała kompromisy za daleko idące, można było wynegocjować lepsze porozumienie, wywalczyć znacznie więcej...

T.M.: Zdumiewające opinie. Trzeba się wczuć w tamten czas, by wiedzieć, jak wiele zostało wywalczone. Wolne związki zawodowe. Uwolnienie więźniów. Zapowiedzi złagodzenia cenzury, realizacji postulatów ekonomicznych. Co można było wywalczyć więcej? Te zastrzeżenia są ex

post formułowane. To, co osiągnięto, było wielkim, absolutnie wielkim sukcesem. Nie sięgnięto po władzę, ale *de facto* zmieniono warunki życia w tym ustroju. Została stworzona wielka strefa wolności i niezależności. Że to się rozleje po całym kraju, nie było jeszcze całkiem pewne. Ogromną rolę odegrały strajki wybuchające w innych miastach, zwłaszcza na Śląsku. To tąpnięcie na Śląsku okazało się bardzo istotnym czynnikiem ułatwiającym dokończenie negocjacji, bo władza widziała, że ruch strajkowy ogarnia cały kraj. Dlatego kwestia, czy zgoda na nowe związki ma zasięg ogólnopolski, czy regionalny, stała się w tym momencie drugorzędna. Wiadomo było, że inni podchwycą zdobycze gdańskie.

Radziłbym tym, którzy takie sądy wygłaszają, wrócić pamięcią do 1 września 1980 r. i wczuć się w atmosferę tego dnia, w którym gazety w całej Polsce opublikowały porozumienie. To był przecież tekst rewolucyjny. I tak został w całej Polsce odczuty.

Między groźbą a nadzieją

BRONISŁAW GEREMEK

[...]

Właśnie w moim pokoju podpisywany był apel intelektualistów 20 sierpnia 1980¹. To, co doprowadziło do tego 20 sierpnia, to przede wszystkim: ogromny szok psychologiczny przebiegiem strajku lubelskiego oraz bardzo uważna obserwacja tego, co się działo w Gdańsku. Myślę, że środowisko warszawskie wykazało, także dzięki obecności w stoczni warszawskich dziennikarzy, wrażliwość i ostrą świadomość. Nie zawsze tak było w historii PRL. Czasami postawy różnych społecznych środowisk jakby się rozmięły. A w tym przypadku było odwrotnie. To bardzo ważne. Wystąpiliśmy jako duże, zorganizowane grono, składające się z różnych ideowych rodzin. Pierwsza inicjatywa wyszła ze środowiska Towarzystwa Kursów Naukowych. Spotkanie tej inicjatywy z dorobkiem grupy DiP-u [Konwersatorium Doświadczenie i Przyszłość] było startem dla postawy, że „coś tu trzeba zrobić”. Spotkali się przy tym ludzie z tak różnych środowisk, że dzisiaj niektóre nazwiska podpisujących zadziwiają jeszcze bardziej niż wtedy.

Przedem wszystkim miałem wówczas świadomość, że jest to sytuacja groźna. [...] Bardzo poważna. Taka mianowicie, że są dwie strony konfliktu, tak zaangażowane i w tak zapaśniczym ucisku, że staje się to sytuacją kliniczną. Inicjatywa apelu intelektualistów polegała na tym, że miał on być skierowany do obu stron. Do robotników i do władzy. I kiedy zgodnie z intencją subskrybentów przekazaliśmy list do KC na ręce Gierka, a drugi mieliśmy zawieźć do strajkujących robotników, intencją było przede wszystkim ostrzeżenie. Myślę, że ten element ostrzeżenia został ze strony części władzy tak właśnie odebrany. Mówię „części” dlatego, że w kil-

ka godzin po oddaniu tego listu w sekretariacie [...] miałem rewizję w domu i wielogodzinne przesłuchanie. Natomiast w ówczesnych wystąpieniach Gierka odnalazły się myśli i zdania z listu intelektualistów.

[...]

Zaczyna się strajk w Gdańsku. Z tego, że dzieje się tam coś bardzo wielkiego, zdałem sobie sprawę dopiero po kilku dniach... [...] Myślę, że to było około 17 sierpnia, po 4 dniach, kiedy pierwsze relacje zaczęły z Gdańska dochodzić. Były to relacje m.in. dziennikarzy, które przekładały analizę zjawisk politycznych na język ludzkich konkretów, które z daleka trudno było zrozumieć i wyczuć ich odmienną jakość. Jadąc do Gdańska, nie zdawałem sobie jeszcze sprawy z absolutnej wyjątkowości tej sytuacji, z rozwoju strajku gdańskiego, tego tworzenia struktur i klimatu, jaki w stoczni i w Trójmieście zapanował.

Ani przez chwilę nie jechałem tam z nastawieniem, że robotników trzeba uspokajać. Ani przez chwilę. Mieliśmy jechać od razu w szerszej grupie, a pojechaliśmy z tym listem we dwójkę – Tadeusz Mazowiecki i ja. Pamiętam, że w tych wstępnych dyskusjach jeden z kolegów wahał się, czy z nami pojechać i powiedział: – No, ja mogę ograniczyć się tylko do roli listonosza. List został zanieiony do jednej strony, teraz zawieziemy go do drugiej strony. Czy do tego ograniczy się nasza rola?

Wtedy o udziale doradców nie mieliśmy żadnego wyobrażenia, w ogóle nie było takiego pomysłu. Sądzę, że nikt z naszych rozmówców, a rozmowy te dobrze pamiętam, nie myślał o czymkolwiek w tym rodzaju. Już w momencie, kiedy zastanawialiśmy się nad słowami listu, to w wewnętrznych naszych dyskusjach wracało stale, że to nie jest tak, że są dwie strony, a my jeste-

¹ Tę mało znaną relację Bronisława Geremka opracował Wojciech Adamiński. Po raz pierwszy została ona wydrukowana w 1986 r. w wydawanym przez Bohdana Cywińskiego w Szwajcarii czasopiśmie „Widnokrąg” nr 3/4. Tekst publikujemy z niewielkimi skrótami i z nowym tytułem. (red.)

śmy pośrodku... Otóż my jesteśmy po jednej stronie. Po stronie gdańskich robotników – jeżeli takie właśnie są te dwie strony. Natomiast będąc po tej jednej stronie, występujemy z próbą analizy sytuacji, mówimy też do władzy, która nie ma zaufania do ludzi podpisujących ten list. Myśmy sądzili, że samemu przekazaniu naszego głosu powinna towarzyszyć praca analityczna, to znaczy próba zastanowienia się nad sytuacją. I pamiętam odpowiedź Mazowieckiego, kiedy jeden z naszych rozmówców powiedział o roli listonosza: – No nie, my musimy tutaj liczyć się z tym, że albo oddamy list i na tym się nasza rola skończy, albo też jeszcze coś dla nas się znajdzie do zrobienia i wtedy trzeba będzie to zrobić tam, na miejscu.

Zatem z takim właśnie nastawieniem jechaliśmy [...]. Sądzę, że w gronie, które podpisało list intelektualistów, postawa, że robotników trzeba uspokoić, bo idą za daleko – mogła być obecna, ale była to postawa raczej niewyrażająca klimatu naszego działania. Klimatem tym było poczucie zagrożenia, że jednak interes społeczny jest wartością nadrzędną, że nawet jeśli władza nie chce tego zrozumieć, to naszym obowiązkiem jest jej to powiedzieć. Natomiast jesteśmy razem ze stroną robotniczą, trzeba wspólnie myśleć o tym, jakie granice, jakie możliwości wytwarzać. Czy można by zatem nasze stanowisko zamknąć w formule, że „nie może nas tam nie być”? Właśnie tak.

Trzeba sobie najpierw wyobrazić nasz wyjazd. Jechaliśmy moim samochodem, mamy nieustanną eskortę, której usiłujemy uciec. Wiedzieliśmy, że nie dojedziemy drogą normalną, jechaliśmy więc klucząc przez Toruń, Bydgoszcz, boczne drogi, drogi polne, co pewien czas byliśmy przejmowani przez inne ekipy obserwacyjne, kontrole dokumentów. I mieliśmy wrażenie ściganych, uciekinierów, jadących z misją, która ma wielkie szanse realizacji... Między oddaniem listu w KC a wyjazdem do Gdańska przez cały czas byłem obserwowany. I potem ustawiczna inwigilacja. Przesłuchanie było dosyć dziwne, dlatego że było fikcyjne, nie dotyczyło w ogóle sprawy apelu, dotyczyło wyłącznie TKN-u. Była to wyłącznie rozmowa zastraszająca.

Podróż zatem była męcząca, długa, [...] odbywała się nie w klimacie przygody, a w klimacie strachu. Potem nagle znaleźliśmy się w jednym z klasztorów gdańskich; uważaliśmy, że trzeba jakiś kontakt nawiązać. Zaczynamy tam rozmowę i mamy wrażenie, że się nie rozu-

miemy. Mówimy, że właśnie chcielibyśmy się dostać do stoczni. – No to się dostańcie, to idźcie! A myśmy się zastanawiali, jak to zrobić, jakich forteli użyć, żeby uciec obstawie, przedostać się do środka. Nasi rozmówcy z klasztoru bardzo długo nie mogli nas zrozumieć, dopiero po pewnym czasie powiedzieli: – No to dobrze, włożymy cywilne ubrania i pójdziemy spacerem... I dopiero w tych pierwszych dziesięciu minutach spaceru zmieniliśmy się jakby wewnętrznie, ze ściganych, uciekających... nagle przeszliśmy przez wolne miasto Gdańsk i weszliśmy do stoczni...

Gdy weszliśmy, ten, który nas przywitał i który pozostał przyjacielem wspólnym Mazowieckiego i moim do dziś, powiedział: – Aha, to wy z Warszawy, tak, list intelektualistów, to zaraz pójde do Lecha... Po chwili wrócił, wprowadził nas. Odbywało się posiedzenie prezydium MKS-u...

Jest to wrażenie jakby zupełnie nierealne. Te biało-czerwone opaski, straż, brama, wchodziliśmy tam późnym wieczorem, tłum dokoła bramy, wozy milicyjne z daleka, grupki cywilów trzymające się raczej z daleka i coś takiego w tej stoczni dla nas niezwykłego. Byliśmy bardzo zmęczeni tymi ostatnimi dniami i trochę też tym stanem napięcia. I wchodzimy na salę... taką wolną..., w której głównym problemem jest to, że trzeba by dać coś zjeść tym ludziom, bo już bardzo długo siedzą, że oni przecież są głodni. A przecież oni jeszcze o czymś ważnym rozmawiali... Przekazaliśmy zaraz nasz apel, apel został odczytany, owacja taka wzruszająca...

Czy myśmy już tę naszą misję wypełnili, czy nie?... Z misji – ostrzeżenia nie zostało nic! Dlatego że apel został odebrany jednoznacznie jako poparcie! Oto kto jest z nami! Myślę, że nasze nazwiska pod apelem różnie działały, niektóre były znane, inne nie były znane, ale było wiadomo, że to są ci artyści, pisarze, profesoro- wie, filmowcy, działacze Klubu Inteligencji Katolickiej, dziennikarze i ten fakt właśnie został gorąco, serdecznie odebrany – jako poparcie.

Rozmawialiśmy, słuchaliśmy i z wolna jakby temperatura na wewnętrznych termometrach rosła... Znikło zmęczenie... Oto coś się dzieje, coś takiego, czego żadne intelektualne czułki nie są w stanie wyczuć, zmierzyć.

I wtedy przychodzi do nas Wałęsa. Wiemy o nim to, co wiedziała Warszawa, znamy te plotki, że Biuro Polityczne zastanawiało się, kto to taki ten Wałęsa, i że jest taki właśnie lider. Ale gdy się wchodzi do tej sali BHP,

to czy jest tam akurat Wałęsa, czy go nie ma, to jest on stale obecny, mówiło się o nim „Lechu”, wspominało się, że „Lechu powiedział”, „Lechu przyjdzie za godzinę”, obecność jego była taka oczywista.

Pierwszy z nim kontakt. Wpada do nas, wychodzi z zebrania prezydium MKS-u, zmęczony, wysłuchuje nas. Bierze ten apel, który mu wręczamy, trochę mu mówimy o nazwiskach, żeby wiedział, kto jest kto, Lech słucha, mam wrażenie, że może trochę nawet nieuważnie, był strasznie zmęczony, wysłuchał wszystkiego i powiedział: – Ja się bardzo cieszę, że przywieźliście ten apel, będziemy go czytać jeszcze wszyscy, zastanowimy się nie tylko nad tym, kto to podpisał, bo to na pewno przyzwoici ludzie i cieszymy się, że Warszawa jest z nami, i ja rozumiem, że to, coście w tekście napisali – też ma znaczenie, i nad tym musimy się zastanowić i jeszcze będziemy o tym gadali. Ale listów, apeli to my mamy bardzo dużo. Natomiast pomocy mamy mało. A ta władza ma wszystko za sobą. Jak zrobić, żeby oni nas nie wykołowali? W tym nam możecie pomóc...

Byliśmy trochę zaskoczeni tym pytaniem. Mówię: – No, wie pan, my reprezentujemy tutaj środowisko intelektualistów, intelektualiści mogą występować w różnych rolach społecznych: jako obywatele i jako eksperci, którzy działają w różnych dziedzinach... Kończąc zdanie, a jego już nie ma! Nie bardzo rozumiemy z Mazowieckim, co się stało, dlaczego nas opuścił tak nagle, bo rozmowa była miła, serdeczna, a z niego jakby zniknęło zmęczenie. A on wraca po pięciu minutach z karteczką papieru i mówi, że prezydium MKS-u powierzyło nam dwóm zadanie sformowania grupy ekspertów!

Był to dla nas grom z jasnego nieba. Po pierwsze dlatego, żeśmy się nie spodziewali, po drugie dlatego, że zdaliśmy sobie natychmiast sprawę z tego, co to znaczy! Chcieliśmy jeszcze z Lechem wtedy porozmawiać, żeby uzyskać jakby... no, nie powiem – instrukcje, ale żeby wiedzieć, co oni rozumieją pod tym sformułowaniem, że mamy stworzyć grupę ekspertów.

A on powiedział: – Ja jestem strasznie zmęczony, a wy się na tym na pewno lepiej znacie niż ja, od tego macie głowy, dacie projekt – propozycję, we wszystkim pomożemy, do roboty, panowie!

I zanim zdołaliśmy uświadomić sobie, co się stało, Lecha nie było, bo już przyszedł Henio, który wziął go pod rękę i powiedział: Lechu musi iść spać! I rzeczywiście na trzech krzesłach w małej salce ułożył go i owinął

kocami, a myśmy wrócili na tę wielką salę, na której ludzie koczowali, gdzie wszystko wirowało, ale już z takim poczuciem, że nie wystarczy zobaczyć, zrozumieć, tylko że teraz od nas czegoś oczekują, w każdym razie czegoś niezwykle trudnego. Dopiero w tym momencie zaczęliśmy z Mazowieckim rozmawiać o tym, co powinniśmy robić z tym mandatem, którym nas obdarzyło to grono ludzi.

Przedstawienie nas na tej sali nastąpiło później, wtedy tylko Lech przyniósł nam tę wiadomość, że jest uchwała prezydium w sprawie grupy ekspertów, a reszta miała się toczyć następnego dnia. Przedstawiliśmy propozycję składu grupy ekspertów. Prezydium nam wtedy powiedziało, jakie uzyskało środki pomocy, żeby ściągnąć tych ludzi, a przedstawienie nas MKS-owi nastąpiło dopiero w momencie, gdy już ta grupa ekspertów została uformowana. Zaczynał się ostatni tydzień sierpnia.

Prezydium MKS-u było nie tylko robotnicze. Okazało się przede wszystkim, że działacze robotniczy potrafili myśleć w kategoriach polityki, że dobrali sobie ludzi reprezentujących również inne społeczne środowiska. W punkcie startu nie było więc tak, że przyjście grupy ekspertów zmieniło sytuację. Natomiast nie chcę przesadzać w skromności, w minimalizacji roli naszej grupy. Myślę, że nasza robota była bardzo istotna i że Lech Wałęsa bardzo trafnie wyczuł niepokój strajkujących załóg, kiedy mówił: „oni nas znowu oszukają” – miał doświadczenie własne również z 1970 roku, pewien typ wspomnień i poza tym świadomość, że taka gra polityczna wymaga pewnych umiejętności, które ekipa ekspertów może wnieść. Wreszcie to, co miało znaczenie zasadnicze; problem werbalizacji. Miało to znaczenie zasadnicze dlatego, że chodziło również o znalezienie takiej formy słownej układu, która by zachowała w pełni podstawowy poziom aspiracji wyrażonych w 21 punktach, a jednocześnie wytworzyłaby sytuację, w której nie byłoby ani elementów upokorzenia, ani elementów agresywnych wobec języka panującej ideologii politycznej. Otóż problem werbalizacji okazał się podstawową trudnością. Dzień i noc siedzieliśmy nie nad tym, żeby wymyślić nowe idee i nowe programy, tylko nad tym, jak ująć w formę słowną te ustawiczne utarczki między władzą a komitetem strajkowym. Żeby określić pole, które było polem negocjacyjnym. Każdego dnia po rozmowach trzeba było ustalać, w jaki sposób wyrazić kompromis,

nad którym się dyskutowało. Ale mówię to przecież *ex post*. Wtedy nie mieliśmy pełnej świadomości tej roli, jaką powinniśmy odegrać. Co więcej, odegranie takiej roli wymagało wytworzenia klimatu pełnego zaufania między MKS-em a grupą ekspertów, a klimat ten wytwarzał się powoli. Poza tą pierwszą rozmową z Wałęsą, który, jak sądzę, poczuł do nas zaufanie, i niewątpliwą potrzebą takiej działalności, potrzebne było stopniowe wytworzenie się takiego klimatu, w którym nie byłoby wątpliwości dotyczących naszego miejsca i naszej roli, mianowicie żeby nie było wątpliwości co do tego, iż naszą intencją nie jest uspokajanie rozpalonych robotniczych umysłów.

Klimat ten wytwarzał się z wolna i nie bez kryzysów zaufania. Partnerów ze strony MKS-u poznawałem stopniowo. Przede wszystkim niewątpliwa indywidualność Wałęsy. Działo się to jakby w dwóch seriach wydarzeń i wystąpień. Jedna to kontakt masowy z tłumami ludzi. Wtedy to był człowiek dopiero odkrywany, to było niespodziewane. A druga to rozmowy z komisją rządową – [Wałęsa] był wtedy znakomity. W tzw. rozmowach plenarnych z komisją rządową grupa ekspertów uczestniczyła wyłącznie jako widzowie, niejako zza drzwi. Mieliliśmy z nimi kontakt wtedy, kiedy nasi koledzy z MKS-u tego sobie życzyli w czasie przerwy, natomiast same negocjacje prowadziła naprawdę tylko delegacja MKS-u i tu indywidualność Wałęsy naprzeciw [wicepremiera Mieczysława] Jagielskiego rysowała się całkowicie partnersko. A poza tym do dwóch osób z grupy MKS-u (mam na myśli Andrzeja Gwiazdę i Lecha Bądkowskiego) poczułem i największą sympatię, i duży szacunek. Lech Bądkowski odegrał ogromną rolę. W pracy MKS-u, w stylu pracy prezydium, w rozmowach z kolejnymi delegacjami rządowymi. Była to indywidualność bardzo ciekawa, człowiek dużej klasy. Andrzej Gwiazda, drugi inteligent w środowisku robotniczym, wnosił pewien typ doświadczeń grup opozycyjnych z poprzednich lat, pewną umiejętność werbalizacji postulatów środowisk robotniczych, chociaż nie nazwałbym Gwiazdy politykiem. Był nim znacznie bardziej Bądkowski (to indywidualność polityczna), Gwiazda miał indywidualność działacza robotniczego – chodzi mi tu o autentyczność funkcjonowania w tym środowisku i występowania w jego imieniu.

Poza tymi dwoma trzeba pamiętać o dużej roli Bogdana Borusewicza, który nie należał do prezydium,

ale działał wówczas z niezwykłym oddaniem, z mądrą świadomością i bardzo wielką wyobraźnią. Bo to jest człowiek czynu. Do tej pory historia ruchu strajkowego nie doceniła ogromnej roli Borusewicza (poza kilkoma wypowiedziami Wałęsy) w toku tych wydarzeń. Bardzo liczył się również drugi z działaczy stoczniowych – Bogdan Lis, który działał tam jako przedstawiciel pewnego społecznego środowiska, które w ruchu sierpniowym odegrało ogromną rolę, mianowicie środowiska wysoko kwalifikowanej kategorii robotników młodego pokolenia, którzy mają za sobą wykształcenie techniczne, wysoki poziom aspiracji i świadomości. Rola Lisa była bardzo istotna, powiedziałbym, że była istotniejsza, niż to się uwidaczniało w protokołach rozmów.

Ale poza tymi postaciami, które w ruchu Solidarności pozostały i odgrywały w nim później wybitną rolę, w prezydium MKS-u byli również ludzie, którzy potem zniknęli. I w Solidarności jakby się nie odnaleźli. Wspomniabym tu dwóch starszych robotników: jeden z nich, jako jeden z nielicznych starszy, pan [Zdzisław] Kobyliński. Wnosił w tym gronie element generacyjny, innych doświadczeń, także trochę innego myślenia o przyszłości, co było naturalne, bo przekroczył próg 50 lat życia. I drugi – przedstawiciel rafinerii gdańskiej, pan [Tadeusz] Stanny. Obaj w toku negocjacji odgrywali bardzo pozytywną rolę jako taki głos światły i głos kompromisu. Główny przecież problem ruchu spontanicznego i masowego, który odgrywa rolę polityczną, to pogodzić antykompromisowość ruchu spontanicznego z koniecznością kompromisu w sytuacji, w jakiej się on znajduje w ramach politycznej gry. Otóż głos takich działaczy, jak właśnie ci dwaj, którzy później odeszli – w każdym razie z aktywnego działania w kierowniczych gremiach – w okresie strajku był bardzo istotny.

Ten skład prezydium już przed naszym przyjściem był zdolny do kompromisu. Co przez to rozumiem? Pamiętam pierwsze posiedzenia, w czasie których dopiero poznawaliśmy się, byliśmy obserwatorami, kiedy oczekiwaliśmy jeszcze na przybycie kolegów, chcieliśmy zobaczyć, jak pracuje prezydium MKS-u, przy tym od razu zadawano pytania, na które trzeba było jednoznacznie odpowiadać. Ale przede wszystkim obserwowaliśmy. Otóż to właśnie prezydium podejmowało decyzję o wysłaniu delegacji do rozmów z władzami rządowymi. Ono podjęło decyzję bezpośredniego kontaktu telefonicznego z wojewodą [Jerzym] Kołodziejskim. Czyli ten zespół

rozumiał, że trzeba myśleć w kategoriach kompromisu. A druga strona? Jest to nie do zapomnienia. Oto nagle powstała sytuacja, w której ta władza, nazywająca się robotniczo-chłopską, przechodzi przed trybunałem... Te spuszczone głowy to były głowy oskarżonych, którzy mają poczucie winy.

Skład ekipy, która prowadziła negocjacje, był, jak sądzę, bardzo zróżnicowany. Mało znałem środowisko władzy, ale miałem wrażenie, że od samego początku ekipa warszawska uważała za główne źródło oporu i nieustępliwości obecność przy MKS-ie grupy ekspertów z Warszawy. Stąd wyczuwało się dosyć skoncentrowaną nienawiść do zespołu ekspertów, przypisywanie przez władzę temu zespołowi niemal diabolicznej roli. Wyrażało się to w różnych formach. Na przykład aluzje Jagielskiego, który został niezbyt szczęśliwie w trakcie negocjacji zaatakowany w biuletynie strajkowym przy pomocy nie całkiem taktownego dowcipu². Jego reakcja: – Widzę tutaj tę rękę, ja wiem, czyja fachowa ręka tego dokonała! Rozpuszczano wiadomości, był tu oficjalny atak propagandy, że grupa ekspertów, której przypisano od razu przymiotniki odpowiednio politycznie obraźliwe, dąży do zaognienia sytuacji, jednocześnie plotki, że eksperci są nastani przez władzę, że specjalnym samolotem przywieziono ich z Warszawy, że dostali gwarancje... Wszystko to później wracało zresztą wielokrotnie w nieufnościach wobec ekspertów.

A przecież sytuacja osobista ekspertów była złożona. Jeden z członków naszej ekipy, mój przyjaciel Tadeusz Kowalik, był od wielu lat kolegą Jagielskiego. Razem studiowali. W niczym to nie zmieniło stanowiska grupy rządowej.

Jak ocenić rolę ekipy rządowej w toku negocjacji? Jest to przede wszystkim sprawa czołowego negocjatora: Jagielskiego, która nigdy nie została do tej pory poddana ocenie. Sam nie znam Jagielskiego, ale obserwując wówczas działanie tego człowieka, powiedziałbym, że miotał się jakby między dwoma biegunami: poczuciem powinności wobec władz, które go delegowały, i poczuciem pewnej przyzwoitości. Otóż ten drugi element nigdy nie został doceniony. Jagielski odwoływał się w rozmowach w stoczni do pewnych elementów osobistych. Miałem wrażenie, że to była prawda, kiedy mówił: – Chciałbym po zakończeniu tych negocja-

cji móc po latach z moją córką przyjechać do Gdańska i nie wstydzić się podnieść głowy... Tylko że jednocześnie uprawiał tyle marnej manipulacji... Te jego prośby, kiedy chciał uzyskać kontakt z salą MKS-u poza negocjacjami, poza prezydium... Z pomieszczenia, w którym toczyły się rozmowy, zwracał się przez mikrofon: – Czy słyszycie mnie? – żeby usłyszeć brawa, które były brawami wyłącznie stwierdzającymi: tak, słyszymy... Miał złudzenie, że zdoła manipulować tą salą. Niestety, doświadczenie systemowe było jego pancerzem. Otóż w tej sytuacji jego słowa, które były słowami prawdy i jakichś uczciwych intencji, traciły swój sens. Wydawały się również tylko zabiegiem manipulacyjnym.

Myślę, że Jagielski chciał doprowadzić negocjacje do pozytywnego rezultatu, najlepszego dla jego strony. I to jest naturalna postawa negocjatora. Miał pewną możliwość działań określoną przez tych, którzy mu udzielili swoich plenipotencji i w ramach tych działań starał się uzyskać jak najwięcej. Uzyskał bardzo mało. Późniejsze jego losy świadczą, że właśnie tak została jego rola w stoczni oceniona. [...] Ważna była rola gdańskiej grupy. Mogę mówić o [Tadeuszu] Fiszbachu i Kołodziejskim, których widziałem w działaniu w roli pozytywnej. Przez cały czas reprezentowali drugą stronę, ale zachowywali się partnersko wobec strony robotniczej. Oni po prostu zdali sobie sprawę z powagi sytuacji. Zнали jej elementy i wiedzieli, że np. nasyłanie łodzi z wódką i inne prowokacje nie mają znaczenia. Że tu chodzi o coś bardzo poważnego, przeciwko czemu trzeba wyjść z równie poważnymi propozycjami. Zdanie sobie sprawy z powagi sytuacji prowadziło do tego, że front negocjacyjny był wysunięty przez gdańskich negocjatorów daleko do przodu wobec żądań robotników. Nie dotyczyło to całego składu delegacji rządowej. Sądzę jednak, że na postawę Jagielskiego i zatem na generalną postawę ekipy rządowej wpływ tych ludzi gdańskich z establishmentu był bardzo istotny. Poza tym wymienić mogę tylko jednego z ekipy rządowej – kierownika wydziału KC [PZPR] Jerzego Zielińskiego, który przez cały czas negocjacji antagonizował drugą stronę. W gruncie rzeczy jego wypowiedzi były prowokacjami. Za każdym razem, gdy rysował się kompromis, jego wystąpienie powodowało agresję z drugiej strony. I to musiał temperować przewodniczący delegacji rządowej. Jak sądzę, nie byli

² Zob. artykuł Ewy Milewicz *Ja, happening, stocznia* w niniejszym numerze „Wolności i Solidarności”.

w stanie robić tego ludzie z Gdańska – Zieliński był bądź co bądź członkiem Sekretariatu KC, jednym z czołowych przedstawicieli grupy rządowej.

Takie to były bieguny. Ale była też trzecia grupa, mianowicie grupa doradców rządowych. Gdy komitet strajkowy powołał ekspertów, Jagielski oświadczył w dosyć zjadliwym przemówieniu, że domaga się odroczenia rozmów, ponieważ oni także muszą ściągnąć swoich ekspertów. I uczynili to. Wśród ekspertów strony rządowej był prof. [Antoni] Rajkiewicz, który odegrał istotną rolę w kryzysowym momencie negocjacji. Mianowicie Rajkiewicz, wówczas doradca Gierka, opowiedział na zamkniętym spotkaniu o swojej rozmowie z Gierkiem. Była to – według jego słów – wielogodzinna rozmowa, której przedmiotem nie były instrukcje dla ekipy rządowej, tylko próba analizy sytuacji, w której on, Rajkiewicz, mówił o nowym fenomenu, mianowicie o aspiracjach młodych generacji, zwłaszcza robotniczych. W rozmowie tej ze strony Gierka padły także słowa o tym, czego on nigdy nie zrobi w obliczu wybuchu niezadowolenia robotniczego: nigdy nie użyje broni. Otóż było to bardzo istotne, dlatego że to stwarzało możliwość [...] negocjacji. Obie strony miały świadomość, że są granice, których nie można przekroczyć i z obu stron sformułowano intencję porozumienia. Dojścia do takiego miejsca, w którym obie strony by się spotkały. Rajkiewicz odegrał istotną rolę w przekazywaniu postulatów uznawanych przez stronę rządową za niezbędne imperatywy. Ważny jest fakt, że nie były to negocjacje, by tak rzec, gabinetowe, bo w atmosferze gdańskiej na to nie było miejsca.

Muszę powiedzieć, że nie mieliśmy od początku jasnej świadomości, iż nie ma miejsca na negocjacje gabinetowe. Sądzę, że nasza grupa ekspertów akceptowała by to. Bardzo szybko zdaliśmy sobie sprawę, że wówczas naruszylibyśmy to, co określiliśmy jako żelazną zasadę naszego działania: my nie jesteśmy między stronami, my jesteśmy po stronie robotników. Miały miejsce jedynie kularowe wymiany zdań, a nie gabinetowe negocjacje. Dotyczyły one pierwszego punktu porozumień oraz końcowego przemówienia Lecha Wałęsy. Tłumaczyliśmy zresztą stronie rządowej, iż w tej sytuacji społecznej szansę kompromisu daje tylko całkowicie publiczny charakter rozmów.

W przypadku pierwszego punktu porozumień istnieje sprzężenie między polityczną formułą ustrojową za-

wartą w konstytucji o znaczeniu kierowniczej roli PZPR oraz formułą dotyczącą związków zawodowych. Dlatego uzyskanie *consensusu* na ten 1. punkt było przełomowym momentem w negocjacjach gdańskich. Przełomowym również w tym sensie, że z uzgodnioną propozycją 1. punktu Jagielski pojechał do Warszawy. I ten 1. punkt w formule zaproponowanej przez nas pozwolił na uzyskanie akceptującej decyzji plenum KC. Reszta była negocjacyjnym problemem, natomiast generalna polityczna koncepcja ważyła się wokół punktu 1.

Rola naszej grupy ekspertów była zasadniczą dla sformułowania punktu 1. Bo to był punkt polityczny. I z perspektywy patrząc, sądzą, że w tej sprawie używany został kompromis jak na ówczesne możliwości optymalny.

Przy dochodzeniu do formuły, która byłaby formułą zachowującą to, co najważniejsze w robotniczych aspiracjach i dającą jednocześnie niezbędną gwarancję dla władzy, w znalezieniu tej formuły, w jej określeniu, zasadniczą rolę odegrał Tadeusz Mazowiecki, który wnosił także do zespołu ekspertów długie doświadczenie nie tylko polityczne, ale również dotyczące umiejętności dochodzenia do pewnych kompromisów. Takiego doświadczenia nie miał nikt inny w tym zespole. Nie obyło się bez konfliktów. Chodziło przede wszystkim o wprowadzenie zasady uznania kierowniczej roli PZPR i sojuszków. Zzymaliśmy się na to z wielu względów, m.in. dlatego że skoro powiadamy, że uznajemy konstytucję, a to jest w niej zapisane, po co to jeszcze powtarzać? A jednak trzeba było, bo to było właśnie dla drugiej strony ceną, za którą uzyskać mieliśmy drugą część punktu 1. dotyczącą związków zawodowych. Padały także zarzuty, że użyliśmy sformułowania „kierownicza rola PZPR”, podczas gdy niegdyś prawnicy uznawali za ogromne osiągnięcie, iż w tekście konstytucji ta formuła zastąpiona została określeniem „przodująca rola”. Otóż nie było to przeoczenie z naszej strony. Przeciwnie, w tej propozycji była, i nadal tak sądzą, trafna intencja nieużywania języka odmiennego od rzeczywistości społecznej. Otóż w rzeczywistości społecznej istniał monopol władzy sprawowany przez PZPR. Formuła o „kierowniczej roli PZPR” stwierdza, że nowy układ nie naruszy tego monopolu władzy, który jest elementem systemowym. Natomiast podstawową sprawą w tekście porozumienia było określenie granicy tego monopolu: otóż było nią życie społeczne uwolnione spod monopolu.

Można powiedzieć, że w ten sposób wprowadziliśmy właśnie kwadraturę koła, a nie ma możliwości, aby istniał monopol polityczny i jednocześnie wolne społeczeństwo. Ale podjęliśmy tę próbę nie z powodu własnej naiwności ani z braku wyobraźni. Zrobiliśmy to w przekonaniu, że w takiej sytuacji społecznej wyzwoli się pewien proces ewolucyjny, w którym z wolna obie strony będą określać niezbędne granice. Tzn. strona sprawująca monopol zda sobie sprawę, gdzie jest granica egzekwowania tego monopolu. I sama w obronie swego interesu będzie ten monopol ograniczała.

Doświadczenie następnych 15 miesięcy wcale temu nie zaprzecza. Kwadratura koła zarysowana tym wstępnym założeniem miała jeden element, który jest poza zasadami geometrii. Mianowicie czas. Takie było nasze założenie. Element czasu likwidował kwadraturę koła. Element czasu był szansą. Ale pod warunkiem uruchomienia procesu, w którym obie strony byłyby skłonne do akceptacji i realizacji zawartego porozumienia. 15 miesięcy to było bardzo dużo i bardzo niewiele. Zbyt mało, żeby władza utraciła nawyki monopolu i żeby dostosowała się do nowej sytuacji. Ale jednak to był okres, w którym ta wstępna, pozornie naiwna i nierealistyczna nadzieja znajdowała nowe argumenty.

Drugie skrzydło punktu 1. porozumień to sprawa związków zawodowych, ich koncepcji. Otóż myśmy niejako zastali w Gdańsku sytuację, w której padło sformułowanie: żądamy wolnych związków zawodowych. I zastanawialiśmy się... Otóż wszystkie doświadczenia generacji, które były reprezentowane w grupie ekspertów, mówiły, że jest to postulat absolutnie nierealny. Rozpoczynając od nazwy. „Wolne związki zawodowe” kojarzyły się z Międzynarodówką Wolnych Związków Zawodowych, z historią tego ruchu i jednoznacznie zdawały się być instrumentem niezwykle agresywnym wobec systemu. [...] Zatem zaproponowaliśmy formułę „niezależne, samorządne” jako formułę negocjacyjną, myśląc, że „niezależne” nam zabiorą, a zostaną „samorządne”. Natomiast w toku negocjacji Lechowi Wałęsie spodobała się ta nazwa, oba przymiotniki, mimo że powiedzieliśmy, iż traktujemy je jako przetargowe, bo zapewne zostanie jeden...

W toku negocjacji strona rządowa rzeczywiście zakwestionowała te przymiotniki: – No po cóż dwa określenia, zostawmy samorządne związki zawodowe. Uważaliśmy, że już osiągnęliśmy zakresły przez

nas kompromis. Ale Wałęsa wtedy powiedział: – Panie premierze, szkoda panu jednego słowa, to tak ładnie brzmi, przecież mają być niezależne, więc niech się nazywają niezależne. Chwila milczenia... owacja sali. Oba przymiotniki przeszły! Ale skoro Wałęsa upierał się przy słowie „niezależne”, to przecież dobrze wiedział, że jest to oczekiwanie załóg i żądanie to wisi na sali, gdzie siedział cały MKS, i że innej propozycji ta sala by nie poparła.

No tak, myśmy tej świadomości nie mieli. Sądziliśmy, że słowo „samorządne” mówi o tym samym, przecież „niezależne” i „samorządne” znaczy to samo! Ale przecież cała ta koncepcja nie była tak oczywista i nie sprowadzała się do dwóch przymiotników. Byliśmy przekonani o niewielkiej szansie realizacji postulatu dotyczącego związków zawodowych. W tym systemie istnieje przecież cała nauka o transmisji partii, przecież związki zawodowe to jedna ze struktur łączących ten blok!

Pierwsza rozmowa na ten temat z prezydium MKS-u... Najpierw długie debaty w gronie ekspertów, prawie w ogóle nie spaliśmy, siedzieliśmy po 23 godziny na dobę. I postanowiliśmy, że jako zespół doradczy i usługowy o niczym nie będziemy przesądzać. Postawiliście nam pytanie: co robić, wobec tego odpowiadamy wam, jakie są możliwości. Odpowiadamy alternatywnie, a wy decydujcie. Przecież taki miał być układ. To wy, MKS, jesteście instytucją decydującą!

Propozycja ta została przez prezydium bardzo dobrze przyjęta. Powiedzieli: – Dobrze, ale ponieważ ma być dyskusja wewnętrzna, a na tej sali nie ma takich możliwości, musimy zapewnić odpowiednie warunki. I znaleziono miejsce na terenie stoczni, które było całkowicie bezpieczne. Najpierw proponowano, żeby to spotkanie dyskusyjne odbyło się na jednym z budowanych statków, bo taki statek jest poza możliwością nasłuchu, ale okazało się, że nie jest. Znaleziono wreszcie miejsce, które było poza zasięgiem policji. Zebrało się tam prezydium MKS-u, zaproszono dodatkowo kilka osób, a zespół ekspertów przyszedł z dwoma dokumentami. Jeden dokument proponował: tworzymy niezależne, samorządne związki zawodowe. Drugi dokument: użyskujemy od strony rządowej uniezależnienie polskiego ruchu zawodowego od monopolu władzy politycznej, co oznacza, że utrzymujemy CRZZ, ale zmieniamy skład władz i strukturę ruchu zawodowego, to znaczy czynimy go autentycznym.

Referowałem obie te wersje w taki sposób, żeby za obiema propozycjami przemawiały równie mocne argumenty za i równie mocne przeciw. Zatem nie było dwóch referentów różniących się poglądami, ale zaprezentowaliśmy dwa równoprawne stanowiska. Z tym że debaty ekspertów prowadziły raczej ku przekonaniu, iż droga poprzez zmianę od środka struktury CRZZ jest bardziej realistyczna, a w każdym razie ma za sobą argumenty i umożliwia osiągnięcie tego samego. Nie narusza się przy tym nazw, do których druga strona jest tak przywiązana.

Rozpoczęła się dyskusja. Jedna z najciekawszych dyskusji, w których uczestniczyłem. Dyskusja była długa, przeciągała się, górę brało przekonanie, że w CRZZ jesteśmy w stanie zmienić wszystko, bo gdy tylko wprowadzi się element demokratyczny, to będą to nasze związki zawodowe, nazwa pozostanie ta sama, ale przecież treść będzie całkowicie inna!

Po pierwszej części dyskusji zaczęły się wystąpienia odwołujące się do historii, mianowicie chodziło o rok 1970. Przypomniano, jak to właśnie w 1970 roku w zasadzie były niemal takie same propozycje: zmienić CRZZ! I co z tego wyszło? W rezultacie jednoznacznie przeważał pogląd, że do tych starych beczek nowego wina się nie należy! Było to bardzo interesujące, bo na ogół młodsze pokolenie było bardziej bezkompromisowe, trudniej akceptowało kompromis, natomiast w tej sprawie stało się odwrotnie: nieustępliwi byli starsi członkowie MKS-u, bo pamiętali rok 1970 i to, jak ich wtedy oszukano!

Lektura postulatów szczecińskich z 1970 roku jest niezwykle interesująca! Przecież tam wtedy wszystko było! Przecież jeśli porównać sierpień 1980 z grudniem 1970 – to jakby historia się powtarzała, jeśli idzie o postulaty! Otóż ci starsi wiedzieli w 1970 roku, czego wtedy chcieli i wiedzieli też, że nie potrafili tego wywalczyć. Nastąpiła więc w tej sprawie zmiana sytuacji w debacie i stało się dla nas jasne, że nie ma mowy o tym, żeby niżej opuścić poprzeczkę niż stworzenie nowych związków zawodowych. I choć mogło nam się to wydawać nierealistyczne, to prezydium MKS-u oświadczyło: albo dają nam własne, niezależne związki, albo nie zgadzamy się!

W toku tej dyskusji zresztą bardzo interesująco układały się stosunki między grupą ekspertów a prezydium. Postanowiliśmy wystąpić w klasycznej roli: my wam słu-

żymy, oto co potrafimy wymyślić najlepszego: argumenty za, argumenty przeciw. Kiedy w gronie prezydium zarysowały się opcje dla obu tych wersji i można było już podawać je pod głosowanie, ktoś z prezydium wstał i zwrócił się do nas: – Proszę panów, wy to jesteście od myślenia, ale wy przecież jesteście z nami! Powiedzieliście, ale co to znaczy, że wy nie macie własnego zdania? Macie przecież własne zdanie na ten temat i bardzo prosimy, żebyście je nam przedstawili! Wasz udział jest równorzędny z naszym. Wy nam mówicie: takie są za, takie są przeciw, no ale przecież wy jesteście albo za, albo przeciw! Na czym my stoimy?

Okazało się, jak bardzo płynne jest pojęcie „eksperti”, które przecież pojawiło się przypadkiem, i jak płynne jest nasze poczucie służebności wobec instytucji, która ma mandat, bo tak naprawdę liczy się, po której stronie się jest! Jeśli jesteś po tej stronie, to musisz działać i umysłem, i sercem. Myślę, przypominając sobie nasze ówczesne poglądy, że weszliśmy na tę salę z innym zdaniem niż to, które wykształtowaliśmy w sobie w trakcie dyskusji. Otóż pogląd, jaki wyrobiliśmy sobie w trakcie dyskusji, był właśnie taki: albo wolne związki zawodowe, albo tracimy wszystko, przegrywamy! Kompromis może dotyczyć różnych spraw: pieniędzy, rewindykacji materialnych, natomiast tej sprawy kompromis nie może dotyczyć, tu poprzeczka jest ustawiona w nieusuwalny sposób.

I zapadła decyzja. Decyzja, która, wydawało się, zablokuje szansę dojścia do porozumienia. A jednak przy połączeniu w negocjacjach sprawy związków z drugim skrzydłem punktu 1. okazało się, że kompromis jest możliwy. Przyjęte zostało imperatywne żądanie strony robotniczej – wolne związki zawodowe. Natomiast MKS zaakceptował to, co za swój imperatyw uważała strona rządowa: uznanie kierowniczej roli partii.

Gdy pierwszy punkt porozumienia został ustalony, mieliśmy świadomość, że po raz pierwszy w tym tunelu pojawiło się światło. Mogę mówić oczywiście tylko o własnych ówczesnych wrażeniach i odczuciach, ale miałem bardzo sceptyczne przekonanie, że szansa kompromisu z władzą jest albo niemożliwa, albo bardzo mało prawdopodobna. I jednocześnie wydawało mi się, że trzeba próbować! Trzeba próbować do końca! Bez przerwy przecież docierały do nas wieści o tym, że to już, że już za chwilę, że już wchodzi od strony morza czy od strony lądu... Było bardzo istotne, żeby nie

poddać się tego rodzaju presji. Dlatego w pewnym momencie zażądaliśmy zupełnie oddalonego lokalu, żeby mieć możliwość spokojnego dyskusowania nad sformułowaniami, nad tekstami, jakby w oderwaniu od coraz bardziej zaostrażającej się atmosfery w zamkniętej murami stoczni. MKS miał przecież swój system obserwacji wzrokowej i elektronicznej, w związku z czym docho- dziły do nas wiadomości o ruchach wojsk, o przygoto- waniach, które były prowadzone. Otóż chodziło o to, żeby uwolnić się od tej presji, żeby uwolnić się także od tego zakodowanego realizmu warszawskich środowisk politycznych czy intelektualnych, od tego realizmu, którego poprzeczka była zbyt nisko; żeby uwolnić się spod tych dwóch presji i dostosować się do tego, czego oczekiwała nasza strona, przyjmując niejako ten robot- niczy realizm, który wyrażał się w poglądzie: albo to do- staniemy, albo nie ma o czym gadać! Bo to znaczyłyby, że przegrywamy.

Czy był szantaż rozwiązania siłowego ze strony rzą- dowej? Nieustannie. Były to zawsze jakieś aluzje i za- wieszenia głosu: – No, skoro tak... sami chcieliście... Ale jeden raz zostało to wyraźnie wypowiedziane. Wprost i bezpośrednio. W przeddzień podpisania porozumie- nia. Tekst porozumienia w zasadzie już jakby mamy. Podstawowe znaczenie przywiązywaliśmy do punktu 1., a pozostało jeszcze 20 następnych i o ile w ten pierwszy punkt zainwestowaliśmy niezwykle dużo, w jakimś sen- sie zainwestowaliśmy więcej niż mieliśmy, to o pozosta- łych punktach nie mógłbym tego powiedzieć. Dla pierw- szych pięciu punktów politycznych mieliśmy pokrycie w konfliktowej i wybuchowej sytuacji i wiedzieliśmy, że jeżeli tu nic nie uzyskamy, to w ogóle nic nie uzyska- my. Gdy mieliśmy więc już ten pierwszy punkt, deba- towaliśmy nad następnymi. W różnych innych punk- tach spośród 21 postulatów jest trochę niedociągnięć, niedoinwestowania z naszej strony, byliśmy zmęczeni, staliśmy wobec ogromnego zadania, część dyskusji pro- wadziły mniejsze podzespoły negocjacyjne, nie zawsze nasza grupa...

Dochodzimy więc do ostatecznego momentu zakoń- czenia pracy nad całością, kiedy przychodzi wiadomość, że Szczecin już podpisał porozumienie! Wbrew układo- wi zawartemu między jednym i drugim MKS-em. Wła- dze zerwały łączność telefoniczną między Gdańskiem i Szczecinem wbrew przyrzeczeniom. A przyrzekali, że łączność telefoniczna będzie stała i że samochód rzą-

dowy będzie przewoził łączników jednego i drugiego MKS-u. Łączność przerwana, porozumienie w Szczecinie zawarte, a zespół negocjacyjny dyskutuje już o drob- nych sprawach technicznych – chodzi o sformułowanie punktu dotyczącego mszy w radio.

Sformułowanie tego punktu jest już ustalone i cho- dziło tylko o ostateczną redakcję. Władza tę kwestię formalizowała: – No jak to, Kościół nie złożył oficjalnie propozycji w tej sprawie, może by to sformułować tak, że „pragnieniem naszym jest, żeby...”. – Ale przecież – argumentowała strona robotnicza – doszliśmy już do porozumienia, że msza będzie, a jak to się zrobi, to po- tem będą się nad tym kompetentni ludzie zastanawiać... Ze strony rządowej prowadził na ten temat rozmowy wojewoda Kołodziejcki. I nagle bardzo ostro zabrał głos [Adam] Łopatka: że to w ogóle nie wchodzi w grę, stro- na rządowa nie ma w tej sprawie kompetencji, że byłoby to naruszenie zasad konstytucyjnych, równości wszyst- kich wobec prawa i wszystkich wyznań, że on zresztą uważa, że Kościół sobie tego nie życzy, bo jeśli msza będzie w radio, to wierni przestaną chodzić do kościo- ła i kościoły opustoszeją, wobec tego trzeba po prostu usunąć punkt o mszy. Na to replikowaliśmy, żeby wła- dza się nie martwiła o wypełnienie kościołów, a stwier- dzenie, że Kościół wcale nie chce mszy, jest nieprawdzi- we; strona rządowa dobrze wie, że Kościół występował o mszę w radio i nie uzyskał na to zgody, zresztą nic prostszego jak sprawdzić tę sprawę. Odroczyliśmy nego- cjacje, trzeba się porozumieć z sekretarzem Episkopatu. Na to strona rządowa, tzn. Łopatka: – Zdajecie sobie sprawę z sytuacji, w jakiej się znajdujecie; jesteście cał- kowicie odosobnieni. Szczecin podpisał porozumienie, w całym kraju wygasa napięcie, jesteście tylko jedynym zakładem, który to uprawia, to jest przecież kwestia tylko agitatorów i tych kilkuset, którzy jeszcze siedzą w sali BHP. Władza ma konstytucyjne obowiązki, nie tylko prawa, ale i obowiązki, żeby zachować porządek, wobec historii odpowiada za to, i zastosuje środki, które będzie uważała za niezbędne. Zapewniam was, że uczy- ni to z powodzeniem. Więc jak chcecie...

Tak sformułowanej groźby, tak brutalnie, jasno, bez żadnych aluzyjnych uwag, nie było do tej pory... Reak- cja z naszej strony była równie ostra. Odpowiedź sformu- łował Lis, równie jednoznacznie jak tamten: – Jeżeli pan Łopatka proponuje zerwanie negocjacji, wobec tego zawiadomimy MKS, że rozmowy zostały zerwane. Ko-

mentując informacje Łopatki o stanie rzeczy w kraju, Lis powiedział: – Pan chyba ma złe informacje na ten temat, bo my mamy inne, ale my to mówimy za siebie, w imieniu MKS-u, nie mamy uprawnienia, żeby mówić w imieniu kraju, a jeśli chodzi o MKS, odpowiedź jest taka właśnie. Kończymy na tym negocjacje. Zapanowało milczenie. Po chwili zabrał głos wojewoda Kołodziej-ski i powiedział tylko jedno zdanie: – Akceptuję punkt w sprawie mszy świętej w radio w brzmieniu zapropono-wanym przez MKS.

Czy Łopatka zagrał na własną rękę? Na czyją rękę. Natomiast przypuszczam, że skoro Kołodziej-ski bez trudu zgodził się na ten punkt, zatem wiedział, że leży to w zakresie ich kompetencji, a w każdym razie po-dejmował takie ryzyko, że na siebie bierze przegraną w wywalczeniu przez władzę jeszcze jakiegoś terenu. Łopatka został następnie wyłączony z negocjacji. [...]

Przedłużało się przygotowanie tekstu, bo jeszcze robiono obróbkę stylistyczną i na koniec wąskim gar-dłem okazało się przepisywanie na maszynie. Kiedy za-tem przedłużał się moment podpisania porozumienia, widzieliśmy, jak pierwszy raz Jagielski i delegacja rzą-dowa wyszli na dziedziniec bez straży robotniczej, bo ustawicznie musieliśmy dbać o to, żeby była straż, a tu po raz pierwszy...

Rzeczywiście było wtedy takie całkowite poczucie rozładowania konfliktu i niezwykłej radości... Było po-czucie radości, które dawało się odczuć na całym dzie-dzińcu stoczni. Natomiast nie było pełnej radości w sali. MKS nadal jeszcze pracował, rozmawialiśmy, rodziły się jeszcze sytuacje konfliktowe... Natomiast tam, przez okna tej salki, w której nadzorowaliśmy przepisywa-nie na maszynie, dyktowaliśmy, poprawialiśmy słowa, widzieliśmy spacer Jagielskiego i niektórych członków komisji. Przeciągało się to. Wreszcie postanawiamy Ja-gielskiemu powiedzieć, że to jeszcze potrwa, i Bogdan Lis, wiceprzewodniczący, idzie do niego i mówi, że tekst porozumienia będzie gotowy nie o dwunastej, a o czter-nastej.

Reakcja Jagielskiego była zadziwiająca. Obserwowa-liśmy ją z daleka, a potem Lis nam to dokładnie opowie-dział. Jagielski zbladł i po chwili milczenia powiedział: – Nie wiem, czy o drugiej będziemy mogli to podpisać... Nie wiem, co się w kręgach władzy odbywało, o czym on nigdy nam nie powiedział. W każdym razie coś się tam działo...

No cóż, nie mogliśmy tej atmosfery napięcia wpro-wadzić do pokoiku, gdzie pracowały biedne maszynistki, którym i tak ręce się już trzęsły, trzeba było spokojnie czekać do momentu, kiedy wszystko będzie gotowe. I potem... podpisanie porozumienia. Niezwykle poczu-cie, że coś takiego się stało... Tak, znajdowałem się wte-dy na sali. Był taki moment – rozpoczęło się już zgromadzenie, już przyszła komisja rządowa i nie wiedzą, co robić, bo wciąż nie mamy tekstu! Czekają cała sala. Wresz-cie z Mazowieckim przynieśliśmy te teksty do podpisu, trzeba ich było wiele egzemplarzy, żeby podpisać mogły obie strony. Wypełniona sala, nastrój oczekiwania, Wa-łęsa, który potrafi żartem utrzymać zgromadzenie – też milczy; było to oczekiwanie na tekst i jednocześnie dźwięczały nam w uszach słowa wypowiedziane przez Jagielskiego: – Nie wiem, czy o drugiej jeszcze będzie-my mogli... Maszynistka przepisuje ostatnią stronę jesz-cze raz, bo zrobiła taki błąd, którego nie można inaczej poprawić. Czy to czegoś nie zmienia?

Wreszcie przynieśliśmy tekst na salę, ogromną, wy-pęloną po brzegi, rozjaśnioną światłami reflektorów. W nastroju, powiedziałbym, ciężkiego milczenia, bo oto po raz pierwszy siedziała tam jedna i druga strona i to nie było jeszcze do końca akceptowane przez te sale. Przynieśliśmy tekst, został odczytany, podpisany. Do-piero wtedy po raz pierwszy strona rządowa również uzyskała oklaski. To był bardzo istotny moment. To była jakby akceptacja faktu, że po raz pierwszy siedzą obok siebie dwie strony, które spotkały się oddzielnie i doszły do pewnej zgody. Sala wyraziła więc uznanie stronie rządowej, ale dopiero po podpisaniu porozumie-nia. W tej atmosferze radości, chociaż to słowo może trochę zbyt mocne, zbyt afektowane, wszyscy przeży-wali ogromne poczucie ulgi po tym napięciu, bo przez cały czas to najgorsze wisało na horyzoncie...

Wychodziliśmy potwornie zmęczeni. Wychodziliśmy ze stoczni około szóstej po południu. Miałem pełne poczucie satysfakcji, natomiast radości – nie... Miałem poczucie, że zaczęło się coś potwornie trudnego... strasznie trudnego... Jak to będzie możliwe!... Nie to, czy oni tego dotrzymają, tylko jak będzie możliwe uzy-skać od nich, wymusić, sprawdzić, żeby to, co podpisali, nie pozostało tylko literą przyznaną w momencie słabo-ści, w poczuciu słabości.

Nie byłem wtedy w stanie powrócić do normalnego życia. Taki anegdotyczny fakt – miałem ze sobą korektę

książki, która ukazać się miała we Francji i którą powinienem był zrobić do końca sierpnia. Pomyślałem, jadąc do Gdańska, że gdzieś będę miał możliwość te kilkaset stron przejrzeć... Oczywiście, do 31 sierpnia nic z tego nie wyszło.

Nie mogłem spać w nocy po podpisaniu porozumienia. O czwartej nad ranem następnego dnia pomyślałem: skoro nie śpię, to może lepiej zrobić coś pożytecznego. Próbując więc wrócić do normalnego życia, zacząłem robić korektę książki i nie byłem w stanie. I napisałem tej nocy tekst, który potem wyszedł w formie pierwszego druku MKS-u, mianowicie: *Jak zakładać związki zawodowe*. I dość szczęśliwie się stało. Było to zrobione w formie pytań i odpowiedzi. Otóż tego dnia było przewidziane spotkanie organizatorów komisji zakładowych z Gdańska, miało przyjść kilkadziesiąt osób. Prosił nawet Wałęsa, żebyśmy przyszli na to spotkanie. Postanowiliśmy, że wyjedziemy od razu po spotkaniu, a pójdziemy, żeby zobaczyć, jak to wygląda... Miało być kilkadziesiąt osób, a przyszło kilka tysięcy. Trzeba było najpierw zmienić salę, a wreszcie instalować głośniki na dziedzińcu szkolnym. Potem zaczęło się zebranie. Lech powiedział kilka słów. – A teraz – zakończył – mamy naszych ekspertów i oni wam wszystko powiedzą. Nie uprzedził nas o tym! W tej sytuacji ten tekst bezsennej nocy się przydał, bo po prostu odczytałem go. Napłynęło kilkaset pytań, na które wspólnie udzieliliśmy odpowiedzi, przede wszystkim Lech i koledzy Lecha z prezydium MKS-u. Było bardzo dużo spraw typu prawnego – wątpliwości sytuacyjnych, a myśmy zdali sobie sprawę, że w niczym nie jesteśmy mądrzejsi, ale przed tymi tysiącami ludzi trzeba próbować odpowiadać...

Nie chodziło tu o dawanie instrukcji, bardziej o przygotowanie do sytuacji, w której w wielu sprawach trzeba będzie samemu szukać odpowiedzi, bo dzieje się to po raz pierwszy... A my dajemy tylko próby tych pierwszych odpowiedzi. Miałem zresztą w tym pewną osobistą satysfakcję, historyka, że wśród pytań organizatorów NSZZ, które dotyczyły głównie funduszków, kasy zapomogowej, lokalu, pieczętek, sposobu zbierania składek, relacji z dyrektorem, z głównym księgowym, przychodziły też pytania dotyczące nauczania historii w szkole. I to nie jedno, wiele było pytań dotyczących odkłamywania historii. Sądzę, że pytania nie były wywołane faktem, że Wałęsa powiedział, iż Geremek to publicysta i historyk, nie, sądzą, że nawet gdyby mnie w ogóle

nie było, pytania te padłyby. Były też i pytania dotyczące wolności publicznych, i to formułowane w bardzo konkretnym języku.

I tak nazajutrz po podpisaniu porozumienia gdańskiego rozpoczynała się Solidarność. Tego nie przewidzieliśmy. Wychodząc ze stoczni, mieliśmy poczucie, że coś niezwykle ważnego tu się zdarzyło, z czego nawet jeszcze nie zdajemy sobie sprawy, ale że coś się zacznie, zacznie się w jakiejś perspektywie czasowej. Następnego dnia pokazał już, co się zaczyna. Ta fala już jest...

Po takich dwóch tygodniach rokowań jest to powrót do innego życia. Wyszliliśmy ze stoczni, gdzie tkwieliśmy dzień i noc. *Locum* mieliśmy u ojców pallotynów. Otóż zdarzało się, że wpadliśmy na 2-3 godziny w nocy, żeby czasem się tam przespać, żeby czasem móc porozmawiać przy kanapkach. Wracamy więc po podpisaniu porozumienia do pallotynów, śmiertelnie zmęczeni, w mieście odczuwa się wielkie poczucie ulgi. I w tym mieście gdzieś jest mój samochód, ale gdzie?! Zupełnie zapomniałem, gdzie go zostawiłem. Rozpoczęliśmy wtedy wielki spacer, próbując sobie odtworzyć, gdzie on może stać? I nie odnaleźliśmy go. Dopiero Adam Kersten w trakcie wędrówki po Gdańsku przypadkiem gdzieś go zobaczył...

[...]

Natychmiastowość reakcji na porozumienie była niebywałym zjawiskiem. Świadczyła o tym, jak szybko ten ruch wytwarzał swoje struktury, zupełnie nowe nawyki działania. Świadczy to także o... dobrej woli gdańskich władz, które potrafiły zdobyć się na tak szybką reakcję. Przecież przekazały duży lokal, który natychmiast został opróżniony dla NSZZ i oddany tego samego dnia. Nie chodzi tylko o to, że mogli to zrobić, ale że chcieli to zrobić! Prosty refleks, którego myśmy się spodziewali od samego początku – że będzie opóźnienie, sypanie piasku w oczy – tu w tej sprawie nie było tego...

[...]

Gdańskie władze dawały takie sygnały od początku: wojewoda Kołodziejski umożliwił nam już 23 sierpnia zatelefonowanie do Warszawy. Załatwiło to prezydium MKS-u. Dzwonimy, przekazujemy propozycje, kto jeszcze powinien przyjechać do grupy ekspertów, proponujemy Kowalika, Wielowieyskiego, Cywińskiego, Kuczyńskiego, Staniszkis. Prosimy wojewodę o interwencję, żeby pozwolono im przyjechać. Spróbuję – mówię – zobaczymy, jak to będzie, w każdym razie poczynię

kroki, żeby mogli przyjechać. Mazowiecki i ja uznaliśmy, że trzeba naszych kolegów przyjeżdżających tu niejako uprzedzić o tym, gdzie i w jakiej sytuacji się znaleźli. Dlatego prosimy strajkujących taksówkarzy (Gdańska Rzeczpospolita miała swój transport), żeby czekali na lotnisku, gdy już dostaliśmy wiadomość, że po aresztowaniu na krótko w Warszawie wreszcie ich wypuścili. Bo w ostatniej chwili zostali przez SB zatrzymani na lotnisku „do dyspozycji”. Samolot przyleciał bez nich, byliśmy bardzo zaniepokojeni. MKS wystąpił w tej sprawie do wojewody, wojewoda powiedział, że będzie interweniował. Wreszcie przyszedł do nich na Okęcie pułkownik i powiedział: – Uzyskałem zgodę na wyjazd panów do Gdańska, mogą panowie lecieć następnym samolotem... Ja czyniłem to, co polecono mi zrobić... Chcę tylko panom powiedzieć, że cieszę się, że decyzja została zmieniona i że panowie jedziecie...

Kiedy nasi koledzy przyjechali i opowiedzieli nam tę historyjkę z lotniska, prosiłem, żeby taksówka z nimi i nami nie wjeżdżała od razu do stoczni, tylko zatrzymała się przed nią. I zgodnie z naszym postanowieniem, Mazowieckiego i moim, powiedzieliśmy im wtedy, jak sprawa wygląda. Że nie ma żadnej gwarancji dla ekspertów, że eksperci są po jednej stronie, czyli że nie są pośrednikami niezaangażowanymi, tylko że są po stronie strajkujących robotników. I po trzecie – że naszym zdaniem jest to sytuacja najwyższego ryzyka, a szanse

pozytywne są ograniczone. I jeżeli wejdą do stoczni, to niech wiedzą, że stąd nie ma wyjścia nieuczciwego. Natomiast w pełni akceptujemy, jeżeli ktoś uzna, że nie może się tego zadania podjąć... Bo np. Andrzej Wielowiejski swoją osobą angażował w to także Klub Inteligencji Katolickiej, a inny z tej grupy był członkiem partii i bardzo wybitnym ekspertem w dziedzinie prawa. Po zadaniu tego pytania wszyscy poza jednym, poza prawnikiem, „wojskowym krokiem” wkroczyli z podniesioną głową do stoczni... Po prostu powiedzieliśmy, że każda decyzja jest tutaj możliwa i dopuszczalna, i do zaakceptowania – bez kwalifikacji moralnej, tylko że chodzi o rozpoznanie elementów tej decyzji – co oznacza wejście do stoczni? I jeżeli wchodzimy, to jako zespół ekspertów MKS-u, identyfikujący się z komitetem strajkowym. Prawnik, wysłuchawszy tego, powiedział: – No to ja nie wchodzę, dlatego że nastawiłem się na rolę pośrednika, bo wiem, że będę akceptowany przez władze... Zresztą miał on jakieś rozmowy w Gdańsku, pytał o gwarancje, prosił o radę i usłyszał wtedy, że gwarancji pozytywnych tu nie ma, natomiast szanse negatywne są bardzo duże. Został zresztą wówczas w hotelu i zaoferował nam pomoc konsultacyjną przez cały czas swego pobytu, przez dwa dni, i skorzystaliśmy z jego oferty, ponieważ jest to bardzo wybitny znawca i bardzo mądry człowiek. Ten fakt nieźle, jak sądzę, charakteryzuje ówczesne momenty wyboru i miejsce naszej grupy ekspertów na horyzoncie stoczniowym.

Wspomnienia ze Stoczni Gdańskiej

TADEUSZ KOWALIK

❖ prof. nauk humanistycznych i ekonomicznych, w sierpniu 1980 r. pracownik Instytutu Historii Nauki, Oświaty i Techniki Polskiej Akademii Nauk i członek grupy ekspertów MKS w Gdańsku. W latach 1948–1968 należał do Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej. Członek Klubu Krzywego Koła. W latach 1956–1957 redaktor naczelny „Życia Gospodarczego”. Uczestnik opozycji demokratycznej (związany z jej lewicowym nurtem) – współzałożyciel Towarzystwa Kursów Naukowych, wykładowca Uniwersytetu Łatającego, współpracownik KOR, sygnatariusz apeli do władz inicjowanych przez środowiska opozycyjne. W 1992 r. jeden z założycieli Unii Pracy.

Jest to z natury rzeczy relacja subiektywna. Spisana w końcu 1981 r. w Waszyngtonie, gdzie się wówczas znalazłem. Opisałem w niej pracę grupy ekspertów przy Międzypartowym Komitecie Strajkowym w Gdańsku od 24 do 31 sierpnia 1980 r., czyli w czasie negocjacji z komisją rządową. Relację poprzedziłem wspomnieniem, jak do tego doszło, w jaki sposób zrodził się w tej grupie pomysł pomocy strajkującym w Stoczni Gdańskiej.

Apel sześćdziesięciu czterech

Powstanie tzw. komisji ekspertów MKS wiąże się z „Apelem sześćdziesięciu czterech”, który sumował zapewne kilka niezależnych pomysłów. Jednym z nich był projekt odezwy programowej, dyskutowany w gronie bezpartyjnej części seminarium zwanego żartobliwie „czerwoną kanapą”¹. Projektodawcą odezwy był Ryszard Bugaj, który od dawna uważał, że nie ma co czekać na reformatorskie inicjatywy władzy, lecz trzeba przygotować zbiorowy dokument o charakterze programowym. Chodziło mu zwłaszcza o program wyjścia z kryzysu

gospodarczego. Do bardziej konkretnych rozmów skłonił nas lubelski strajk kolejarzy, a następnie pierwsze odgłosy strajku gdańskiego. W czasie gdy dyskutowaliśmy o tym w parooosobowym gronie (oprócz Bugaja pamiętam Szymona Jakubowicza, Cezarego Józefiaka, Artura Hajnicza, Bronisława Geremka), Adam Michnik zasugerował ostatniemu z wymienionych, by intelektualiści jakoś pomogli strajkującym robotnikom i poparli ich żądania.

Już całkiem konkretnie rozmawialiśmy o apelu we trzech, wraz z Jerzym Jedlickim i Bronisławem Geremkiem, podczas spaceru w okolicach mego mieszkania w sobotę 16 sierpnia, a w poniedziałek dyskutowaliśmy w mieszkaniu Geremka nad pierwszą wersją apelu. Był to tekst napisany przez Jedlickiego. Wieczorem poszedłem do Tadeusza Mazowieckiego. Ten, chociaż mocno przeziębiony i miał gości, zgłosił dość istotne uwagi i obiecał wnieść poprawki do następnego ranka. Krąg sygnatariuszy przedyskutowaliśmy w mojej pracowni w Instytucie.

Z uczestników zapamiętałem: Stefana Amsterdamskiego, Szymona Jakubowicza, Artura Hajnicza, Waldemara Kuczyńskiego, Andrzeja Celińskiego i Geremka, który chyba prowadził zebranie. Głównie dyskutowany problem to kwestia uczestnictwa ludzi z KOR. Wszyscy byli zgodni co do tego, żeby nie zwracać się do najbardziej eksponowanych politycznie. Dotyczyło to w pierwszym rządzie Michnika i Kuronia. Były natomiast podzielone opinie na temat profesorów Jana Kielanowskiego i Edwarda Lipińskiego. Ja uważałem, że w każdym przypadku powinien podpisać Andrzej Celiński, tak silnie związany ze środowiskiem akademickim. Celiński jednak odmówił, podkreślając, że nie może być wyjątkiem. Stało ostatecznie na tym, że nie podpisu-

¹ W seminarium tym, działającym od połowy lat sześćdziesiątych, uczestniczyli m.in. Ryszard Bugaj, Szymon Jakubowicz, Krystyna Kersten, Tadeusz Kowalik, Jan Strzelecki, Andrzej Tymowski, Janina Zakrzewska, Zofia Zakrzewska, a także przed wyjazdem z Polski: Bronisław Baccho, Włodzimierz Brus, Leszek Kotakowski, Krzysztof Pomian. (red.)

je nikt z KOR. Sprawy uczestnictwa ludzi z ROPCiO i KPN nawet nie dyskutowaliśmy, gdyż w naszym środowisku oceniano ich działalność i poglądy wysoce krytycznie.

Ponieważ później niektórzy z członków KOR wyrażali z powodu ich pominięcia żal, spróbuję we własnym imieniu wyjawić nasze motywy. Stał za tym głównie argument taktyczny. Nazwiskami dysydentów nie chcieliśmy odstraszać ludzi, którzy rzadko przekraczali próg czynów przez władze dozwolonych lub tolerowanych. Nie ukrywam jednak, że przynajmniej u niektórych z nas (u mnie z pewnością) działał argument merytoryczny. Przygotowaliśmy apel o kompromis, o nawiązanie dialogu między strajkującymi i władzą, o polityczne rozwiązanie gwałtownie narastającego konfliktu. Uważaliśmy, że w szukaniu dróg wyjścia z kryzysu niezbędne jest współdziałanie społeczeństwa z władzą. Domagając się od rządzących przeprowadzenia niezbędnych reform politycznych, kładliśmy nacisk na potrzebę umiaru i rozwagi ze strony społeczeństwa, które byłoby gotowe liczyć się w swych żądaniach z trudną sytuacją kraju. Nawet jednak gdyby taka treść apelu odpowiadała (przynajmniej niektórym) członkom KOR, musieliśmy – jeśli chcieliśmy działać skutecznie – liczyć się ze stereotypem KOR wytwarzanym przez oficjalną propagandę².

We wtorek i środę zbieraliśmy podpisy³. Powodzenie tej akcji ocenialiśmy początkowo dość pesymistycznie. Za sukces uznalibyśmy zebranie 25–30 podpisów, ale pamiętam, że niektórzy liczyli na najwyżej 15 sygnatariuszy. Szybko jednak miało się okazać, że apel doskonale trafił w nastrój opinii publicznej, czego widowym dowodem była nie tylko zaskakująca liczba sygnatariuszy, lecz również późniejsze liczne pretensje osób pominiętych (głównie z braku czasu). Odmowy należały do wyjątków. Zaskoczeniem była odmowa prof. Czesława Bobrowskiego. Odwiedził go w tej sprawie Waldemar Kuczyński, którego Bobrowski lubił, a jego książkę *Po wielkim skoku* ocenił tak wysoko, że ufundował dla au-

tora sporą osobistą nagrodę (10 tysięcy złotych!). Jego odpowiedź była kategoryczna: z obiema stronami się nie zgadza, ani z rządem, ani ze strajkującymi robotnikami. Robimy gruby błąd, udzielając poparcia MKS. Wytrawny polityk gospodarczy bał się po prostu, że cała rzecz skończy się nakręceniem spirali inflacyjnej. A już wyjazd nasz i zaangażowanie się po stronie strajkujących uważał za błąd niewybaczalny⁴.

Nasz apel o pracę na rzecz odpowiedzialnego kompromisu był skierowany do społeczeństwa i do władzy zarazem (baliśmy się powtórki grudnia 1970 r.). Do premiera i marszałka sejmu wystaliśmy go pocztą. Egzemplarz przeznaczony dla Biura Politycznego PZPR Geremek podał przez biuro podawcze KC. Trudniej było z apelem zapoznać opinię publiczną.

Wiedzieliśmy doskonale, że wysłanie go do „Trybuny Ludu” było gestem pozbawionym znaczenia. Jediną drogą, za pomocą której mogliśmy trafić do opinii publicznej, była prasa zachodnia i zachodnie rozgłoszenie. Zresztą, było dla nas jasne, że również do władzy szerzej pojętej, do establishmentu, apele i protesty docierają najszybciej tą właśnie okrężną drogą. Jeszcze w środę wieczorem [20 sierpnia], gdy tekst był przepisywany, poszliśmy obaj z Amsterdamskim do zachodnich agencji prasowych na ul. Koszykową, by uprzedzić korespondentów, że za parę godzin dostarczymy im ważną enuncjację. Przyjęto nas tam nieufnie. Gdy powiedzieliśmy, o co chodzi, zapytano, dlaczego robimy to dopiero teraz. Dlaczego w 1970 r. zostawiliśmy robotników samych, a nawet – co dotychczas zrobiliśmy dla robotników. Gdy jednak późnym wieczorem otrzymali od nas tekst, nadali mu dostateczny rozgłos.

Podczas przygotowania apelu nie było rozmów zawiadających nasze przyszłe współdziałanie ze strajkującymi. Być może pierwszy taki pomysł zrodził się w czwartek rano w rozmowie z Heleną Łuczywo w mieszkaniu Kielanowskiego i przy jego współudziale. Helena,

² W „Zeszytach Literackich” Tadeusz Kowalik wyjaśniał te powody bardziej szczegółowo: „KOR miał wielką zasługę w nawiązaniu współpracy inteligencji z robotnikami, w odzyskiwaniu wiary w możliwość samopomocy i samoobrony. Ale KOR nie nastawiał się na zreformowanie systemu. Przeciwnie. W środowisku KOR-u przeważały opinie o totalitarnym charakterze systemu, którego niereformowalność bądź przyjmowano za oczywistą, bądź uzasadniano ją teoretycznie. Jeśli więc – sądziłem – dojdzie do kompromisu, który będzie czymś więcej niż chwilowym zawieszeniem broni, to stanie się to wbrew dotychczasowej linii KOR-u. Nie wykluczałem oczywiście zmiany stanowiska poszczególnych osób, nie spodziewałem się jednak, że może to dotyczyć większości członków KOR-u, a zwłaszcza jego zaplecza młodzieżowego” (T. Kowalik, *Próba kompromisu (o Komisji Ekspertów MKS w Gdańsku)*, „Zeszyty Literackie” 1983, nr 2, s. 97). (red.)

³ Początkowo w mojej pracowni w PAN, ale ponieważ ze strony dyrekcji spotkały mnie zarzuty, że „przekształcałem pracownię w jacejkę korowską”, przenieśliśmy listy do Klubu Inteligencji Katolickiej. Gdy po powrocie z Gdańska chciałem dopełnić formalności i wziąć za ten okres urlop bezpłatny, ten sam dyrektor się żachnął: „Ależ panie docencie, to niepotrzebne. Pan przecież spełniał obywatelski obowiązek”. (T.K.)

⁴ Natomiast przyniesiony przez kogoś podpis Romana Bratnego wywołał konsternację, a nawet pewne opory. (T.K.)

osamotniona ze względu na liczne aresztowania, zwłaszcza wśród współpracowników „Robotnika”, ukrywała się od kilku dni. Właśnie wróciła ze Stoczni Gdańskiej pełna niepokojów. Mówiła o niebezpieczeństwie katastrofy ze względu na niechęć władzy do kompromisu z jednej strony oraz widoczną radykalizację robotników z drugiej. Od niej wówczas po raz pierwszy usłyszałem o Wałęsie skłonny do kompromisu i o radykalnym Andrzeju Gwieździe. Helena przekonywała nas, że należy coś zrobić, by zapobiec katastrofie. Zacząłem głośno rozważać celowość wyjazdu do Gdańska paru spośród najwybitniejszych sygnatariuszy apelu. Pamiętam, że wymieniałem nazwisko Aleksandra Gieysztora, Stefana Kieniewicza, Władysława Bieńkowskiego i Tadeusza Mazowieckiego. Może także Andrzeja Wajdy. Helenie się ta myśl spodobała. Kielanowski był raczej powściągliwy.

Zapaliłem się do pomysłu i zacząłem natychmiast działać. Byłem akurat umówiony przed moim domem z panią Felicją Lange. Nie pamiętam, o co chodziło. Chyba o jakąś zbiórkę pieniędzy. Poprosiłem, by mnie podwiozła do Bronka Geremka, którego chciałem prosić o porozmawianie z Gieysztorem i Kieniewiczem. Na siebie wziąłem rozmowę z Mazowieckim i Bieńkowskim. Możliwe jednak, że po drodze zmieniłem nieco koncepcję, gdyż chyba już za pierwszym razem powiedziałem, że Bronek też powinien jechać. U Geremka zastałem Karola Modzelewskiego. W sposób jednak dla mnie typowy, gdy jestem czymś mocno zaabsorbowany, pomyliłem go z kimś, kto miał nie najlepszą opinię w środowisku. Nie chcąc omawiać pomysłu z Bronkiem w czyjejkolwiek obecności, poprosiłem Bronka do innego pokoju. Wzbudziło to, zdaje się, w Modzelewskim daleko idące podejrzenia o moje czy nasze konszachty z ludźmi establishmentu.

Geremek natychmiast zaakceptował projekt i propozycję rozmowy z Gieysztorem i Kieniewiczem. Mazowieckiego nie zastałem w „Więzi”, ale gdy stamtąd wychodziłem, spotkałem go na dole przy wejściu. Tadeusz po chwili wahania zgodził się na proponowaną mi misję, miał jednak zastrzeżenia do składu grupy. Podkreślał, że powinien to być zespół ludzi dobrze się rozumiejących i zdolnych do współpracy („Jeśli mam kierować zespołem, to powinien być w miarę jednolity”). Wyraził wątpliwość, czy Bieńkowski nadaje się do tego ze względu na zdecydowane poglądy i kategoryczny sposób dyskusowania. Być może Mazowiecki pierw-

szy widział perspektywę dłuższego współdziałania ze strajkującymi. Ja do tej chwili wyobrażałem sobie ową misję raczej jako akt mniej lub więcej jednorazowy – doprowadzenie do dialogu, a nie uczestniczenie w nim. Z moich propozycji pozostawił tylko Geremka. Zapytał także, dlaczego ja miałbym nie jechać i sprzeciwił się memu przekonaniu, że powinny to być nazwiska najbardziej znaczące.

Zmieniła się więc koncepcja grupy na tyle, że zrezygnowałem z wizyty u Bieńkowskiego i powróciłem do Geremka, by powstrzymać go od rozmów z wymienionymi wyżej wybitnymi historykami. Gdy wszedłem do mieszkania, Bronek już przy drzwiach powiedział, że jest w przymusowym towarzystwie „tych panów”. W mieszkaniu – obok Karola Modzelewskiego pełniącego rolę świadka – było trzech cywilów ze Służby Bezpieczeństwa zajętych przeglądaniem papierów. A więc rewizja w takim momencie! Była to zapewne pierwsza reakcja władz na nasz apel.

Rewizja trwała długo, chyba od dziesiątej do pierwszej. Liczba osób skazanych na przymusowe asystowanie szybko się zwiększała. Przyszli, by już nie wyjść do końca: ktoś z młodych współpracowników Geremka z Instytutu Historii [PAN], potem przewodniczący rady zakładowej tej instytucji, następnie Janek Strzelecki. Powróciła także z uniwersytetu Hania, gospodyni domu, która skutecznie rozładowywała nastrój. Po pierwszej wszedł do mieszkania nowy funkcjonariusz i już przy drzwiach powiedział: „Panie Tadeuszu, ja po pana”. Czuję się upoważniony do poufałości na tej zasadzie, że „poznaliśmy się” kilka miesięcy wcześniej podczas rewizji w moim mieszkaniu. Może też zajmował się mną jako wykładowcą i członkiem komisji programowej Towarzystwa Kursów Naukowych.

Zostałem obstawiony z obu stron na tylnym siedzeniu służbowego wozu. Pojechaliśmy do mego mieszkania. Po drodze dosiadła się kobieta, pani prokurator (chyba w randze kapitana), która potem podpisała protokół rewizji. Przed domem zobaczyłem wychodzącego właśnie Waldemara Kuczyńskiego, który chyba celowo starał się nie zwracać na nas uwagi. Jak się później okazało, przyprowadził do nas Helenę Łuczywo, którą zobaczyłem na korytarzu w chwili wejścia do mieszkania. Szczęśliwie żaden z funkcjonariuszy nie znał jej z wyglądu. A może przybysze dali się zwieść niecodziennemu u Heleny super eleganckiemu ubiorowi i makijażowi. Gdy weszliśmy

do osobnego pokoju, jeden z funkcjonariuszy ostrzegł mnie wprawdzie, iż podczas rewizji nikomu z domowników ani gości nie wolno wychodzić, nie nalegał jednak, bym wszystkich o tym uprzedził.

Jak się później okazało, Helena umówiła się u nas na telefoniczny wywiad dla „Daily Telegraph”, z którym dorywczo współpracowała. Nie uprzedziła nas o tym, a pewnie i nie pomyślała, że taki wywiad z mego mieszkania w czasie, gdy zajęty byłem realizowaniem naszego bądź co bądź wspólnego pomysłu, nie był krokiem poważnym. Zapewne nie pomyślała o tym ze względu na duże napięcie nerwowe i zagubienie. Szczęśliwie udało się jej niepostrzeżenie wyjść, gdy omawiałem z funkcjonariuszami sprawę świadka. Rewizję przeprowadzono we wszystkich pokojach z wyjątkiem pokoju syna. Chcąc oszczędzić małemu nieprzyjemności (podobnie jak moja żona był chory na anginę), dałem słowo, że w jego pokoju nic dla nich nie ma. Nie kłamałem świadomie, gdyż nie wiedziałem, że żona ukryła tam maszynę do pisania i parę przypadkowych tekstów.

Plon rewizji był niestety duży. Zabrano mi parę setek egzemplarzy listu TKN do nauczycieli, sporo książek Nowej i trochę maszynopisów. Wśród nich wszystkie egzemplarze mego tekstu *Czerwiec 56, Grudzień 70, Czerwiec 76 i...?*. Pozostawiono natomiast parę kopii artykułu *Uwagi o możliwości przejścia od komunizmu do socjalizmu*. Może dlatego, że tytuł brzmiał dość schematycznie i zmiana kierunku nie rzucała się w oczy.

Rewizja trwała od drugiej do szóstej, co tłumaczy nie tylko jej dokładnością, lecz także tym, że funkcjonariusze starali się nawiązać rozmowę, by czegoś się dowiedzieć. Wyczuwało się w ich postawie niepewność, a może nawet zagubienie. Przynajmniej część ich pytań wynikała ze zwykłej ciekawości, której nie mogły przecieć zaspokoić oficjalne kanały informacji. Chętnie się tej atmosferze poddawałem, co ułatwiało wytargowanie niektórych maszynopisów lub książek. Rozluźnionej atmosferze przypisuję również to, że żonie udało się odbyć parę rozmów telefonicznych.

Podczas rewizji ktoś zadzwonił do drzwi. Gdy Irena zobaczyła nieznanego młodzieńca, sądziła, że to któryś ze studentów do mnie, starała się więc gestami rąk skłonić go do odejścia. Dopiero po chwili ów gość ujawnił się i powiedział, że został wezwany do pomocy w zabranii zakwestionowanych materiałów.

Przez długi czas trzymano mnie w niepewności, czy będę musiał z nimi pójść, stwarzając wrażenie, że to nie od nich zależy, choć zabiegają, by mnie nie musieli zabierać.

Po ich wyjściu postanawiam w wannie pozbyć się nieprzyjemnych wrażeń tego dnia. Uniemożliwia to telefon od Andrzeja Kijowskiego, który zaprasza do siebie. Są już u niego Geremek i Mazowiecki.

Odbyła się tam parogodzinna dyskusja na temat wyjazdu do Gdańska. Największym sceptykiem był gospodarz domu. Mówił o podstawianiu nogi żaby, gdzie kują konie, o nieskromności pomysłu, o niemożliwości naszej pomocy strajkującym.

Również Mazowiecki zgłosił liczne zastrzeżenia, które zmierzały w niejasnym dla mnie kierunku. Czasem myślałem, że chodzi mu o doprecyzowanie pomysłu, a czasem – że o sam sens przedsięwzięcia. Dopiero później miałem się przekonać, że Tadeusz nigdy nie zapala się do projektów, a swą rolę widzi głównie w tym, by rzecz rozważyć ze wszystkich możliwych stron. Raczej bierny Geremek robił wrażenie silnie wymęczonego wcześniejszą rewizją. Przekonany, że powinniśmy jechać jak najszybciej, czułem, że moja argumentacja nie trafia do przekonania. Onieśmielała mnie myśl, że sam tymczasem jechać nie mogę ze względu na chorobę domowników.

Rozmowa była chaotyczna, zataczała parę kręgów i wracała do punktu wyjścia. W momencie gdy już się wydawało, że wszyscy z pomysłu zrezygnowali, próbujemy dodzwonić się do informacji kolejowej, by się dowiedzieć, o której mamy pociąg do Gdańska. Jesteśmy zmartwieni, gdy się okazuje, że telefon przestał działać. Najprytniej zachowała się pani Kijowska, która od czasu do czasu usiłowała wprowadzić jakiś ład do naszej szamotaniny.

Ostatecznie postanawiamy, że spotkamy się następnego dnia w redakcji „Więzi”. Gdy to następuje, ujawniają się przeciwstawne stanowiska. Bronek rozpoczyna od czegoś w rodzaju oświadczenia. Wczoraj miał wątpliwości, dzisiaj żadnych. Uważa, że należy jechać niezwłocznie. Natomiast Kijowski oświadcza, że nam wprawdzie nie odradza, ale sam wyjechać nie może, gdyż to byłoby sprzeniewierzeniem się sobie. Dawno już postanowił być pisarzem i do polityki się nie mieszać⁵. Szybko się też wyjaśnia stanowisko paru członków Kon-

⁵ Jednak 28 sierpnia Andrzej Kijowski pojechał jako ekspert do Szczecina. (red.)

wersatorium „Doświadczenie i Przyszłość” – na razie do Gdańska jechać nie zamierzają.

Pozostają Geremek i Mazowiecki. W ostatniej chwili wpadamy na pomysł, by namawiać Jerzego Szackiego. Obaj z Bronkiem wywołujemy go w tym celu z posiedzenia Towarzystwa Socjologicznego, które odbywa się w mieszkaniu prof. Andrzeja Tymowskiego. Jerzy potrzebuje jednak więcej czasu do namysłu.

W piątek 22 sierpnia około pierwszej w południe wyjeżdżają Mazowiecki i Geremek. Jadą samochodem Geremka. Do Gdańska dotarli pod wieczór. Z opowiadań obu wiadomo, że przyjęto ich tam nadzwyczaj serdecznie. Nie tylko podziękowano za poparcie udzielone w apelu, lecz z miejsca zaproponowano utworzenie grupy ekspertów MKS.

W sobotę wczesnym popołudniem zadzwonił do mnie Geremek z telefonu dyrekcji stoczni, by zawiadomić, że MKS powierzył im zadanie utworzenia komisji ekspertów. Prosi, by namówić do przyjazdu autorów: *Po wielkim skoku, Rodowodów niepokornych* oraz *Przed trzecim przyspieszeniem*, czyli Waldemara Kuczyńskiego, Bohdana Cywińskiego i Andrzeja Wielowieyskiego. A także Jadwigę Staniszkis oraz „jakiegoś dobrego prawnika”. Zaakceptował kandydaturę Leszka Kubickiego z Instytutu Państwa i Prawa PAN. Dodał, że mamy lecieć samolotem – na moje nazwisko ma być zarezerwowanych sześć miejsc w niedzielę o siódmej rano. Powiedział także coś o gwarancjach bezpieczeństwa, rozumiałem, że to obietnica wojewody [Jerzego] Kołodziejewskiego. Stworzyło to wrażenie, że jesteśmy chciani przez obie strony, co później zrodziło nieporozumienia.

Bronek rozpoczął rozmowę od uwagi, że tam w stoczni atmosfera jest zupełnie inna, w świetle której nasze warszawskie wątpliwości okazały się śmieszne.

Zaczynam szybko działać, żeby wszystkich zdążyć zawiadomić dostatecznie wcześniej. Okazuje się, że Staniszkis już wyjechała do Gdańska (potem się dowiem, że wezwał ją tam ktoś spoza naszego środowiska). Waldemara, którego zawiadomił na moją prośbę Szymon Jakubowicz, nie trzeba przekonywać. Z pozostałymi znacznie gorzej. Gdy dzwonię do Bohdana i mówię mu, o co chodzi, on na to: „Tadeusz, jesteś pijany, prześpij się, zadzwoń, jak wytrzeźwiejesz”. Dziwi się, że o takiej sprawie mówię przez telefon i jeszcze wspominam o jakichś gwarancjach bezpieczeństwa. Do wyjazdu jest jednak skłonny. Musi tylko uwierzyć. Wielowieyskie-

go nie zastaję w domu, od jego córki dowiaduję się, że jest nad Zalewem Zegrzyńskim. Szczęśliwie przychodzi Adam Kersten, jak zwykle gotów do wszelkiej pomocy, także do najczarniejszej roboty. Telefonicznie umawia się z córką Wielowieyskiego, by odszukać ojca. Przywozi jednak po dwu godzinach odmowę: Andrzej uważa, że do takiej roli się nie nadaje i radzi zwrócić się do Janka Strzeleckiego. Dzwonię więc do Bohdana z prośbą o wstawiennictwo i to po pewnym czasie pomaga.

Po południu odwiedzają nas w domu Kubicky, wcześniej umówieni. Korzystam z okazji i namawiam Kubickiego na wyjazd do Gdańska. Nie umiem, niestety, precyzyjnie odpowiedzieć, czy jedziemy tam w roli mediatorów, czy też wyłącznie w roli współpracowników Komitetu Strajkowego. Kubicki uzależnia swoją decyzję od rozmowy z dyrektorem Instytutu, prof. Sylwestrem Zawadzkiem, z którym, jak powiedział, podjął pewne wspólne działania i czuje się zobowiązany do lojalności. Wieczorem zawiadamia mnie, iż rozmawiał również z panem Władysławem (chodzi o Markiewicza, sekretarza Wydziału Nauk Społecznych PAN), do czego się poczuwał jako wicedyrektor Instytutu. Domyślam się z rozmowy, iż jednym z czynników, które bierze pod uwagę, był fakt, iż byłby jedynym członkiem partii wśród wyjeżdżających.

Wieczorem kolejny telefon od Geremka, iż nasza rezerwacja jest nie na siódmą, lecz na dziewiątą rano.

Wieczorem jeszcze spotkanie u Hajnicza, w którym biorą również udział: Jakubowicz, Bugaj, Józefiak, Kuczyński. Miało być poświęcone kwestii programu gospodarczego, ale rozmawiamy głównie o naszej nowej misji i sytuacji w kraju. Umawiamy się, że Bugaj i Hajnicz przygotowują na rano krótkie ekspertyzy – pierwszy o inflacji i dodatku drożyznianym, a drugi o samorządzie robotniczym.

Późnym wieczorem zamawia się do mnie Karol Mordzelewski. Pyta, czy zabiorę ze sobą jego tezy do programu, które przygotowałyby na rano. Ucieszyłem się z tego, gdyż Karola uważałem za utalentowanego pisarza politycznego. Byłem jednak zaskoczony jego minimalizmem. Uważał, że hasło wolnych związków zawodowych jest całkowicie pozbawione realizmu. Ja zaś uważałem, że jego propozycje były nawet jak na mój gust nazbyt połowiczne. Gdy po nieprzespanej nocy przyniósł rano kilkustronicowy tekst, powiedział m.in.: „Żałuję, że napisałem z Jackiem ten głupi list otwarty,

inaczej pojechałbym teraz pomagać robotnikom". Ja na to zareagowałem, że powinien pisać program polityczny. A Karol: „Po co? Kto mi to opublikuje?”. Na moje kolejne słowa, iż sytuacja może się wkrótce radykalnie zmienić, Karol powiedział: „Lubię Twój optymizm”. Podszedł i pocałował mnie w czoło, tak jak się całuje kogoś bardzo poczciwego i naiwnego zarazem.

Artur przyniósł rano nie tylko swój tekścik o radach robotniczych, lecz także inną notatkę o strajkach, napisaną przez Wisłę Pankiewicz, była żoną Edwarda Osóbki-Morawskiego. Chodziło jej głównie o pokazanie, że strajki nie są sprzeczne z ustawodawstwem polskim. Umówiliśmy się, że będziemy ewentualnie zgłaszać z Gdańska zapotrzebowanie na inne teksty, które mogą się okazać potrzebne. Okazało się to o tyle nierealne, że przez cały czas był utrudniony kontakt telefoniczny. Poza tym Warszawa żyła wówczas tak odmiennym rytmem, że na odległość trudno było zrozumieć strajkujących z „wolnego miasta Gdańska”.

Wieczorem pojawili się u nas jeszcze inni niezapowiedziani goście, tym razem z Budapesztu, spośród których znałem tylko historyka Marię Kovacs, która rok wcześniej odwiedziła nas razem z Györgym Bencem i Jánosem Kisem, by zapoznać się z naszym Latającym Uniwersytetem. Węgry przyjechali w geście solidarności ze strajkującymi i zamierzali jechać na Wybrzeże. Próbuję im tłumaczyć, że im mniej rozgłosu w tej części Europy, tym lepiej dla sprawy. Po krótkiej rozmowie skontaktowałem ich z prof. Kielanowskim, a następnie z Martą Woydt, by się nimi zaopiekowała. Następnego dnia nie podchodzę do nich, gdy spostrzegam ich na lotnisku. Jesteśmy bowiem, podobnie jak oni, wyraźnie obserwowani. Później dowiem się, że następną grupę Węgrów udających się do Polski z chęcią poparcia strajkujących zatrzymano już na lotnisku w Budapeszcie.

Rano na Okęciu niespodzianka za niespodzianką. Wierząc, że mamy zarezerwowane miejsca w samolocie, szukam potwierdzenia, najpierw w kasie, potem u kierownika. Nic o tym nie wiedzą. Na szczęście możemy normalnie kupić bilety, gdyż są wolne miejsca. Dopiero w Gdańsku dowiemy się, że wojewoda coś podobnego obiecał, ale potem zapomniał. Już przy wejściu do hali zauważyliśmy znaczną i szybko rosnącą liczbę funkcjonariuszy bezpieczeństwa niespuszczających nas z oczu. Było ich, jak obliczyliśmy, około dwudziestu pięciu. Gdy zaczęliśmy wychodzić przez przejście kontrolne z za-

nami na rewizję, z każdym z nas postępowano podobnie. Sprawdzenie biletu i dowodu osobistego, zaproszenie do kabiny, gdzie sprawdzano zawartość bagażu. Po chwili pojawia się wysoki funkcjonariusz MSW i przepaszając, informuje, iż władze zmuszone są przerwać naszą podróż. Po wyjściu z kabiny każdy z nas zostawał oddany strażnikowi, który odprowadzał nas do milicyjnej poczekalni. Niektórzy z nas, a może wszyscy z osobna – nie pytałem o to kolegów – myśleli początkowo, że tylko oni zostali wyłączeni z grupy jadących.

Gdy szedłem ze strażnikiem, zobaczyłem przez szybę Kerstena i Wielowiejską. Krzyknąłem do nich, że jestem zatrzymany. Na co strażnik: „Dlaczego się pan tak denerwuje?”. W pokoju milicyjnym pozostawiono nas pod nadzorem mundurowego sierżanta MO, rubasznego starszego pana po pięćdziesiątce. Robił, co mu kazano, ale wyczuwało się łatwo, że z nami sympatyzuje. Siedzieliśmy tak przez dwie godziny. Znaczną część tego czasu spędziliśmy na wyśmiewaniu się z nas samych. Głównym bohaterem ironii byłem oczywiście ja i moja łatwo wierność. Zrozumiałe, że Kubicki, urzędujący wicedyrektor Instytutu Prawa, legalista z krwi i kości, czuł się w roli zatrzymanego najgorzej. Zrozumiałe też, że on właśnie moją naiwność oceniał najostrzej, co usprawiedliwiała nasza ponadtrzydziestoletnia znajomość i dawna przyjaźń. Cóż mogłem odpowiedzieć na pytania jego i innych dotyczące rzekomej rezerwacji miejsc, a nawet gwarancji bezpieczeństwa? Właśnie owe gwarancje bezpieczeństwa wywołały raz po raz wybuchy sarkastycznej wesołości. Pod strażą istotnie czuliśmy się bezpieczni... Po dwu godzinach wszedł funkcjonariusz w średnim wieku, przedstawił się jako pułkownik Sobieszuk lub Sobieszak z MSW, przeprosił za zatrzymanie, które miało jakoby wynikać stąd, iż otrzymali informację, że nasz wyjazd „chciały wykorzystać w celach antypaństwowych siły antysocjalistyczne”. Teraz sprawa została wyjaśniona i możemy robić, co chcemy. Jeśli chcemy jechać do Gdańska, radzi nam skorzystać ze specjalnego samolotu, który właśnie odlatuje. Dodał, iż wierzy, że nasz wyjazd dobrze będzie służył socjalistycznemu państwu. Nie skorzystaliśmy jednak z owego specjalnego samolotu, nie ufając „doradcy”, i poleciliśmy rejsowym o dwunastej.

Na lotnisku gdańskim już ze słabszą pewnością siebie zapytaliśmy kasjerki, czy przypadkiem nie czeka na nas ze stoczni samochód. Wiedzieliśmy bowiem, że transport

miejscowy strajkuje. Już z rozmowy z kasjerką wyczuwaliśmy odmienny, świąteczny i pogodny nastrój tutejszej ludności. Z jej pomocą dodzwoniliśmy się do MKS, skąd szybko przysłano dwie dyżurujące dla potrzeb strajkujących taksówki.

Jakieś dwieście metrów przed stoczną czekał na nas na ulicy Geremek, który poradził nam wysiąść i wejść na teren stoczni pieszo. Nie chciał, by nas wzięto za przedstawicieli władzy i potraktowano podobnie jak wicepremiera [Mieczysława] Jagielskiego poprzedniego dnia. Chodziło o jego pierwsze wejście, kiedy spotkał go nieufny, wręcz wrogi tłum. Walono pięściami po szybach samochodu i wznoszono nieprzyjazne okrzyki.

Za bramą rozpoczęliśmy nowy tryb życia – tydzień najbardziej intensywnego i chyba najbardziej interesującego doświadczenia. Życia w nadziei i zagrożeniu. Nadziei na wielką przemianę, decydującej o kierunku naszego działania, o rozmowach i treści naszej pracy. W zagrożeniu wyczuwalnym, lecz rzadko poruszonym w rozmowach. Temat ten powracał najczęściej dopiero w chwilach relaksu – podczas posiłków lub nocnych spacerów do miejsca noclegowego.

Na przykład gdy któregoś wieczoru szliśmy spać do zakonu pallotynów, usłyszeliśmy pociąg towarowy. Wydawał odgłosy przypominające czołgi. Zapytałem Bronka: „Jak myślisz – piętnaście lat?”. Bronek był bardziej pesymistyczny – jak klasyczny łacinnik powiedział: „*Capita*” (czyli „czapa”). To był zresztą fatalny wieczór. Naprzeciwko mnie siedział wojewoda gdański prof. Jerzy Kołodziejski. Gdy jakiś urzędnik podszedł do niego i coś cicho powiedział, Kołodziejski zbladł i natychmiast sięgnął do kieszeni po lekarstwo (chyba nitroglicerynę, bo sercowy).

Natychmiast po przyjeździe do stoczni wpadliśmy w wir pracy. Nie było czasu na spokojne zapoznanie się z członkami prezydium MKS, na jakieś pełniejsze poinformowanie nas o sytuacji w stoczni czy na Wybrzeżu.

Przedstawiono nas tylko napotkanym gospodarzom. Zaraz jednak poszliśmy do znajdującego się w dalszej części stoczni budynku i tam zaczęliśmy zastanawiać się nad rozwinięciem i uzasadnieniem pierwszego postulatu strajkujących – powołania wolnych związków zawodowych. Pośpiech wynikał stąd, że już wieczorem tego dnia (niedziela 24 sierpnia) nasze propozycje miały być rozważane na posiedzeniu prezydium z naszym udziałem⁶.

Z różnych jednak względów nie pracowaliśmy jeszcze wówczas efektywnie. Przeniesienie się z Warszawy do Gdańska to wejście w inny świat. Przyjechalśmy z ogromną ilością pytań, wątpliwości. Osobiście byłem trochę rozczarowany tym, że nasi pierwsi wystawnicy, Tadeusz i Bronek, dobrze już rozumiejący osobliwości tego innego świata, poddali się jakoś naporowi spraw i gonitwie, wyraźnie nie mając czasu na szersze wprowadzenie nas w ten świat. Może wiązało się to z ich wrodzoną małomównością (obaj nie należą do gawędziarzy), a może po prostu uznali, że ich słowa nie są w stanie zastąpić obserwacji. Ale w tych warunkach tym bardziej musieliśmy godzić naszą gotowość do pracy z obserwacją otaczającego nas mikroświata, by same mu wyrobić sobie ogólniejszy obraz o nastroju wśród strajkujących, o ich nastawieniu, o sposobie kierowania strajkiem czy funkcjonowania służb pomocniczych. Do Warszawy nie dochodziły wcześniej prawie żadne tego typu wiadomości. A przecież również od rozumienia tych właśnie spraw zależała nasza zdolność do odgadywania intencji naszych mocodawców.

W chwili podjęcia pracy wiedzieliśmy, że żądanie wolnych związków zawodowych jest postulatem kluczowym. Nie sądziliśmy jednak, że aż tak bardzo usunie ono w cień wszystkie pozostałe. Po drugie, w chwili przyjazdu wiara w możliwość powstania wolnych związków zawodowych – moja z całą pewnością, a prawdopodobnie prawie wszystkich członków komisji – była

⁶ Tadeusz Kowalik nie wspomina tu w ogóle o powołaniu przy MKS oficjalnej komisji ekspertów. W „Zeszytach Literackich” pisał na ten temat: „Oczywiście [w Warszawie] nie myśleliśmy o roli ekspertów. Bo też ekspertami w ścisłym słowa tego znaczeniu nie byliśmy. Nie byliśmy »komisją ekspertów«, jak nas nazywano, lecz raczej grupą doradców pomagających w sformułowaniu porozumienia gdańskiego. Byliśmy, jak ktoś napisał, doradcami w sytuacji, gdy nie ma mądrych. Mam wrażenie, że na wybór wyrażenia »eksperci« miał pewien wpływ mit nie tyle samej wiedzy, co kompetentnej i fachowej ekspertyzy, powszechny wśród strajkujących, a przede wszystkim cechujący Wałęsę. W tym też duchu został sformułowany komunikat MKS z 24 sierpnia o powołaniu i składzie komisji ekspertów oraz o posiedzeniu Prezydium z ich udziałem. Wymieniając specjalności reprezentowane przez siedmiuosobowy zespół, pominięto historię i filozofię (Geremek i Cywiński), wyeksponowano natomiast prawo. Było to o tyle prawdziwe, że co najmniej dwóch (Mazowiecki i ja), a może nawet trzech (Wielowiejski?) ukończyło studia prawnicze. Żaden z nas jednak od długiego czasu nie był prawnikiem praktykującym. Na wyrost też napisano, że komisja pozostaje »w stałym kontakcie z innymi specjalistami w całym kraju«, choć trzeba przyznać, że sympatie do strajkujących stoczniovców były w całym kraju tak wielkie, że każde życzenie MKS, a nawet jego zespołu ekspertów, spotkałoby się w wielu środowiskach specjalistów z pozytywną odpowiedzią” (T. Kowalik, *Próba kompromisu...*, s. 99). (red.)

słaba⁷. Gdy podniosłem tę sprawę wobec Geremka i Mazowieckiego⁸, pierwszy poradził nowo przybyłym, by porozmawiali ze strajkującymi robotnikami i na tej podstawie wyrobili sobie pogląd, a drugi podkreślił, że rola ekspertów nie może polegać na dążeniu do zmiany treści żądań strajkujących⁹.

Istotnie, rozmowy z robotnikami, a także uczestnictwo w obradach prezydium MKS w niedzielę wieczorem, uprzytomniły nam, że determinacja robotników w tej sprawie jest tak wielka, iż wyklucza zasadnicze odstępowanie. Należałem jednak do tych, którzy uważali, iż eksperci muszą być przygotowani na mniej przychylny rozwój sytuacji i mieć w zanadru łagodniejsze warianty tego postulatu. Zorganizowane, jak sądziliśmy, dyskretnie w poniedziałek 25 sierpnia w jednym z odleglejszych budynków stoczni (w starej opuszczonej stołówce) zebranie większości członków prezydium i ekspertów było poświęcone właśnie tej kwestii – czy MKS dopuszcza myśl poprzestania na radykalnej przebudowie starych związków zawodowych. Podstawą dyskusji był przygotowany przez nas krótki tekst. Został on kategorycznie odrzucony przez wszystkich zabierających głos delegatów. Dodam, że w ciągu całego tygodnia rokowań nie spotkałem ani jednego strajkującego lub delegata, który byłby skłonny do ustępstw w tej sprawie.

Chociaż i wcześniej dyskutowaliśmy treść przyszłego porozumienia, a nawet przygotowaliśmy pewne wstępne teksty, do właściwej pracy przystąpiliśmy dopiero we wtorek 26 sierpnia, kiedy to na zakończenie spotkania z komisją rządową powołano tak zwaną grupę roboczą dla przygotowania podstawy do dalszych negocjacji.

Początkowo udział nasz wzbudził po stronie rządowej pewną nieufność, choć wiedzieliśmy, że wojewoda Kołodziejcki przyrzekł ułatwienia w naszej podróży do Gdańska. Wyrazem tej nieufności był spór o naszą obecność na sali podczas negocjacji. Podczas rozmów przygotowawczych wicepremier Jagielski (który znał

mnie dobrze sprzed ćwierćwiecza z Instytutu Nauk Społecznych przy KC PZPR) miał powiedzieć do naszych przedstawicieli (chodziło, zdaje się, o Lisa i Bądkowskiego), że ponieważ wśród ekspertów są osoby związane z KOR, nawet nasza bierna obecność przy negocjacjach stawiałaby go w trudnej sytuacji. Wałęsa jednak powiedział, że eksperci muszą być na sali. My byliśmy skłonni do ustępstw i ostatecznie Mazowiecki zaproponował, żebyśmy tylko my dwaj (on i ja) przebywali na sali w trakcie negocjacji, a reszta ekspertów znajdowała się w pomieszczeniach sąsiednich. Tak też zaczęliśmy, ale atmosfera poprawiała się szybko i później już tego nie przestrzegaliśmy. Jeszcze przed rozpoczęciem obrad przedstawiciel wojewody przyszedł do Mazowieckiego, by wyrazić zgodę na obecność Jadwigi Staniszkis. Później weszli także pozostali.

Po wejściu delegacji rządowej na salę i powitaniach Jagielski powiedział głośno: „Widzę tu obecnych panów ekspertów, to i ja poproszę swoich. Proszę poprosić w moim imieniu profesorów [Józefa] Pajestkę i [Antoniego] Rajkiewicza”. Po kilkunastu minutach zjawili się obaj wraz z profesorem prawa pracy Uniwersytetu Gdańskiego Czesławem Jackowiakiem.

Pod koniec obrad Jagielski zaproponował głośno – co zostało przyjęte przez Wałęsę – utworzenie grupy roboczej w składzie po trzech członków komisji rządowej i członków prezydium MKS oraz po trzech ekspertów z każdej ze stron.

Nie pamiętam, czy było to jakoś sformalizowane, ale za przewodniczącego grupy roboczej strony rządowej uchodził wojewoda Kołodziejcki, a naszej – Andrzej Gwiazda. Pozostałymi delegatami MKS byli Bogdan Lis oraz Zdzisław Kobyliński. Mazowiecki wyznaczył do grupy roboczej siebie i mnie oraz zaproponował to chyba Geremkowi. W tym jednak momencie Jadwiga Staniszkis zażądała włączenia jej do grupy roboczej, powołując się na swoje – jako socjologa – zainteresowania oraz

⁷ Autor wyjaśnia w innym, nieukończonym tekście, pisany na początku lat osiemdziesiątych: „Chyba wszyscy doradcy uważali to hasło za mało realne. W całym obozie radzieckim nawet pluralizm partyjny (przy zachowaniu oczywiście dominującej roli komunistów) był mniej rygorystycznie traktowany niż związkowy. We wszystkich krajach obozu (także w Jugosławii w czasie schizmy) związki zawodowe były podporządkowane jednej centrali i kontrolowane przez partię rządzącą. Związki zawodowe wolne nie tylko od państwa, lecz również od partii – takie wyzwanie było czymś więcej niż słynne wyzwanie Marcina Lutra wobec kościoła”. (red.)

⁸ „Gdy zaczynaliśmy pracę w Gdańsku, zaznaczyła się wyraźna różnica między Tadeuszem i Bronkiem, którzy mieli o całe dwa dni dłuższy staż, a nami, przybyłymi dopiero w niedzielę. Obserwowałem wyraźny przyływ radykalizmu nie tylko u Bronka, czego może bym się spodziewał, lecz również u Tadeusza, znanego raczej jako człowiek pełen rozważli, umiaru i odpowiedzialności” (*ibidem*). (red.)

⁹ „Wymiana zdań na temat zasadniczy przekształciła się szybko w dyskusję na temat naszej roli. Przekonało nas stanowisko Bronka i Tadeusza – my jesteśmy tu po to, żeby dawać racjonalizację formułowanych przez Komitet Strajkowy żądań. Żądanie wolnych związków zawodowych zostało już wysunięte i my możemy je tylko rozwinąć” (*ibidem*). (red.)

kompetencje. Sytuacja była kłopotliwa, bo Mazowiecki przystał na to, zdaje się, dopiero wówczas, gdy Geremek zaproponował, by Staniszkis weszła na jego miejsce. Nie przypuszczam, żeby Mazowiecki kierował się w tym momencie niechęcią do Staniszkis. Sam jednak raczej powolny i milczący, starał się dobierać do tej grupy takich współpracowników, którzy potrafią milczeć, gdy trzeba. Pełna temperamentu, uchodząca za „pistoletową” Jądwiga byłaby tej cnoty zaprzeczeniem.

Odnajmy tu jeszcze inne osoby czynne w stoczni w podobnym charakterze. Chyba następnego dnia po powołaniu komisji ekspertów dołączyli do niej: socjolog, autor znanych esejów o humanizmie socjalistycznym Jan Strzelecki oraz profesor prawa Uniwersytetu Warszawskiego Jerzy Stembrowicz (obaj, podobnie jak Wielowieyski, członkowie Konwersatorium DiP). Ponieważ Mazowiecki nie chciał robić precedensu kooptacji, obaj funkcjonowali jako konsultanci komisji. Stembrowicz brał żywy udział w opracowaniu punktu trzeciego (cenzura). Jego pomysłu i redakcji była przyjęta ostatecznie w porozumieniu gdańskim zasada jawności decyzji i dokumentów urzędów państwowych. Natomiast Leszek Kubicki, który już wcześniej wyrażał zasadnicze wątpliwości na temat naszego statusu, oświadczył, że przyjechał w przekonaniu, iż będzie rzeczoznawcą obu stron – zarówno strajkujących, jak i strony rządowej, a ponieważ jest inaczej, nie przyjmuje udziału w komisji i wyjeżdża.

Prezydium MKS korzystało też z pomocy dwóch miejscowych prawników: Lecha Kaczyńskiego oraz Jacka Taylora (przygotowali materiały pomocnicze do postulatu czwartego dotyczącego więźniów politycznych). Pod koniec tygodnia przybyli do stoczni dwaj prawnicy warszawscy: znany obrońca Jan Olszewski i profesor prawa Uniwersytetu Warszawskiego Andrzej Stelmachowski.

Negocjacje

Pierwsze posiedzenie grupy roboczej odbyło się jeszcze tego samego dnia (we wtorek). Miało ono na celu wstępną wymianę poglądów, a zwłaszcza zestawienie problemów, które powinny być zawarte w porozumieniu.

W dyskusji ujawnił się następujący podział. Przedstawiciele MKS i ich eksperci kładli nacisk na powołanie „niezależnych” związków zawodowych (już wówczas zaczęliśmy używać tego przymiotnika, by nie stwarzać wrażenia pokrewieństwa z Wolnymi Związkami Zawo-

dowymi na Zachodzie). To jedyny sposób rozwiązania kryzysu – stwierdzali. Po tej decyzji, powziętej podczas strajku, przyszłyby później prawne dopasowania.

Strona rządowa natomiast próbowała nas przekonać, że strajk powinien się zakończyć publicznym zobowiązaniem stron do zapewnienia demokracji w wyborach delegatów na kongres związkowców oraz dyskusji nad przyszłym kształtem związków zawodowych. Kongres miałby podjąć wiążące decyzje. Pewną gwarancją tej demokratyzacji miałyby być rozwiązanie Wojewódzkiej Rady Związków Zawodowych Wybrzeża Gdańskiego i przekazanie jej funkcji MKS-owi.

Nie mam niestety żadnych notatek z przebiegu tej dyskusji. Nie polegam jednak tylko na pamięci, gdyż w moich papierach zachowały się z tego okresu dwie kartki z tezami odzwierciedlającymi powyższe dwa stanowiska. Na jednej mowa jest o kompromitacji dotychczasowych związków i konieczności powołania nowych i niezależnych, o sytuacji prawnej przyszłych związków, o prawie do strajku i konieczności zmiany kodeksu pracy, o przyszłych wyborach i sposobie przekształcenia MKS w Komitet Założycielski, wreszcie o związku inteligencji z robotnikami przez powołanie Ośrodka Prac Społeczno-Zawodowych.

Na drugiej zaś kartce trzy kluczowe punkty przedstawione przez delegację rządową brzmiały następująco:

- zawieszają się Wojewódzką Radę Związków Zawodowych (w Gdańsku) aż do kongresu, a jej funkcje przejmuje Międzyzakładowy Komitet Strajkowy, który przygotowuje wybory delegatów na kongres;
- podczas kongresu i w zależności od jego wyników MKS podejmuje decyzję o rozwiązaniu się lub przekształceniu w niezależny związek zawodowy;
- w okresie wyborczym przedmiotem dyskusji jest możliwość zachowania odrębności ruchu zawodowego na Wybrzeżu na zasadach eksperymentu terytorialnego.

Podczas dyskusji odnosiłem wrażenie, że przedstawiciele strony rządowej sami nie bardzo wierzyli w realność swych propozycji. Raczej wydawało mi się, że przedstawiali stanowisko „góry” z obowiązku. Przy okazji natomiast chcieli poznać poglądy naszej strony. Wydawało mi się też, że szybko uwierzyli naszej argumentacji, że stanowisko robotników w sprawie powołania nowych związków zawodowych jest tak kategoryczne, iż nie ma się co łudzić, że półśrodki ich zadowolą. W tej pierwszej dyskusji czynni byli głównie eksperci

obu stron. Częściowo mogło to wynikać stąd, że pochodzili w większości z tego samego środowiska stołecznej inteligencji, znali się więc osobiście lub o sobie słyszeli, a częściowo stąd, że punkt ciężkości dyskusji przeniósł się na sprawy prawne, czasem proceduralne. Przewodził w tym zwłaszcza prof. Jackowiak, który wydawał się mnożyć trudności proceduralne wokół tego postulatu MKS. Było w tym zapewne mniej taktyki niż skrzywienia profesjonalnego. Prawnikowi na pewno musiało się wydawać, że poprawienie starych związków zawodowych jest łatwiejsze niż tworzenie nowych.

Po wtorkowym odprężeniu środa była dniem kryzysowym. Nie doszło do spodziewanej kolejnej rundy negocjacji. Zamiast tego wicepremier Jagielski starał się doprowadzić do spotkania w siedzibie wojewody z paroma przedstawicielami MKS. Oczywiście bez ekspertów. Wałęsa i prezydium odrzucili tę propozycję. Po paru godzinach dochodzi więc – jak gdyby w zastępstwie – do kolejnego spotkania grupy roboczej w stoczni. Dyskusja z miejsca przybrała charakter polityczny i toczyła się w znacznie mniej pogodnej, chwilami wręcz nieprzyjemnej atmosferze.

Pierwszym i głównym mówcą był wojewoda Kołodziejski. Powiedział na wstępie, że przed południem nie doszło do spotkania, gdyż delegacja rządowa chciała uzyskać pewne wstępne wyjaśnienia w wąskim gronie. Następnie przedstawił dezyderaty strony rządowej. Przypominając o rozbiciu ruchu zawodowego w świecie, czyli istnieniu różnych central związkowych, domagał się jednolitej reprezentacji polskich związkowców za granicą. Innym dezyderatem było wyraźne ograniczenie terenu działania nowych związków zawodowych do Wybrzeża. Przede wszystkim jednak skupił uwagę na konieczności jasnej i jednoznacznej deklaracji politycznej MKS o „nienaruszalności ustroju oraz kierowniczej roli partii”, a także na konieczności określenia ideowego charakteru przyszłych związków zawodowych. Kołodziejski twierdził, że deklaracja tego typu jest warunkiem uzyskania „centralnej akceptacji” i że „musimy się wylegitymować jakąś formułą wobec układu zewnętrznego”.

Wszyscy obecni członkowie delegacji rządowej oraz jej eksperci argumentowali na różne sposoby na rzecz owej deklaracji politycznej. Rajkiewicz dowodził, iż taka deklaracja przeciwdziałałaby propagandzie zagranicznej, która przedstawia strajk jako próbę zasadni-

czej zmiany ustroju. Pajestka zauważył, że „wszystko, co idzie od nas na zachód, powraca następnie do nas ze wschodu”. Przestrzegał też, że jeśli się chce od razu dużo połączyć, to można się udławić.

Rzeczywistymi partnerami dyskusji w sprawie deklaracji politycznej byli tym razem delegaci strajkujących, zwłaszcza Gwiazda i Kobyliński. Wprawdzie żaden z nich nie kwestionował możliwości umieszczenia deklaracji w porozumieniu, obaj jednak przekonywająco mówili o kryjących się za nią pułapkach.

Gwiazda stwierdził, że kierownicza rola partii oznacza w praktyce monopol na decyzje gospodarcze, które są wyjęte spod krytyki. Dlatego dużo jest szkodliwej kampanijności. „Jak kombinaty, to wszyscy za kombinatami, jak fabryki domów, to wszyscy za fabrykami domów”. U źródeł tej kampanijności leży jego zdaniem nomenklatura wykluczająca jakąkolwiek kontestację polityki centrum. Ten sam temat poruszył Kobyliński. Mówił: „Nie chcemy ataku na partię ani ingerowania w jej sprawy wewnętrzne. Chodzi jednak o to, żeby przynajmniej na niskim szczeblu kandydaci na stanowiska kierownicze nie byli przywożeni w teczce, lecz żeby o nominacji decydowała fachowość i uczciwość”. Zapewniał też, że po zakończeniu strajku i załatwieniu spraw, które go wywołały, ludzie chętnie wrócą do pracy.

W tym miejscu wojewoda Kołodziejski powiedział, że ludzi pracy to on się nie obawia, bo ich dobrze zna, co zabrzmiało jak próba przeciwstawienia robotników inteligentom, a konkretniej strajkujących – osobom wspomagającym, zapewne głównie ekspertom.

W trójce ekspertów MKS nastąpiło podczas tej debaty początkowo niedostrzeżone lub zlekceważone rozbicie. Mazowiecki i ja raczej milczeliśmy, uważając, że zwłaszcza w tego typu sprawach powinniśmy dać zdecydowane pierwszeństwo rzeczywistym przedstawicielom robotników. Jedyną osobą spośród ekspertów, która zabierała głos parokrotnie, była Jadwiga Staniszkis. Wiele jednak przyczyn złożyło się na to, że do jej komentarzy negocjujących potrzebę zawarcia deklaracji politycznej w porozumieniu nie przywiązywaliśmy większej wagi. Nie zwróciłem też uwagi na jej wcześniejsze wyjście z posiedzenia. Pryncypialny charakter obu tych jej kroków uświadomiłem sobie dopiero później, gdy zobaczyłem ją na dziedzińcu stoczni, kiedy oświadczyła dziennikarzom, iż na znak protestu przeciwko zgodzie na znaną formułę o kierowniczej roli partii opuściła grupę roboczą

i nie ma zamiaru brać udziału w jej dalszych pracach. Nie pomnę jednak, czy było to przed, czy po zebraniu prezydium.

Jeszcze tego wieczoru odbyło się zebranie prezydium MKS wraz z ekspertami, na którym zreferowaliśmy przebieg spotkania grupy roboczej, a zwłaszcza dezyderaty komisji rządowej przedstawione przez wojewodę Kołodziejskiego. Głównym referentem był Mazowiecki. Nie pamiętam (moje notatki nic o tym nie mówią), czy Jadwiga Staniszkis brała udział w tym zebraniu. Pamiętam jednak, i to znajduje odbicie w notatkach, że ku memu zaskoczeniu sprawa główna nie wzbudziła u zebranych większego zainteresowania. Znacznie większe ożywienie i różnice zdań wywołała inna, drobna stosunkowo sprawa poruszona również przez Mazowieckiego – sprawa felietonu w najnowszym biuletynie strajkujących, krytykującego sposób negocjacji przez Jagielskiego, o czym piszę później.

Niezależnie jednak od przebiegu dyskusji wyszliśmy z niej w przekonaniu, iż prezydium zleciło nam opracowanie tekstu deklaracji politycznej, możliwej do zaakceptowania przez obie strony. Tekst ten powstał w gronie ekspertów MKS. Głównym autorem był Mazowiecki. Jego zasługą był pomysł symetrycznej formuły politycznej, nakładającej zobowiązania na obie układające się strony. Po zobowiązaniu MKS, że nowy związek zawodowy będzie przestrzegał konstytucji, uzna zasadę społecznej własności jako podstawę ustrojową oraz nie będzie kwestionował kierowniczej roli partii w państwie i sojuszów międzynarodowych, następowała seria zobowiązań ze strony władzy: zagwarantowania pełnej niezależności i samorządności nowego związku oraz warunków umożliwiających pełnienie jego podstawowych funkcji, a także odpowiedniej zmiany ustawodawstwa.

W czwartek rano odbyło się kolejne zebranie prezydium MKS z udziałem ekspertów, poświęcone przygotowanej przez nas propozycji na temat pierwszego postulatu. Projekt nasz, który odczytał wówczas zebrany Mazowiecki, nieznacznie tylko odbiegał od ostatecznego tekstu porozumienia. Używaliśmy już wówczas dwuprzymiotnikowej nazwy związku („niezależne” i „samorządne” – pierwszy termin pochodził, jak mi się wydaje, od Mazowieckiego, a drugi ode mnie), chociaż posługiwaliśmy się też mniej obowiązującym określeniem „nowe” i nie przestrzegaliśmy kolejności, by nie traktowano jeszcze tego jako

wiążącej propozycji nazwy. Z większych zmian, które później wprowadzono, było zaproponowane przez jednego z ekspertów rządowych (Pajestkę) zobowiązanie, że związek nie będzie odgrywał roli partii politycznej.

I znów powtórzyła się sytuacja z dnia poprzedniego. Tekst nie wywołał opozycji ze strony prezydium. Jedyną merytoryczną zmianę zaproponował Florian Wiśniewski, by zrezygnować z Wybrzeża jako terenu działania nowych związków zawodowych i wprowadzić słowa „w całym kraju”. Pamiętam, że na tę propozycję zareagowałem zbyt ostro, za co go natychmiast przeprosiłem. Nikt inny jednak nie poparł Wiśniewskiego i wniosek upadł.

Nieco żywiej dyskutowano propozycję Wałęsy, żeby już teraz odczytać projekt na sali plenum MKS. Mazowiecki radził, by tymczasem jeszcze tego nie czynić, gdyż jeśli tekst „pójdzie w świat” za pośrednictwem licznych korespondentów zagranicznych, utrudni to rozmowy z delegacją rządową. Wałęsa zgodził się z tą uwagą, tak też rozumiałem milczenie pozostałych członków prezydium. Być może jednak owa zgoda była dość pozorna, gdyż później sprawa ta powracała jeszcze niejednokrotnie.

Zresztą już tego poranka mieliśmy przedsmak niepokojów wokół braku informacji. Wracając z Mazowieckim i Cywińskim do stoczni po nocy przespanej u pallotników, zaczęliśmy rozmowę z pewnym starszym stoczniowcem, uczestnikiem demonstracji w grudniu 1970. Powiedział nam, że ludzie są zaniepokojeni nikłością informacji, dlatego stają się podatni na najróżniejsze plotki. Zgadaliśmy się oczywiście z nim. Ale byliśmy w trudnej sytuacji. Można było się na początku nie zgodzić na pracę w grupach roboczych. Należało bowiem przypuszczać, że będą one, w pewnych przynajmniej ramach, używane jako substytut rozmów plenarnych odbywających się pod kontrolą publiczną. Jeśli się jednak na to zgodzono, należało respektować niewiązący charakter prac w grupach roboczych, przygotowujących tylko projekty. Właśnie dlatego, że toczyły się w małym gronie, bez udziału dziennikarzy, można było bardziej liczyć na merytoryczną dyskusję. Inaczej mówiono by „do mikrofonu”. Nawet eksperci przemawialiby jak politycy, bardziej zwracając uwagę na efekt publiczny niż na meritum sprawy.

Postanowiliśmy jednak z Cywińskim choć trochę przyczynić się do lepszego informowania. Zaraz po tej

rozmowie napisaliśmy komunikat o środowym spotkaniu grupy roboczej, wymieniając sprawy omawiane. Ale punkt najważniejszy, który później zaczął budzić wiele namietności, został streszczony w następującym ogólniku: „Stosunek nowych związków zawodowych do założeń ustrojowych”. Tyle zaś to wiedzieli wszyscy, gdyż była o tym mowa, właśnie w formie ogólnej, podczas wtorkowych negocjacji plenarnych.

Podchwyciliśmy też projekt stoczniozca, „żeby strajkujących jakoś zająć, na przykład odpowiedziami na ankietę”. Szybko opracowaliśmy projekt ankiety na temat kształtu przyszłych związków zawodowych (jaką proponują nazwę, czym by się miały głównie zajmować, jaką by miały strukturę organizacyjną). Mazowiecki jednak kategorycznie nam to odradził. Nie pamiętam jego głównego argumentu. Myślę jednak, iż chodziło mu głównie o możliwość podrzucenia nam sfalszowanych odpowiedzi z zewnątrz. Nie mogliśmy odmówić mu racji. Prawie na oczach ginęły nam różne teksty, dlatego niektórzy z nas, np. ja, podczas pracy trzymali pod stopą niepotrzebne w danej chwili dokumenty.

Powróćmy do pracy ekspertów. Na posiedzeniu prezydium z udziałem ekspertów, które odbyło się w czwartek rano, przed zapowiedzianymi negocjacjami, ustalono, że negocjacje plenarne będą dotyczyły dalszych postulatów (we wtorek skupiono się na pierwszym), natomiast grupa robocza będzie nadal pracowała nad postulatami pierwszym i drugim (nowy związek i prawo do strajku).

Grupa robocza – w składzie: wojewoda Kołodziej-ski, jego współpracownik Tadeusz Bruski, Czesław Jackowiak, Leszek Starosta (docent prawa Uniwersytetu Gdańskiego) i ktoś jeszcze ze strony rządowej oraz Gwiazda, Lis, Kobyliński, Mazowiecki, Geremek i ja ze strony MKS – zebrała się po południu. Prawie nie powracano do postulatu pierwszego, dyskutowano natomiast nad prawem do strajku i cenzurą.

Przepisałem w swym brulionie przedstawione przez stronę rządową na piśmie stanowisko w sprawie strajku. „Prawo do strajku powinno zostać zagwarantowane w przygotowywanej ustawie o związkach zawodowych. Ustawa powinna określić warunki proklamowania i organizowania strajku, metody rozstrzygania spornych spraw i odpowiedzialności za naruszenie prawa”. Szybko się zgodzono na stwierdzenie, że w stosunku do uczestników strajku nie mogą mieć zastosowania nadużywane

dotychczas artykuły 52, 64 i 65 obowiązującego kodeksu pracy. Spór dotyczył natomiast dwu rzeczy: gwarancji dla osób wspomagających strajk oraz okresu przejściowego między podpisaniem porozumienia i wejściem w życie przyszłej ustawy. Kompromis polegał na dodaniu jednego zdania rozstrzygającego obie sprawy: „Do czasu ustawy rząd gwarantuje strajkującym i osobom wspomagającym bezpieczeństwo osobiste i utrzymanie dotychczasowych warunków pracy”. Nie zgodziliśmy się natomiast na dodanie, iż wyjątek stanowią czyny naruszające przepisy prawa – Gwiazda i Lis kwestionowali charakter niektórych przepisów, a zwłaszcza ich dowloną, ich zdaniem często naciąganą interpretację.

Ani notatki, ani pamięć nie pozwalają mi odtworzyć okoliczności, w których – wbrew pierwotnym ustaleniom – przeszliśmy w dalszej części owego spotkania do dyskusji nad postulatem trzecim (cenzura). Być może strona rządowa nalegała już w tej fazie na przyspieszenie prac albo też wcześniejsze ustalenia zostały zmodyfikowane pod koniec negocjacji plenarnych. Nie potrafię też odtworzyć, jak to się stało, że sprawy cenzury znalazły się „na warsztacie” grupy roboczej, która została powołana do opracowania propozycji porozumienia w sprawie postulatu pierwszego (i może w domyśle ściśle z nimi związanego postulatu drugiego – prawa do strajku). Możliwe, iż wcześniejszy podział zadań został zmieniony niejako automatycznie. Wzięto pod uwagę doświadczenie dotychczasowej grupy roboczej i uznano, że zmiana składu nie ułatwiłaby, lecz utrudniła dalszą pracę. Zmiany w składzie grupy roboczej były niewielkie. Pajestka i Rajkiewicz zatrzymani zostali w Warszawie, zajęci, zdaje się, rozmowami na temat negocjacji. Dołączono więc jeszcze jednego prawnika (L. Starostę). Po naszej stronie coraz mniej był aktywny (i później chyba się wyłączył z prac w tej grupie) Kobyliński. Wyłączyli się też sporo Gwiazda i Lis. Dołączył natomiast główny referent z ramienia prezydium podczas negocjacji plenarnych w sprawie cenzury pisarz Lech Bądkowski oraz prawnik Jerzy Stembrowicz.

Strona rządowa zaskoczyła nas tym razem, bo w odniesieniu do obu postulatów (drugiego i trzeciego) przyszła z przygotowaną na piśmie propozycją.

Ujęcie spraw cenzury był wybitnie niezadowolające. Być może było dziełem niezorientowanego jeszcze, nowego członka grupy roboczej, Starosty. Uderzała przede wszystkim próba ustawowego utrwalenia poglądu, że

cenzura powołana jest do powstrzymywania publikacji „treści wrogich socjalizmowi”. Wystarczyła jednak moja ironiczna uwaga, że teraz trzeba określić, kto będzie orzekał, że dane poglądy są wrogiem, by strona rządu odstąpiła od swego projektu. W wyniku dyskusji na tym i następnym posiedzeniu wstępna propozycja rozrosła się z jednego do czterech punktów. Na wniosek przedstawicieli MKS i jego doradców sprecyzowano zadania cenzury oraz dodano następujące postulaty: termin trzech miesięcy na wniesienie projektu ustawy przez rząd do sejmu, zaskarżalność cenzury do sądu administracyjnego, zobowiązanie rządu do transmisji mszy, zapewnienie pluralizmu poglądów dopuszczalnych w środkach masowego przekazu, poddanie ich społecznej kontroli oraz zasadę jawności dokumentów publicznych.

W świetle późniejszych doświadczeń nad projektem ustawy o cenzurze uważam, że w jednym punkcie nie zdaliśmy egzaminu. Zachowanie przywileju cenzury do strzeżenia „ważnych interesów międzynarodowych państwa” było niebezpieczne. Dawało władzom prawo do arbitralnego decydowania, co jest interesem międzynarodowym. Autorzy i obrońcy później powstałego społecznego projektu ustawy o cenzurze słusznie wskazywali, że w przeszłości nie wolno było krytykować szacha Iranu, ponieważ rząd Polski utrzymywał z nim dobre stosunki.

W piątek odżyła niespodziewanie dyskusja nad postulatem pierwszym. Powtórzyła się sytuacja ze środy. Delegacja rządowa nie przybyła na przewidziane na 12.00 rozmowy plenarne, zawiadamiając nas, że nie jest do nich jeszcze przygotowana. W zamian za to zaproponowała spotkanie grupy roboczej. Bogdan Lis skomentował to na dużej sali MKS tak: „Komisja rządowa robi nas w konia”. Podobnie mówił o tym Gwiazda. Gdy zaś o godzinie 13.00 doszło do posiedzenia grupy roboczej, wojewoda Kołodziejski z miejsca narzucił przedmiot debaty. Powiedział, że pozostały jeszcze do wyjaśnienia pewne sprawy związane z postulatem pierwszym. Zaproponował, by omówił je prof. Rajkiewicz. Można więc z tego wnosić, że w długim i bardzo osobistym przemówieniu Rajkiewicza znalazły się punkty uzgodnione wcześniej w łonie komisji rządowej lub jej części. Myślę, że trzy sprawy należały do tej kategorii.

1) Złagodzenie negatywnej oceny dotychczasowych związków zawodowych. Ostrzejsze słowa o ich kompro-

mitacji zostały więc zastąpione twierdzeniem, że ich działalność „nie spełniła nadziei i oczekiwań pracowników”.

2) Dążenie do zmniejszenia wrażenia dychotomicznego wyboru między starymi i nowymi związkami zawodowymi przez stworzenie wielu możliwości. Dlatego w czwartym punkcie pierwszego postulatu (niezbyt zresztą w zgodzie z duchem pierwszych trzech) mówi się o możliwości przekształcenia komitetów strajkowych „w zakładowe organa reprezentacji pracowniczych, takie jak komitety robotnicze, komitety pracownicze, rady robotnicze bądź komitety założycielskie nowych samorządnych związków zawodowych”. Pozostawiono też do wyboru, czy komitet założycielski zechce stworzyć jeden związek, czy też nowe zrzeszenie, ograniczone jednak do Wybrzeża.

3) Trzecią sprawą była sprawa sposobu rejestracji nowych związków zawodowych. Wtedy to Rajkiewicz przywiózł z Warszawy wstępną zgodę na rejestrację w sądzie. Nasza strona zabiegała początkowo, by był to sąd administracyjny, do którego praktyk (jako do nowej instytucji) były wśród strajkujących mniejsze zastrzeżenia. Zgodziliśmy się jednak ostatecznie na sąd powszechny.

Ogólnie odnosiło się wrażenie, że jesteśmy bliscy zgody władz na nowe związki zawodowe. Troską komisji rządowej było teraz tylko zmniejszenie wrażenia zwycięstwa odniesionego przez strajkujących. Chodziło zwłaszcza o zaakceptowanie poglądu, że przygotowane porozumienie jest zwycięstwem pewnej polityki, w której nie ma zwycięzców i pokonanych (wtedy właśnie padało określenie po raz pierwszy).

Sobota była ostatnim dniem pracy grupy roboczej. Pracowaliśmy zarówno przed południem, jak i po południu nad czterema pierwszymi postulatami o charakterze politycznym. Nie pamiętam niestety nic ani nie mam też w notatkach o dyskusji w sprawie więźniów politycznych i represjach (zapewne wciągnęło mnie bardziej to, co się działo na sali ogólnej i na terenie stoczni niż w grupie roboczej). Odnótowałem tylko, że po południu zjawił się po stronie rządowej profesor i poseł w jednej osobie Adam Łopatka, który wcześniej brał udział w rokowaniach szczecińskich. Pamiętam też moment powołania (chyba w sobotę rano) nowej grupy roboczej dla opracowania postulatów socjalno-ekonomicznych. Spośród członków prezydium MKS najbardziej

czynni byli w niej Florian Wiśniewski i Alina Pieńkowska. Zdaje się, że przeszedł do niej również Zdzisław Kobylański. Zaś spośród naszych doradców najbardziej czynni byli w tej grupie roboczej Waldemar Kuczyński i Andrzej Wielowieyski, którzy zresztą już wcześniej opracowywali pierwsze projekty porozumienia w sprawach gospodarczych.

Głównym autorem tekstu w sprawie wyjścia z kryzysu gospodarczego i reformy gospodarczej (postulat szósty) był Waldemar Kuczyński. Postulaty zwiększenia zakresu dostępnej informacji oraz stworzenia możliwości szerokiego uczestnictwa w publicznej dyskusji nad reformą, a także w sprawie rolnictwa (trwałe perspektywy dla rolnictwa indywidualnego, zrównanie sektorów państwowego, spółdzielczego i indywidualnego w dostępie do środków produkcji, odrodzenie samorządu wiejskiego) nie budziły sporów i przyjęto je jako podsumowanie często wypowiedzianych opinii.

Inaczej miała się sprawa z postulatem samorządu robotniczego. Większość doradców z grupy Mazowieckiego byli to zwolennicy reformy gospodarczej opartej na decentralizacji i samorządzie, a obaj główni doradcy rządowi – Józef Pajestka i Antoni Rajkiewicz mieli może nie równie daleko idące, ale zbliżone poglądy. Ich zainteresowanie samorządem miało chyba swe główne źródło w wielkim rozczarowaniu do biurokracji gospodarczej, od lat obserwowanej przez obu z bliska. W niej też widzieli oni główną przeszkodę na drodze do reformy. Szukali więc oparcia u robotników, pragnąc ich pozyskać dla sprawy reformy opartej na samorządzie. Ze strony strajkujących pracowników i ich przedstawicieli nie było jednak żadnych skłonności do rozwijania samorządu. Składały się na to, jak sądzę, dwie przyczyny. Pierwsza to totalna kompromitacja dotychczas istniejących, a właściwie wegetujących, Konferencji Samorządu Robotniczego, z którymi ludzie często utożsamiali samo pojęcie samorządu robotniczego. Drugą była może jeszcze głębsza. Była to często spotykana u robotników niechęć do wszelkich instytucji oficjalnych, do polityki i do współdziałania z władzami nawet na najniższym szczeblu. Nawet dyrektora przedsiębiorstwa uważano powszechnie za reprezentanta władzy państwowej. Jeśli więc ostatecznie w porozumieniu znalazł się ustęp o żądaniu reformy gospodarczej opartej na zwiększonej

samodzielności przedsiębiorstw i rzeczywistym uczestnictwie samorządu robotniczego w zarządzaniu, to przez delegatów strajkujących uważano to za ustępstwo dla strony rządowej lub za daninę na rzecz własnych doradców.

Kierownicza rola partii i więźniowie polityczni

Powrócę jednak do piątku, który był pod wieloma względami krytycznym dniem, co odnotowali reporterzy. „Zarówno w gmachu K[omitetu] W[ojewódzkiego], jak i na terenie stoczni od rana atmosfera impasu. Nikt nie wie, kiedy zostaną wznowione rokowania ani czego się po nich można spodziewać. Ogólna niepewność i dezorientacja”¹⁰. W stoczni kwestia informacji jest jedną z przyczyn frustracji. Wielu strajkujących wie, że projekt porozumienia w sprawie związków zawodowych jest w zasadzie gotowy. Że posiadają go obydwie strony. Komisja rządowa otrzymała go w czwartek, ale nie była gotowa do publicznej na ten temat debaty. Najwidoczniej postanowiono najpierw przekonsultować tekst w Warszawie i dopiero po uzyskaniu akceptacji w kwestiach zasadniczych uczynić go przedmiotem rokowań. Ale to oznaczało, że znów odwleczono podanie tekstu do wiadomości publicznej. Fakt, że jedynym miejscem, gdzie się pracuje, jest pokój ekspertów, skupia uwagę i niechęć. Niech znów mówią reporterzy: „Czemu coraz więcej rozmów odbywa się w grupach i podkomisjach? Czyżby chciano »wykolegować« prezydium? Gwiazda wyjaśnia, że na małej sali obrad, bez transmisji, można pertraktować bez skrępowania, bez obawy, iż każde słowo o polskich sprawach wewnętrznych natychmiast rozejdzie się po świecie. Nie wszystkich to przekonuje”¹¹. Jest to nader delikatne przedstawienie narastającej frustracji wśród strajkujących.

Sprawa niedostatku informacji jest zresztą pochodną tego, że długie godziny upływają w przeświadczeniu, iż w stoczni nic się nie dzieje, a główna batalia o wolne związki zawodowe została przeniesiona na szczyty władzy. Podstawową przyczyną frustracji jest wielka niepewność co do ostatecznych wyników rokowań. Dodać do tego trzeba coraz to nowe ataki prasy krajowej i sąsiadów na siły antysocjalistyczne oraz mnóstwo alarmujących plotek, np. o przygotowywanym desancie

¹⁰ W. Giełżyński, L. Stefański, *Gdańsk – sierpień 1980*, Warszawa 1981, s. 164–165. (T.K.)

¹¹ *Ibidem*, s. 167.

na stoczną, zaciskającym się pierścieniu wojska i służb specjalnych wokół Gdańska.

Nie tylko plotki. Są także niepokojące informacje. Zwłaszcza te o powiększającej się liczbie aresztowanych, przede wszystkim z KOR i redakcji „Robotnika”, czyli w środowisku związanym ze strajkującymi¹². Rozszerzające się aresztowania musiały stwarzać wrażenie nieszczerości władz w czasie rokowań. Zresztą wielu uczestników strajku (zwłaszcza jego przywódcy) miało prawo się obawiać, że przy najbliższej okazji oni sami staną się ofiarami represji.

Część frustracji strajkujących kierowała się nie tylko przeciw ekspertom, lecz również przeciw członkom prezydium, zwłaszcza przeciw Wałęsie. Również oni ulegali zmiennym nastrojom. Co wczoraj im się wydawało słuszne, dzisiaj budziło wątpliwości. W szczególności zaczęła wzbudzać zastrzeżenia formuła o kierowniczej roli partii. Sensowność dokonanego ustępstwa zaczęły podważać właśnie aresztowania, gdyż postępowanie władzy burzyło symetrię obustronnych zobowiązań. Z jednej strony władza oświadczała, że pragnie rozwiązywać konflikty w drodze rokowań, za pomocą środków politycznych i w ramach praworządności, a z drugiej postępowała samowolnie, nie przestrzegając prawa.

Nie tylko więc poczucie solidarności z aresztowanymi powoduje, że coraz częściej odzywają się głosy, by z władzą nie pertraktować, dopóki aresztowani nie zostaną zwolnieni. Tym bardziej – nie podpisywać porozumienia przed ich wypuszczeniem.

Co więcej, rodzą się tendencje, by „z własnego nadania brać prawa”, czyli zakładać nowy związek zawodowy, nie czekając na zgodę władzy. W gronie osób wspomagających budzą teraz mniej zaufania ci, którzy postawili na rokowania, niż ci, którzy od początku głosili nieufność wobec władzy.

Jeden z konfliktów umknął uwadze obserwatorów i autorów wspomnień.

Jego zapowiedzią był incydentalny spór o artykuł redakcyjny *Z kim rozmawiamy?* w strajkowym biuletynie „Solidarność”, personalnie atakujący wicepremiera Jagielskiego za sposób prowadzenia wtorkowych rokowań. Sens artykułu zawarty jest w zdaniu: „im częściej Pre-

mier powtarza o swojej szczerości, tym bardziej szczerzy śmiech ogarnia zebranych na sali obrad”¹³. Redaktorzy twierdzili, iż całe dotychczasowe doświadczenie robotników mówi im, że podstawowym celem władzy jest ich oszukiwanie. Tak też się dzieje i teraz, podczas rokowań.

Artykuł ten podsunęto Jagielskiemu, sugerując w dodatku, że powstał on z inspiracji Tadeusza Mazowieckiego. Tak też przedstawiono tę sprawę na początku spotkania grupy roboczej w środę po południu. Jagielski powracał do tego dwukrotnie w czwartek. W chwili powitania powiedział do Mazowieckiego: „Czytam tu właśnie o mnie różne rzeczy”, a podczas rokowań zauważył, iż pisze się o nim, że uprawia dyplomację. „Jaki ja tam dyplomata” – powiedział.

Ponieważ status biuletynu był nieokreślony i w opinii publicznej uchodził za organ prezydium, Mazowiecki podniósł tę sprawę na śródowym zebraniu prezydium. Twierdził, że gdy władza jest partnerem rokowań, to należy o niej pisać jak o partnerze, a nie posługiwać się językiem, który przekreśla wszelki sens dążenia do porozumienia. Wypowiedziana została przy tej okazji obawa, że przysły związek może odziedziczyć język niektórych pism niezależnych, co oznaczałoby, że język małej grupy, w pewnym sensie sekty, stałby się językiem ruchu masowego. Członkom prezydium felieton się raczej podobał, a w dyskusji, która przy tej okazji się rozwinęła, wszyscy wypowiadający się stanęli po stronie niezależności biuletynu od MKS.

W dwa dni później spór przybrał znacznie bardziej zasadniczy charakter. W piątek zauważyliśmy nagle, że prezydium jest jakby podzielone na dwie części. Jedna współpracuje z ekspertami grupy Mazowieckiego, stawiając nadal na porozumienie z rządem. Druga obraduje wspólnie z pracownikami w innym budynku nad statutem nowego związku i nad niezwłocznym przystąpieniem do tworzenia związku, co miało postawić władze przed faktem dokonanym. Co więcej, pierwsze listy członków założycieli zaczęły krążyć wśród strajkujących.

Wydawało nam się wówczas, że tego typu akcja może poderwać zaufanie do MKS jako partnera rokowań, gdyż przygotowane porozumienie było oparte na zachowaniu

¹² W notatkach mam zapisaną rozmowę z Gajką (Grażyną Kuroniową). Odnoteowałem moje zadowolenie, że i ona jest za kompromisem. Ale zapewne przyjechała do Gdańska głównie po to, by głośniejsze upominać się o zaaresztowanego Jacka i innych korowców. (T.K.)

¹³ Autorką artykułu była Ewa Milewicz (*Z kim rozmawiamy?*, „Strajkowy Biuletyn Informacyjny Solidarność” nr 6, 27 VIII 1980). (red.)

pewnych ram legalności. Uważaliśmy, że skoro władza akcentuje wolę rozwiązywania konfliktów w drodze porozumienia, należy najpierw starać się wyczerpać te możliwości, a dopiero wówczas, kiedy ta droga zawiedzie, przejść do polityki faktów dokonanych. Zapewne i my nie odrzucilibyśmy podjęcia pewnych kroków przygotowawczych na wypadek, gdyby polityka negocjacji zawiodła. Dziwiło nas jednak, że nic nam o tym nie powiedziano.

Gdy doprowadziliśmy wreszcie (w piątek późnym wieczorem) do spotkania tych dwóch ośrodków, rolę otwartych oponentów negocjacji wzięły na siebie „osoby wspomagające” z grona redaktorów biuletynu, głównie matematyk Konrad Bieliński¹⁴. Uczestniczący członkowie prezydium raczej milczeli. Jeden z nich powiedział, że dotąd ograniczał się do służby informacyjnej dla strajkujących. Ponieważ jednak widzi, że rokowania nie przynoszą rezultatów, postanowił przejść do działania, by nie powstała taka sytuacja, że strajkujący opuszczą stocznnię z pustymi rękami. Atakując bezpośrednio Mazowieckiego i jego współpracowników, powiedział, że uprawiamy politykę „zakulisowo-gabinetową”, zastępując masy. On zaś opowiada się za polityką ruchu społecznego, polityką działania rewolucyjnego.

Pamiętam swoje kontrargumenty. Rokowania w stoczni, gdzie tylko MKS może podjąć wiążące decyzje, gdzie plenarne rokowania są jawne, a prezydium wspólnie z ekspertami może przygotować tylko podstawę do ostatecznych decyzji, nie mogą być uznane za „gabinetowe”. Rokowania właśnie otwierają szansę dla ruchu masowego, gdy tymczasem metoda faktów dokonanych może dać impuls do powstania wąskiego nurtu związkowego i zamiast milionów do tak powstającego związku trafić mogą tylko tysiące.

Przedłużeniem nocnego sporu było poranne zebranie prezydium z udziałem dwóch ekspertów (Cywińskiego i mnie), podczas którego winę za dotychczasowe niepowodzenia w rokowaniach (brak wyników) zwalono na ekspertów. Znacząco milczeli ci członkowie prezydium, którzy pracowali z nami w grupie roboczej. Cywiński się wówczas zdenerwował i powiedział: „W takim razie nie pozostaje nam nic innego, jak złożyć krótkie oświadcze-

nie i natychmiast wyjechać”. Nie doszło jednak do tego, gdyż, szczęśliwie, w chwilę potem zaczęto rozpowszechniać poufną wiadomość, że „Warszawa zaakceptowała” tekst porozumienia w sprawie pierwszego postulatu¹⁵. Przyniosło to ogólne odprężenie, na razie tylko wśród wybranych. Wystarczyło jednak, by atmosfera wokół ekspertów się radykalnie poprawiła.

Ale nie na długo. Byłem zaskoczony, jak szybko w ciągu tego dnia (soboty) odplynęła fala zadowolenia (że jednak rokowania przynoszą porozumienie) i na jej miejsce przyplęła wzbierająca fala niezadowolenia (że porozumienie daje za mało, czy że kompromis MKS poszedł za daleko). Chodziło przede wszystkim o pułapki kryjące się w omawianej deklaracji politycznej.

Zarówno wówczas, jak i później z zaskoczeniem stwierdziliśmy, że sens naszej formuły nie został zrozumiany. Użyliśmy w niej zwrotu o kierowniczej roli partii w państwie, co w naszym przekonaniu chroniło organizacje niepaństwowe, społeczne przed ingerencją partii. Państwo było synonimem władzy państwowej i do tego tylko chcieliśmy ograniczyć dominację partii komunistycznej. Uważaliśmy, że formuła zawarta w konstytucji jest znacznie dalej idąca, gdyż mówi o przodującej roli partii w budowie socjalizmu, w co zaangażowane jest całe społeczeństwo. Myśmy natomiast tą formułą chcieli powiedzieć tyle: nie będziemy kwestionować politycznej dominacji komunistów we władzy politycznej i to niezależnie od tego, jakim poparciem będzie się cieszyła w społeczeństwie. W zamian za to partia zobowiąże się do niewkraczania w życie społeczne poza swe rzeczywiste wpływy zdobyte przez członków partii wiarygodnością ich postępowania. W odniesieniu do nowych związków oznaczałoby to, że aparat partyjny nie będzie miał wobec nich żadnych uprawnień.

Z perspektywy czasu sędzę, że starając się w połowie zdania zawrzeć ów podstawowy problem, popełniliśmy błąd. Trzeba było wyraźnie oddzielić owe dwie zupełnie różne sfery – sferę uprzywilejowania komunistów w aparacie władzy od sfery komenderowania organizacjami społecznymi. Akceptując pierwsze, należało wyraźnie zastrzec samodzielność i niezależność nowego związku zawodowego. Był to błąd również dlatego, że

¹⁴ Nie zapisałem nazwisk uczestników. Zapewne po stronie redakcji byli to: Ewa Milewicz, Jan Narożniak, może Krzysztof Wyszkowski i ktoś jeszcze z miejscowych. Nie pamiętam, kto z grupy ekspertów prócz Mazowieckiego i mnie uczestniczył w sporze. (T.K.)

¹⁵ Przywiózł ją prawdopodobnie Antoni Rajkiewicz, który tego dnia był bardzo aktywny. (T.K.)

polityczni ekstremiści związkowi, którzy musieli się przecież wcześniej czy później ujawnić, mieli możliwość wykorzystania naturalnej i całkowicie zrozumiałej obawy wielu uczciwych i skłonnych do rozsądnego kompromisu robotników, że formuła o kierowniczej roli partii będzie interpretowana jako prawo do podporządkowania nowego związku partii. To przedsmak tego, co w znacznie większej skali miało nastąpić później.

W sobotę po południu, gdy w zmniejszonej grupie roboczej pracowaliśmy nad punktem trzecim i czwartym (cenzura i więźniowie polityczni), wtargnęła do pokoju (był to mały, długi pokój na lewo, zaraz przy wejściu do budynku BHP przez kontrolę przepustek) młoda, wyglądająca na inteligentkę kobieta i zwymyślała nas (było to wyraźnie skierowane przeciwko ekspertom MKS) za zdradę robotników, wykrzykując coś o judaszowych rękach. Znajdowałem się blisko drzwi i w pewnej chwili miałem wrażenie, że grozi nam czynna napaść. Miałem takie uczucie, jak gdybym wołał rozstrzelanie w sytuacji honorowej niż podrapanie twarzy tutaj. Pamiętam, że odestaliśmy ją do Wałęsy. Choć zdarzenie utkwilo mi mocno w pamięci, potoku jej wykrzyczanych słów nie pamiętam dokładnie. Chodziło jej jednak wyraźnie o potępienie kompromisu z kierowniczą rolą partii. Jak się później dowiedziałem, była to dziennikarka z kręgu KPN.

Pod silnym wrażeniem tego zdarzenia starałem się od tej pory jak najczęściej bywać na dużej sali (plenium MKS), by znać nastroje i widzieć, co się dzieje. Starałem się też wychodzić na teren stoczni, by porównać nastroje sali z tymi panującymi wśród załogi, słuchać też, jak przyjmowany jest Wałęsa, gdy pojawia się przed publicznością spoza stoczni, gromadzącą się przy bramie nr 2.

Na sali plenium robiło się aż do wieczora coraz tłoczniej i coraz bardziej gorąco. Mam wrażenie, że liczba obecnych urosła do tysiąca lub ponad. Rozluźnione rygory przy wejściu wykorzystało wielu przybyszów z miasta, dotąd w strajku niebiorących udziału. Są to głównie miejscowi inteligenci. Lepiej poinformowany dziennikarz mówi mi, że na sali znaleźli się tutejsi współpracownicy KOR, „Robotnika”, Ruchu Młodej Polski, Konfederacji Polski Niepodległej.

Mało znającemu warunki miejscowe trudno powiedzieć, która grupa nadaje ton atmosferze. Łatwo jednak spostrzec jej ogólny charakter. Nie tylko kontestowany jest przygotowywany kompromis formuły politycznej, nie tylko coraz głośniejsze powtarza się żądanie zwolnie-

nia zatrzymanych, ale pretensje adresowane są coraz wyraźniej personalnie. Wobec prezydium, że za miękkie, że izoluje się od delegatów i strajkujących, wobec Wałęsy, że manipuluje, ukrywa, a nawet zdradza, wobec ekspertów za zakulisowe pertraktacje, za „konszachty” z władzą. Daje się też zauważyć pewien rozdźwięk w prezydium. Niektórzy z jego członków akcentują swój związek z salą, z „masami”, dystansując się od tych, którzy prowadzą rokowania.

Wałęsa, Gwiazda, Wiśniewski usiłują perswadować, uspokajać. Idzie im coraz trudniej. Nawet Wałęsa jest w coraz większych opatach. Tylko chwile spędzone przed gromadzącym się tłumem przy bramie dają mu poczucie trwającego nadal entuzjastycznego poparcia.

Gdy na krótko przed mającą się odbyć ceremonią uroczystego podpisania porozumienia przedzieram się przez salę, po raz pierwszy w ciągu tego wielkiego tygodnia czuję zapach alkoholu. Zwracam też uwagę na krzykliwą grupkę potencjalnych awanturników. Małe to pocieszenie, że na twarzach większości delegatów siedzących (była różnica w nastroju siedzących i stojących) widać ogromne znużenie – jak gdyby wiadomość o osiągniętej zgodzie zdemobilizowała wolę pogodnego wytrwania.

Pełen złych przeczuć – także pod wpływem wtargnięcia owej młodej dziennikarki, którą potem kilkakrotnie widziałem perorującą żywo do delegatów – gwałtownie zastanawiam się, co robić. Wchodząc do pokoju grupy roboczej, widzę zdesperowanego Wałęsę, który mówi do paru obecnych tu osób: „Sala buzuje, trzeba coś zrobić, żeby rozładować nastrój”. Mówię z przekonaniem: „Dziś to beznadziejne. Nie możemy nawet wziąć odpowiedzialności za bezpieczeństwo delegacji rządowej. Trzeba odłożyć podpisanie do jutra”. Wałęsa się z miejsca zgadza, poleca dzwonić do Jagielskiego i Kołodziejewskiego, mówiąc, że do podpisania nie jesteśmy jeszcze gotowi. Po drugiej stronie telefonu zaskoczenie i niezadowolenie, bo porozumienie szczecińskie jest już od wielu godzin podpisane.

Wałęsa teraz dodaje: „Na sali zebrano się sporo dziwnych typów. Trzeba zmienić przepustki i wzmocnić kontrolę wejścia”. Mówi nawet do kogoś z prezydium: „Ty musisz stanąć przy wejściu”.

Również niedziela była dniem huśtawki nastrojów. Wprawdzie surowa kontrola wchodzących zrobiła swoje, w wyniku czego manifestacje radykalnych postaw stały

się spokojniejsze, spory trwały jednak nadal. Ich przedmiotem była, jak poprzedniego dnia, sprawa kierowniczej roli partii, a przede wszystkim nadal trwających zatrzymań ludzi ze środowisk opozycyjnych. Wyraźniejszy niż wcześniej stał się rozdźwięk w samym prezydium. Nie ustawały, a może nawet wzmagaly się ataki na Wałęsę ze strony jego dotychczasowych bliskich współpracowników. Zarzucano mu, że stał się obojętny na los ludzi, którzy wcześniej pomagali strajkującym.

Jeśli odrzucić normalną w takich przypadkach przesadę w oskarżeniach, przedmiot sporu był następujący: Wałęsa opowiadał się za podpisaniem porozumienia już teraz, w niedzielę, niezależnie od tego, czy ostatnio aresztowani zostaną wypuszczeni przed tym aktem, czy też strajkujący otrzymają tylko publiczne zapewnienie strony rządowej, że zwolnienie nastąpi w ściśle określonym czasie po zawarciu umowy. Chyba wszyscy eksperci z grupy Mazowieckiego byli takiego zdania. Tak też doradzaliśmy prezydium.

Spróbuję odtworzyć nasze kryjące się za tym stanowiskiem racje, tak jak ja – i ci, z którymi na ten temat rozmawiałem – je wówczas rozumiałem.

Z jednej strony braliśmy pod uwagę huśtawkę nastrojów, która w stosunku do tego, co obserwowaliśmy na początku tygodnia (spokojna, a nawet pogodna determinacja), była czymś nowym, świadczącym chyba o szybkim narastaniu zmęczenia i nerwowego wyczerpania. Przeciąganie negocjacji tylko ze względu na aresztowanych mogło być wysoce niebezpieczne.

Z drugiej strony w przygotowanym porozumieniu widzieliśmy akt o tak wielkim znaczeniu historycznym, że wydawało się prawie pewne, iż przynajmniej przez najbliższy okres będzie on determinował atmosferę polityczną w kraju. Przetrzywanie więc aresztowanych, których władza w chwili wielkiego napięcia chciała izolować od strajkujących, będzie niemożliwe.

Oczywiście i my zabiegaliśmy o natychmiastowe zwolnienie aresztowanych. Niektórzy z nas mieli kontakt z Warszawą i współdziałali w sporządzeniu listy ostatnio zatrzymanych. Uważaliśmy, że postępowanie władzy jest nierozsądne. Widzieliśmy jednak w jej zachowaniu więcej niekonsekwencji niż przemyślanej gry. Nie uważaliśmy, że to musi być odbiciem jej nieszczerości. Doszukiwaliśmy się raczej różnicowania postaw w aparacie władzy. Zakładaliśmy, że policyjno-represyjna jej część jest znacznie bardziej konserwatywna niż

sygnatariusze porozumienia. Odnosiliśmy zwłaszcza wrażenie, że Jagielski uznał za swój punkt honoru doprowadzenie do porozumienia i że zawarta umowa stanie się w jego ręku i tych, którzy z nim współdziałają, ważnym argumentem przeciwko siłom konserwatywnym na szczytach władzy. Było oczywiste, że w najbliższym czasie sytuacja polityczna będzie płynna i to, czym okaże się porozumienie w praktyce, będzie zależało od kierunku zmian w układzie sił. Ale samo porozumienie będzie potężnym czynnikiem zmiany tego układu. Od tego więc, jak sami będziemy zawartą umowę traktowali, zależeć będzie jej siła oddziaływania jako katalizatora przyszłych zmian i reform. Myślę, że nie tylko ja, ale wszyscy eksperci z grupy Mazowieckiego obawiali się „samospełniającej się prognozy”. Wyniesiona z przeszłości nieufność do władzy była tak wielka, że sama w sobie wystarczała do wytworzenia przekonania, iż porozumienie jest niczym więcej jak kolejnym aktem obłudy ze strony rządzących. Czujność była nieuchronna i pożądana, ale nie taki stopień nieufności, który przekreśla sam sens zawierania porozumienia lub też odmawia treści kompromisu jakiegokolwiek wagi. Było też dla nas jasne, że owa nieufność wystąpi najsilniej u tych, którzy od władzy najwięcej ucierpieli.

W filmie *Wajdy Człowiek z żelaza* jeden z przedstawicieli policji już w chwili podpisywania porozumienia powiada, że to bezwartościowy świstek papieru. Jest to prawdziwe, a zarazem jednostronne w tym sensie, że pomija istnienie takich samych poglądów po drugiej stronie. Ja osobiście usłyszałem dokładnie takie samo określenie, i to właśnie w związku ze sprawą aresztowanych, z ust jednego z naszych warszawskich radykałów: „Dostajemy do rąk świstek papieru, a nie mamy żadnej sprawy rzeczywiście załatwionej”. Tak tłumaczył ów młodzian robotnikom, na co jak najkategoryczniej zareagowałem. Wytykałem mu zaciętrzewienie i brak wyobraźni politycznej. Dlatego postużyłem się nieco demagogicznym argumentem *ad personam*. Mówiłem: „Jaka szkoda, że Michnik i Kuroń są aresztowani, bo oni by wagę tego dokumentu z pewnością zrozumieli”. Moja zbyt ostra reakcja wynikała z przekonania, że nastawienie strajkujących będzie jednym z czynników określających, czym rzeczywiście ta umowa społeczna się stanie.

Spór o aresztowanych zakończył się, jak wiadomo, przyrzeczeniem Jagielskiego i wypuszczeniem aresztowanych następnego dnia po podpisaniu porozumienia

gdańskiego. Ujawniła się w tym mistrzowska ręka Wałęsy jako polityka. Było w sobotę i niedzielę parę krytycznych momentów grożących zerwaniem negocjacji przez strajkujących. Ale szczególnie jeden utkwił mi w pamięci. Gdy Wałęsa prowadził zebranie MKS, wpłynął z sali wniosek o zawieszenie negocjacji do czasu wypuszczenia aresztowanych. Chociaż Wałęsa był przeciwny takiemu ultimatum, poddał wniosek pod głosowanie i ogromną większością głosów ultimatum zostało zaakceptowane. Po chwili Wałęsa odczytał z wielkim

aplauzem przyjęty przez zebranych list dziękczynny do papieża, zaczynający się od słów: „W dniu zakończenia strajku ślemy Ci, Ojcze Święty...”. Po tym liście Wałęsa nie miał już trudności w przegłosowaniu wniosku milcząco dezawuuującego poprzednio przyjęte ultimatum: podpiszemy porozumienie tylko wówczas, gdy Jagielski zobowiąże się (zdaje się, że chodziło o formę pisemną, czego nie pamiętam) do uwolnienia aresztowanych w ściśle określonym czasie¹⁶. Któż bowiem chciałby zawieść Papieża – Rodaka?

Nota redakcyjna

Wspomnienia Tadeusza Kowalika z przebiegu negocjacji w Stoczni Gdańskiej w sierpniu 1980 r. były już publikowane w Polsce i za granicą, jednak nigdy nie ukazała się ich pełna wersja. Z uwagi na objętość tekstu autor lub redakcja zawsze musieli dokonywać znacznych skrótów lub omówień. Obecnie prezentujemy wersję pełną, taką jaka została spisana w 1981 r. Aktualne uzupełnienia pojawiają się tylko w przypisach.

Sporządzając tę relację, autor przebywał w Waszyngtonie na stypendium naukowym. Z Warszawy zabrał jednak swój brulion, swoisty „dziennik pokładowy”, w którym prowadził zapiski każdego dnia podczas pobytu w stoczni, a także inne dokumenty. Umożliwiło mu to dość precyzyjne odtworzenie przebiegu wydarzeń i nawet cytowanie prezentowanych przez strony stanowisk. Jednak będąc za granicą, nie miał żadnej możliwości konfrontacji swoich wspomnień z innymi uczestnikami tamtych wydarzeń. „Jest to oczywiście relacja subiektywna, pióra jednego tylko z członków grupy o dość zróżnicowanych poglądach” – przyznał we wstępie do pierwszej publikacji swych wspomnień.

Ta pierwsza publikacja pod znamienym tytułem *Próba kompromisu (o Komisji Ekspertów MKS w Gdańsku)* ukazała się w 1983 r. w „Zeszytach Literackich” (nr 2) w Paryżu. Były to obszernie fragmenty wspomnień zawie-

rające pełny opis negocjacji (z wyjątkiem kilku szczegółów), bardzo skrótkowo natomiast zostały potraktowane wcześniejsze dni, podczas których przyszli eksperci Międzyzakładowego Komitetu Strajkowego organizowali w Warszawie apel poparcia dla strajkujących stoczniovców (tzw. Apel 64), a potem ekipę do wyjazdu do Gdańska. Choć publikowana obecnie wersja jest najlepiej udokumentowana pod względem faktograficznym, w „Zeszytach Literackich” znalazło się kilka dodatkowych ciekawych informacji. Dotyczą one m.in. szczegółowych przyczyn pominięcia działaczy Komitetu Obrony Robotników wśród sygnatariuszy Apelu 64 czy informacji, kto jest kim z wykształcenia w utworzonej przez MKS komisji ekspertów. Na te fragmenty powołują się często historycy i publicyści. Przytaczamy je w przypisach.

W kraju wspomnienia Tadeusza Kowalika ukazały się w podziemnej Bibliotece „Tygodnika Wojennego” (przedruk z „Zeszytów Literackich”, pod tym samym tytułem). Obszerne fragmenty dotyczące samych negocjacji zostały opublikowane w Londynie w 1983 r. w pracy zbiorowej pod redakcją Anthony’ego Kemp-Welcha *The Birth of Solidarity. The Gdansk Negotiations, 1980*. Najpełniejszą wersję zamieścił tygodnik „Przegląd” w 2000 r. (nr 33 i 35) pod tytułem *Misja ekspertów*, jednak i ona ze względów objętościowych została skrócona za zgodą autora.

Relacja Tadeusza Kowalika to niejedyny zapis sporządzony przez warszawskich doradców i innych bezpo-

¹⁶ 31 sierpnia w „Strajkowym Biuletynie Informacyjnym Solidarność” podano: „Wicepremier Jagielski podpisał dokument, w którym oświadczył, że wszyscy zatrzymani przez MO w ciągu ostatnich dwóch tygodni, którzy znaleźli się na liście przekazanej przez MOKS Komisji Rządowej, zostaną zwolnieni jutro (1.09.1980 r.) do godz. 12.00”. (red.)

średnich uczestników tamtych wydarzeń. O swej pracy eksperta MKS pisał Waldemar Kuczyński w artykule *Droga do Stoczni Gdańskiej* opublikowanym w emigracyjnym „Aneksie” (1983, nr 31) oraz we wspomnieniowej książce *Burza nad Wisłą. Dziennik 1980–81* (Warszawa 2002). Tadeusz Mazowiecki opowiadał o niej w 1988 r. w *Rozmowie niedokończonych* przeprowadzonej przez Janinę Jankowską¹. W 1986 r. ukazała się także relacja Bronisława Geremka w wydawanym na emigracji piśmie „Widnokrąg”². W tym samym roku gdański „Przegląd Polityczny” opublikował rozmowę z Lechem Kaczyńskim, który pojawił się w stoczni niebawem po przybyciu doradców z Warszawy i uczestniczył w pracach jednej z grup roboczych³. (Obie relacje przedrukujemy w niniejszym numerze „Wolności i Solidarności”). O ekspertach i kwestii kierowniczej roli PZPR pisała Jadwiga Staniszkis

w czasopiśmie „Labour Focus on Eastern Europe”⁴. Bardzo ciekawą relację z negocjacji i przygotowań do nich spisał na gorąco Lech Bądkowski, który jako członek prezydium MKS i jego rzecznik prasowy uczestniczył we wszystkich spotkaniach z komisją rządową⁵.

Wspomnienia o swej roli doradcy, ale strony przeciwnej, czyli komisji rządowej, opublikował także Antoni Rajkiewicz⁶. Rolę prawników wspomagających strajkujących robotników w stoczni, również tych spoza kręgu oficjalnych doradców MKS, szczegółowo przeanalizował Jarosław Kuisz, cytując obszernie różne wypowiedzi rozproszone w prasie niezależnej tamtego okresu oraz w książkach relacjonujących strajk w Stoczni Gdańskiej⁷.

Marta Woydt

¹ Zob. J. Jankowska, *Portrety niedokończone. Rozmowy z twórcami „Solidarności” 1980–1981*, Warszawa 2003.

² B. Geremek w rozmowie z W. Adamieckim, *Ekspersi w Gdańsku. Wspomnienia Bronisława Geremka o Sierpniu '80*, „Widnokrąg” 1986, nr 3/4, przedruk w: „Prostu” 1990, nr 26 i 27.

³ *Polityki znieść się nie da*, „Przegląd Polityczny” 1986, nr 8.

⁴ J. Staniszkis, *Experts and the „leading role” a participant account*, „Labour Focus on Eastern Europe” 1981, t. 4, nr 4/6.

⁵ L. Bądkowski, *Przypisy dnia (z dzienników gdańskich 14 VIII – 1 IX 1980)*, „Zapis” 1980, nr 17.

⁶ A. Rajkiewicz, *Ostatni tydzień. Gdańsk – Sierpień '80*, „Polityka” 1990, nr 35.

⁷ J. Kuisz, *O udziale prawników w procesie zawierania Porozumienia Gdańskiego*, „Państwo i Prawo” 2005, nr 8.

Polityki znieść się nie da

LECH KACZYŃSKI

„Przegląd Polityczny”: Zaproponowaliśmy jako temat naszej rozmowy pierwsze miesiące istnienia Solidarności¹. Wiedza o tym okresie jest ciągle skąpa, a Ty wydajesz się być dobrym źródłem informacji. W czasie strajku sierpniowego byłeś obecny w stoczni jako ekspert, potem, w następnych miesiącach, brałeś udział w pracach gdańskiego MKZ-etu². Zacznijmy więc może od sierpnia. Kiedy eksperci znaleźli się w stoczni?

Lech Kaczyński: 22 lub 23 sierpnia. Ja znalazłem się tam dzień później. Sytuacja wyglądała tak, że wcześniej zgłosiłem się przez pośredników z pytaniem, czy jestem potrzebny, i odpowiedziano mi, że nie. Po paru dniach nie wytrzymałem i poszedłem i tak. Rozminąłem się zresztą ze stoczniową delegacją, którą po mnie wysłano. Zawezwanie mnie na strajk pozostało w ścisłym związku z przyjazdem ekspertów.

P.P.: Czy wcześniej znajdowały się w stoczni osoby wspomagające z zewnątrz?

L.K.: Nie było doradców. Natomiast osoby wspomagające były. Istniały wątpliwości, czy tacy doradcy są potrzebni. Borusewicz powiedział mi potem, że powołanie ekspertów nie przyszło mu wcześniej po prostu do głowy, że nie była to sprawa żadnych zasad, tylko wynik napięcia i olbrzymiej ilości bieżącej roboty.

P.P.: Czy na powołanie ekspertów mógł mieć wpływ fakt, iż delegacja rządowa uzupełniona była grupą doradców?

L.K.: W jakimś sensie tak. Należy jednak pamiętać, że inicjatywa przyjazdu ekspertów wyszła z Warszawy. Wcześniej indywidualnie przyjechała Jadwiga Staniszkis, 19 czy 20 na jeden dzień pojawił się Modzelewski. Były też na miejscu, jak wspominałem, grupy inteligencji z Warszawy (Bieliński i Chojecki – potem aresztowany) i z Wrocławia. Oni zajmowali się wydawaniem biuletynu „Solidarność”. Był też Krzysztof Wyszkowski.

Poza tym do strajku „przykleiło się” wielu ludzi z Gdańska – bywało z nimi różnie: raz pomagali, kiedy indziej robili sporo zamieszania.

Trzeba tu powiedzieć rzecz istotną. Grupa ekspertów nie przyjechała do Gdańska z pełną wiarą, że uda się wywalczyć wolne związki zawodowe. Muszę przyznać, że i mnie tej wiary brakowało.

¹ Rozmowa z Lechem Kaczyńskim ukazała się w 1986 r. pod tym tytułem w piśmie niezależnym „Przegląd Polityczny” (nr 8), wydawanym od 1983 r. w Gdańsku. W redakcji główne role odgrywali Donald Tusk, Wojciech Duda i Piotr Kapczyński. Tekst skróciliśmy o część drugą poświęconą Solidarności w latach 1980–1981. (red.)

² Międzyzakładowego Komitetu Założycielskiego NSZZ Solidarność. (red.)



Mała sala BHP w Stoczni Gdańskiej, przy stole siedzą m.in. Lech Kaczyński, Anna Walentynowicz, sierpień 1980 r. Fot. Stanisław Składanowski, zbiory ECS

Zaraz po przybyciu do stoczni zostałem zaproszony na posiedzenie, które odbywało się w stółce któregoś z wydziałów. Byli tam wszyscy eksperci i większość członków prezydium MKS-u. To tam właśnie eksperci przedstawili tzw. wariant B porozumienia, który jednak w dalszym przebiegu wydarzeń nie odegrał żadnej roli.

P.P.: Na czym polegał ten wariant?

L.K.: Była to koncepcja o charakterze zastępczym wobec idei wolnych związków i wchodziła w grę dopiero wówczas, gdyby powołanie do życia takich związków okazało się absolutnie niemożliwe. Tzw. wariant B przewidywał powstanie Komitetów Kontroli Robotniczej. Miałyby one działać w regionie gdańskim, pełniąc rolę związkowo-samorządową. Byłyby to komitety zakładowe. Tam były dwie wersje – w pierwszej komitety te powiązane byłyby organizacyjnie z Wojewódzką Radą Związków Zawodowych, w drugiej – byłyby samodzielne. Ten drugi był wariantem zasadniczym.

P.P.: Te komitety miały działać tylko lokalnie, na Wybrzeżu?

L.K.: Strajk się toczył w ramach województwa. Formalnie porozumienia sierpniowe były podstawą do tworzenia niezależnych związków zawodowych w regionie, a nie w całej Polsce... Było jednak oczywiste, że taka sytuacja nie da się utrzymać.

Kilka słów komentarza. Eksperci w strajku odegrali olbrzymią rolę i zaryzykowałbym twierdzenie, że bez nich porozumienie nie mogłoby dojść do skutku. To zaś, że szukali oni jakichś

innych rozwiązań od tego, które było przewidywane w postulacie pierwszym, jest kwestią ich politycznej odpowiedzialności. W owym czasie jeszcze postulat utworzenia wolnych związków był stanowczo odrzucany przez stronę rządową. Oczywiście, ta koncepcja jakiegos zastępczego wyjścia nie była ujawniana. I nie sędzę, żeby delegacja rządowa o niej wiedziała. Nie było to w każdym razie nigdy przedmiotem rokowań. Pomysł ten trzymano w zapasie na wypadek bardzo niepomyślnego przebiegu rozmów. W żadnym więc razie nie można powiedzieć, że eksperci byli przeciwni wolnym związkom zawodowym. Szukali po prostu takich rozwiązań, które pozwoliłyby pokojowo zakończyć strajk w warunkach, gdyby ten podstawowy postulat okazał się nie do przeforsowania.

P.P.: Kto wchodził w skład grupy ekspertów?

L.K.: Właściwie były dwie grupy – prymasowska i Tadeusza Mazowieckiego. Grupa prymasowska bezpośrednio się na sali nigdy nie pojawiła. Właściwie można mówić o niej dopiero od września 1980 r. Funkcjonowała ona przede wszystkim poprzez bezpośrednie kontakty z Wałęsą. Istnienie tej grupy było wyrazem poparcia Kościoła i osobiście prymasa Wyszyńskiego dla tworzącej się Solidarności. Przedostatniego dnia strajku przybyli do stoczni Olszewski, Stelmachowski i Chrzanowski (wcześniej uniemożliwiono im wyjazd z Warszawy). Olszewski i Chrzanowski już w tamtych dniach opracowali pierwszy projekt statutu związku. Obecność tych osób okazała się pożyteczna, choć w skład grupy Mazowieckiego nie zostali włączeni.

Podstawową grupą był zespół Mazowieckiego. W jego skład wchodził: Geremek, Kowalik, Cywiński, Stembrowicz, Staniszkis, Kuczyński (jedyne w grupie ekonomista³), Wielowieyski i Strzelecki. Z ramienia prezydium [MKS-u] doradcami zajmował się Gwiazda. Mazowiecki zastrzegł sobie autonomię polegającą na tym, że nie będzie przyjmował do tego zespołu osób, które nie uzyskają jego akceptacji.

P.P.: Jak formalnie toczyły się rozmowy?

L.K.: Dwukanałowo. Po pierwsze były to rokowania z udziałem całych delegacji, publiczne, toczony w sali BHP. Jednocześnie w salce recepcyjnej toczyły się rozmowy między grupami roboczymi. Z naszej strony uczestniczyli w nich Mazowiecki, Geremek, Kowalik i początkowo także Staniszkis. Chwilami również Kuczyński.

P.P.: Nasuwa się przypuszczenie, że decyzje naprawdę ważne zapadały w tej małej salce, a nie w rozmowach plenarnych...

L.K.: Tendencją każdej rewolucji jest próba uchylecia, zniesienia polityki. Ale polityka od kilku tysięcy lat znieść się nie daje. Nie dało się także jej uchylć w czasie strajku ani potem, w okresie Solidarności. Jest rzeczą oczywistą, że tego rodzaju rozmowy, w których obie strony miały większą swobodę wypowiedzi, były konieczne. I okazały się pożyteczne.

P.P.: Czy ten „wariant B” stał się powodem konfliktu między ekspertami a członkami prezydium?

³ Ekonomistą był także Tadeusz Kowalik. (red.)

L.K.: Nie było ostrego ataku. W trakcie tamtej rozmowy dużo większą rolę odegrał problem reformy gospodarczej. Kuczyński dowodził, że jednym z efektów strajku może być przeprowadzenie tej reformy. Zapytałem go wówczas, na czym opiera swój sąd, skoro kilkakrotnie podejmowane w przeszłości próby spalały na panewce. On swoją tezę uzasadniał wówczas kształtem sytuacji społecznej. To był *leitmotiv* tej dyskusji, a nie sprawa Komitetów Kontroli Robotniczej. Oczywiście, zbyt przyjaźnie ten pomysł przyjęty nie został, ale do mocnego starcia między prezydium i doradcami nie doszło. A przy innych okazjach takie starcia miały miejsce.

P.P.: Na czym te konflikty polegały?

L.K.: One miały kilka płaszczyzn. Po pierwsze był to w jakimś sensie „tradycyjny” konflikt między intelektualistami a robotnikami. Mit klasy robotniczej jeszcze w tym okresie na samych robotników oddziaływał. Był to więc rodzaj nieufności do ludzi z innej grupy społecznej. Po drugie zarysował się konflikt o charakterze politycznym między bardziej radykalną i świadomą – wywodzącą się z WZZ-etów – grupą ludzi z prezydium a bardziej umiarkowaną grupą ekspertów. Trzecia płaszczyzna konfliktów łączyła się, jak sądzę, z poziomem wiedzy. Np. na posiedzeniach prezydium miały miejsce bardzo ostre starcia dotyczące oceny sytuacji gospodarczej i wynikającej z niej możliwości realizacji roszczeń płacowych.

P.P.: A czy nie wzbudziła dyskusji kwestia roli i uprawnień ekspertów?

L.K.: Tak, to była kwestia tzw. manipulacji, podczas strajku odgrywała jednak dużo mniejszą rolę niż później, kiedy stała się ona problemem politycznych wpływów, problemem władzy w Solidarności. Ważniejsze były spory ekonomiczne. Prezydium MKS-u bardzo optymistycznie oceniało możliwości realizowania roszczeń płacowych. Eksperci – szczególnie Kuczyński – usiłowali natomiast uzmysłowić wszystkim ciężką sytuację gospodarczą kraju. Jak wiemy zresztą, ten problem nie odegrał w negocjacjach dużej roli. Enigmatyczne sformułowanie o podwyżce o jedną grupę zostało w istocie ustalone bez większego sporu. Sprawa wybuchła na nowo we wrześniu-październiku, ale już w zupełnie innej sytuacji. Na posiedzeniach w stoczni była to jednak kwestia często dyskutowana i rodząca silne napięcie. Zresztą prezydium też nie było jednorodne. Była tam grupa działaczy bardziej umiarkowanych, np. [Wojciech] Gruszecki, [Florian] Wiśniewski i w dużym stopniu Wałęsa, a z drugiej strony znajdowali się ludzie o przekonaniach bardziej radykalnych – [Joanna i Andrzej] Gwiazdowie, [Lech] Sobieszek...

P.P.: Ten sam, który potem na zjeździe wystąpił z postulatem skreślenia fragmentu z preambuły do statutu Solidarności o kierowniczej roli partii (tzw. kierownicy).

L.K.: Tak. Sprawa związek a partia już podczas strajku stała się problemem. To był główny punkt sporów politycznych między ekspertami a częścią prezydium. Doradcy uważali, że przyjęcie tu rozwiązań jednoznacznie odrzucających kierowniczą rolę partii jest nierealne, że trzeba dać stronie rządowej pewną furtkę, która pozwoliłaby jej znaleźć zaplecze po swojej stronie do podpisania porozumienia. W ekipie rządowej bowiem miały miejsce także dramatyczne konflikty w kwestii rozwiązania zaistniałej sytuacji politycznej. Z kolei prezydium, podobnie jak prawie cały MKS, uważało, że jeżeli my tej sprawy nie załatwimy teraz, to po prostu podpadniemy pod „kierownicę” i nie da się tego załatwić już nigdy. Mieliśmy tu do czynienia z charaktery-

stycznym w Polsce magicznym stosunkiem do prawa. Z jednej strony prawo się u nas po trosze lekceważy, a z drugiej sformułowania zawarte w ustawach traktuje się jako posiadające własną, samoistną moc magiczną.

Koncepcją kompromisową zapisu tego problemu (której autorstwo mogę częściowo przypisać sobie) była propozycja sformułowania, że związek nie zamierza pełnić roli partii politycznej, no i powołanie się na konstytucję. Tak też to ostatecznie zostało zapisane. Niemalą rolę w przyjęciu tego rozwiązania odegrał Andrzej Gwiazda, człowiek o radykalnych przekonaniach, ale człowiek, który w warunkach znacznego napięcia potrafi postępować odpowiedzialnie. Tu na marginesie ciekawa anegdota. Na dwa dni chyba przed zakończeniem strajku zaproponowano Lisowi i Gwiedździe odbycie poza stoczną spotkania z przedstawicielami kierownictwa politycznego kraju. Oczywiście odmówili.

P.P.: O co chodziło? To była próba wywabienia ich ze stoczni?

L.K.: Najbardziej prawdopodobne, zważywszy, że władza wówczas rzeczywiście unikała stosowania przemocy, jest, że chodziło o zaproponowanie pewnych rozwiązań personalnych satysfakcjonujących osobiście Gwiazdę i Lisa, a odpowiadających jednocześnie władzy. Ale to są tylko moje sugestie.

P.P.: Czy strajkujący mieli świadomość, że są autorami poważnej zmiany systemowej?

L.K.: Tę świadomość miała nieliczna stosunkowo grupa ludzi. Sądzę, że gdyby była to świadomość powszechniejsza, to dużo trudniej byłoby zmobilizować ludzi do poparcia tego strajku. Poparcie nie byłoby tak automatyczne. Nie dlatego, żeby ludzie zmiany nie chcieli. Sądzę tylko, że wtedy jeszcze większość generalnie uważała, że system jest *constans*, że nie da się go zreformować czy tym bardziej zmienić. Gdyby więc zdali sobie sprawę z tego, jak poważną zmianą systemową jest powołanie do życia NSZZ, to wiara w sukces tego postulatu nie byłaby tak olbrzymia. A to właśnie wiara okazała się materialną siłą, która umożliwiła sukces Solidarności.

P.P.: Wiara uczyniła cud. Ale czy wiary tej nie gasiła obawa przed zbrojną interwencją w Polsce? Czy sprawa obcej interwencji była obecna w czasie strajku?

L.K.: Oczywiście, ta sprawa pojawiała się wielokrotnie. Po pierwsze w formie plotek, których było mnóstwo. Ale nie tylko. Istniało przekonanie, że takie rozwiązanie jest realnie groźne. Mogę przy tym powiedzieć, że już wówczas (a znacznie bardziej w okresie późniejszym) „rozwiązanie zewnętrzne” uważane było za bardziej realne niż „rozwiązanie wewnętrzne”. Świadomość takiego zagrożenia istniała i miała pewien stymulujący wpływ. Potem jednak, w miarę rozwoju Solidarności, poczucie tego zagrożenia malało. Mimo że wielu doradców – w tym Kuroń – na fakt tego zagrożenia wielokrotnie zwracało uwagę.

P.P.: A w czasie rokowań strajkowych, czy delegacja rządowa posługiwała się argumentem takiego niebezpieczeństwa?

L.K.: Na sali obrad, w rozmowach plenarnych, nie. W każdym razie na pewno nie bezpośrednio. Jak było „za zamkniętymi drzwiami” – nie wiem, bo w tamtych rozmowach nie uczestniczy-

łem. Natomiast później problem ten występował wielokrotnie. Pojawiał się także publicznie, np. w wystąpieniach w partyjnej kampanii przedzjazdowej.

P.P.: Jeszcze w czasie strajku R[yszard] Wojna w telewizji, mówiąc o sytuacji w kraju, snuł analogie do warunków, które spowodowały XIX-wieczne rozbiory Polski.

L.K.: Tak, ten element nie tyle zewnętrznej interwencji, ile zagrożenia bytu państwowego (ściślej: formalnopaństwowego) jest jednym z głównych elementów budowy wspierającej świadomość warstwy rządzącej w Polsce. Tam chyba istotnie panuje przekonanie, że odejście od władzy komunistów w tym kraju mogłoby się skończyć nie tyle wkroczeniem obcych wojsk, nie tyle powtórzeniem wydarzeń węgierskich, a po prostu utratą formalnej niepodległości przez Polskę. Gomułka np. w ten sposób widział tę sprawę.

P.P.: Czyli że w strajku sierpniowym świadomość niebezpieczeństwa interwencji była istotna?

L.K.: Tak, choć poczucie największego zagrożenia wystąpiło nie wówczas, a na początku grudnia 1980. Wiązało się to z informacjami, które wtedy otrzymywaliśmy z Zachodu, o istnieniu możliwości takiego rozwiązania. Procesy świadomościowe trudne są jednak do jednoznacznego wyjaśnienia. Z jednej strony istniała świadomość poważnego zagrożenia obcą interwencją, a z drugiej strony ci sami ludzie żądali, żeby sprawę niezależności od partii postawić ostro i jasno. Jedno nie przeszkadzało drugiemu.

P.P.: Oprócz kwestii „związek a partia” jakie inne jeszcze sprawy wzbudzały kontrowersje i dyskusje w gronie ekspertów i wśród samych strajkujących?

L.K.: Wśród strajkujących nie było wówczas żadnych istotnych sporów, co też jest charakterystyczne dla takiego rewolucyjnego okresu. Jeżeli miały miejsce spory, to ze względu na u jednych mniejszą, u innych większą skłonność koncyliacyjną. Plenum MKS-u było pod przemożnym wpływem Wałęsy, który potrafił zawsze opanować sytuację, ilekroć uznał, że sytuacja tego wymaga. Na plenum stawiano wiele bardzo radykalnych postulatów. Była to specyficzna giełda polityczna, na której wygłaszano najróżnorodniejsze mowy i przemówienia – obok politycznych także ekspiacyjne czy wręcz maniakalne. Do każdego ruchu społecznego tego rodzaju dokleją się maniacy i problem w tym, jak prędko uda się ich wyeliminować. W Solidarności nastąpiło to stosunkowo szybko. Wałęsa całkowicie nad tym wszystkim panował. Potrafił np. wejść na posiedzenie, o którym było wiadomo, że mają tam być podjęte bardzo radykalne postanowienia – a jego wejście na główną salę było swoistym ceremoniałem – wchodził na mównicę, proponował hymn i po jego chóralnym odśpiewaniu ogłaszał zakończenie posiedzenia MKS-u. I nikt nie protestował... To oczywiście przykład anegdotyczny. Wracając zaś jeszcze na chwilę do problemu inteligencja – robotnicy, trzeba powiedzieć, że w skład MKS-u wchodziło wielu inteligentów. Robotnicy przeważali natomiast w prezydium.

P.P.: Czy rokowania strajkowe przez cały czas wyglądały tak samo, aż do ostatnich dni?

L.K.: No nie, z chwilą ustalenia podstawowych punktów – pierwszego, drugiego, czwartego – rozmowy zmieniły charakter. Powołano wiele grup roboczych, które zajęły się opracowaniem pozostałych postulatów. Ja zajęty byłem w grupie pracującej na temat zmian w kodeksie pracy. Obok tego wypłynęła wówczas sprawa więźniów. Siedzieli jeszcze ludzie z „puli radomskiej” za 1976 rok, siedział Kozłowski ze Słupska⁴, Zadrożyński⁵ z Grudziądza. Poza tym zatrzymano wtedy znaczną grupę osób z Warszawy, a wśród nich także mojego brata. Część z nich dostała sankcje prokuratorskie. Powstał więc problem ich wypuszczenia, zagwarantowania tego w aneksie do porozumienia. No i tu doszło do najostrzejszego bodajże konfliktu. Grupa ludzi z Wrocławia wspomagająca strajk plus część stoczniovców podniosła regularny bunt. Wpadli na salę posiedzeń prezydium (co wcześniej się nie zdarzało, ta sala była dość ściśle izolowana) i doszło do potwornej kłótni. Chodziło o to, czy sprawę więźniów należy rozwiązywać w ramach porozumienia, czy też wyłączyć z niego i załatwiać ją oddzielnie. Wszyscy byli oczywiście za tym, żeby tych ludzi uwolniono, chodziło jedynie o to, czy było to w tamtej chwili realne. Powstała m.in. koncepcja, że ten problem sam się rozwiąże w ramach nowej sytuacji politycznej, jaką stworzy podpisanie porozumienia. Ja byłem innego zdania. Brałem bowiem pod uwagę możliwość takiej sytuacji w Polsce, że będą się tworzyły w sposób chaotyczny niezależne związki zawodowe, ale równocześnie niezależne siły polityczne, kształtujące się od kilku lat, zostaną po prostu rozbite. Do takiej równoległości, którą można by nazwać rozwiązaniem „natolińskim”, mogło dojść.

P.P.: Ile osób wówczas zatrzymano?

L.K.: Około dwudziestu, połowa z nich miała sankcję. Tymczasem sytuacja w stoczni wyglądała tak, że porozumienie było już właściwie parafowane i miało być podpisane o godz. 17.

P.P.: Jakie były argumenty tych, którzy nie chcieli sprawy więźniów stawiać tak kategorycznie i uzależniać od niej podpisania porozumienia?

L.K.: Argument był jeden podstawowy. Mamy porozumienie o znaczeniu historycznym. Zezwala ono na niezależne związki zawodowe. Porozumienie to zostało zawarte niejako na granicy politycznej możliwości. Każdy krok dalej może tę granicę przekroczyć.

P.P.: Jak tę sprawę ostatecznie rozwiązano?

L.K.: Kilka godzin przed wyznaczonym terminem podpisania porozumienia nakłoniliśmy Andrzeja Gwiazdę, żeby interweniował twardo w sprawie więźniów u Jagielskiego, który urzędował wtedy w budynku dyrekcji. Gwiazda poszedł i sprawę załatwił. Były tam podobno jakieś rozmowy Jagielskiego z Warszawą i, jak wiadomo, jeszcze tego samego dnia zaczęły się zwolnienia i do wieczora 1 września zwolnieni zostali właściwie wszyscy.

⁴ Jan Kozłowski – działacz niezależnego ruchu chłopskiego, współpracownik KOR. 10 IX 1978 r. w Lisewie razem z m.in. Henrykiem Kossutem, Tadeuszem Fijałkowskim i Piotrem Sękiem założył Tymczasowy Komitet Niezależnego Związku Zawodowego Rolników. Aresztowany w październiku 1979 r., 1 II 1980 r. został skazany za rzekome pobicie sąsiada na dwa lata więzienia; w maju 1980 r. na jego rozprawę rewizyjną w Sandomierzu przybyło wiele osób związanych z opozycją. Wyszedł z więzienia 2 IX 1980 r. na podstawie porozumienia gdańskiego. Nie pochodził ze Słupska, lecz z Sandomierszczyzny. (red.)

⁵ Edmund Zadrożyński – robotnik z Grudziądza, współpracownik KOR, członek redakcji „Robotnika”. W 1978 r. powołał Niezależny Ruch Robotniczy (Związkowy). 1 VII 1979 r. aresztowany pod zarzutem popełnienia przestępstwa kryminalnego, w marcu 1980 r. został skazany na trzy lata więzienia i 70 tys. zł grzywny. W jego obronie organizowano akcje petycyjne i ulotkowe, interweniował prezydent USA Jimmy Carter i zachodnie centrale związkowe. Zwolniono go z więzienia na podstawie porozumienia gdańskiego. (red.)

P.P.: Czy można przyjąć, że sprawa więźniów była swoistym testem, jakiemu władza poddawała formujący się związek?

L.K.: W pewnym sensie oczywiście tak. Poza tym władza miałaby tu atut wobec własnego aparatu. Oto podpisaliśmy porozumienie o powołaniu NSZZ, ale jednocześnie znaczna grupa opozycjonistów, którzy wcześniej chodzili sobie po wolności, teraz siedzi. Z perspektywy czasu sądzę, że gdyby ten problem nie został wówczas w ramach porozumienia rozwiązany, mógłby znacznie skomplikować sytuację Solidarności w pierwszym okresie jej istnienia. Inna rzecz, że władza chciała – chociaż przez pewien czas – izolować tych ludzi z opozycji od tworzącego się ruchu społecznego.

P.P.: Jednym słowem porozumienie, sukces – wbrew małej wierze ekspertów...

L.K.: Tak stawiać sprawy nie wolno. O roli, jaką eksperci odegrali w czasie strajku, już mówiłem. Jeżeli chodzi o mnie, a sądzę, że moje przekonania były w tej sprawie bliskie ekspertom, wierzyłem w sukces strajku, tylko nie w takiej postaci. Sądziłem, że to będzie zaczyn do zmian demokratycznych w Polsce, które być może przybiorą jakiś instytucjonalny wyraz, ale fakt, że w wolne związki nie wierzyłem. Nie szedłem jednak na strajk jako stracenię. Wątpiłem tylko w rozmiary sukcesu zakreślone w pierwszym postulacie. Porozumienie zostało podpisane w niedzielę, ale już od wtorku przebieg rozmów wskazywał, że postulat pierwszy jest realny. Po drodze było tam jeszcze wahnięcie – w czwartek obradowało Biuro Polityczne [KC PZPR], mówiło się, że władze w pewnym momencie bliskie były podjęcia próby użycia siły, ale to minęło. [...]

P.P.: Co było pierwszego września?

L.K.: Mieliliśmy już lokal we Wrzeszczu, na Marchlewskiego. Olbrzymie, zupełnie puste mieszkanie. Między 8 a 9 rano zaczęliśmy się tam gromadzić i usiłowano rozdzielać zadania... 2 września na posiedzeniu prezydium MKZ-etu powołana została grupa ekspercka, w skład której weszli prof. [Edward] Lipiński, Jacek Kuroń i ja. Z początku istnienia tej grupy nie ujawniano, zrobił to dopiero Wałęsa w końcu października, ale bez podawania nazwisk. Ta komisja nie była zwartą grupą. Prof. Lipiński ze względu na wiek do Gdańska nie przyjeżdżał. Ja z Kuroniem za to przez dwa miesiące współpracowałem blisko.

P.P.: Skąd nazwa NSZZ – dlaczego nie Wolne Związki Zawodowe?

L.K.: To było pewne ustępstwo z naszej strony. Delegacja rządowa podnosiła, że termin wolne związki ma odniesienia do jednej z międzynarodowych konfederacji, której przypisywano charakter pravicowy. Chodziło też o kwestię następstwa. Wcześniej na Wybrzeżu istniały WZZ-ety – utrzymanie tej nazwy oznaczałoby, że Solidarność jest dzieckiem opozycji politycznej. Na to strona rządowa nie chciała się zgodzić. Z kolei gdy z naszej strony ktoś wymyślił „niezależne”, problem nie odgrywał już takiej roli. Zresztą kwestia, czyją schedą jest Solidarność, będzie powracała przez cały czas jej istnienia. Będzie to oczywiście problem polityczny. [...]

REPORTAŻE Z PRZESZŁOŚCI

Ja, happening, stocznia

EWA MILEWICZ

♦ dziennikarka, członek KSS „KOR” i współpracownik Niezależnej Oficyny Wydawniczej, od 16 sierpnia 1980 r. uczestniczyła w strajku w Stoczni Gdańskiej – m.in. rejestrowała zakłady przystępujące do Międzyzakładowego Komitetu Strajkowego, publikowała w „Strajkowym Biuletynie Informacyjnym Solidarność”. W latach osiemdziesiątych współpracowała z podziemnym Regionem Mazowsze NSZZ Solidarność. Pracuje w redakcji „Gazety Wyborczej”.

Uzgodniliśmy z Konradem Bielińskim, że w Gdańsku ja poprowadzę samochód¹. W razie czego, gdyby milicja nas zatrzymała, on ucieknie – mnie być może puszcza. Konrad zahamował tuż przed skrzyżowaniem. No to co, przesiadamy się? Zrobiło mi się niedobrze ze strachu. Nie mogę wykonać żadnego ruchu, mogę tylko bać się. Wiedziałam, że za chwilę wjedziemy z bibułą do stoczni. Był poniedziałek 18 sierpnia 1980 r. Przypuszczaliśmy, że stocznia będzie otoczona przez milicję. Kilkaset metrów przed bramą Konrad zakomenderował:

– Zjedź w prawo, na parking, zaparkuj za budką.

Z własnej inicjatywy do budki dodałam jeszcze załom budynku. Stałam więc dobrze schowana za budką i murem. Ludzie grupkami wędrowali w kierunku stoczni, zatrzymując się na chwilę przy budce-parawanie. Kupowali gazety, które zaraz na miejscu rozkładali, potem szybko zamykali i upychali do teczek. W gazetach nic nie było. Wczoraj skończył się czwarty dzień strajku w Stoczni Gdańskiej. Nie wiedzieliśmy, czy zaczyna się piąty, czy też ludzie wrócili do pracy. Konrad oczywiście:

– Ty tu poczekaj, a ja zobaczę, co tam się dzieje.

Muszę poczekać, jestem w końcu damą i nie będę mu się narzucać. Chce sam – niech idzie. Czas płynie mi na rozmyśleniach o różnicy między damą a rewolucjonistką. Każda z tych profesji ma swoje zalety. Uwzględniam jednak interesy mojego towarzysza wycieczki i decyduję: będę do końca tej podróży damą o średnim stopniu samodzielności. Pół godziny, na które zgodnie z umową wyniósł się Konrad, mija szybko. Obserwuję manipulacje przechodniów z gazetami. Staram się odczytać z ich twarzy, czy popierają strajk, czy nie, słucham z oddali płynących głosów: „nie zginęła, póki...”. Wstać, nie wstać, myślę. Polak powinien, więc ostatnie dźwięki płynącego hymnu zastają mnie – na parkingu, za załomem, za budką, wpatrzoną w piękny zrujnowany dom, nad domem dźwigi stoczniowe, a więc zastają mnie stojącą na baczność. W tej pozycji zastaje mnie Konrad, pyta:

– Dokąd idziesz?

Boję się przyznać do moich tanich wzruszeń – tajemniczo milczę.

– Wiesz – mówi Konrad – przed bramą stoi sporo ludzi, podsłuchałem, zastanawiają się, czy wejść, czy nie.

– Kto nadawał ten hymn?

– A to już za bramą, tam też jest sporo ludzi.

Całe to zamieszanie – byliśmy przedwczoraj w Gdańsku, więc wszystko wiemy – powstało dlatego, że odwołano w sobotę strajk, była to zdrada wobec pozostałych zakładów solidaryzujących się ze stocznia. Po godzinie na skutek nacisku oburzonych ludzi zaczęto nawoływać wychodzących ze stoczni do pozostania w niej. Część jednak już wyszła. Dlatego w poniedziałek tylu ludzi przed bramą.

¹ Reportaż ten został opublikowany w „Biuletynie Informacyjnym” 1980, nr 6 (40). 31 VIII 2000 r. przedrukowała go z niewielkimi skrótami „Gazeta Wyborcza”. (red.)

To jednak głupio wjechać, jakiś nietaktowny wydaje się nasz pojazd za bramą stoczni – oni strajkują, a my tak nachalnie wpraszamy się z bibułą i KOR-em. Ale jesteśmy, mamy. Niechętnie podjeżdżamy pod bramę. W sztachety bramy wplecione bukiety kwiatów, pozatykano je też na górnej krawędzi, gdzieś tam wiszą święte obrazki i kolorowe zdjęcia Papieża. Pośrodku drewniany krzyż otoczony lampkami, jeszcze niezgaszonymi. Nad bramą czytam: „Stocznia Gdańska im. Lenina”. Brakuje do kompletu flagi biało-czerwonej i czerwonej, i może „Międzynarodówki” – myślę. I chłopak w waciaku zatyka biało-czerwoną (potem przybędzie jeszcze biało-niebieska, stoczniowa, i to dopiero będzie komplet). Ludzie na bramie, uprzedzeni przez Konrada, otwierają przepust. Macham im ręką, wjeżdżamy. Nigdy potem przez tę bramę nie przejeżdżałam.

Konrad wyjmuję ryzy „Robotników”, daje jeden egzemplarz robotnikowi w kufajce – i po chwili tłum, ręce wyciągnięte do góry.

– I mnie, i mnie, a może pani ma choć jeden...

Boję się tłumu. Za chwilę w pustej prawie sali obrad Komitetu Strajkowego Stoczni Gdańskiej. Kilkanaście osób siedzi przy końcu jednego ze stołów. Gdzieś dalej dwóch robotników w stoczniowych kombinezonach. Wąłta blondyneczka drobi kroczkami.

– Alinko, Alinko, miałaś sama nie chodzić po stoczni, jeszcze coś cię w łeb palnie – narzeka chłopak – „obstawa” Alinki Pieńkowskiej. – Alinko, idź wreszcie spać.

Ale, myślę, mają zamiłowanie do parady, nie było tu już mniejszej sali? Siadam obok robotników stoczniowych. A więc strajk trwa.

– W nocy z soboty na niedzielę powstał Międzyzakładowy Komitet Strajkowy z siedzibą w Stoczni Gdańskiej – powiada jeden z nich.

Po raz drugi myślę sobie: „Ale zamiłowanie do parady! Trzy dni strajkują i już jakieś międzyzakładowe komitety. Przerost organizacji”.

– A panowie ze stoczni?

Okazuje się, że rozmawiam z organizatorami czwartkowego strajku. Dwaj młodzi chłopcy z wydziałów K-3 i K-5 postanowili stanąć w obronie wyrzuconej z pracy pani Ani Walentynowicz, porwali najpierw swój wydział, potem – idąc od wydziału do wydziału – przed gmachem dyrekcji pociągnęli za sobą całą stocznię. Do pani Ani dorzucili żądanie przywrócenia do pracy wyrzuconego po 1970 r. Lecha Wałęsy. W czwartek i piątek, pierwsze

dni strajku, dzieje się bardzo wiele, robotnicy wiecują, do żądań personalnych dołączają podstawowe żądania ekonomiczne, podwyżki pensji o 2 tys. złotych, dodatku drożyznianego. Wałęsa nie czeka, aż dyrektor zaprosi go do stoczni, sam wymierza sobie sprawiedliwość. Przechodzi przez płot stoczni i staje na czele strajkujących. Wydarzenia wymykają się spod kontroli moich dwóch chłopaków. Rozpędzona machina strajkowa zagarnia coraz więcej zakładów. Na twarzach moich rozmówców maluje się niedowierzenie i duma.

Otrzymuję przydział pracy. Trzeba jeszcze raz przepisać listę 20 strajkujących zakładów i uzupełnić ją nowymi, ich przedstawiciele zaglądną właśnie w rozłożone przede mną papiery. Zaczynam rejestrowanie.

– Czy panowie mają postulaty, upoważnienia? Wszystko jest, proszę, numer 21.

Trzydziesty zakład rejestruję w momencie, gdy zaczynają się obrady MKS-u. Wałęsa i dwóch ludzi, jeszcze nie na podium, za stołem prezydiatnym, lecz u szczytu jednego z czterech długich stołów przeznaczonych dla delegatów. Ja obok rejestruję zakłady. Wałęsa nagle wyrывa mi z ręki papiery i po omacku zaczyna czegoś szukać, moje protesty kwituje machnięciem ręki.

– Niech pani da spokój, tu są ważne sprawy – zaczyna wyczytywać pierwszy zakład. – Czy jest ktoś z Rafinerii? Co tam u was słychać, dobrze, dziękuję, trzymajcie się.

Kiedy rejestruję 56. zakład, Wałęsa i właśnie powołane prezydium MKS postanawiają objąć stół prezydiatny na kilkuschodkowym podwyższeniu. Nad stołem w tym momencie kolejno od lewej wiszą: flagi czerwona i biało-czerwona, orzeł na czerwonym tle, biało-niebieska – stoczniowa, w rogu dwumetrowa rzeźba Lenina. Prezydium usadowione na podwyższeniu przemawia do zebranych przez mikrofony, zebrani, kiedy chcą przemawiać, wchodzą na podium. Wiem już po co ta paradna sala.

Po południu rejestruję 156. zakład.

Ktoś wpada na pomysł, żeby opanować radiowęzeł. Cała stocznia, każdy budynek, magazyn są radiofonizowane. Wielkie głośniki stoją też na dworze i tuż koło bram. Wszystko to unieruchomił w sobotę dyrektor. Wałęsa dobiera sobie grupkę ludzi i idzie z nimi pod budynek dyrekcji. Dyrektor stanowczo odmawia. Wtedy Wałęsa do dyrektora:

– Jeżeli pan nie włączy radiowęzła, wejdziemy siłą do budynku.

Tę właśnie informację przynosi na salę Janek Narożniak. Poczułam się wreszcie w ogniu rewolucji, żadne tam negocjacje, wiecowanie, uprzejmości. Twarde ultimatum – lincz wisi w powietrzu. Był jednak Andrzej Gwiazda – Wałęsa pod jego wpływem złagodniał, złagodził ultimatum. Po chwili radiowęzeł działał.

Ciągle coś się dzieje. Na wieczór Wałęsa proponuje: przed II bramą o godz. 18.30 msza. Ze względu na powagę sytuacji ksiądz udzieli ostatnich namaszczeń. W dzienniku TV natomiast przemawiać będzie Gierek. Żyć, nie umierać – myślę. – Ostatnie namaszczenia to to, czego nigdy jeszcze nie zaznałam. Delegaci rozpraszają się to tu, to tam, większość idzie na mszę.

Początek przemówienia Gierka – na sali pusto. Wygląda na to, że szef partii będzie mówił do mnie, Konrada i dysydenckiego (zdaniem Gierka) prezydium. Nie sądzę, żeby go to satysfakcjonowało. Wałęsa zaniepokojony niesubordynacją wzywa delegatów do sali, mówi o „politycznym obowiązku” wysłuchania Gierka. Zebrani pokrzykują:

– A co on mądrego powie? Co nam za różnica, na żądania się nie zgodzi, a więc strajkować i tak będziemy, tylko sobie głowę będę bzdurami zaśmiecać, niech do partyjnych gada. Pewnie się zapyta, czy pomożemy – śmieje się ktoś obok mnie.

Słucham z rozdziawioną gębą. Wiedziałam, że ludzie wypowiadają takie zdania tylko w tzw. ścisłym gronie, na pewno nie wśród kolegów z pracy. Na sali ciągle siedziało po dwóch–trzech delegatów z zakładu i ku mojemu zdziwieniu nie bali się, że ktoś na kogoś doniesie. Powtarzam sobie: „To niesamowite” i to słowo przylepi się do mnie na następne kilka dni strajku.

Dziwi mnie, że ludzie wcale nie są ciekawi przemówienia Gierka. Dla mnie oczywiste jest, że przychyli się on do części żądań i załagodzi sytuację – on też chyba wie o 156 strajkujących zakładach. W końcu delegatom udaje się szczęśliwie połączyć mszę z Gierkiem, schodzą się na salę, słuchają przemówienia ze średnim zainteresowaniem i z kąśliwymi docinkami.

Ostatnie słowa szefa partii o spokoju, którego jeżeli zabraknie, to wszystkie inne sprawy utracą znaczenie, wywołują przed moimi oczami obraz łuf armatnich – tylko nie bardzo dostrzegam, czy to broń polska, czy jakaś inna.

Wałęsa intonuje „Jeszcze Polska...” i po raz pierwszy w czasie strajku widzę, że cała sala z rumorem wstaje,

ludzie z ogromnym przejęciem, łzami w oczach śpiewają, zagłuszając słowa spikera w telewizji.

Wałęsa o Gierku:

– Nas to nie obchodzi, my mamy swoich 21 postulatów, będziemy rozmawiać z ekipą rządową, na razie strajkujemy, czekamy, aż władza przyjdzie do nas.

Joanna Duda-Gwiazda do strajkujących:

– Przejęliśmy władzę w mieście. Musimy jutro zająć się organizacją życia.

Następnego dnia delegaci składają krótkie meldunki. W wielu zakładach dyrekcje próbowały rozpoczynać rozmowy z załogami, delegaci jednak z dumą podkreślają swoją stanowczość, odpowiadają: „Rozmawiać z wami chcieliśmy dawniej, teraz czekamy na rząd”. Wałęsa w euforii dodaje odwagi, chwali bardziej stanowczych.

Powtarzam sobie: „Jesteś w stoczni, w stoczni, to takie miejsce, gdzie budują statki, statki, jesteś w Polsce, w Polsce, to taki kraj komunistyczny, komunistyczny”.

Widowisko, które zaczyna powstawać na moich oczach, dzieje się w coraz pełniejszej sali obrad. Co dzień przybywa około stu zakładów – każdy zakład ma dwóch delegatów. Teoretycznie wprawdzie tylko jeden z delegatów siedzi na obradach, a drugi w tym czasie dodaje ducha załodze, ale w praktyce obaj są ciekawi tego, co dzieje się na sali. Co jakiś czas prezydium przypomina o konieczności utrzymania łączności delegatów z zakładami (Joanna Duda-Gwiazda: „Wasza obecność tutaj ma sens, jeżeli wasze zakłady strajkują”).

Od wtorku do MKS-u przybywają różne delegacje z wyrazami solidarności, solidaryzuje się każdy, kto chce i może. Zakłady, całe miasta (Kwidzyn), rejony (Śląsk), panie wracające z wczasów, przedszkolaki i przedszkolanki, uczniowie liceów, instytuty naukowe. Polskie Budownictwo Okrętowe, jeden ksiądz, jedna pisarka. Ponieważ każdy z solidaryzujących się musi przemówić – zajęcia mamy, jak nam się wydaje, na długie dni. Panie Ślązaczki zapowiedziano jako „kobiety o wielkim sercu, które zaraz zobaczymy”. Wywołało to niejaki ożywienie na sali: solidaryzowanie się z MKS-em było do tej pory męskim zajęciem, a tu nie dość, że panie, to jeszcze serce. Panie okazały się dwiema Ślązaczkami ze łzami w oczach, Bogiem, historią i Ojczyzną na ustach, sercem pełnym uniesień. Ten ton wyrazów solidarności utrzymuje się w większości przemówień.

Oprócz solidaryzujących się występują jeszcze potrzebujący rady. Siedząca obok mnie pani delegatka ma

zmarzwienie. W jej zakładzie przechowuje się w chłodni jeszcze z okresu przedstrajkowego kilka ton ryb. „Nieprzerobione zepsują się, a szkoda, przecież ludziska muszą coś jeść”. Delegatka zwraca się do zebranych z prośbą o radę. Przeważa opinia, że mimo strajku ryby trzeba przerobić. Nie ma jednak puszek. Zgłasza się delegat z „Błaszanki” i oferuje trochę opakowań. To jednak nie załatwia sprawy do końca. Kobiety z zakładów rybnych nie chcą podjąć produkcji bez wyraźnego polecenia MKS-u. Prezydium wystosowuje więc pismo, w którym prosi robotników, aby „kontynuowali produkcję, ale tylko do czasu, jak skończy się surowiec we własnych magazynach i tylko na rannej zmianie”. W moich zaprzyjaźnionych zakładach rybnych stosunki z dyrektorem układają się niezłe. Nie wtrąca się on do niczego, a nawet załatwia koce kobietom okupującym fabrykę.

Nie wszędzie jednak współpraca z dyrekcją układa się tak dobrze. Gromadka kobiet z RSW Prasa skarży się na dyrektora, który nie dopuszcza strajkujących do okupowania zakładu pracy. Kobiety nie mogą się tam wdrzeć, a bez okupowania nie ma strajku. Delegaci prześcigają się w radach. Wszystkich przebija Wałęsa – decyduje się na wystanie pisma do krnąbrnego dyrektora.

W mieście panuje już swego rodzaju moda na strajkowanie, ludzie zaczynają być dumni ze swej odwagi i bezkompromisowości. Wszyscy delegaci dojeżdżają na obrady do stoczni służbowymi samochodami – nyskami, fiatami, ciężarówkami – z zatkniętymi biało-czerwonymi flagami. Komunikacja miejska przeciw strajkuje. Niektórzy milicjanci, widząc ten wystrój samochodu, machają przyjaźnie, wrzucają do kabiny papierosy lub – jak zwykli przechodnie – pieniądze na MKS. Inni zatrzymują jadących, zabierają karty rejestracyjne lub tylko każą zdjąć flagę. Delegaci są oburzeni, wyraźnie chcą, żeby ich samochody można było odróżnić. Podoba im się żywiłowo manifestowane poparcie ulicy.

Cała sala obrad medytuje więc, jak oznakować samochody i co odpowiadać milicji. Są tacy, którzy radzą, żeby flagi na żądanie milicjanta zdejmować i następnie za rogiem wkładać, są inni, którzy wymalowałiby biało-czerwoną niezmywalnym lakierem, są tacy, którzy w obronie flagi poszliby na noże, są inni – i ci zwyciężają – którzy są za niedemonstrowaniem i nieprovokowaniem. Flagi powiewają przeciw nad zakładami pracy – powiadają.

Rad i propozycji w każdej dyskutowanej sprawie pada co niemiara. Zajęcia świetlicowe – tak nazywam ten wielki teatr MKS – prowadzi Wałęsa. Istotnym powodem jego ogromnego autorytetu jest, moim zdaniem, wiara – jak on to mówi – w zwycięstwo. Na sali Wałęsa jest zawsze w pogodnym nastroju, nie widać po nim strachu, paniki czy choćby śladów zdenerwowania, a przecież nikt przy zdrowych zmysłach nie jest w stanie wykluczyć interwencji wojskowej. Wałęsa nic nie robi sobie z władzy, która pomimo kolejnych apelów MKS-u nie stawia się na rozmowy. Obszar jego zarządzania ciągle się rozszerza, liczba strajkujących zakładów rośnie, dla rządu jednak MKS to fatamorgana.

Wśród delegatów daje się słyszeć pytanie: „A jeżeli oni wcale nie przyjdą?”. Wałęsa – przynajmniej dla tłumu – nie ma wątpliwości. Bez przerwy powtarza: „Naszym celem są wolne, niezależne od nikogo związki zawodowe i to uzyskamy”. Pokrzykuje: „Czarowali, czarują i dalej chcą czarować. Ostrzegam władze – koniec zabawy”.

Po innych członkach prezydium widać wyraźnie zmęczenie, niepewność, zdenerwowanie. Wałęsa jest jakby pozbawiony własnych nastrojów. Jego wejściu na salę obrad coraz częściej towarzyszą okłaski i skandowanie: „Le-szek, Le-szek, Le-szek!”, coraz częściej ktoś go prosi o autograf, ktoś inny pstryka zdjęcie.

Wiara Wałęsy w pomyślny bieg wypadków wydaje mi się nadzwyczaj nieroztropna. Do miasta przybywa komisja rządowa z wicepremierem Tadeuszem Pyką. Lekceważą oni całkowicie istnienie MKS-u, próbują natomiast prowadzić separatystyczne rozmowy z delegacjami poszczególnych zakładów. Co godzinę w miejscowym radiu słyhać komunikat o przyjeździe komisji, spiker podaje adres, pod którym ona urzęduje, oraz informację: „Komisja będzie rozmawiać wyłącznie z zakładami, które odetną się od KOR-u i Ruchu Młodej Polski”. A więc oni jeszcze stawiają warunki?

Poprzedniego dnia Gierek mówił o spokoju, którego jeżeli zabraknie, wszystko inne utraci znaczenie. Dowiadujemy się to tu, to tam o lądujących samolotach nafaszerowanych wojskiem, o otoczeniu stoczni przez milicję, o nadjeżdżających od Słupska i Elbląga kawalkadach samochodów wojskowych. Ktoś słyszał o manewrach w NRD, ktoś o złowróbnym komunikacie agencji TASS.

Im bardziej wątpię w to, czy dożyję następnego tygodnia, tym bardziej zaczyna mi być z tego powodu przykro.

Trudno jest opisać, co to znaczy bać się.

Kiedy wieczorem któregoś dnia siedzimy w naszej niewielkiej dysydenckiej grupie – analizując fakty, snując prognozy, myśląc o interwencji, ale o tym nie mówiąc – wpada Zaprzyjaźniony Dziennikarz i krzyczy:

– Cały KOR ma sankcje!

Uśmiechamy się dobrotliwie jak ludzie, których nic już nie jest w stanie zaskoczyć, ale odtąd, mówiąc o najbliższej przyszłości, dodajemy słowo „jeżeli”. Jeżeli będziemy żyli, jeżeli nie będziemy w więzieniu. Znajdujemy się przecież na najbardziej narażonym na ostrzał przyczółku Rzeczypospolitej, a na nim jesteśmy zwierzyną przeznaczoną „na pierwszy ogień”. Komunikaty radiowe nie pozostawiają cienia wątpliwości.

Nasze, łagodnie mówiąc, niepokoje mają charakter całkowicie elitarny. Większości delegatów nazwy KOR i Ruch Młodej Polski nic nie mówią, plotki nie docierają do nich tak jak do nas, a mało liberalnym przemówieniem Gierka i tonem artykułów w gazetach tylko my się przejmujemy. Na sali panuje spokój, delegaci zajmują się rozmowami Pyki z delegacjami strajkujących zakładów. Teoretycznie wprawdzie fakt podjęcia pracy przez kilka przedsiębiorstw nie miałby żadnego znaczenia w chwili, gdy strajkuje ich ok. 300, ale zasada „jeden za wszystkich, wszyscy za jednego”, starannie propagowana przez prezydium, staje się niemal kanonem moralnym.

Część ekipy, od której kilkaset zakładów ma się odciąć, pisze list do MKS-u z prośbą o pomoc w uwolnieniu naszych więzionych kolegów. Ścisłej mówiąc, piszemy trzy pisma – Konrad, Bogdan Borusewicz i ja siedzimy w trzech rogach sali i każdy tworzy swoją wersję, a w międzyczasie załatwiamy służbowe interesy. Konrad zarządza drukowanie ulotek zawiadamiających o powstaniu MKS-u, ja rejestruję nowe zakłady, rozchwytywany Bogdan gada z ludźmi.

To, co stworzyliśmy, okazuje się i tak gorsze od oświadczenia sprokurowanego przez prezydium MKS-u, które pisze o „nasilającej się fałszywej i prowokacyjnej propagandzie”, o tym, że strajkujące załogi „nie rozbijają jedności narodu polskiego”. Równocześnie Wałęsa objaśnia sali, co to jest KOR, powołuje się na osobistą znajomość z członkami KOR-u, wreszcie powiada:

– Ludzie ci nami nie kierują, ale nam pomagają. Nie będziemy się od nikogo odcinać.

To wszystko nie w pełni do mnie dociera. Strzały są ciągle możliwe. Tak jak wszyscy nie mam czasu ani dość

dobrego miejsca na spanie. Którejś nocy, w momencie, gdy kładłam się spać na podłodze z głową pod stolikiem, a nogami pod fotelem, chłopcy ze służby porządkowej przynieśli skrzynkę pełną pieniędzy. Były to datki wrzucane przez ludzi gromadzących się przy III bramie, przeznaczone na potrzeby MKS-u i na pomnik zabitych w 1970 r. stoczniowców. Całą noc trwało tuż nad moją głową liczenie pieniędzy – było tam kilkaset tysięcy złotych i masa obcej waluty. Ekipa licząca pieniądze, wzbogacona w nocy przez panienkę w waciaku, nastawiła – co prawda cicho – tranzystor („witamy państwa z Katowic – zapraszamy na nasz cotygodniowy nocny program muzyczny”) i gadała. Spać się żadną miarą nie dało. Co chwila wysłuchiwałam kolejnego komunikatu o stanie konta MKS-u. Nad ranem rozległ się przeraźliwy łoskot – to wylatywały ze skrzynki pochylonej nad stolikiem kilogramy bilonu. Radio grało, panienska przekomarzała się z chłopcami i wydawała opinie o gdańskich dyskotekach, chłopcy układali bilon w długie kolumny. A ja przestałam bać się armat, bo czyż mogą wjechać czołgi w tak niepoważnej scenerii?

Ranek po domniemanej inwazji okazał się niesłychanie pogodny. Wszystkie zakłady negocjujące z Pyką posłusznie meldowały o odstąpieniu od rozmów, sala biła im głośno brawa.

Normalizacji uległy nie najlepsze stosunki między Stoczną Gdańską a Stoczną Remontową. Delegaci Stoczni Remontowej uznawali, że zostali zdradzeni przez moją stoczną, ponieważ Wałęsa egoistycznie odwołał strajk (jeszcze przed powstaniem MKS-u), zostawiając ich – strajkujących solidarnie ze Stoczną Gdańską – na lodzie. Dlatego bez specjalnych wyrzutów sumienia rozpoczęli rozłamowe rozmowy z Pyką. Była to realizacja przysłowia „Jak Kuba Bogu...”.

Jednakże za Pyki w Gdańsku panowała już moda na bycie w MKS-ie i na nieprzekupność. Zakłady prześcigały się w różnych konkurencjach: kto nie złakomi się na obietnicę dyrekcji i Pyki, kto zbierze więcej pieniędzy na MKS. Trudno więc było Pyce cokolwiek osiągnąć. Do sali MKS-u poza Stoczną Remontową i Północną wrócił taki gigant jak Zarząd Portu Gdańsk. Jego delegat, młody robotnik, operator jakiegoś tam sprzętu, opowiadał mi o walkach frakcyjnych w ramach samego Komitetu Strajkowego Zarządu Portu. Walki te spowodowały, że delegat całego portu przez jakiś czas reprezentował tylko jego część – a mianowicie Port Północny. Reszta

rejonów była skłonna załatwiać swe interesy z premierzem Pyką lub kimkolwiek innym, byle nie z niepewnym politycznie MKS-em. Mój delegat wraz ze swoją ekipą spacyfikował nieprzychylną MKS-owi część Komitetu Strajkowego, rozmowy z Pyką zostały zerwane i cały Zarząd Portu Gdańskiego znalazł się znów w MKS-ie. Delegat opowiadał dzieje swoich batalii jak najciekawszy kryminał. Co pewien czas cytował np. Joyce'a, a ja słuchałam z niedowierzaniem.

Zakłady, którym Pyka lub ktoś z jego komisji proponował negocjacje „na boku”, poza MKS-em, przechwalały się, jaką odprawę dały władzy. Zakłady Mechanizacji Rolnictwa np. meldowały, że odesłały ministra rolnictwa spod bramy, mówiąc mu: „Tylko MKS będzie rozmawiał z rządem”. Zrozumiałam wtedy, że albo rząd się ukorzy i przyjdzie do stoczni, albo sprawę załatwi użycie siły.

Od razu na początku pobytu w stoczni przeżyłam chwile grozy. Otóż rozmawiałam z kilkoma znanymi mi dziennikarzami. Znajdowali się oni w grupie nieznanymi mi ludźmi. W pewnym momencie podszedł zaprzyjaźniony dżentelmen i szepnął: „Uważaj, ten w środku to Wojciechowski z Interpressu. Zaraz usuniemy go z sali”. Wzbudziło to moje ogromne zainteresowanie, agencja reprezentowana przez pana Wojciechowskiego znana mi była z różnych wypowiedzi daleko odbiegających od prawdy. Zapytałam więc:

– Przepraszam, pan z jakiej agencji?

– Z Interpressu, Wojciechowski – odpowiedział mój rozmówca.

– A ja z KOR-u, Milewicz – odezwała się i w tym momencie wyobraziłam sobie dezaprobujące miny Jacka Kuronia i Adama Michnika. Siedzę przecież w stoczni, cała prasa atakuje KOR stojący za plecami robotników, a ja, idiotka, przyznaję się akurat Wojciechowskiemu do obecności tutaj. Cóż za niepolityczne posunięcie – powiedzieliby moi koledzy. Przeraziłam się też, że prezydium może mnie usunąć ze stoczni.

– Pana agencja podała nieprawdziwe informacje w sprawie Mirka Chojeckiego.

– Tak pani sądzi?

– Ja nie sądzę, ja wiem.

– Hm.

– A co pan sądzi o obecnej sytuacji w kraju?

– Myślę, że fala strajkowa rozszerza się coraz bardziej.

Było to już ostatnie zdanie wypowiedziane na sali

obrad MKS-u przez mojego rozmówcę. Podszedł bowiem do niego robotnik w biało-czerwonej opasce. Zapytał: „Pan Wojciechowski?” i usłyszałam znane mi skądinąd: „Pan pozwoli ze mną”.

Byłam zachwycona reakcjami ludzi; tymi zauważanymi w rozmowach w „kularach” i tymi widocznymi na kilkusetosobowej sali obrad. Mówili: „Przecież nikomu nie chodzi o pieniądze, wiadomo, że dwóch tysięcy złotych podwyżki nie dostaniemy, nam chodzi o Polskę, przecież tak już nie da się żyć”. Zdumiewało mnie to, że nie chodzi o tzw. kiełbasę. Trochę zabawna wydawała się mieszanka patriotyzmu i religijności widoczna już w bramie wjazdowej (krzyż, Papież, flagi, to wszystko w kwiatkach), ale czułam się jak widz we wspaniałym jarmarcznym teatrze.

Pewnego dnia Wałęsa otrzymał w darze od kogoś spod bramy metalową figurkę Chrystusa. Ogłoszono plebiscyt, co zrobić z darem. Sala przegłosowała, że Chrystusa trzeba przybić do krzyża i powiesić nad stołem prezydiąlnym.

A skąd wziąć krzyż? Wystarczył apel w radiowęźle i zgłosiły się dwie brygady strajkujących cieśli.

Już po zabraniu figurki do warsztatu stolarskiego za stół prezydiąlny wbiega młody człowiek, chwytając mikrofon i kilkakrotnie dramatycznie powtarza:

– Za chwilę odczytam historyczne oświadczenie. Proszę wszystkich dziennikarzy polskich i zagranicznych, z prasy, radia, fotoreporterów i filmowców, żeby zbliżyli się do stołu prezydiąlnego. Proszę wszystkich delegatów o uwagę i ciszę.

Dziennikarze naciągają, fotoreporterzy na kredyt robią zdjęcia. Krzysiek Wyszowski i Konrad zarządzają przerwę w pracy maszynistek. Na sali kompletna cisza. W tym momencie ocknął się ktoś z prezydium i pyta: „A pan kim jest?” (mikrofony na sali i w ogóle cały radiowęzeł są bez przerwy pilnowane, dopóki choć jeden mikrofon działa, prezydium nie odchodzi od stołu, wejście do radiowęzła ciągle obstawia służba porządkowa; cały teren stoczni jest radiofonizowany, również ludzie tłumnie stojący przed bramami przysłuchują się obradom – można więc sobie łatwo wyobrazić jakąś prowokację).

– Jak to, nie znacie mnie? Jestem stąd, ze Stoczni Gdańskiej, nazywam się Ireneusz Leśniak. Jestem zastępcą kierownika biura do spraw osobowych i organizacyjnych. Przecież mnie znacie.



Sala BHP w Stoczni Gdańskiej, przemawia Andrzej Gwiazda, sierpień 1980 r. Fot. Stanisław Składanowski, zbiory ECS

Do stołu zbliżają się osobnicy z biało-czerwonymi opaskami służby porządkowej Stoczni Gdańskiej, nikt jednak nie zna postaci na scenie.

Po chwili zza ludzi wyłania się pani Ania Walentynowicz, podchodzi do podwyższenia i mówi: „A to pan Leśniak, ja pana znam”. „Oczywiście, to pani Ania”, odpowiada uradowany pan Leśniak, bierze mikrofon i już bez przeszkód odczytuje 10-minutowy tekst. Czyta o tym, że jest synem ubogiego piekarza, członkiem Koła Młodych gdańskiego oddziału Związku Literatów Polskich, że wychowany był w „ideałach patriotyzmu”, zawsze służył jak najlepiej ojczyźnie, wie, co to robotniczy trud, widzi, ile niesprawiedliwości i zła działo się w ukochanej ojczyźnie, prosi o przebaczenie, chce przyłączyć się do strajkujących robotników, co by ich wesprzeć w walce o słuszną sprawę. Pan Leśniak nie może odczytać więcej niż jedno zdanie naraz. Przerwywają mu ogłuszające brawa sali dobrze tolerującej patos. Wydaje mi się to żenująco niesmaczne, nic z tego wszystkiego nie mogę zrozumieć, nie mogę usiedzieć na miejscu, podchodzę do dżentelmenów i dam z Ruchu Młodej Polski – oni też nic nie rozumieją. Dołącza do nas Krzysiek

i Konrad. Jedynie my, prezydium, dziennikarze, okazujemy się odporni na euforię sali i nie klaszczemy.

W ostatnich zdaniach pan Leśniak zwraca się do „ukochanego Edwarda Gierka, który jest dla nas jak papież, żeby przybył do stoczni i wszystkich uratował, bo tylko wam, Edwardzie Gierku, wierzymy, bo wy jesteście dla nas jak ojciec, tylko wy nam pomożecie”.

Leśniak kończy – na sali owacja, delegaci klaszczą z zapamiętaniem, wydając pomruk robotniczego zadowolenia.

Do mikrofonu podchodzi pani Ania. Jest to niewysoka, dość drobna pięćdziesięcioletnia kobieta, bardzo lubiana przez salę. Mówi drżącym głosem, boję się, że zaraz będzie płakać.

– Tak, znam pana Leśniaka, to on prześladował mnie przez całe lata, to on jako kierownik kadr wyrzucał mnie tyle razy z pracy, szykanował, przez niego tyle razy płakałam.

Pani Ania nie może nic więcej powiedzieć, pan Leśniak stoi na podwyższeniu, sala wrzeszczy: „Wyrzucić go, wyrzucić!”. Na podium wchodzi w eleganckim garniturze pan, przedstawia się jako Stanisław Esden-Temp-

ski, prezes Koła Młodych przy gdańskim oddziale ZLP. Przypomina, że dziś odczytał list solidarnościowy Koła Młodych, i następnie oświadcza, że Ireneusz Leśniak nie jest członkiem Koła Młodych.

Na sali histeria.

– Kłamca, kłamca, wyrzucić go, wyrzucić go natychmiast.

Zebrani wstają z miejsc, niebezpiecznie zbliżają się do stołu prezydyjnego.

Nie mogę spokojnie ustać w jednym miejscu, nagle zobaczyłam, jak groźny i bezrozumny potrafi być tłum, jak trudno jest mu przewodzić, jak łatwo manipulować. Od tego momentu przestałam to, co widzę, określać jako „niesłychane”. Wszystko stało się już „słychane”.

Mikrofon bierze Wódz.

– Natychmiast ma być spokój – krzyczy. – Rozumiem, co się stało. Widać szykuje się zmiana ekipy rządzącej. Szczury opuszczają okręt. Siadajcie i zachowajcie spokój.

Klaszczemy Wałęsę, który pewnie i spokojnie mówi do mikrofonu:

– Usuniemy pana Leśniaka ze stoczni. Nie jest on potrzebny między nami. Zabierzemy mu przepustkę, ale bardzo proszę, by nikt go nie tknął palcem. Proszę dziesięciu ludzi ze służby porządkowej Stoczni Gdańskiej, niech podejdą do prezydium, wyprowadzą pana Leśniaka z sali i doprowadzą bezpiecznie aż do bramy.

Na sali ciągle trwa rozgardiasz, słyszę lekki pomruk robotniczej – tym razem – dezaprobaty. Słyszysz to również Wałęsa i zmienia decyzję: – Ja sam pójdę z panem Leśniakiem i służbą porządkową do bramy. Tylko pamiętajcie, jeżeli ktoś tknie pana Leśniaka, zrzeknę się prowadzenia strajku, a wicie, że zawsze dotrzymuję słowa. Przepuście nas w całkowitym milczeniu. Niech to będzie największa dla niego obelga.

Orszak z Wałęsą, Leśniakiem i obstawą powoli wychodzi z sali, błyskają flesze, wszyscy wstają, jest cicho. Z osłupienia wytrąca mnie donośny głos:

– Nazywam się Andrzej Gwiazda. Nieraz żęście mnie już chyba słuchali. Bardzo was proszę, okażcie rozsądek, przepuście pana Leśniaka bezpiecznie do bramy, niech włos mu z głowy nie spadnie, zachowajcie spokój.

Andrzej kończy swój apel, mikrofon przejmuje człowiek ze służby porządkowej:

– Ja nie wiem, czy wszyscy na sali wiedzą, po co tu są. Mnie się wydaje, że nie wiedzą. Stoje tu cały czas, słucham i zastanawiam się, po co klaskaliście temu Leśniakowi.

Na sali poruszenie, ktoś krzyczy: „Bo wszyscy klaskali”, ktoś inny: „Bo zawsze się klaszcze”. Głos zabiera delegat z sali: „Jestem jednym z tych, którzy klaskali, naprawdę nie umiem tego wytłumaczyć, muszę jednak publicznie się przyznać, wstyd mi bardzo, ten Leśniak tyle krzywdy narobił pani Walentynowicz”.

Mikrofon wrywa mu Wałęsa, który właśnie odprowadził pana Leśniaka do bramy i zwycięski wraca:

– Dość mam już tej całej sprawy i tego Leśniaka, żeby nikt więcej ani słowa o nim nie powiedział!

Z pomocą Wałęsę nieoczekiwanie przychodzą cieśle wnoszący prosty, drewniany krzyż z ukrzyżowanym Chrystusem. Wszyscy zapominają o Leśniaku i zajmują się Chrystusem.

Na stole, na podestach, w puszkach blaszanych, słojach, butelkach po mleku i oranżadzie kwiaty, bukiety z wpiętymi karteczkami, których nikt nie ma już siły czytać. Pomiędzy nimi rzeźba w drewnie – prezent od nieznanego ofiarodawcy dla Wałęsy. Krzyż z Chrystusem na wniosek sali cieśle przybijają do frontowej ściany stołu prezydyjnego – za dwa dni sala zarządzi przewieszenie go nad stół prezydyjny, pomiędzy czerwoną flagą i białego orła.

Wtedy to do stołu podejdzie niewysoki, krępy, pozbawiony szyi jegomość, weźmie mikrofon do ręki i powie:

– Jestem delegatem małego zakładu w Pruszczu Gdańskim, siedzę tu już kilka dni i czuję, że muszę się do czegoś przyznać. Nie wytrzymam tego milczenia. Czuję się jak Kmicic. Jestem członkiem partii, byłem delegatem na VII Zjazd, delegatem na II Konferencję PZPR, członkiem KW w Gdańsku.

Sala pamiętająca doświadczenie z Leśniakiem krzyczy: „Wyrzucić go, wyrzucić!”. Zakłopotany człowiek próbuje się tłumaczyć, że on może przysiąc na to, co najdroższe, sam jest człowiekiem religijnym, z żoną wziął ślub kościelny, a i dzieci ochrzcił, mimo że członek partii. Sala wrzeszczy: „Znamy takich, kto go delegował?”.

Człowiek na scenie miota się przerażony, tłum jest nieubłagany. W końcu powiada:

– Przysięgnę wam na krucyfiks, że mówię prawdę – jestem członkiem partii, ale naprawdę jestem z wami.

Krucyfiks wisi zbyt wysoko. Ktoś podsuwa krzesło, delegat wskakuje na nie, całuje figurkę. Dostaje odpuście.

Patrę na to wszystko i czuję, że w mojej głowie, tak jak i w głowach delegatów, wirują w jakimś oszalałym

tańcu krucyfiks, Polska, orzeł biały, uśmiechnięta twarz Papieża, Wałęsa, POP (Podstawowa Organizacja Partyjna PZPR), sierp i młot. Wszystko to tworzy jakąś nierozwalną całość, która tam, na sali, symbolizuje polski komunizm.

Zapowiadane przybycie premiera Jagielskiego wywołało wielkie zainteresowanie delegatów i służby porządkowej. Sala obrad i hala zostały odkurzone, pucowano każdy szczebelek foteli, na których mieli zasiąść dostojni delegaci. Zorganizowano kilkadziesiąt metrów sznurów, a to w celu powiązania szpalerów witających delegację rządową. Delegacji udało się szczęśliwie i bezpiecznie przejść do dużej sali obrad dokładnie wypełnionej; tam nastąpić miało oficjalne przywitanie. Błyskały flesze, terkotały kamery, na twarzach prezydium i członków komisji rządowej widać było napięcie. Same rozmowy odbywały się w sąsiedniej, tzw. małej sali, ale były transmitowane na teren całej stoczni. Słuchali także zgromadzeni na ulicy, przed bramą.

Premier zaczął od zadeklarowania swoich najlepszych chęci, intencji, szacunku dla strajkujących i MKS-u. Wywołało to szmer powątpiewania delegatów, szmer dosłyszany również przez premiera. Trudno było i mnie uwierzyć w owe różne „najlepsze” – w szczególności dlatego, że Jagielski zaraz po przyjeździe do Gdańska próbował przeforsować branżowe rozmowy z zakładami, z pominięciem MKS-u. Na ten haczyk w Gdańsku wtedy nic nie mogło się premierowi złapać. Tak więc jego „dobra wola” była wywołana brakiem innego wyjścia.

Początek negocjacji był usłany pytaniami premiera: „Czy mnie słychać? Czy słyszą mnie delegaci?” skierowanymi do obsługi radiowęzła. Niektórzy delegaci, aby zasygnalizować swemu premierowi, że go słyszą, w odpowiedzi klaskali. Natychmiast jednak byli uciszani przez resztę sali. Zaprzyjaźniony delegat krzychał: „Nie klaskać, nie klaskać, on tak specjalnie pyta, żeby mu klaskać!”. Doprawdy premier nie cieszył się sympatią podejrzliwej sali.

W zasadzie rozmowy z Jagielskim przebiegały według stałego schematu.

Wolne związki zawodowe? Trzeba zreformować stare. Ruch związkowy ma tradycje i zasługi, może tu i ówdzie są niedociągnięcia, dlatego trzeba myśleć o nowej ustawie o związkach.

Wolność słowa? Jest zagwarantowana przez konstytucję. Jaką konstytucję? Oczywiście postępową i demo-

kratyczną. Poza tym we wszystkich krajach jest cenzura. Możliwe, że tu i ówdzie mamy do czynienia z niedociągnięciami – trzeba się temu przyjrzeć, ale wolność słowa jest.

Więźniowie polityczni? Pan premier nie słyszał. W Polsce nie ma. Mówił mu przed przyjazdem, prawda (ulubiony wtręt słowny obywatela premiera, czysta forma, bez treści), minister sprawiedliwości.

Bezpieczeństwo dla strajkujących i osób wspomagających strajk? Pan premier jest zdziwiony postawieniem pytania, powtarza za ulotką zrzucaną nad miastem: „...jeżeli nie naruszyli obowiązującego ustawodawstwa”. „Osoby wspomagające” (strzygę uszami z zainteresowaniem wywołanym względami całkowicie osobistymi) nie są kategorią, co do której premier chciałby się wypowiedzieć.

Podwyżka płac o 2 tys. złotych? Pan premier jest zdania, że byłoby to głęboko niesprawiedliwe. Wprawdzie obecni na sali delegaci reprezentują – jak mi się wydaje – w sposób niewątpliwy całą społeczność Wybrzeża, ale co tam – Jagielski wie lepiej – byłaby to niesprawiedliwość. Zdawało mi się, że taka ocena wypowiedziana nie tylko do stocznio-wca nieźle zarabiającego, ale i do znajomej delegatki (3 tys. zł miesięcznie, dwoje dzieci, brak mieszkania), jest po prostu nietaktowna; w końcu jednak myślę, że po premierze należy się spodziewać rozumu, a nie taktu.

Oczywiście, nie ze wszystkimi postulatami MKS-u pan premier się nie zgodził.

Zwiększyć zasób informacji o stanie gospodarki? Oczywiście, postulat głęboko słuszny.

Zwiększyć podaż mięsa, liczbę miejsc w przedszkolach, budownictwo mieszkaniowe, nakłady na służbę zdrowia – to wszystko pan premier aprobejuje – przy śmiechach sali rozumiejącej, co to znaczy wykręcić się sianem. Żądanie zwiększenia nakładów na zdrowie współrodaków jest szczególnie bliskie panu premierowi, bo: siedział w Oświęcimiu, matka jego chorowała, bo on sam też, a ostatnio miał zawał (delegat obok mruczy: „W klinice rządowej leżał, a nie w szpitalu miejskim”; delegatka obok: „Do kościoła by poszedł, księdzu się zwierzył”), kolejne enuncjacje pana premiera spotykają się ze śmiechem sali, zupełnie pozbawionej zdolności współczucia.

Mniej więcej w połowie listy żądań MKS-u prezydium przypomina sobie, że nie został spełniony wstępny

warunek rozpoczęcia rozmów postawiony przez MKS, a mianowicie przywrócenie łączności telefonicznej Trójmiasta z resztą kraju. Nagabnięty dość ostro premier co robi? Oczywiście zdumiewa się. Nic nie wie o takim warunku. Pyta, o co chodzi i dlaczego to takie ważne. Że on ma najlepszą wolę. Intencję. Chęci. Że przyjechał, że był zajęty, że może nie zauważył, że się zainteresuje, że nie jest kompetentny, a uruchomienie łączności to nie takie proste. On nie może, bo nie jest technikiem.

Prezydium nie ustępuje; Florian Wiśniewski (członek prezydium) tłumaczy, że ma dziecko na koloniach pod Warszawą i chciałby zadzwonić. Andrzej Gwiazda stwierdza, że aby łączność przywrócić, trzeba – najogólniej biorąc – włączyć wtyczkę do czegoś tam. Z opresji próbuje pana premiera wybawić Wierny Dworzanin z komisji rządowej. – Ja wytłumaczę – powiada. – Nad Warszawą przeszedł wczoraj huragan – powiada. Silny huragan. Na pięknej alei Żwirki i Wigury, prowadzącej z lotniska do miasta, powalone zostały lipy. Piękne, długowieczne lipy. Stare lipy (z zainteresowaniem czekam na cytaty z Kochanowskiego, z podziwem myślę – oni nawet huragan potrafią zaprzęć w służbę matactwu, a ten sprytny huragan wie, że ma zerwać połączenia akurat z Gdańskiem, a nie np. z Rzeszowem), centrala telefoniczna na Żoliborzu została uszkodzona.

Prezydium nie okazuje zrozumienia dla rozmiaru szkód wyrządzonych przez huragan. Na sali słyszę: „Znów próbują nas wystawić do wiatru”. Śmiejemy się, delegat – o wietrze, rząd o – huraganie. Wreszcie wspólne zainteresowania. Decydujący jednak jest głos Wałęsy, który chce wysłuchać całości tego, „co pan premier ma do powiedzenia”. Wysłuchamy, ale nie będziemy rozmawiać, dopóki telefony nie zostaną włączone. Pan premier w spokoju kończy i otrzymuje ostatecznie upomnienie.

– Na telefonach nam zależy – stwierdza prezydium.

Jeszcze cała sala – „Jeszcze Polska...”. Jeszcze komunikat: jutro, w niedzielę, ksiądz odprawi mszę przed II bramą. Ja idę spać, prezydium opracowywać argumenty do następnej tury rozmów, Konrad i Mariusz Wilk przygotowywać pierwszy numer „Strajkowego Biuletynu Informacyjnego Solidarność”. Zapoczątkowało to szalę zbieractwa. Kolejne numery „Solidarność”, ukazującej się dwa razy dziennie, były dosłownie rozchwytywane. Jeżeli gdzieś na terenie stoczni dostrzegłam zbitą i wrzeszczącą tłum, wiedziałam: albo rozdają medaliki

i święte obrazki od miejscowego biskupa, albo człowiek Konrada dowiózł wózkiem akumulatorowym kolejny numer „Solidarność” ze stoczniowej drukarni.

Jagielski wyjechał do Warszawy na plenum, a do mnie zgłosiła się matka chłopca zaginionego na początku strajku. Chłopiec pracował na traserni wydziału K-3; pojechałam meleksem do odległego budynku rozpytywać o niego (po drodze mijamy robotników – ręce założone do tyłu, krok spokojny, słowa niespokojne, ważące przyszłość Polski, starannie, z namaszczeniem, inni – inaczej, rozłożeni na trawnikach, śpiący, opalający się, grający w karty przy stolikach ze skrzynek po coca-coli, stąd i zowąd okrzyk: „Ma pani trójkę »Solidarność«?”). Na pewno Jagielski nie przyjedzie z Warszawy, Ruskie wejda? Autograf Wałęsy, wystrzelają nas – to wszystko widzę, słyszę). Z chłopcem nie wiadomo co, matka płacze. Wracam na salę, słyszę, jak sala w telewizorze wstaje (to plenum KC wstaje) i: „Wyklęty powstań ludu ziemi”, moja sala nagle: „Jeszcze Polska nie zginęła”. Pieśń mojej sali zagłusza tamtą, obrazu w telewizorze nie widać, bo zastoniły go ręce wyciągnięte do góry, z palcami rozstawionymi w znak V. Domyślam się tylko, że słowa „Bój to jest nasz ostatni” współgrają w jakimś momencie ze słowami „Jeszcze Polska nie zginęła”. I są dwie strony, jedna z determinacją udaje się w ostatni bój, a druga jakaś naiwna i patriotyczna... Czy Jagielski przyjedzie, czy telefony włączą. *We all live in the yellow submarine* – wyjaśnia radiowęzeł głosem Beatlesów.

Lech zaszczyca salę swoją obecnością tylko na parę minut w ciągu dnia. Resztę czasu spędza wraz z prezydium na obradach z komisją ekspertów.

Jagielski zdecydował się na włączenie telefonów. Jest to pierwszy sukces w rozmowach.

Nie nadążałam z przeżywaniami tego wszystkiego. Wiadomości, liczby, plotki, cudze zmartwienia, zajęcia świetlicowe przeplatane hymnem i zapowiedziami mszy, rozmowy z Jagielskim, cały ten teatr MKS kłębił mi się w głowie. Wałęsa co najmniej dwa razy dziennie zarządził, ku pokrzepieniu serc „i żebyśmy się tak razem poczuli”, odśpiewanie hymnu. Po kilku takich porcjach przestałam wyśpiewywać hymn, za to – zaczęłam chodzić pod II bramę, gdzie ksiądz odprawił mszę. Dziwna to była msza. Na ulicy, przed stocznia, na terenie stoczni, przed bramą ogromny tłum ludzi, pośrodku, między nimi, brama jakby oblepiona kwiatami. Zza bramy wy-

stawał drewniany krzyż – zabetonowany na początku strajku – załazek przyszłego pomnika zabitych w 1970 r. stoczniovców. Po mojej stronie bramy ludzie w kufajkach, poważni, nieco już znużeni monotonią strajkowego dnia, pomiędzy nimi delegaci do MKS-u w normalnych ubraniach. Niektórzy wspinają się na wózki akumulatorowe, żeby lepiej dojrzeć księdza. W przykładowym szpitalu we wszystkich oknach pacjenci i pielęgniarki, na dachu portierni fotoreporterzy.

Puste były tylko okna i balkony w dwóch wieżowcach tuż za bramą. Nigdy, podczas całego strajku, nie widziałam tam żadnego gapia. Trochę mnie to denerwowało. Ich mieszkania znajdowały się w – jakby tu powiedzieć – miejscu strategicznie istotnym; miałam uczucie, że jeżeli opuścili dom, to nie bez przyczyny.

Po mszy Ruch Młodej Polski odmawiał różaniec. Modlił się za więźniów politycznych, KOR, ROPCiO, za więzionych na 48 godzin, za władzę („żeby wykazała rozsądek”), za drukarzy niezależnych. Stopień szczególności tych modlitw był tak duży, że wyczekiwałam, czy pomodłą się też za korbkę od powielacza, który wprawdzie zabrała policja, ale korbka by się przydała do czegoś innego. Wszystkie te modły kończyło odśpiewanie „Boże coś Polskę”. Śpiewałam wraz ze wszystkimi „Ojczyznę wolną racz nam wrócić, Panie” i ta prośba do Pana Boga wydawała mi się w tym miejscu na ziemi stosowniejsza niż zarozumiała: „póki my żyjemy...”.

Po mszy często wypuszczałam się na objazd stoczni. Pewnego dnia, stojąc na moście pontonowym, właśnie zaczynałam się zagapiać, gdy zobaczyłam tuż obok wyłaniającego się z pejzażu dżentelmena. Dżentelmen ten był obdarzony twarzą wrażliwego inteligenta, topiącego tę wrażliwość w co najmniej jednej półlitrowce dziennie. (Oczywiście w czasie strajku – ani kropli). Im bardziej zbliżał się do mnie, tym bardziej utwierdzałam się w swoim pierwszym wrażeniu. Stał. Ponieważ nic nie mówił, zajęłam się zagapieniem. Gapiłam się w zasadzie w wodę, ale mogę powiedzieć, co bym widziała, gdybym się w wodę nie gapiła. A więc widziałabym masę chaotycznie po stoczni rozrzuconych budynków, budynekczków, budek, olbrzymie, chyba dwudziestopiętrowe dźwigi KONE (na szczycie jednego biało-czerwona flaga), statek ro-ro z dalekim napisem „Rio de Janeiro” i nazwą „Autoestrada”, obluźowane deski mostu.

Tego wszystkiego jednak nie widziałam, gapiłam się w wodę. Mój sąsiad na moście zaczął od słów: „Jak pani

myśli, strajk chyba niedługo się skończy?”. Następnie opowiedział mi o wybuchu – w końcu maja – na statku wykańczanym w Stoczni Północnej. Zginęli wtedy jego koledzy, a on sam cudem nie został poraniony. Opowiadał o akcji ratunkowej i o tym, co komu rozerwało. Widać było, że musi to opowiedzieć.

– Gdyby nie strajk, nie można by było żyć. Jak długo można, tak jak osioł do pracy, z pracy, dać tak sobą popychać, czytać te gazety, żyć jak nędzarz, bez przyszłości. Trzeba mieć przecież szacunek dla siebie samego, czy pani rozumie? – zapytał.

Po chwili oboje zagapiliśmy się w wodę, ja przy okazji przerabiałam w myślach temat „Strajk a godność człowieka”.

W piątek wieczorem przyjeżdża dama z Warszawy. Przywozi list od Gajki [Kuroniowej]. Sankcje prokuratorskie ma cały tzw. młody KOR i liczni współpracownicy. Gajka pisze bardzo dramatycznie. Ma żal do MKS-u, bo milczy, do mnie, bo nic nie robię. Idę więc z jej listem i wykazem osób siedzących szukać miejscowych dostojników. Mam uczucie odwracania biegu historii. Proszę Zenka Kwokę, delegata z WPK, sekretarza Wałęsy, żeby załatwił mi trzyminutową audiencję. Zenek uśmiecha się, salutuje: – Masz to załatwione.

Lech jak zwykle otoczony prasą, interesantami, wielbicielami: „90 proc. zwycięstwa – powiada. – A mówiłem, żebyście mieli do mnie zaufanie”. Stały repertuar. Jestem piekielnie zmęczona optymizmem. Marzy mi się jakiś zdrowy pesymista, ale nie histeryk. A tu albo entuzjazm Wałęsy, albo czarnowidztwo intelektualistów z Warszawy. Stają nieopodal, pod ścianą. Zenek z dobrośliwym uśmiechem wyciąga swego podopiecznego z łap entuzjastów. Wałęsa podchodzi do mnie, nadstawia jeden policzek do pocałowania (myślę sobie: Jacek siedzi w więzieniu), potem drugi (myślę sobie: Janek siedzi w więzieniu).

– A nie mówiłem – zaczyna.

– Mówił pan. Ale ja mam inną sprawę. Cały KOR siedzi w więzieniu, od wczoraj mają sankcje. Tylko wy możecie coś zrobić.

– Załatwione – Wałęsa nie ma żadnych wątpliwości. – Postawimy to jutro Jagielskiemu jako warunek rozmów.

Słyszę, co mówi, ale nie bardzo wierzę. Zaczynam więc szukać Wytypowanego Eksperta i Andrzeja Gwiadzy. Naprzód Ekspert.

- Przyniosłam panu list, jaki do mnie napisała Grażyna Kuroniowa, oraz listę zatrzymanych członków i współpracowników KOR-u. Część ma już sankcje, część na pewno lada dzień dostanie.

- I czego pani oczekuje?

- Proszę pana, tylko MKS może załatwić ich zwolnienie.

- My mamy tylko głos doradczy. Ale uważam, że to nie jest właściwe posunięcie. Jeżeli MKS wygra, zdaje sobie pani zapewne sprawę, że KOR wyjdzie na wolność. Jeżeli przegra – przegramy my wszyscy. A poruszanie tej sprawy może tylko zaszkodzić. Zresztą naprawdę jestem przekonany, że lada dzień wszyscy wyjdą.

- Zgadzam się z panem najzupełniej. Chyba wyjdą. Ale na razie siedzą i ja nie mam pewności, czy wyjdą. A przecież dopóki siedzą, jest to również niebezpieczne dla prezydium MKS-u, w końcu w oczach władzy to też dysydenci.

- Czy pani nie zastanawia się nad tym wszystkim? Dlaczego dla pani to takie jednoznaczne?

- Nie, nie zastanawiam się wcale. Rozstrzygnęłam takie kwestie sama dla siebie już dawno. Jeżeli człowiek siedzi w więzieniu, to trzeba wykorzystać dla jego uwolnienia wszystkie środki, jakie można wymyślić, a nie szukać politycznych powodów do nicnierobienia.

- To pani zdanie, ale dlaczego chce pani manipulować innymi?

- Manipulować? Przecież ja z panem rozmawiam.

- Mogę pani obiecać, że w przerwie obrad szepnę parę słów członkom komisji rządowej. Czy panią to zadowala?

- Nie. Proszę pana, czy pan nie widzi, że mamy do czynienia z gangsterami? Tylko postawione im ultimatum może spowodować zwolnienie KOR-u. W końcu mieści się to w postulatach MKS-u. Są to ewidentni więźniowie polityczni.

- Dla pani wszystko jest takie proste. Tu są rokowania i trzeba mieć wyczucie polityczne. W „Solidarności” ukazał się taki felietonik o rozmowach z Jagielskim. Przez takie głupstwa i brak rozsądku rozmowy o mało co nie zostały zerwane.

- To ja napisałam ten felietonik.

- Och, bardzo panią przepraszam za ten zwrot. Ale to bardzo niedobre.

- Przecież była tam tylko prawda. Nie widzę powodu, żeby ją ukrywać.

Ekspert uśmiecha się kwaśno i wzdycha.

- No cóż, nie będę panu zabierać czasu, chciałabym jeszcze porozmawiać z Andrzejem Gwiazdą, dać mu listę zatrzymanych.

Przed drzwiami spotkałam Konrada.

- Co ci się stało?

- Nic takiego. Boję się.

Na korytarzu natykam się na Andrzeja Gwiazdę. Andrzej mówi – jasne, musimy ich wyjąć. Andrzej, jesteś wspaniały, z tobą można się dogadać. Podbiega drugi ekspert.

- Ewa, Ewa, tylko się nie denerwuj, powiedz mi, jak można się skontaktować z Heleną [Łuczywo].

- Nie wiem, ona dopiero co wyjechała.

- Tak, widzisz, ona by umiała jakoś rozsądnie podejść do sprawy KOR-u.

Wybucham śmiechem. Mój Ekspert zdążył już się poskarżyć. Ale świetnie, coś się będzie działo.

Spotykam jeszcze Bogdana Lisa, Heńkę Krzywonos, wszystkim nadaję ten sam tekst o sankcjach KOR-u. Jeszcze Alinka i drugi Bogdan, Borusewicz – w zasadzie moja rola skończona.

Zaczynam się zastanawiać nad moją rozmową z Ekspertem. Oczywiście, uznał mnie za rozhisteryzowaną rewolucjonistkę – bez wyczucia taktyki politycznej. Trochę mi przykro, bo najbardziej na świecie nie lubię być traktowana jako rewolucjonistka.

Wałęsa dotrzymał słowa. Wchodzi na salę – przodem biegną fotoreporterzy, dziennikarze z mikrofonami, sala wstaje i skanduje imię Wodza, który uśmiechnięty, zwycięski, pokrzykujący „To się musi udać!”, macha bukiem mieczyków.

- Ostatnio do więzienia wsadzili wielu ludzi, ci ludzie nam pomagali – powiada – teraz my musimy im pomóc. Czy stawiamy ich zwolnienie jako warunek zakończenia strajku?

Głosowanie. Wszyscy jednomyślnie za ultimatum. Niespodziewanie po dziesięciu minutach Wałęsa z inną nieco intonacją głosu:

- Mamy problem więźniów politycznych. Możemy albo postawić jako warunek zakończenia strajku ich wypuszczenie, albo wrócić do pracy, przecież jesteśmy silni i zawsze możemy znów strajkować, gdyby ich nie wypuścili, co więc robimy? Głosujemy, kto za powrotem do pracy i ewentualnym nowym strajkiem?

Wszyscy jednomyślnie są za powrotem do pracy. Niczym się już nie dziwię.

O interwencji prawie nie myślę. Za to inny znajomy ekspert przerażony – katastrofa jest jego zdaniem tuż-tuż. Rosjanie wejdą, bo to zagraża systemowi. Argumentuje całkiem logicznie; uznaję więc, że jest to choroba stoczniowa, każdy początkujący przybysz z Warszawy musi przez nią przejść. Pokazuje mi stosowne akapity w gazetach. „Trybuna Ludu” prowadzi ostrą nagonkę na siły antysocjalistyczne, Adam Michnik i Jacek Kuron znów „pieką swoją pieczeń”, w gazetach stylistyka marcową. W telewizji Ryszard Wojna o rozbiórach – tym wszystkim przejmuję się Ekspert, ja – niewiele.

Wiem już, że na nasze losy ma wpływ to, co tu się dzieje, a nie to, co piszą w gazetach.

Wiadomo, że w niedzielę skończy się strajk. Sprawa KOR-u ciągle niejasna. Boję się wyjścia ze stoczni, boję się życia bez tych wszystkich huśtawek ostatnich dni. Mogą nas zatrzymać, może się okazać, że KOR-u nie puszczą i będzie z tego gigantyczny proces o „pieczeń”.

Ciągle nie wiadomo, czy MKS zdobędzie się na postawienie kwestii zwolnienia opozycji ultymatywnie. Nie mam żadnych wątpliwości co do tego, że jakoś zostanie ona zasygnalizowana. Nie bardzo się mogę skupić na notowaniu, słucham.

Bogdan Lis odczytuje ustalenia wąskich składów komisji MKS-u i rządowej. Kiedy dochodzi do ostatniej części czwartego punktu żądań, a więc zniesienia represji za przekonania, my – jak by tu powiedzieć – osoby szczególnie zainteresowane – zamieramy. Na sali natomiast – widać nierepresjonowanej za przekonania – lekki szmer. Bogdan mówi: – To my chcemy zwolnienia więźniów politycznych wymienionych w punkcie czwartym oraz osób wymienionych w aneksie.

Jagielski: – Zgoda, parafujemy.

Na szyję rzuca mi się Jurek Wocial:

– To niewiarygodne, wypuszczą, wypuszczą ich wszystkich.

W prawą łopatkę wali mnie Krzysiek Wyszkowski:

– Ty głupi Korku – powiada – ty historyczko, to już są na wolności.

Pytam się ich obu, czy są pewni, czy rzeczywiście wynika to z rozmowy Lisa z Jagielskim. – Oczywiście, idiotko – powiadają moi dwaj rozmówcy. – Czy ty już najprostszych słów nie rozumiesz?

Prawdę mówiąc, władzę obdarzam umiarkowanym zaufaniem, dlatego podejrzewam podstęp ze strony Wysokiej Umawiającej się Strony. Bogdan Lis też jakby nie dowierza i przed złożeniem swojego podpisu pyta:

– Pan premier rozumie, że nam chodzi również o osoby umieszczone w aneksie.

– W jakim aneksie? – pyta roztargniony premier. – Ja o niczym nie wiem.

Oddycham z ulgą. Premier mnie nie zawiódł, dzięki niemu nie wyszłam na idiotkę. W tekście przygotowanym do parafowania nie wymienia się zatrzymanych opozycjonistów; ich nazwiska umieszczone są wyłącznie w aneksie. Gdyby Bogdan się nie zorientował, doszłoby do podpisania dokumentu niedającego teoretycznie żadnych szans uwolnienia uwięzionej ekipie.

– Przecież wręczyliśmy panu premierowi wczoraj listę osób zatrzymanych – odpowiada spokojnie Bogdan.

– Mnie? Wczoraj? Ach, prawda, lista ta została przekazana prokuratorowi generalnemu, który się do niej ustosunkuje w późniejszym terminie – przypomina sobie premier.

– Nam jednak bardzo zależy na uwolnieniu tych osób – Bogdan jest twardy jak stal.

– Wy się ode mnie domagacie, żebym działał prawnorządnie. I ja przestrzegam prawa. Mogę się zobowiązać, że poruszę tę sprawę w rozmowie z prokuratorem.

Wałęsa: – Przecież mamy zagwarantowane prawo do strajku, jeżeli ich władza nie zwolni – to będziemy strajkować. Choćby od poniedziałku.

Reszta prezydium jest jakby mniej rewolucyjna. Andrzej Gwiazda i Alinka Pieńkowska mówią otwarcie panu premierowi, że sankcje mają m.in. członkowie i współpracownicy KOR-u, że KOR pomagał robotnikom w 1976 r. i strajkującym zależy na wolności tych osób.

Wałęsa ciągle powtarza argument o możliwości ponownego strajku. Jego głos jest decydujący – i właśnie z takim „uzupełnieniem” obie strony parafują ten punkt żądań.

Dopiero w przerwie przed podpisaniem dokumentów końcowych do Jagielskiego, popijającego kawę w budynku dyrekcji stoczni, uda się delegacja prezydium żądająca uwolnienia KOR-u, Wałęsa jeszcze nie ogłosił publicznie zakończenia strajku, a więc Jagielski ustępuje.

Zmagania prezydium z Jagielskim o uwolnienie osób z sankcjami pochłonęły mnie tak dalece, że niewiele zauważałam.

Nie bardzo wierzę, że to już koniec. Konrad ze stem trzynastego numeru „Solidarności” mówi:

– I tak pójdziemy siedzieć.

Nie zdążyłam mu odpowiedzieć, bo on już obok stołu prezydiального podaje Wałęsie plik „Solidarności”. Siedzący za stołem wyciągają ręce, Jagielski odchyła się do tyłu, żeby też dostać jeden egzemplarz. Fotoreporterzy, kamery.

Żegnam się z zaprzyjaźnionymi delegatami, ostatnia wspólna herbata, wymiana adresów.

– No to co, Ewa, zwyciężyliśmy.

Nic nie odpowiadam. Omawiamy z Konradem taktykę na wypadek, gdyby nas milicja za bramą zatrzymała.

Jeszcze szef zaopatrzenia daje nam na drogę dwie kostki masła i pół kilo sera.

Nie wiem, co będzie po stoczni. Zrezygnowałam z posadki w Warszawie po to, żeby tu zostać. Czuję, że muszę to wszystko opisać, jest tego jednak jakby za dużo, jest to zbyt niejednoznaczne; i nie można się nie zachwycać, i nie można się tylko zachwycać. Nie wiem, czy będę umiała to wszystko opisać, ale chociaż opowiem, od razu po przyjeździe zadzwonię do Janka Walca – myślę sobie. Konrad udziela ostatnich instrukcji w sprawie obsługi powielacza. Dostajemy glejty bezpieczeństwa z napisem „osoby wspomagające strajk”. Wyjeżdżamy, nie wiem dokąd.

Warszawa, 2–19 września 1980 r.



Bogdan Borusewicz w sali BHP w Stoczni Gdańskiej, sierpień 1980 r. Fot. Józef Borusewicz, zbiory ECS

REPORTAŻE Z PRZESZŁOŚCI

Strefy wyzwolone

JERZY ZIELEŃSKI

♦ ur. 1928 w Łodzi, zm. 13 grudnia 1981 w Warszawie – dziennikarz i reporter, w czasie drugiej wojny światowej żołnierz AK, uczestnik powstania warszawskiego. Współpracownik niezależnych pism „Biuletyn Informacyjny”, „Robotnik”, „Zapis”, od 1978 r. uczestnik Konwersatorium Doświadczenie i Przyszłość. Od 1980 r. członek Solidarności, doradca Regionu Mazowsze. Współinicjator zmian w Stowarzyszeniu Dziennikarzy Polskich. Jesienią 1981 r. zaczął organizować zespół redakcyjny związkowego „Tygodnika Mazowsze”, 5 listopada 1981 r. został mianowany redaktorem naczelnym. Popęłił samobójstwo na wiadomość o wprowadzeniu stanu wojennego.

Ekspres z Warszawy wpada w obszar upstrzony biało-czerwonymi flagami¹.

– Gdzie flaga, tam strajkują – objaśnia mi członek gdańskiego MKS-u wracający do stoczni.

Jeszcze niewiele miesięcy temu ustawowo chciano odebrać barwy, godło i hymn narodowi, uczynić je znakami państwowymi zastrzeżonymi dla oficjalnych okazji, rocznic i akademii. Strajk w ciągu kilku godzin rewindykował je dla narodu.

Droga do Stoczni Gdańskiej to coś pomiędzy pielgrzymką a promenadą; popołudniami i wieczorami gęstnieje tłum.

Przed umajoną bramą z portretem Jana Pawła II – jedyne Polaka, do którego Polacy jeszcze mają zaufanie bez względu na stosunek do religii – odbywa się permanentny wiec i festyn, przerywany wezwaniami: „Pani ... zgłosi się do bramy, czeka mąż”.

No i krzyż – krzyż tam, gdzie ma stanąć pomnik, gdzie padli zabiwi w pamiętnym grudniu 10 lat temu.

Zaduszki w sierpniu: świeczki, lampki, kwiaty i wieńce. I ten nieoczekiwany cytat z Byrona:

Walka o wolność
Gdy się raz zaczyna
Dziedzictwem z ojca
Przechodzi na syna.
Sto razy wrogów złamana potęga
Skończy zwycięstwem...

W bramie wartownicy w biało-czerwonych opaskach czujnie sprawdzają dokumenty, dziennikarzy z oficjalnych środków przekazu traktują grzecznie, ale ta grzeczność ma swoje gradacje i odcienie, zależnie od tego, na ile w danym dniu prasa – głównie warszawska – uprawiała polowanie na czarownice „sił antysocjalistycznych”. Pewni przedstawiciele tej prasy zostali wyproszeni ze stoczni – w tym zasłużeni jeszcze od 1976 roku; robotnicy są nierychliwi, ale sprawiedliwi. Inni słyszą często: po co tu siedzicie? I tak albo skłamiacie, albo nic nie napiszecie. Każdy musiał przelknąć gorzką pigułkę za długi okres propagandy sukcesu, bo czyż nie wszyscy ponoszą odpowiedzialność choćby za milczenie?

Za bramą – nastrój, bo ja wiem?

Najbardziej mi się kojarzy z grecką agorą; ludzie spacerując lub siedząc na trawie, mają wreszcie czas porozmawiać, podyskutować o rzeczach najważniejszych.

I kwestie swobody słowa i obywatelskich gwarancji zajmują w tych dyskusjach więcej miejsca niż grupy uposażeń, premii czy dodatków rodzinnych. Nie zapomniałem starego stoczniowca, który po podpisaniu umowy

¹ Pierwodruk: „Biuletyn Informacyjny” 1980, nr 6 (40). (red.)



Msza podczas strajku w Stoczni Gdyńskiej im. Komuny Paryskiej, sierpień 1980 r. Fot. autor nieznany, zbiory ECS

miął minę sceptyka. Cóż to, pan niezadowolony? – spytał ktoś z rozentuzjasmowanych inteligentów warszawskich. Wie pan, powiedział twardym pomorskim akcentem, coś mi się nie podoba, że ta cenzura prewencyjna jednak zostaje.

Nastrój absolutnego spokoju i pewności, jaki płynie z poczucia siły – nastrój tak odmienny od tego, co panowało w Warszawie.

Tłum oblega też salę obrad, przypląszczając się do szyb. Wprawdzie każde słowo szło na całą stocznę przez radiowęzeł, ale zobaczyć, zobaczyć!

Stocznia – była wielką szkołą demokracji bezpośredniej. Dla wszystkich. Wałęsa czasami pytał wprost z sali prezydialnej: „No co, zgoda? Dobrze tak będzie?” – a mniejsze lub większe oklaski sali, delegatów są barometrem nastroju i nieraz wpływają na stanowisko prezydium w rozmowach z rządem. Wyrazem najwyższej aprobaty jest „Jeszcze Polska...”.

Budynek Komitetu Strajkowego trzeszczy w swach, pęcznieje z godziny na godzinę. Delegaci byli nie tylko z Wybrzeża, ale z całego kraju, coraz więcej dziennikarzy

zagranicznych i krajowych – stoją cierpliwie w kolejce po przepustki, tu nie ma „panów redaktorów”, którym legitymacja prasowa otwiera wszystko. Jeden ze stałych korespondentów zagranicznych powiedział zgrzyźliwie: „Niektórzy jeszcze wczoraj nie wiedzieli, gdzie Polska leży”. Ktoś chce złapać za guzik któregoś z ekspertów, po „Solidarność” ustawiają się ludzie jak po chleb, przeciskają się przez tłum łącznicy i kurierzy. Stocznia stała się prawdziwym centrum dyspozycyjnym, centrum walki stoczniowej na kraj, ulem i mrowiskiem – w przeciwieństwie do cichego, jakby melancholijnego i opuszczonego gmachu KW PZPR.

Miasto Gdańsk, ku zdumieniu nowo przybyłych, karmionych hiobowymi wieściami przez TV o kompletnym rozkładzie życia na Wybrzeżu, żyło na luzie. Dziwne trochę bez tramwajów i autobusów, rozbrzmiewało od rana do wieczora tysiącami kroków. Bez tabunów wycieczek było tego sierpnia miastem spokojnego lata. Zaopatrzenie niewiele różniło się od codziennego, czyli było normalnie kiepskie z przyczyn ogólnych, ale służby działały może sprawniej niż zwykle; otrzymywały dyrektywy

od MKS-u, od władzy, którą uznały za własną. Zniknęły z pejzażu chwiejące się sylwetki pijaków. Prohibicję też wprowadzono na żądanie MKS-u, a stoczniovcy rozpoczęli czystkę od siebie, rozbijając meliny zakładowe; podobno jedna mieściła się na szczycie żurawia. Opowiadano mi anegdotę o pewnym pracowniku PKS-u, znanym jako „oliwa”, który bezskutecznie usiłował coś nabyć na lewo. Podobno szedł szmugiel z Bydgoszczy, pół litra dochodziło do 500 zł. Aż któregoś dnia stwierdził: „Wiecie, już mi się ręce nie trzęsą”.

Spoistość i jedność załogi, jej zdecydowanie, żeby strajkować do zwycięstwa, bo inaczej po co zaczynać? – nie oznaczało absolutnej jednomyślności, którą tak często spotykamy w oficjalnej propagandzie. Bo to nie była masa, tylko zbiór jednostek, każdy tu podejmował decyzje i wybierał indywidualnie. Akurat w czternastym chyba dniu strajku przysiadłem się w stołówce, która działała normalnie, do jakiegoś spawacza. Przysadzisty, z szeroką twarzą, chytrenkie oczka i wschodnie zaciąganie: „Byłoby już dobrze, panie, żeby do roboty. Ale idzie o te związki. Stare, fakt, były do niczego. Siedział taki bałwan, człowiek do niego o to czy o tamto, a on: co ja panu pomogę? To czego tu, cholera, siedzisz ty? Te nowe, no, nie wiem. Ludzie mówią, że drogie składki będą, bo tamte to miały dotacje państwowe i wszystko, a te na swoim utrzymaniu. Ten Wałęsa dobry, ale czy ja wiem, jak jemu samochód dadzą... Niejednego można kupić... Dali nam lekcje przez 35 lat, że na każdego jest cena. Jak my się z tego myślenia wygrzebiemy?”

Na sali obrad coraz ciasniej. Nowo przybyli już i siedzieć gdzie nie mają. Ktoś ściany podpira, ktoś na podium siada, ktoś na podłodze. Sala hermetycznie zamknięta, wietrzona tylko nocami, więc dwie siekiery można zawiesić, jednak, powiada mój kolega, tu się oddycha swobodniej. Obserwujemy z rozbawieniem przybywających już po nas dziennikarzy, pisarzy – istny salon artystyczny.

Nowo przybyli – my pewnie też bylibyśmy tacy sami – zachowują się w taki sam sposób. Wpada taki jeden z drugim, obłęd w oczach, zduszony szept: co się tutaj dzieje? Bredzi coś o stanie wyjątkowym, ale w południe, po obiedzie stołowym, uspokaja się, a wieczorem szaleje, skanduje: „Le-szek” i mówi: „My tu na stoczni”.

Patrzę po stojących przed delegatami tabliczkach: „MKS Elbląg”. Co też może być słycać w Elblągu? Rozmawiam z przedstawicielami komitetów strajkowych. Będzie jechał samochód na pogrzeb Klimuszki² – mówią. No więc jedziemy do Elbląga.

Zaraz po pogrzebie posiedzenie MKS-u na wymarłym teraz dworcu autobusowym. Warty przepuszczają nas przez liny blokujące wejście. Zakładów zrzeszonych w MKS-ie jest już ponad 50, ale siedem pierwszych tworzy prezydium: WPK, czyli komunikacja miejska, ta w ogóle zaczęła i dała przykład, PKS, EPBP, czyli „przemysłówka”, spółdzielnia transportowa Nogat, Transbud, Przedsiębiorstwo Transportowe Handlu Wewnętrznego i Przedsiębiorstwo Transportowe Służby Łączności. Największe zakłady – turbinowy Zamech przyłączył się nieco później, ale dodał wagi strajkowi. MKS Elbląg w całości przyłączył się do Stoczni [Gdańskiej].

– Ludzie już mieli dość tej vegetacji. I okazało się, że kiedy przychodzi taka chwila, potrafią się zorganizować od razu – mówi jeden z delegatów.

Strajki są w zasadzie okupacyjne poza „ludźmi luźnymi” jak geodeci lub zakładami kobiecymi jak odzieżówka Truso – kobiety potrzebne są dzieciom w domu. I tu, jak w Gdańsku, jak właściwie wszędzie, pracują służby zaopatrzenia: PTHW – dowóz żywności, PKS wysłało cztery wozy do zwózki zboża, dostawia się tlen do szpitali, działa pogotowie ratunkowe i – w razie potrzeby – techniczne, szczególnie dla obsługi rolnictwa. MPO wywozi śmieci. Wszystko to wyłącznie za zgodą MKS-u. Przejęcie przez ludzi, którzy jeszcze wczoraj byli „prostymi” robotnikami (czy w ogóle jest coś takiego?), odpowiedzialności za organizację, zarządzanie, decyzje o znaczeniu ogólnym musiało być wielką lekcją, która nie zostanie zapomniana. Strajk nie oznaczał paraliżu. Oto właśnie owo „współzrządzenie” – dawniej wyłącznie na transparentach, w czasie strajku objawiało się jako rzeczywistość. Bo było własne, wynikało z prawdziwej samodzielności, bez której nie ma odpowiedzialności, z osobistego wyboru i chęci.

Więcej, w tym okresie bądź co bądź napięcia wyzwołyły się uczucia życzliwości i ofiarności. Na przykład spontaniczny ruch oddawania krwi dla ofiar katastrofy kolejowej pod Toruniem. Niestety z niewiadomych przy-

² Andrzej Czesław Klimuszko (ur. 1905 w Nierosinie, zm. 1980 w Elblągu) – ksiądz, franciszkanin, słynny wizjoner i zielarz. (red.)

czyn MO zatrzymało jedną ciężarówkę PTHW z krwiodawcami i tylko część z nich na piechotę dotarła do punktu. Robotnicy PKS-u oddali 25 litrów krwi. „Stosunki międzyludzkie” polepszały się często właśnie w czasie trudnych dni strajkowych – to wrażenie z Trójmiasta, Elbląga i nie tylko.

Ma Elbląg swoją specyfikę: jest nią postulat rozbudowy centrum, które od lat stanowi pustą dziurę w środku miasta, niewygodną, zawstydzającą. Wszystkie inwestycje zmierzające ku łataniu tej dziury zostały wstrzymane. Członkowie MKS-u wyliczają jeden przez drugiego: budowa obwodnicy w połowie stanęła, tak samo dom handlowy – pale wbite od 5 lat i nic, za to dopiero teraz wyciszono plany wystawienia nowej siedziby KW MO za 6 milionów, z sauną i podobnymi wygodami. Fabryka domów pracuje na pół siły, kolejka spółdzielców się wydłuża, ale za 600–800 tysięcy można kupić mieszkanie od razu, czy to sprawiedliwe? Mści się fatalna teoria, głoszona m.in. przez b. wicepremiera Pykę, że mieszkanie – to zwykłe, przeciętne – powinno być towarem i jako takie podlegać prawom rynku.

– Chcielibyśmy, żeby Elbląg był wizytówką Wybrzeża. Więc jeśli przy MKS Gdańsk pracują wybitni eksperci prawa i ekonomii, czy do nas nie mogliby przyjechać eksperci urbanistyki i architektury?

Dziś – 23 sierpnia – są zdezorientowani, niewiele wiedzą o przebiegu rozmów z komisją rządową. Potrzebują informacji jak chleba, wspólnie z delegatami próbujemy załatać dziury.

W Trójmieście jest pogodnie, coś z atmosfery ludowego festynu i permanentnego wiecu. Tu, w Elblągu, poza liniami odgradzającymi siedzibę MKS-u, na placu przed obu dworcami jest jakieś napięcie. Nie chodzi już nawet o liczne, zwłaszcza na początku, zatrzymania, przesłuchania i rewizje, ale różnicę między stosunkiem władz gdańskich i elbląskich do strajku. Tu żadnych oznak elastyczności, raczej przeciwnie. Ktoś skarży się: w KW przypisują nam powiązanie z jakimiś siłami politycznymi. To nieprawda. U nas w MKS-ie jest bardzo wielu członków partii. A w ogóle polityką się nie zajmujemy, tylko naszymi sprawami.

Młody, nieco nerwowy człowiek w okularach i z brodą, który przedstawia się nam jako inżynier, delegat Komitetu Strajkowego PKS-u, bardzo stanowczo żąda informacji z przebiegu rozmów w Stoczni Gdańskiej.

Chce je zanotować. Mówi: – Ludzie u nas siedzą i nie wiedzą nic, co się dzieje.

Dziś, kiedy mija drugi tydzień strajku, niektórych ogarnia zupełnie zrozumiałe zmęczenie. Jeden z członków MKS-u pyta wprost: jak to długo jeszcze potrwa? Z drugiej strony po kilku dniach spędzonych na Wybrzeżu wiemy, że mało która załoga w całości zdecyduje się na podjęcie pracy bez sygnału ze Stoczni Gdańskiej, która stała się rzeczywistym ośrodkiem dyspozycyjnym. Nie tylko próby poprzedniej komisji rządowej „wyjmowania” zakładów pojedynczo, przez załatwienie ich postulatów ekonomicznych, jak i podobne podejście komisji resortowych – była jedna taka i w Elblągu – spaliły na panewce.

* * *

W sobotę, 30 sierpnia, po podpisaniu dwóch pierwszych postulatów – o związkach i prawie do strajków – jedziemy do Gdyni.

O ile w Stoczni Gdańskiej czuje się, że tu jest mózg operacji – o tyle Gdynia, Stocznia im. Komuny Paryskiej i Port, sąsiadujące brama w bramę, to dwa obozowiska warowne. Szlabany, wejścia zablokowane na głucho, przejazd kolejowy zabarykadowany lokomotywą, linie wart, wszystko stwarza atmosferę napięcia i stanu oblężenia. Także większa rezerwa, choć przyjeżdżamy tu po pierwszym przełamanym pacie. Podzielone zdania: jedni się cieszą, że może idzie ku końcowi, ale wiele jest głosów nieufnych. Może to być tylko zagrywka, słowa – już wiele słów słyszeliśmy, muszą być gwarancje. Nic się jeszcze nie da przewidzieć, wzmożona czujność. Już puszczono plotkę, że wracamy do pracy. W Komunie Paryskiej strajkiem kierują gniewni 20-letni. Na bramie hasła: „Żądamy WZZ”, „Precz z cenzurą”, „Pełnych swobód dla kościoła”, odnośne punkty Konstytucji PRL, „Żądamy prawa do prawdy”, „Zwyciężymy”. Chciałbym tę bramę pokazać niektórym znajomym z Warszawy, którzy uparcie i mimo wszystko utrzymują, „że tym robotnikom idzie tylko o pieniądze”.

Obowiązuje ścisła dyscyplina. Mało kto otrzymuje zezwolenie wyjścia ze stoczni. Ci, którzy się oddalają samowolnie, chyłkiem, mogą być po powrocie wydalenieni na zawsze. Czy po strajku znajdą swoje miejsce wśród kolegów?

Byłem w Komunie Paryskiej trzykrotnie w czasie ostatniej dekady. W 1971 wzrosła fala entuzjazmu wraz z wydajnością pracy, chwalono i lepszą organizację, i przede wszystkim – nowe podejście do robotnika, jego spraw, były nowe koncepcje zarządzania, blokowane jednak z góry. W dwa lata później, gdy budowano pierwszy stutysięcznik, okazało się, że choć zapal i inicjatywa nie całkiem jeszcze wygasły, nic do tego nowego zadania nie było jeszcze przygotowane – dźwigi uginają się pod zbyt ciężkimi detalami, grożąc załamaniem, ciasnota hal wskutek „poślizgów” nowych inwestycji stawała się katastrofalna. Okupiono to śmiertelnymi wypadkami. Potem wszystko szybko „zjechało w dół”, o czym jeden przez drugiego mówią otaczający nas robotnicy.

– Byłem gorzej jak niewolnikiem, bo niewolnika chociaż ktoś karmi, odziewa i daje mu się wyspać, a tu żona o trzeciej do kolejki, żeby dostać choć ochłap, ja do pracy, żeby zdążyć, komunikacja chodzi jak chce, a nie jak trzeba. Robota ciężka, wracam, żony czasem jeszcze nie ma z kolejki. Piszą o nas, że my nic nie czytamy, rzeczywiście, ja tylko „Wieczór Wybrzeża” i zasypiam przy telewizorze, żeby zaraz znów do pracy... Pan myśli, że stocznia lżejsza od kopalni? Tu zakładasz instalację, pod tobą spawają, z góry się leje woda, a huk taki, jakby z dział strzelali. A gdzie nasze przywileje? Za 25 lat pracy 6 tysięcy złotych, 8–9 tysięcy to przy 12 godzinach pracy dziennie. A niektórzy, jak brakło narzędzi i materiałów, to wychodzili na 3 tysiące. I co te pieniądze warte – papierki. Dzieci tatusia znały z fotografii, a zdrowie? Ja 28 lat na stoczni, straciłem słuch, mam chorobę wibracyjną, ale gdzie tam – zdrowy. Najwyżej dwa lata na stanowisku chronionym, co to daje? Takich dziadków, wraki ludzkie, i to też przierzucali z miejsca na miejsce, żeby nadrabiać bałagan i zawalone plany. Ja mam dzieciątą grupę jako elektryk, przierzucali mnie do innej roboty, bo jeszcze mi zdrowia zostało, jak chłopiec musiałbym się uczyć roboty od nowa, a jak się nie podoba, pokazywali bramę. Po tylu latach kto pójdzie innej roboty szukać, a zresztą człowiek się przywiązał... Więc się poddawaliśmy... Najgorzej, że robiliśmy za innych, wie pan, że ci, co budują statki, to tylko 37% załogi. Podwójne etaty były – jeden człowiek miał mistrza i technologa, jak to możliwe? Umysłowi na etatach produkcyjnych. Kto z górą żył dobrze, ten wychodził na swoje. Już nie starczyło tych, co robili, na tych, co rządzą.

– Więc to było tak, jak się, wie pan, przykręca śrubę za mocno i nagle gwint puszcza. Gwint puścił. I my za byle co już nie wrócimy do pracy. A chcielibyśmy, żeby nas nareszcie traktowali jak ludzi.

W Porcie Gdyńskim (dla starszego pokolenia, mój Boże, wspomnienia dzieciństwa, czytanki szkolne, nasze okno na świat, wiatr od morza, „morze, nasze morze – albo na dnie z honorem lec”, kosynierzy gdyńscy) – strajk miał zrazu przebieg dramatyczny. Od piątku 15 [sierpnia] do poniedziałku 18 to się jeszcze przewalało raz w tę stronę, dwa razy zmieniał się komitet strajkowy, aż za trzecim razem okrzepło. Też raczej młodzi ludzie. Dyrekcja nie chciała gadać. Z czasem zapanowały jednak wzajemny szacunek i harmonia. Dużo pomogło sąsiedztwo stoczni.

W porcie dokerzy żyją pod planekami. Nie jest to wygodne, ale każdy stara się jakoś sobie to legowisko urządzić. Widzimy nawet tranzystorowy telewizor.

Warty portowe wykryły aferę, której od lat nie mogła jakoś zdemaskować straż przemysłowa. Pewne panie, które w kuchni wynosiły mięso i wędliny, zostały złapane i oddane w ręce milicjantów komisariatu portowego wraz z *corpus delicti*. Jedna z nich okazała się żoną porucznika MO.

– Wyładowaliśmy kukurydzę i mączkę rybną dla Gdańskich Zakładów Drobiarskich w Żukowie; wicewojewoda nawet zaprosił na kielicha i kawę po strajku – mamy nadzieję, że nie zapomni. – Ale dziesięciu tysięcy ton mączki już się nie zgodziliśmy rozładować. To za duża operacja, inne zakłady myślałyby, że wracamy do pracy. Przyjmijcie nasze postulaty – powiedzieliśmy – to nawet nadrobimy.

Aktów dobrej woli nie brakowało. Aktów złej woli również: pani sekretarz PCK, organizacji wielce humanitarnej, odmówiła dokerom koców i śpiworów: Komitet Strajkowy to nie żaden oficjalny czynnik, proszę przez dyrekcję, partię, radę zakładową.

* * *

Ostatnia niedziela. Ostatni dzień, w którym stoją żurawie. Nastrój odprężenia i zwycięstwa. Sierpień Anno 1980 w Stoczni Gdańskiej: nieruchome kadłuby statków, nieruchome chmury odbite w wodzie, słońce, jarzębina czerwienieje – od jutra nowy rozdział historii.

SOLIDARNOŚĆ W PODZIEMIU

Długi marsz i szybki skok

BOGDAN LIS

❖ pracownik zakładów Elmor w Gdańsku, od 1978 r. działał w Wolnych Związkach Zawodowych. W sierpniu 1980 r. przewodniczący Komitetu Strajkowego w Elmorze, następnie wiceprzewodniczący Międzyzakładowego Komitetu Strajkowego w Stoczni Gdańskiej im. Lenina, jeden z sygnatariuszy porozumienia gdańskiego. Członek władz Regionu Gdańskiego i Komisji Krajowej NSZZ Solidarność. 1982–1984 członek TKK oraz RKK w Gdańsku. Aresztowany 8 czerwca 1984 r., zwolniony 8 grudnia 1984 r. Ponownie aresztowany 13 lutego 1985 r. z Władysławem Frasyńnikiem i Adamem Michnikiem podczas spotkania TKK z Lechem Wałęsą, skazany na 2,5 roku więzienia, zwolniony we wrześniu 1986 r. na mocy amnestii. Od 1986 r. członek TRS, od 1987 r. KKW NSZZ Solidarność. Uczestnik negocjacji Okrągłego Stołu. 1989–1991 senator z województwa gdańskiego, od 2007 r. poseł.

Byłem członkiem Komisji Krajowej NSZZ Solidarność i Prezydium Zarządu Regionu Gdańskiego¹. Funkcjonowałem w kierownictwie Solidarności w taki sposób, by łączyć środowisko Andrzeja Gwiazdy i grupę Lecha Wałęsy. Miałem bardzo dobry kontakt z Gwiazdą, bo przecież razem żeśmy pracowali w Wolnych Związkach Zawodowych, tyle czasu w jednym zakładzie pracy... Przyjaźniłem się z nim i widziałem, że w wielu przypadkach Gwiazda ma rację. Ale miałem też świadomość, że niszczenie autorytetu Wałęsy, który wypracowywaliśmy po to, żeby służył Solidarności i Polsce, jest bez sensu. Dlatego nie opowiadałem się jasno ani po jednej, ani po drugiej stronie, bo wtedy bym się zaszufładował. Starłem się działać tak, by zarówno Gwiazda, jak i Wałęsa mieli zwornik, dzięki któremu mogli przekazać pewne myśli. Jeżeli od siebie nie chcieli odbierać, to od kogoś innego mogliby.

Na Komisję Krajową w grudniu 1981 r. przyjechałem z Brukseli, gdzie uczestniczyłem w jakimś kongresie. Byłem niewyspany, zmęczony, posiedzenie KK 11 grudnia trwało do późnych godzin nocnych, 12 grudnia też. Wyszedłem ze Stoczni Gdańskiej chyba po godzinie dwunastej razem z Andrzejem Gwiazdą. Potem się rozeszliśmy. Ja poszedłem pieszo do domu, a on musiał jechać. Widziałem po drodze wozy ZOMO. Niosłem teczkę z widocznym napisem „KK NSZZ Solidarność”. Samochody wypełnione milicjantami jechały, zawracały na ulicy, jechały z powrotem. Traktowałem to jako manifestację siły. To był bardzo gorący okres, poza tym milicja prowadziła akcję zwalczania spekulantów, których komuniści oskarżali m.in. o to, że w Polsce jest źle, nie ma towarów, bo oni wykupują itd. Działy inspekcje robotniczo-chłopskie, ogłoszono też, że milicja będzie intensywnie poszukiwać przestępców. Sądziłem, że te samochody z milicją na ulicach mają nas zastraszyć.

Wróciłem do domu i położyłem się spać. Pół godziny później walnęły drzwi, przyszedł Rysiek Zając, członek Sekretariatu Ochrony Zdrowia NSZZ Solidarność, mój kolega, z informacją, że źle się dzieje, hotel Monopol jest otoczony przez milicję, powinienem uciekać. Wygonił go. – Daj se spokój, człowieku, jestem zmęczony, ile razy będą nas straszyć... Idź w diabły – tak mówię do niego i kładę się spać.

Za pół godziny przyszedł znowu. Powiedział, że klub Ster, gdzie mieściły się biura Komisji Krajowej i Regionu Gdańskiego, otoczony, wygarniają ludzi. Jak to usłyszałem, to się ubrałem i dałem dyla.

Najpierw pojechaliśmy do Komisji Zakładowej NSZZ Solidarność przy pogotowiu ratunkowym (Rysiek był samochodem). Zabraliśmy materiały, które były do za-

¹ Tekst na podstawie relacji sporządzonej przez Piotra Adamowicza w październiku 2003 r. Relacja została wykorzystana przez Andrzeja Friszkego w artykule *Tymczasowa Komisja Koordynacyjna NSZZ „Solidarność” (1982–1987)*, [w:] *Solidarność podziemna 1981–1989*, red. idem, Warszawa 2006. Zob. też w tymże tomie: K. Knoch, *Regionalna Komisja Koordynacyjna w Gdańsku w latach 1982–1989*. (red.)

brania, i pojechaliśmy do pewnej dziewczyny, Krystyny Olszewskiej. Mieszkała w Gdyni, w rejonie placu Kaszubskiego. To było moje pierwsze konspiracyjne mieszkanie. Ona pracowała w Sekretariacie Służby Zdrowia, liczyłem, że безпеaka ma ważniejszych ludzi, ważniejsze sprawy i do niej nie zajrzy. Mieszkałem tam dwa-dzieścia parę dni.

* * *

Spodziewaliśmy się, że na zapowiedzianym posiedzeniu sejmku w grudniu 1981 r. rząd dostanie specjalne uprawnienia i z nich skorzysta, np. wprowadzi zakaz strajków. Zaakceptowalibyśmy to jako metodę walki z nami. Mogliśmy się z tym nie godzić, mogliśmy protestować, planowaliśmy akcje przeciwdziałające, ale to była pewnego rodzaju norma. Stan wojenny nie był normą. Stanu wojennego nie przewidzieliśmy, choć przypuszczaliśmy, że będziemy musieli zejść do podziemia, działać w konspiracji. Prezydium Zarządu Regionu Gdańskiego powołało trzyosobowy zespół – ja, Jacek Kłys, trzeciego nie pamiętam, może Jan Samsonowicz – żeby przygotować się na wypadek braku możliwości legalnego działania. Mieliliśmy doświadczenie z okresu WZZ.

Dostaliśmy zadanie, by przechować sprzęt, pieniądze, papier, farby drukarskie, wszystko, co potrzebne do funkcjonowania organizacji, i zaczęliśmy to robić. Mieliliśmy też wyciągnąć pieniądze z banku, podobnie jak to zrobił Józef Piniór we Wrocławiu, tyle że sądziliśmy, iż wszystko będzie później, nie 13 grudnia, dlatego nie zdążyliśmy... Piniór pospieszył się i udało mu się te osiemdziesiąt milionów wyciągnąć. Myśmy zaczęli wybierać pieniądze powoli, żeby nie wzbudzić podejrzeń. Nie chcieliśmy wszystkich wtajemniczać, a dokumenty finansowe mogły podpisywać określone osoby. A jeszcze te konflikty między Gwiazdą a Wałęsą powodowały szczególną sytuację. Nie chcieliśmy, żeby ktokolwiek oskarżał nas o to, że mamy zamiar pieniądze przejąć dla siebie.

Potem się okazało, że nic nie zostało przygotowane – struktura, poligrafia ani pieniądze. Po 13 grudnia trzeba było wszystko organizować od zera.

Stan wiedzy był słaby. Oczywiście wszystkie media były odcięte. Informacji o tym, co się działo w kraju, nie docierały, mogliśmy jedynie słuchać Radia Wolna Euro-

pa i Głosu Ameryki. Nie mogłem się sam poruszać, bo byłem znany publicznie. Dopiero później ogoliłem brodę, wąsy, włosów od razu nie. Musiałem korzystać z informacji zdobywanych przez innych, początkowo przez Ryśka Zajęca i Piotra Mierzewskiego (może ja z nimi obydwoje od razu jechałem 13 grudnia²). Pierwsza informacja, że Stocznia Gdańska strajkuje.

W stoczni powstał Krajowy Komitet Strajkowy – z tych członków władz Związku, którzy nie zostali internowani i tam się znaleźli. Oni zgodnie z wcześniejszą uchwałą Komisji Krajowej podjęli decyzję, że przemianowują się w komitet strajkowy. Jan Waszkiewicz, Mirosław Krupiński, Eugeniusz Szumiejko, Andrzej Konarski, Aleksander Przygodziński, a także Bogdan Borusewicz...

Chciałem iść do stoczni. Traktowałem to także w kategoriach obowiązku. Pytałem się Ryśka Zajęca i Piotra Mierzewskiego, jakie są możliwości przebicia się. Strasznie mi to odradzali, twierdząc, że w stoczni siedzą ludzie i strajkiem ma kto kierować; powinien ktoś pozostać na zewnątrz – na wypadek gdyby strajk został rozbity i wszystkich wyłapano. Mieli swoją rację, ja tę rację rozumiałem, choć powiem szczerze, że to było bardzo trudne, bo chciałem być tam, gdzie koledzy. Poza tym ja miałem doświadczenie, większe niż np. Mirosław Krupiński (wiceprzewodniczący NSZZ Solidarność), który nigdy w życiu strajkiem nie kierował... Postanowiłem nagrać na taśmie magnetofonowej oświadczenie.

Także Zbigniew Bujak ukrywał się w Gdańsku poza stocznia. Zajęca i Mierzewskiego dotarli do niego (później pomagali mu wyjechać do Warszawy). On też chyba wysłał do stoczni jakieś oświadczenie... Dostałem od Ryśka i Piotra list od Bujaka z jego oceną sytuacji, z której wynikało, że nie wolno wchodzić na stocznia, trzeba być na zewnątrz, żeby w razie czego funkcjonować.

Nagrałem na kasetę dwa oświadczenia i przez łącznika przekazałem do stoczni, do Waszkiewicza. Mówiłem o tym, że jest Bujak, jestem ja; nie wiedziałem, kto jeszcze, ale przypuszczałem, że są też na wolności inni ludzie. (Uważałem, że reprezentuję pewien autorytet i powinienem powiedzieć parę słów, które wyjaśnią, co trzeba robić, jak się zachowywać). Mówiłem, że nie należy dopuścić do sytuacji, w której będą do nas strzelać – nie można iść ze sztchetami na czołgi. Jeżeli dojdzie do interwencji, to po prostu trzeba sobie

² Potwierdza to Piotr Mierzewski. (red.)

odpuścić. Przed nami jest długa droga, trzeba się raczej na to nastawić... Pewnie się tam też jakieś komunały znalazły, bo nie da się mówić samych mądrych rzeczy. Ale generalne przesłanie było takie, że nastąpił atak na nasz Związek. W czasie, który przeżyliśmy jako Solidarność, poznaliśmy smak wolności i tego nam nikt nie wydrze. Będziemy się o to bić dalej. Czekają nas długie drogi, ale na końcu jest zwycięstwo. I że nie należy dać się zabić. Takie przesłanie wysłałem do stoczni. Piotr Mierzewski, który funkcjonował głównie w Akademii Medycznej, twierdził, że to zostało wydrukowane metodą powielaczową i w jakiś sposób rozpowszechnione, ale ja tego nie widziałem.

Stocznia po trzech dniach została spacyfikowana przez ZOMO, komitet strajkowy przeniósł się do Portu Gdańskiego. Miałem kontakt informacyjny z portem, natomiast ani ludzi tam nie wysyłałem, ani informacji, bo dla mnie było jasne, że jeżeli stocznia padła, to strajk się załamał. Wiedziałem też, że komuniści zrobią wszystko, żeby w stoczni strajku nie było, bo to dla całego kraju symbolizowało opór. Wszystko inne było mniej ważne.

* * *

Starałem się w tych pierwszych dniach nie wychodzić. Na dłuższy spacer wybrałem się chyba w pierwszy dzień świąt, 25 grudnia. Pojechałem do Gdańska. To brawura, ale musiałem zabrać z domu mnóstwo rzeczy. Chciałem też poinstruować rodzinę, co ma robić. Wymyśliłem sobie, że jeżeli dom jest obserwowany, założony podsłuch (z samej obserwacji niewiele wynika), to Służba Bezpieczeństwa potrzebuje określonego czasu, żeby wejść do domu. Razem z Krystyną Olszewską przyszedłem przez las do domu w pierwszy dzień świąt. Kompletnie zaskoczyłem rodziców. Zabrałem rzeczy, swoje zdjęcia, na których byłem bez brody – nie chciałem, żeby wpadły w ręce bezpieki. Powiedziałem rodzicom, co mają zrobić z tym, co zostało i wyszedłem.

Borusewicz, ja, Bujak, byliśmy znani, bezpieka miała nasze zdjęcia, rozesłała listy gończe... Musieliśmy się zmienić tak, żeby – po pierwsze – oni nas nie poznawali, po drugie – żebyśmy my mieli świadomość, że oni nas nie poznają, i żeby się w związku z tym zachowywać naturalnie, pewnie, nie skakać w krzaki czy do klatki schodowej na widok policji.

Zmienialiśmy wygląd. Ja zgoliłem brodę, Borusewicz zapuścił. Nosiłem okulary (zerówki) w rogowej oprawce. Ale podstawową rzeczą było to, jak się człowiek ubiera i jak chodzi. Musieliśmy zmienić sposób chodzenia, sylwetkę, bo nawet jeżeli dla ubeków to nie odgrywało większej roli, było ważne dla osób, które nas bardzo dobrze znały – rodziny, przyjaciół – i mogły rozpoznać nas nawet z tyłu. Wielokrotnie mijałem brata czy krewnych na ulicy i oni się nie zorientowali, że koło nich przeszedłem. Nigdy przecież nie wiedziałem, czy nie są obserwowani przez SB, dlatego nie mogli mnie poznać.

* * *

Uważałem wtedy, że trzeba pokazać, iż chociaż w kraju nie ma strajków, nadal istnieje opór. Nie wystarczy rzucić ulotek. Należy zrobić coś, co się odbije szerszym echem. Zastanawialiśmy się na początku stycznia 1982 r. – ja, Piotr Mierzewski, Rysiek Zajac, jeszcze jeden mężczyzna... nie pamiętam nazwiska, bo to incydentalna znajomość, Rysiek Wyszomirski też był w to zaangażowany. Padł pomysł, aby odbić zatrzymanego przez bezpiekę i przebywającego w szpitalu Akademii Medycznej Mirosława Krupińskiego, który był wiceprzewodniczącym Komisji Krajowej, a więc osobą formalnie prominentną. Pierwsza rzecz, to trzeba było zobaczyć, czy on jest autentycznie chory, czy tylko symuluje chorobę. Wydawało się, że jest lekko chory, ale bardziej symuluje, chociaż atak ZOMO na stocznię jakoś tam psychologicznie na niego zadziałał i szmery serca rzeczywiście są. Uznaliśmy, że to nic groźnego i można go stamtąd zabrać.

Leżał chyba na pierwszym piętrze. Pod drzwiami stali ubecy, ale w środku nie, sprawdziliśmy, jak go pilnują. Krat w oknach również nie było. Plan był taki, żeby dostarczyć mu za pośrednictwem służby zdrowia linę do pokoju, a on wieczorem najnormalniej w świecie po tej linie spuści się o określonej godzinie. Na dole czekali by ludzie, zaprowadziliby go do mieszkania, w którym mógłby się schować.

Dostaliśmy od niego odpowiedź, że boi się o serce, nie wie, czy będzie w stanie iść. No to postanowiliśmy, że w takim razie podstawimy sanki i go wywieziemy, byleby tylko się spuścił po linie. To jedyny wysiłek, jaki musi zrobić, potem weźmiemy go na sanki, zawieziemy gdzie trzeba, do samochodu itd. On odmówił. No, na siłę nikogo nie będziemy porywać.

Po miesiącu wyraził jednak zgodę, ale to już nie miało sensu. Mieliśmy już zupełnie inne problemy na głowie. Akcję przygotowuje się w określonych warunkach. Po miesiącu to myśmy zaczęli organizować Regionalną Komisję Koordynacyjną NSZZ Solidarność w Gdańsku i tego rodzaju akcje musiały być konsultowane już w trochę innym kręgu...

* * *

W grudniu 1981 r. siatka kontaktów wyglądała słabo, dopiero się tworzyła. Odezwali się do mnie Szumiejko i Konarski, ale nie chciałem żadnych kontaktów, nie wierzyłem im w tym czasie – oni utworzyli Ogólnopolski Komitet Oporu (OKO), podpisywali się pseudonimami „Mieszko” i ktoś tam. Z góry odrzucałem możliwość funkcjonowania pod pseudonimem. Mógł się pod nim kryć każdy. A więc odrzucałem całe to OKO, bo to bardzo podejrzanie wyglądało. Okazało się później, że Konarski był agentem, a Szumiejko uciekł z ubeckiego „kotła”.

W styczniu spotkałem się z Borusewiczem. Kilka tygodni później, w lutym, zorganizowaliśmy spotkanie z Aleksandrem Hallem. Poszliśmy po dawnych kontaktach WZZ-etowskich i opozycyjnych sprzed 1980 r., bo mieliśmy do siebie zaufanie. Każdy z nas organizował sobie sam strukturę, własną łączność. Mieliśmy osoby, które wiedziały, jak nas kontaktować, natomiast nie znały struktury całej siatki.

Działacze Ruchu Młodej Polski funkcjonowali w Solidarności, stanowili trzon kadry Komisji Krajowej i Zarządu Regionu Gdańskiego, traktowaliśmy ich jako środowisko solidarnościowe. Ale tak naprawdę to przeszłość przedsiębiorstwa zaważyła na tym, w jaki sposób zapadały decyzje na początku, kiedy tworzyły się struktury podziemia. Ja mogłem mieć zaufanie do Bogdana, do Olka, oni mogli mieć zaufanie do mnie, bo przeszliśmy długi i trudny okres. Do innych osób też miałem zaufanie, ale to już nie było to samo, bo zaufanie wynikające z działania w okresie legalnego istnienia Solidarności to coś zupełnie innego niż to, jakie myśmy mieli, sprzed Sierpnia.

Istotna była oprócz tego struktura, którą każdy z nas stworzył. Za Olkiem stał Ruch Młodej Polski, na-

wet jeżeli nie wszyscy się w to zaangażowali; Bogdan miał swoich ludzi, ja miałem swoich, mogliśmy na nich polegać. Ten krąg się rozszerzał, ja nie znam wszystkich osób, które dla mnie pracowały.

Na tym lutowym spotkaniu rozmawialiśmy o powołaniu do życia gdańskiego biuletynu „Solidarność” (redagowali je Mariusz Wilk, Bernadetta Stankiewicz, Magdalena Modzelewska i Maciej Łopiński), o zmontowaniu sieci kolportażu, zbieraniu informacji, pieniędzy. To jest najważniejsze, dlatego że zawsze wokół pisma skupiają się ludzie. Jak organizowaliśmy WZZ, był „Robotnik Wybrzeża” i „Robotnik” korowski, dwie gazetki, które docierały do pracowników. Dostał jeden, dostał drugi, czytał, przekazał dalej, zdobywał kolejnych czytelników, potem ta grupa ludzi się spotykała, zaczęli dyskutować, coś się z tego rodziło. Nie mieliśmy radia, telewizji. Ulotka, gazeta wydawana w podziemiu to jedyna możliwość kontaktowania się z ludźmi. Musieliśmy to zorganizować, to była podstawowa rzecz.

Zaczęliśmy organizować podziemie w naszym regionie. Jeśli funkcjonowały gdzieś struktury zakładowe, to potem do nich docieraliśmy. Gdzie nie funkcjonowały, a byli ludzie, to próbowaliśmy struktury zakładowe zakładać. Organizowaliśmy podziemie po to, żeby był widoczny opór.

Mieliśmy świadomość, że nas trzech to za mało, trzeba wciągnąć więcej osób. Chociaż oczywiście każdy z nas miał obawy. Do Portu Gdańskiego i Portu Gdyńskiego mieliśmy więcej zaufania niż np. do Stoczni Gdańskiej. Tam w konfliktach między Gwiazdą czy prezydium Regionu Gdańskiego a Wałęsą skupiali się działacze Stoczni Gdańskiej wątpliwego autoramentu; po prostu nie wiedzieliśmy, kto tam naprawdę odgrywa główną rolę.

Analizowaliśmy to pod kątem radykalizmu antykomunistycznego z okresu przed 13 grudnia, szukaliśmy ludzi, co do których moglibyśmy mieć gwarancję, że są bezkompromisowi, odważni. Odwaga wtedy miała istotne znaczenie, także to, czy ktoś ma rodzinę, bo jak się ma dzieci, to jest trudniej.

Z Portu Gdańskiego wzięliśmy Mariana Świtka³ i Stanisława Jarosza⁴. 16 marca 1982 r. wydaliśmy wspólnie oświadczenie o tym, że działamy w podziemiu. Potem się okazało, że udział Jarosza to nieporozumienie; on

³ 12 II 1983 r. został aresztowany. Skazany przez Sąd Marynarki Wojennej w Gdyni na 6 lat więzienia, zwolniony w sierpniu 1984 r. na mocy amnestii. (red.)

⁴ Aresztowany 30 VIII 1982 r. Skazany przez Sąd Marynarki Wojennej w Gdyni na 4 lata więzienia, zwolniony w sierpniu 1984 r. (red.)

się bał, nie działał, raczej się ukrywał, do tego na wsi, za Gdańskiem, więc trudno było liczyć, że nawiąże jakieś kontakty z pracownikami. Ja nigdy nie mieszkałem poza Trójmiastem; funkcjonowałem w Gdańsku, Sopotcie, Gdyni, cały czas miałem kontakt z ludźmi. Świtek też był na miejscu, więc mógł więcej zrobić.

Gdańska Regionalna Komisja Koordynacyjna powstała 6 maja 1982 r., wtedy, kiedy już wiedzieliśmy, jak ma wyglądać organizacja oporu w kraju: będzie TKK i komisje regionalne. Postanowiliśmy o tym wcześniej na spotkaniu TKK w Warszawie – Bujak, ja, Władek Frasyniuk, Władek Hardek, no i kilku innych⁵. Ustaliliśmy, że nie tworzymy jednolitej struktury. Powstaną autonomiczne struktury w poszczególnych regionach, tak by nawet poważna wpadka w jednym regionie nie powodowała konieczności zmiany wszystkiego w całym kraju. Wokół regionalnych komisji koordynacyjnych będzie tworzona siatka organizacyjna.

Największym problemem było poruszanie się, myśmy wtedy jeszcze nie posługiwali się fałszywymi dokumentami i byle kontrola milicyjna mogła skończyć się wpadką. Dopiero jesienią 1982 r. stworzyliśmy w Gdańsku centrum legalizacji, przygotowujące dokumenty dla osób ukrywających się. To był problem, dyskutowaliśmy, czy w ogóle robić coś takiego jak fałszowanie dokumentów.

W początkowym okresie po powstaniu RKK nawiązaliśmy łączność ze Stoczną Gdańską, Elmorem, portami, Hydrosterem, Unimorem, Stoczną Remontową, ze stoczną Nauta – z dużymi zakładami, bo na tych głównie nam zależało. Nie kontaktowaliśmy z nimi bezpośrednio, ale wysyłaliśmy łączników na spotkania komisji zakładowych. Komisje zakładowe dostawały informacje, papiery, ulotki itd. od określonego ogniwa, które z nami miało kontakt. To była potencjalnie jedna z bardziej zagrożonych działalności, do komisji bezpieczeństwa mogła wprowadzać agentów. Musiała być jakaś bariera, dzięki której ci ludzie nie wiedzieli, jak do nas dotrzeć. To myśmy do nich docierali, choć niektóre zakłady miały z nami bliższy kontakt, np. mój zakład, Elmor. Dobry kontakt z nami miała też służba zdrowia, mogliśmy ukrywać ludzi w szpitalach, na oddziałach. Rysiek Zajac

był ze służby zdrowia, Ryszard Wyszomirski, jego żona, Krystyna Olszewska, Roma Zawistowska – bardzo dużo im zawdzięczam. Dzięki nim miałem możliwość funkcjonowania, a także leczenia się w razie potrzeby.

Dzisiaj to brzmi jak bajka, ale wtedy żeby jeść, trzeba było mieć kartki na żywność. Kartki dostawały osoby zameldowane i pracujące (wręczano je w zakładzie pracy). Także benzyna była na kartki. Nie wystarczyło mieć pieniądze, trzeba było mieć jeszcze coś, co przysługiwało tylko tym ludziom, którzy żyli na powierzchni.

Spotykaliśmy się z tajnymi komisjami zakładowymi, ale staraliśmy się to robić bardzo rzadko, bo to było bardzo niebezpieczne. Ci ludzie nie umieli działać konspiracyjnie, nie mieli doświadczenia, ale także chyba – tak dzisiaj to oceniam – po prostu nie dorastali do tego, co w tamtym okresie w konspiracji trzeba było robić.

Kiedyś poszedłem na spotkanie z Tajną Komisją Zakładową Stoczni Gdańskiej, na Przymorze, jesienią 1982 r., już po nieudanym strajku, po delegalizacji Solidarności. Zawsze staraliśmy się umawiać w hali, żeby maksymalnie dużo ludzi było, jechać rano, tak jakby do pracy, godzina 6–7, żeby być w tłumie, wracać po 14–15. To była zasada, chociaż nie zawsze stosowana. Wysiadłem z tramwaju, idę na to spotkanie, po drodze widzę idącego przede mną człowieka. Od razu się zorientowałem, że on konspiruje, choć go nie znałem. No – idę za nim, bo domyślałem się, że zmierzamy w to samo miejsce. Specjalnie zostałem trochę z tyłu. On wszedł do budynku, ja za nim, on na górę i ja na górę. Wszedł do mieszkania. Odczekałem chwilę, zobaczyłem, co się dzieje, zapukałem i wchodzę – a tam cała Tajna Komisja Zakładowa Stoczni Gdańskiej, sześć-siedem osób, bardzo przerażona. Myślałem, że to ubek wszedł do środka. Bo ten, który szedł przede mną, powiedział, że ktoś go śledzi, za chwilę tu będzie. No i czekali, że za chwilę przyjdzie ubecja i ich aresztuje. Otworzyli mi drzwi...

Ja w życiu bym tego nie zrobił. Ktoś, kto działa w konspiracji, jeżeli widzi, że jest obserwowany, to nie idzie do lokalu konspiracyjnego. Ucieka jak najdalej, żeby wyprowadzić tego, kto go śledzi, w zupełnie inne miejsce. Nie można więc było polegać na przestrzeganiu

⁵ Spotkanie, na którym założono TKK, odbyło się około 20 IV 1982 r. w domu Lucyny Winnickiej na Żoliborzu w Warszawie. Obok przywódców czterech regionów uczestniczyły w nim Ewa Kulik, Barbara Labuda, Helena Łucywo i Joanna Szczęsna (A. Friszke, *Tymczasowa Komisja Koordynacyjna NSZZ „Solidarność” (1982–1987)* [w:] *Solidarność podziemna...*, s. 25–26). (red.)

zasad konspiracyjnych przez komisje zakładowe. Musieliśmy mieć własne zasady, dzięki temu to funkcjonowało.

Każdy z nas w RKK miał swoje zadania – w zależności od tego, co się wtedy działo. Ja się zajmowałem przede wszystkim kontaktami zagranicznymi, pozyskiwaniem pieniędzy od partnerów zagranicznych. Potem także organizacją sieci kontaktów międzyregionalnych, miałem ludzi, którzy te kontakty utrzymywali. Borusewicz nie miał kontaktu z regionami, choć oczywiście gdyby trzeba było, to by wiedział, jak do nich dotrzeć. I Olek Hall nie miał. Borusewicz i Hall mieli możliwości związane z drukiem i kolportażem i głównie tym się zajmowali. „Borsuk” oprócz tego odpowiadał za kontakt z częścią tajnych komisji zakładowych w Gdańsku, bo w pierwszym okresie funkcjonowała u nas koncepcja strajku generalnego, dzięki któremu wszystko się przewróciło do góry nogami i komuniści zostaną zmuszeni do odwrotu. Potem, w 1983 r., ta koncepcja padła i bezpośrednie kontakty z zakładami już były mniej potrzebne. Utrzymywaliśmy je tylko po to, żeby przekazać prasę.

Jeszcze myśleliśmy w maju 1983 r. – 1, 3 maja – że uda się ludzi zmobilizować, ale już nie było takiej wiary jak w 1982 r., do momentu delegalizacji Solidarności i tego wszystkiego, co się działo wokół ogłoszonego przez TTK na 10 listopada 1982 r. strajku generalnego. Wymusiło to zmianę patrzenia na to, w jakim sensie możemy tę batalię wygrać. Na początku był krótki marsz, potem zamieniono go na długie.

Spotykaliśmy się w RKK początkowo minimum raz w miesiącu. Zawsze w lokalach konspiracyjnych, nigdy tam, gdzie mieszkaliśmy. W miarę umacniania się organizacji, do 1984 r., potrzebowaliśmy spotkań tylko wtedy, gdy musieliśmy przedyskutować jakiś ważny problem. Kontaktowaliśmy się przez łączników oraz listownie i w ten sposób uzgadnialiśmy, co mamy robić, niekoniecznie potrzebne były do tego spotkania. Potem organizacja wskutek aresztowań osłabła.

RKK raczej nie miała doradców. Zwracaliśmy się do różnych osób, pytaliśmy o zdania, o opinie, o przygotowanie pewnych materiałów, ale nie nazywaliśmy ich

oficjalnie doradcami. Nie był to stały zespół. Gdy chodziło o działania związane z prawem pracy, pytaliśmy np. Leszka Kaczyńskiego, a także komisje zakładowe, szczególnie w Porcie Gdańskim. Pamiętam, kiedy szykowały się nowe układy zbiorowe pracy, oni przygotowali bardzo obszerny materiał dotyczący tego, co tak naprawdę znaczy zmiana tych przepisów. Jeżeli chodziło o inne sprawy, to zazwyczaj ściągałem swoich łączników merytorycznych, czyli Ryśka Wyszomirskiego, Ryśka Zajęca, „Kazika” (nie pamiętam nazwiska), Piotra Mierzewskiego. Oni przynosili informacje od ekspertów. Jasia Posmyk była głównym łącznikiem kontaktującym mnie z krajem.

Mierzewski chyba tylko przez pół roku funkcjonował, potem wpadł⁶. Ja byłem bardzo zorganizowany, punktualny, a on nie. Wszystkich przyzywałem do tego i uczyłem, nauczyłem nawet Borusewicza, żeby na spotkanie ze mną przychodzili punktualnie, bo dwie minuty później już mnie tam nie było. Umawialiśmy się w różnych miejscach, szczególnie na ulicy i nie mogłem się długo kręcić na skrzyżowaniu. Zegarki musieliśmy mieć zsynchronizowane, przychodziliśmy na czas.

Skład RKK był w miarę stały. Kiedyś Borusewicz postanowił poszerzyć RKK o przedstawiciela jednej z komisji zakładowych. Ja byłem przeciwny, nie ufałem mu. Nie podobał mi się. Ale Bogdan mu ufał, twierdził, że on jest w porządku... I dwa tygodnie po tym, jak wprowadziliśmy go do RKK, on się ujawnił. Prawdopodobnie go złapali, albo może rzeczywiście się sam ujawnił, może był agentem, nie wiem. Wystąpił w telewizji. Tak się skończyło poszerzanie RKK o ludzi, co do których nie do końca wszyscy mieli zaufanie. Potem Borusewicz był bardziej ostrożny.

Wychodziliśmy z założenia, że zarówno członkiem RKK, jak i TTK może zostać tylko ten, kto ma swoje nazwisko. I dopóty, dopóki ja byłem członkiem TTK i RKK, czyli do momentu aresztowania, taka zasada obowiązywała. Dla ludzi, którzy otrzymują od nas komunikat, musi być jasne, że firmuje to ten i ten, a nie – nie wiadomo kto. Potem – już jak siedziałem w więzieniu – ponieważ jednak były aresztowania, a wiele osób chciało działać, m.in. Lech Kaczyński, Jacek Merkel, lecz

⁶ Został internowany w połowie 1982 r. w Kwidzynie. Następnie aresztowano go 12 VI 1984 r. i oskarżono razem z Bogdanem Lisem o zdradę ojczyzny za kontakty z Międzynarodową Organizacją Pracy i związkami zawodowymi za granicą. Zwolniono go wraz z Lisem dopiero 7 XII 1984 r. (władze nie chciały objąć ich amnestią z września tr.). (red.)

nie pod własnymi nazwiskami, to dopuszczono możliwość, że jakaś część członków RKK posługująca się pseudonimami jest uwiarygodniana przez tych, którzy działają pod nazwiskiem.

Wraz z rozwojem konspiracji powstawały nasze służby specjalne. Jan Krzysztof Bielecki już od przełomu zimy i wiosny 1982 r. kierował w Gdańsku grupą, która cały czas prowadziła nasłuch działań SB, śledziła ubecków, obserwowała miejsca przez nich obserwowane. Bo myśmy czasami nie wiedzieli, kogo oni obserwują, ale wiedzieliśmy, że są. Ważna była informacja, czy chodzi o kogoś, kto ma z nami kontakt, czy o kogoś z zupełnie innego środowiska, z innej grupy. Jeżeli o kogoś od nas, to znaczy, że grozi nam niebezpieczeństwo, nas również mogą obserwować, a jeżeli nie od nas, to staraliśmy się jakoś tę inną grupę ostrzec. Czasami nie wierzyli i wpadali, czasami wierzyli i udawało im się uciec.

Ja miałem z nim kontakt i Borusewicz, przez łączników oczywiście. Po moim aresztowaniu ta grupa musiała się troszeczkę wyłączyć, gdyż zaczęło być wokół nich bardzo gorąco. Ale wtedy pojawił się „Kelner”, czyli Janusz Granatowicz i jego grupa, która organizowała spotkania TKK; oni przejęli system od Bieleckiego. Przede wszystkim różne punkty ruchome i stacjonarne – skanery zamontowane w mieszkaniach (ja też miałem w domu duży skaner do przeszukiwania fal, cały czas chodził i zatrzymywał się w momencie, kiedy podawano komunikaty ubeckie) i w samochodach, które jeździły po Gdańsku. Nadajniki i odbiorniki tak były poustawiane, żeby można było odróżnić rozmowy, które są nadawane poniżej stu metrów i te nadawane z centrali czy z samochodu z dalszej odległości.

Robiliśmy dokumenty dla osób ukrywających się. W Gdańsku ukrywało się niewielu. Ja co trzy, cztery miesiące zmieniałem nazwisko – i dokumenty. Przygotowywaliśmy dokumenty także dla Wrocławia, dla Warszawy... Zbieraliśmy dowody osobiste, prawa jazdy, dowody rejestracyjne samochodów, karty urlopowe. Kupowali to nasi ludzie w różnych regionach. Warszawa musiała mieć dowody warszawskie, my – dowody gdańskie. To były dokumenty już wypełnione, z nazwiskami itd. Zmieniało się tylko zdjęcie i osoba, która dostawała dowód, musiała się nauczyć swojej nowej tożsamości. Mielśmy specjalne metalowe pieczętki, które wytłaczały na zdjęciu określony znak. Bo taką pieczętkę zrobić, która korzysta z tuszu, to żaden problem...

Mielśmy autorytet kierownictwa Związku, jeżeli coś ogłaszaliśmy, to ludzie starali się to wykonać. Cud działalności podziemia wynikał właśnie z tego, że mieliśmy moralny placet na wiarygodność; jeżeli do czegoś nawołujemy, do czegoś mobilizujemy ludzi, należy to robić, bo to jest dobre. Dlatego nie mogliśmy działać pod pseudonimami.

Choć komisje zakładowe posiadały własne struktury, różne, ułomne czasami, wykonywały jednak nasze zadania, dlatego że uznawały nas za faktyczne kierownictwo Solidarności. I dlatego do RKK mógł należeć Olek Hall, choć wcześniej w kierownictwie Związku nie działał. Opierało się to na autorytecie, wiarygodności.

Wiadomo było, że ja jestem członkiem TKK, więc jeżeli ktoś się kontaktował z Gdańskiem, to nie tylko z zamiarem porozumienia się z regionem, ale także z TKK. To się wiązało z dodatkowymi możliwościami – pozyskania sprzętu poligraficznego, pomocy finansowej. Z Wielkopolski, Słupska, Koszalina przyjeżdżali, prosili nas o pomoc w zorganizowaniu drukarni. Niezbyt często, bo ograniczaliśmy te kontakty. Nie chcieliśmy wpadki. Jeżeli wiedzieliśmy, że ktoś chce się spotkać, w porządku, ale sami organizowaliśmy spotkanie, na naszych zasadach.

Ludzie, którzy się nie ukrywali, funkcjonowali na powierzchni, bali się spotykać z nami, bo myśleli z kolei, że ponieważ się ukrywamy, to nas szukają i łatwo przy tej okazji wpaść. Było zupełnie odwrotnie. My byliśmy bezpieczni bez kontaktu z osobami z zewnątrz. Ochrona przed Służbą Bezpieczeństwa polegała przede wszystkim na obserwacji Służby Bezpieczeństwa, jej nasłuchu, analizie rozmów prowadzonych przez radio. Udawało się ustalić wtedy czasami osobę lub miejsce, które jest obserwowane, a następnie analizowano, czy w tym miejscu znajduje się coś, co się z nami wiąże. Jeżeli z nami, to wiedzieliśmy, co robić, jeżeli nie z nami, to staraliśmy się ostrzec ludzi, że są obserwowani.

Ja miałem odbiornik radiowy z kilkoma częstotliwościami fal. Nosiłem go w specjalnie uszytej kurtce, w kieszeni wewnętrznej, słuchawkę w uchu... Radio odbierało w promieniu 200 metrów – to, co mówili ubecy, którzy znajdowali się w pobliżu. Oprócz tego miałem tak skonstruowane ubranie, że mogłem się w ciągu kilku sekund przebrać, wyglądając inaczej. Nosiłem kurtkę dwukolorową i dwustronną czapkę. Gdy wpadł Janusz Pałubicki (przewodniczący tajnego Regionu Wielkop-

skiego Solidarności), łączniczka, która kontaktowała mnie z Poznaniem, została namierzona przez bezpiekę. Znała Joasię Posmyk, czyli moją główną łączniczkę z krajem. Ona wiedziała bardzo dużo o strukturze podziemia i gdyby w razie wpadki zmusili ją do mówienia, byłoby bardzo źle. Postanowiłem się z nią spotkać i namówić ją, żeby zeszła do podziemia i kompletnie się ukryła. Przewidywałem, że będzie obserwowana przez bezpiekę, a tylko ja mogłem się z nią spotkać, bo tylko ja ją znałem. Zorganizowałem to spotkanie w Sopocie. Ona wyszła z pieskiem na spacer. Zorientowałem się, że naokoło jest rozstawionych z pięć samochodów Służby Bezpieczeństwa. Ona szła ulicą do góry, a ja wyszedłem z lasu i tą ulicą zacząłem iść na dół. Miałem przy sobie radio, słyszę ubeków, którzy mnie prowadzą: „Jedynka...” – czy coś w tym stylu, i podają, jak jestem ubrany. Nikt za mną nie szedł, tylko przekazywali mnie sobie przez nadajniki. Ja po drodze przetrzuciłem kurtkę na drugą stronę i wyszedłem już w innym kolorze. Oni zaczęli się konsultować – ja to wszystko słyszę: „Nie wychodzi, nie wychodzi”, „No, jak nie wychodzi, już dawno powinien wyjść”, „Nie. Wyszedł, ale inny jakiś, w innej kurtce”... Przekazują mnie kolejnemu. Zdjąłem czapkę, już byłem bez czapki. Miałem długie buty do kolan, spodnie wpuszczone do środka, więc spodnie wyjąłem, włożyłem na kozaki, kozaków już nie miałem... Trzy razy po drodze zmieniałem wygląd, doszedłem do ulicy Armii Czerwonej, spotkałem się z Joasią, rozmawiałem z nią przez dwie minuty i skoczyłem do lasu. Zaczął się ruch zaraz później, bo zorientowali się, że coś jest nie tak, choć nie bardzo wiedzieli co: szły jakby trzy różne osoby... Samochody zaczęły jeździć, ale ja już byłem w lesie, stałem na górze i patrzyłem, co się dzieje. Jej nie zatrzymali, a ja po prostu przez las poszedłem parę kilometrów dalej, gdzie czekał samochód.

To przykład, jak system ochrony przed bezpieką, który człowiek sobie sam zorganizuje, i wiedza o tym, jak SB działa, daje pewnego rodzaju zabezpieczenie. Oczywiście – mogli mnie zwinąć bez względu na to, jak wyglądałem, czy byłem w takiej kurtce, czy innej, na wszelki wypadek.

„Borsuk” też miał radio, prowadził nasłuch. Myślę, że każdy z nas organizował sobie według własnego pomysłu ochronę przed bezpieką. Poza tym mieliśmy informacje bezpośrednio od ludzi, którzy w SB funkcjonowali, współpracowali z nami – od Adama Hodysza, od Piotra

Siedleckiego. A także od osób, które miały kontakt z jakimś ubekiem – choć ubek nie wiedział, kim one są – i wyciągały różne informacje. Podchodziliśmy do tego ostrożnie, bo mogły to być informacje podawane celowo, jeżeli byłby zorientowany, z kim ma do czynienia.

Czasami serce skakało do gardła... Czasem się bezpośrednio natykałem na ubeków. Raz przeszukanie zrobili w mieszkaniu, w którym się ukrywałem, dzień przed wigilią Bożego Narodzenia. Leżałem na materacu pod zwiniętą kołdrą. W ustach już miałem ampułkę z adrenalinami... Piąte piętro, wieżowiec, dom cały obstawiony, uciec się nie dało. Weszli do domu, przeszukali lodówkę, szafę, kanapę, wersalkę, wszystko... Ja do dzisiaj nie wiem, czy ten ubol, który wszedł do środka, widział mnie czy nie. Ja go widziałem. To był damski pokój, prawie pusty, nie było światła (żarówka wykręcona). Leżały duże materace, ze trzy, jeden na drugim, a więc nic pod spodem nie można było schować – może to mu zasugerowało, że nic nie ma. A może mnie widział, ale postanowił wyjść.

* * *

W pierwszym okresie po 13 grudnia 1981 r. nie kontaktowaliśmy się z OKO, znaczy myśmy na nich – na Konarskiego i Szumiejkę – kontakt mieli, ale oni na nas nie. Wiedzieliśmy, gdzie się ukrywają, że są obserwowani przez bezpiekę – i sądziliśmy, że to jest „kocioł” na nas. Po jakimś okresie, gdy się zorientowaliśmy, że prawdopodobnie zostaną zdjęci, ostrzeżliśmy ich. Oni nie bardzo wierzyli, że są obserwowani, w końcu doszło do tego, że Szumiejkę bezpieka chciała zdjąć, on uciekał po piorunochronie, pokaleczył się. A Konarski zniknął. Prawdopodobnie umieścili go w jakimś ciepłym gniazdku, żeby mógł robić swoje, czyli donosić. To miało zresztą krótkie nogi, bo informacja od nas od razu poszła dalej, już nie bardzo miał możliwość działania.

Ogólnopolski Komitet Oporu powstał po tym, jak Krajowy Komitet Strajkowy został przez bezpiekę rozwalony. A nie – że zapadła decyzja Krajowego Komitetu Strajkowego o powstaniu OKO. Szumiejko tak to interpretował, ale niczego takiego nie było.

Myślę, że późniejszy ciąg zdarzeń udowodnił, że OKO nie było żadną alternatywą dla tego, co my chcieliśmy robić. Przede wszystkim w 1982 r. w Polsce żadna konspiracja postępująca się pseudonimami nie miała szans

powodzenia, gdyż nie była wiarygodna dla ludzi. Należało podeprzeć się autorytetem i nazwiskiem; myśmy wyszli z tego założenia i okazało się, że mieliśmy rację. Myśmy funkcjonowali, a OKO przestało istnieć. Praktycznie nigdy nie zaistniało, oprócz tego, że wydali dwie ulotki, i to jeszcze chyba drukowane przez bezpiekę. Nasze działania były słuszne.

Podziemie się buduje tak, jak na to sytuacja pozwala. I było budowane zupełnie niezależnie na dole i od góry. Na dole tam, gdzie rodził się opór. Przybierał on różne formy, czasami organizacyjne, czasami ludzie reagowali tylko na to, co się dzieje. Natomiast myśmy na poziomie RKK i TKK założyli, że musimy stworzyć strukturę. Można powiedzieć, że był budowany zupełnie niezależnie tunel, który się gdzieś tam zbliżał do siebie, ale wcale nie chcieliśmy, żeby się połączył. Musiał być rozdzielony, żeby w razie wpadki nie doszło do likwidacji wszystkich struktur. Dlatego nie dążyliśmy do zhierarchizowania podziemia.

Na przełomie 1982 i 1983 r. bezpieka zlikwidowała ostatnią samodzielną grupę, tzw. Drugą Krajówkę. Zainstalowali się w Gdańsku, kilka osób, to nie byli znani działacze. Nie chcieliśmy z nimi kontaktów. Uznaliśmy, że to ambicjonalne poczynania ludzi, którzy kompletnie nie mają doświadczeń konspiracyjnych, możliwości ani kontaktów. To była grupa skazana na pożarcie. To może brutalnie brzmi, ale myśmy rozdawali karty i nie interesowało nas poszerzanie możliwości czy naszych struktur przez organizacje, które powstawały wtedy jak grzyby po deszczu. Sami chcieliśmy od początku organizację budować, dlatego że wtedy mogliśmy trzymać nad nią kontrolę. Nad tym, co bierzesz z zewnątrz, co już istnieje, nie masz kontroli, nie wiesz, jak zostało zorganizowane, kto tam funkcjonuje. To zbyt duże ryzyko.

Odrzucaliśmy możliwość wschodzenia w nasze struktury ludzi, którzy się nam narzucali. Sami dobieraliśmy współpracowników. Natomiast organizację budowaliśmy jako kadrową, nie masową; wąska grupa, która kieruje, nadaje ton wydarzeniom, jest w stanie podejmować decyzje, nie musi dyskutować tygodniami, miesiącami...

* * *

TKK powstała w kwietniu 1982 r. na spotkaniu w Warszawie. Działacze regionalni – czyli w przypadku Gdań-

ska Borusewicz, Hall i ja – podjęliśmy decyzję, że wchodzimy jako region do struktury TKK, a ja osobiście wchodzę do TKK jako jej członek. Podobnie z Krakowa wszedł Hardek, z Warszawy Bujak, z Wrocławia Frasyński. Wszyscy występowali w imieniu regionu, mieli upoważnienia. Natomiast Szumiejko nie reprezentował regionu; występował jako wolny strzelec⁷.

Ustaliliśmy, że jedyną formą działania są niezależne struktury organizacyjne w poszczególnych regionach, promieniowanie na okolice tymi strukturami. Polityka zagraniczna powinna być w jednym ręku, ale jeżeli regiony utrzymują kontakty z zagranicą, to mogą z nich korzystać w kwestiach finansowych. Pieniądze, poligrafia – to jest potrzebne w różnych miejscach, dlatego powstają regionalne komisje koordynacyjne. Na razie ustaliliśmy regiony, w których te komisje powstają: Kraków, Wrocław, Gdańsk i Warszawa, z możliwością, że mogą powstać też gdzie indziej. Chodziło głównie o Toruń (mieliśmy tam kontakt z Antonim Stawikowskim), Poznań (tu był Janusz Pałubicki, a także grupa młodych ludzi, którzy chcieli z nami współpracować). Chcieliśmy działać jak najszerzej, ale co chcieliśmy, a co mogliśmy, to są dwie różne rzeczy. Próbowaliśmy w Szczecinie, na Śląsku mieliśmy informacje od Jerzego Buzka. Potem na Śląsku się pojawił, ni stąd, ni zowąd, Tadek Jedynek, a po jego aresztowaniu Jan Andrzej Górny (okazał się później agentem), który jednak nie funkcjonował w TKK, gdyż nie chciał podawać nazwiska.

Warunki, które narzucaliśmy, powodowały, że nie wszyscy się decydowali. Gdy musieli podać nazwisko, to się nie decydowali z obawy przed konsekwencjami. Jeżeli ktoś był agentem czy miał coś na sumieniu i ludzie o tym wiedzieli, to po ogłoszeniu nazwiska dotarłyby do nas informacje, z kim mamy do czynienia. Jeżeli z kolei ktoś rzeczywiście, autentycznie chciał działać, to musiał się liczyć z represjami wobec rodziny itd., więc też nie każdy się odważył. Dlatego to kryterium było bardzo trafne. Dawało nam pewien komfort działania wśród ludzi, którzy są gotowi na wiele, i było bardziej bezpieczne.

W podziemiu organizacja musi być kadrowa, a nie masowa. Gdyby była masowa, to byśmy wszyscy siedzieli. Więc nie szukaliśmy współpracowników wszędzie, tylko po prostu mieliśmy swoich ludzi. Jeżeli trzeba było coś powiększyć, to wtedy się zastanawialiśmy, kto ze struk-

⁷ Podpisywał się pod oświadczeniami jako członek Komisji Krajowej NSZZ Solidarność. (red.)

tur, które już funkcjonowały, się do tego nadaje. Tak naprawdę decyzje podejmowali zupełnie niezależnie ci, którzy kierowali tymi strukturami.

Skład zmieniał się tylko po aresztowaniu. Region delegował do TKK w takim sensie, że dana osoba działała w regionie, natomiast my musieliśmy ją zaakceptować. Dochodziło nawet do konfliktów. Na przykład Marek Muszyński we Wrocławiu – działał po aresztowaniu Frasnyniuka, Piotra Bednarza i Józefa Piniora. Miał pseudonim „Witold”. Szumiejko chciał, żeby go wprowadzić do TKK. On się teoretycznie ukrywał, ale nie chciał ujawnić nazwiska. Powiedzieliśmy: nie! Kilka razy pod komunikatem TKK umieściliśmy informację: w posiedzeniu wzięli udział przedstawiciel Dolnego Śląska pseudonim „Witold” – i to wszystko. Nie podpisywał dokumentów TKK jako jej członek, bo nie chciał ujawniać nazwiska, a my nie godziliśmy się na podpisywanie komunikatów TKK pseudonimem.

Spotykaliśmy się dwa razy w miesiącu, a czasem raz na dwa miesiące, zależnie od potrzeb. Zazwyczaj były to spotkania dwudniowe. 80 procent spotkań odbyło się w Gdańsku. Mieliśmy dobrze przygotowaną bazę, łącznie ze strukturami bezpieczeństwa. Ale organizowaliśmy też spotkania we Wrocławiu, Krakowie, Warszawie. Region czasem bardzo chciał, żeby przyjechać, spotkać się – dowartościować ludzi z określonego miejsca. Poza tym chcieliśmy ich mobilizować od strony organizacyjnej. Jeżeli miało się odbyć spotkanie, to wokół tego grupa ludzi musiała się napracować – przynosiło to pozytywny efekt.

Kilka spotkań było w Węsierszach na Kaszubach. Tam znajdowało się kilka domków – jeden miał ojciec Krzyszka Pusza, następny Krzysiek, Andrzej Pusz, Rysiek Pusz, mogła tam spać duża grupa osób. Na większe spotkanie ściągaliśmy łączników merytorycznych. Członkowie TKK to minimum 4–5 osób, sekretariat – czyli ludzie, którzy musieli pisać uchwały: Konrad Bieliński, Ewa Kulik, Helena Łuczyno – czasem dwie osoby, czasem trzy. Łącznicy merytoryczni – 2–3 osoby, do tego obsługa, która przygotowywała jedzenie i inne rzeczy. W sumie 15–16 osób. Ochrona zazwyczaj 6–7 osób. To było spore przedsięwzięcie. Organizacją takich spotkań zajmował się „Kelner” – Janusz Granatowicz z Gdańska. Krzysztof Pusz pomagał, jak było trzeba, dawał lokal.

Jedno spotkanie odbyło się na Kociewiu, nie pamiętam, w jakiej miejscowości. Zasadziliśmy tam dąb, pod jego korzenie wkopaliśmy butelkę z dokumentem, że uczestnicy spotkania TKK sadzą dąb i nazywają go imieniem Lech.

Spotkania nie były protokołowane. Nie ma z tych spotkań żadnego zdjęcia, był zakaz. Nie robiliśmy tego przecież po to, żeby dokumentować historię.

* * *

Myślę, że wpływy czterech dużych regionów w TKK były równoważne. Może Kraków mniej znaczył z racji tego, że Hardek był działaczem o mniejszym autorytecie i miał słabsze przebicie. Jego głos był po prostu mniej słyszalny niż Władka Frasnyniuka, Zbyszka Bujaka czy mój. Jak odszedł Hardek⁸, to Jurek Zdrada przyjeżdżał na spotkania, chociaż nie podpisywał oświadczeń swoim nazwiskiem i formalnie nie był członkiem TKK. Uczestniczył w spotkaniach TKK po to, żeby była zachowana łączność z regionem. Jeśli mogliśmy ustalić coś przez łączników, to tak robiliśmy. Nie musieliśmy się wtedy przemieszczać, ryzykować itd. Ale często w różnych sprawach mieliśmy inne zdanie. Czasem polemizowaliśmy, np. ja z Bujakiem w 1982 r. na łamach prasy podziemnej w kwestii: długi marsz czy strajk generalny.

Pomagali nam łącznicy merytoryczni. Odgrywali dużą rolę, nie tylko w posiedzeniach TKK. Myśmy się spotykali po to, żeby podejmować decyzje i ewentualnie się dogadać. Zanim podjęliśmy decyzję, dyskutowali łącznicy merytoryczni, którzy znali stanowiska szefów regionów. Analizowali sytuację, wypracowywali wspólne zdanie. Przede wszystkim byli to Jurek Zdrada, Jerzy Buzek, Michał Nawrocki z Warszawy. Przyjeżdżali, konsultowali, jeżeli była akceptacja, to okey. Jeżeli pozostało jeszcze coś do wyjaśnienia, jeszcze raz się spotykali. Jeżeli różnice zdań były istotne i decyzje mogły zapaść tylko na szczeblu kierownictwa, to się zbieraliśmy i decydowaliśmy. Spotykaliśmy się także po to, żeby omówić sytuację w kraju i zastanowić się, co dalej. Myślę, że w ciągu roku było dwanaście spotkań TKK. Czyli średnio raz na miesiąc.

TKK podejmowała decyzje polityczne oraz decyzje w sprawach nagłych, takich, które wymagały wytyczenia kierunków działania. Jeżeli odzywaliśmy się

⁸ Został aresztowany 19 VIII 1983 r. w Pile. Złamany podczas śledztwa przez milicję, wystąpił w telewizji z oświadczeniem potępiającym działalność podziemną. (red.)

w kwestii palenia świec czy czegoś podobnego, to po to, aby pokazać, w jaki sposób manifestować opór i jednocześnie nie trafić za kratki. Staraliśmy się wytyczać drogę i sposób postępowania. Zgodnie z naszym apelem co miesiąc w zakładach pracy były manifestacje, strajki. Nie musieliśmy tego apelu powtarzać, miesiąc w miesiąc trzynastego odbywały się piętnastominutowe strajki – po czym za każdym razem wygarniano kadrę Solidarności z zakładów pracy. Dlatego później wystąpiliśmy do zakładów pracy, żeby tych strajków już nie organizowali.

Wychodziliśmy z założenia, że trzeba popierać wszelkie niezależne inicjatywy, jak np. OKNO (Oświata-Kultura-Nauka). To przecież nie myśmy wymyślili OKNO, ale działacze, m.in. Wiktor Kulerski, a to angażowało określone środowisko – nauczycieli, naukowców, przygotowywali opracowania. W ten sposób pokazywaliśmy, że Solidarność ma też pozytywne propozycje. Wspieraliśmy te działania oddolnie technicznie, finansowo, a także dawaliśmy placet, że to jest coś, co należy traktować poważnie. Nie chcieliśmy tego koordynować w takim sensie, żeby im jakąś „czapkę” nałożyć, natomiast potrzebny był kontakt, by informacja szła w obie strony.

Koordynacja działań podziemia polegała na tym, że my określaliśmy datę i godziny akcji protestacyjnej, by odbyła się w jednym momencie, ale to struktury lokalne decydowały, jaką formę protestu wybiorą – czy będzie to manifestacja, strajk, czy jeszcze coś innego. To oni wiedzą, do czego są przygotowani. Natomiast regiony same podejmowały decyzje dotyczące poligrafii czy spraw organizacyjnych. Nie da się sterować czymś takim z góry – z poziomu TKK, nie mieliśmy przełożenia.

W kwestiach finansowych TKK nie decydowała, gdyż pieniądze były od razu przysyłane w określonym celu: albo dla określonego regionu, albo dla określonej struktury. My zresztą woleliśmy sprzęt niż pieniądze. Braliśmy powielacz, jakieś maszyny, urządzenia, skanery itd. Pieniądze mieliśmy tu, na miejscu. Nie było czegoś takiego jak własny budżet TKK, choć oczywiście potrzebowaliśmy pieniędzy na organizację itd. Wykorzystywaliśmy środki, które docierały do nas z Zachodu, natomiast nie było to najważniejsze w kontaktach z zagranicą. Najważniejsze dla nas były maszyny i urządzenia.

Odpowiadałem w TKK za kontakty zagraniczne, bo zajmowałem się tym przedtem. Miałem kontakty na Brukselę. Przed grudniem byłem szefem działu zagra-

nicznego Solidarności. Miałem kontakty i wiedziałem, jak je odnowić w sposób wiarygodny i bezpieczny, tzn. tak, że nikt po drodze, żaden ubek, w to się nie wmiecha. Wystąpiłem do Rafała Nędzyńskiego, którego dobrze znałem, kasetę z prośbą o odpowiedź (także na kasecie). Zawarłem tam sformułowania, które tylko on mógł zrozumieć. On też nagrał kasetę, nawiązując do pewnych spotkań, zdarzeń. Później, w drugą stronę poszły informacje od Jerzego Milewskiego, Mirosława Chojeckiego, Sławomira Czarlewskiego z Paryża. Oni też potrzebowali jednego kierownictwa w kraju. Ja to wszystko trzymałem, koordynację oddałem Brukseli. Oczywiście miałem mnóstwo protestów z całego świata, od różnych komitetów... Ale dla bezpieczeństwa musiało to być koordynowane i kontrolowane w jeden sposób.

O utworzeniu Biura Koordynacyjnego NSZZ Solidarność w Brukseli dyskutowaliśmy na posiedzeniu TKK. Wszyscy się zgodzili, że regiony mogą prowadzić swoje własne kontakty. Jeżeli zaś chodzi o szczebel krajowy, to ma być jeden szczebel polityczny, a nie że każdy sobie rzepkę skrobie. Taka decyzja zapadła w maju 1982 r. W Brukseli mieściła się Konfederacja Międzynarodowych Wolnych Związków Zawodowych oraz Światowa Konfederacja Pracy, dwie centrale związkowe, które najbardziej zaangażowały się w pomoc dla Solidarności. Miałem też tam swoich ludzi, spoza struktury. W ten sposób także nasza firma, czyli Milewski i spółka, mogła działać pod pewną kontrolą. Nie byłem skazany na jedno źródło informacji. Potem te kontakty rozszerzały się na inne kraje.

Kontakty dotyczyły np. spraw technicznych, jak przysyłanie sprzętu, pieniędzy, system korespondencji, szyfry (szyfrowanie korespondencji to także decyzja polityczna). Chodziło też o prezentowanie stanowiska w różnych sprawach. Czy mamy zajmować się np. apartheidem w RPA, przypadkami aresztowań działaczy związkowych? Czy my, będąc w opozycji wobec rządu, walcząc tutaj o wolność, o demokrację, o możliwość działania, jesteśmy w stanie zabierać głos także w sprawach ludzi, którzy są represjonowani gdzie indziej?

Pomoc płynęła z różnych kierunków i z różnych źródeł. Żeby ją oszacować, trzeba by zrobić dokładną analizę poszczególnych regionów. Najprędzej kontakty zagraniczne nawiązał Region Mazowsze – przez Mirosława Chojeckiego, który przebywał w Paryżu. Także Kraków miał kontakty z Francją, głównie związkowe, dzięki różnym osobom z Polski, które tam funkcjonowały.

Transporty szły też do innych regionów, ale w sposób niezorganizowany. Do regionów umocowanych wokół TKK wraz z transportami charytatywnymi szły drukarnie, radiostacje, wiele różnych rzeczy.

Funkcjonowało to wszystko dość sprawnie, choć jest jeden element, który burzy tę ocenę. Łącznością zagraniczną z Gdańską zajmował się bowiem agent bezpieczeństwa – „Junior” (Zdzisław Pietkun). Współpracował ze mną i otrzymał część kontaktów, głównie w Paryżu. Sławek Czarlewski, który pracował w Biurze w Paryżu, był jego kolegą. Natomiast sprzęt stamtąd nie przechodził przez „Juniora”, ale odrębnym kanałem. To, co wysyłano z Paryża, nie wpadało. „Junior” pojawił się w końcu 1982 r. i funkcjonował do mojego aresztowania.

Kontaktowaliśmy się z Zachodem przy pomocy ludzi, którzy wyjeżdżali za granicę. Większość korespondencji przesyłano – w obie strony – w pojemnikach z aerozolami, w piankach do golenia, dezodorantach. Mieliśmy specjalne urządzenia do wypuszczania i ładowania gazu. Żeby zorientować się, czy coś tam jest, trzeba było wypuścić gaz i przepiłować pojemnik. W środku w dwóch, trzech prezerwatywach znajdowały się dokumenty. Większość listów pisano na bardzo miękkiej, cienkiej fizelinie. Przyjeżdżali też łącznicy, zazwyczaj stali (trzy osoby), którzy wiedzieli, co wiozą. Kontaktowałem się z nimi przez Ryśka Zajęca i „Juniora”, jeżeli chodzi o Paryż, Ryśka Wyszomirskiego.

Kontaktowaliśmy się raz w miesiącu, czasami dwa razy. W zależności od tego, co się działo. Oni wysyłali także informacje okazjonalnie, przez przygodne osoby, które trafiły do Biura w Brukseli. Czasem mogło być tak, że ten, co przekazywał, nie wiedział, że przewozi informacje. W Polsce wszystkiego brakowało, jeżeli więc ktoś kupił dezodoranty i prosił o przekazanie tego komuś znajomemu, to nie budziło podejrzeń.

Szacunku strat podczas kontaktów z zagranicą chyba nikt nie zrobił. Kiedyś wpadł duży kontener ze sprzętem ze Szwecji. Ewidentna wyspa, bezpieczeństwa to przejęła. Wpadały mniejsze transporty z Paryża. Oni mieli swoich agentów usytuowanych w różnych miejscach. Niekoniecznie musieli dysponować pełną informacją. Mogli dedukować z różnych wiadomości co, gdzie, kiedy. Jeżeli nie wiedzieli co, a tylko – że został wysłany transport charytatywny w taki a taki rejon, to go zatrzymywali, wpadali, piłowali podłogi. A podłoga była nieraz podwójna. Transporty szły do Kościoła, ale przy prze-

kazywaniu listów nie korzystaliśmy z kanałów kościelnych. Z pomocy dyplomatów zachodnich także nie. Jeśli – to tylko z informacji, które dyplomaci przekazywali.

Odzew z zagranicy był za mały na nasze potrzeby. Potrzebowaliśmy więcej sprzętu, były aresztowania, wpadki, ciągle to musieliśmy uzupełniać. Ale brakowało także możliwości przerobowych. Dla regionów, które chciały działać, sprzętu wystarczało. Mogliśmy próbować uruchamiać drukarnie w innych regionach, ale to nic nie dawało – musieli być jeszcze ludzie, którzy potrafiliby zorganizować sieć kolportażu i rozdysponować bibułę w odpowiednie miejsca. Mogliśmy ściągnąć więcej sprzętu i maszyn, lecz był problem ze strukturą.

Jednak pomoc była niewystarczająca także w innym asortymencie – chociażby skanery, krótkofalówki. Nawiasem mówiąc, ściągnęliśmy krótkofalówki, których bezpieczeństwa nie była w stanie namierzyć. Szczególnie przydały się przy organizowaniu spotkań TKK. Część rzeczy robiliśmy sami. Zaczęliśmy produkować mininadajniki radiowe, żeby nadawać audycje radiowe w promieniu 1000–1500 metrów. Produkcja odbywała się w Poznaniu, a potem przenieśliśmy to do Gdańska (robili je elektronicy z Politechniki Gdańskiej). W Warszawie audycje radiowe puszczaaliśmy z dużych nadajników, jeśli one wpadały, ponosiliśmy duże straty – nadajnik kosztował nawet kilkaset dolarów. W Gdańsku przeszliśmy na mininadajniki o zasięgu 1500 metrów, mniejsze od pudełka papierosów; każdy miał inną, ale zbliżoną częstotliwość. Na ulotkach podawaliśmy informacje, o której należy nas słuchać i na jakich częstotliwościach. Ludzie wiedzieli, że będzie nadawała Solidarność i szukali w radiu. Nadajniki, podłączone do magnetofonu, umieszczano na ósmym bądź dziewiątym piętrze wieżowca, w różnych miejscach, a ponieważ miały mały zasięg, pelengatory nie mogły ich szybko namierzyć. W Gdańsku zastosowaliśmy tę metodę jesienią 1982 r. – nadaliśmy przemówienie, które nagrałem w związku ze strajkiem i delegalizacją Solidarności.

Pieniądze z Zachodu kierowano do określonych grup, określonych ludzi. Staraliśmy się jak najszybciej pozbyć odpowiedzialności za te środki, bo przecież baliśmy się rewizji. Długo więc nie leżały w jednym miejscu, przechowywano je tam, gdzie powinny dotrzeć.

Jak potrzebowaliśmy pieniędzy, to pisaliśmy do Milewskiego, jaką sumę ma nam wystać. Żeby mógł się rozliczyć, musiał mieć potwierdzenie, że pieniądze do-

tarły. Specjalne hasło znane jemu oraz tym, którzy nam pomagali, publikowano w prasie podziemnej: naszej gdańskiej „Solidarności”, w biuletynie Stoczni Gdańskiej „Rozwaga i Solidarność” oraz w „Tygodniku Mazowsze”. Jeśli pieniądze przeznaczone dla konkretnego regionu, to domagaliśmy się, żeby region w swoim piśmie umieszczał takie haselka. Wtedy to pismo przesyłaliśmy do Brukseli dla potwierdzenia. My także byliśmy rozliczani z tych pieniędzy.

W Gdańsku mieliśmy specjalną komisję, która uwiarygodniała rzetelność naszych ludzi, coś w rodzaju komisji rewizyjnej. Tworzyli ją ks. Stanisław Bogdanowicz (wówczas proboszcz z Bazyliki Mariackiej w Gdańsku) i cztery osoby świeckie – godne zaufania. Ta komisja dostawała informacje o sumie przekazanych pieniędzy i sposobie ich wykorzystania. Jeżeli przyjmowana była pomoc dla TKK, np. 200 tys. dolarów, to ich nie dostawaliśmy, bo nam tyle nie było potrzebne. Za te pieniądze chcieliśmy sprzęt. Gotówki potrzebowaliśmy do organizowania spotkań; nie były to ogromne kwoty – rzędu 2 tys. TKK dysponowała gotówką w takim sensie, że miała pieniądze za granicą na zakup sprzętu. Na to szło 80–85 procent pomocy kierowanej do Polski. Część tej pomocy szła na utrzymanie Biura w Brukseli i kanałów kontaktowych.

Myśmy wyraźnie mówili, że nie mamy z takimi organizacjami jak Solidarność Walcząca, KPN nic wspólnego, to nie jest nasza metoda walki, nie nasz styl. Odbyło się nawet u jednego z członków TKK spotkanie z Kornelem Morawieckim. Morawiecki uważał, że należy się mu część środków, które dostajemy od zachodnich partnerów, i próbował wymusić na nas podział tych środków. My uważaliśmy, że jak on potrzebuje materiałów, pieniędzy, powielaczy, to niech organizuje sobie siatkę na Zachodzie. A to, co my dostajemy, to przychodzi na działalność pokojową i tylko taką wspieraliśmy.

Jeżeli chodzi o metody działania, to różnic w Solidarności raczej nie było. Co innego Solidarność Walcząca – to była odrębna struktura. Do Grupy Roboczej też mieliśmy stosunek negatywny – uważaliśmy, że prowadzi działalność rozbijacką.

* * *

Do spotkania TKK z Lechem Wałęsą doszło po raz pierwszy w kwietniu 1983 r. Przygotowywaliśmy je przez kilka

tygodni. On był bardzo pilnie strzeżony przez bezpiekę, ale udało się. Spotkanie zorganizował Szumiejko z pomocą kilku osób: Stefana Gumowskiego, Krzyśka Pusza, Andrzeja Kopcia. Lech jechał na spotkanie do Warszawy, tam był umówiony. Esbecy przekazywali go sobie kolejno z jednego śledzącego samochodu do następnego. My przejęliśmy go akurat w momencie, gdy na krótkim odcinku nie było za nim ogona. Mietkowi Wachowskiemu, który go wiozł jako kierowca, Wałęsa kazał jechać dalej i nie oglądać się. Bezpieka nie wiedziała, że w środku już nie ma Wałęsy. Zanim się zorientowali, samochód przyjechał do Warszawy. Na wszelki wypadek przygotowaliśmy kolejne zmiany samochodów.

Spotkanie odbyło się w lokalu na Zaspie w Gdańsku. Brało w nim udział całe TKK plus „Kelner” i jego ludzie, którzy zapewniali bezpieczeństwo. Z łączników merytorycznych był Jurek Zdrada. Chcieliśmy przede wszystkim wyjaśnić sobie role, które mamy odgrywać: my i Wałęsa. No bo Lech pojawił się na wolności (14 listopada 1982 r. został wypuszczony z ośrodka internowania), wyszedł z mamra i nie można było tego nie zauważyć. On był symbolem Solidarności. Musieliśmy więc pewne rzeczy uzgodnić. Na przykład problem sankcji ekonomicznych Stanów Zjednoczonych przeciwko PRL, metody walki, sam Wałęsa – co zamierza robić, chce zejść do podziemia i tam działać czy zostać na powierzchni.

Nie mogę już dziś dokładnie zrelacjonować tego, co mówiliśmy. Sankcji Wałęsa nie chciał publicznie popierać, ale choć my mówiliśmy jasno, że je popieramy, nie atakował naszego stanowiska. Znajdował się w delikatnym położeniu. Oficjalnie sankcjom się nie sprzeciwiał; mówił tylko, że biją także w normalnych ludzi. Tu była różnica zdań.

Wałęsa uważał, że nie ma sensu, żeby schodził do podziemia, bo jest potrzebny – jako szef Związku – na powierzchni. Jego schowanie się ograniczyłoby możliwości Solidarności. Umówiliśmy się również, że w kwestiach wymagających uzgodnień będzie się z nami kontaktował. Sprawy związane z konspiracją, drukiem, organizacją podziemia, kanałami przerzutowymi, pieniędzmi itd. były zastrzeżone dla nas i on nie mógł się wypowiadać. Przyjął to, bo rozumiał, że jesteśmy w sytuacji walki, znał konspirację sprzed sierpnia 1980 r., wiedział, że pewne środki ostrożności są niezbędne. Ci, którzy siedzą w podziemiu i narażają się na więzienie, decydują o tym, jak ta część podziemia ma wyglądać. W to

nie ingerował. Ale też wiadomo było, że nie będzie można uzgodnić stanowiska w wielu sprawach, bo za szybko się dzieją. Dziennikarze przychodzą, pytają i trzeba odpowiadać. Więc Wałęsa odpowiadał, do nas dziennikarz nie mógł dotrzeć. Nagrywaliśmy filmy, co jednak musiało trwać, a kiedy trzeba było szybko reagować, Wałęsa wypowiadał się w swoim imieniu. Akceptowaliśmy to.

Kanał kontaktowy z Lechem mieliśmy przez cały czas. To my decydowaliśmy, kiedy i jak do niego docieramy. On też wiedział, komu może przekazać informacje, jeśli sam chciał się skontaktować. Zazwyczaj przez osoby z komisji charytatywnej. Było to naturalne – ludzie mieszkali obok siebie, sąsiedzi – łatwo było w sposób niezwracający uwagi przekazać pewne informacje. Kontakt z Wałęsą miał Jacek Merkel. W pewnym okresie Leszek Kaczyński też spotykał się z Wałęsą i przekazywał informacje, czasami nawet w imieniu Lecha pewne rzeczy uzgadniał.

To pierwsze spotkanie TKK z Wałęsą było istotne także z tego względu, że chcieliśmy zrobić szumek. I zrobiliśmy. Podobno wszyscy funkcjonariusze zostali ukarani za to, że dopuścili do takiej sytuacji. Zmieniła się ochrona, zmieniono system pilnowania Wałęsy. Ale nie da się do końca upilnować, jeżeli trzeba, to zawsze można do takiego spotkania doprowadzić.

* * *

Trudne decyzje podejmowaliśmy w TKK w głosowaniu. Inne – na zasadzie dogadywania się. Czy ogłaszamy strajk generalny po tym, jak milicja zabiła manifestantów w Lubinie 31 sierpnia 1982 r., czy też kwestia strajku generalnego po delegalizacji Solidarności – to nie były błahе decyzje. Sprawa jedenastki, która siedziała w więzieniu – czy mamy apelować do nich, żeby wyjechali...

Jesienią 1982 r. na spotkaniu TKK w Krakowie Władek Hardek wysunął propozycję, żeby stworzyć podziemny system sądownictwa, kodeks karny itd. Szumiejko tylko trochę dyskutował na ten temat. Chyba się wstrzymał. Ja byłem przeciwny i Bujak był przeciwny. Uważałem, że jeżeli powstaje prawo, to ma to coś z tajnego państwa. Powstają struktury, które wymuszają pewne zachowania. A my oddziaływaliśmy na ludzi siłą autorytetu. Robili coś, bo chcieli to zrobić, a nie dlatego, że była

struktura, która kazała egzekwować. To byłaby próba konstruowania czegoś w rodzaju państwa podziemnego, a myśmy ciągle uważali, że w ówczesnej sytuacji geopolitycznej nie ma to najmniejszych szans. Trzeba łapać przyczółki i w ten sposób z ludźmi coś budować. Trzeba dogadać się w jakiejś sprawie. Mimo tego co się działo, ciągle wierzyliśmy, że sytuacja wymusi porozumienie.

Podczas głosowania w TKK w sprawie strajku generalnego na wypadek delegalizacji Solidarności wszyscy byli za strajkiem, nie dało się podjąć innej decyzji. Ale 11 października 1982 r., natychmiast po delegalizacji Związku, zastrajkowała Stocznia Gdańska. Nie spodziewaliśmy się, że strajk od razu wybuchnie, a nie można było uruchomić z mety innych zakładów, wymagało to jednak przygotowania. Bujak nie był pewien, czy u niego na Mazowszu jest atmosfera strajkowa. Jakby stocznia strajkowała dłużej, to atmosfera by była.

Kontaktowaliśmy się najpierw przez łączników i to też nas troszeczkę opóźniało. Jak już stocznia strajkowała, zrobiliśmy spotkanie TKK w Gdańsku, żeby na bieżąco reagować na sytuację. Podawaliśmy informacje, zrobiliśmy audycję radiową (wygłosiłem dziesięciminutowe przemówienie). Akcja była skazana na przegrana, bo nie została przygotowana w kraju. Nie było szans na to, żeby strajk wygrał. Wypowiadaliśmy się, co robić. Wchodzimy do stoczni czy nie? Każdy mówił, że nie wchodzimy. Gdyby strajk utrzymał się dłużej, to prawdopodobnie jeden z nas by wszedł. Założyliśmy, że strajk w stoczni potrwa trzy dni. Potrzebujemy kilku dni, żeby stworzyła się atmosfera, napięcie w kraju. Wtedy zamierzaliśmy wejść do stoczni, żeby strajk podtrzymać, aby po tych trzech dniach nie padł. Strajk padł po dwóch. Dwa dni to za krótko, żeby cokolwiek w kraju się zaczęło.

Bujak mówił: uruchomię Warszawę, jeżeli strajk potrwa trochę, jeżeli dacie mi czas na przygotowanie nastrojów. Władek Frasyński już siedział od 5 października, więc przyjechał do Gdańska jego następca Piotrek Bednarz, spytać się, co robić. On był nowym człowiekiem w TKK. Po miesiącu też wpadł.

Stocznia padła i nie było sensu robić strajku w kraju. Mogliśmy tylko ogłosić strajk generalny na 10 listopada. Ten strajk oczywiście nie wyszedł, zdecydowało przeciwdziałania bezpieki plus świadomość, że niedawno padł strajk w stoczni.

Wiosną 1984 r. zwrócili się do nas eksperci z okresu legalnego działania Solidarności – Klemens Szaniawski, Jan Olszewski, Wiesław Chrzanowski, starali się jedenastkę wyciągnąć z więzienia. Myśm się nie godzili na to, aby wykorzystać autorytet TKK do zmuszenia ich do wyjazdu.

Mam dokumenty, które są podpisane przez część członków TKK, bo sprawa była pilna i nie wszyscy dojechali, ale każdy wyraził własną opinię. Byliśmy jednomyślni: nie można ich w żaden sposób zmuszać, nie powinniśmy się w to wdawać, to nieetyczne. Przygotowaliśmy wtedy trzy dokumenty. Jeden skierowany do jedenastki, ułatwiający im podjęcie decyzji o wyjeździe, gdyby rzeczywiście chcieli wyjechać, nie mieli siły – o tym, że nie ma sensu siedzieć w więzieniu. W tym dokumencie częściowo przyjęliśmy na siebie odpowiedzialność za to, że oni wyjeżdżają za granicę. Drugi, który zdecydowanie mówił: nie! I trzeci – wyjaśniający list do Jana Józefa Lipskiego, bo on był depozytariuszem obu listów; mógł podjąć decyzję, który list przekazać Michnikowi, Kuroniowi i innym. Miał to zrobić dopiero po kontakcie z nimi, po przeanalizowaniu sytuacji – nie chcieliśmy stawiać ich w sytuacji, że po prostu mówimy: nie.

Zaufaliśmy Lipskiemu, wierzyliśmy w jego uczciwość, szczerą intencję i wycucie tego, co jest dobre, a co złe. No i nie przekazał tego listu dopuszczającego emigrację. Oni zostali wypuszczeni i bez tego, bez żadnych zobowiązań.

* * *

Wpadłem w Więsiarach 8 czerwca 1984 r. Odbływały się wybory do samorządu (do rad narodowych), więc postanowiłem wyjechać z Gdańska, żeby zejść bezpiecznie z pola widzenia. Wyjechałem na Węsiory, do domku Krzyśka Pusza, i zasnęłem. Rano wypłynąłem na ryby. Wróciłem do domu i czułem intuicyjnie, że coś jest nie tak. Gdybym uznał te swoje przeczucia za wystarczający sygnał, to bym zwiął. Ale je zlekceważyłem. No i potem, gdy byłem w środku, to tylko widziałem, jak wybiegają z lasu, wpadają do domu, jakieś 15–20 sekund, podnieśli mnie – i byłem rozebrany do naga. To wyglądało trochę na napad, oni nie w mundurach, ale po cywilnemu, mieli kapelusiki tyrolskie, jakieś pistolety, bagnety, pobawiani jak myśliwi. Skuli mnie, położyli nagiego na łóżko i przeszukali ubranie. Potem, gdy się ubierałem,

to włożyłem inne ubranie, w którym znajdował się kluczyk od kajdanek... Miałem zawsze przyczepiony gumką w nogawce spodni, na dole, kluczyk od kajdanek. Ale cały czas byłem przez nich trzymany, skuty z tyłu i nie mogłem go wyjąć. Zabrali mój samochód, zmienili numery rejestracyjne.

Jak zostałem namierzony? Jest kilka wersji. „Borsuk” taką informację dostał: jeden ze znajomych Krzyśka Pusza, który brał udział w organizowaniu zaplecza spotkań TKK – często odbywały się one w Więsiarach – zamierzał pojechać na Zachód po samochód. Nie chcieli go wypuścić za granicę, a od 1 lipca 1984 r. zmieniały się przepisy celne. On chciał za wszelką cenę przywieźć przed tą datą samochód, później to się przestawało opłacać. Nachlał się i poszedł na bezpieczeństwo z informacją o tym, że jak go wypuszczą, to on powie, gdzie jest Lis. Pogonili go. Ale w Gdańsku działała specjalna ekipa z Warszawy, która przypadkowo się o tym dowiedziała. Dotarli do niego i on mnie wydał. Już w 1983 r. się dowiedzieliśmy (przypuszczam, że od Hodysza), że taka ekipa jest; działała niezależnie od gdańskiej bezpieki.

Druga wersja jest taka, że wydał mnie „Junior”. To są dwie wersje najbardziej prawdopodobne. Inna – to sfera przypuszczeń – że zostałem namierzony przy okazji kontaktów zagranicznych; trafili do mnie, rozpracowując kontakty Milewskiego i jego ludzi.

* * *

Jak jedenastka wychodziła z więzienia, to ja siedziałem. Nawet widziałem, jak Michnika z więzienia wynoszono w kartonie, bo nie chciał wyjść bez procesu. Awanturował się, że nie wyjdzie. Nie wiedzieliśmy wtedy, że to on. Słyszałem tylko straszne wrzaski, krzyki. Całe więzienie od razu zaczęło tłuc kubkami w ścianę. Potem słychać warkot samochodu, wszyscy do okien, patrzymy, co się dzieje. Na Rakowiecką od wewnętrznego dziedzińca podjechała łada, trzech ubeków wynosi do niej taki długi karton, z którego wystają nogi. Myśm nie wiedzieli, czy to kogoś zabili... A to Michnika wsadzili do łady i odjechali.

Gdy wyszedłem z więzienia – pierwszy raz 8 grudnia 1984 r. – nie wróciłem już do podziemia. Tak było lepiej, bo w trakcie nieobecności zawsze ktoś wchodzi na twoje miejsce. Tworzy się nowe kierownictwo i nie może być tak, że ten, kto już się zaangażował w działalność,

wypada, bo ten pierwszy go wypycha. Kierownictwo miało własne sposoby funkcjonowania, metody działania – one oczywiście zmieniały się z czasem. Nie mogłem w to ingerować, mogłem jedynie pomagać. I to robiłem.

Na moje miejsce wszedł Borusewicz, ale też go aresztowali (8 stycznia 1986 r.). Po nim Lech Kaczyński – wszedł do RKK, ale nie funkcjonował pod nazwiskiem. Formalnie nie był członkiem TKK, jednak brał udział w spotkaniach z ramienia Regionu Gdańskiego. Był też Jacek Merkel, który również w strukturach funkcjonował jako osoba, która się nie ujawniła z imienia i nazwiska. Odstąpiono od zasady działania w TKK tylko pod swoim nazwiskiem. Zmuszała ona do całkowitego zejścia do podziemia, odizolowania się od rodziny itd., a część działaczy nie chciała tego robić, dlatego zapadła decyzja, że metody mogą być różne – jedni funkcjonują w podziemiu, inni funkcjonują niejawnie.

Po wyjściu z więzienia pełniłem rolę działacza jawnego, który przede wszystkim ma budować autorytet podziemnego kierownictwa. Mieliśmy oczywiście z nimi kontakt, mogliśmy przekazywać swoje sugestie. Znałem większość mieszkań konspiracyjnych, w których oni się poruszali. Mogłem w każdej chwili do takiego mieszkania trafić, ale byłbym idiotą, gdybym coś takiego próbował zrobić bez konsultacji z nimi.

Na wolności byłem jednak tylko dwa miesiące – zorganizowaliśmy jedno spotkanie z TKK, we Wrzeszczu, w którym uczestniczyłem razem z Adamem Michnikiem. Chcieliśmy pokazać, że ludzie, którzy wychodzą z więzienia, nie przestają działać, choć w trochę inny sposób. Poza tym chcieliśmy porozumieć się z TKK co do naszej roli. Jesteśmy przedłużeniem podziemnego kierownictwa Związku na powierzchni. To, czego nie można robić w podziemiu, my będziemy robili.

Wypuścili mnie w grudniu, w styczniu było spotkanie, a w lutym znowu mnie zamknęli. Po moim drugim wyjściu z więzienia (we wrześniu 1986 r.) ponownie zajęliśmy się – ja, Michnik, Frasyniuk, Bujak – przygotowaniem do działalności jawnej. Rozmawialiśmy z różnymi ludźmi, spotykaliśmy się z Bronkiem Geremkiem, Tadeuszem Mazowieckim, Heniem Wujcem, Januszem Pałubickim, Lechem Wałęsą oczywiście – i uznaliśmy, że trzeba na powierzchni powołać Tymczasową Radę Solidarności. Powstała ona w Gdańsku. W spotkaniu uczestniczyło chyba czternaście osób, ale nie wszystkie weszły w skład Tymczasowej Rady, np. eksperci nie

wchodzili. Weszli tylko działacze dawnej podziemnej TKK. Chodziło też o to, żeby nie wpuścić sobie „szczura” i nie ściągnąć jakichś agentów. Nie chcieliśmy przyjmować ludzi tylko dlatego, że byli kiedyś członkami władz Związku. Baliśmy się tego, choć oczywiście każdy mógł sobie sam działać, jeżeli chciał. Andrzej Słowik, Jerzy Kropiwnicki i inni mieli pretensje, że nie znaleźli się w Radzie. Powołali Grupę Roboczą, która miała być kontrpropozycją.

Tymczasowa Rada Solidarności zabierała głos na zeewnątrz w sprawach istotnych. Głos podziemia nie był tak słyszalny, nie mieli możliwości wypowiedziania się na bieżąco. Uzgodniliśmy, że sfera TKK to głównie działalność podziemna, czyli druk, kolportaż itp. Potrzebne były jednak też kontakty z politykami z zagranicy i w kraju, ustalanie płynnej strategii działania, także jawnego, wydzieranie po kawałku sfery wolności.

Spotykaliśmy się w TRS raz na dwa miesiące lub raz na miesiąc. Często najpierw musieliśmy się schować, bo bezpieczeństwa wiedziała, że będzie posiedzenie i nas zatrzymywała, żeby je uniemożliwić. Raz mnie zatrzymali, gdy jechałem na spotkanie samochodem; samochód odstawiono na policyjny parking, a mnie do aresztu na 48 godzin. Zazwyczaj jednak udawało się jakoś uniknąć zatrzymania i docieraliśmy. Spotkania odbywały się głównie w Warszawie w jednym z kościołów na Żoliborzu. Brało w nich udział mnóstwo osób nienależących do TRS. Przyjeżdżali z różnych regionów działacze Solidarności i doradcy. I dyskutowaliśmy, bo trzeba było się przygotować do zmiany sytuacji politycznej – już się czuło, że coś musi się zmienić. Prowadzono różne rozmowy, także z ludźmi z obozu władzy. To Władysław Siła-Nowicki, to ktoś inny prowadził rozmowy, dostawał nowe informacje. Zastanawialiśmy się wtedy, czy uda się reaktywować Solidarność, czy będzie trzeba jakąś nową organizację powoływać – bo też wchodziło w grę to, że na Solidarność władze się nie zgodzą, zgodzą się natomiast na coś nowego, aby nie pokazać, że musiały się cofnąć.

Formalnym szefem TRS był Wałęsa. Spotkania w regionie gdańskim organizowali ludzie z Gdańska (np. Krzysiek Pusz), w warszawskim – Warszawa. Już nie korzystaliśmy wtedy z tych, którzy się ukrywali. Ale większość spotkań odbywała się w Warszawie. Grono doradców TRS ukształtowało się w sposób naturalny, tak jak w czasie legalnego działania Solidarności – tworzyli je Geremek, Mazowiecki, Wiesław Chrzanowski. Konflik-

tów pomiędzy TRS a TKK raczej nie było. TKK się tylko bała, czy nie doprowadzimy do osłabienia podziemia. Skoro można działać na powierzchni, to czy podziemie w ogóle jest potrzebne? Mówiliśmy, że jest potrzebne, legalnie nie można drukować pism związkowych i opozycyjnych. Natomiast rzeczywiście środek ciężkości – jeżeli chodzi o decyzje polityczne – przesunął się na górę, do sfery działalności jawnej. W podziemiu ubywało autorytetów, przychodzili nowi ludzie, którzy niewiele znaczyli w odbiorze społecznym. Solidarnościowe autorytety zaczęły funkcjonować na powierzchni.

Realnego zasięg wpływów TRS zarysować się nie da, bo myśmy nie organizowali akcji, dzięki którym można by zweryfikować jej siłę oddziaływania. Od tego było podziemie i jego struktury. Myśmy działali politycznie. Sam fakt istnienia jawnej struktury zmieniał sytuację. Niby Solidarności nie ma, a jednak jest. O to nam właśnie chodziło. Nie chcieliśmy posuwać się za daleko, żeby nie zmuszać władzy do rozpoczęcia nowego rozdziału represji, bo gdyby oni zaczęli znowu aresztować, to TRS przestałaby istnieć, nas wszystkich by wsadzili. Ale po amnestii z 1986 r. komuniści oszczędnie gospodarowali aresztami. Chyba dojrzewiali do przekonania, że jednak nie bardzo jest sens kontynuować dotychczasową politykę. Gospodarka się waliła, a świat nie otworzyłby się na współpracę ekonomiczną bez zmian w Polsce.

W Rosji Gorbaczow również został zmuszony do przeprowadzenia korekty stylu dotychczasowego działania. Skończyło się to pierestrojką. Wydaje mi się, że oni to dostrzegali, chociaż jeszcze nie byli gotowi do rozmów z nami – takie decyzje zapadły dopiero na początku 1989 r. Ich własne szeregi były nieprzygotowane na to, że nagle się zacznie rozmawiać z wrogiem, jakim była Solidarność – ci agenci CIA... To wymagało czasu i zmiany polityki informacyjnej, żeby szok był mniejszy.

* * *

Od lutego 1985 do końca lipca 1986 r. siedziałem w więzieniu, więc nie brałem udziału w ówczesnej dyskusji o tym, czy jest szansa na działanie legalne, warto bić się o legalizację Solidarności, czy takiej szansy nie ma. Powołanie TRS było właśnie taką próbą. Ale w 1985, 1986 r., kiedy wciąż siedzieli więźniowie polityczni, trudno było sobie wyobrazić działanie jawne. Władza

nie widziała żadnego problemu w zamykaniu kolejnych, gdyż nie zamykając – z jej punktu widzenia – pokazywała słabość. Stało się to możliwe dopiero wtedy, gdy wypuszczono wszystkich działaczy Solidarności, a władze nie były już skłonne do ponownego zapełniania więzień. Dopóki nie przekraczano granicy, za którą ta groźba istniała, władze nie chciały do tego wracać.

Działaliśmy coraz bardziej jawnie i Tymczasowa Rada Solidarności to już było za mało. Powrót do legalnego kierownictwa Związku sprzed 13 grudnia nie był jednak możliwy, gdyż znajdowało się ono w rozsypce. Część przebywała za granicą, niektórzy okazali się agentami, więc trzeba było zastąpić stare kierownictwo nowym, również wywodzącym się z przedgrudniowej Solidarności, ale sprawdzonym. Tak powstała Krajowa Komisja Wykonawcza NSZZ Solidarność. To nie zostało przeprowadzone demokratycznie, ale my demokrację mogliśmy zaprowadzić dopiero w trakcie wyborów.

Powstanie KKW otworzyło etap, kiedy działaliśmy praktycznie legalnie. Przygotowywała ten proces grupa ludzi wokół Lecha Wałęsy. Wałęsa był w centrum, wokół niego funkcjonowali zarówno członkowie dawnej TKK, jak i TRS, a także Geremek, Mazowiecki, Michnik, Leszek Kaczyński, Krzysztof Pusz. W tym gronie zapadały decyzje dotyczące składu KKW. Spotkania KKW odbywały się w miarę potrzeby raz na miesiąc, raz na półtora miesiąca, na początku w Gdańsku, a później także w Warszawie. W Gdańsku na plebanii u ks. Henryka Jankowskiego, także u ks. Stanisława Bogdanowicza, w Warszawie spotykaliśmy się w jednym z kościołów⁹. Funkcje ekspertów KKW pełniło to samo grono osób. Spotkania protokołowano, chyba Andrzej Celiński to robił i odpowiadał za przygotowanie.

Wydarzenia 1988 r. pamiętam jako ogromny młyn, wszystko się mieszało. O decyzjach często dowiadywałem się, gdy już zapadły. Była szarpanina, przepychanie. Ja organizowałem swój dział współpracy z zagranicą, wracałem do ludzi, z którymi współdziałałem w latach 1980–1981 lub w podziemiu. Brałem udział we wszystkich spotkaniach, ale dynamika była taka, że wielu sytuacji nie pamiętam.

To stan gospodarki zmuszał władze do rozmawiania o ustępstwach politycznych. Myśmy widzieli, że sytuacja gospodarcza jest fatalna. Bez otwarcia na Zachód, bez zmian społeczno-gospodarczych i politycznych istniała

⁹ Zapewne chodzi o kościół pod wezwaniem Dzieciątka Jezus przy ul. Czarnieckiego, którego proboszczem był ks. Roman Indrzejczyk. (red.)

cisku, aby wreszcie doszło do rozmów i ustępstw. Mieliśmy informacje, m.in. od Władysława Siły-Nowickiego, który wszedł do Rady Konsultacyjnej przy Przewodniczącym Rady Państwa PRL gen. Jaruzelskim (1986). To była pierwsza próba otwarcia władzy na ludzi z innych środowisk, delikatna – myśmy jej nie akceptowali. Siła-Nowicki nie poszedł tam z naszym mandatem, ale dostarczał nam stamtąd informacji, np. o stanie gospodarki.

Podstawowym postulatem był dla nas powrót do sytuacji z 1980 r., a więc niezależne związki zawodowe, organizacje wolne od ingerencji PZPR. Stosunek do tej kwestii pokazywał, czy władze traktują rozmowy w sposób wiarygodny, czy to po prostu pic na wodę, czyli dyskusja po to tylko, żeby rozładować nastroje społeczne.

To był papierek lakmusowy. Dlatego w trakcie Okrągłego Stołu tak nam zależało na tym, żeby pokazywać, że Solidarność istnieje, bo przecież oficjalnie pozostawała zdelegalizowana. Władze mówiły, że dopiero na podstawie porozumienia Okrągłego Stołu została ponownie zarejestrowana. Tak jakby nie było ciągłości – tak sobie to komuniści wymyślili. My uważaliśmy, że ciągłość jest. Wszelkie nasze występy w środkach masowego przekazu temu służyły. Mieliśmy teczki z napisem Solidarność, podnosiliśmy je jak najwyżej, czasem prawie pod samą brodę, żeby nie dało się obciąć, żeby w telewizji pokazali napis Solidarność.

Oczywiście, były głosy, odosobnione, takich ludzi jak Kornel Morawiecki, że należy z czerwonymi walczyć do końca. Pojawiały się hasła wolnych wyborów, „precz ze Związkiem Radzieckim”. Gdybyśmy je wtedy poparli, to oczywiście nie byłoby Okrągłego Stołu. Strach przed rozliczeniami zmobilizowałby całą bezpiekę i aparat partyjny i nie byłoby szans na to, żeby cokolwiek zrobić. Przecież strajki w 1988 r. nie zakończyły się jednoznacznym zwycięstwem. Wszystkie strajki na Śląsku zostały rozbite. Tylko jeden strajk, w kopalni Manifest Lipcowy w Jastrzębiu, w którym ja byłem i Janek Lityński (Wałęsa też tam później przyjechał), nie został rozbity, mimo że topniała liczba ludzi w nim uczestniczących, bo się bali. Na koniec zostało nas tylko kilkaset osób, zakład był zabarykadowany. Nikt nie wiedział, jak to się skończy, ale panowała duża determinacja. Gdy przyjechał Wałęsa i zamierzał strajk rozwiązać, był taki moment, że go chciano wywieźć na taczce. Potem zmienił front, jak zobaczył, jakie są nastroje i co ludzie myślą. Włączył się w negocjacje – bo była na miejscu komisja rządowa

– i punkt po punkcie zaczęliśmy się posuwać do przodu. Ale trzeba pamiętać, że jeszcze w sierpniu 1988 r. strajki rozbijano siłą.

* * *

Pośrednie kontakty z władzą zaczęły się po 1986 r. Pośrednikiem był ks. Alojzy Orszulik, przekazywał sygnały do nas i od nas. Wałęsa jeździł do Warszawy na spotkania w Episkopacie. Uczestniczyli w nich zazwyczaj też Tadeusz Mazowiecki i Bronisław Geremek. Potem informowali o tym podczas spotkań TRS czy (później) KKW w Gdańsku. Przedmiotem tych kontaktów były granice ustępstw ze strony władzy i przekonywanie jej do tego, że nie ma innego wyjścia. Myśmy cały czas mówili, że jeżeli nie wykonają tego jednego kroku, o który nam chodzi, czyli powrotu Solidarności, to wszystko inne nie ma znaczenia ani sensu. A oni z kolei mówili, że mogą zrobić wszystko, ale tego nie. Przez jakiś czas była ściana, ale później zaczęto wysuwać inne, dodatkowe propozycje – może nie Solidarność, a nowy ruch bez tej nazwy. Ta propozycja pojawiła się, o ile sobie przypominam, w 1987 r. Wysyłano sygnały za pośrednictwem Kościoła – czy zaakceptowalibyśmy coś takiego. Po strajkach majowych 1988 r. już było widać, że się coś zaczyna gotować, więc oni też bardziej gorączkowo zaczęli szukać możliwości. Jeszcze w sierpniu ta koncepcja wracała, ale myśmy twardo mówili: nie, chcemy mówić o Solidarności.

Inny nieoficjalny kanał tworzyli doradcy Związku; różni ludzie z obozu władzy spotykali się czasem czy z Geremkiem, czy z Mazowieckim, niby prywatnie, a jednocześnie po to, żeby pewną myśl przekazać, ewentualnie jakąś myśl z drugiej strony usłyszeć. To funkcjonowało mniej więcej od 1986 r. Natomiast bardziej oficjalne rozmowy toczyły się za pośrednictwem Kościoła, a później od 1988 r. przy pomocy naszych ekspertów – Mazowieckiego, Geremka, Andrzeja Celińskiego. Nie było w tym gronie Kuronia i Michnika, bo komuniści ich ciągle wtedy nie akceptowali. Robili problemy – czy Michnik i Kuroń mogą brać udział w obradach Okrągłego Stołu itd. Im ciągle te nazwiska kojarzyły się fatalnie. To też uznawaliśmy za papierek lakmusowy intencji – chcą nam wyznaczać granice, także personalne, czy dają swobodę działania. Rozmowa z Mazowieckim i Geremkiem prowadził ze strony

władz głównie Józef Czyrek. Był też Stanisław Ciosek, który jako minister do spraw związków zawodowych z okresu poprzedniego kontynuował pewne kontakty.

Po spotkaniach, które mieli Wałęsa z Orszulikiem lub Geremek i Mazowiecki z Czyrkiem, oni relacjonowali to, co usłyszeli i wspólnie to omawialiśmy. Odbywało się to w wąskim kręgu, gdyż nie mogło się odbywać w kręgu szerokim. Na gorąco po spotkaniu zazwyczaj musieliśmy parę rzeczy omówić, no a potem rozmowa toczyła się w szerszym gronie decyzyjnym, czyli na forum TRS, później KKW. Oczywiście zawsze pewne niuanse nie trafiały na to szersze forum, jeżeli strony zobowiązywały się, że jakieś elementy nie zostaną upublicznione. Natomiast generalnie intencje były przekazywane.

W KKW ustalaliśmy stanowisko w kwestiach podstawowych – nie odpuszczaliśmy Solidarności. Nawet gdyby eksperci nam sugerowali, że trzeba się zgodzić, a potem najwyżej uchwalić zmianę nazwy, nie zgodzilibyśmy się. Ale nie było takich sugestii. Negocjatorzy mieli od nas pewne wytyczne, choć nie mogliśmy przewidywać wszystkiego i udzielać instrukcji szczegółowych, to nie był czas oficjalnych negocjacji. To był ciągle czas walki i ktoś, kto uczestniczył w spotkaniu, Wałęsa czy doradcy, musiał mieć możliwość podejmowania w razie potrzeby zobowiązań zgodnie z własną wiedzą i dedukcją.

Ekspertci funkcjonowali w ramach struktur, byli traktowani jak równorzędni partnerzy przy podejmowaniu pewnych decyzji, choć oczywiście głosowali tylko działacze, którzy tworzyli ciało decyzyjne. Praktycznie nie istniał podział na związkowców i ekspertów, choć zawsze są ludzie, którzy uważają, że eksperci manipulują.

W strajkach majowych 1988 r. nie brałem udziału, bo siedziałem. Oni wiedzieli, że się szykują strajki i dwa dni przed 1 maja mnie zamknęli – rewencyjnie. Stałem przed kolegium do spraw wykroczeń i dostałem trzy miesiące więzienia. Odwołałem się do sądu i już po strajkach sąd zwolnił mnie z tego oskarżenia – uznał tylko te dwadzieścia dni, które odsiedziałem i mnie wypuścił.

Narastał ferment społeczny, zbliżał się 1 i 3 maja, tradycyjne daty manifestacji, wiadomo było, że my też weźmiemy w nich udział. Zazwyczaj przed takimi rocznicami osoby, co do których oni mieli pewność, że się pojawią na manifestacjach czy akcjach protestacyjnych,

były „zdejmowane”. W każdym razie panowała atmosfera, która pozwalała ten strajk zrobić; to był trochę sondaż, czy jesteśmy w stanie wywołać strajk. Ale to nie była decyzja KKW. Zawsze wychodziliśmy z założenia, że o tym, czy robimy strajk, decydują struktury zakładowe. Nie chcieliśmy palić tych struktur, nie chcieliśmy doprowadzać do sytuacji, w której represje dotyczą przede wszystkim działaczy zakładowych. To od nich zależało, czy zakłady pracy obudzą się do akcji protestacyjnych. Ponieważ była atmosfera strajkowa, oni dostali przyzwolenie od kierownictwa Związku, że jeżeli się uda, to robić. I się udało.

Strajki sierpniowe na Śląsku wybuchły spontanicznie. Myśmy jednak mieli sygnały o tym, że się zaczną, więc jak się zbliżała rocznica Sierpnia '80, to się schowałem, żeby mnie nie aresztowali. Ukryłem się w konspiracyjnym mieszkaniu w Sopocie, jeszcze z okresu podziemia. Gdy wyszedłem z więzienia, to odwiedziłem wszystkie te mieszkania i podziękowałem ich właścicielom. Chciałem też sprawdzić, czy po moim aresztowaniu były jakieś reperkusje, rewizje itd. W niektórych z tych lokali później ukrywał się Borusewicz, gdy miał problem, bo miał w swoim otoczeniu agenta, a nie wiedział kto to i które z jego mieszkań są spalone. Jak się okazało, moje lokale, około dziesięć, nie zostały zdekonspirowane.

W sierpniu 1988 r. dotarłem na spotkanie do św. Brygidy. Był tam Wałęsa, Leszek Kaczyński, Jacek Merkel. Dyskutowaliśmy o tym, czy Stocznia Gdańska ma stanąć. Że trzeba strajkować, to wiadomo. Pytanie dotyczyło czego innego – czy to jest właściwy moment na podjęcie próby rozstrzygnięcia sprawy Solidarności, o co chodziło nam przez te siedem lat od wprowadzenia stanu wojennego. Uznaliśmy, że tak, to jest moment, kiedy trzeba zaryzykować, odkryć struktury, wejść do stoczni. Dlatego w stoczni znalazł się Wałęsa i inni działacze. Zapadła też decyzja, że ja jadę na Śląsk¹⁰.

Zadanie było trudne. Pojechałem najpierw do Krakowa, do ks. Kazimierza Jancarza. U niego zostawiłem swój samochód, który miał gdańską rejestrację – nie mogłem się nim poruszać, bo natychmiast byłbym „zwiniony”. Musiałem na Śląsk pojechać samochodem z tamtejszą rejestracją. Nie wiedziałem, jak się dostać do Jastrzębia, gdzie w kopalni Manifest Lipcowy powstał

¹⁰ Strajk w kopalni Manifest Lipcowy w Jastrzębiu Zdroju wybuchł 15 sierpnia, w Stoczni Gdańskiej – 22 sierpnia. (red.)

Międzyzakładowy Komitet Strajkowy. Cały zakład był obstawiony przez policję i bezpieczeństwo. Najpierw obserwowaliśmy z jednego z budynków niedaleko kopalni, jak działa obstawa, jak oni funkcjonują, jak się zmieniają. Potem pojechaliśmy do sąsiedniej kopalni Borynia, żeby się zorientować, czy można przejść do Manifestu dołem, chodnikami, ale okazało się, że nie można, nie ma dobrych planów, a część chodników została kiedyś zawalona. Nie pozostało więc nic innego, jak tylko nocą podejść jak najbliżej kopalni i przejść przez płot. Nie wiem, ile ten płot miał, ale dzisiaj na pewno bym go już nie przeskoczył. Najpierw kilkukilometrowy marsz po torach kolejowych, później chyba 500 metrów musiałem się czołgać na brzuchu, a potem w chwili nieuwagi ZOMO, które otaczało kopalnię, podniosłem się z ziemi, wziąłem rozpęd, skoczyłem na płot i na drugą stronę. Zaprowadzili mnie do komitetu strajkowego, tam już byli znajomi, a w środku Janek Lityński.

Dla ludzi w kopalni byłem przedstawicielem Wałęsy i KKW jednocześnie, ale oni wszyscy znali moje nazwisko, kojarzyli mnie z działalnością podziemia. Po co tam pojechałem? Mieliliśmy doświadczenia z 1980 r., gdy podpisano porozumienie w Szczecinie na dzień przed podpisaniem porozumienia w Gdańsku – nie chcieliśmy dopuścić do takiej sytuacji. W 1988 r. cały kraj nie strajkował, a tylko Wybrzeże i Śląsk. Naszym zamiarem było więc przedłużanie tego strajku, żeby informacja dotarła do wszystkich ośrodków i żeby strajk zaczął się rozszerzać. Potrzebni byli ludzie, którzy mogli pokazać, że to nie jest lokalna inicjatywa, ale sprawa ogólnonarodowa. Poza tym chcieliśmy pomóc sformułować żądania, aby nie było takich, które kompletnie uniemożliwiają porozumienie; chodziło o pewne samoograniczenie w tych żądaniach. Ale może przede wszystkim szło o utrudnienie rozbicia tego strajku, co sprawiała sama obecność w kopalni. Bo władze musiałyby rozważyć ryzyko, że w przypadku ataku ZOMO pobicie mnie czy Lityńskiego odbije się dużym echem.

O tym, że się nas strasznie obawiali, dowodziły komunikaty dyrekcji, która przez cały czas mówiła, że są obcy ludzie na terenie zakładu, górnicy powinni nas usunąć, nie podejmą żadnych rozmów, dopóki my tam będziemy. Wysłano pisma prokuratury o wszczęciu dochodzenia przeciwko nam i ludziom z komitetu strajkowego, wzywano ich do opuszczenia zakładu pod groźbą rozpoczęcia śledztwa prokuratorskiego w związku z tym,

że się tam znajdujemy. To świadczyło o tylko tym, że bardzo dobrze, że tam pojechaliśmy. Wszystkie zakłady na Śląsku zostały rozbite – Manifest Lipcowy nie. To jedyne zakłady, które do końca strajkowały i w którym podpisano porozumienie. Nawet ze Stocznia Gdańską nie podpisano wówczas porozumienia.

Wałęsa przyjechał po to, żeby ten strajk zgasić (do czego się zobowiązał w rozmowie z ministrem Czesławem Kiszczakiem 31 sierpnia). Najpierw został przyjęty pozytywnie, jako przewodniczący Solidarności, ale kiedy zaczął mówić, że będzie Okrągły Stół, Kiszczak obiecał, to ludzie powiedzieli po prostu: nie. Byli wściekli na niego, że tyle czasu strajkują, aby uzyskać najlepsze warunki, inni są zwalniani z zakładów pracy, a oni chcą uzyskać gwarancje bezpieczeństwa dla wszystkich, którzy strajkowali, a tu Wałęsa chce rozwiązać strajk bez zawarcia porozumienia. To zmusiło Lecha do tego, żeby włączył się w negocjacje. W końcu podpisano porozumienie i na jego podstawie można było przeciwdziałać represjom, które się później odbywały. Bo z jednej strony władze mówiły o Okrągłym Stole, a z drugiej strony represjonowano przedstawicieli strajkujących załóg na Śląsku – wzywano do wojska, zwalniano z pracy, wytaczano procesy sądowe. Porozumienie zawarte w Manifestie Lipcowym utrudniało represje na szeroką skalę, choć oczywiście nie uniemożliwiało, bo władza ciągle chciała pokazać, że jest silna, stosuje mechanizm pałki, kija i marchewki, może przyłożyć i może jednocześnie coś dać.

O spotkaniu Wałęsy z Kiszczakiem (31 sierpnia w Warszawie) dowiedziałem się na strajku. Informacje o tym podały media. Powiem szczerze: podszedłem do tego z dystansem. Z tego prostego względu, że Kiszczak to nie polityk, tylko funkcjonariusz policji, Służby Bezpieczeństwa – aparatu ucisku. Było to wbrew zasadzie, którą cały czas wyznawaliśmy: rozmowy, żeby mogły do czegoś doprowadzić, muszą być decyzją polityczną. Należy rozmawiać z politykiem, a nie z oficerem. Stąd moja rezerwa i dystans. Choć nasi eksperci mówili, że w Polsce władzę ma wojsko i policja i to oni decydują, należy więc tę rozmowę przyjmować ostrożnie, lecz nie jest ona niczym nagannym, daje szansę na rozwiązanie problemu. Jak przyjął to komitet strajkowy w kopalni, nie pamiętam, ale chyba raczej pozytywnie, bo to dawało szansę na rozwiązanie niesiłowe, a wokół rozwalano zakłady pracy i wszystkie już w tym czasie były rozbite. Wszyscy liczyli się z tym, że nastąpi atak, oddziały ZOMO

przygotowywały się kilka razy, podjeżdżały, gotowe do natarcia, włączano reflektory lotnicze, ustawione wokół zakładu silniki odrzutowe, żeby wywołać psychozę strachu. Kilka razy symulowano atak i byliśmy przygotowani na to, że nas rozbiją. Porobiliśmy więc barykady, wszyscy chodzili z pałami od kilofów, groziliśmy, że w barykadach są umieszczone butle z acetylenem... Tak nie było, ale świadomie puściliśmy do nich taką informację, żeby liczyli się z tym, że stawimy opór.

Po zakończeniu strajku wróciłem do Gdańska. KKW podjęła decyzję, że reaktywujemy działalność związków zawodowych w zakładach pracy, zaczynamy tworzyć jawną strukturę związkową. Oczywiście spotkało się to z natychmiastowym przeciwdziałaniem. Działaczy wzywano do wojewody na coś w rodzaju rozmów ostrzegawczych. Tylko na Śląsku rzeczywiście stosowano represje, musieliśmy interweniować, także u Kiszczaka. Robił to głównie Władysław Siła-Nowicki, z różnym skutkiem...

Czy były kontrowersje dotyczące koncepcji Okrągłego Stołu? Nie, od początku, od 13 grudnia kontrowersji dotyczących tego, że trzeba rozmawiać, nie było. Myśmśmy zawsze dążyli do rozmów. Okrągły stół, wiadomo, nie ma stron. Ale najpierw musiały się odbyć jednak spotkania przy stołach prostokątnych, gdzie była jedna strona i druga, gdzie się twardo negocjowało. Zanim do tego doszło, należało zdefiniować płaszczyznę rozmów. Najważniejszy był stolik polityczny – o to tak naprawdę szła batalia. Mieliśmy również swoje propozycje, o czym chcemy rozmawiać. Spotykaliśmy się prywatnie w różnych mieszkaniach w Warszawie, żeby coś przedyskutować przed Okrągłym Stołem lub w trakcie obrad. Byliśmy przekonani, że te wszystkie sale w Pałacu Namiestnikowskim (gdzie toczyły się obrady) są na podsłuchu, więc gdy powstał jakiś problem, to ogłaszaliśmy przerwę, wyjeżdżaliśmy, spotykaliśmy w prywatnym mieszkaniu i tam rozmawialiśmy – aby przeciwnik nie znał naszej strategii negocjacyjnej.

Niektórzy działacze, np. grupa z Łodzi czy Andrzej Gwiazda, uważali, że należy uznać, iż dekret o stanie wojennym jest nieważny, Solidarność była, jest i będzie na zasadzie ciągłości. Nam zależało na tym, żeby odnieść sukces, żeby Solidarność istniała, a nie na tym, by tworzyć różnego rodzaju trudności. Wiedzieliśmy, że uznanie dekretu o stanie wojennym za nieważny jest dla komunistów zbyt trudne – to tak, jakby samych siebie uznawali za przestępców. Wtedy nie ma partnera po drugiej stronie, tylko człowiek, który jest zagrożony i się broni. Ale tego rodzaju głosy nie były dla nas złe, bo pokazywały, że my chcemy się z nimi dogadać, ale są też inni, którzy się dogadywać nie chcą. Z punktu widzenia negocjacyjnego było to nam na rękę, skłaniało władzę do kompromisu.

Podczas tych negocjacji obie strony chciały się dogadać. Ja wiem – oni uważali, że ponieważ mają aparat, siłę, są bardziej przygotowani do tego, by skonsumentować to porozumienia. Liczyli na to, że 65 procent miejsc w sejmie i Jaruzelski, który jako prezydent mógł wetować, im wystarczy. Zadbali o to w porozumieniu i myśleli, że uwikłają opozycję w proces kierowania państwem, a świat otworzy się gospodarczo na Polskę. Jednak dla całego bloku wschodniego to był ewenement. Polska jako pierwszy kraj przechodziła tę drogę, była królikiem doświadczalnym, zresztą na własne życzenie – sami podejmowaliśmy decyzję o udziale w tych doświadczeniach. A wszyscy naokoło bali się tego śmiertelnie, Czesi, Niemcy, Rosjanie itd., ale jednak patrzyli, co z tego wyniknie. Zawsze można wszystko zerwać, mogły tu wejść wojska rosyjskie, więc oni czuli się dość pewnie. Świadczy to tylko o tym, że nie znali polskiego społeczeństwa, wciąż myśleli, że są w stanie wszystko kontrolować. Okazało się, że nie, bo szybko te 65 procent zamieniło się na mniej niż 50.

Relację przeprowadził Piotr Adamowicz



Jedna z ofiar walk ulicznych w Gdańsku, 15 grudnia 1970 r. Materiały SB, zbiory ECS

GRUDZIEŃ '70

Czego jeszcze nie wiemy?

JERZY EISLER

◆ prof. dr hab., historyk, od wielu lat związany z Pracownią Dziejów Polski po 1945 r. w Instytucie Historii PAN, dyrektor Oddziału Instytutu Pamięci Narodowej w Warszawie, wykładowca w Instytucie Historycznym Uniwersytetu Warszawskiego. Znaczący badacz najnowszych dziejów Francji – opublikował m.in. *Od monarchizmu do faszyzmu. Koncepcje polityczno-społeczne prawicy francuskiej 1918–1940* (1987), *Kolaboracja we Francji 1940–1944* (1989), *Philippe Pétain* (1991). Autor wielu prac z historii politycznej PRL, m.in. *List 34* (1993); *Grudzień 1970. Geneza, przebieg, konsekwencje* (2000), *Polski rok 1968* (2006); „*Polskie miesiące*”, czyli *kryzys(y) w PRL* (2008).

Krystyna Kersten, która – oprócz profesorów Jerzego W. Borejszy i Macieja Józefa Kwiatkowskiego – należała do moich naukowych mistrzów, często powtarzała, że odtwarzanie przeszłości przez historyka przypomina układanie puzzli, z jedną zasadniczą różnicą: z góry wiadomo, iż nie dysponujemy wszystkimi elementami układanki. Z upływem lat coraz bardziej utwierdzam się też w przekonaniu, że badacz nie tyle rekonstruuje przeszłość, ile odtwarza ją tak, jak zapisała się w pamięci poszczególnych osób oraz w tych źródłach, które przetrwały do naszych czasów. Wszystko nie musiało więc dokładnie tak wyglądać, jak z najlepszą wolą

i w zgodzie z wymogami warsztatu naukowego opisują po latach historycy. Jest to zatem raczej autorska projekcja przeszłości niż jej wierne odtworzenie. Przypominam te oczywiste dla zawodowych historyków prawdy, zanim spróbuję odpowiedzieć na postawione w tytule pytanie.

Źródła na nowo odczytane

Wypada zacząć od przypomnienia, że Grudzień '70 był jednym z najbardziej dramatycznych i zarazem najważniejszych momentów w dziejach PRL. Jako cezura pojawia się praktycznie we wszystkich podręcznikach i syntezach dotyczących historii Polski tego okresu. Jest to zarazem obok Marca '68 najlepiej opracowany z „polskich miesięcy”. W ciągu czterdziestu lat, jakie upłynęły od Grudnia, opublikowano na ten temat ponad pięćdziesiąt książek i broszur o różnym charakterze i rozmaitej wartości¹. W związku z kolejną okrągłą rocznicą ukaże się kilka następných wydawnictw zwartych na ten temat, głównie przygotowanych w Instytucie Pamięci Narodowej.

Znacząco wzbogacą one (wiem o tym, gdyż prawie wszystkie miałem przyjemność recenzować) naszą wiedzę o przebiegu kryzysu zimą 1970/1971 r., zwłaszcza o jego najmniej znanych epizodach. Na przykład Michał

¹ Mimo podejmowanych przeze mnie wysiłków prezentowany poniżej w porządku alfabetycznym wykaz publikacji najpewniej nie jest kompletny: *Białe plamy historii Polski: Grudzień 1970*, Warszawa 1981 (Niezależne Zrzeszenie Studentów Politechniki Warszawskiej); Z. Branach, *Grudniowe wdowy czekają*, Wrocław 1990; idem, *Oskarżony Jaruzelski i inni...*, Toruń 2004; idem, *Pierwszy Grudzień Jaruzelskiego*, Toruń 1998; idem, *Polityka strzelania. Grudzień 1970*, Toruń 2008; B. Brzeziński, *Grudzień 1970*, Warszawa 1989 (Akademia Nauk Społecznych – Instytut Historii Ruchu Robotniczego); *Czy umiałeś przeżyć, zrozumieć i zapamiętać rzeczy, które cię spotkały?*, Gdańsk 1980 (Zeszyty Informacyjne BIPS); S. Cenckiewicz, *Gdański Grudzień '70. Rekonstrukcja – dokumentacja – walka z pamięcią*, Gdańsk – Warszawa 2009; B. Danowska, *Grudzień 1970 roku na Wybrzeżu Gdańskim. Przyczyny – przebieg – reperkusje*, Pelplin 2000; *Dokumenty i materiały rewolty szczecińskiej 1971*, oprac. L. Adamczuk, F. Dowęjko, Warszawa 1988, mps powielony; J. Eisler, *Grudzień '70*, Warszawa 1995; idem, *Grudzień 1970. Geneza, przebieg, konsekwencje*, Warszawa 2000; J. Eisler, I. Greczanik-Filipp, W. Kwiatkowska, J. Marszałec, *To nie na darmo... Grudzień '70 w Gdańsku i Gdyni*, red. M. Sokołowska, Pelplin 2006; J. Eisler, P. Sasanka, *Grudzień '70 – pamiętamy*, Gdańsk 2007; J. Eisler, S. Trepczyński, *Grudzień '70 wewnątrz „Białego Domu”*, Warszawa 1991; *Elbląg w grudniu 1970 roku*, red. J. Hochleitner, Elbląg 2006; H. Galus, *Interpretacje wydarzeń grudniowych w 1970 r. Uwagi socjologiczne*, Gdańsk 2001; A. Głowacki, *Kryzys polityczny 1970 roku*, Warszawa 1990; idem, *Kryzys polityczny 1970 roku w świetle wydarzeń na Wybrzeżu Szczecińskim*, Szczecin 1985; T. Górski, H. Kula, *Gdańsk – Gdynia – Elbląg '70. Wydarzenia grudniowe w świetle dokumentów urzędowych*, Gdynia 1990; *Grudzień 1970 genezą Sierpnia 1980*, red. K. Kozłowski, Szczecin 2000; *Grudzień 1970. Przebieg wydarzeń na Wybrzeżu Gdańskim*, red. S. Bucholc, Gdańsk 1989; *Grudzień '70 poza Wybrzeżem w dokumentach aparatu władzy*, wstęp i oprac. T. Balbus, Ł. Kamiński, Wrocław 2000; *Grudzień przed Sierpniem. W XXV rocznicę wydarzeń grudniowych*, red. L. Mażewski, W. Turek, Gdańsk 1996; *Grudzień*

Paziewski odczytał na nowo – opublikowany przed laty przez Ewę Wacowską², jednak w wersji daleko niepełnej – zapis z prawie dziewięciogodzinnego spotkania 24 stycznia 1971 r. w Stoczni Szczecińskiej im. Adolfa Warskiego nowego I sekretarza Komitetu Centralnego PZPR Edwarda Gierka i prezesa Rady Ministrów Piotra Jaroszewicza ze strajkującymi stoczniowcami.

Było to wydarzenie bezprecedensowe. Nigdy bowiem w państwie realnego socjalizmu nie zdarzyło się, aby przywódca partii odwiedził protestujących robotników i na terenie strajkującego zakładu podjął z nimi rozmowę. Michał Paziewski ustalił nazwiska wszystkich osób zabierających wówczas głos, a nawet dotarł do dziewiętnastu z nich. Pozwoliło mu to na krytyczne opracowanie publikacji źródłowej i poprzedzenie jej obszernym wstępem historycznym.

Bezcennym uzupełnieniem tej pracy jest przygotowany przez Eryka Krasuckiego i wydany przez Oddział Instytutu Pamięi Narodowej w Szczecinie obszerny tom materiałów źródłowych dotyczących strajku szczecińskiego ze stycznia 1971 r. Także i w tym przypadku obok krytycznej publikacji wielu dotychczas nieznanymi dokumentów otrzymaliśmy obszerne opracowanie historyczne. Za sprawą tych dwóch książek nasza wiedza o tej fazie ówczesnego kryzysu polityczno-społecznego radykalnie wzrosła – podobnie jak wcześniej za

sprawą wydawnictw IPN dotyczących strajku łódzkiego z lutego 1971 r.³, po którym władze ostatecznie wycofały się z grudniowej podwyżki cen, będącej bezpośrednią przyczyną grudniowej rewolty.

Punktem odniesienia tych rozważań jest moment opublikowania przeze mnie monografii Grudnia⁴ oraz tomu dokumentów SB na ten sam temat⁵. Nic w ciągu tych dziesięciu lat nie zmieniło się w kwestii dostępu badaczy do poradzieckich źródeł z przełomu lat sześćdziesiątych i siedemdziesiątych, przechowywanych w archiwach w Rosji. Nadal są one niedostępne dla historyków, ciągle więc opisując rolę „czynnika radzieckiego”, tak przecież ważnego dla całych dziejów politycznych PRL, skazani jesteśmy w dużym stopniu na intelektualne spekulacje oraz posługiwanie się przede wszystkim źródłami o charakterze wspomnieniowym⁶.

Bardzo wiele natomiast zmieniło się w tym zakresie w Polsce. Najpierw minister kultury i dziedzictwa narodowego Kazimierz Ujazdowski w dziewiętnastą rocznicę wprowadzenia stanu wojennego (13 grudnia 2000 r.) ogłosił, że niezależnie od tego, czy minęła trzydziestoletnia karencja od chwili ich powstania, wszystkie materiały wytworzone przez centralne i terenowe struktury PZPR stają się dostępne dla badaczy. Miało to ogromne znaczenie dla badań nad dziejami PRL, chociaż stosunkowo wiele dokumentów partyjnych z lat sie-

1970, Paryż 1986; *Grudzień 1970*, Warszawa 1980 (wyd. Głos); *Grudzień 1970*, „Głos Wolny, Wolność Ubezpieczający” 1981, nr 6; *Grudzień 1970 w dokumentach MSW*, wstęp i oprac. J. Eisler, Warszawa 2000; *Grudzień 1970 r. w Polsce*, Toronto 1971; *Grudzień 1970. Wybór dokumentów Gdańsk – Gdynia – Elbląg*, Gdańsk 1981 (wyd. Gdański Sierpień); K. Jagiełło, *Krzyż i Kotwica*, Paryż 1987; J. Kopec, *Insurekcja Grudniowa 1970*, Warszawa 2001; Z. Korybutowicz [A. Friszke], *Grudzień 1970*, Paryż 1983; H.M. Kula, *Dwa oblicza grudnia '70 – oficjalne i rzeczywiste*, Gdańsk 2000; idem, *Grudzień 1970 „oficjalny” i „rzeczywisty”*, Gdańsk 2006; W. Kwiatkowska, *Grudniowa Apokalipsa*, Gdynia 1993; eadem, *Grudzień 1970 w Elblągu*, Elbląg 1988; eadem (na okładce błędnie napisano Kwaśniewska), *Grudzień '70 w Gdyni*, Warszawa 1986 (t. 11 Archiwum „Solidarności”); W. Kwiatkowska, I. Greczanik-Filipp, *Są wśród nas*, Gdynia 2000; M. Machatek, P. Miedziński, *Zbuntowane miasto. Szczeciński Grudzień '70 – Styczeń '71*, Szczecin 2007; E.J. Nalepa, *Wojsko Polskie w Grudniu 1970*, Warszawa 1990; *Od Października 1956 do Grudnia 1970*, cz. 3: *Nowe wstrząsy*, z. 2: *Grudzień 1970*, Warszawa 1985 (Zeszyty Edukacji Narodowej); H. Piecuch, *Rozstrzelany grudzień*, Warszawa 1990; *Postulaty 1970–71 i 1980. Materiały źródłowe do dziejów wystąpień pracowniczych w latach 1970–1971 i 1980 (Gdańsk i Szczecin)*, oprac. B. Chmiel, E. Kaczyńska, Warszawa 1998; *Poznań 1956 – Grudzień 1970*, oprac. E. Wacowska, Paryż 1971; M.F. Rakowski, *Przesilenie grudniowe. Przyczynek do dziejów najnowszych*, Warszawa 1981; *Rewolta szczecińska i jej znaczenie*, oprac. E. Wacowska, Paryż 1971; B. Seidler, *Kto kazał strzelać? Grudzień '70*, Warszawa 1991; *Spojrzenie z drugiej strony. Relacja z Gdańska 1970*, oprac. L. Jerzewski [J. Łojek], Warszawa 1981; A. Strokowski, *Lista ofiar. Grudzień 1970 w Szczecinie*, Szczecin 2009; J. Surdykowski, *Notatki gdańskie*, Warszawa 1983; M. Szejnert, T. Zalewski, *Szczecin: grudzień – sierpień – grudzień*, Londyn 1986; *Tajne dokumenty Biura Politycznego. Grudzień 1970*, oprac. P. Domański, Londyn 1991; M. Tarniewski [J. Karpiński], *Płonie komitet (grudzień 1970 – czerwiec 1976)*, Paryż 1982; *Wojsko Polskie w wydarzeniach grudniowych 1970 roku. Materiały z sympozjum 17 grudnia 1990 r.*, red. E.J. Nalepa, Warszawa 1991; A. Wójcicka, *Wydarzenia grudniowe 1970 roku*, Warszawa 2004. Niestety nie została dotychczas wydana drukiem obroniona w 2000 r. na Uniwersytecie Szczecińskim praca doktorska Michała Paziewskiego *Grudzień 1970 w Szczecinie*, będąca bez wątpienia najpełniejszym i najsolidniejszym opracowaniem ówczesnego kryzysu na Pomorzu Zachodnim.

² *Rewolta szczecińska i jej znaczenie...*, s. 25–147.

³ K. Lesiakowski, *Strajki robotnicze w Łodzi 1945–1976*, Łódź 2008, s. 261–325; *Strajki łódzkie w lutym 1971. Geneza, przebieg i reakcje władz*, wstęp i oprac. E. Mianowska, K. Tyłski, Warszawa – Łódź 2008.

⁴ J. Eisler, *Grudzień 1970. Geneza, przebieg, konsekwencje...*

⁵ *Grudzień 1970 w dokumentach MSW...*

⁶ Ze wspomnień dostępnych w języku polskim najważniejszym źródłem do opisu kryzysu z przełomu lat 1970 i 1971 pozostają wspomnienia Piotra Kostikowa, kierownika Sektora Polskiego w Komitecie Centralnym Komunistycznej Partii Związku Radzieckiego (P. Kostikow, B. Roliński, *Widziane z Kremla. Moskwa – Warszawa. Gra o Polskę*, Warszawa 1992).

demdziesiątych i osiemdziesiątych było i tak wcześniej dostępnych dla historyków. Niemniej jednak dobrze pamiętam, jak w lutym 2000 r. w Archiwum Państwowym w Gdańsku pozwolono mi korzystać z pewnych materiałów, ale zarazem zastrzeżono, iż nie będę mógł ich skopiować ani tym bardziej opublikować, gdyż nie upłynęło od ich powstania pełne trzydzieści lat. Dotyczyło to np. esbeckich fotografii z pochodu 1 maja 1971 r. w Gdańsku, później wielokrotnie prezentowanych, na których utrwalono stoczniovców w żałobie, domagających się ukarania winnych grudniowej tragedii.

Zapewne jeszcze większe znaczenie dla badaczy miało utworzenie Instytutu Pamięci Narodowej, w którego archiwum umieszczono dokumenty wytworzone przez aparat bezpieczeństwa. Od początku 2002 r. zarówno pracownicy IPN, jak i naukowcy z Polskiej Akademii Nauk i szkół wyższych oraz dziennikarze, a także historycy zagraniczni mogą z nich – z wyjątkiem tzw. zbioru zastrzeżonego – obficie korzystać. W odniesieniu do Grudnia zaowocowało to m.in. trzema albumami fotograficznymi obrazującymi przebieg wydarzeń w Gdańsku⁷, Szczecinie⁸ oraz Gdyni⁹.

W ciągu tych dziesięciu lat zasób fotografii grudniowych, którymi obecnie dysponujemy, zwiększył się kilkakrotnie. Gdy w 2000 r. gromadziłem materiał ikonograficzny do swojej monografii, to – dzięki przychyłności i życzliwości wielu osób – zdołałem zebrać niewiele więcej niż sto zdjęć, spośród których mogłem wybierać te do publikacji. Tymczasem po powstaniu IPN badaczom udało się dotrzeć nie tylko do fotografii, które wykonali funkcjonariusze Służby Bezpieczeństwa i Milicji Obywatelskiej, ale także do wielu zdjęć zarekwirowanych przed laty ich autorom. To samo można powtórzyć na temat bezcennych wręcz materiałów filmowych (zwłaszcza ze Szczecina) odnalezionych w Archiwum IPN. Obok materiałów nakręconych przez operatorów resortowych odnaleziono materiały lokalnych stacji telewizyjnych z Gdańska i Szczecina oraz Polskiej Kroniki Filmowej.

Chciałoby się więc powiedzieć, że wraz ze skokowym wręcz rozszerzeniem się bazy źródłowej dotyczącej Grudnia zmniejszyły się obszary naszej niewiedzy. Niestety, nie jestem pewien, czy pogląd taki byłby uzasadniony. Rzeczywiście otrzymaliśmy wiele detali i szczegółów, zawartych zwłaszcza w źródłach bezpieczeństwa pochodzenia, ale jednocześnie jest to wiedza specyficzna; mamy masę meldunków, raportów, sprawozdań, analiz oraz doniesień tzw. osobowych źródeł informacji, ale niekoniecznie służą one poznaniu prawdy historycznej. Należy przypomnieć, że bezpośrednio po Grudniu w wielu resortowych dokumentach umieszczano postulat rozbudowy agentury w największych zakładach pracy Wybrzeża, a zwłaszcza w stoczniach. Wychodząc temu zaleceniu naprzeciw, tylko w Gdańsku pozyskano w następnych tygodniach „110 jednostek źródeł informacji” – tzn. tajnych współpracowników i osoby o statusie „kontaktów operacyjnych” – „spośród osób, które bezpośrednio były zaangażowane we wrogich wystąpieniach oraz w środowiskach związanych z aktywnym wrogiem działania”. Z tych „110 jednostek” 24 uzyskano w Stoczni Gdańskiej im. Lenina¹⁰. W 2008 r. na temat atmosfery panującej na Wybrzeżu po Grudniu oraz specyfiki tej esbeckiej akcji werbunkowej przetoczyła się w polskich mediach burzliwa dyskusja wywołana książką Sławomira Cenckiewicza i Piotra Gontarczyka¹¹.

Oczywiście nie tylko tego typu materiały, jakimi posługiwali się obaj wymienieni autorzy, miały dość ograniczony wpływ na tzw. wielką historię, choć z pewnością znaczący na biografie poszczególnych osób. Trudno byłoby też przyznać, że istotną wartość dla poznania całokształtu spraw związanych z Grudniem mają np. dokładne zestawienia strat materialnych poniesionych przez poszczególne szkoły milicyjne, w których to dokumentach obok liczby i marki spalonych pojazdów, liczby zaginionych pałek i hełmów, zużytych środków chemicznych, zniszczonych mundurów itd. wymienia się starannie, ile zaginęło prześcieradeł czy obrusów.

⁷ S. Cenckiewicz, *Gdański Grudzień '70...*

⁸ M. Machalek, P. Miedziński, *Zbuntowane miasto...*

⁹ P. Brzeziński, R. Chrzanowski, A. Nadarzyńska, *Zbrodnia bez kary. Grudzień 1970 w Gdyni*, Gdynia 2010.

¹⁰ J. Eisler, *Grudzień 1970. Geneza, przebieg, konsekwencje...*, s. 347–348.

¹¹ S. Cenckiewicz, P. Gontarczyk, *SB a Lech Wałęsa. Przyczynek do biografii*, Gdańsk – Warszawa – Kraków 2008.

Nasuwa się nieodparcie pytanie, o co tu chodzi, o jakie prześcieradła i obrusy, czy aby przypadkiem w te zestawy strat poniesionych w czasie „przywracania porządku na ulicach” nie wliczono wszystkiego, co w tym czasie (i wcześniej!) „zaginęło” z majątku konkretnej szkoły milicyjnej.

Kto strzelał?

Żeby być lepiej zrozumianym, pozwolę sobie przywołać słowa, które dziesięć lat temu napisałem we wstępie do swej monografii na temat materiałów wytworzonych przez różne ogniwa władz partyjno-państwowych, również przez struktury aparatu bezpieczeństwa. „Stosunkowo wiele z nich miało na celu zatuszowanie lub nawet zniekształcenie rzeczywistego obrazu wydarzeń. Uwaga ta dotyczy przede wszystkim wszelkich materiałów o charakterze raportów, sprawozdań i analiz przygotowywanych dla kolejnych partyjnych komisji. Charakteryzują się one tendencją do minimalizowania lub wręcz pomijania roli niektórych osób z kierownictwa partyjno-państwowego, a nadmiernym akcentowaniem roli innych, zwykle tych pozostających w danym momencie poza establishmentem, niejednokrotnie już nieżyjących. Równie widoczna jest tendencja do minimalizowania rzeczywistego zakresu stosowania broni palnej. Gdyby chciało się zawarte w tych dokumentach informacje brać na serio, trzeba by uwierzyć, iż w grudniu 1970 r. nikt i nigdzie nie strzelał do ludzi, stale jest bowiem mowa o tym, że »siły porządkowe« pod wpływem gwałtownie rozwijających się wydarzeń niemal zawsze po wcześniejszym wezwaniu do spokojnego rozejścia się tłumu bądź używały ślepej amunicji, bądź strzelały w górę, a w ostateczności oddawały salwy w ziemię i jedynie od rykoszetów padali zabici i ranni. Gdyby rzeczywiście tak było, należałoby zapytać, dlaczego zginęło tam wówczas kilkadziesiąt osób, a kolejnych sto kilkadziesiąt odniosło rany postrzałowe?”¹².

Przed laty w dokumentach udostępnionych mi w archiwach Ministerstwa Spraw Wewnętrznych i Admi-

nistracji oraz Urzędu Ochrony Państwa natrafiłem na prawie dwieście stron mówiących o tym, jak to demonstranci strzelali z broni palnej do milicjantów i kilku z nich raniłi. Natomiast nie udało mi się znaleźć żadnych dokumentów o tym, jak to „siły porządkowe” strzelały do manifestantów¹³.

W jednym z dokumentów MSW czytamy, że 15 grudnia 1970 r. około godziny 7.30 – podczas starć przed budynkiem Komendy Miejskiej MO w Gdańsku – „w stronę funkcjonariuszy MO padły z tłumu strzały z broni palnej. Były to w ogóle pierwsze strzały, jakie padły w czasie zająć na Wybrzeżu”. Rany odniosło trzech milicjantów: kpr. Jan Cieszyński został postrzelony w jamę brzuszną (jego stan oceniono jako bardzo ciężki), kpr. Stanisław Woźniak miał postrzał lewego uda, a szer. Hubert Babiński poślada. „Ponadto stwierdzono ślady strzałów na elewacji budynku KM MO oraz 6 wyraźnych odbić pocisków wewnątrz budynku”¹⁴.

Jest to niezwykle istotna informacja, która już przed laty zwróciła moją uwagę. Sądziłem, że może okazać się ona pomocna przy wyjaśnieniu okoliczności, w jakich doszło na Wybrzeżu do masakry. Wiadomość o tym, że pierwsze strzały padły ze strony demonstrantów, pojawiała się we wszystkich znanych mi sprawozdaniach i raportach przygotowywanych przez kolejne komisje partyjne powoływane w celu wyjaśnienia (czy na pewno w tym celu?) okoliczności, w jakich w grudniu 1970 r. doszło do tragedii. Informacja mówiąca o tym, że „z tłumu padły pierwsze strzały w tych wydarzeniach”, miała też 15 grudnia rano skłonić Władysława Gomułkę do podjęcia decyzji „w sprawie użycia broni przez siły porządkowe i wojsko”. Wszystko wskazuje na to, że właśnie ta wiadomość stała się przyczyną eskalacji konfliktu i miała decydujący wpływ na użycie przeciwko demonstrantom środków przymusu.

Czy była to jednak informacja prawdziwa? Trudno na to pytanie odpowiedzieć jednoznacznie. Już przed laty Antoni Dudek i Tomasz Marszałkowski sugerowali, że demonstranci przypuszczalnie „posłużyli się bro-

¹² J. Eisler, *Grudzień 1970. Geneza, przebieg, konsekwencje...*, s. 8.

¹³ Już po wydaniu monografii *Grudzień*, w styczniu 2001 r., twórca i zarazem pierwszy dyrektor Archiwum IPN Grzegorz Jakubowski (były długoletni dyrektor Archiwum Ministerstwa Spraw Wewnętrznych i Administracji) pokazał mi w konfidencji notatkę z podpisem komendanta wojewódzkiego MO w Szczecinie płk. Juliana Urantówki, z którego to dokumentu wynikało, że 17 XII 1970 r. polecił on funkcjonariuszom zgromadzonym na dziedzińcu atakowanego przez demonstrantów budynku KW MO otworzyć ogień na wprost do nacierających manifestantów. Po raz pierwszy w życiu widziałem wówczas tego typu dokument. Jakubowski wyjął go z moich rąk i powiedział dobitnie: „Nic nie widziałeś!”. Oczywiście o jakimkolwiek zanotowaniu sygnatury czy skopiowaniu tego dokumentu nie było mowy. Kilka miesięcy później Grzegorz Jakubowski zmarł nagle i nigdy nie zdążyłem powrócić do „tajemniczej” notatki.

¹⁴ Archiwum Ministerstwa Spraw Wewnętrznych i Administracji, MSW II, 1082.

nią zdobytą kilka minut wcześniej”¹⁵. Patrzyłem na to odmiennie; od dawna sądziłem, że wiadomość o strzelaniu do funkcjonariuszy nie miała wiele wspólnego z rzeczywistością, chodziło jedynie o odwrócenie uwagi od faktu użycia broni palnej przez milicjantów, a także przekonanie adresatów tych materiałów – najpierw kierownictwa partyjnego, a z czasem także szerokich kręgów społeczeństwa – że nie doszłoby do użycia broni palnej przez wojsko i milicję, gdyby wcześniej z tłumu nie strzelano do funkcjonariuszy.

Ale przecież na tę sprawę można spojrzeć inaczej. Fakt, iż strzały padły z tłumu, nie musi oznaczać, że strzelali manifestanci. Równie dobrze – a uważam to nawet za bardziej prawdopodobne – mogli to być wmieszani w tłum prowokatorzy lub cywilni funkcjonariusze SB. Wiadomo przecież, że w PRL dostęp do broni palnej nie był łatwy. Jeżeli trafiała ona do rąk ludzi z marginesu społecznego, to na ogół służyła do popełnienia konkretnego przestępstwa. Jest mało prawdopodobne, żeby kryminaliści zabierali ze sobą na demonstrację pistolety czy rewolwery, robiąc tam z nich użytek i ryzykując ich zaginięcie lub skonfiskowanie przez milicję.

Problemów z dostępem do broni palnej nie mieli wojskowi oraz funkcjonariusze MSW. Nie można więc wykluczyć, że strzały istotnie najpierw padły z tłumu, ale strzelającymi byli wmieszani w szeregi robotników funkcjonariusze SB. Ważne przy tym jest i to, że „siły porządkowe” zatrzymały w Grudniu tylko jedną osobę, która miała przy sobie broń palną. Gwoli ścisłości trzeba też odnotować, iż przy jednym z aresztowanych znaleziono 24 sztuki amunicji do kałasznikowa. W śledztwie tłumaczył się on, że na ulicy młody człowiek rozdawał jakieś pudełka i on też wziął jedno, nie zdążył sprawdzić, co w nim było, a okazało się, że naboje¹⁶.

Teoria prowokacji

Niewiele nowego możemy także powiedzieć o podziałach wewnątrz PZPR. Formalnie i oficjalnie PZPR jawić się miała jako monolit, lecz powszechnie było wiadomo, że w partii – wbrew deklarowanej jedności – zawsze istniały rywalizujące ze sobą skrzydła, koterie, orientacje, frakcje czy grupy. Zdarzało się, że osoby zaliczane do różnych odłamów tej samej w końcu partii więcej dzie-

liło niż łączyło. Z sytuacją taką mieliśmy do czynienia m.in. właśnie w drugiej połowie lat sześćdziesiątych, kiedy to w kierowniczych gremiach partyjno-państwowych ujawniły się co najmniej dwie konkurujące ze sobą o wpływy nieformalne koterie partyjne: „partyzantów” i „ślązaków”. Jak wiadomo, wodzem pierwszej był gen. Mieczysław Moczar – długoletni wiceminister, a potem minister spraw wewnętrznych, drugiej natomiast – członek Biura Politycznego i I sekretarz Komitetu Wojewódzkiego PZPR w Katowicach Edward Gierek.

W całej historii PZPR ani razu zmiany na jej szczycie nie przeprowadzono w czasie obrad zjazdu, czyli najważniejszego statutowo organu. Zawsze zmian dokonywano w sytuacjach kryzysowych, często w okolicznościach nasuwających skojarzenia z pałacowym zamachem stanu. Skoro zaś zmiany na szczytach władzy zbiegały się z momentami niezwyklej i wyjątkowymi, wśród części działaczy mogła pojawiać się pokusa sztucznego wywołania sytuacji kryzysowych. Istnieją zresztą relacje – niestety ich autorzy zastrzegali sobie anonimowość – które rzuciłyby nowe światło na genezę Grudnia, gdyby kiedyś udało się je zweryfikować. W myśl jednej z nich latem 1969 r. w ośrodku MSW w Helenowie pod Warszawą spotykali się m.in. Edward Babiuch, Wojciech Jaruzelski, Stanisław Kania, Stanisław Kociołek i Franciszek Szlachcic. Podobno w trakcie tych spotkań omawiali zmiany personalne, jakie powinno się przeprowadzić w Polsce po odsunięciu od władzy Władysława Gomułki. Trudno orzec, czy to tylko plotka, czy też rozmowy tego typu faktycznie wówczas prowadzono.

W innej opowieści podano, że grupa działaczy partyjnych miała już dość autokratycznych rządów Gomułki i chciała się go pozbyć, co – jak już wspomniano – było w praktyce niemożliwe do przeprowadzenia w sposób statutowy. Gierek przekonywał wówczas bliskich mu towarzyszy, że bez wielkiego społecznego wstrząsu nie da się odsunąć Gomułki od władzy, dlatego należy doprowadzić do takiego wybuchu. Miał nawet powiedzieć, że jeśli zajdzie taka potrzeba, to pośle do pracy w Stoczni Gdańskiej tysiąc górników komunistów, którzy „już będą wiedzieli, co trzeba zrobić”. Tysiąca takich godnych najwyższego zaufania osób według tej relacji nie znaleziono, ale około dwustu ponoć tak.

¹⁵ A. Dudek, T. Marszałkowski, *Walki uliczne w PRL 1956–1989*, Kraków 1999, s. 175.

¹⁶ J. Eisler, *Grudzień 1970. Geneza, przebieg, konsekwencje...*, s. 134.

Można tu jeszcze przywołać słowa Lecha Wałęsy – jak tuż przed grudniem 1970 r. przyjęto do pracy w Stoczni im. Lenina „dwustu nowych ludzi, cichcem i szybko rozestanych na poszczególne wydziały [...]. Ludzie później analizowali ten moment, przypominali sobie, że wielu z tych dwustu nowo przyjętych do pracy było w czołówce podczas wyprowadzania robotników na ulicę w strajku 1970 roku”¹⁷. Mówiono także, iż podobno kilka tygodni przed wybuchem protestu do stoczni oddelegowano kilkunastu czy kilkudziesięciu oficerów Wojsk Ochrony Pogranicza, lecz nie wiadomo, w jakim celu.

Czyżby zatem organizowano wówczas polityczną czy raczej policyjną prowokację? Teza ta ma swoich zdeklarowanych zwolenników. Jednym z najbardziej konsekwentnych jest komandor Henryk Kula – autor lub współautor kilku książek na temat Grudnia. Tezy tej trudno się jednak dopatrzeć w jego pierwszej książce, wydanej dwadzieścia lat temu, przygotowanej wspólnie z Tadeuszem Górskim¹⁸. Pojawiła się ona w znacznym nasileniu w jego następnym, już samodzielnym opracowaniu¹⁹.

Pamiętam zresztą incydent w grudniu 2000 r. w czasie konferencji naukowej na Uniwersytecie Gdańskim, którego sprawcą stał się bezwiednie Henryk Kula. W swoim referacie, nawiązując do ustaleń zawartych w wydanej właśnie książce *Dwa oblicza Grudnia '70 – oficjalne i rzeczywiste*, zaprezentował spiskową wersję genezy tamtych wydarzeń, w której kluczową rolę skłonny był przypisywać służbom specjalnym. Wywołało to oburzenie grupy uczestników protestów robotniczych obecnych na sali konferencyjnej; z nazwiska zapamiętałem tylko Henryka Jagielskiego ze Stoczni Gdańskiej. Zarzucali Kuli, że banalizuje ich protest, czyni z nich bezwolnych realizatorów czyichś rzekomych planów, podczas gdy oni szczerze wystąpili przeciwko drastycznej podwyżce cen. Niezrażony krytycznymi głosami „grudniowych kombatanów” Henryk Kula kontynuował i rozwijał swoje koncepcje w kolejnej publikacji książkowej²⁰.

Mimo niewątpliwego postępu w badaniach naukowych ciągle jeszcze nie sposób autorytatywnie stwierdzić, czy rzeczywiście jakieś siły polityczne chciały wówczas robotniczymi rękami wymienić elitę kierowniczą i w tym celu przygotowały prowokację. O ile nie budzi

wątpliwości fakt, że część działaczy PZPR już w trakcie tragicznego grudniowego tygodnia podjęła kroki mające na celu odsunięcie Gomułki od władzy, o tyle nikt nie jest w stanie wykazać, że podobne działania podejmowano wcześniej, przed ogłoszeniem podwyżki cen.

Należy też pamiętać, że gdyby w końcu 1970 r. sytuacja w Polsce pod względem politycznym, ekonomicznym i społecznym była dobra, to nie można byłoby znaleźć takich prowokatorów ani inspiratorów, którzy zdołaliby doprowadzić do gwałtownego wybuchu niezadowolonego społecznego i wyjścia tysięcy protestujących na ulice.

Zbierajcie relacje!

Ze spiskową wersją historii niekiedy łączy się kwestia relacji świadków, aktorów i obserwatorów ówczesnych wydarzeń, przy czym jest zrozumiałe, że wraz z upływem lat jest takich osób coraz mniej. Z kilku przynajmniej powodów maleje także wartość relacji, które można jeszcze zebrać. Przede wszystkim odchodzą na zawsze najważniejsi uczestnicy tamtych wydarzeń. Ich relacje mogłyby mieć większe znaczenie niż osób z drugiego czy trzeciego szeregu ówczesnej sceny politycznej.

Jednostkowa pamięć poszczególnych osób podlega licznym deformacjom, zapewne także dlatego stosunkowo wielu historyków, w tym część badaczy dziejów najnowszych, uważa powstające po latach relacje za źródła mało wiarygodne. Zwykle twierdzi się przy tej okazji, że ludzie, którzy po pewnym czasie wspominają swój udział w jakimś wydarzeniu, mają skłonność do minimalizowani swej roli, jeśli z dzisiejszej perspektywy oceniają wydarzenie negatywnie, natomiast w przeciwnym razie nadmiernie nawet tę rolę akcentują. O pewnych sprawach – niezależnie od upływu czasu – zainteresowani w ogóle nie chcą mówić. Dotyczy to zwłaszcza tych kwestii, z którymi może się łączyć postępowanie sądowe lub prokuratorskie. Obserwujemy wtedy tendencję do przemilczenia tego wszystkiego, co mogłoby zostać wykorzystane przeciwko autorowi relacji lub jego politycznym przyjaciołom.

Równocześnie przeciwnicy zbierania i wykorzystywania przez historyków relacji świadków i uczestników

¹⁷ L. Wałęsa, *Droga nadziei*, Kraków 1989, s. 53.

¹⁸ T. Górski, H. Kula, *Gdańsk – Gdynia – Elbląg '70...*

¹⁹ H.M. Kula, *Dwa oblicza grudnia '70...*

²⁰ H.M. Kula, *Grudzień 1970 „oficjalny” i „rzeczywisty”...*

minionych wydarzeń zwracają uwagę na rolę czasu. Po latach niezależnie od naszych intencji naprawdę nie pamiętamy niektórych spraw, ludzi i wydarzeń. Bywa, że na nasze własne wspomnienia nakłada się obraz utrwalony w różnych ogólnie dostępnych opracowaniach. Nie pamiętamy tego, co naprawdę sami widzieliśmy, słyszeliśmy, w czym uczestniczyliśmy, lecz to, co wryło się w naszą pamięć za sprawą innych przekazów, często znacznie późniejszych.

Ale czy to wszystko miałooby nas skłonić do rezygnowania z gromadzenia relacji? Czy informacje zawarte w powstałych przed laty dokumentach przechowywanych dziś w archiwach, także tych najtajniejszych z tajnych, wszystkie i zawsze są prawdziwe? Czy ludzie, którzy wytworzyli materiały archiwalne, na pewno i nigdy nie mieli intencji wprowadzenia odbiorców w błąd, nie chcieli czegoś przed nimi ukryć? Od czego jest krytycyzm i sceptycyzm, którego uczy się studentów historii, poczynawszy od pierwszego roku studiów!

Warto odpowiedzieć sobie na pytanie, w jakim celu w ogóle zbieramy relacje, czemu ma to służyć, jak uchronić się przed bezkrytycznym przejęciem czyjejs wizji przeszłości. Czego chcemy dowiedzieć się ze zbieranych przez nas relacji? Już kilka lat temu zwracałem uwagę, że mogą one pełnić co najmniej poczworną rolę²¹. Po pierwsze są nieocenionym i niezastąpionym źródłem w tych wszystkich przypadkach, gdy z oczywistych powodów nie powstała oficjalna dokumentacja o charakterze aktowym – stenogram, protokół, notatka służbowa. Dotyczy to głównie rozmów nieoficjalnych i poufnych. Po drugie relacje są uzupełnieniem, zwłaszcza gdy zależy nam na odtworzeniu tła i swoistego zaplecza obyczajowo-towarzyskiego jakiegoś wydarzenia, gdy chcemy poznać – przynajmniej do pewnego stopnia – prywatność opisywanych osób. Tylko z relacji (i memuarystyki!) możemy dowiedzieć się, jak wyglądały rzeczywiste więzi nieformalne w danym środowisku czy to opozycyjnym, czy to wewnątrz obozu władzy.

Tylko w ten sposób możemy dowiedzieć się, kto z kim się spotykał na prywatnym gruncie, z kim – niezależnie od zajmowanego stanowiska – w ważnych sprawach się

konsultowano, kto uczestniczył w podejmowaniu decyzji, a kto dowiadywał się o nich *post factum*, kto posiadał tylko władzę formalną, wynikającą z piastowanej funkcji, a kto realną, płynącą z dostępu do osoby nr 1. Jest to mechanizm szczególnie ważny dla badaczy reżimów dyktatorskich, ale – jak się wydaje – odgrywający też niemałą rolę w systemach demokratycznych.

Po trzecie, znów zwłaszcza w odniesieniu do systemów niedemokratycznych, relacje mogą uzupełniać dokumenty wytworzone przez władze oficjalne. W relacjach powinniśmy szukać tych informacji, których z jakichś powodów nie zawarto w materiałach archiwalnych. Posłużę się przykładem. We wszelkich znanych mi materiałach archiwalnych dotyczących Grudnia wytworzonych przez struktury partii i państwa, w tym przez funkcjonariuszy aparatu bezpieczeństwa, w zasadzie nie ma mowy o biciu zatrzymanych. Co więcej, choć w dokumentach znajdują się bardzo dokładne opisy demonstracji ulicznych, włącznie z gwałtami popełnianymi przez manifestantów, to jednak nie ma informacji o stosowaniu środków przemocy przez „siły porządkowe”. Jeżeli zatem zależy nam na zbliżeniu się do prawdy i możliwie pełnym odtworzeniu rzeczywistości, musimy dokumenty resortowe zestawzić z relacjami osób poszkodowanych. O tym wszystkim, co działo się za zamkniętymi drzwiami komend milicji, mogą nam opowiedzieć *de facto* tylko ci, których przed laty zatrzymano, a potem brutalnie bito i bez nakazu prokuratorskiego w skandalicznych warunkach osadzano w aresztach.

Po czwarte – szczególnie w przypadku odtwarzania dziejów różnych grup i środowisk opozycyjnych w systemach niedemokratycznych relacje niekiedy są jedyne przekazami źródłowymi pozwalającymi na rekonstruowanie przeszłości i ustalenie nawet tzw. faktów prostych. Stajemy wobec alternatywy: albo – pamiętając o wszystkich wyżej przywołanych ograniczeniach i zagrożeniach – pozwolimy uczestnikom wydarzeń sprzed lat, by opowiedzieli o swojej działalności, albo – jeśli nie udało się tego ustalić w swoim czasie funkcjonariuszom służb specjalnych – nadal nic na ten temat nie będziemy wiedzieć.

²¹ J. Eisler, *Refleksje nad wykorzystywaniem relacji jako źródła w badaniu historii PRL (rozmowy z dysydentami i prominentami)*, „Polska 1944/45–1989. Studia i Materiały” 2003, nr 6, s. 49–64.

„Po długie lata będzie pamiętał lud...”

JANUSZ MARSZALEC

❖ dr, historyk, zastępca dyrektora Muzeum II Wojny Światowej w Gdańsku. M.in. współautor książki *To nie na darmo... Grudzień '70 w Gdańsku i Gdyni* (2006).

Jednym z ważnych czynników spajających w ostatnim dwudziestoleciu PRL zatimizowaną społeczność Gdańska i całego Wybrzeża była pamięć tragedii Grudnia '70¹. Legenda grudniowego zrywu wywodziła się z dwóch źródeł: z pamięci o zamordowanych i z pamięci o tryumfie nad komunistami – krótkotrwałym, ale przez wiele miesięcy przypominanym wypalonymi murami Komitetu Wojewódzkiego PZPR w Gdańsku. Zrozumiałe stają się słowa jednego z uczestników tej robotniczej rewolty: Grudzień był „straszny, ale zarazem piękny”.

Tajny współpracownik Służby Bezpieczeństwa o pseudonimie „Kasprzak” w donosie z 19 grudnia 1970 r. pisał: „Sytuacja w Gdańsku uległa poprawie, lecz z mego punktu obserwacji przeistoczyła się w głęboki żal większości społeczeństwa i w przyciszony wewnętrzny bunt”. Ta konstatacja donosiciela trafnie wskazuje podstawowy czynnik, który kształtował postawy gdańszczan przez całą dekadę i przygotował grunt pod przełom sierpniowy 1980 r. Podobnie sens Grudnia ujął ks. Hilary Jastak. W liście, w którym relacjonował wydarzenia prymasowi Polski kard. Stefanowi Wyszyńskiemu, zaznaczył, że jego starania o pocieszenie rodzin zabitych to tylko „kropla pociech”, a „nabrzmiały problem moralny pozostawał...

stał... nienawiść i miłość”². Pamięć Grudnia zaczynała się więc od poziomu nienawiści, żalu, współczucia, a zarazem – cytując słowa duchownego – od miłości.

* * *

Przed laty Roman Wapiński dostrzegł w wydarzeniach 1970 r. czynnik przyspieszający narodziny nowej, świadomej celów socjalnych i politycznych klasy robotniczej³. Współczesne opracowania historyczne silnie akcentują uświadomienie sobie przez robotników, że najlepszą metodą walki z władzą jest strajk okupacyjny. Najwyraźniejszym ich rysem jest – w odróżnieniu od opracowań z lat osiemdziesiątych – uznanie wolnościowego i niepodległościowego charakteru rewolty 1970 r. Jerzy Eisler jako pierwszy sformułował tezę o insurekcji grudniowej (złagodził ją po kilku latach do określenia: wydarzenie o „cechach insurekcyjnych”)⁴. Z kolei Antoni Dudek, nie godząc się, aby robotniczą rewoltę nazywać kolejnym polskim powstaniem, traktował ją jako istotny etap destrukcji systemu komunistycznego, który jakkolwiek nie doprowadził – przynajmniej w powszechnej skali – do załamania wiary w system socjalistyczny, to jednak zapoczątkował w świadomości robotników proces jego ideologicznej delegitymizacji⁵. Tezę tę potwierdziły badania socjologa Marka Latoszka. Pisał on, że wśród 277 pamiętników robotników z sierpnia 1980 r. nie ma żadnego, w którym nie odwoływano by się do doświadczeń Grudnia. Rok 1970 traktowany jest przez ich autorów jako moment definitywnego rozej-

¹ Pisałem o tym przed pięcioma laty w książce, której inicjatorką była Wiesława Kwiatkowska; niniejszy artykuł do tego tekstu nawiązuje (J. Marszalec, „Przyciszony wewnętrzny bunt” – pamięć Grudnia '70 na Wybrzeżu Gdańskim w latach 70. i 80., [w:] *To nie na darmo... Grudzień '70 w Gdańsku i Gdyni*, red. M. Sokołowska, Pelplin 2006, s. 115–144; zob. też I. Greczanik-Filipp, *Grudniowe pomniki*, [w:] *ibidem*, s. 145–156.

² List ks. H. Jastaka do kard. S. Wyszyńskiego, [w:] *ibidem*, s. 175.

³ R. Wapiński, *O ruchach masowych i ich przywódcach*, [w:] *Ważęsa*, oprac. zbiorowe, Warszawa 1981, s. 136–137.

⁴ J. Eisler, *Zarys dziejów politycznych Polski 1944–1989*, Warszawa 1992, s. 90; *idem*, *Grudzień 1970. Geneza, przebieg, konsekwencje*, Warszawa 2000, s. 16–17.

⁵ A. Dudek, *Rewolta grudniowa jako etap destrukcji systemu komunistycznego*, [w:] *Grudzień przed sierpniem. W XXV rocznicę wydarzeń grudniowych*, red. L. Mażewski, W. Turek, Gdańsk 1996, s. 239.

ścia się z socjalizmem⁶. Antoni Dudek zwrócił również uwagę na rolę żądań reformy związków zawodowych w 1970 r.⁷ Problem ten, dotyczący istoty genezy Solidarności, nie znalazł dotychczas w literaturze wyczerpującego omówienia.

Porządkując rodzaje pamięci Grudnia, należy podkreślić jej środowiskowo-klasowy wymiar. Inaczej dawały wyraz swej pamięci o Grudniu środowiska robotnicze, inaczej inteligenci niepodległościowcy, jeszcze inaczej kultywowały ją rodziny ofiar.

Oddziaływanie Grudnia trzeba określić jako podskórny i stopniowy wpływ na życie społeczne. Podskórny, gdyż wiele procesów odbywało się poza kontrolą władzy i sferą oficjalnego życia publicznego. Procesy te zachodziły w rodzinie, środowisku znajomych, grupie zawodowej. Pamięć to coś, co nosi się w sobie. Niekoniecznie musi ona rzutować natychmiast na wybory i postawy ludzi; tym bardziej nie doprowadzała do jawnych wystąpień antykomunistycznych szerokich kręgów społecznych. Pamięć to balast, który może hamować aktywność, ale też skłaniać do werbalizowania niezadowolenia, a następnie organizowania oporu. To obosieczne oddziaływanie doskonale jest widoczne na przykładzie spraw grudniowych. Pamięć Grudnia paraliżowała – wielu przez lata nie mogło pozbyć się strachu na widok milicjanta, niektórzy skatowani przez milicję leczyli się u psychiatrów⁸.

Działanie motywujące pozytywnie widać na przykładzie tych nielicznych, którzy odważyli się upominać o zabitych kolegów. Pomysł wybudowania pomnika zastrzelonych stoczniowców został zgłoszony już 25 stycznia 1971 r. w Stoczni Gdyńskiej im. Komuny Paryskiej na spotkaniu z Edwardem Gierkiem. W tym samym czasie podobne żądania wysuwano na różnych zebraniach w Stoczni Gdańskiej im. Lenina, w zakładach Gdyni. Pod naciskiem robotników dyrekcja Stoczni Gdańskiej pozwoliła na zawieszenie tablicy pamiątkowej. Był to jednak zwyczajny blef, obliczony na uspokojenie nastrojów.

Okazją do kolejnej próby sił między stoczniowcami a władzami stało się święto 1 Maja 1971 r. Pojawiły się prymitywnie wykonane ulotki i napisy na murach. De-

cydenci zdecydowali się na ustępstwa. W Gdyni spośród załóg wytypowano osoby, które w przeddzień Święta Pracy miały złożyć kwiaty na grobach zabitych. Wpłynęło to uspokajająco na robotników, choć nie uciszyło wszystkich. W Stoczni Gdańskiej zdesperowana grupa postanowiła publicznie zademonstrować swe żądania. Pierwszy raz w dziejach PRL klasa robotnicza niosła podczas manifestacji pierwszomajowej własne transparenty. Napisano na nich: „Żądamy ukarania winnych wypadków grudniowych”, „Żądamy odsłonięcia tablicy pamiątkowej zabitych w zajściach grudniowych”. Zdołowało to SB do lepszego „zabezpieczenia” w przyszłości imprez masowych, jednak legenda tego niemego protestu w środowisku stoczniowym pozostała.

Żałobny pochód nie był jedyną formą upamiętnienia. Pod bramą nr 2 Stoczni Gdańskiej pojawiły się kwiaty i wieńce. Jak wynika z materiałów SB, składali je stoczniowcy i osoby spoza zakładu, dziennie zaledwie kilka osób czy grup.

Następne, jeszcze skromniejsze wystąpienia upamiętniające ofiary odbyły się z okazji święta zmarłych. 31 października w okolicach nasypu na przystanku kolejki Gdynia-Stocznia dzieci zapaliły trzy świece. Odnotowano też próbę złożenia kwiatów w Gdańsku przed bramą nr 2. 1 listopada SB udokumentowała wiele prób składania kwiatów i palenia zniczy w Gdańsku i Gdyni. Niektórzy zorientowawszy się, że teren jest obstawiony przez funkcjonariuszy, rezygnowali z położenia kwiatów. Inni, starając się maksymalnie ograniczyć ryzyko, podjeżdżali pod bramę samochodami, składali kwiaty, zapalali znicze i natychmiast się wycofywali. Jesienią w Elblągu rodzina Mariana Sawicza złożyła kwiaty i zapaliła świece w miejscu jego postrzelenia. Po rozmowach ostrzegawczych Sawiczowie w następnych latach nie podejmowali już prób „destabilizowania sytuacji w Elblągu”.

Do pierwszej rocznicy Grudnia SB lepiej przygotowała się technicznie, zdołano też znacznie ostudzić nastroje w zakładach pracy. Mimo to sporadycznie upamiętniano minutą ciszy poległych lub – rzadziej – szepetano o obiecanych tablicach pamiątkowych. 13 grudnia 1971 r. „nieznani sprawcy”, jak określano ich w dokumentach SB, rozwiesili ręcznie wykonane plakaty i wier-

⁶ M. Latoszek, *Stan świadomości strajkujących robotników w sierpniu 1980 r.*, [w:] *Opozycja antykomunistyczna w Gdańsku (1976–1980). O pomorskim modelu obrony czynnej*, red. L. Mażewski, W. Turek, Gdańsk 1995, s. 77–78.

⁷ A. Dudek, *Rewolta grudniowa...*, s. 239, 236–238.

⁸ Zob. np. relacje Stanisława Steńki, Henryki Halman, o. Zbigniewa Nastałego, [w:] *Grudzień 1970*, Paryż 1986, s. 365, 380, 384.

sze przy bramie nr 2. Na jednym z wydziałów zorganizowano ceremonię wciągnięcia flagi na maszt, uczczono ciszą pamięć zastrzelonych, odśpiewano hymn. Materiały na temat „zabezpieczenia” rocznicy w Gdyni nie zachowały się. Pewne jest, że i tam znaleźli się odważni ludzie, którzy złożyli kwiaty na wiadukcie kolejowym przy przystanku Gdynia-Stocznia.

Skala grudniowych obchodów w 1971 r. była skromna – na miarę czasów oraz nasilających się represji organów bezpieczeństwa i dyrekcji załóg, ściśle współpracujących z SB.

Oprócz rzeczywistych działań podejmowanych przez robotników istnieje jeszcze sfera mitu. Przed 1 Maja i przed grudniem 1971 r. po mieście krążyły plotki, np. o manifestacjach i paleniu gazet przez tłum pod domem prasy w Gdańsku. Znacznie poważniejszą rolę w kształtowaniu legendy Grudnia odegrała anonimowa twórczość uliczna, powstająca tuż po robotniczym zrywie. Piosenki i wierszyki, pisane prostym, często dosadnym językiem, pokazywały negatywny stosunek ludzi do władzy. „Po długie lata będzie pamiętał lud gdyński te wydarzenia i wszystko będzie przekazywał na swoje dalsze pokolenia...”⁹.

Popularnością i wielkim oddziaływaniem emocjonalnym i artystycznym wyróżnia się *Ballada o Janku Wiśniewskim*, napisana – jak po latach zostało ujawnione – przez Krzysztofa Dowgiałłę. Do powszechnej świadomości wprowadził ją film Andrzeja Wajdy *Człowiek z żelaza*. Od tej pory „Janek Wiśniewski” stał się narodowym symbolem, a pieśń Dowgiałły nośnikiem antykomunistycznych treści, czytelnym i poza Wybrzeżem.

Czy inne środowiska społeczne wspierały wówczas robotników w tej walce? Jawnie angażował się w pomoc robotnikom i przypominał ofiarę Grudnia ks. Hilary Jastak – legendarny kapłan Gdyni. W następnych latach jego śladem poszli również księża Henryk Jankowski i Stanisław Bogdanowicz z Gdańska oraz kilku innych. Do akcji upamiętniających tragedię 1970 r. włączali się niekiedy studenci.

Wydawało się, że władzy udało się uspokoić nastroje robotników i zdusić rodzącą się legendę. Po 1972 r. sytuacja wydawała się opanowana. Kolportaż prymitywnie

sporządzanych ulotek był niewielki, napisy na murach nieliczne, nikt już nie upominał się o tablice pamiątkowe.

Gdy już sądzono, że rany się zablżyły, a ludzie zapomnieli, garstka gdańskich opozycjonistów, doskonale odczytując nastroje społeczne, zaczęła po 1976 r. organizować opór. Do przypominania i rozpowszechniania wolnościowych idei wykorzystywano kolejne rocznice grudniowej tragedii. Miejscem wolnościowych mitingów nie stała się najbardziej doświadczona Gdynia, lecz okolice bramy nr 2 Stoczni Gdańskiej, gdzie 16 grudnia 1970 r. wojsko strzelało do robotników. Maryla Płońska w 1979 r., podczas obchodów dziewiątej rocznicy, wolała do czterech tysięcy zgromadzonych: „Co dał nam Grudzień? Grudzień uświadomił naszą siłę i nasze prawa oraz to, do czego zdolna jest władza. Za tę wiedzę niektórzy zapłacili najwyższą cenę. Własne życie”¹⁰. Wtedy to po raz pierwszy publicznie Grudzień związane z hasłami niepodległościowymi, pokazano go jako krok ku wolności. Podobne hasła głosili inni uczestnicy tego wiecu, m.in. Tadeusz Szczudłowski, Dariusz Kobzdej, ks. Bronisław Sroka. Lech Wałęsa wezwał do budowy pomnika ofiar, choćby z kamieni, wspólnym wysiłkiem, za rok, w dziesiątą rocznicę wydarzeń. Bogdan Borusewicz, działacz Komitetu Obrony Robotników i Wolnych Związków Zawodowych, zatrzymany wówczas przez SB, po latach wspominał: „Grudzień był uniwersytem dla robotników i nie tylko dla robotników. Pewne sprawy były w Gdańsku i Gdyni oczywiste. Nie trzeba było wyjaśniać, co to jest za system [...] Wszyscy bowiem w Grudniu widzieli, co działo się na ulicach, a co ukazało się w gazetach, radio i telewizji”¹¹.

W sierpniu 1980 r. na tablicy z 21 postulatami Międzyzakładowego Komitetu Strajkowego w Gdańsku pojawił się również ten z żądaniem budowy pomnika ofiar Grudnia. Wtedy też chyba wszyscy uwierzyli w sens słów zapisanych w *Balladzie o Janku Wiśniewskim*: „nie płaczcie matki, to nie na darmo”.

Budowa pomników w Gdańsku i Gdyni była wielkim dziełem mieszkańców Wybrzeża, któremu sekundowała cała Polska. Mimo przeszkód stwarzanych przez władze administracyjne, mimo esbeckich prowokacji pomniki powstały ze składowych pieniędzy, budowane rę-

⁹ *Odezwa do mieszkańców Gdyni*, [w:] *To nie na darmo...*, s. 186.

¹⁰ Cyt. za: B. Szczepuła, *Wolne Związki Wybrzeża: przez związek zawodowy do niepodległości*, [w:] *Opozycja antykomunistyczna w Gdańsku...*, s. 39–40.

¹¹ *Ibidem*, s. 40.



Gdańsk, grudzień 1970 r. Fot. autor nieznany, zbiory ECS

kami robotników – przy aplauzie całej Polski. Władze bezpieczeństwa jednoznacznie odczytywały płynące z symboliki grudniowej zagrożenia dla systemu komunistycznego. Wiesław Sobiecki, chorąży SB i autor pracy dyplomowej o Wolnych Związkach, pisał: „Akt budowy pomnika nie był przypadkowy. Służył nie tylko zacieśnieniu solidarności robotników wewnątrz stoczni, ale również wiązał to przedsięwzięcie z załogami innych zakładów pracy, nie tylko na terenie Gdańska, ale także i w kraju”¹².

Dla kształtowania świadomości społecznej równie ważna co budowa pomnika okazała się inicjatywa Bogdana Borsewiczka, by zebrać i opublikować grudniowe wspomnienia. Zajął się tym sekcja historyczna po-

wstała w Ośrodku Badań Społecznych przy Międzyzakładowym Komitecie Założycielskim NSZZ Solidarność w Gdańsku. (Pisze o tym Andrzej Kaczyński w niniejszym numerze „Wolności i Solidarności”). Utworzenie grupy osób planowo i legalnie zbierających materiały na temat komunistycznej zbrodni miało doniosłe znaczenie dla budowy pamięci. Po latach ukrywania tematu przez władze inicjatywa firmowana przez Solidarność pozwoliła ludziom przełamać strach i zacząć mówić o tym, co ich boleło. Najpierw ukazała się kasetka magnetofonowa z relacjami uczestników, będąca tak naprawdę zapisem spotkania rodzin i znajomych ofiar. Materiały wydano drukiem w podziemiu dopiero w połowie lat osiemdziesiątych, a w dużym nakładzie w Paryżu. Przypomnijmy,

¹² Archiwum IPN Oddział w Gdańsku, 091/32, W. Sobiecki, *Wpływ WZZ i innych ugrupowań antysocjalistycznych na powstanie i działalność NSZZ „Solidarność” na przykładzie Stoczni Gdańskiej im. Lenina, Legionowo 1985*, praca dyplomowa, mps, k. 69.



Uczestnicy pochodu 1-majowego w Gdańsku niosą transparent z żądaniem ukarania winnych ofiar Grudnia '70, 1971 r.
Fot. autor nieznan, zbiory ECS

że działo się to w epoce stanu wojennego, gdy pamięć o Grudniu znowu zeszała do podziemia. Mimo zabiegów władz nie było już jednak powrotu do sytuacji sprzed 1980 r. Grudzień został przesunięty ze sfery pamięci lokalnej do ogólnonarodowej.

Dzisiaj Grudzień ma już swoje miejsce w podręcznikach historii, ale nie jest tam tylko patetyczną lekcją do wyuczenia się na pamięć. Dla dużej części mieszkańców Trójmiasta należy do nielicznych wielkich wydarzeń społecznych i politycznych żywo odczuwanych i wspominanych. Wynika to z dramatyzmu i skali, ale też masowości wydarzeń. Tryumf robotników pod Komitetem Wojewódzkim PZPR w Gdańsku oglądały tysiące ludzi. Podobnie

w Gdyni. Ten naturalny proces pamiętania wzmacniany jest przez lokalne samorządy, które z wielką atencją celebrować pamięć tragedii 1970 r. W Gdyni od 1990 r. w każdą rocznicę czarnego czwartku ludzie idą w pochodzie.

Zbrodnia na robotnikach (zwłaszcza strzały w Gdyni) żyje w świadomości Polaków jako symbol tego, czym był komunizm, ale też jako znak zbrodni nieukaranej. Ciągający się od kilkunastu lat proces wojskowych i sekretarza wojewódzkiego PZPR w Gdańsku Stanisława Kociołka nie zaspokaja elementarnego poczucia sprawiedliwości. Dzięki niemu jednak co roku o Grudniu mówią media, wprowadzając go do współczesnego dyskursu społecznego, publicystyki i polityki.

Odbudowywanie pamięci

ANDRZEJ KACZYŃSKI

◆ dziennikarz, zajmuje się historią. Po sierpniu 1980 r. współpracował z prasą solidarnościową w Lublinie, w 1981 r. był reporterem w „Tygodniku Solidarność”. W drugim obiegu redagował „Kulturę Niezależną” i „Wezwanie”, publikował w „Tygodniku Wojennym” i „21”. Po 1989 r. pracował m.in. w „Gazecie Wyborczej”, „Życiu Warszawy” i (do 2006 r.) w „Rzeczpospolitej”.

Relacje z Grudnia '70 zostały spisane – z nielicznymi wyjątkami – po upływie dziesięciu lat od wydarzeń. Były owocem Sierpnia. W 1980 r. pod hasłem ujawnienia prawdy i przywrócenia pamięci o tragedii Grudnia Stocznia Gdańska przystąpiła do strajku. Wśród 21 postulatów znalazło się żądanie przyjęcia do pracy usuniętych wówczas robotników. Protest grudniowy został wpisany do tradycji NSZZ Solidarność, a zarząd regionu gdańskiego Związku utworzył zespół dokumentalistów z zadaniem zgromadzenia źródeł na temat Grudnia.

Według historyków relacje uczestników i świadków wydarzeń są tym wartościowsze, im starsze. Tu mamy jednak do czynienia z sytuacją dość chyba rzadką: główny korpus wspomnień powstał w ciągu kilkunastu miesięcy „karnawału”, na zamówienie jednego – związkowego – odbiorcy. Relacje sprzed Sierpnia i wytworzone po stanie wojennym należą do wyjątków. Dokumentaliści odkryli niewiele świadectw powstałych bezpośrednio po Grudniu: jedno z Gdańska (noworoczny list stocznianca do bliskich), parę ze Szczecina (spisanych zapewne podczas ponownego strajku w styczniu 1971 r., po którym w archiwum Stoczni im. Adolfa Warskiego zostało nieco dokumentów).

Oprócz nich znam jeszcze tylko obszerną relację spisaną na początku 1971 r. przez dziennikarza gdańskiego ośrodka telewizji Wojciecha Jankowskiego. Zdjęcia, które nakręcił w Gdańsku i Gdyni, w tym podczas gdy-

skiego czarnego czwartku 16 grudnia 1970 r., skonfi skowała Służba Bezpieczeństwa (tylko część odzyskał po dwudziestu latach i wykorzystał w filmie dokumentalnym *Grudniowe taśmy*). Jego relacja pisemna sprawia wrażenie wolnej od autocenzury i ingerencji kolejnych szczebli władz, które ją sobie przekazywały (z rekomendacją, że jest bliska „stanowi faktycznemu”); ostatecznie trafiła do archiwum KC PZPR. Autor szczerze i szczegółowo opisuje, gdzie był i co widział, w miarę wydarzeń odważnie okazuje coraz więcej zrozumienia i współczucia protestującym, bezwzględnie pacyfikowanym przy użyciu zbrojnej przemocy. Miał luksus niedostępny uczestnikom manifestacji – nie musiał bać się, że jego opowieść może zostać wykorzystana przeciwko niemu. On był tam służbowo. Podobna szczerłość w wydaniu demonstrantów byłaby napraszaniem się o bicie, wyrzucenie z pracy czy wyrok więzienia. Tłumaczy to w jakimś stopniu niedostatek najcenniejszych świadectw.

Pracownica gdańskiego Międzyzakładowego Komitetu Założycielskiego NSZZ Solidarność Joanna Wojciechowicz, która przygotowywała wystawę na dziesiątą rocznicę Grudnia, upraszała w prasie o udostępnienie z prywatnych zbiorów fotografii z 1970 r. Odpowiedziały dwie osoby: rybak, który wywołał swoje zdjęcia za granicą, oraz pracownik naukowy, wtedy student; samodzielnie wywołał błonę i ukrył, nie robiąc odbitek. Dopiero po latach ujawnili się inni ludzie, którzy również fotografowali wydarzenia grudniowe.

16 grudnia 1980 r., po odsłonięciu pomnika w pobliżu przystanku kolejowego Gdynia-Stocznia, w Morskim Domu Kultury, który w 1970 r. był siedzibą miejskiego komitetu strajkowego, odbyła się konferencja prasowa z udziałem uczestników protestów, osób poszkodowanych oraz rodzin poległych w Trójmieście. Dziennikarze odezwali się kilka razy i zamilkli, bo pytania zaczęły stawać pozostali. Rodzice i rodzeństwo zabitych roz-

pytywali, czy ktoś widział może, jak padł ich syn czy brat. Ojciec „Janka Wiśniewskiego”, postaci literackiej, a naprawdę osiemnastoletniego Zbyszka Godlewskiego, chciał się dowiedzieć, jak wyglądał chłopiec niesiony na drzwiach po ulicy Świętojańskiej. Nie był pewny, czy to jego syn. Chirurg, który operował rannego, ratując mu życie, cieszył się, zobaczywszy dawnego pacjenta. Okazało się, że ci ludzie w większości nigdy wcześniej się nie spotkali, nikt wiarygodny nie powiedział im, co się z ich bliskimi stało, a sami bali się pytać. Pierwszy raz publicznie rozmawiali na ten temat.

Parę tygodni wcześniej o pomoc w dotarciu do uczestników gdyńskiego protestu prosiłem Adama Gotnera ze Stoczni im. Komuny Paryskiej. Dostał sześć ran postrzałowych na przystanku kolejki koło stoczni. W Komisji Zakładowej NSZZ Solidarność zajmował się budową pomnika i kontaktami z poszkodowanymi i rodzinami poległych. – Nic się nie dowiesz. Nawet nie będą chcieli się umówić – odparł. – Nie dziw się, to strach. Uzasadniony po tym, co ich spotkało. Mnie znają, pewnie ufają, ale też nie wszystko mi powiedzą.

Janusz Krupski, który w 1981 r. z ramienia gdańskiego MKZ koordynował akcję dokumentowania wydarzeń grudniowych, wspominał w 2007 r. w Gdańsku na konferencji „Grudzień ’70. Pamiętamy”: „Było to doświadczenie szczególne, bowiem większość osób, do których zwracaliśmy się o relacje, odmawiała udzielania informacji. Dla wielu z tych, którzy przeszli przez Grudzień ’70, wydarzenia te były tak dramatyczne, że nie decydowali się o tym mówić ze strachu albo też nie potrafili o tym opowiedzieć”.

Historią Grudnia ’70 środowiska opozycyjne w Gdańsku zajmowały się na długo przed Sierpniem. Wśród działaczy Wolnych Związków Zawodowych uczestnikami strajków i demonstracji w 1970 r. byli m.in. Lech Wałęsa, Anna Walentynowicz, Bogdan Borusewicz, Bogdan Lis, Kazimierz Szołoch. Spośród członków Ruchu Młodej Polski szczególne zainteresowanie Grudniem przejawiał historyk Arkadiusz Rybicki (1953–2010) – będąc licealistą, przyłączył się do manifestujących robotników, przemawiał, potykał się z milicją. Siłą rzeczy zainteresowania te nie mogły nabrać systematycznego charakteru. Po utworzeniu MKZ zbieraniem materiałów o Grudniu zajmowali się wspomniana już Joanna Wojciechowicz – architekt, dziennikarka, współpracowniczka WZZ i RMP, od 1989 r. na emigracji w Stanach Zjednoczonych, oraz historyk

Antoni J. Wręga – członek RMP, po 1989 r. dyplomata. Uprawiali to jednak na marginesie innych zajęć.

Okazało się, że zadania są na miarę wyspecjalizowanego zespołu. Bogdan Borusewicz sprowadził z Lublina kolegę z opozycji i ze studiów historycznych (u Władysława Bartoszewskiego) na KUL, założyciela i redaktora naczelnego opozycyjnego kwartalnika „Spotkania” oraz Biblioteki „Spotkań” – Janusza Krupskiego (1951–2010; po 1989 r. wydawca, wiceprezes Instytutu Pamięci Narodowej i kierownik Urzędu do spraw Kombatantów i Osób Represjonowanych, zginął w katastrofie lotniczej pod Smoleńskiem). W marcu 1981 r. Krupski został kierownikiem sekcji historycznej Ośrodka Badań Społecznych MKZ w Gdańsku. Według opracowanej przez niego koncepcji sekcja podjęła badania i dokumentowanie „kryzysu zimowego”, czyli strajków i manifestacji w Gdańsku, Gdyni, Szczecinie, Słupsku i Elblągu w grudniu 1970 r. oraz strajków w Szczecinie w styczniu i Łodzi w lutym 1971 r.

Prócz Janusza Krupskiego sekcja miała czworo pracowników. Ewa Dering, historyczka, działaczka ROPCiO, zajmowała się Łodzią. Aleksander Klemp, historyk, badał sprawy Gdańska. Jan Andrzej Stepek (1951–1986), historyk, dziennikarz, redaktor „Spotkań”, odpowiadał za źródła dotyczące Szczecina. Wiesława Kwiatkowska (1936–2006), polonistka, dziennikarka, zajmowała się Gdynią. W 1982 r. została skazana na pięć lat więzienia za to, że po 13 grudnia 1981 r. „nie zaprzestała działalności związkowej”, czyli dokumentowania wydarzeń grudniowych; odsiedziała piętnaście miesięcy. Po wyjściu na wolność nadal zajmowała się historią swojego miasta. W 1986 r. wydała książkę *Grudzień 1970 w Gdyni* (podziemne wydawnictwo Pokolenie, Warszawa), a po 1989 r. jeszcze kilka książek – jako samodzielna autorka lub współautorka – poświęconych kryzysowi grudniowemu. W Szczecinie tamtejszy MKZ na etacie dokumentalisty zatrudnił historyka Krzysztofa Żurawskiego. Z gdańską sekcją historyczną współpracowało również kilkunastu wolontariuszy.

Archiwa państwowe i partyjne były dla dokumentalistów z Solidarności niedostępne. Sekcja zajęła się więc przede wszystkim pozyskaniem dokumentów wytworzonych przez załogi strajkujących zakładów pracy (proklamacje, oświadczenia, apele, ulotki) i sporządzonych wspólnie przez władze i przedstawicielstwa robotnicze (porozumienia zawierane w Gdyni, Szczecinie



Budowa Pomnika Poległych Stoczniovców w Gdańsku, 1980 r. Fot. Zenon Mirota, zbiory ECS

i Łodzi). Głównie jednak starała się pozyskiwać świadectwa uczestników. Udało się zgromadzić około dwustu relacji. Jest to do dziś największy ich zbiór.

Przed stanem wojennym zbiory zostały w większości ukryte, niektóre – jak przyznał Krupski – tak dobrze, że sam nie mógł ich odnaleźć. Służba Bezpieczeństwa przejęła tylko kilka relacji i dokumentów. W 1986 r. opracowanie tych materiałów było ukończone. Opublikowane zostały pod tytułem *Grudzień 1970* równolegle

w drugim obiegu w kraju – jako trzy kolejne numery specjalne kwartalnika „Spotkania” (nr 23 – Gdańsk, nr 24 – Gdynia, nr 25 – Szczecin i Łódź) – oraz przez Editions Spotkania w Paryżu – pod dwiema postaciami: jako numery kwartalnika i scalone w jednym tomie. W czterdziestą rocznicę protestów na Wybrzeżu prezentujemy w „Wolności i Solidarności” wybór relacji dotyczących manifestacji w Trójmieście i strajku w Stoczni Gdańskiej za wydaniem paryskim.

Świadectwa grudniowe

ANNA WALENTYNOWICZ

(relacja z czerwca 1981)

W sobotę była zapowiedziana podwyżka cen przez Gomułkę, w niedzielę wszystkie sklepy pracowały w związku ze zmianą cen wszystkich artykułów, jakie były w sklepie¹. U nas na Wybrzeżu panowała jakaś taka grobowa cisza, która zapowiadała wielką burzę. Niewiele ludzie ze sobą rozmawiali, chodzili z opuszczonymi głowami – tak odczułam tę niedzielę. Natomiast w poniedziałek, kiedy przyszedliśmy do pracy, ludzie przebrali się w kombinezony, poszli pod dyrekcję – oczywiście ja też tam poszłam. Dyrektor przez okno wystawił mikrofon i powiedział, że on może nam załatwić 5 proc. premii – tyle, co leży w jego gestii. I rzeczywiście obiecał to załatwić, ale nam chodziło o wstrzymanie podwyżki cen. Powiedział, że na to nie ma wpływu. Dyrektorem Stoczni Gdańskiej był pan Żaczek – powiedział, że jeżeli chodzi o podwyżkę cen, cofnięcie jej czy zatrzymanie, to... ja nie mam wpływu, idźcie do komitetu. I grupa około 3 tysięcy osób – a stocznia liczy około 16 tysięcy ludzi – poszła do komitetu wojewódzkiego partii. Reszta stoczniovców została na miejscu.

Dosyć długo czekaliśmy – może godzinę, może dwie – ta grupa nie wraca (ja byłam w tej grupie, która została), postanowiliśmy pójść im na spotkanie, dowiedzieć się, co się stało – dlaczego nie wracają tak długo. I w połowie drogi spotkałam tych stoczniovców wracających do stoczni, ale już nie samych; pchali ze sobą wóz, radiowóz właściwie. Nie wiem, dlaczego nie zapalili silnika, ale siedział tam człowiek – ja dopiero potem dowiedziałam się, że to był Jan Subda, pracownik stoczni – przez mikrofon cały czas mówił, żeby ludzie dołączyli się do nas, że wyjdziemy teraz na ulicę; ale trzeba było przyjść najpierw do stoczni. Wepchnęli ten wóz na stocznnię bra-

mą nr 2, poprzez całą Stocznnię Gdańską do Północnej, i znów wyszliśmy na zewnątrz w okolicy ulicy Klinicznej – i przecinając Rokossowskiego, aleję Zwycięstwa, przeszliśmy pod politechnikę z tym wozem. To była już chyba godzina 14. Do radiowozu wszedł rektor chyba, bo chcieliśmy rozmawiać ze studentami, ale studenci byli w gmachu politechniki, nie wszedł nikt. Siedzieli w oknach, ale nie rozmawiali z nami. Nie znam nazwiska rektora, ale wszedł do wozu i do mikrofonu zaczął mówić, że decyzja władz jest słuszna – oczywiście chciał nas przekonać, że podwyżka cen jest konieczna. Wtedy po prostu wyciągnięto go z radiowozu, nie chcieli go słuchać. Stoczniovcy poprzez ten radiowóz zwracali się do studentów, przepraszali ich za to, że w 1968 roku w marcu nie dołączyli do nich, ale „rozumiemy teraz, to był nasz błąd – przepraszamy was, ale teraz wy jesteście tak samo nam potrzebni, tak jak my byliśmy wam potrzebni w 1968 roku. Wobec tego zacznijmy to jeszcze raz. Spróbujmy to od nowa”. Studenci milczeli. Z mikrofonu znów popłynął głos: „Wiemy, że wy nie możecie dać nam w tej chwili odpowiedzi, ale dajcie nam znać oklaskami, czy jesteście z nami” – i posypał się huragan oklasków. Przyjęliśmy to jako potwierdzenie. Umówiliśmy się z nimi na godzinę 19. „Przyjdziemy tutaj pod politechnikę, przyjdą studenci, zorganizujemy wiec i zastanowimy się, co robić dalej”. Z tym wozem wycofaliśmy się z placu politechniki, ktoś przyniósł w bańce takiej, małej, chyba ze dwa litry benzyny. Część ludzi udała się do rozgłośni radiowej, która jest na rogu ulicy Łukasiewicza i Grunwaldzkiej. Ja tam nie byłam, bo poszłam za wozem, ale część ludzi, którzy tam wpadli do tego budynku, niewiele mogli zrobić, bo nikt nie był specjalistą, nikt się nie znał na tych rzeczach, na tej aparaturze, a pracownicy tej rozgłośni natychmiast ją unieruchomili. Tak że nie mogliśmy z niej skorzystać,

¹ Prezentowane relacje zostały opublikowane w tomie *Grudzień 1970*, Paryż 1986. Drukujemy je w wersji skróconej. (red.)



Walki uliczne przed Dworcem Głównym PKP w Gdańsku, 15 grudnia 1970 r. Fot. Jerzy Sadurski, zbiory ECS

żeby nadać wiadomość. Wycofaliśmy się stamtąd, poszliśmy przez most Błędnik w kierunku Dworca Głównego. Ja udałam się do stoczni, przebrałam się, bo byliśmy wszyscy w kombinezonach, i na godzinę 19 poszłam na plac. Wiele osób przyszło, ale plac był pusty, ciemny, światła wygaszone, nie było ze studentów nikogo.

Kiedy wracaliśmy z powrotem do ulicy Grunwaldzkiej, dołączyła do nas grupa studentów z domów akademickich przy ulicy Wyspiańskiego. Okazało się, że pozamykane są domy akademickie, nie wolno było młodzieży wyjść, ale ci, którzy byli na niższych kondygnacjach, po prostu wyszli przez okno. Dołączyli do nas – i idziemy już zwartą grupą, ale nas było 200–300 osób. Byli też ludzie, po prostu mieszkańcy miasta. Przed Bramą Oliwską zatrzymała nas grupa milicji z tarczami, z pałkami... Myśmy się cofnęli. Kiedy milicja cofała się z kolei do swoich wozów, to my nacieraliśmy – rzucałiśmy kamieniami, bo chcieliśmy koniecznie przedostać się w kierunku dworca. Jednak nas nie puszczono. Wró-

ciliśmy w okolicę ulicy Jana z Kolna, to jest ten most – wiadukt taki nad torami... I tam już zobaczyłam, jak płonie gazik naprzeciw dworca.

Co było tego dnia dalej, już nie wiem, bo wróciłam do domu późno wieczorem, koło godziny chyba 22.

Następnego dnia przyszliśmy do stoczni i znów powtarza się ta sama sceneria: mgła, błoto – nie było śniegu, nie było mrozu... Wychodzimy znowu drugą bramą, nikt nie podejmuje pracy. Ja już wcześniej widziałam, że wojsko się mieszało z tłumem, jeszcze nie było czołgów. Wracając od dworca, grupa ludzi w białych kombinezonach – to znaczy w tych azbestowych – spawacze idą ze śpiewem. Śpiewano wówczas „Międzynarodówkę”. Ja, podnosząc ręce do góry, żeby przestali śpiewać, chciałam im powiedzieć, że wojsko jest z nami, bo widziałam grupę wojskowych, która wmieszała się w tłum cywilnej ludności. Widziałam – po prostu zrozumiałam, bo z żadnym z nich nie rozmawiałam, ale zrozumiałam, że to było jakieś takie życzliwe połączenie się wojska

z cywilną ludnością. Zatrzymałam stoczniovców, żeby im to powiedzieć. Przerwali śpiew, zatrzymali się, powiedziały, ale oni wysłuchali i szli dalej.

Druga grupa wychodziła z bramy – brali ze sobą jakieś kije, kawałki prętów. Ktoś inny krzychał: – Po co ci to, walczysz o chleb, idziesz wołać o chleb, to idziesz go kijem zdobywać, rzuć to... I ludzie rzucali, szli bezbronni. W okolicy dworca zatrzymane były tramwaje, w poprzek torów stała cysterna z benzyną, z budynku komitetu partii ktoś mówił za pośrednictwem tuby, żeby ludzie się rozeszli, poszli do pracy, bo inaczej „będziemy strzelać, użyjemy broni”. Widziałam stoczniovcę, który wskoczył momentalnie na dach tramwaju, rozerwał kurtkę, to znaczy guziki pourywał, i powiedział: – Strzelaj... taki synu, i tak nie mam co dać rodzinie. Strzelaj, jak masz odwagę. Jednak nikt nie strzelał. Próbowano podpalić budynek partii. Dużo ludzi przyniosło butelki z winem, bo gdzieś tam na zapleczu rozbito sklep, brano wino i – ja widziałam – to wino wylewano na ziemię, a z tej cysterny napełniano butelki benzyną i rzucono do tego gmachu. Byli i tacy, którzy pili wino, ale niewielu takich było, reszta ich potępiła. Potem wróciłam do stoczni. Ponieważ w kiosku żywność, która była, wykupiona została w pierwszym dniu – zaopatrzenia nie było, milicja nie dopuściła wozu z chlebem – więc apelowano, że która z kobiet nie musi iść do domu, nie ma obowiązku, to żeby jednak udała się do kuchni, gotować obiad. Ja uznałam, że tam najbardziej się mogę przydać – poszłam do kuchni. Wiadome mi było, że w tym komitecie, który wybrano – potem jak wyszli na ulicę – to już nie było nikogo. Jak wrócili, to był drugi komitet, to znaczy po prostu wybierano drugi spośród siebie, ale cały czas rękę na pulsie trzymał dyrektor Żaczek. Ja miałam dla niego dużo szacunku, dużo uznania, a potem dowiedziałam się, że dlatego on był i trzymał to wszystko w garści, bo to były szef bezpieczeństwa i po prostu mocno dyrygował tym.

W środę około godziny 1 w nocy obudził mnie turkot czołgów. Naliczyłam ich 40, stojąc w oknie, potem zaniechałam, położyłam się. Stocznia była otoczona czołgami, ja znów wróciłam do swojej kuchni, już nie wychodziłam stamtąd. Ludzie chcąc nawiązać kontakt z żołnierzami, którzy otoczyli stocznię – a nie wiedzieli, kto to był, bo nikt z nich nie chciał rozmawiać, nie chcieli w ogóle nawiązać z nami kontaktu – podłączyli głośnik od budynku dyrekcji do bramy nr 2. Tam też

się mieści ta stołówka. Dwukrotnie był przecięty kabel – i to przez kogoś na terenie stoczni – żeby głośnik przy bramie nie działał. Kiedy padły strzały, ja wybiegłam z tej stołówki – widziałam wielkie zamieszanie, wycofałam się z powrotem... Potem dowiedziałam się, że trzy prześcieradła pomalowane krwią, namalowany krwią czerwony krzyż – zawieszono na dachu szpitala, który mieścił się tuż przy bramie nr 2. Strzały były skierowane właśnie tutaj, w cywilną ludność, bo jeszcze do dzisiaj na drzwiach tego budynku jest otwór od kuli – przestrzelone drzwi... Do tej pory tego nikt nie usunął i uważam, że dobrze, niech to zostanie... Nikomu nie przeszkadza ten otwór...

O godzinie chyba 24 czy 1 w nocy poszłam na swój wydział, żeby się trochę położyć. Gotowaliśmy cały obiad – to znaczy z dwóch dań, potem zabrakło już produktów, były tylko ziemniaki, więc gotowaliśmy tylko zupę. Kucharz stale przychodził do nas i mówił, żeby obrać dużo ziemniaków, bo chleba nie ma i mięsa już nie ma, niech chociaż będzie dużo tych ziemniaków w zupie. Ludzie w kolejce stali do stołówki, stawali jednak tam, gdzie nie było światła... Kryli się... Kolejka była duża i dosyć długo ludzie stali, żeby zjeść talerz tej zupy. Potem wzięliśmy się na sposób, że wózkami przyjeżdżali ludzie i zabierali na wydział, żeby nie grupować się w jednym miejscu, bo bali się, że w każdej chwili będzie jakaś prowokacja czy przyjada... zabiorą.

Nad ranem między 4 a 5 był pierwszy komunikat przez radiowęzeł, że wszyscy mamy opuścić stocznię, bo decyzją władz Zjednoczenia Przemysłu Okrętowego stocznia jest zawieszona w czynnościach. Bez pośpiechu, ale podnieśliśmy się każdy ze swojego legowiska i wychodziliśmy ze stoczni z opuszczoną głową. Mieliśmy wrażenie, że idziemy do niewoli. W czasie okupacji widziałam, jak jeńcy brani do niewoli szli z opuszczoną głową, a nierzadko ręce założone na kark. No, my mieliśmy tyle swobody, że ręce mieliśmy przy sobie, nie musieliśmy ich zakładać na kark. Nie wiedzieliśmy, czy wrócimy do stoczni, w każdym razie wiadomości do nas docierały, że – chyba Kliszko – powiedział, że „zaorze my stocznię. Stać nas na to, żeby zaorać ją i pobudować drugą”. Czuliśmy się bardzo bezsilni, wróciliśmy do domu, już była godzina milicyjna...

Zapomniałam jeszcze powiedzieć, że jednak płonął budynek partii w Gdańsku. Nie udało się go zapalić przez rzucanie butelek z benzyną, trzeba było podpa-



Tłumy w okolicy Dworca Głównego PKP w Gdańsku, 15 grudnia 1970 r. Fot. Jerzy Sadurski, zbiory ECS

lić kawałki opony samochodowej, wrzucić tam i dopiero wtedy się zapaliło. Wówczas ci panowie, którzy tam wewnątrz budynku byli, prosili, żeby im pozwolono wyjść. Jednak wyjście było już podpalone. Wtedy przyjechała wywrotka, postawiono drabinę na tę wywrotkę i po tej drabinie do wywrotki zeszło kilku panów... Przewieziono ich do stoczni jako zakładników. Potem dowiedziałam się, że jednak ich wypuszczono. Przebrano w kombinезony stoczniowe, wypuszczono tak, bo w mundurze nie mogliby wyjść, bo ludzie po prostu nie puściliby ich. Tutaj znowu było chyba działanie dyrektora – nie wiem – dobre czy złe, ale ci ludzie wyszli. W zamian za tych ludzi mieli nam wypuścić wszystkich stoczniowców. Jednak do dnia 25 stycznia 1971 roku, do chwili spotkania z Gierkiem, Jaroszewiczem i... – Szlachcic chyba był wtedy ministrem spraw wewnętrznych – jeszcze nie wszyscy wyszli. Ale w czasie tego spotkania, w czasie tych rozmów, Szlachcic powiedział: – Dajcie mi nazwiska, a udowodnię wam, że wszyscy wyjdą. Oczywiście podczas tej rozmowy rozpłakał się, sytuacja na sali zupełnie się zmieniła. Gierek wtedy wznosił taki apel

– zwrócił się do nas, czy my mu pomożemy, no oczywiście, „pomożemy” – odpowiedzieliśmy. Ja też udzieliłam tego poparcia, ja też powiedziałam: „pomożemy”, ale... dużo osób jeszcze potem siedziało.

Jeszcze taki Marian Zieliński, którego pobito, zabrano go z domu, kiedy stocznia już była zawieszona – człowiek ten o swoich wspomnieniach dziś jeszcze nie może spokojnie mówić. Są dokumenty, że zabierano kobietę z domu z Elbląga – ona też musiała przejść tak zwaną ścieżkę zdrowia – bito ją. Słyszeliśmy o tym, że stosują bicie, ale nie myślałam, że tak będą kobiety bić, jak tę kobietę, która później wypowiadała się na temat tego, co przeżyła. Widziałam jedno zdarzenie, kiedy milicjant na długość ręki strzelił do młodego, dziesiętnastoletniego stoczniowca. Ja byłam w tłumie, nie mogłam wyraźnie widzieć akurat, do kogo strzelił, powstało zamieszanie, krzyk i wtedy ludzie rzucili się na tego mundurowego. Więc tyle co ja mogłam dojrzeć – to szczątki człowieka rzucono na tory – to był widok straszny. Po prostu ludzie bezbronni w tym tłumie rzucili się na tego mundurowego milicjanta i własnymi rękoma nie tylko

że pozbawili życia, ale rozszarpali jego ciało... To, co ja zdążyłam zauważyć, dostrzec, co rzucono...

Nie widziałam ofiar. Bogdan Lis był świadkiem, jak czołąg zmiażdżył nogę człowiekowi, i mówił, że nie mógł patrzeć, kiedy ten człowiek podnosił się, zrywał się... Jeszcze nie uświadomił sobie, że brak tej nogi nie pozwalał mu stanąć. Ja tego nie widziałam.

Grudzień oczywiście nie poszedł na marne. Wyciągnęliśmy doświadczenia z Grudnia – gorzkie doświadczenia, ale to była lekcja życia. Już nie mógł się powtórzyć Grudzień, bo dojrzała świadomość społeczna. Nauczaliśmy się, że nie wolno nam było wyjść na ulice, każdy z nas dokładnie zdawał sobie z tego sprawę. Jeżeli strajk, to tylko okupacyjny. I tak trzeba było strzec się, żeby nie dostał się do nas nikt ze Służby Bezpieczeństwa. Nikt, kto by mógł nas sprowokować, bo przecież Grudzień tak się zakończył tylko dlatego, że nie dojrzała świadomość społeczna. Nie wiedzieliśmy, co może się stać – to była prowokacja: potrącenie tego chłopca, podpalenie gازیka, a potem następne... To było oko za oko, głowa za głowę. Chociaż siły po stronie naszego przeciwnika były niewspółmierne – my mieliśmy gołe ręce, a oni wszystko: gazy, pałki, tarcze, miotacze benzynowe, a potem broń palną. My mieliśmy tylko gołe ręce.

To samo mieliśmy w Sierpniu – też tylko swoje ręce, nic więcej. Ale mieliśmy bramę stoczniową przed nami. I tu nie wpuściliśmy nikogo i nikt od nas nie wyszedł, żeby nie wyrządzono mu krzywdy. Doświadczenie tragedii Grudnia spowodowało, że nie powtórzyła się ta tragedia w Sierpniu. Oczywiście nie bez znaczenia tutaj jest też i działalność opozycji, bo ci ludzie nauczyli nas odwagi. Musieliśmy się zdecydować na strajk, ale już zorganizowany, przemyślany... Chociaż nikt z nas nie planował na tak długi okres. Liczyliśmy dzień, może nawet niecały dzień, ale potem to już życie podyktowało to, co mieliśmy przez te 18 długich dni w stoczni.

HENRYK JAGIELSKI²

(relacja z czerwca 1981)

Dowiedziałem się o podwyżce cen już 12 grudnia, dlatego że była odprawa aktywu Stoczni Gdańskiej i oni

zostali poinformowani, że szykuje się wielka podwyżka cen. My z kolegami zaufanymi rozmawialiśmy, że w poniedziałek nie przystępujemy do pracy.

W niedzielę byliśmy wszyscy w domu. W poniedziałek przyszliśmy do pracy i żeśmy zauważyli, że jednak ta odprawa w sobotę dużo dała, dlatego że został wzmożony ruch przez kierowników. Ludzi po prostu wyganiaли wcześniej do pracy, żeby poszli na jednostki. Część ludzi poszła, część została. Ci, co poszli na jednostki, to i tak nie przystąpili do pracy, tylko po kabinach czy po jakichś pomieszczeniach rozmawiali, co robimy dalej.

Wydziały S w ogóle nie przystąpiły do pracy, od razu już na szatniach się zgrupowali i rozmawiali ze sobą. Część ludzi już poszła pod dyrekcję, takie grupki się tworzyły. To trochę inaczej wyglądało jak teraz w Sierpniu.

O godzinie 9, ponieważ jest to pora śniadaniowa – przyszli wszyscy na wydział W-4 i wydział W-4 poszedł pod dyrekcję. Tam już były zebrane pozostałe wydziały, szczególnie „esy”, które zapoczątkowały ten strajk w Grudniu.

Dyrektor – Żaczek wtenczas był dyrektorem – otworzył okno i przywitał wszystkich strajkujących. Myśmy mu zaproponowali, żeby radiofonizować teren, bo chcemy z nim rozmawiać. Naprędce została zrobiona radiofonizacja i zaczęła się rozmowa. On apelował do nas, żebyśmy przestali, żebyśmy przystąpili do pracy, bo to i tak nic nie da. No to część ludzi weszła do dyrektora i też przemawiała przez mikrofony. Śpiewaliśmy pieśni: „Jeszcze Polska nie zginęła”, „Międzynarodówkę”, „Rotę”, „Boże coś Polskę”, zresztą wszystkie patriotyczne pieśni. One się powtarzały przez te całe 3 dni.

Ludzie wysuwali postulaty, żeby powrócić do cen dawniejszych, odsunąć Kociołka, Cyrankiewicza, Moczara, Gomułkę i innych, którzy byli przy władzy. To trwało ze 40 minut, może mniej. Wtem ktoś rzucił hasło, że idziemy na miasto, pod komitet, miasto zawiadomić, bo nikt nie wie, że my tutaj przerwaliśmy pracę, strajkujemy. I wyszliśmy. Szliśmy i cały czas śpiewaliśmy pieśni po drodze i nawoływaliśmy innych ludzi: „Chodźcie z nami”.

Przyszliśmy pod komitet. Tam już cała ekipa stała na schodach, z Jundziłem i dyrektorem zjednoczenia

² Henryk Jagielski (ur. 1932) był w grudniu 1970 r. członkiem Komitetu Strajkowego Stoczni Gdańskiej. Współpracownik Wolnych Związków Zawodowych, współorganizator strajku w sierpniu 1980 r., członek pierwszego Komitetu Strajkowego. Wiceprzewodniczący Komitetu Założycielskiego NSZZ Solidarność w Stoczni Gdańskiej. Od 13 XII 1981 r. na emigracji w Niemczech, współpracownik Biura Koordynacyjnego Solidarności w Brukseli. (red.)

Skrobotem na czele. I sekretarza nie było – w tym czasie I sekretarzem był Karkoszka – ponieważ odbywało się plenum w Warszawie.

Podeszliśmy pod komitet i pyta się Jundziłł: – Co wy chcecie? Któryś tam odpowiedział: – To śmieszne pytanie. Jakby nie wiedział, co my chcemy. Chcemy powrotu do cen sprzed 12 grudnia. On powiedział wówczas: – Wybierzcie sobie delegatów, komitet i pójdziemy do środka rozmawiać. Więc ja mu odpowiedziałem, że nie pójdziemy rozmawiać, nie będziemy tu na razie nikogo wybierać, bo jak pójdziemy do was, to nas zamkniecie. Zresztą mamy doświadczenie z 1968 roku, jak żeście ze studentami zrobili, i 1956 roku. – To co mam w tej sytuacji robić? – zapytał Jundziłł. Więc ja mówię: – Zradiofonizować tutaj. Będziemy rozmawiać. On powiedział, że nie ma możliwości zradiofonizowania, ale po pewnym momencie złapał się za głowę i mówi: – Dobrze, zaraz coś będzie. Poleciał do środka, za chwilę przychodzi i mówi, że zaraz przyjedzie radiowóz z Miejskiej Rady Narodowej. W tym czasie ludzie stali pod komitetem. Śpiewali takie same pieśni, jak żeśmy śpiewali w Stoczni Gdańskiej. Stało tam również dwóch milicjantów, którzy pilnowali komitetu wojewódzkiego. Ktoś – nie przypominam sobie kto, wszystkich nie znałem – napisał na murze taką czerwoną kredą, jaka jest do trasowania: „Pachołki płatne, pachołki moskiewskie”. Ci milicjanci na to nie zwracali uwagi. Milicjanci stali, a stoczniowcy w ogóle ich nie zaczepiali. Oni na nas uwagi nie zwracali ani my na nich. Mówię to dlatego, że późniejsza prasa pisała, że myśmy milicjantów zaatakowali.

No, ludzie krzyčili: „My chcemy chleba”, śpiewali pieśni. Postulat był taki, by były dane związki zawodowe, bo te, które są, nie zdawały w tym czasie egzaminu. Chociażby z tego względu, że w tym czasie nie było z nami nikogo ze związków zawodowych, a powinien być. Po pewnym czasie przyjechał ten radiowóz i poprosiliśmy towarzysza Jundziłła do radiowozu. On podszedł do tego radiowozu i zaczął przemawiać. Mówił w ten sposób: – Słuchajcie, ja wam tu nic nie mogę obiecać, bo nie jestem kompetentny w tej sprawie, to wam i tak nic nie da, rozejdźcie się do pracy. Po tych słowach któryś go tam z radiowozu wyprosił, myśmy opanowali radiowóz i zaczęliśmy przemawiać. Mówiono między innymi, że Cegielski stoi, Ursus stoi, Nowa Huta stoi, tak że nie jesteśmy sami. Nie pamiętam nazwisk tych, którzy przemawiali, ale przemawiało wielu. Śpiewaliśmy pieśni. To



Komitet Wojewódzki PZPR w Gdańsku, 15 grudnia 1970 r. Materiały SB, zbiory ECS

trwało około 30 minut, może trochę dłużej. Następnie padło hasło, że idziemy z powrotem do Stoczni Gdańskiej, Stoczni Remontowej i Stoczni Północnej, żeby wreszcie tych ludzi wyciągnąć, którzy zostali w Stoczni Gdańskiej.

Bardzo wielu ludzi z miasta dołączyło do nas. Cały ruch był wstrzymany i ci, którzy przechodzili – bo to było w godzinach rannych, gdzieś koło godziny 10 – dołączali do nas, tak że była masa ludzi. Cały ruch był wstrzymany. Milicjantów nie było żadnych, tylko tych dwóch, którzy stali pod komitetem.

Jak myśmy opanowali ten radiowóz, ruszyliśmy do stoczni. Ujechaliśmy jakieś 100 metrów, kierowca mówi: – Słuchajcie, ja z wami nie mogę jechać, bo mnie zamkną. Wyjął kluczyki i poszedł. Myśmy ten radiowóz po prostu pchali. Szliśmy koło Zarządu Portu. Tam ludzie z biur stali w oknach, klaskali nam, brawo bili. Ze Stoczni Remontowej żeśmy zrezygnowali i poszliśmy na Stocznnię Północną. Dochodziliśmy do bramy – bramy

Stoczni Północnej i Remontowej są połączone – gdy podjechała nysa i chcieli bramę zamknąć. Nie zdążyli, przejechaliśmy radiowozem i cały tłum za nami wszedł. Późniejsza prasa napisała, że myśmy tę bramę wyważyli. To jest nieprawda. Część ludzi się rozeszła po wydziałach, żeby powyciągać wszystkich, którzy jeszcze pracują. Byli tacy, co pracowali jeszcze w Stoczni Remontowej. Cała Stocznia Północna się do nas dołączyła i wyszliśmy bramą. Szliśmy ulicą Klinikzną. W szpitalu wszyscy lekarze, wszyscy chorzy, pielęgniarki stali w oknach, też nam bili brawo. Szliśmy w milczeniu. Przeszliśmy na Politechnikę Gdańską – studenci stali w oknach, patrzyli na nas. Po jakimś czasie myśmy zaczęli do nich przemawiać. Przyszedł rektor. Te same słowa do nas powiedział, co powiedział Jundziłł przed komitetem wojewódzkim.

Po kwadransie kilku studentów zeszło na dół, weszło do radiowozu i zaczęło przemawiać. Pierwsze ich słowa były: – Gdzieście byli w 1968 roku? Ale my z wami się solidaryzujemy i wam pomagamy. Jesteśmy z wami. Przemówienie było krótkie i padło takie hasło, że musimy się zebrać o godzinie 19 na politechnice na tym samym dziedzińcu, żeby wybrać Ogólnomiejski Komitet Strajkowy i żeby ustalić, co następnego dnia będziemy robić.

To długo nie trwało, może ze dwadzieścia minut, i poszliśmy pod Polskie Radio, tam jest ze dwieście metrów do Polskiego Radia. Wydelegowaliśmy trzech kolegów, którzy weszli do środka, żeby nadać ogólnopolski program, że Stocznia Gdańska stoi, i nawoływać do ogólnopolskiego strajku. Koledzy – nazwisk ich nie pamiętam – weszli do budynku Polskiego Radia, a my przez megafon w radiowozie przemawialiśmy. Ruch uliczny na alei Zwycięstwa był wstrzymany, bo było bardzo dużo ludzi. Ktoś zawołał, że ogłaszamy demokrację, że jak ktoś ma coś do powiedzenia, to może mówić. Weszła kobieta, która się przedstawiła, że pracowała kiedyś w zakładach komunikacji miejskiej, została zwolniona, że jest w trudnej sytuacji, że była prześladowana przez urząd bezpieczeństwa itd. – Pomóżcie mi, stoczniowcy, bo już tak dalek żyć nie mogę – mówiła.

No i w pewnym momencie okna w radiostacji się otworzyły, ukazało się tych trzech kolegów i mówią: – Słuchajcie, rozmawialiśmy tu z dyrektorem czy kierownikiem tej radiostacji. Niestety nie możemy nadać na ogólnopolski program, bo ta radiostacja tu we Wrzeszczu jest zależna od Chwaszczyna – a oni wyłączyli nam

zasilanie, tak że nie możemy nadać. Myśmy im dali ultimatum, że jak w ciągu piętnastu minut nie załączą, to zdemolujemy radiostację. Zebraliśmy się w radiowozie i doszliśmy do wniosku, że nie ma sensu demolować i żeśmy im odpowiedzieli, że mają wyjść z radiostacji. I oni wyszli po jakimś czasie. Postanowiliśmy iść z powrotem do Gdańska. Pod dom prasy i pod komitet wojewódzki.

Była gdzieś druga godzina, może piętnaście po drugiej, mgła taka była... I wtenczas ludzie z pracy wychodzili i ci odważniejsi to jeszcze dołączyli do nas, tak że było nas coraz więcej. Szliśmy w milczeniu. Ja z radiowozu wyszedłem i szedłem z kolegą Błażejewiczem bodajże i jeszcze dwoma takimi ze stoczni. Przeszliśmy na most i schodząc na Błędnik, zauważyłem około 15 samochodów stojących na wysokości Orbisu i dworca i blokujących drogę. Samochody były wojskowe, otwarte, ale milicja była na tych samochodach. Oddali właśnie pierwsze strzały z armat – nie wiem, jak się to nazywa, bo nigdy w wojsku nie byłem – granatami łzawiącymi. Ten radiowóz, który był na czele, przedarł się przez te samochody milicyjne, część ludzi za nim, część przeszła wokół dworca przez perony, a części nie udało się przedrzeć, bo oni w dalszym ciągu strzelali. Te puszkę było widać w powietrzu, ludzie uniki głowami robili. Podeszliśmy pod dom prasy. Tam ludzie skandowali, że prasa kłamie, że prasa ma prawdę pisać, że prasa ma być z nami. Od Wałów Jagiellońskich uformowała się milicja uzbrojona w takie długie, chyba metrowe pały, w tarcze – bardzo duże te tarcze były; każdy z nich miał kamizelkę ochronną. Zaatakowali nas tam po raz pierwszy. Rzucili się na nas z pałami, z tym że ich głównym celem było zdobycie radiowozu. Nie udało im się. Przyjechaliśmy pod komitet, stało tam nadal bardzo dużo ludzi. Cały ruch był wstrzymany. Tam żeśmy przemawiali. W pewnym momencie znowu nas zaatakowali. Szli takim klinem – może ze 300 milicjantów – chcieli przede wszystkim zdobyć radiowóz. Jednemu milicjantowi się udało – złapał kabel od stacyjki i wyciągnął go. Ale myśmy szybko ponownie uruchomili i radiowóz działał nadal.

To już było starcie między strajkującymi a milicją, taka mała bitwa. Na placu, tam na Hucisku, koło dworca, przy delikatesach – były takie gonitwy. Widziałem, jak padł ranny. Od tej puszkę. Leżał na torach. Poleciałem do przychodni kolejowej – wzięli nosze i zabrali

tego rannego. Chłopaki już byli sprytni. Odrzucali granaty z powrotem w milicję. Atakowała milicja, my też nie byliśmy dłużni, tylko że w mniejszym stopniu niż oni, bo oni mieli hełmy, tarcze, pały.

Trwało tak do 18.15, bo wtedy zgodnie z umową pojechaliśmy pod politechnikę. Przyjechaliśmy według umowy o godzinie 19. Niestety, nie spotkaliśmy żadnego studenta. Dziedziniec był pusty i cała uczelnia też była pusta. Po krótkiej naradzie poszliśmy do domu studenta. Wszystkie akademiki były pozamykane. Tam część przysłała powiedzieć: – Nie możemy wam pomóc, bo rektor zagroził, że jak będziemy brać udział, to nas wszystkich powyrzucają z uczelni. Poszliśmy z powrotem do Gdańska. Tam gonitwa trwała – raz milicjanci, raz strajkujący byli górą. Były pierwsze próby podpalenia komitetu, od strony kościoła. Od strony NOT-u zajął się jeden pokój, ale to zostało ugaszone. Byliśmy tam o godzinie 20 lub 21.

I pamiętam, jak udałem się do stoczni z powrotem, do biura, do dyrektora. Zastałem tam już kilku kolegów, m.in. Nowickiego, Lenarciaka, Wałęsę, Kobylińskiego, Jacewicza. Dosyć dużo, około 30 osób. Wtedy, w grudniu, komitet dosyć był duży, liczył około 60 osób. Wyborów w zasadzie nie było, każdy, kto się zgłosił do dyrektora, uważał się za członka komitetu strajkowego. Nawet przewodniczącego nie było, nie został wybrany. Między innymi dyrektor uważał się za przewodniczącego komitetu strajkowego, nawet Hajduga. W każdym razie przewodniczącego nie było, nie wybieraliśmy go. A na tym zebraniu u dyrektora ustaliliśmy, co następnego dnia będziemy robić. Padło hasło, że musimy uwolnić tych, którzy zostali zamknięci. No, tych kolegów z radiowozu. Milicjanci rzucili im do środka granat łzawiący i oni wyszli. Zostali zamknięci.

Około godziny 11–12 poszedłem do domu. Przespałem całą noc. Rano poszedłem do stoczni. W poniedziałek chodziłem w swoim prywatnym ubraniu, bo nie przystąpiłem do pracy i nie przebrałem się (potem, w czasie przesłuchań, stanowiło to pewien punkt zaczepienia dla mnie, panowie z SB pokazywali mnie bowiem na zdjęciach stale w kombinezonie). We wtorek rano nikt nie przystąpił do pracy. Natomiast w hełmy pobierali się w zasadzie wszyscy, bo padło takie hasło, że wszyscy mają być w hełmach. Przed dyrekcją odbyliśmy krótką, 15–20-minutową masówkę i wyszliśmy ze stoczni.

Pierwszy patrol milicji spotkaliśmy przy szkole. Ze 150–200 milicjantów chciało nas rozbić. To im się nie udało. W milczeniu poszliśmy pod komendę milicji. Część ludzi już została pod KW; komitet wojewódzki w zasadzie już nie istniał. Wszyscy, którzy tam byli, zostali ewakuowani i część dokumentów też chyba została wywieziona. Natomiast była w nim milicja i jednostki KBW. Mnie się wydaje, że wiele innych urzędów zostało w nocy przez milicję obstawionych. No więc część ludzi została pod KW, a część poszła pod komendę miejską po to, aby uwolnić ludzi, którzy zostali zamknięci poprzedniego dnia. Kiedy podeszliśmy pod budynek, otworzyły się okna chyba na drugim piętrze i ukazał się Lech Wałęsa. Ja byłem akurat w tym czasie zajęty czymś innym i ludzie zaczęli w niego rzucać kamieniami, krzyzczeć „zdrajca” czy coś podobnego. Odwracam się, patrzę, że to Lech Wałęsa, podeszedłem bliżej i krzyknąłem: – Nie rzucajcie! Zostawcie! To ten, który dzisiaj przemawiał, żeby uwolnić tych ludzi. Przestali rzucać i Lechu jeszcze raz ukazał się w oknie i mówi: – Słuchajcie, za chwilę wyjdą ci, co wczoraj zostali zamknięci. Ale w tym czasie, kiedy Lechu rozmawiał przez okno, z trzeciego piętra zaczęli rzucać granatami. To były granaty łzawiące. W oknie obok Wałęsy ukazał się major i mówi: – Słuchajcie, ja jestem odpowiedzialny za to piętro, a za trzecie piętro, co się dzieje, nie odpowiadam. Ludzie z powrotem zaczęli rzucać kamieniami. Gdzieś po 15 minutach została otwarta brama tam, gdzie była drogówka. Wyszło tych sześciu. Okrzyki. Wtenczas była pierwsza próba podpalenia właśnie drogówki. W pewnym momencie zaczęła się formować milicja i też weszła w tłum. Dość duży tłum. Trudno mi powiedzieć, ile tam mogło być pod komendą miejską ludzi, ale najmniej 15 tysięcy na pewno było.

Ci milicjanci zostali po prostu rozbiti. Chyba z osiemnastu – o ile sobie przypominam, bo ich tyłu naliczyłem, zaczęło uciekać do Miejskiej Rady Narodowej. W Miejskiej Radzie Narodowej nie otworzono im drzwi, bo była ona już obstawiona przez milicję, przez oficerów milicji. Ci ich nie wpuścili, więc stanęli plecami do tłumy, złapali się za ręce [...] i ludzie zaczęli po prostu okładać ich. Tam któryś krzyknął: – Słuchajcie, to nic nie da, bo oni mają kamizelki ochronne. Wtedy tam były rozkopy, nie wiem, czy rury kładli, czy chodnik nowy, i ludzie złapali za te deski i zaczęli tym bić. Wtedy dosyć dużo tych milicjantów zostało rannych. Stoczniowcy ich

nawet odprowadzali do pogotowia czy tam do szpitala. Nawet podszedłem do jednego, był ranny, tutaj mu krew tak ciekła; i tych dwóch stoczniovców, którzy go odprowadzali, to mówią, że on z nimi rozmawiał, że to nie jest milicjant, że to jest przebrany wojskowy. Ale widać po nim było, że jednak musiał mieć jakieś środki dopingujące, bo on w ogóle się nie odzywał do mnie. Ja się go pytałem, czy na pewno ty jesteś milicjantem, czy wojskowym, on się nic nie odzywał, tylko patrzył na mnie takim zwierzęcym wzrokiem, oczy mu się szkliły.

Helikoptery cały czas krążyły już w tym czasie, we wtorek, i strzelali z tych helikopterów z karabinów, jak również rzucali granaty. W tym czasie został zastrzelony – zapomniałem w tej chwili nazwisko – młody chłopak, 19-letni, stoczniovec, pracownik wydziału W-5 Stoczni Gdańskiej. Ja nie widziałem, tylko słyszałem, jak ten strzał padł. Później stoczniovcy mówili, że został zastrzelony właśnie ten stoczniovec przez jakiegoś kapitana z odległości 2 m. Zaczęła się taka szarpanina, raz oni naciskali, raz my. Zresztą im w tym czasie wiatr sprzyjał. Te granaty, które oni rzucali, próbowaliśmy nawet odrzucać w ich stronę, to i tak cały ten dym siedł na nas, tak że oni byli w lepszej sytuacji. Były różne sposoby. Tramwaj między innymi puścili na milicję pustą. Któryś tam uruchomił tramwaj i puścił.

Te walki trwały tam na tym moście, w okolicy Świerczewskiego, do jedenastej, do dwunastej. Część ludzi, która została przed komitetem, to próbowała w tym czasie podpalić komitet wojewódzki. Ja nie pamiętam, z kim poszedłem zobaczyć, co tam się dzieje przy dworcu i przy komitecie. W tym czasie idzie grupka budowlańców i jeden stoczniovec na czele – szykują się do podpalenia domu związkowego. Ja podchodzę: – Co chcecie zrobić tutaj? – No, chcemy podpalić. Ja mówię: – Słuchajcie, to nie jest związek zawodowy, tylko to jest dom związku zawodowego, a związek zawodowy mieści się w Gdyni. To nie ma celu tutaj podpalać tego domu. Oni posłuchali i nie podpalili tego domu. Przyszliśmy pod komitet wojewódzki – trwały tam próby podpalenia. Widziałem, jak jeden oficer, porucznik z KBW, borykał się z żołnierzami. Ci żołnierze nie chcieli go słuchać, bo – powiedzieli – nas oszukano. Powiedziano nam, że tutaj mamy walczyć z Niemcami, a to są sami robotnicy. On nie mógł nawet zebrać tych żołnierzy, karabiny rzucali do wody.

I komitet już zaczynano podpalać. Po prostu maczano w benzynie, nawet kufajki zdejmowano z siebie, i podpalano ten komitet. W pewnym momencie podleciał helikopter i spuścił drabinę. Dostyc długo stał. Stałem z kolegami i obserwowałem. Chciałem się przekonać, czy tam ktoś jeszcze jest w komitecie. Drabinę spuścił. Nietety już dostyc mocno się komitet palił i nikt nie wszedł na tę drabinę i helikopter nikogo nie zabrał. I odleciał ten helikopter. To gdzieś była godzina 13.

Ja potem podszedłem trochę wyżej, jak jest przychodnia. Podjechały chyba 3 samochody milicji. Wszedł z jednego samochodu – chyba to był dowódca – porucznik jakiś i ktoś go pyta: – Po co pan tu przyjechał? A on mówi, że porządek trzymać. – Jak pan widzi, porządek jest. Jak pan chce, to nawet może się pan ogrzać pod komitetem wojewódzkim, jak panu zimno jest. Porucznik wszedł do samochodu i rzucił granat w ten tłum. Tam stało przynajmniej kilka tysięcy ludzi. Jak rzucił ten granat, tak ludzie rzucili się na te samochody. Zostali ci milicjanci tam po prostu poturbowani, porozbierani. Samochody zostały podpalone. Walki się przeniosły tutaj, na Hucisko.

Strajkujący byli przy komitecie wojewódzkim i przy dworcu, natomiast milicja więcej była ulokowana przy Świerczewskiego. Most, tam przy ulicy Świerczewskiego, raz myśmy zdobywali, raz milicja zdobywała. Tak samo było tu, przy Hucisku. Tak się ganiłi po prostu. No i o godzinie 14, może 13.30 słyszymy warkot czołgów. Właściwie to nie były czołgi, to były transportery. Na całym gazie jechały od strony Wrzeszcza.

„EDWARD”

(relacja z września–grudnia 1981, dostarczona anonimowo do Zarządu Regionu Gdańskiego NSZZ Solidarność)

[...] Poprzez bramę nr 2 pochód ruszył na miasto. Szliśmy całą szerokością jezdni w kierunku głównego dworca kolejowego, powoli, skandując: „My chcemy chleba, my chcemy chleba”... Śpiewano: „Jeszcze Polska nie zginęła”. Niektórzy maszerujący mieli przy sobie czy to kije, czy to jakieś ciężkie narzędzia, na wypadek gdyby nas zaatakowała milicja (były już pewne doświadczenia z wydarzeń w marcu 1968 r.). Cały tłum maszerował pomieszany, robotnicy i pracownicy umysłowi razem.

Większość pracowników umysłowych jeszcze w stoczni pozakładała sobie kufajki. Po przejściu obok Dworca Głównego pochód pociągnął dalej, prosto w kierunku gmachu Komitetu Wojewódzkiego PZPR i zatrzymał się przed nim. Stoczniovcy siadali na hełmach wprost na jezdni. Tu oczekiwano, że w którymś z okien gmachu ukaże się I sekretarz KW Karkoszka. Wszystkie okna były jednak szczelnie zamknięte. Widać było tylko jakieś sylwetki tłoczące się za firankami. Mała grupa stoczniovców próbowała wejść do gmachu. Drzwi były jednak zamknięte.

Po dłuższym skandowaniu przed gmachem przez tłum różnych haseł w rodzaju: „My chcemy chleba”, „Precz z Gomułką” itp. wyszedł jeden z dygnitarzy KW, który zaczął tłumaczyć, że Karkoszka nie wrócił jeszcze z Warszawy, gdzie udał się na plenum KC, i próbował jakoś uspokoić i nakłonić stoczniovców do wrócenia do stoczni i podjęcia pracy. Został on solidnie wygwizdany.

Przed gmach KW podjechała furgonetka „Łączności” z głośnikami na dachu. Stoczniovcy zmusili kierowcę do opuszczenia samochodu i za kierownicę siadł jeden z nich. Ruszono z powrotem w kierunku Stoczni Gdańskiej, mając teraz na czele pochodu radiofonizowaną furgonetkę. Weszliśmy na teren Stoczni Gdańskiej i udaliśmy się na teren sąsiedniej Stoczni Remontowej, przez którą przemaszzerowaliśmy, przechodząc również koło Stoczni Północnej. Do pochodu dołączały coraz to nowe grupy stoczniovców i stawał się on coraz to potężniejszy. W końcu liczył już z pewnością ponad 10 000 stoczniovców. [...]

Następnego dnia – we wtorek – udaliśmy się o zwykłej porze do pracy z myślą o tym, co przyniesie nam ten dzień. Istniała już jednak zgodność co do tego, że i tego dnia pracy nie podejmiemy. Gdy przechodziłem obok budynku dyrekcji, idąc w kierunku swojego wydziału, widziałem już licznie zebranych tam stoczniovców z pierwszej zmiany, a ze wszystkich stron nadciągały dalsze ich grupy. Zajrzałem do siebie na wydział, ale ponieważ było wiadomo, że i tak nie będziemy pracować, powróciłem pod budynek dyrekcji, gdzie tłum stawał się coraz liczniejszy.

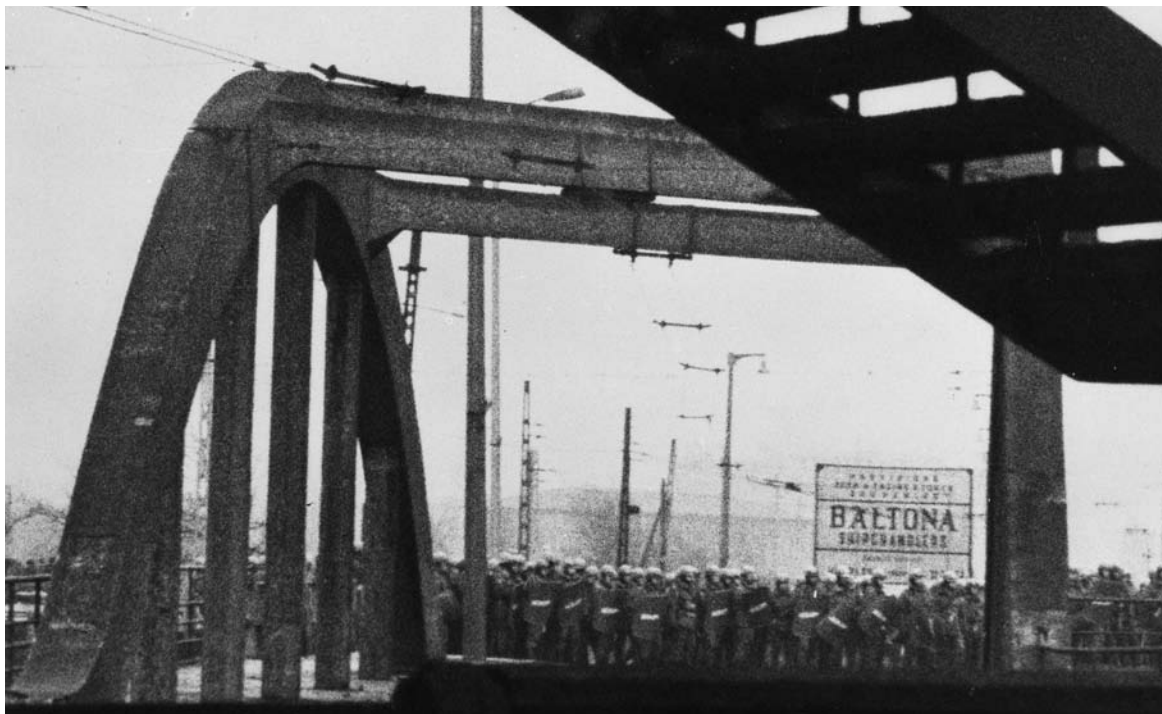
Dyrekcja zamontowała głośniki, w oknie jednego z pokoi dyrektora ustawiono mikrofon. W imieniu dyrekcji występował inż. Hajduga. Głos zabierali również stoczniovcy z różnych wydziałów. Nad naszymi gło-

wami prawie bez przerwy krążył helikopter wojskowy. Dyrekcja dążyła do tego, by nas jakoś uspokoić i nakłonić do powrotu do normalnej pracy, co napotykało na ostre protesty zebranych. Stoczniovcy wypowiadali swoje żale i pretensje, nie mając zamiaru ustąpić. Ponieważ dyrekcja nie wysunęła żadnych konkretnych argumentów, a rada zakładowa nie wykazywała żadnej inicjatywy dla obrony interesów ludzi pracy (jej przewodniczący, Umiński, stał podczas tego wiecu u boku dyrekcji, lecz nie odezwał się ani jednym słowem), postanowiono, że ponownie wyjdziemy na miasto, znów pod KW PZPR. Tym razem jednak wyjście na miasto nie odbyło się bez incydentów. Przed bramą nr 2, którą wychodziliśmy, stała grupa milicjantów i z chwilą gdy czołówka wychodziła przez bramę na miasto, rzucono kilka petard. Cała grupa stoczniovców rzuciła się jednak w pogoń za milicjantami, którzy bardzo szybko nawiali i gdzieś przepadli. W dalszej drodze do gmachu KW PZPR nie było już żadnej interwencji.

Tego dnia na mieście atmosfera była bardziej napięta niż dnia poprzedniego. Stoczniovcy nie prowadzili już walki sami. Pracownicy różnych innych mniejszych zakładów pracy również nie przystąpili do pracy i gromadami w ubraniach roboczych wyszli na miasto, udając się również pod gmach KW PZPR. Zgromadziły się tu niezliczone tłumy. Ponieważ również i tego dnia urzędnicy partyjni szczelnie pozamykali się w swoim gmachu i nie udzielili żadnych rzeczowych wyjaśnień, gniew wśród tłumu zaczął dochodzić do zenitu. Zaczęły padać coraz to bardziej wrogie okrzyki i sprawy potoczyły się nagle w niespodziewanym kierunku.

Na początku odnosiłem wrażenie, jakby to było jakieś narodowe powstanie. Tu i ówdzie powiewały biało-czerwone flagi. Widywało się również opaski biało-czerwone na rękawach licznych robotników. Było jasne, że walka rozpoczęła się na całego i że nie obejdzie się tutaj bez rozlewu krwi.

Od strony ulicy Świerczewskiego padły strzały. Gdy biegłem na tamtą stronę, na samym moście, za którym znajduje się komenda miejska MO i więzienie, toczyła się istna walka wręcz pomiędzy oddziałami milicji a robotnikami. Przed mostem, na placu Hucisko, robotnicy zatrzymywali samochody ciężarowe; kierowca musiał opuścić samochód, a jeden ze strajkujących siadł za kierownicę i kierował samochód na most. Robiono mu



Kordon milicji blokuje drogę do Stoczni im. Komuny Paryskiej w Gdyni, 17 grudnia 1970 r. Materiały SB, zbiory ECS

miejsce, podjeżdżał blisko oddziałów milicji, rozpędzał wóz, wyskakiwał z szoferki, a sama ciężarówka pędziła dalej. W ten sam sposób robiono z tramwajami. Po jakimś czasie szturmowano na komendę i więzienie. W gmachu komendy ukazał się ogień, który jednak MO szybko zlokalizowała. W tym czasie nie wpuszczano już żadnych pociągów do Gdańska i słyszeliśmy, że również i drogi wokół miasta były przez MO zablokowane.

Zauważyłem duże płomienie na gmachu KW PZPR. Został on podpalony przez rozgniewany tłum. Urzędnicy puciekali na dach, skąd zostali ewakuowani helikopterm. Gmach palił się do późnych godzin wieczornych. Do podpalenia użyto m.in. pasty do podłogi zabranej z pobliskiego sklepu, z którego obsługa puciekała. Paliło się również w hali Dworca Głównego.

Na ulicy Rajskiej okradzione zostały doszczętnie wszystkie sklepy.

Słyszano się coraz więcej strzałów. Kilka helikopterów krążyło nad miastem. Ulice w tym rejonie miasta wyglądały jak po wielkiej bitwie. Pozrywane były barierki przy torach tramwajowych. Ukazało się kilka lekkich wojskowych wozów gaśnicowych. Niedaleko dworca

załoga takiego wozu uciekła. Do wozu siedli młodzi stoczniowcy i udali się w kierunku stoczni. Niedaleko stoczni wjechali na słup elektryczny. Nie umiejąc cofnąć, po prostu przewrócili słup.

Gdy w późnych godzinach popołudniowych wracaliśmy do stoczni, można było u niektórych powracających zauważyć broń (pistolety). Byli i tacy, którzy wracali z łupem dokonanych kradzieży w różnych sklepach. Wśród stoczniowców byli oni jednak nieliczni.

W środę cała stocznia obstawiona została czołgami. Wchodzimy jednak jak zwykle, niezaczepiani przez nikogo. Atmosfera jednak po wydarzeniach z dnia poprzedniego staje się coraz to bardziej napięta: była przecież walka, były strzały, są ranni, podobno i zabici. Wszyscy, podobnie jak w dwa poprzednie dni, gromadzimy się przed dyrekcją, znowu dochodzi do tego, że ruszamy w kierunku miasta. Gdy czołówka dochodzi do bramy, padają strzały – to oficerowie wojska strzelają do robotników. Są zabici stoczniowcy. Nie wychodzimy na miasto, lecz wracamy pod dyrekcję. Sytuacja jest bardzo poważna. Ogłoszony zostaje strajk okupacyjny stoczni. Wybrany zostaje komitet strajkowy. Wraca-

my na swoje wydziały. Zostają wyznaczone dyżury dla zabezpieczenia całego zakładu. Może dojść do aktów prowokacyjnych. Należy za wszelką cenę do tego nie dopuścić. Przerwano nam łączność telefoniczną z miastem. Radiowozy milicji ogłaszają przez megafony komunikaty komendy MO, abyśmy opuszczali stocznnię, że nic nam nie grozi. Nie wychodzimy. Wychodzą jedynie kobiety i nieliczni mężczyźni.

Dowiadujemy się wieczorem, że przed kamerami telewizyjnymi wystąpił były I sekretarz KW PZPR w Gdańsku, a obecny wicepremier Stanisław Kociołek. Nazwał nas „warchołami”, „wichrzycielami” itp. Nawoływał również do podjęcia pracy następnego dnia.

Nocujemy w stoczni. Następnego dnia (czwartek) również odbył się z rana wiec pod dyktando. Później dochodzi nas wiadomość, że rano doszło do masakry na przystanku kolejki elektrycznej Gdynia-Stocznia. Do udających się w kierunku stoczni stoczniovców milicja otworzyła ogień, są zabici i wielu rannych. Zza murów stoczni słychać co pewien czas nawoływanie milicji, byśmy opuścili stocznnię i udali się do domów. Nadal trwamy na swoich stanowiskach. Sporadyczne są wypadki, by ktoś decydował się na opuszczenie stoczni. Rozpoczynamy drugą noc w stoczni. Brak jest żywności. Dzielimy się tym, co mamy.

Gdzieś około godziny 2 w nocy zaczyna się coś dziać. Dochodzą do nas wieści, że wojsko ma wejść na teren stoczni i się z nami rozprawić. Komitet strajkowy obradował prawie bez przerwy. Około godziny 4 nad ranem kierownik wydziału Tyska przeszedł kolejno wszystkie pomieszczenia naszego biura i powiedział nam, że sytuacja jest bardzo poważna, ponieważ władze postawiły ostateczne ultimatum, iż mamy do godziny 5 rano wszyscy opuścić teren stoczni, gdyż w przeciwnym razie wojsko wejdzie na teren stoczni przy zastosowaniu siły. Wówczas może nastąpić wielka tragedia, może również dojść do zbombardowania stoczni, i że on osobiście wierzy w to, iż może stać się najgorsze. Poza tym oznajmił nam, że Zjednoczenie Przemysłu Okrętowego jako takie zostało rozwiązane i w tej chwili nie jesteśmy już pracownikami stoczni. Radził nam, abyśmy byli rozsądni i dali się przekonać, że to, co powinniśmy obecnie zrobić, to powrócić do domów.

Wkrótce potem przez radiowęzeł podano komunikat komitetu strajkowego, że podjęto decyzję zakończenia strajku okupacyjnego i że mamy opuścić stocznnię.

Z mieszanymi uczuciami zaczęliśmy wychodzić. Nie było wolno wychodzić więcej niż trzem osobom razem. Stocznia była nadal obstawiona. Na drodze nie napotkaliśmy na żadne patrole milicyjne. Do domu stoczniovców doszedłem na piechotę (20 minut drogi). Niedaleko od niego zostałem zagadnięty przez dyżurnych lekarzy i pielęgniarki z pobliskiego pogotowia ratunkowego. Zabrali mnie do środka. Poczęstowali gorącą herbatą i musiałem im opowiedzieć o tym, jak to było w stoczni przez te dwa dni i dwie noce. Ich sympatie były wyraźne po stronie stoczniovców. Uznali nasze postępowanie za słuszne.

W mieście ogłoszono godzinę policyjną. Czekałymi, co będzie dalej. W piątek i sobotę nie byliśmy w pracy. W sobotę wieczorem w dzienniku telewizyjnym dowiedzieliśmy się o zmianach w centralnych władzach. Odczuwaliśmy pewne zadowolenie, że to wszystko, co w ostatnim tygodniu przeżyliśmy, nie poszło na marne.

HENRYK PIETURKO student Politechniki Gdańskiej (relacja z czerwca 1981)

W poniedziałek, było wczesne popołudnie, godzina gdzieś pierwsza, druga, wracaliśmy z zajęć. Na ulicy Grunwaldzkiej szedł pochód robotników ze stoczni z chorągiewkami, którzy wykrzykiwali: „Precz z czerwoną burżuazją”, „Precz z Gomułką” i szli w kierunku politechniki. Byłem zaszokowany, że słyszałem wtedy, w tamtych czasach – takie okrzyki. Nie spodziewając się, że to jest coś większego, poszedłem na obiad, ale szybko po obiedzie wróciłem na politechnikę. Oni już się akurat rozchodzili. Nie widziałem tego zdarzenia pod politechniką, ale od kolegów się dowiedziałem, jak to było. Weszli na teren dziedzińca, stanęli pod gmachem, dookoła tego klombu z różami (one wtedy były ostłonięte), żeby nie zniszczyć, i tam właśnie nawoływali studentów, żeby wieczorem przyszedli pod komitet wojewódzki, ponieważ tam odbędzie się manifestacja. Tam też zatrzymano delegację ze stoczni; zatrzymano delegację – o to chodziło. Przed politechniką wyszedł wtedy rektor Staliński, sprzeciwił się temu, nawoływał, żeby ludzie nie szli. Podobno wyrwano mu mikrofon i stwierdzono: – Wyście przyszedli w marcu do nas prosić o pomoc, myśmy powiedzieli: „studenci do nauki”. Ale porzućmy teraz wszelkie waśnie, pójdźmy teraz razem.

Poszedłem pod komitet wojewódzki. Było mnóstwo ludzi. W środku, w tłumie, stała chyba nyska (albo żuk) zmegafonizowana, chyba milicyjna, opanowana przez ludzi. I przez te megafony właśnie były nawoływania. Tam występowali różni ludzie – kobiety, mężczyźni, kto chciał, podchodził i mówił swoje. Mówiono o krwawym reżimie, o terrorze, o tym, żeby w końcu zerwać z tą bandą, żeby zrobić prawdziwy socjalizm, żeby było nam lepiej.

Było już ciemno, godzina 18–19. Z boku, spod hotelu Monopol wyjechały gaziki milicyjne z takimi jakby parawanami z drutu kolczastego z przodu. Widziałem takie na amerykańskim filmie *Chłodnym okiem*. Jechały w kolumnie, bardzo dużo ich było. Zamykały dojeżdżenie od strony dworca oraz domu prasy. Przez megafony oficer milicji wezwał ludzi do rozejścia się, ponieważ – jeżeli się nie rozejdziemy – zostanie użyta siła. No więc oczywiście gwizdy, obrzucanie wyzwiskami tych milicjantów. Po paru minutach on znowu zaapelował, z tym że już powiedział bardzo ostro: – Proszę się rozejść. Prosimy kobiety i dzieci o wyjście, ponieważ zostanie użyta siła.

Tłum zaczął falować, ruszać się. No i po paru minutach nastąpił atak. Pierwszy atak, właśnie ze strony milicji. Polecały jakieś rakiety, samochody zaczęły przeć w stronę tłumy. No i wtedy tłum zaczął się rozpierzchać na różne strony, samochody zostały zepchnięte z powrotem w kierunku parkingu. Nie wiem, co było z drugiej strony – od strony domu prasy, bo ja się znalazłem pod dworcem. Tam milicja robiła już drugą szarżę. Pamiętam tylko nyskę, która rozpędzona wjechała w tłum, przewróciła parę osób i wycofała się. Wtedy ludzie podskoczyli – tam jest koło dworca postój taksówek, stało parę, kazano kierowcom otwierać baki, zaczęto ściągać z nich benzynę, tak samo z samochodów ciężarowych – jakieś butelki, pojemniki... I tłum zaczął rzucać kamieniami w stronę komitetu wojewódzkiego, skąd właśnie były te zmasowane ataki milicji w stronę tłumy na dworcu. Było to falowe. Raz tłum podchodził pod komitet wojewódzki i szła kanonada kamieni i butelek w stronę okien, następnie był atak milicji i tłum cofał się pod dworzec. To trwało godzinę, może półtorej godziny. Następnie od strony Błędnika ukazał się oddział potężnych drabów ubranych w jakieś mundury na pół wojskowe – nie pamiętam jakie, było ciemno – takich drągali z potężnymi pałami. Pamiętam ich kaski. Były takie jak wojenne, jak wojskowe, kaski z siatką.

I pamiętam takie potężne, długie pały, to pamiętam. I że nie były to mundury typowo policyjne, szare. To były jakieś takie zielonkawe; być może moja relacja nie jest wierna, ale tak to widziałem. Oczywiście ogólne zdenerwowanie, ludzie zaczęli uciekać w kierunku dworca, na perony i – przynajmniej dla mnie – ta akcja zakończyła się, jak zobaczyłem, że to wszystko zaczyna się już rozpadać. Z Błędnika zaczęto nas zamykać – bo od Błędnika szli i od komitetu szli. Wiara zaczęła uciekać na wszelkie możliwe strony. Ja wtedy wpadłem do kolejki. Oni zaczęli wbiegać na peron, kolejka ruszyła i znalazłem się w akademiku. No i wtedy było to przemówienie Kociołka.

Pokazywano w telewizji, jak to chuligani kradną na Rajskiej w delikatesach, jak to wszystko jest rozbijane, że straży pożarnej nie dopuszczają – takie różne historie, wyzywanie społeczeństwa od kontrrewolucjonistów, anarchistów, od chuliganów.

Następnego dnia, we wtorek, mieliśmy wykłady. Przerwano nam w południe. Studenci zebrali się przed gmachem politechniki, ponieważ stwierdziliśmy, że teren politechniki jest terenem autonomicznym i tam milicja nie wejdzie. Zaczęto właśnie wzywać rektora do zajęcia stanowiska, do wyjaśnienia sytuacji, kiedy zaczęły krążyć nad politechniką helikoptery. Rektor wyszedł i zaklinał się na Pana Boga, na własne dzieci, żebyśmy się rozeszli, że przerywa zajęcia, że nie potrzeba więcej krwi polskiej, że dostał meldunek, że jeżeli się za kilka minut nie rozejdziemy, to politechnika zostanie zaatakowana. Usłuchaliśmy tego wezwania i wyszliśmy za bramę. Oczywiście wszyscy się skierowali w stronę Gdańska i piechotą szliśmy do dworca.

Przedtem widzieliśmy, jak Grunwaldzką jechały transportery opancerzone, czołgi... W nocy z poniedziałku na wtorek nie spaliśmy, słuchaliśmy radia. W radiu nic nie było. Wolna Europa nic nie wiedziała, natomiast BBC już podawało wypowiedzi swoich korespondentów w Polsce, ale też fragmentarycznie. Od godziny 2 zaczęły jechać czołgi. Ulicą Karola Marksa w odstępach parometryrowych jechały czołgi. To samo na Grunwaldzkiej. Widać to było z okien. To był jeden nieprzerwany, ciągły ryk. Te czołgi jechały, jechały, jechały... W stronę Gdańska. Całą noc.

Kiedy poszliśmy w stronę dworca, widziałem parę samochodów, takich trochę potłuczonych, stojących z boku. Jak mi mówiono, to ludzie zastawiali drogę trans-

porterom i czołgom własnymi samochodami oraz służbowymi, jak nyska i star. Oczywiście zostały roztrącone i czołgi jechały dalej. Na piechotę dostaliśmy się na Błędnik i stamtąd już zobaczyłem dym, zobaczyłem, że chyba trzy transportery palą się przed dworcem. Niesamowita sprawa: gaz w powietrzu, z góry helikoptery, zataczając takie niskie kręgi, rzucały petardy, słyszałem strzały gdzieś z kierunku komitetu, a może z Huciska, a może bardziej na prawo – z komendy. Z tego co pamiętam z tego dnia, to wózki akumulatorowe ze stoczni załadowane kostkami bazaltowymi chyba z jezdni, nie wiem skąd.

Podbiegła do mnie dziewczyna z pistoletem – to był P-64 – w kombinezonie takim stoczniowym, wcisnęła mi ten pistolet do ręki i mówi: – Chodź z nami! Nie wiem, dlaczego zapytałem: – Czy masz naboje? Nie wiem, skąd mi się to wzięło. Ona powiedziała: – Nie mam. Mówię: – No to co dalej? No więc zabrała mi ten pistolet i pobiegła dalej. I krzyczała: – Chodźcie, bracia, z nami, damy tym skurwysynom wycisk.

Pamiętam, przed kościółkiem św. Elżbiety, tym koło komitetu wojewódzkiego, tam jest takie drzewo. I na tym drzewie wisił potężny kawał mięsa. Z początku myślałem, że to człowiek, ale to była ćwiartka ciela czy świni. Nie wiem, dlaczego takie surowe, krwawe mięso wisało nabite na gałąź. To mi się strasznie wbiło w pamięć, ten gaz, to wszystko, ten krzyk.

W każdym razie dowiedziałem się wtedy, że są już ofiary, ludzie są postrzelani, widziałem na drutach linii tramwajowych kawałki mundurów milicyjnych. Pobiegłem w stronę Huciska, koło komitetu, ale tam było strzelanie, tłum się cofał, ja z nim. Z Błędnika maszerowała zbity kolumna milicji. Uformowana, w szyku. Dowodził jakiś major, niski, krępy facet. Tłumu nie zaczęli. Wszyscy patrzyli, a oni szli krokiem marszowym w stronę komitetu wojewódzkiego. Ludzie wykrzykiwali do nich: „Kaci! Mordercy!”. Oni się nie odzywali, szli zwartym szykiem. Pobiegłem jeszcze raz – nie koło komitetu, tylko tą drugą ulicą do góry, tam w stronę wiaduktu, ale nie zdążyłem dobiec, ponieważ milicja atakowała, strzelając z raketnic czy pistoletów. Cofnąłem się na dworzec. Był smród, pełno dymu, szaro. I teraz taki moment: goni nas milicja w tych kaskach, z tymi dużymi pałami. Pamiętam moment, że uciekamy, a oni są tuż za nami. Uciekała również taka kobieta w futerku, lat trzydzieści parę. Pamiętam, jak ją milicjant uderzył. Nie

z góry – co jest normalne, gdy się kogoś goni – tylko takim perfidnym ruchem od dołu, w nerki. Ją tak wygięto do przodu i oglądając się, krzyknęła: – Uwważaj! Wtedy odruchowo się skuliłem, oglądnałem się do tyłu i – tego nie zapomnę – zobaczyłem taką twarz, taką złą twarz, jaką się w snach widzi, i pałę, którą widziałem nad sobą. To było odruchowe – jestem dosyć dobrze zbudowany – tyle ile miałem sił, tyle włożyłem i strzeliłem tego milicjanta łokciem i ręką tak, że się wyrzucił. Wyrzucił się i wtedy – znowu nie zapomnę – starsza pani, jakieś sześćdziesiąt parę lat, dla mnie staruszka, babcia, podleciała z kamieniem i tego milicjanta zaczęła tym kamieniem w głowę bić. Nie wiem, skąd wzięła kamień. Na głowie miała chustkę, ubrana w jesionkę, nie żadne futro. Uderzyła go w głowę parę razy. Nie wiem, co było dalej. Po prostu zwierzęcy strach, uciekałem.

Więcej we wtorek już tam nie przychodziłem, chociaż tam długo to trwało. W środę już czołgi obstawiły politechnikę. Tuż koło naszego akademika była poczta, w „szesnastce”, w pobliżu też stał czołg. Czołgi porostawiane zresztą były przy wszystkich urzędach, bankach, pocztach. Siedzieli w nich żołnierze, bardzo spokojni zresztą, nieagresywni. Bardzo mi było głupio, bo sam byłem świadkiem, jak do takiego żołnierza podszedł staruszek z laseczką i powiedział: – Synu, ty do mnie strzelasz, ja mógłbym być twoim ojcem – i płakał. I ten żołnierz też płakał. Siedział umorusany w tym hełmofonie i obydwaj sobie płakali.

Już było po zajęciach. Poszliśmy do miasta z trzema kolegami popatrzeć. Zbliżaliśmy się do ulicy Świerczewskiego, gdy podszedł do nas milicjant, zatrzymał nas i poprosił o dowody. Nie miałem dowodu, miałem legitymację studencką, dałem mu ją. Schował i mówi: – Proszę ze mną. Poszliśmy na komendę na Świerczewskiego. Bardzo grzecznie szliśmy po ulicy. Kiedy doszliśmy, otworzył drzwi i puścił mnie jak dzentelmen pierwszego. I wtedy po prostu nie wiedziałem, co się ze mną dzieje. Latałem. Ja tam ważę swoje osiemdziesiąt parę kilo, ale miałem wrażenie, że latam w powietrzu. Odbijałem się od kogoś, ktoś mnie bił, popychał w jedną stronę, dostawałem uderzenie z drugiej strony i tak latałem. W końcu wpadłem do pomieszczenia na lewo. Do takiej dużej sali, gdzie była podłoga taka rapowana, a może nadpalona, bo był smród spalenizny. Ściany też takie pobrudzone, szare i kraty na oknach. I tam wleciałem, zostałem wepchnięty. Nawet bólu nie czułem,

bo w tych momentach to się bólu nie czuje, wiem tylko, że oberwałem kilkanaście razy zdrowo. Wpadłem tam i włosy mi się trochę zjeżyły. Potężna sala i klęczący ludzie, jak na filmach z drugiej wojny światowej. Wszyscy klęczeli. Mnie też pchnięto na twarz – padłem na kolana. Klęczałem. Byłem tak na 1/3 sali. Za mną jeszcze wpadali ludzie. I pamiętam, było trzech „dżentelmenów” w cywilnych strojach i oficerkach, w skórzanych kurtkach. Przechadzali się wśród tych klęczących osób – i bili. Pałami. Taka pałka przywiązana do ręki, żeby nie wypadła. Miałem głowę spuszczoną, widziałem te buty, te buty, które tak szły, zatrzymywały się i to kończyło się wrzaskiem – i marzyłem, modliłem się, żeby te buty do mnie nie doszły i nie zatrzymały się. Obok mnie klęczał starszy mężczyzna, w wieku mego ojca, siwa głowa. Przechodzący koło niego cywil uderzył go w głowę od tyłu, w potylicę, pałką z całej siły. I pamiętam, że ten mężczyzna nie krzyczał, tylko wydał z siebie taki szloch głęboki, taki jak kaszel, coś takiego. Pamiętam, jak popłynęły mu łzy z oczu, takie bezgłośnie. Dla mnie to straszny widok, jak mężczyzna płacze. On płakał, a był w wieku mego ojca. Z prawej strony klęczał chłopak, blondyn, chyba ze wsi, taki zdrowy chłopak. Cywil podszedł do niego: – Ty ze stoczni? – Tak. – Aha. No i zaczął go katować. W głowę, w plecy, w głowę, w plecy. Chłopak zaczął wyć. Pytania właśnie tego typu: – Gdzie byłeś, skurwysynu, wczoraj? Zachciało się wam? – rozlegały się z różnych stron sali. Ja odczuwałem zwierzęcy strach. Nie uwierzę, że można być bohaterem w takich chwilach. A gdybym miał być katem, to nigdy bym nie bił człowieka, którego chcę zniszczyć. Nigdy. Tylko bym bił tego obok niego. Bo to, że on mnie uderzył, to ja tego nie czułem, ale kiedy się koło człowieka katuje drugiego człowieka, potęguje to w człowieku taki potworny strach... Gdyby mi kazano chodzić po suficie, to bym chodził. Nie dlatego, że się bałem, że mnie będą bić. Tylko widziałem, jak się zachowują ludzie, gdy są bici, ten odgłos bicia i to, co później się z człowieka wydobywa.

No, ale buty zatrzymały się koło mnie, niestety. Złapał mnie za włosy, podciągnął do góry. Nie wiem, dostałem wtedy raz w twarz pięścią. Upadłem, ale z powrotem mnie podniósł za włosy. I w tym momencie zdarzył się cud boski. Podszedł ten gliniarz, który mnie doprowadził. Dał temu cywilowi moją legitymację. I wtedy zauważyłem, że ten facet nie wie, co ma ze mną zrobić. Nie wiem, podobno były zalecenia, żeby

studentów nie ruszać. Tak słyszałem później. W każdym razie zdziwiłem się, dlaczego on mnie dalej nie katuje. Patrzył na mnie, patrzył na legitymację, oglądał ją, patrzył na mnie. Nie wiedziałem, co to znaczy. On mnie wtedy złapał jeszcze raz za włosy, tak z nienawiścią, tak sobie przyciągnął moją głowę, powiedział do mnie: – A wy co? – dał mi w twarz. I wtedy, nie wiem, czy on miał nożyczki w ręku, czy nóż, w każdym razie coś mi z tymi włosami robił. W każdym razie wyciął tę część włosów, którą trzymał w ręku. Skórę mi zadrapał, ale więcej czułem, jak mi ściska włosy, niż to, co z nimi robi. Potem mi głowę do ziemi pchnął, tak że uderzyłem głową o ziemię, i mówi: – Całuj ty, skurwysynu, tę świętą ziemię i zabierz te włosy. Chciałem włosy schować do kieszeni, ale usłyszałem: – Ustami synu, ustami. No i posprzątałem po sobie. Kopnął mnie, dał mi legitymację i powiedział: – Spierdaj stąd. Kopnął mnie jeszcze raz. Ten drugi milicjant popchnął mnie w drzwi i wyszedłem na ulicę z tymi włosami w buzi.

Na przystanku przed skrzyżowaniem stali koledzy. Dopadli do mnie. Ja szedłem i płakałem. Zobaczyli mnie. Nic nie mówili, tylko wrzucili mnie do tramwaju – jechała „trzynastka” – i dojechaliśmy na Hibnera do fryzjera. Fryzjer mnie posadził, a ja cały czas płakałem. Chociaż ja nigdy nie płacę, wtedy płakałem. Chyba nie z bólu, tylko z wściekłości, bo nigdy w życiu nikt mnie tak nie poniżył. Siedziałem i płakałem, a on mnie strzygł. Pamiętam tylko, że starałem się opanować – nigdy sobie nie pozwalałem na płacz – patrzyłem się w lustro i nie mogłem – szloch jakiś taki suchy wychodził. Ten fryzjer długo nic nie mówił, strzygł mnie, potem powiedział: – Nie płacz, ja tu miałem przed chwilą bardzo pobitego i też go strzygłem. Później jakoś się uspokoiłem, już poszedłem do akademika. Zamknęli mnie w pokoju i siedziałem. Później chyba minął dzień czy dwa, trzeba było zrobić wykaz, gdzie kto jedzie.

Władze uczelniane załatwiły, że w czasie godziny policyjnej nas wywożono z zabezpieczeniem milicji do pociągów i wysyłano do domów. No bo święteczną przerwę wprowadzono wcześniej. Podwieszono nas pod ten warszawski ekspres (odchodzący chyba o godziny 17) na peron dworca w Gdańsku. Pociąg podjechał. Na peronie stała warszawa i przechadzało się trzech takich w kufajach, z pistoletami, pałami i z takimi pistoletami do raketnicy; ręce założone z tyłu – dobra szkoła. I było straszne milczenie. Ekspres do Warszawy, mnóstwo lu-

dzi, wszystkie okna pootwierane i milczący tłum w tym pociągu. Myśmy też weszli do tego pociągu i było milczenie. Drzwi się zamknęły, pociąg zaczął ruszać i wtedy kilka tysięcy ludzi zaczęło wykrzykiwać swoją nienawiść. Krzyk ludzki: „Karać morderców! Skurwysyny!”. Kobiety, mężczyźni – jeden wielki krzyk. A oni stali i uśmiechali się do tego pociągu. No i pociąg odjechał. Biletów nie sprawdzano.

Dojechaliśmy do Warszawy, a ja dalej chyba byłem zaszokowany, bo wszedłem do tunelu i tak jakoś odruchowo pomyślałem – dlaczego tu nie ma gazu. Tak byłem tym gazem... tak już podświadomie, tak inaczej się wtedy oddycha, jakoś tak bardziej ostrożnie. Tam świeże powietrze. Siedzieliśmy i czekaliśmy na pociąg do Lublina. W poczekalni był pijany, milicjanci interweniowali, to mnie musieli trzymać, bo chciałem podleciec i zabijać ich.

Przyjechałem do domu, mama mnie zobaczyła i zemdlała w drzwiach. Podobno strasznie wyglądałem, jakiś taki dziki. Jąkałem się strasznie długo i w ogóle nie mogłem z ludźmi rozmawiać. Całe święta przesiedziałem w domu, nikogo nie przyjmowałem, chociaż chętnych słuchaczy było dużo. Ja po prostu nie mogłem mówić, bo wpadałem w jakiś taki szal. Jeszcze teraz, jak się zdenerwuję, to się jąkam. Wtedy się strasznie jąkałem. Przeszło. [...]

EDWARD NOWICKI

(relacja z maja 1981)

[...] We wtorek rano przyszlismy do pracy. Wszyscy pamiętali, co się działo w poniedziałek i chcieliśmy się odgrzyźć, odwdziżyć za to wszystko. Po przybyciu do pracy na godzinę 6 z miejsca ubraliśmy się w nasze stoczniove ubiory, hełmy, rękawice. Wymarsz na miasto. Byłem w grupie liczącej ok. 800–900 osób. Około godziny 6.20 byliśmy pod KM MO na Świerczewskiego. Tam żeśmy zlikwidowali wszystkie opory. Ja wszedłem tylko na korytarz, dalej nie wchodziłem, ale koledzy weszli do środka, podpalili tam, krzesła wyrzucili w kierunku więzienia, na ten plac garażowy. Milicja uciekała na ten plac garażowy, nawet tam za nimi rzucali, z tych dachów ich pospędzali. To widziałem na własne oczy. Następnie przybyła grupa 25–30 milicjantów z kierunku Okopowej, na odsiecz pod prezydium. Również żeśmy ich otoczyli, przydusili do murów. Tam siedmiu czy

ośmiu leżało. W tym momencie usłyszałem – była gdzieś godzina 8.30 – jak obok mnie młody chłopak ze stolarni dostał strzał w szyję. Uważałem, że ten strzał był z prezydium. Drugi strzał – drugi kolega dostał w nogę. Mieliliśmy, gdy trzeci strzał padnie, odbierać broń i do środka, do tego gmachu. Odbierać broń tej milicji, tej przyduszonej, około 30-osobowej grupie. Ale już więcej strzałów nie było.

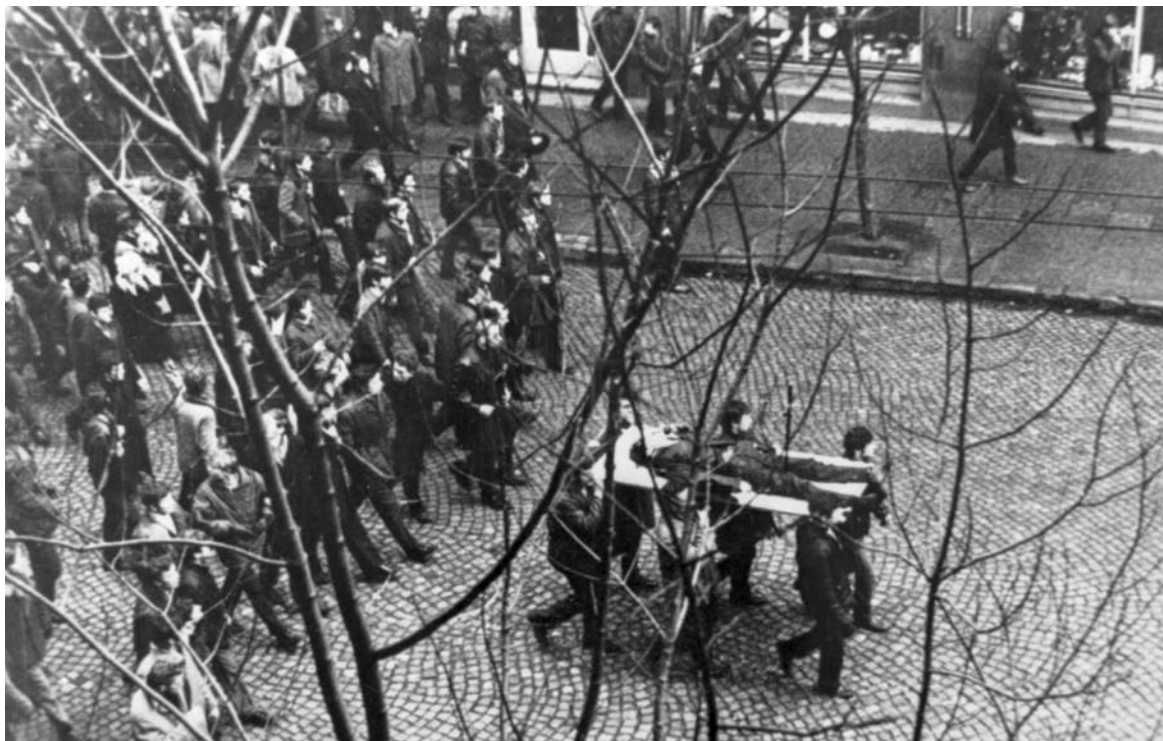
Około godziny 9 czy 10 wycofaliśmy się i weszliśmy w tłum pod komitetem wojewódzkim. Budynek już płonął. Był jeszcze ratunek z helikoptera – wyciąganie. Widziałem również te dwa, trzy wozy milicyjne, które przyjechały na odsiecz z kierunku Wrzeszcza. Dwa wozy prawdopodobnie pobłądziły i przyjechały pod pocztę. Te wozy przewrócono i podpalono.

Następnie, gdzieś około godziny 12, przyjechały czołgi z Wrzeszcza. Syn jednego z dobrze mi znanych pracowników z P-1 był w tym czołgu, który podjechał pod stocznnię.

Na mieście byłem do godziny 14, starałem się, żeby na godzinę 14 być z niektórymi kolegami na zakładzie. Było zalecenie Zjednoczenia Przemysłu Okrętowego, żeby załoga nie wychodziła na miasto, żeby powołać jeden organ, wybrać delegatów. Na oddziale silnikowym ja zostałem wybrany jako delegat. Wybory były jawne. Podanych było czterech czy pięciu kandydatów i na jednego z nich wolno było głosować. Ja byłem drugi czy trzeci, zobaczono mnie i od razu – Nowicki. Na tamtych poprzednich jeszcze nie głosowano, a już wybrano mnie. No i w związku z tym od godziny 14 byłem na sali BHP. Razem było tam nas około 50 w tym komitecie strajkowym. Z tym że dyrekcja czy partia tak nie wysławiała się, bo raziło ich to słowo „strajk”. No i myśmy siedzieli dzień i noc w tym komitecie.

W pierwszej fazie rozpatrywaliśmy, ilu jest zabitych i rannych. Ustaliliśmy, że mamy pięciu zabitych i 42 rannych. Osobiście widziałem tych dwóch, o których mówiłem (jeden zabity strzałem w szyję, drugi ranny w nogę), widziałem też tego rozjechanego przy dworcu przez czołg – to też był stoczniovec. Od razu na tym posiedzeniu komitetu żeśmy ustalili, że uważamy to za wypadki przy pracy i w związku z tym należy czynić wszystkie starania celem odszkodowania i renty.

Następną sprawą były stołówki. Miały przygotowywać zupy, bo ogłosiliśmy strajk okupacyjny. Postanowiliśmy, że ten strajk trwać będzie tydzień, za ten czas



Zbyszek Godlewski, zastrzelony podczas zjść ulicznych w Gdyni 17 grudnia 1970 r. Fot. Edmund Pepliński, zbiory ECS

žadamy zapłaty średniej z trzech miesięcy. Gdyby warunek wypłacenia nie został spełniony – nie przystępujemy do pracy. Postawiliśmy również żądanie ustąpienia Gomułki, Cyrankiewicza i zmian w Komitecie Centralnym. Postulatów były tysiące, bo przy wyborach delegatów na wydziałach spisywano je, tak że każdy delegat, idąc na to posiedzenie, miał postulaty tej grupy, co go wybrała. I ta pierwsza grupa postulatów doszła do Kociołka i znikła. Ludzie żartowali, że Kociołek latał helikopterem i rzucał je na płonący komitet wojewódzki.

W środę nie zdążyłem dojść do stoczni. Słyszałem strzały, ale jak przyszedłem, to już było po strzelaniu.

W następny poniedziałek, po tygodniu, przystąpiono do pracy. Jeszcze żeśmy wypisywali nowe przepustki, bo stare nie były honorowane, nowe przepustki dla oczyszczenia załogi z pewnych elementów. Na niedzielę żeśmy mieli już gotowe, każdy delegat brał je na swój wydział, po dwóch–trzech wychodziliśmy na miasto i żeśmy w niedzielę roznosili, tak żeby przystąpić w poniedziałek do pracy. Wydział miał decydować, komu wydać przepustkę, komu nie. U mnie był tylko jeden

przypadek, że jednemu nie wydano, ale on już był przewidziany do zwolnienia odnośnie dyscypliny pracy. Nie wiem, jak to przebiegało na innych wydziałach, ale w większości częściej ratowali i wypisywali przepustki dla wszystkich pracowników. Zauważyłem później, że grupa ludzi, w większości młodzieży, została zwolniona. Byli czasowo zameldowani i nie przedłużono im pobytu. Trudno mi powiedzieć, ilu ich było, ale tak w granicach 500–700 osób.

Po wypłaceniu nam pieniędzy przystąpiliśmy do pracy. Była to praca na wolnych obrotach, 30 proc. w porównaniu do normalnego tempa. Załoga dokonywała wyborów w radach wydziałowych związku. Przewodniczącym rady wydziałowej S-5 wybrano mnie. Ogólnie w stoczni wyborów takich na wydziałach było około 15–16.

Praca była na wolnych obrotach, bo załoga miała pewne pretensje w dalszym ciągu do związku, jak i do Komitetu Centralnego, pewne niezadowolenie o niezrealizowane postulaty. Na tej podstawie 25 stycznia 1971 roku – przyjazd Gierka do Gdańska. Zostałem wybrany delegatem na to spotkanie i również tam zabrałem głos.

To spotkanie miało charakter zwrócenia się Gierka do załóg, ażeby ruszyć z produkcją, i omówienia niektórych spraw. Następnie mieliśmy szereg spotkań na terenie zakładu z przewodniczącymi rad, przedstawicielami terenowych władz, jak i władz centralnych. Im chodziło o zaspokojenie pewnych spraw załóg, natomiast nas interesowały sprawy kolegów – stoczniowców, którzy byli przetrzymywani w więzieniach. Powiedzieliśmy, że pochód pierwszomajowy będzie rozniesiony, trybuny rozniosą, jeśli ostatni stoczniowiec czy pracownik innych zakładów nie zostanie wypuszczony na wolność. W końcu zostali zmuszeni i ostatni z aresztowanych po Grudniu został zwolniony przed 1 Maja.

1 Maja rozpoczęliśmy od składania wianków na grobach poległych. Uczestniczyłem w tym pochodzie, niesiono transparenty i hasła żądające ukarania winnych.

Naraziłem się tyle, że po zjeździe [PZPR] w grudniu 1971, w styczniu 1972 zostałem zwolniony z pracy bez uzasadnienia. Oddałem sprawę do sądu powiatowego, żądałem uzasadnienia mego zwolnienia i wniosłem roszczenia o przywrócenie prawa do pracy wraz z odszkodowaniem. W okresie dwóch lat miałem 13 rozpraw. Wynik negatywny. Zwracałem się o rewizję nadzwyczajną – nie przyjęto. Również od ministra sprawiedliwości

i prokuratora generalnego dostałem odmowę. Ze stoczni pojechała do Gierka delegacja. Pytano się, czy mają upoważnienia i legitymacje partyjne – nie posiadali. Odmówiono im dalszej dyskusji, ich sprawę skierowano do rozpatrzenia w Komitecie wojewódzkim. Ja dostałem dokument, który posiadam do tej chwili, że moja sprawa zostanie rozpatrzona w KW, proszę czekać na odpowiedź. Czekam do dnia dzisiejszego.

Trzeciego dnia strajku w sierpniu 1980 roku koledzy zawiadomili mnie, że bym przybył do stoczni. Przybyłem w pierwszą niedzielę strajku do komitetu strajkowego. Lech Wałęsa prosił mnie osobiście o przystąpienie do komitetu. Odmówiłem, bo przez okres 9 lat byłem poza zakładem, nie znałem spraw. Odmówiłem przystąpienia do komitetu strajkowego, dokumentując tym, że byłem w Komitecie strajkowym w Grudniu i cierpię do dnia dzisiejszego. Lech Wałęsa pytał, czy chcę podjąć pracę. Powiedziałem, że tak. Na starych warunkach, z ciągłością. I Lech Wałęsa osobiście dopilnował tego, że zostałem przyjęty. W grudniu 1980 roku wybrano mnie ponownie na przewodniczącego wydziału S-5 jako przewodniczącego komisji wydziałowej Solidarności. Jestem również członkiem komisji zakładowej i delegatem do MKZ.

SYLWETKI

Kazimierz Fischbein

MICHAŁ PAZIEWSKI

❖ dr, pracownik Instytutu Politologii i Europeistyki Uniwersytetu Szczecińskiego. W 1981 r. współredaktor tygodnika zachodniopomorskiej Solidarności „Jedność”, w latach 1982–1989 współtworzył m.in. pismo podziemne Stoczni Szczecińskiej im. Adolfa Warskiego „Grot”, miesięcznik „Obraz”, a także „Biuletyn Solidarności” podczas strajku w sierpniu 1988 r. w Porcie Szczecińskim. Autor prac na temat wydarzeń w grudniu 1970 r. i styczniu 1971 r.

Jeszcze do początku lat siedemdziesiątych trwało przenoszenie się na tzw. Ziemię Odzyskane kolejnych milionów młodych mieszkańców przeludnionych wsi i nieuprzemysłowionych miasteczek centralnych i wschodnich obszarów Polski, a wcześniej również „repatriantów” zza Buga. Wielu z nich, korzystając z awansu społecznego, który umożliwiała Polska Ludowa, najpierw z dużym zaangażowaniem popierało „realny socjalizm” – choć doświadczali jego niesprawiedliwości i absurdów – a później decydowało się mu przeciwstawić¹. Przykładem takiego losu jest biografia Kazimierza Fischbeina, urodzonego 21 stycznia 1929 r. w Dąbrówce Szczepanowskiej w pobliżu Tarnowa, zmarłego 10 października 1994 r. w Szczecinie.

Jego ojciec przed drugą wojną światową razem z żoną prowadził ośmiohektarowe gospodarstwo rolne oraz wiejski sklepik spożywczy. Należał do Polskiego Stronnictwa Ludowego, był radnym gminnym w pobliskiej Pleśnej, uczestniczył w strajku chłopskim w 1937 r. Podczas okupacji rodzina Fischbeinów, w tym siedmioro dzieci, żyła w ciągłym strachu przed donosem i śmiercią. Od 1942 r. ojciec i dziadek Kazimierza musieli się

już stale ukrywać wśród zaprzyjaźnionych gospodarzy, ponieważ według hitlerowców byli Żydami (w 1936 r. zostali ochrzczeni). Nie wytrzymał tego psychicznie dziewięćdziesięcioletni dziadek Kazimierza – po kilku miesiącach zgłosił się na posterunek policji granatowej. Ojca – po donosie sąsiada – w styczniu 1944 r. dopadło gestapo. Został na oczach żony ciężko pobity, po czym zastrzelony². Kazimierzowi, wówczas piętnastoletniemu, oraz dwóm jego braciom matka przynosiła nocami jedzenie do zaprzyjaźnionych sąsiadów, u których się ukrywali.

W 1948 r. Fischbein przyjechał do Szczecina. Miał ukończoną Prywatną Męską Szkołę Mechaniczną Towarzystwa Szkół Ludowych w Tarnowie (złożył egzamin czeladniczy). Od marca 1948 r. pracował jako ślusarz narzędziowy w zajmujących się wydobywaniem zatopionych statków i remontem holowników Warsztatach Portowych w Szczecińskim Urzędzie Morskim, a w październiku został zatrudniony na Wydziale Mechanicznym właśnie tworzonej Stoczni Szczecińskiej (na dziesięciolecie otrzymała ona imię Adolfa Warskiego). Pracę rozpoczął od stanowiska dyplomowanego frezera wytaczacza, w 1952 r. został mistrzem na wydziale³. Był często nagradzany przodownikiem pracy, wyrabiał 180 proc. normy, od jesieni 1949 r. kierował również młodzieżową brygadą produkcyjną, której wyniki należały do najlepszych w stoczni. Ciężkie warunki życia podczas wojny oraz bieda po jej zakończeniu uformowały jego lewicowe poglądy, które spowodowały, że w lutym 1950 r. wstąpił do Związku Młodzieży Polskiej, w listopadzie stał się kandydatem do Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej, a trzy lata później jej członkiem.

¹ Dla Kazimierza Fischbeina nie znalazło się miejsce wśród ponad 3900 biografów *Encyklopedii Solidarności*, wydawnictwa mającego stanowić – według zapewnień jego twórców – „kompendium wiedzy na temat ludzi i wydarzeń z lat 1976–1989”. Encyklopedia publikowana jest w Internecie, a jej pierwszy tom (w systemie holenderskim) ukazał się w 2010 r. drukiem nakładem Oficyny Wydawniczej Volumen, Stowarzyszenia Pokolenie oraz Instytutu Pamięci Narodowej.

² M. Szejnert, T. Zalewski, *Szczecin: grudzień – sierpień – grudzień*, Londyn 1986, s. 10, 12, 14–15, 17.

³ Zob. reportaż Wandy Bubińskiej o Kazimierzu Fischbeinie *Stoczniowiec*, „Walka Młodych” 1974, nr 1, s. 8–9.

W 1952 r., po trzech latach nauki wieczorowej, uzyskał maturę w Państwowej Szkole Technicznej dla Dorosłych i został technikiem budowy maszyn. 27 grudnia 1951 r. ożenił się z Marią Szatkowską, na świat zaczęły przychodzić ich dzieci – córka Grażyna w 1952 r., synowie Zbigniew w 1953 r. i Bogdan w 1956 r. Wychowywane one były w wierze katolickiej, zawsze praktykowanej przez rodziców⁴. Po rocznej służbie wojskowej, w 1957 r. podjął zaocznie studia na Wydziale Budowy Maszyn Politechniki Szczecińskiej. Zanim w 1963 r. uzyskał dyplom magistra inżyniera mechanika i został cenionym konstruktorem siłowni okrętowych, zgłaszającym wiele wniosków racjonalizatorskich, w styczniu 1961 r. przeniósł się do Centralnego Biura Konstrukcji Okrętowych. Podczas studiów po godzinach pracy prowadził zajęcia w warsztatach szkolnych Zasadniczej Szkoły Budowy Okrętów, później zaś był, także w godzinach pozasłużbowych, nauczycielem w Technikum Budowy Okrętów. W 1988 r., po ponad 40 latach pracy w stoczni, przeszedł na rentę inwalidzką, przez dwa lata pracował jeszcze na półowce etatu na stanowisku głównego specjalisty do spraw głównych układów napędowych statków w Biurze Projektowo-Konstrukcyjnym⁵.

Wstrząsnęły nim dramatyczne sceny walk ulicznych 28 czerwca 1956 r. w Poznaniu, dokąd przyjechał z wycieczką stoczniovców na Międzynarodowe Targi Poznańskie. Widok zwłok zmasakrowanego przez tłum na dworcu kolejowym kaprała Urzędu Bezpieczeństwa Publicznego przypomniał mu śmierć ojca⁶. W grudniu 1958 r. otrzymał wniosek z Prezydium Miejskiej Rady Narodowej w Szczecinie wzywający go do zmiany nazwiska na Fiszbajn, czemu zdecydowanie się sprzeciwił. Służba Bezpieczeństwa zaczęła się nim interesować w 1967 r., wkrótce po rozpętaniu przez władze antysemitycznej i antyinteligentycznej nagonki, kiedy – wbrew poleceniom partyjnych przełożonych – nie zorganizował wiecu potępiającego politykę Izraela⁷. Pisano: „Ankietowany w czasie agresji izraelskiej wszelkie kampanie

potępiające działalność syjonistyczną próbował bagatelizować, realizację ich opóźniać, względnie nie wykonywać, używając do tego różnych argumentów tego typu, że są to historie mało poważne, zakrawające na kpinę lub cyrk itp.”⁸. Po Marcu '68 stracił funkcję I sekretarza Podstawowej Organizacji Partyjnej PZPR przy Centralnym Ośrodku Konstrukcyjno-Badawczym Przemysłu Okrętowego. Nie odszedł jednak ze stoczni tak jak kilku innych pracowników, uznanych za „syjonistów” i zmuszonych do opuszczenia kraju.

17 grudnia 1970 r. w Szczecinie wybuchły manifestacje. Podczas walk ulicznych zginęło trzynaścioro ludzi, spalono Komitet Wojewódzki PZPR, podpalono gmachy Komendy Wojewódzkiej MO i Wojewódzkiej Komisji Związków Zawodowych. Następnego dnia, 18 grudnia, pod bramą główną Stoczni Szczecińskiej im. Adolfa Warskiego od kul żołnierskich śmiertelnie ranni zostali dwaj stoczniovcy. Kilka godzin później w stoczni ogłoszono strajk, który rozszerzył się na inne zakłady. Pięciodniowy strajk generalny w aglomeracji szczecińskiej objął przynajmniej 117 przedsiębiorstw.

Fischbein został wybrany do „trójki strajkowej” w COKB, po czym razem z kolegą z tej firmy inż. Ludwikiem Kwietniowskim, socjologiem ze stoczniowej Pracowni Psychologii i Socjologii Pracy Lucjanem Adamczukiem oraz kierownikiem przychodni zakładowej lekarzem Zbigniewem Świechem został doradcą 10-osobowego Komitetu Strajkowego w stoczni. Faktycznie, choć nie formalnie, pełnił – z racji ogromnego autorytetu wśród załogi oraz wykształcenia – obok Józefa Kasprzyckiego funkcję zastępcy przewodniczącego Komitetu Strajkowego Mieczysława Dopierały, starszego technologa z wydziału W-6⁹.

Uczestniczył w redagowaniu postulatów, pisał ulotki, m.in. powieloną w masowym nakładzie 19 grudnia odezwę komitetów strajkowych Stoczni im. Warskiego i Szczecińskiej Stoczni Remontowej Gryfia *Do mieszkańców Szczecina!*¹⁰. Informowano w niej o sytuacji pa-

⁴ Relacja córki Kazimierza Fischbeina, Grażyny Rząsik, 25 X 2010 r.

⁵ Od szwagra Kazimierza Fischbeina, Antoniego Szatkowskiego, który przez 45 lat pracował w Stoczni im. Warskiego, byłego konstruktora wyposażenia siłowni okrętowych w COKB, udało mi się uzyskać kartkę z podstawowymi informacjami biograficznymi wraz ze zdjęciem, a w rozmowie poznać inne dane, pomocne przy pisaniu tego szkicu, za co niniejszym serdecznie dziękuję.

⁶ M. Szejnert, T. Zalewski, *Szczecin...*, s. 21.

⁷ *Ibidem*, s. 27.

⁸ AIPN Szczecin, 0011/261, Akta Kazimierza Fischbeina, figuranta sprawy operacyjnego rozpracowania „Aktywni”, Notatka służbowa, 18 VIII 1967 r., k. 7.

⁹ Relacja Lucjana Adamczuka, 23 X 2010 r.

¹⁰ Wypowiedź Kazimierza Fischbeina w: *Grudzień 1970*, Paris 1986, s. 484.

nującej wśród protestujących oraz apelowano o spokój w mieście¹¹. Sam podejmował szereg ważnych decyzji, m.in. pracownikom Huty Szczecin doradził, aby podczas strajku nie wygaszali pieców¹², a delegatom ze Szczecińskich Zakładów Graficznych zezwolił na druk niedzielnego „Kuriera Szczecińskiego”¹³. Podczas pertraktacji z władzami wojewódzkimi co godzinę dzwonił do negocjatorów, aby otrzymać informacje, które przekazywano strajkującym, a także aby upewnić się, czy delegacja stoczniowców nie została aresztowana.

Od pierwszego dnia strajku z opanowanego przez strajkujących radiowęzła zakładowego dobiegał jego spokojny głos¹⁴. Zrównoważony, inteligentny i – jak to ujęła członkini Komitetu Strajkowego, spikerka Marianna Jakimowicz, pracownica fizyczna z Malmoru – bardzo skromny, Kazimierz Fischbein kierował tym środkiem przekazu¹⁵. Pisał liczne komunikaty Komitetu Strajkowego oraz wygłaszał komentarze. Współdziałał z drugą spikerką radiowęzła Danutą Wilanowską, sekretarką Rady Zakładowej Związku Zawodowego Metalowców w stoczni, oraz inż. Romualdem Wydrzyckim z działu wyposażenia pokładowego COKB.

20 grudnia stoczniowcom Warszawskiego i Gryfii przekazał warunki władz wojewódzkich zakończenia protestu, które zostały odrzucone przez przedstawicieli załóg, gdyż nie cofnięto zasadniczej przyczyny protestu: podwyżki cen żywności. Wtedy to, razem z członkiem Komitetu Strajkowego Tadeuszem Sokołowskim, elektromonterem z wydziału W-3, udał się do redaktora naczelnego Rozgłośni Polskiego Radia Szczecin Zbigniewa Puchalskiego, aby odwołano podaną parę godzin wcześniej nieprawdziwą informację o zakończeniu strajku przez stoczniowców. Puchalski – po rozmowie telefonicznej z szefem Radiokomitetu Włodzimierzem Sokorskim – zdecydował się na ogłoszenie takiego sprostowania¹⁶. 22 grudnia rano, zgodnie z wnioskiem Fischbeina,

ogłoszono zakończenie strajku w stoczni, a w konsekwencji w całej miejsko-przemysłowej aglomeracji szczecińskiej. Tego dnia Fischbein sporządził w Warszawskim protokół końcowy, do którego dołączono wykaz 33 przedsiębiorstw, wraz z podpisami ich przedstawicieli, wówczas jeszcze uczestniczących w proteście reprezentowanym przez Ogólnomiędzyzakładowy Komitet Strajkowy.

W kolejnych dniach na stoczniowych wydziałach odbywały się otwarte, wielogodzinne, burzliwe zebrania partyjne, zgłaszano postulaty o charakterze nie tylko wewnątrzzakładowym, ale i społeczno-politycznym. Kazimierz Fischbein brał w nich żywy udział. 15 stycznia 1971 r. podczas ośmiogodzinnego zebrania partyjnego w COKB w obecności instruktora z KC PZPR oraz I sekretarza Komitetu Dzielnicowego PZPR Szczecin – Nad Odrą mówił: „Musimy dobrać się do skóry oprawców. Stawiam wniosek: płk. [Juliana] Urantówkę, komendanta KW MO – zawiesić w czynnościach; tych, którzy bili robotników pałkami – skierować do pracy w malarni stoczni szczecińskiej dla reedukacji społecznej”¹⁷. Ponadto żądał uwolnienia stoczniowca aresztowanego podczas zajęć grudniowych. Wystąpienie to nie było odosobnione; jak zanotowała w 1971 r. SB – „Fiszbajn przy okazji spotkań z dostojnikami przyjeżdżającymi porusza sprawę marca 1968”¹⁸.

Podczas strajku powszechnego aglomeracji szczecińskiej 22–25 stycznia 1971 r., w którym wzięły udział 42 zakłady, Fischbein nie znalazł się wśród doradców, choć przewodzący protestowi Edmund Bałuka, ślusarz z wydziału TRM-1 Stoczni im. Warszawskiego, darzył go dużym szacunkiem¹⁹. Strajk zakończyła w nocy z 24 na 25 stycznia 1971 r. blisko dziewięciogodzinna debata robotników w Warszawskim z nowym szefem PZPR Edwardem Gierkiem, premierem Piotrem Jaroszewiczem oraz ministrami: spraw wewnętrznych gen. Franciszkiem Szlachcicem i obrony narodowej gen. Wojciechem Ja-

¹¹ Ulotkę tę m.in. z taksówki ochraniającej przed milicją na ulicach rozrzuciła członkini Komitetu Strajkowego Ewa Zielińska-Potocka, malarka z wydziału W-7 (Relacja Ewy Zielińskiej-Arciszewskiej, 16 IX 2010 r.).

¹² *Grudzień 1970...*, s. 485–486.

¹³ M. Szejnert, T. Zalewski, *Szczecin...*, s. 54.

¹⁴ Relacje Danuty Wilanowskiej i Romualda Wydrzyckiego, 19 IX 2010 r.

¹⁵ Relacja Marianny Jakimowicz, 27 IX 2010 r.

¹⁶ Relacje Zbigniewa Puchalskiego, 3 VIII 2009 r., Tadeusza Sokołowskiego, 4 X 2010 r.

¹⁷ Sprawozdanie z otwartego zebrania POP przy COKB 15 I 1971 r., [w:] *Postulaty. Materiały do dziejów wystąpień pracowniczych w latach 1970/71 i 1980 (Gdańsk, Szczecin)*, red. B. Chmiel, L. Kaczyńska, Warszawa 1988, s. 336.

¹⁸ AIPN Szczecin, 0011/261, k. 57.

¹⁹ Relacja Edmunda Bałuki, 28 IX 2010 r.

ruzelskim. Na mocy osiągniętego wtedy porozumienia Komitet Strajkowy przekształcony został w 40-osobową (razem z dwoma doradcami) Komisję Robotniczą, która m.in. sprawowała nadzór nad rzetelnością nowych wyborów w stoczniowych związkach zawodowych i PZPR. Dzięki doradcy styczniowego Komitetu Strajkowego Lucjana Adamczuka, nadzorującego wybory w stoczniowej organizacji partyjnej, Fischbein został reprezentantem Komisji Robotniczej podczas wyborów w COKB²⁰. 30 stycznia 1971 r. delegaci reprezentujący 1626 członków partii i kandydatów (co siódmy stoczniowiec należał do PZPR) wybrali go na II sekretarza do spraw organizacyjnych Komitetu Zakładowego PZPR.

Jednak po VI Zjeździe PZPR (6–11 grudnia 1971 r.) Kazimierz Fischbein oraz I sekretarz Komitetu Zakładowego Mieczysław Dopierała uznali, że gierkowskie zapowiedzi demokratyzujących partię zmian, w tym statutowych, np. kadencyjności stanowisk, okazały się gołosłowne. Postanowili zatem zrezygnować ze swoich funkcji²¹. Podczas następných stoczniowych wyborów partyjnych jesienią 1972 r. Fischbein odmówił kandydowania²².

Po grudniowo-styczniowych strajkach zaliczany był do „grupy »odnowy« w stoczni”. Jak ustaliła SB, od Lucjana Adamczuka, często przyjeżdżającego ze stolicy, pożyczył książkę Władysława Bieńkowskiego *Motory i hamulce socjalizmu*, wydaną przez Instytut Literacki w Paryżu (1969). Objęto go „kontrolą operacyjną”, uzasadniając: „Wymieniony utrzymuje ścisłe kontakty z grupą wichrzycielską na terenie Stoczni Szczecińskiej im. A. Warskiego. [...] Jako osobnik narodowości żydowskiej może być w tym względzie inspirowany przez określone ugrupowania syjonistyczne w kraju. W mieszkaniu figuranta odbywają się rozmowy i dyskusje na temat sytuacji w stoczni”²³. Założono mu podsłuch telefoniczny i mieszkaniowy²⁴.

Po Czerwcu '76 na zebraniu partyjnym potępiającym uczestników zająć ulicznych w Radomiu i Ursusie oświadczył (podobnie jak Stanisław Wądołowski, późniejszy wiceprzewodniczący Komisji Krajowej NSZZ Solidarność): „jako stoczniowcy nie mamy prawa nikogo potępiać, gdyż parę lat wcześniej byliśmy w podobnej sytuacji i też nas odżegnywano od czci i wiary”. „Winnych należy szukać gdzie indziej. Gdyby premier nie przedstawił w Sejmie, że będzie pełna rekompensata, pewnie wydarzenia przebiegałyby inaczej. Całe te obrady sejmowe były podejrzane”. Odmówił też udziału w wielotysięcznym wiecu mieszkańców województwa, zwiezionych autobusami i pociągami na szczeciński stadion Pogoni, gdzie piętnowano „radomskich warcholów”²⁵. Wskutek tego pozbawiono go stanowiska głównego specjalisty w Biurze Projektowo-Konstrukcyjnym i zmieniono na gorsze warunki pracy i płacy.

Gdy 18 sierpnia 1980 r. w Stoczni im. Warskiego rozpoczynano strajk okupacyjny, nikt nie mógł być pewien, jak się on zakończy. Można było założyć, że jego liderzy po zakończeniu protestu zostaną przez władze potraktowani nie lepiej niż dotknięci represjami przywódcy sprzed dekady. Dlatego też, gdy 19 sierpnia Kazimierza Fischbeina i Mariana Juszcuka, zaopatrzeniowca na wydziale W-0, wybierano na wiceprzewodniczących Międzyzakładowego Komitetu Strajkowego, ich członkostwo w PZPR nie było problemem (wcześniej zostali wiceprzewodniczącymi stoczniowego Komitetu Strajkowego)²⁶. W MKS Fischbein zajął się sprawami organizacyjnymi oraz aprowizacją. Najpierw jednak współredagował strajkowe postulaty. Kiedy 21 sierpnia rano władze zdecydowały się pertraktować z MKS, zrzeszającym już wtedy 60 zakładów, napisał przemówienie na powitanie Komisji Rządowej. Następnie uczestniczył w rozmowach (transmitowano je przez zakładowy radiowęzeł). Pracował w powołanym 22 sierpnia mieszanym

²⁰ AIPN Szczecin, 0012/393, t. 1–10, Akta Komitetu Strajkowego Stoczni Szczecińskiej im. A. Warskiego z 22–25 I 1971 r. oraz postrajkowej Komisji Robotniczej z 2 X 1973 r. wykopane z przydomowego ogródka przez funkcjonariuszy SB podczas rewizji w mieszkaniu Edmunda Bałuki, Lista członków partii, którzy reprezentują Komisję Robotniczą na zebraniach POP w dniach 28–29 I 1971 r.

²¹ Relacja Mieczysława Dopierały, 26 IX 2010 r.

²² M. Szejnert, T. Zalewski, *Szczecin...*, s. 83–84.

²³ AIPN Szczecin, 0011/261, k. 71.

²⁴ Zgodę *in blanco* I sekretarza KW PZPR w Szczecinie Janusza Brycha wypełnił szef szczecińskiej SB płk Bronisław Szymański 12 X 1971 r. (*ibidem*, k. 70–73).

²⁵ M. Szejnert, T. Zalewski, *Szczecin...*, s. 100–102.

²⁶ W 16-osobowym Prezydium MKS do PZPR należeli również Stanisław Wiszniewski i Stanisław Serafin z „Warskiego”, Mieczysław Soszyński z Zarządu Portu Szczecin i Wiesław Wojan z Zakładów Chemicznych Police.

zespołe redakcyjnym (ze strony strajkujących było w nim dziewięć osób), stanowiącym w istocie grupę roboczą negocjującą tekst porozumienia szczecińskiego. W trzynastym dniu protestu w różnej formie strajkowało już przynajmniej 285 pracowniczych zakładów, które uznawały MKS za swego rodzaju ośrodki władzy w województwie. 30 sierpnia 1980 r. o godzinie 8.00 w świetlicy głównej stoczni w imieniu Prezydium MKS – obok przewodniczącego Mariana Jurczyka i Mariana Juszczyka – Kazimierz Fischbein sygnował „Protokół ustaleń w sprawie wniosków i postulatów Międzyzakładowego Komitetu Strajkowego z Komisją Rządową w Szczecinie”, kończący protest.

MKS przekształcił się niezwłocznie w Międzyzakładową Komisję Robotniczą, która do czasu wyborów związkowych pełniła rolę komisji założycielskiej NSZZ Solidarność na Pomorzu Zachodnim. Jednak wkrótce w niejasnych okolicznościach odsunięto jej wiceprzewodniczących²⁷. Podczas jednego z pierwszych posiedzeń Prezydium MKR przewodniczący Jurczyk nieoczekiwanie swoim jedynym zastępcą ogłosił Stanisława Wądołowskiego, technologa z Szefostwa Produkcji Stoczni im. Warskiego, stałego delegata do Krajowej Komisji Porozumiewawczej w Gdańsku (w sierpniowym proteście uczestniczył on od czwartego dnia, po powrocie z urlopu)²⁸.

Zapewne było to następstwem sporów wewnątrz MKS w okresie strajków²⁹, a także radykalizowania się no-

wego związku zawodowego, do czego Fischbein raczej już nie pasował³⁰. Szczecińska Solidarność zaczęła przybierać oblicze czysto robotnicze, główną rolę odgrywali w niej Jurczyk i Wądołowski, którzy byli kolegami jeszcze z grudniowo-styczeniowych strajków 1970 i 1971 r. Do końca 1980 r. z działalności związkowej odeszło jeszcze trzech członków Prezydium MKR należących do PZPR, gdyż wraz z upływem czasu również to miało duże znaczenie³¹. Coraz też większą rolę odgrywać zaczęła naturalna rywalizacja o wpływy i stanowiska w Solidarności³². Do pracy w „Warskim”, podobnie jak Juszczyk, powrócili jedyni w tym gronie posiadający wyższe wykształcenie inżynierowie Jarosław Mroczek i Kazimierz Fischbein.

Na wprowadzenie stanu wojennego Fischbein zareagował podobnie jak kilka tysięcy stoczniowców, uczestnicząc w strajku okupacyjnym w Stoczni im. Warskiego. Po wojskowo-milicyjnej pacyfikacji zakładu nocą z 14 na 15 grudnia 1981 r. i przymusowym kilkudniowym urlopie poświęcił się już w zasadzie tylko pracy zawodowej i rodzinie. Do nowych, reżimowych związków zawodowych się nie zapisał, zdecydowanie odrzucił propozycję udzielenia wywiadu dziennikowi partyjnemu „Wiadomości Szczecińskie”, nie uczynił niczego, co mogłoby zostać wykorzystane przez władze. Podziemna Solidarność nic od niego nie chciała. Również po 1989 r. pozostał zapomniany.

²⁷ Marian Jurczyk zapytany 24 IX 2010 r. przez autora o bliższe informacje na ten temat odpowiedział: „Ja tego sobie nie przypominam”.

²⁸ Zob. wspomnienia przedstawiciela Polskich Linii Oceanicznych w MKR Krzysztofa Jagielskiego *Za burtą legendy, Szczecin 1992*, s. 61. Stanisław Wądołowski zapytany 25 IX 2010 r. przez autora o okoliczności odejścia Fischbeina z MKR oświadczył: „O niezującym nie chcę mówić źle. Jego rola w strajku była żadna”.

²⁹ Relacja członka MKS i MKR Leszka Dlouchy, 3 X 2010 r.

³⁰ Relacja członkini Prezydium MKS i MKR Łucji Plaugo, 24 IX 2010 r.

³¹ Relacja członkini Prezydium MKS i MKR Marii Chmielewskiej, 28 IX 2010 r.

³² Relacja Jarosława Mrocza, 25 IX 2010 r.

ARCHIWUM WOLNEJ MYŚLI

Życ bez kłamstwa!

ALEKSANDR SOŁŻENICYN

Był czas, kiedy nie mieliśmy odwagi zaszeptać nawet¹. A teraz piszemy i czytamy *samizdat*, a już jak się zejdziemy w palarniach instytutów naukowych, to narzekamy z całego serca: czegoż to *oni* znowu nie wymyślą, dokąd nas znowu ciągną! I to na nic niepotrzebne fałszywe samochwalstwo wobec spustoszenia i biedy w domu; i umacnianie odległych dzikich rządów; i wzniesienie wojen domowych; i to, jak bezmyślnie wyhodowali (naszym kosztem) Mao Tse-tunga – a pognają na niego nas i trzeba będzie iść, bo gdzież się skryć? I że sądzą kogo chcą, zdrowych przemieniają w obłąkanych – wszystko to *oni*, a *my* jesteśmy bezsilni.

Już do dna dochodzą, już nas wszystkich dosięgła duchowa wszechogarniająca zguba, a i fizyczna tuż-tuż, w jej ogniu spłoniemy i *my*, i dzieci nasze. A *my* jak dawniej – wciąż się trwożliwie uśmiechamy i nieporadnie jękamy:

– Cóż możemy poradzić? Sił nie mamy.

Tak bez reszty utraciliśmy poczucie człowieczeństwa, że za nędzną dzisiejszą strawę oddamy wszystkie zasady, duszę, wszystkie wysiłki naszych przodków, wszystkie nadzieje naszych spadkobierców – byle tylko nie zostało zburzone nasze żałosne bytowanie. Nie ma już w nas ani hartu, ani dumy, ani serca. Nawet śmierci atomowej się nie boimy, trzeciej wojny światowej też się nie boimy (w jakąś szczelinę zawsze się schowamy) – boimy się tylko gestu odwagi cywilnej! Byle się od stada nie oderwać, byleby nie zrobić samodzielnego kroku i nie ocknąć się nagle bez białej bułki, bez piecyka gazowego i bez przepustki do Moskwy!

Co nam wbijali we łby na szkoleniach politycznych, to w nas i wrosło, żyć tak wygodniej, cały wiek tak moż-

na: *srodowisko*, warunki socjalne, im się nie wymkniesz, byt określa świadomość, a *my* co? Nic nie możemy poradzić.

A właśnie że możemy. *Wszystko!* – tylko dla własnego spokoju sami siebie okłamujemy. To nie *oni* są wszystkimu winni, to *my sami*, tylko *MY*.

Zaprzeczy ktoś: ale przecież naprawdę niczego nie można wymyślić. Zakneblowali nam usta; ani nas słuchają, ani pytają. Jakżeż zmusić ich, by nas usłyszeli?

Przekonać ich – to niemożliwe.

Żeby można było ich wybierać! – ale w naszym kraju wybierać nie można.

Na Zachodzie ludzie znają strajki, marsze protestacyjne, ale *my* za bardzo zahukani jesteśmy, nas to przeraża: jak to tak nagle – odmówić pracy, jak to tak – wyjść na ulicę?

Wszystkie inne, te fatalne drogi, wypróbowane w ciągu ostatnich stu gorzkich lat historii Rosji, tym bardziej są nie dla nas, i po prawdzie – tak lepiej! Dziś, kiedy topory porąbały, co miały porąbać, kiedy wzeszło, co zasiali, dziś widzimy, jak zblądzili, jak zaczadzeni byli ci młodzi tak pewni swego, którzy zamysłili terrorem, krwawym powstaniem i wojną domową przynieść ojczyźnie sprawiedliwość i szczęście. O nie, dziękuję, szafarze światła! Teraz już wiemy, że nikczemne metody rozmnażają się w nikczemnych wynikach. Nasze ręce niech będą czyste!

Więc krąg się zamknął? Wyjścia naprawdę nie ma? I pozostaje nam tylko bezczynne czekanie: a nuż zdarzy się coś *samo*?...

To się jednak nigdy samo od nas nie odcepi, póki wszyscy, co dzień będziemy to uznawać, sławić i wspierać, póki się nie odżegnamy choćby od jego najczulszego punktu.

¹ Aleksandr Solżenicyn napisał ten tekst tuż przed swoim aresztowaniem i wydaleniem z ZSRR, co nastąpiło 13 II 1974 r. Drukujemy przekład ogłoszony w 1974 r. w „Aneksie” nr 4.

Od KŁAMSTWA.

Kiedy przemoc wdziera się spokojnie w spokojne ludzkie życie, twarz jej pała pewnością siebie, prze krzykiem, a na sztandarach ma wypisane: „Jam PRZEMOC! Rozejść się, rozstąpić, bo rozdepczę!”. Ale przemoc szybko się starzeje, parę lat i brak jej już wiary w siebie, a żeby się utrzymać, żeby wyglądać przyzwoicie, nieodmiennie sprzymierza się z kłamstwem. Gwałt bowiem może się okryć tylko kłamstwem, a kłamstwo może się utrzymać tylko gwałtem. Nie co dzień i nie na każdy grzbiet przemoc kładzie swoją ciężką łapę: żąda od nas tylko pokory wobec kłamstwa i codziennego w kłamstwie uczestnictwa – na tym polega wiernopodańczość.

Tutaj też leży lekceważony przez nas, najprostszy, najłatwiej dostępny klucz do naszego wyzwolenia: NIEUCZESTNICZENIE W KŁAMSTWIE! Choćby kłamstwo wszystko załatało, choćby wszystkim zawładnęło, trwajmy przy minimum: niech władza NIE PRZEZE MNIE!

To będzie wyłom w zaczarowanym kręgu naszej bezczynności! Dla nas najłatwiejszy, a dla kłamstwa najbardziej zgubny. Bo kiedy ludzie od kłamstwa się odwracają – ono po prostu istnieć przestaje. Jak zaraza, ona też tylko ludźmi się żywi.

Nie nawołujemy się, nie dojrzeliliśmy jeszcze do wyjścia na placy i ogłoszenia prawdy, do głośnego mówienia, co myślimy – nie trzeba, to nas przeraża. Ale odmówmy choć mówienia tego, czego nie myślimy! Oto i nasza droga wobec przenikającej nas organicznej tchórzliwości najłatwiejsza i dostępna, znacznie łatwiejsza (ciężko to przyznać) od cywilnego oporu Ghandiego.

Droga nasza: NICZYM ŚWIADOMIE NIE PODTRZYMYWAĆ KŁAMSTWA! Rozpoznawszy, gdzie jest granica kłamstwa (każdy ją jeszcze inaczej postrzega) – odstąpić od tej linii gangreny! Nie skleajmy martwych kostek i łusek ideologii, nie zszywajmy przegniłych szmat, a staniemy ostupiali, jak szybko i bezradnie kłamstwo upadnie, a to co powinno być nagie, stanie przed światem w całej swojej nagości.

I tak w bojaźliwości naszej każdy niech dokona wyboru: czy zostanie świadomym sługą kłamstwa (o, nie z zamiłowania, oczywiście, lecz by wyżywić rodzinę, aby wychować dzieci w duchu kłamstwa!), czy też nadszedł czas, by się otrząsnąć, by zacząć żyć jak człowiek uczciwy, godny szacunku i dzieci swoich, i swoich współczesnych. I począwszy od dnia tego:

– nie napisze, nie podpisze, nie opublikuje ani jednego zdania, które według niego kłamstwo wypacza;

– prywatnie czy publicznie, takiego zdania nie wypowie ani od siebie ani agitator, nauczyciel, wychowawca czy aktor;

– w malarstwie, w rzeźbie, w fotografii, w technice, w muzyce nie przedstawi, nie przekaże ani jednej kłamliwej myśli, ani jednej skażonej prawdy, której skażenia byłby świadom;

– nie zacytuje ani ustnie, ani na piśmie żadnej „autorytatywnej” wypowiedzi ani dla pochlebstwa, własnego zabezpieczenia, ani dla zapewnienia sukcesu swojej pracy, o ile nie podziela w pełni cytowanej myśli lub jeśli nie odnosi się dokładnie do przedmiotu sprawy;

– nie da się zmusić wbrew swojej chęci i woli do pójścia na żadną manifestację, żadne zebranie. Nie weźmie do ręki, nie podniesie transparentu ze sloganem, z którego treścią nie zgadza się w całości;

– nie podniesie w głosowaniu ręki za propozycją, której szczerze nie popiera; nie będzie głosował tajnie ani jawnie na osobę, którą uważa za niegodną lub niepewną;

– nie da się zapędzić na zebranie, na którym ma się odbyć zakłamana, wymuszona dyskusja;

– natychmiast opuści zebranie, wykład, przedstawienie teatralne, salę kinową, gdy tylko usłyszy kłamstwo, ideologiczną bzdurę lub bezwstydną propagandę;

– nie zaabonuje i nie kupi gazety czy czasopisma, w którym informacje są zdefiniowane, a podstawowe fakty przemilczane...

Oczywiście, nie jest to pełna lista wszystkich możliwych i koniecznych sposobów przeciwstawienia się kłamstwu. Lecz ten, kto wstąpi na drogę oczyszczenia, łatwo dostrzeże i inne sposoby.

Tak, początek będzie trudny. Niektórzy na czas pewien stracą pracę. Młodym, pragnącym żyć podług prawdy, wcześniej się życie skomplikuje: przecież nawet zadawane lekcje są kłamstwem – trzeba wybierać. Lecz dla nikogo, kto chce być uczciwym, nie ma ucieczki: codziennie każdy z nas – nawet ci, którzy pracują w technicznych, najbezpieczniejszych warunkach – musi dokonywać wyboru, czy zrobić krok w stronę prawdy, czy w stronę kłamstwa, w stronę duchowej niezależności czy duchowego poddaństwa. A ten, któremu odwagi nie starczy nawet na to, by bronić swej duszy, niech nie szczyci się swoimi postępowymi poglądami, niech nie

chlubi się swoją pozycją akademika czy znanego artysty, zasłużonego działacza, generała – niech raczej powie sobie: bydlak jestem, tchórz, któremu tylko stawy i ciepła potrzeba.

Nawet i ta droga – najbardziej umiarkowana ze wszystkich dróg oporu – będzie dla nas, zgnuśniałych, nielekka. Lecz o ileż łatwiejsza od samopalenia czy głódówki: płomień nie obejmie twojego ciała, oczy nie pękają od gorąca, a chleb czarny i woda czysta zawsze dla twojej rodziny się znajdują.

Zdradzony i okłamany przez nas prawdziwie wielki naród Europy – naród czechosłowacki, czyż nie pokazał nam, jak czołgom nawet stawia czoła bezbronny czołwiek, o ile w nim dusza godna?

Trudna to będzie droga? – ale z możliwych najłatwiejsza. Wybór niełatwy dla ciała, ale jedyny dla duszy. Nielekka to droga, lecz są wśród nas ludzie, dziesiątki ich nawet, którzy OD LAT żyją według tych zasad, żyją podług prawdy.

Nie idzie więc o to, by pierwszemu wstąpić na tę drogę, lecz by się PRZYŁĄCZYĆ DO INNYCH! Lżejsza i krótsza wyda nam się ta droga, jeśli wielu nas będzie, jeżeli razem na nią wstąpimy! Będą nas tysiące – i rady sobie nie dadzą, nikomu nie zdołają nic zrobić. Będą nas dziesiątki tysięcy – i nie poznamy naszego kraju.

Jeśli stchórzymy, to przestańmy się skarżyć, że odychać nam nie dają – sami sobie nie dajemy! Jeszcze trochę karku nagniemy, jeszcze trochę poczekamy, a bracia biolodzy przybliżą moment, gdy myśli nasze można będzie odczytać i geny podmienić.

Jeśli i tu stchórzymy, to nędzniśmy i nie ma nadziei, i dla nas pogarda Puszkina:

A po cóż stądom dar swobody?

...

Dziedzictwem ich z wieku na wiek

Jarzmo z dzwonkami oraz bicz

12 lutego 1974 roku

Karykatura drugiego obiegu

JAN SKÓRZYŃSKI

Historia wydawnictw niezależnych w latach 1976–1989 stanowi bardzo ważną – i piękną – kartę z dziejów opozycji demokratycznej i Solidarności. Rozwinięty na skalę niespotykaną w innych częściach bloku sowieckiego tzw. drugi obieg (pierwszy to ten oficjalny) był wyrazem sprzeciwu wobec dyktatury, a zarazem pełnił istotną rolę społeczną, dając Polakom dostęp do świata nieskrępowanej informacji, myśli i kultury. Epopeja wolnego słowa, obejmująca kilkanaście lat pisania, redagowania, drukowania i kolportowania podziemnej literatury stanowi prawdziwy fenomen w dziejach Europy. Fakt, że temat tak istotny – i tak wdzięczny! – wciąż czeka na swego historyka, nie świadczy najlepiej o polskiej historiografii najnowszej. Tej białej plamy w żadnej mierze nie wypełnia wydana ostatnio praca Justyny Błażejowskiej. Młoda – zarówno wiekiem, jak i dorobkiem badawczym – autorka z wielką pewnością siebie wydaje sądy i rozstawia po kątach uznanych historyków opozycji. Jednak jej książka nie przynosi prawdziwego portretu drugiego obiegu – jest jego karykaturą.

Dzieje niezależnych wydawców i druków publikowanych poza zasięgiem cenzury stają się pod piórem Błażejowskiej chaotyczną opowieścią o wewnętrznych konfliktach, malwersacjach finansowych i personalnych kłótniach. Wszystko to jest okraszane zadziwiająco łatwo formułowanymi podejrzeniami o agenturalność. Nieufna wobec bohaterów wydawniczego podziemia autorka przyjmuje za to na wiarę twierdzenia dawnych funkcjonariuszy MSW, z aprobatą cytuje pułkownika Henryka Piecucha i generała Czesława Kiszczaka. Jej uznaniem cieszy się nawet opinia Juliusza Garzdeckiego, jednego z najgroźniejszych prowokatorów bezpieczeństwa, działającego przez kilka dziesięcioleci w różnych kręgach opozycyjnych. Toteż jej książka prezentuje optykę zbliżoną do policyjnych raportów, w których przeciwnik

jest przedstawiany w jak najgorszym świetle, a służby wiedzą niemal wszystko.

Autorka *Papierowej rewolucji* nie kryje swego przekonania o reżyserskiej roli bezpieki w wielu wydarzeniach i jej wszechwiedzy, „co pozwalało, jeśli nie na sterowanie opozycją, to co najmniej na jej kontrolowanie”. Na wsparcie tej hipotezy przywołuje wypowiedź Jarosława Kaczyńskiego o tym, że solidarnościowe podziemie było głęboko spenetrowane przez służby bezpieczeństwa – polskie i sowieckie. „Więc jeżeli [KGB – J.B.] nie zaprogramowało, to wszystko w dużym stopniu trzymało pod znaczną kontrolą. Od 1980 r.” – cytuje autorka książki te rewelacyjne jej zdaniem tezy. Jej własnym wkładem w teorię, że komunistyczna policja zarządzała z ukrycia ruchem, który doprowadził do upadku jej mocodawców, jest supozycja, jakoby SB praktycznie kontrolowała podziemną działalność wydawniczą, a represje hamowała jedynie dlatego, „aby nie likwidować faktycznie »swoich« drukarni, »swoich« wydawnictw oraz »swoich« kanałów przetrwania pieniędzy i sprzętu”. Zdanie to jest wprawdzie opatrzone znakiem zapytania, niemniej jednak cała opozycyjna aktywność zostaje postawiona w cieniu podejrzeń i „wątpliwości mających wymiar polityczny, a nawet etyczny”. W przypisie możemy odnaleźć równie odważną tezę o tym, że „rola biblioty w obaleniu systemu skończyła się w połowie lat osiemdziesiątych”, gdyż ze względu na powszechność nie wywoływała ona już „większych emocji”. Wytrwale ścigająca wydawnicze podziemie bezpieczeństwa miała na ten temat inne zdanie.

Specyficzny punkt widzenia Justyny Błażejowskiej poznajemy już w opisie genezy opozycji, gdy stawia tezę, że wprowadzane na przełomie 1975 i 1976 r. zmiany w konstytucji, a zatem także protesty wobec nich, miały „dodatkowy aspekt interesu [sic! – J.S.] nie tylko dla agenturalnej konserwy partyjnej, ale i sfer policyjnych”. O ile dobrze zrozumiałem ten wywód, zgodnie

z chytrym planem części PZPR poprawki do ustawy zasadniczej miały posłużyć ujawnieniu się opozycji (dlaczego? – nie zostało wyjaśnione). Komuniści nie przewidzieli jednak, że opozycja wykorzysta kryzys czerwcowy do założenia KOR, ani tego, że dodatkowo umocni ją amnestia z 1977 r. – twierdzi Błażejowska. Wydarzenia te „zyskały znaczenie na tyle doniosłe, że nie w pełni początkowo rozpoznawalne. Dopiero po latach bezpośredni związek pomiędzy tymi faktami a szybkim wzrostem i swoistą instytucjonalizacją opozycji stał się oczywisty”. Nie rozumiecie państwo? Ja też nie.

No cóż, nie każdy sprawnie porusza się w meandrach polityki PZPR – pomyślałem, odnotowując, że dla debiutującej autorki istnieje jedna „epoka Bieruta i Gomułki”. I wzięłem się za lekturę dziejów niezależnej poligrafii, rozpoczętych – całkiem słusznie – od lubelskiej grupy Bogdana Borsewicz, Janusza Krupskiego i Piotra Jęglińskiego. Jednak już z opisu powstania „Biuletynu Informacyjnego” dowiadujemy się przede wszystkim, że Andrzej Kijowski uznał poziom zamieszczanej publicystyki za okropny (tylko w przypisie można doczytać, że jest to opinia z lipca 1979 r.), a „redaktorzy ulegli pokusie politycznego redagowania artykułów”, choć w istocie chodzi o zabiegi na tekstach dokonywane w każdej redakcji świata. Informacji na temat zawartości jednego z najlepszych pism opozycyjnych nie ma. W tej samej manierze Błażejowska relacjonuje początki „Zapisu”. Najpierw pisze, że w 1976 r. nie udało się stworzyć owego „alternatywnego mecenatu”, po czym przytacza szereg dokumentów SB z tegoż roku o spotkaniach pisarzy poświęconych niezależnemu czasopismu literackiemu i determinacji, z jaką przystąpili oni do przygotowania pierwszego numeru, który ukazał się w styczniu 1977 r. O jego zawartości nie dowiadujemy się niemal niczego (o następnych numerach również nie), natomiast wiele o bardzo krytycznych ocenach pisarzy, którzy do redakcji „Zapisu” nie przystąpili. Autorka kwituje też ocenę „fachowego recenzenta z MSW”, który – jej zdaniem – „trafnie przypisywał pomysłodawcom almanachu intencje wejścia w rolę samozwańcych wychowawców społeczeństwa” (?). W całej pracy wyraźnie daje się odczuć niechęć do KSS „KOR” i związanych z nim wydawnictw, oskarżanych o „zwalczanie najbardziej niewygodnych rywali” opozycyjnych. Podstawą są najczęściej notatki SB, żywo zainteresowanej rozbudzaniem i podkreślaniem sporów po stronie przeciwnika. Zgodnie z własny-

mi antypatiami autorka dokonuje też selekcji faktów – podaje, że korowski Fundusz Samoobrony Społecznej odmówił wsparcia dla „Ruchu Związkowego”, ale przemilcza udzielenie pomocy finansowej innemu pismu ROPCiO – „Opinii”.

Efektom bezkrytycznego korzystania z dokumentów bezpieki jest powtarzanie jej wątpliwych ocen, jak ta, że „Głos” nawiązywał do tradycji „Po prostu”, oraz posługiwanie się językiem źródła. Czytamy więc, że pismo było „nakierowane [...] na oddziaływanie w środowiskach inteligenckich”. Dowiadujemy się, że w „Głosie” po konflikcie z Adamem Michnikiem „przewagę zyskała [grupa] mająca poglądy narodowe” (?). Zabrakło natomiast miejsca dla właściwego składu redakcji, nie mówiąc już o pobieżnym choćby przeglądzie problematyki pisma. Czytelnik *Papierowej rewolucji* nie dowie się też, kto poza Stefanem Starczewskim redagował „Krytykę”. O zawartości tych i innych czasopism również ani słowa. Raz tylko autorka naprędce wymienia – za notatką MSW – opozycyjne tytuły. Nie jest to zresztą zestawienie kompletne (brakuje np. „Aspektu”, „Biuletynu Dolnośląskiego”, „Spotkań” i „Robotnika”), a informacje o zespołach redakcyjnych pojawiają się, nie wiedzieć czemu, jedynie przy „Gospodarzu”, „Bratniaku”, „Indeksie” i „Res Publice”. O tej ostatniej czytamy: „demonstracyjnie klerkowska postawa redakcji nie była szczerą, gdyż inicjatywa miała wyjść od osób związanym z anonimowym dla bezpieki Polskim Porozumieniem Niepodległościowym” (?).

Żywiołem debiutującej dziejopisarki jest tropienie ciemnych plam na obrazie drugiego obiegu i odchyłeń od patriotycznego wzorca, który, jak się zdaje, wyznacza według niej Józef Mackiewicz. Z aprobatą więc cytuje kuriozalną opinię Pawła Juzwy, że członkowie KSS „KOR” „nie chcieli, nie walczyli o Polskę niepodległą, [a] dążyli do tego, żeby nastąpiła finlandyzacja Polski, żeby w miarę ten system ewoluował, ale nie chcieli [jego] odrzucenia i wyrzucenia”. Właśnie dlatego korowcy nie wydawali „książek o wymowie niepodległościowej”, takich jak *Kontra* Mackiewicza. Aby to udowodnić, Błażejowska bardzo obszernie cytuje list otrzymany od jednego ze współpracowników NOW-ej, który nie waha się rzucić oskarżeń na Adama Michnika i Jana Kofmana, sam pozostając anonimowy. „Czyżby niechęć Michnika wynikała stąd, że dzieła Mackiewicza charakteryzowały się bardzo silnym zabarwieniem

antysowieckim, przedstawiały ogrom komunistycznych zbrodni, a sam autor nie tolerował żadnych form »kolaboracji« z PRL?» – dodaje od siebie Błażejowska.

Trzeba jej więc przypomnieć, że mało kto zrobił równie dużo dla wolności i niepodległości Polski co Adam Michnik i że nie tylko książki Józefa Mackiewicza traktowały o zbrodniach komunistycznych – w katalogu NOW-ej jest wiele takich pozycji. Natomiast pisma Mackiewicza były wydawane z powodzeniem przez inne oficyny podziemne (w katalogu Archiwum Opozycji Ośrodka KARTA figuruje ponad 60 wydań jego książek). Właśnie na tym polegał pluralizm, o który walczyli niezależni wydawcy i który sami praktykowali. Jednak dla Justyny Błażejowskiej to tylko dowód „ideologicznych uprzedzeń”. Trzeba też przypomnieć, że wśród krytyków politycznego wymiaru pisarstwa Mackiewicza było wiele znakomitych postaci z opozycji krajowej i emigracji – więc z aprobaty dla jego skrajnych tez nie można czynić probierza antykomunizmu czy antysowietyzmu. Formułując swoje opinie, Błażejowska wykracza poza rolę badacza, stając w rzędzie politycznych publicystów, nie najwyższych zresztą lotów. Wolno jej oczywiście, ale z regułami pracy naukowej ma to niewiele wspólnego.

Zgodnie z mackiewiczowską ortodoksją autorka *Papierowej rewolucji* jest przekonana, że w drugim obiegu działali nie tylko ludzie służb specjalnych PRL, ale także KGB. Wszechobecność polskiej bezpieki w podziemiu wydawniczym uważa za oczywistość. W cieniu podejrzeń umieszcza nawet Mirosława Chojeckiego, któremu wytyka „godzinę słabości”, opisując detalicznie na dziewięciu stronach historię próby jego werbunku w 1976 r. Zatrzymany 30 września w Radomiu, poddany całonocnemu przesłuchaniu Chojecki podpisał kwit o gotowości informowania „o faktach szkodliwych dla PRL w pracy kontrwywiadowczej”. Nie był to wcale, jak twierdzi autorka, dokument jednoznaczny, oznaczający podjęcie współpracy z SB. To, że tak traktowała go bezpieka, niczego jeszcze nie przesądza. Sam Chojecki słusznie wskazuje, że Instytut Badań Jądrowych, gdzie pracował, wykonywał zadania dla wojska i był objęty ochroną kontrwywiadowczą, więc podpisywania takich deklaracji nie traktowało się serio. O tym, że nie zamierzał rezygnować z aktywności opozycyjnej, najlepiej świadczy

fakt, o którym Błażejowska już nie wspomina – po wyjściu z aresztu udał się prosto do radomskiego sądu na rozprawę przeciwko uczestnikom demonstracji czerwcowych. Po czym znowu został zatrzymany. O przygodach z policją opowiedział kolegom z KOR. Potem nagabywany telefonicznie stanowczo odmówił spotkania z SB. 21 października 1976 r. został wyrzucony z pracy. Zaraz po tym go zatrzymano i znowu nakłaniano do kolaboracji z policją. Jednak trzynaście godzin przesłuchania nie przyniosło oczekiwanych przez SB rezultatów – przyszedł szef NOW-ej odrzucił te namowy. O wszystkim można było przeczytać już w trzecim „Komunikacie” KOR, opublikowanym 30 października 1976 r.¹ Autorka ma jednak pretensje do opozycjonisty, że „starał się zamulflować swą radomską godzinę słabości”. Wytyka mu także fakt, że w 1980 r. otrzymał paszport na uroczystość wręczenia Nagrody Nobla Czesławowi Miłoszowi i rozmawiał przy tej okazji z oficerem MSW. Nawet uwięzienie szefa NOW-ej na wiosnę 1980 r. nie zdołało go w oczach Błażejowskiej oczyścić całkowicie z podejrzeń. Za powód jego zwolnienia z aresztu uznaje ona zabiegi matki Chojeckiego, słynnej łączniczki AK, uczestniczki zamachu na generała SS Kutschere, przyjmując wersję SB i Janusza Rolickiego, autora tendencyjnej biografii Edwarda Gierka. „A Kazimierz Brandys przypisywał oswobodzenie sile społecznych protestów!” – pisze niemal triumfalnie, z wykrzyknikiem, Błażejowska. Zaryzykuję jednak twierdzenie, że skala protestów i międzynarodowy szum wokół uwięzienia szefa największego niezależnego wydawnictwa pod sfabrykowanymi zarzutami odegrały większą rolę niż estyma, jaką I sekretarz PZPR rzekomo darzył łączniczkę AK.

Przywódcy opozycji wyraźnie nie cieszą się sympatią Justyny Błażejowskiej. Głodówka w Podkowie Leśnej, w której wziął m.in. udział Jacek Kuroń, miała „charakter radosnego pikniku”, a głodujący spożywali regularne posiłki – według przywołanej w książce i pozostawionej bez komentarza informacji MSW. Spotkanie w Pen Clubie w czerwcu 1980, gdzie ludzie NOW-ej, m.in. Chojecki i Michnik, byli fetowani przez środowisko literackie, na co sobie przecież solidnie zasłużyli, autorka *Papierowej rewolucji* opatruje zgryźliwym komentarzem Andrzeja Kijowskiego. Z przekąsem pisze o sławie, jaką cieszyli się

¹ „Komunikat” nr 3, [w:] *Dokumenty Komitetu Obrony Robotników i Komitetu Samoobrony Społecznej „KOR”*, oprac. A. Jastrzębski, Warszawa – Londyn 1994, s. 43.

po Sierpniu korowscy opozycjoniści, „zwłaszcza ci potrafiący dodatkowo się wypromować”. Informując o pracy redaktorów prasy niezależnej w wydawnictwach NSZZ Solidarność, insynuuje, jakoby czynili to dla wysokich pensji i skrupulatnie wylicza, ile kto zarabiał w prasie związkowej. O tym, co wydawano w latach 1980–1981, o nowych tytułach prasowych i bardzo bogatym życiu kultury niezależnej tego okresu czytelnik książki może się odrobinę dowiedzieć jedynie z przypisu.

W stan wojenny wprowadzają nas tak radykalne opinie, że nawet skrajne skrzydło podziemia zawahałoby się przed ich sformułowaniem. Pod pręgierz Błażejowskiej trafia Bronisław Geremek, który w początkach grudnia 1981 r. rzekomo namawiał ministra Stanisława Cioska, aby organy władzy ludowej czym prędzej zlikwidowały aparat Solidarności. Rewelacje te autorka zaczerpnęła z raportu ambasadora NRD w Warszawie, przyjmując za wystarczający dowód ich prawdziwości fakt, że Geremek publicznie ich nie zanegował. No cóż, gdyby profesor Geremek miał prostować wszystkie bzdury, jakie ukazywały się na jego temat, tak przed, jak i po 1989 r., to niewiele czasu zostałyby mu na co innego. Ale sprawa jest poważna. Przedstawienie jednego ze strategów opozycji, który był wierny sprawie Solidarności przez całe lata osiemdziesiąte, jako orędownika pacyfikacji Związku należy do najbardziej skandalicznych stron książki wydanej przez Instytut Pamięci Narodowej.

Błażejowska najwyraźniej ubolewa, że podziemie solidarnościowe przyjęło kurs umiarkowany i linię biernego oporu, że „skończyło się wyłącznie na walce słowem”. Dostało się także pochwalającej tę decyzję, „drżącej przed widmem »sowieckich czołgów« emigracji”. Reprymendę otrzymała Tymczasowa Komisja Koordynacyjna (nie Krajowa, jak chce autorka), której członkowie byli głównie zajęci ukrywaniem się, „co znacznie utrudniało im prowadzenie jakiegokolwiek działalności”. Z równą znajomością rzeczy Błażejowska przypisuje autorstwo strategii „długiego marszu” Bogdanowi Borusewiczowi, datując ją na rok 1984, podczas gdy jej twórcami byli Wiktor Kulerski i Adam Michnik w pierwszej połowie 1982 r.²

Rozprawivszy się w ten sposób z politycznymi elitami opozycji, autorka wraca do zasadniczego tematu

swojej książki. Niestety, nie znajdziemy tu ani próby analizy wydawniczego podziemia, ani charakterystyki poszczególnych wydawnictw, ani portretów najważniejszych postaci tego ruchu. Błażejowska dzieli się za to znowu przekonaniem o kontroli bezpieczeństwa nad ruchem wydawniczym. „Służba Bezpieczeństwa dążyła do zapewnienia stałego dopływu bibuły” – stwierdza w pewnym momencie. Przytacza też opinie wysokiego oficera MSW, że bezpieka monitorowała 80 proc. transportów z Zachodu. „Dzięki wysoko uplasowanej agenturze” – oczywiście. W tym kontekście słusznie wymienia Zdzisława Pietkuna, pseudonim „Junior”, łącznika TKK z Biurem Koordynacyjnym NSZZ Solidarność w Brukseli, którego zdemaskowano po 1989 r., oraz Pawła Mikłasa, szefa Wydawnictwa im. Konstytucji 3 Maja i oficyny Myśl. W sieć jej podejrzeń wpada jednak też Andrzej Rosner, współpracownik KOR i szef wydawnictwa Krąg, o którym daje, znowu bez żadnego komentarza, donos jakiegoś agenta, jakoby zgodził się doprowadzić SB na trop podziemnych drukarni. Równie chętnie cytuje skrajne opinie o „Tygodniku Mazowsze”. „Traci resztki ideowego oblicza... Stał się nudny i nabzdyczony” – ocenia najważniejsze pismo podziemia niejaki „Andrzej”. A niezawodny Paweł Juzwa dodaje: „To [...] język »Trybuny Ludu«, główna tuba ideologiczna tego [postkorowskiego] środowiska”. Wobec tego samego środowiska pojawiają się także zarzuty cięższego kalibru – o sprzeniewierzenie pieniędzy z Zachodu. Autorytetem jest tu znowu Jarosław Kaczyński. Oskarżając liderów solidarnościowej emigracji (znów Chojecki) o zasilanie własnych kieszeni środkami przeznaczonymi dla ruchu, autorka wspiera się pułkownikiem Piecuchem oraz pracą naukowców z Akademii Spraw Wewnętrznych MSW.

Gospodarkę finansową podziemia rzeczywiście prowadzono po bałaganiarsku – żadne rozliczenie nie zostało dokonane. To jednak nie znaczy, że można bez żadnych dowodów obciążać dobre imię najbardziej zasłużonych ludzi niezależnego ruchu wydawniczego. Sporą część książki zajmują najrozmaitsze pretensje, jakie do szefów wydawnictw podziemnych mają dawni drukarze i kolporterzy (w tej części w roli negatywnego bohatera autorka obsadziła Grzegorza Bogutę). Ten swoisty konflikt klasowy być może rzeczywiście miał

² Por. A. Friszke, *Tymczasowa Komisja Koordynacyjna NSZZ „Solidarność” (1982–1987)*, [w:] *Solidarność podziemna 1981–1989*, red. A. Friszke, Warszawa 2006, s. 20–22; J. Skórzyński, *Adam Michnik – od dyktatury do demokracji*, [w:] *idem, Od Solidarności do wolności*, Warszawa 2005, s. 108–110.

miejsce, tak jak finansowe nieprawidłowości i walka o pieniądze z Zachodu, ale uczynienie z tego głównego niemal wątku książki całkowicie fałszuje perspektywę.

Pobieżnego przeglądu książek i autorów publikowanych poza zasięgiem cenzury Justyna Błażejowska dokonuje jedynie w ostatnim rozdziale książki. Nawet w tym krótkim fragmencie można znaleźć poważne błędy. Dorobek wydawniczy opozycji autorka wylicza m.in. za bibliografią Władysława i Wojciecha Chojnackich, opublikowaną w 1988 r. przez Editions Spotkania pod pseudonimem Józefa Kamińska. Nie wspomina jednak o drugim tomie tego dzieła, wydanym przez Wojciecha Chojnackiego i Marka Jastrzębskiego³. Do 3725 pozycji z lat 1981–1986 odnotowanych w pierwszym tomie należy więc dodać 1872 pozycji uzupełnień i wydawnictw z lat 1986–1987. Razem daje to 5597 publikacji – więcej niż cytowane w książce katalogi Ośrodka KARTA i Biblioteki Jagiellońskiej. *Karta praw robotniczych* to nie żaden „aktualny poradnik”, tylko manifest prezentujący socjalne i polityczne cele niezależnego ruchu robotniczego. Autorstwo broszury *Obywatel a Służba Bezpieczeństwa* Błażejowska przypisuje Chojeckiemu i Romanowi Wojciechowskiemu, choć tekst napisał przecież Jan Olszewski⁴. Do kategorii humoru zeszytów trzeba zakwalifikować stwierdzenie, że krąg autorów zagranicznych drugiego obiegu „w istocie zawęzał się do listy nazwisk znanych podziemnym redaktorom”. „Warto to podkreślić, bowiem twórcy wówczas wylansowani na rynku wydawniczym królują praktycznie do dziś” – puentuje Błażejowska, nie wiadomo: z pretensją czy pochwałą. Równie bezradnym pozostawia czytelnika opis słynne-

go dzieła Wieniedikta Jerofiejewa *Moskwa-Pietuszki* jako „zawierającego – w epoce kontrolowanej prohibicji! – bezcenne rady na temat możliwości wyprodukowania wódki”. I znowu nie wiadomo: autorka kpi czy o drogę pyta? Wytykając w końcowej „Analizie dorobku” wydawców niezależnych brak autorów z Zachodu, Błażejowska nie zauważyła – bagatela – *Blaszanego bębenka* Güntera Grassa, wydanego przez NOW-ą w 1979 r., ani takich dzieł jak *Człowiek zbuntowany* Alberta Camusa czy *Nowy wspaniały świat* Aldousa Huxleya. Pominęła też książki Hannah Arendt, Karla Poppera i Maxa Webera.

Lista autorów, książek i pism nieobecnych w IPN-owskiej monografii jest długa. Bardziej niż tytułowym tematem swojej książki Justyna Błażejowska jest chyba zainteresowana historią polityczną lat osiemdziesiątych i wpływami służb specjalnych. Jej pisarską i badawczą metodę doskonale ilustruje zdanie: „część wybranych 4 czerwca solidarnościowych posłów i senatorów chodziła na krótkiej smyczy resortu”. W przypisie znajdujemy odwołanie do słów generała Kiszczaka, który w jakiejś rozmowie z profesorem Pawłem Wieczorkiewiczem miał powiedzieć, że komuniści wiedzieli, komu oddają władzę. Większość rewelacji zawartych w *Papierowej rewolucji* oparta jest na równie solidnych podstawach.

Justyna Błażejowska, *Papierowa rewolucja. Z dziejów drugiego obiegu wydawniczego w Polsce 1976–1989/1990*, Instytut Pamięci Narodowej, seria Monografie, Warszawa 2010, s. 311.

³ W. Chojnacki, M. Jastrzębski, *Bibliografia publikacji podziemnych w Polsce*, t. 2: 1 I 1986 – 31 XII 1987, Warszawa 1989.

⁴ Por. Z. Najder, *Wypowiedzenie niepodległości*, „Karta” 2003, nr 39, s. 64–95.

Nad Wisłą i Drwęcą...

JAKUB KUFEL

Aby wytłumaczyć tytuł tej książki, przypomnijmy, że Drwęcę wpada do Wisły w okolicach Torunia. Ich dorzecze wyznacza obszar dawnego województwa toruńskiego – niewielkiego, acz historycznie ważnego regionu Polski. W Toruniu prężnie działało środowisko opozycyjne związane z Uniwersytetem Mikołaja Kopernika – największą uczelnią na Pomorzu, kultywującą tradycję wileńską i lwowską. To tu w Duszpasterstwie Akademickim gromadzili się ludzie niezgadający się z zastaną rzeczywistością. To w toruńskim Towimorze zrodził się w czasach Solidarności ruch tzw. struktur poziomych PZPR, który domagał się zmian demokratycznych w partii. Owa specyfika Torunia miała wpływ na charakter strajków i protestów w całym województwie latem 1980 r.

W regionie toruńskim protesty o charakterze ekonomicznym rozpoczęły się w lipcu 1980 r. Podobnie jak w innych częściach kraju zostały wywołane podwyżką „cen komercyjnych” niektórych rodzajów mięsa i wędlin. Robotnicy przekonali się, że zbiorowe wystąpienia są skuteczną metodą walki o polepszenie bytu. Przedstawiciele lokalnych władz zgadzali się na partykularne ustępstwa, by uniknąć eskalacji protestów. Bariere strachu nakazującą unikanie postulatów pozaekonomicznych przełamano w Stoczni Gdańskiej im. Lenina. Ustanowienie tam Międzyzakładowego Komitetu Strajkowego oznaczało poszerzenie wymiaru strajków oraz zmianę ich charakteru w innych regionach. 18 sierpnia 1980 r. jako pierwsze w regionie toruńskim stanęły Pomorskie Zakłady Urządzeń Transportowych Warma w Grudziądzu. Do końca sierpnia strajki objęły największe zakłady województwa.

Wojciech Polak, autor licznych prac poświęconych historii najnowszej Torunia¹, w swojej najnowszej monografii *Sierpień nad Wisłą i Drwęcą. Strajki i protesty w Toruniu i województwie toruńskim latem 1980 r.* opisał okoliczności wybuchu, przebieg oraz skutki strajków sierpniowych w regionie. Przedstawił ogólnopolski kontekst tych wydarzeń, zaprezentował działalność lokalnych grup opozycji demokratycznej w sierpniu 1980 r., opisał okoliczności i uwarunkowania polityczne wielkiej katastrofy kolejowej pod Ołtoczynem, a także szczegółowo scharakteryzował działalność Służby Bezpieczeństwa, próbującej powstrzymać strajki.

Swoje ustalenia oparł przede wszystkim na materiałach archiwalnych pochodzących ze zbiorów delegatury bydgoskiej Instytutu Pamięci Narodowej, m.in. esbeckich materiałach operacyjnych dotyczących zakładów Towimor i Warma, meldunkach dziennych różnych komórek SB, które były kierowane do Wojewódzkiego Stanowiska Kierownictwa Komendy Wojewódzkiej Milicji Obywatelskiej w Toruniu w ramach operacji „Lato 80”, dokumentach dotyczących badania nastrojów wśród mieszkańców Torunia, teczkach pracy tajnych współpracowników SB. Sięgnął także do zbiorów prywatnych Jadwigi Pietrusy, która zgromadziła materiały związane ze strajkiem sierpniowym w Towimorze. Podobnie jak w swych poprzednich publikacjach w szeroki sposób wykorzystał relacje uczestników wydarzeń.

Wspólnym mianownikiem wydarzeń w regionie w sierpniu 1980 r. był sprzeciw wobec sytuacji w kraju i poparcie dla postulatów sformułowanych przez MKS w Stoczni Gdańskiej. Polak opisuje związki toruńskich opozycjonistów z Trójmiastem, m.in. studenta UMK Zbigniewa Nowka, który wraz z Piotrem i Maciejem Kapczyńskimi założył w czerwcu 1980 r. w Gdańsku

¹ Opublikował m.in. książki: *Najtrudniejsze egzaminy. Niezależne Zrzeszenie Studentów Uniwersytetu Mikołaja Kopernika na tle wydarzeń w kraju i regionie (1980–1982)*, Toruń 2001; *Czas ludzi niepokornych. Niezależny Samorządny Związek Zawodowy „Solidarność” i inne ugrupowania niezależne w Toruniu i Regionie Toruńskim (13 XII 1981 – 4 VI 1989)*, Toruń 2003; *Dni protestu. Wydarzenia 1 i 3 maja 1982 r. w Toruniu*, Toruń 2004.

podziemne wydawnictwo Alternatywy. Wydrukowało ono ulotki w obronie zwolnionej ze Stoczni Gdańskiej Anny Walentynowicz.

Autor monografii *Sierpień nad Wisłą i Drwęcą* odtwarza okoliczności, w jakich doszło do katastrofy kolejowej pod Otłoczynem. Wypadek, który miał miejsce 19 sierpnia 1980 r., był największą katastrofą kolejową w dziejach powojennej Polski. W wyniku zderzenia pociągów towarowego i pasażerskiego jadących po tym samym torze, śmierć poniosło 65 osób, a 66 zostało rannych. Wojciech Polak wyjaśnia okoliczności, w jakich doszło do katastrofy, przytacza relacje m.in. Zbigniewa Juchniewicza – dziennikarza toruńskich „Nowości” i Wiesława Jankowskiego – pracownika Towimoru, którzy opisali zniszczenia będące skutkiem katastrofy. Historyk jest zdania, że katastrofa pod Otłoczynem przyczyniła się do wzrostu napięcia w regionie. Warto dodać, że do dzisiaj nie wyjaśniono do końca jej przyczyn, a dramatyzmu sytuacji nadawała nieudolna akcja ratownicza. Wydłużał ją zakaz stosowania narzędzi do cięcia blachy, wprowadzony ze względu na wyciek oleju napędowego i zagrożenie wybuchem. Katastrofa pod Otłoczynem miała więc także wymiar polityczny.

Wojciech Polak zarysował obraz protestów w województwie toruńskim na tle działalności opozycji demokratycznej w Toruniu. Środowisko opozycyjne powstało w tym mieście w 1978 r. Tworzyli je w dużej mierze studenci Uniwersytetu Mikołaja Kopernika mający kontakt z różnymi środowiskami niezależnymi: Komitetem Obrony Robotników, Ruchem Młodej Polski i Konfederacją Polski Niepodległej. Zajmowali się przewożeniem bibuły, kolportażem ulotek i plakatów, działalnością samokształceniową. Polak zwraca uwagę na rolę, jaką w formowaniu opozycji w Toruniu odegrało Duszpasterstwo Akademickie, kierowane od 1963 r. przez o. Władysława Wołoszyna. Obok spotkań o charakterze religijnym prowadzono tu także działalność samokształceniową zorientowaną na poszerzenie horyzontów myślowych młodych ludzi. Władysław Wołoszyn był współzałożycielem i współpracownikiem Towarzystwa Kursów Naukowych.

W sierpniu 1980 r. opozycja toruńska wspierała protesty w regionie. Profesor Polak wyeksponował rolę Wie-

śława Cichonia – współpracownika KSS „KOR”. 21 sierpnia 1980 r. dostarczył on załodze Towimoru przygotowaną przez opozycjonistów ulotkę *Apel do mieszkańców Torunia*. Zawarto w niej wyrazy poparcia dla strajkujących robotników². Kolportowano także ulotki i niezależną prasę przywożoną z Gdańska i Warszawy. Za swoją działalność toruńscy opozycjoniści byli represjonowani przez SB. Aresztowano m.in. Wiesława Cichonia, Krystynę Antowską, Marka Beraka i Stanisława Śmigła, przeprowadzono także rewizje w ich mieszkaniach.

Wojciech Polak poświęca sporo miejsca w swojej pracy nastrojom w środowisku inteligencji oraz w zakładach pracy. Przytacza meldunki operacyjne toruńskiej Służby Bezpieczeństwa (Wydziału III KWMO). Środowisko naukowe komentowało m.in. sytuację gospodarczą Polski, wskazując na to, że władze nie mają sprecyzowanego programu wyciągnięcia rolnictwa z impasu. Negatywnie oceniano także środki masowego przekazu, pomijające informacje na temat strajków. Kwestie ekonomiczne były także szeroko komentowane przez robotników strajkujących zakładów. Na pierwszy plan wysuwały się opinie dotyczące poprawy zaopatrzenia w żywność i niepokój co do rozwoju sytuacji w kraju. Robotnicy obawiali się, że władze dokonają krwawej pacyfikacji strajków.

Funkcjonariusze SB z Wydziału IV KWMO, prowadzący inwigilację Kościoła katolickiego, szczegółowo odnotowywali „wrogie” informacje zawarte w kazaniach, reakcje księży na przemówienia telewizyjne, „wywrotowe” wypowiedzi duchownych podczas mszy, informacje o nabożeństwach odprawianych w zakładach pracy. Analizowali kazania pod kątem tego, czy nie ma w nich „elementów wrogich”. Zdaniem prof. Polaka w raportach SB widać tendencję do uwypuklania wypowiedzi wykazujących zrozumienie dla intencji władz. Służba Bezpieczeństwa relacjonowała też reakcje księży na wystąpienia hierarchów kościelnych, m.in. na kazanie kard. Stefana Wyszyńskiego na Jasnej Górze, które wielu duchownych uznało za zbyt zachowawcze.

Za najważniejsze dla województwa toruńskiego Polak uznał strajki w Zakładach Urządzeń Okrętowych Towimor, Pomorskich Zakładach Wytwórczych Aparatury Niskiego Napięcia Apator oraz Pomorskich Zakładach

² Cichon został zatrzymany przez SB w wyniku donosów tajnego współpracownika o pseudonimie „Karol”, którego działalność Polak opisał w książce *Anatomia agenta* (Gdańsk 2005).

Urządzeń Okrętowych Warmia w Grudziądzu. W tym ostatnim zakładzie strajk rozpoczęto 18 sierpnia z inicjatywy Janusza Bucholca – dawnego pracownika Gdańskiej Stoczni Remontowej, który nakłonił delegatów poszczególnych wydziałów zakładu do sformułowania petycji z postulatami (miały one w przeważającej mierze charakter ekonomiczny). Strajk w Warmie przyczynił się do zaognienia sytuacji w województwie toruńskim. Protest w Towimorze rozpoczęto 21 sierpnia 1980 r. z inicjatywy pracowników Wydziału Głównego Mechanika R-3: Wiesława Rumińskiego, Jerzego Lisińskiego i Adolfa Liebersbacha. Dużą rolę odegrał w tych protestach Zbigniew Iwanow, który wkrótce później stanął na czele struktur poziomych PZPR w Toruniu (pierwszych w Polsce). W Towimorze powstał Międzyzakładowy Komitet Strajkowy grupujący zakłady województwa, tu także doszło do podpisania porozumienia toruńskiego.

Zachęcona protestem w Towimorze załoga Apatora rozpoczęła strajk 28 sierpnia. Wśród postulatów ekonomicznych znalazł się punkt dotyczący wolnych związków zawodowych. Wojciech Polak wskazuje na dobrą organizację strajku w Apatorze, zwłaszcza na świetnie zorganizowany strajkowy system ochrony zakładu. Roz-

prawiono się tu ze wszelkimi próbami picia alkoholu; podobnie jak w strajkującej Stoczni Gdańskiej – obowiązywała prohibicja. Rozmowy z dyrektorem zakładu Bogdanem Lietzem szły opornie. Próbował on nakłonić załogę do zaprzestania protestu.

Impas w strajkujących zakładach został przełamany po utworzeniu 30 sierpnia Międzyzakładowego Komitetu Strajkowego. Jego przewodniczącym został Edward Strzyżewski, który rozpoczął rokowania z przedstawicielami władz. Podpisanie porozumień w Szczecinie i Gdańsku wywołało przekonanie, że rozmowy w Toruniu również zakończą się sukcesem, a robotnicy będą mogli 1 września powrócić do pracy. Opór w rozmowach – zdaniem Wojciecha Polaka – został przełamany w wyniku groźby wysuniętej przez przedstawicieli MKS dotyczącej wznowienia akcji strajkowej. Porozumienie toruńskie zostało ostatecznie zawarte 1 września 1980 r. Przedstawiciele władz wyrazili w nim zgodę na powstanie wolnych związków zawodowych.

Wojciech Polak, *Sierpień nad Wisłą i Drwęcą. Strajki i protesty w Toruniu i województwie toruńskim latem 1980 r.*, FINNA, Gdańsk 2010, s. 264.

KRONIKA ECS

Europejskie Centrum Solidarności realizuje swe główne cele – zachowanie pamięci o przestaniu Solidarności, a także twórcze przekazanie jej dziedzictwa przyszłym pokoleniom – łącząc działalność naukową, kulturalną i edukacyjną z prowadzeniem nowoczesnej placówki muzealnej oraz archiwum dokumentującego dorobek ruchów demokratycznych i wolnościowych, które odegrały znaczącą rolę w najnowszej historii Polski i Europy. Takie założenia przyświecały goszczącym w Gdańsku w 25. rocznicę Sierpnia '80 szefom państw, rządów i przywódcom Unii Europejskiej, którzy podpisali akt erekcyjny Europejskiego Centrum Solidarności. Oficjalnie rozpoczęło ono działalność w lutym 2008 r., otrzymując tymczasową siedzibę na terenie dawnej Stoczni Gdańskiej. Do 2013 r. powstanie nowa siedziba Centrum, zaprojektowana przez pracownię artystyczną Fort z Gdańska, wyłonioną w 2007 r. w międzynarodowym konkursie.

W wybudowanym Centrum powstanie muzeum – wystawa stała *Drogi do wolności*, ukazująca, jak wydarzenia zapoczątkowane przez strajk w Stoczni Gdańskiej przyczyniły się do upadku komunizmu w Europie. Scenariusz wystawy i koncepcję scenografii wybrano w 2008 r. Ekspozycję cechować będzie oryginalność i wielowarunkowość, szerokie wykorzystanie współczesnych technik multimedialnych oraz interaktywność. Muzeum będzie także miejscem prezentacji licznych zbiorów ECS, którymi może się pochwalić jego Dział Muzealno-Archiwalny i Biblioteka. Do tej pory zgromadzono około 10 tys. książek i czasopism, a także 60 tys. fotografii i dokumentów. Nagrano prawie 600 notacji filmowych – wspomnień bohaterów Solidarności. Pozostałe – dziś jeszcze rozproszone, a niekiedy zaniedbane – pamiątki związane z Solidarnością znajdują swoje miejsce w nowym budynku Centrum, gdzie będzie się mieścić multimedialne archiwum i biblioteka.

Dotychczas Centrum zorganizowało ponad sto wystaw i prezentacji w różnych miejscach w Polsce, Eu-

ropie i na świecie. Za ich przyczyną ECS chce umacniać świadomość historyczną, niezbędną w procesie budowania tożsamości europejskiej. Wśród najważniejszych przedsięwzięć należy wymienić wystawę *Solidarność. Pokojowa rewolucja*, ukazującą wyzwalanie się Europy Środkowo-Wschodniej spod dyktatury komunistycznej w latach 1945–1989, konsekwencje upadku tej dyktatury i wejście Polski do Unii Europejskiej. Wystawę pokazywano m.in. w Bundestagu, Parlamencie Europejskim i na Zamku Królewskim w Warszawie. Inne wystawy plenerowe, jak *Historia zza żelaznej kurtyny; Solidarność Narodów; 10 lat, 10 miesięcy, 10 dni...*, odwiedziły już kilkanaście miast na całym świecie. Od 2009 r. pokazywana jest także wystawa *Autorytety. Lech Bądkowski* – poświęcona gdańskiemu opozycjoniście, rzecznikowi prasowemu MKS, sygnatariuszowi porozumienia gdańskiego.

Europejskie Centrum Solidarności kreuje wydarzenia kulturalne i inspirowane twórców. W 2007 r. zainaugurowano festiwal „All About Freedom” – interdyscyplinarny projekt poświęcony różnym wymiarom wolności, który corocznie zbiera prezentacje filmowe i teatralne, koncerty oraz spotkania naukowców, polityków i dziennikarzy. Zorganizowano także rocznicowe koncerty: na 20-lecie odzyskania przez Polskę wolności i upadku komunizmu oraz w ramach Festiwalu Solidarności, na którym wystąpił Ennio Morricone. Z okazji trzydziestej rocznicy Sierpnia '80 i narodzin Solidarności powstało widowisko i projekt *2xStrajk* oraz symfonia Pawła Mykietyna zatytułowana *VIVO XXX*, zostało także ustanowione wyjątkowe odznaczenie – Medal Wdzięczności dla ludzi dobrej woli z całego świata, którzy w latach osiemdziesiątych wspomagali Polskę w jej trudnej walce o wolność i demokrację.

Od trzech lat ECS, organizując koncerty muzyki poważnej, zaprasza mieszkańców Trójmiasta do wspólnej zadumy nad losem tych, którzy w grudniu 1970 i grudniu 1981 r. zapłacili najwyższą cenę, byśmy mogli żyć

w wolnej Polsce. Głośnym echem odbiło się w 2008 r. Forum Młodych z udziałem kilkuset osób z całego świata oraz laureatów pokojowej Nagrody Nobla, m.in. Dalajlamy i Lecha Wałęsy. Forum jest organizowane corocznie w dniu urodzin Lecha Wałęsy.

Kolejną wartą odnotowania inicjatywą edukacyjną jest Ekspres Solidarności. W dwóch jego edycjach wzięło udział blisko pół tysiąca młodych ludzi z prawie pięćdziesięciu krajów świata, którzy odwiedzili najważniejsze miejsca w Polsce symbolizujące zmagania o wolność i pokój. Corocznie odbywa się także Akademia Solidarności, która daje szansę zdobycia wiedzy i wymiany doświadczeń w wielonarodowej grupie uczestników.

W organizowanych przez ECS w różnych miejscach kraju sesjach naukowych i debatach biorą udział wybitni działacze opozycyjni, politycy i intelektualiści. Podczas debaty „Sens i nonsens konformizmu” w dwudziestą rocznicę strajków robotniczo-studenckich z maja 1988 r. spotkali się ówcześni przywódcy strajku studenckiego, w konferencji „Ekonomia Solidarności” uczestniczyli architekci transformacji ustrojowej w Polsce: Lech Wałęsa, Tadeusz Mazowiecki i Leszek Balcerowicz. Centrum zorganizowało też konferencję „Solidarność pokoleń” z udziałem naukowców i polityków, którzy debatowali m.in. nad planami aktywizacji zawodowej osób w wieku przedemerytalnym. Podczas konferencji „W przededniu wielkiej zmiany. Okrągły stół” dyskutowano o znaczeniu tego wydarzenia dla transformacji ustrojowej w Polsce i w innych krajach socjalistycznych.

Z okazji dwudziestej rocznicy odzyskania wolności Centrum zorganizowało w Gdańsku i Warszawie dwudniową konferencję międzynarodową „Solidarność i upadek komunizmu”. Uświetnili ją swoją obecnością Lech Wałęsa, Václav Havel, Jan Czarnogórski i Żelju Żelew. Obchodom rocznicy powstania Ruchu Młodej Polski towarzyszyła konferencja „Korzenie Solidarności. 30-lecie Ruchu Młodej Polski”. Zagadnieniom prawnym i technologicznym związanym z digitalizacją zbiorów, ich wirtualizacją i udostępnianiem poświęcono debatę „Zbiory fotograficzne i filmowe w Internecie – aspekty prawne i technologiczne”. Centrum współorganizowało także konferencję „Od wojny do wolności. Wybuch i konsekwencje II wojny światowej 1939–89”. W interdyscyplinarnej konferencji „Czas przełomu. Solidarność 1980–1981” uczestniczyło pięćdziesięciu naukowców z całej Polski.



Przyszła siedziba Europejskiego Centrum Solidarności. Autorem projektu jest Przedsiębiorstwo Projektowo-Wdrożeniowe FORT Sp. z o.o. Projekt udostępniła Gmina Miasta Gdańsk.

Europejskie Centrum Solidarności jest także inicjatorem konkursów. Do młodzieży szkolnej skierowany był konkurs „Ocal okrucy historii – młodzież buduje muzea”, który polegał na opisanie pamiątki historycznej z okresu drugiej wojny światowej lub z okresu działalności Solidarności i opozycji demokratycznej w latach 1979–1990. Młodszy uczestnicy mogli wziąć udział w konkursie „Moja mała Solidarność” – musieli napisać wiersz, esej lub bajkę na temat szeroko pojmowanej solidarności. A w 2010 r. Centrum ogłosiło dwa równoległe konkursy na najlepszą pracę doktorską lub magisterską obejmującą tematykę związaną z historią Solidarności i opozycji demokratycznej w Polsce w latach 1970–1990.

Centrum publikuje materiały i opracowania będące plonem spotkań i konferencji, samodzielnie lub jako współwydawca ma na swym koncie już kilkanaście książek. Na szczególną uwagę zasługuje biografia Lecha Wałęsy *Zadra* autorstwa Jana Skórzyńskiego, *Solidarność u władzy. Dziennik 1989–1993* Waldemara Kuczyńskiego, wyniki pierwszych ogólnopolskich badań socjologicznych *Solidarność – doświadczenie i pamięć* pod redakcją Ireneusza Krzemińskiego. Wśród wydanych przez ECS materiałów pokonferencyjnych są: *W przededniu wielkiej zmiany. Polska w 1988 roku; Korzenie Solidarności. 30-lecie Ruchu Młodej Polski; W przededniu wielkiej zmiany. Okrągły stół.*

Więcej informacji na stronie www.ecs.gda.pl

